Chrystyanizm i czasy obecne.

Ks. Biskup Bougaud.

Chrystyanizm i czasy obecne

Tłómaczenie z francuzkiego
J. Bitnerowej.

WARSZAWA 1906
DRUK PIOTRA LASKAUERA I S-KI, NOWY-ŚWIAT 41.

Wiara i Niewiara

I.

Mając obietnicę żywota,
który teraz jest, i przyszłego.

(I Tim., IV, 8).

WARSZAWA 1906
Wydawnictwo Księgarni Nakładowej M. Szczepkowskiego
Nowogrodzka 23.

APPROBATUR.

Varsaviae die 8/21 Junii 1904 anni.

Judex Surregatus, Praelatus Metropolitanus

Leopoldus Łyszkowski.

Secretarius. **R. Lasocki.**

„CHRYSTYANIZM I CZASY OBECNE".

№ 2721.

ОДОБРЕНО.

Варшава 8/21 Іюня 1904 года.

Судья Суррогатъ Варш. Р.-К. Духовной Консисторіи,

Прелатъ Митрополитальнаго Капитула

Кс. Л. Лышковскій.

Секретарь **Кс. Р. Лясоцкій.**

Дозволено Цензурою Варшава, 11 Января 1905 г.

Książka ta nie jest wcale dziełem okolicznościowem. Przygotowana była oddawna, a wydanie jej zostało opóźnione wskutek bolesnych wypadków, jakie nas nawiedziły. Jużem był kilka jej części wykończył, kiedy wystrzał działowy w Reichshoffen wytrącił mi pióro z ręki, zakrwawiając serce. Potem dopiero, podczas smutnego oblężenia Paryża i wpośród okropności Komuny, wziąłem się do niej znowu, w tem przekonaniu, że pracując dla Boga i Religii, pracuję dla ojczyzny mojej. To też ze łzami tom ten został wykończony. Teraz go ogłaszam, po przeczekaniu pierwszych chwil, ażeby ciężkie próby miały czas oświecić nas i wydać owoce. Skorzystasz z tej nauki, Francjo. Powściągnij gniew, stary zraniony lwie; niech krew płynie z ran twoich, bo to krew zadosyćuczynienia. Możesz się wznieść wyżej, niż kiedykolwiek, boś tyle wycierpiała, Ojczyzno moja! Nie zapominaj tylko o tem, co najlepsi z twych obywateli ujrzeli wobec grożącej zagłady, i, ażeby nadal uniknąć podobnych wstrząśnień, weź Religię za podstawę odnowionej budowy społecznej.

Orléan, 24 Marca, 1874 r.

WSTĘP.

Zamierzam skreślić nową ekspozycję Chrystyanizmu, z punktu widzenia czasów obecnych.

Ekspozycję, nie apologię. Czyż nie najlepszą bowiem obroną Religii będzie przedstawienie jej taką, jaką ją Bóg mieć chciał, w całej jej czystej i doskonałej piękności, w całej jej harmonii z naturą ludzką. Takiej to obrony wiek nasz potrzebuje najbardziej. Więcej on bowiem nieświadomym jest prawdy, aniżeli jej wrogim, i ci nawet, którzy napozór z nią walczą, w głębi duszy wzdychają do jej znalezienia.

W miarę, jak z upływem lat, stulecie dziewiętnaste zbliża się do końca, ukazują się nam coraz lepiej jego znamienne rysy, które rozpatrując, nie możemy się wstrzymać od pewnego rodzaju współczującego podziwu. Żadno może stulecie nie otrzymało większych darów, i żadno nie zaznało smutniejszych zawodów; żadno nie rozbrzmiewało odgłosem szczytniejszych i niespodziańszych odkryć naukowych, i żadno nie oglądało pod swemi stopami straszniejszych przepaści; żadno nie miało więcej pokus do zachwycania się i upajania, że tak powiem—swą własną wielkością, i żadno—co mu na wieczną niech będzie chwałę, nie było dalszem od zadowolenia z siebie. Na początku olbrzymie zwycięstwa; dalej swobody obywatelskie, państwowe i społeczne, zdobyte orężem wymowy, sprawiedliwości i rozumu; koleje żelazne, skracające przestrzeń i prowadzące do ostatecznego owładnięcia

światem; szybkie jak myśl telegrafy, łączące ludy w jedno; Alpy przewiercone, Pireneje udostępnione, a w bliskiej przyszłości morza ujarzmione tunelami, mostami; fizyka, chemia, geologia, rodzące i odkrywające nieznane naszym ojcom światy; historja, filologia i lingwistyka odnajdujące to, co było zaginionem; niepodobieństwa stające się nagle rzeczywistością; nadzwyczajność nie dziwiąca już nikogo; a w tym olbrzymim rozroście, gdzieby można oczekiwać rozdźwięków, raczej niespodziewane i zachwycające harmonie: oto nasze stulecie!

I czegóż mu brakowało, ażeby być najszczęśliwszem ze stuleci? Boga. I dosyć było tego jednego braku, żeby wszystko zatruć. Ani geniusz, ani wymowa, ani chwała. ani nauka, nie mogły zapełnić wytworzonej tem próżni. Otwórzcie arcydzieła myśli nowożytnej; we wszystkich jest coś niezupełnego, niedokończonego i nietylko niezupełnego, ale smutnego. Wiek ten nosi ranę w sercu. Cierpi. Chciałoby się mu powiedzieć to, co ów doktór zakonny mówił niegdyś miotanej niepokojem Synagodze. „Co ci jest i czemu się trwożysz? Czyż już nigdy nie odpoczniesz?“

A jednak, czegóż on nie próbował, by uśmierzyć dręczący go niepokój. Niema chyba teorji socjalnej, którejby w tym celu nie wymyślił, stąd nawet poczęści pochodzi panujący dziś zamęt pojęć. To szczęście, którego mu brakuje, a które tylko w Bogu znaleźć można, to zaginione źródło złotego wieku, tego Edenu, który wszystkie ludy umieszczają, niestety, za sobą, pochlebiał on sobie znaleźć w nauce, grzebiąc coraz głębiej w ziemi. To, czego dziś nie dawała, spodziewał się otrzymać jutro; to, czego odmawiała jednostce, oczekiwał dla całej ludzkości! Próżne usiłowania! Nadaremnie grzebano w ziemi: nie wzięto z niej tego, czego nie ma sama. A pragnienie człowieka, to pragnienie prawdy, cnoty, nadziei, nieskończoności, okazało się zbyt palącem, ażeby je bez Boga ugasić można.

Od czasu zjawienia się Chrystyanizmu na ziemi, dusze dosięgły wielkości nieznanej w starożytności. Nie okazało się to nigdy dowodniej, jak za dni naszych, kiedy to dusze te, pozbawione obecności Boga, któremu zawdzięczają swą wielkość, stały się smutne, niespokojne, dręczone cierpieniem, dla

którego nie było jeszcze w mowie ludzkiej nazwy. Z jednej strony sumienie coraz drażliwsze, serce coraz goręcej czujące, wyobraźnia coraz żywsza a z nią wzrastająca potrzeba nieskończonego szczęścia; z drugiej — poziomość życia, niestałość teraźniejszości, niepewność przyszłości: wszystko to przyczyniło się do zgotowania najpiękniejszym duszom życia goryczy i rozczarowań pełnego. Cywilizacja i nauka zwiększyły jeszcze te smutki, zamiast im zaradzić. Uszlachetniają one naturę człowieka; czynią ją delikatniejszą, subtelniejszą; a przecież każdy postęp w tym kierunku, to jedna więcej zdolność cierpienia. Natury wybrane żywiej czują, a tem samem więcej cierpią. Od lat już wielu badam dusze podniosłe, światłe, ale pozbawione wiary. Zawsze je znalazłem smutnemi, spragnionemi Boga, przytłoczonemi tajemnicami sumień lub serc swoich, i pożądającemi, bezwiednie często, wyższego, pełniejszego, trwalszego życia; a ten smutek, z którego niezawsze nawet zdawały sobie sprawę, czynił je tem piękniejszemi i tem sympatyczniejszemi.

Niechże więc wiek ten, tak niespokojny, tak burzliwy ale i tak wielki w swym geniuszu, tak szlachetny w swych nadziejach i przedsięwzięciach, podniesie wzrok do Boga; niech przestanie podążać za każdym wiatru podmuchem, oczekiwać wszystkiego od ludzi. Niech zapomni o ziemi, a raczej niech ją i nadal uprawia, upiększa, niech wydobywa z niej skarby, które odgadł potęgą swego umysłu; ale niech nie żąda od ziemi tego, czego ona nie posiada: życia boskiego, którego tak potrzebuje. Niech zabierze z sobą do grobu, tak już odeń blizkiego, tę przynajmniej chwałę, że wiele otrzymał, wiele posiadał, a niczem się nie zadowolnił, ponieważ nic nie mogło ugasić dręczącego go pragnienia; i tę drugą, większą jeszcze chwałę, że choć u schyłku uznał i ostatniem swojem tchnieniem uczcił tego Boga, którego wyznawał swymi smutkami, a brak którego odczuwał tak boleśnie.

Ale nie jest to jedyna przyczyna, wielka a bolesna zarazem, dla której tyle umysłów uczuwa obecnie potrzebę powrotu do Religii, jest inna, jeszcze boleśniejsza. Wiek nasz jest ofiarą: płaci za szaleństwa swego poprzednika. Tamten

zasiał wiatr, my zbieramy burze. O ludzie, którzy przyjdziecie po nas, jeżeli was zadziwi kruchość dzieł naszych, nie zapominajcie, na jakim gruncie musieliśmy budować. Gdy świtał wiek dziewiętnasty, zachwiane były najświętsze podwaliny wszechrzeczy. Znaleźli się marzyciele, którzy pod pozorem przebudowania ich, podnieśli na nie ręce z lekkomyślnością dzikich, którzy podkopują się pod drzewo, ażeby obejrzeć jego korzenie, albo psują zegarek, by zobaczyć co się tam rusza we środku. Dziś zachwiane są wszystkie społeczne podstawy. Żadna budowa nie może się na nich utrzymać. Rozpatrzcie je wszystkie i powiedzcie, której z nich nie zagraża ruina.

Podstawy polityczne. Ani władza absolutna, ani państwo konstytucyjne, ani cesarstwo, ani rzeczpospolita, ani zgromadzenie prawodawcze, ani rząd demokratyczny, nie są zabezpieczone od zamachu stanu, od rewolweru, sztyletu lub spisku. Wszystko się chwieje, pada, wywraca jak na pokładzie statku, miotanego burzą. Któż z nas może powiedzieć, ile jeszcze w swem życiu ujrzy zmian rządów? Czyż to nie musi zniechęcić do zajmowania się polityką. A właśnie to zniechęcenie, ogarniające w istocie najlepszych ludzi we wszystkich krajach, podkopuje ostatecznie wszelkie rządy.

Podstawy społeczne. Te podwaliny starożytne i szacowne, które są tem dla porządku ogólnego, czem jest ziemia dla gmachów na niej wzniesionych; te zasady prawa i wiecznej moralności, które sam Bóg zdawał się uchylać od sporów, podnosząc je do godności aksjomatów, same przez się oczywistych: własność, spadkobranie, rodzina, władze, są poddawane w wątpliwość, roztrząsane, zaprzeczane. Mianują je nadużyciem. Trzeba więc je obalić. I to, co dotychczas prawodawstwo, moralność i religia wszystkich ludów piętnowała jako zbrodnię, przedstawia się zbolałym, cierpiącym tłumom, jako postęp. I możnaż się dziwić, że tłumy gotowe są zdeptać, albo wydać na pastwę płomieni społeczeństwo, które mu przedstawiają jako macosze i tyrańskie?

Podstawy umysłowe i moralne. Gdybyż przynajmniej wierzenia i powinności osobiste były stanowczo uznawane i obowiązujące, byłoby to dla umysłów punktem oparcia przeciw wichrzeniom z zewnątrz, a dla serc lekarstwem i siłą.

Ale tak nie jest; wszystko jest podawane w wątpliwość, nawet prawdy oczywiste dla umysłu ludzkiego, nawet podstawy filozofii, wszystko, aż do aksjomatów logiki. Wszystkiemu przeczą umysły niedowarzone, lekkie, zuchwałe, goniące za nowością. To też wykolejony rozum ludzki nie wiedząc już czego się ma trzymać, zapytuje siebie z niepokojem, czy jest coś pewnego na świecie. A kiedy dosyć byłoby zostawić to podminowane w swych fundamentach społeczeństwo jego losowi, kiedy jego upadek jest już tylko kwestją czasu, tajemnicza logika rzeczy, a raczej mściwa logika zasad wytwarza dzikie stronnictwo, które przysięgło sobie jego zgubę. Walka jest zaledwie rozpoczętą, a już pierwsze jej ciosy wprawiają w przerażenie, bo społeczeństwo i wrogie mu stronnictwo nierówną walczą bronią. Pierwsze zatarło na swym sztandarze, a przynajmniej ukrywa bojaźliwie w jego zwojach opiekuńcze imię Boga; drugie wypisało na swoim: Nienawiść Boga. Tamto, wahające się i słabnące, nie ma już odwagi dobra; to ma zuchwałość zła. Jest ono złem, złem wyznającem się jawnie, jako takie; żeby więc je zaćmić trzebaby, żeby społeczeństwo równie śmiało opowiedziało się jako dobro, ale ono nie ma na to ani dosyć rozumu, ani dosyć siły. Lęka się takich stanowczych wyznań. Marzy o „niezbędnych swobodach", kiedy należałoby pomyśleć o niezbędnych prawdach. I to właśnie czyni tak groźną i wstrząsającą tę walkę między społeczeństwem nie umiejącem się już bronić, a stronnictwem nie cofającem się przed niczem dla jego obalenia.

Oto dokądeśmy doszli. Możnaby zwątpić o przyszłości, gdyby nie ufność w niewzruszoną potęgę Religii, gdyby nie to, że te liczne ruiny społeczne odsłaniają pod swemi przerażająco kruchemi podstawami odwieczne podwaliny Religii, które wysiłki człowieka i rozruchy państwowe zamiast obalić, umocniły tylko, czyniąc je podobnymi do tych, na wysokich górach, dębów, które stawią bezkarnie czoło burzy, bo im silniej wicher wstrząsa ich wierzchołkami, tem one głębiej zapuszczają swe korzenie.

A podczas kiedy tak upływał wiek XIX, starając się obyć bez Boga, kiedy ziemia zaludniała się duszami szlachetnemi, uczuciowemi, a zabezpieczonemi właśnie tą wzniosłością

swoją od ugrzęźnięcia w materji; duszami, które szukały Boga i cierpiały, że Go znaleźć nie mogą; kiedy społeczeństwo, przechodząc straszne i wciąż powtarzające się katastrofy, przekonywało się, że Bóg jest niezbędnym dla życia zarówno ludów, jak i dusz: Religia wynurzała się powoli z mroku, w którym pogrążył ją był pozornie wiek XVIII. Usuwały się stopniowo chmury, zasłaniające jej czoło, ukazując jej wieczną młodość. Rozpraszały się uprzedzenia, zakrywające dotychczas jej piękność przed oczyma wielu; a odkrycia nowożytnej nauki, potrzeby wzmożonego przemysłu, głuche a groźne chwianie się w posadach społeczeństw wprawiały umysły w zbawienne zdumienie. Każdy krok naprzód, jaki czyniło stulecie, każdy zachodzący w niem przewrót, służyły za dowód wielkości Religii. Żaden zarzut osiemnastego wieku nie zrobił wyłomu w jej Składzie Wiary; żadne z naukowych odkryć nie rzuciło cienia na jej czoło. Żeby iść z postępem nauki, tej śmiałej a szczęśliwej nowatorki, trzeba było przebudować w nowożytnem społeczeństwie wszystko: historję, wychowanie, administrację, armię: wszystko, oprócz Religii. Sami nieprzyjaciele nie mogli się powstrzymać od okrzyku: „Cóż to za jedna, ta, co przenosi bezkarnie takie przewroty? Jak i przez kogo mogłaby być zachwianą ta, która z biegiem czasu coraz się staje silniejszą?“ — „Kościół Katolicki, mówił sławny protestant Macaulay, widział początek wszystkich rządów i wszystkich dziś istniejących instytucji, a któż ośmieli się utrzymywać, że nie zobaczy również ich końca? Wielkim był i szanowanym, zanim Saksonowie postawili stopę na gruncie Wielkiej Brytanii, zanim Frankowie przeszli Ren; wielkim wtedy, kiedy jeszcze wymowa grecka kwitnęła w Antyochii, a w Mekce cześć odbierały bałwany. Może więc być wielkim i szanowanym jeszcze i wtedy, kiedy przybyły z Nowej Zelandji podróżnik będzie rysował, wsparty o zdruzgotaną arkadę londyńskiego mostu, ruiny Ś-go Pawła“.

Słynny publicysta zapytuje siebie, czy możebnem jest, żeby Kościół Katolicki mógł zginąć. „Powtarzają, powiada on, że postęp oświaty musi okazać się niekorzystnym dla katolicyzmu; chcielibyśmy módz w to uwierzyć, ale wątpimy bardzo, widząc, że dotychczasowe postępy w przyrodoznawstwie

w sztuce rządzenia, w polityce i prawodawstwie bynajmniej mu nie zaszkodziły. Przeciwnie, zdaje nam się, że jeżeli zaszła jaka zmiana, to na korzyść katolicyzmu. [1])"

Inny pisarz, Taine, wychodząc z wręcz przeciwnego założenia, do tegosamego dochodzi wyniku, a gniew, jaki to w nim budzi, dodaje ceny jego świadectwu.

„Zawsze, powiada on, trudność rządzenia demokracją dostarczy katolicyzmowi stronników; zawsze głuchy niepokój serc smutnych lub czułych werbować mu będzie nowe zastępy; zawsze dawność posiadania zapewniać mu będzie poczet wiernych. Są to trzy jego korzenie, których nie dosięgnie wiedza doświadczalna, bo one czerpią soki nie z wiedzy, ale z uczucia i potrzeby. Mogą one być mniej lub więcej rozgałęzione i w głąb ziemi sięgające, ale nie zdaje mi się, ażeby duch nowożytny mógł im zaszkodzić. Przeciwnie, duch ten powołuje do życia wiele pojęć, wiele instytucji, które w pewnych duszach i pewnych krajach jeszcze go utrwalą. I dlatego to mógł Macaulay, dawszy się porwać wyobraźni i wymowie, powiedzieć pewnego dnia, że katolicyzm będzie jeszcze mógł istnieć kędyś w południowej Ameryce, kiedy podróżnicy australscy będą na zwaliskach Paryża i Londynu szkicowali widoki mostu londyńskiego w ruinie, lub zburzonych murów Panteonu."

Wybaczmy Taine'owi to jego, „dawszy się porwać wyobraźni i wymowie", przez wzgląd na to cenne wyznanie, że tyle jest przyczyn nieprzezwyciężonych, z naturą ludzką nierozłączonych, a niedostępnych tak dla wiedzy, jak i dla ducha nowych czasów, dzięki którym Religia Katolicka będzie zawsze wśród społeczeństw i wszelkich ich zaburzeń tem, czem była ta wieżyczka Sainte-Chapelle w Paryżu, rysująca się lekko, wdzięcznie i czysto na tle płomieni podpalonej przez Rewolucję stolicy.

Ale nietylko tą niespożytą trwałością działa dziś Kościół na umysły, najmniej nawet usposobione do zrozumienia jego wielkości, ale i swą praktyczną doniosłością. Za każdym nowym przewrotem staje się coraz oczywistszem, że tylko on

---

[1]) *Przegląd Edynburski*, r. 1830.

zbawić może społeczeństwo. A jak widziano Kościół w czasie najazdów barbarzyńców przechowujący nauki i sztuki w fałdach swej szaty i pod sklepieniem swych klasztorów, aby je potem zwrócić odradzającemu się światu; tak się i dziś widzi, a z biegiem czasu coraz lepiej, że jeden tylko Kościół posiada zasady, mogące zachować i zbawić społeczeństwo, a są niemi: poszanowanie władzy, hamulec na zbytnią swobodę, obowiązek posłuszeństwa, wiekuiste prawa rodziny i własności. Zaklinam cię, ktokolwiek jesteś, odpowiedz mi: czy potrzebne są te zasady? czy można żyć bez nich? A któż je dziś wyznaje, kto ich naucza, kto może nakazać szacunek dla nich? Może filozofia? może policja? a może armia? A jednak czy możecie się spodziewać pokoju, wielkości, bogactwa, trwałego porządku w społeczeństwie, bez odbudowania tych wielkich podwalin? A jakże myślicie dokonać tego odbudowania, jeżeli nie chcecie już Religii? Przyznajcie, że gdyby Kościół nie był od tylu już lat wyszydzany, prześladowany, uważany za wroga i krępowany w stosowaniu swej boskiej siły, te tak potrzebne prawdy nie zbladłyby tak w duszach, a my uniknęlibyśmy klęsk niezmiernych. Tak, im dalej się idzie, tem prześlenia stają się straszniejsze, a Kościół okazuje się jedyną ostoją społeczeństw, jedyną karmią dusz, jedynym hamulcem dla zbłąkanych lub przewrotnych, jedyną ochroną przed burzami i spodleniem wieku. Jedyna to arka w chwili obecnej, gdzie się ludzkość schronić może.

Kiedy mi smutno, staje mi często na myśli potop, oraz arka. Niebo wówczas było tak ciemne, jak teraz; wielkie, ołowiane chmury rzucały cień na ziemię. I powiedział Bóg Noemu, drugiemu ojcu rodzaju ludzkiego: „Oto ziemia cała pełna jest nieprawości. Wnijdź do arki i zabierz ze sobą wszystko, co jest potrzebnem dla zachowania odnowienia ludzkości. *Ut salvetur semen super faciem universae terrae*“ [1]). A im gwałtowniej wiały wichry, im wyżej podnosiły się fale, tem wyżej wznosiła się arka. Pod naporem burzy wzniosła się ona do szczytnych wyżyn. *Multiplicatae sunt aquae et ele-*

---

[1]) Genes. VII, 3.

vaverunt arcam in sublime [1]). Wody pieniły się u jej ścian, wichry dęły nad jej wierzchołkiem. A ona szła ciągle w górę, spokojna, pogodna, niosąca ludzkość, przyszłości zasiew. *Et salvetur semen super faciem universae terrae.* Ile też czasu trzeba było na zbudowanie tej arki? Czterdzieści lat wiary, wśród szyderstw i najgrawań. Z wiarą do niej wchodzono, z wiarą w niej przebywano. Od czasu do czasu wypuszczano gołębicę, posłanniczkę pokoju. Wracała często, nie mając gdzie spocząć. Podwajano wtedy wiary. Czasem spoczęła gdzieś chwilkę i przynosiła zieloną gałązkę. Wówczas radość napełniała serca. Bóg więc jest wiernym swej obietnicy; a zatem nic straconego. Ziemia zakwitła na nowo, ukażą się drzewa, przyjdą żniwa, odbudują się ołtarze i nowa ludzkość wyjdzie z tego kataklizmu lepszą, z sercem młodszem, czystszem i tkliwszem dla Boga.

Oto symbol, pod jakim Bóg ukazał swą Religię, swój żyjący Kościół, oczom zdumionego XIX stulecia. O, jakież dęły wichry, jakie burze! Wichry wywracające trony, obalające cesarstwa! A cóż przez ten czas czyni Religia? Wznosi się wyżej. *Multiplicatae sunt aquae et elevaverunt arcam in sublime.* A wznosząc się, unosi z sobą i przechowuje dla społeczeństw zasady i cnoty, które jedne dać im mogą życie. Oto gdzie jesteśmy. „Przyszła godzina zrobienia stanowczego kroku. Blizkie już są przepowiedziane czasy. Bóg ostrzegł znowu Noego. Trzeba będzie albo być z ludźmi w potopie, lub z człowiekiem w arce“ [2]).

Zauważcie tutaj względność Opatrzności. Zdawałoby się, że Bóg chciał, by nic nam nie przeszkadzało znaleźć w Religii potrzebną pomoc, bo oto rozpraszają się ostatnie chmury, mogące jeszcze zaćmić jej czoło. Nietylko już wznosi się ona ponad burze; wznosi się i ponad stronnictwa. Uduchowina się, jeżeli można się tak wyrazić. Opuszczając burzliwą sferę spraw politycznych, wznosi się w sferą wyższą, pogodniejszą, stalszą, w sferę spraw boskich.

Tego to postępu życzył jej znamienity Toequerille. „Gdyby Katolicyzm, pisał on, zdołał nakoniec rozbroić, ustrzedz

---

[1]) Ibid., 17. [2]) List Aleksandra Dumas'a syna, 12 czerw. 1871.

nienawiści polityczne, które wzbudził, nie wątpię, że tensam, duch czasu, który mu jest napozór tak przeciwny, obróciłby się na jego korzyść i zapewnił mu nowe zdobycze“ [1]).

Postęp ten już zaczynany, przerywany, źle kierowany, dokona się wreszcie. Kapłan zrozumie, że powinien należeć nie do jednego jakiegoś stronnictwa, ale do całej ludzkości; że szaleństwem jest z jego strony poniewierać swą nieśmiertelną szatę w tym prochu, którym wiatr pomiata, i łączyć swoje wiekuiste kapłaństwo ze znikomemi potęgami, dziś zwyciężkiemi, jutro zwyciężonemi, które go potrzebują, a odwdzięczają się za poparcie—kompromitując go. Cofnie się do wnętrza swoich świątyń. I tam odzyska czystość rąk, tkliwość serca, pogodę czoła, i stawać się będzie coraz bardziej Pasterzem dusz.

Nie idzie zatem, żeby sprawy doczesne, przyszłość ziemska jego ojczyzny, miały przestać go interesować. Jakżeby to być mogło? Czyż nie straciłby wtedy na piękności i szlachetności? Będzie więc zawsze kochał czule swą rodzinną ziemię. Ale wiedząc, że tu, na tej świętej dla niego ziemi winien mieć dla wszystkich kolebek błogosławieństwo, dla wszystkich grobów łzy i modlitwy, dla wszystkich boleści pociechę, wzniesie się ponad przemijające stronnictwa. Stojąc sam na niewzruszonej opoce, będzie wskazywał szukającemu dróg społeczeństwu cel, do którego powinno zmierzać. Drżąc ze wzruszenia i niepokoju wskazywać mu będzie niebezpieczeństwa, szkopuły, przyczyny wstrząśnień i zamieszek; będzie je przynaglał do podążania naprzód, dopomoże mu wprowadzić w czyn tu na ziemi wolność, braterstwo, równość i postęp; a wśród tych szlachetnych usiłowań o ugruntowanie w sprawiedliwości królestwa ziemskiego, nauczy je nie tracić z oczu Królestwa niebieskiego.

Oto czem stawać się będzie coraz bardziej Religia. Będzie się ona unosiła nad zdziwionymi i wdzięcznymi ludami nietylko jako arka, która w potopie chwili obecnej chroni nasienie przyszłości: ale jako współczujący anioł stróż zagrożonych dusz i społeczeństw.

---

[1]) *De la Démocratie en Amérique*, tome III. p. 48.

Choć więc smutnemi są czasy, obok choroby widzimy i lekarstwo. Z jednej strony społeczeństwo w rozstroju, zagrożone jego podwaliny, zaniepokojone i chore dusze; z drugiej—religia, nabierająca hartu w ogniowej próbie, nosząca aureolę pokoju na czole a nieśmiertelne obietnice i boskie pociechy w dłoniach. Trzeba więc tylko zbliżyć do ust chorego uzdrawiającą i zbawczą czarę, aby go zbawić i uleczyć.

Wzdraga się on, coprawda. W samej Francji jest obecnie wielu ludzi, którzy łamią sobie głowę nad tem, jak się wydźwignąć z toni, nie wracając do Religii. I to właśnie, że ich marzenia nie dadzą się urzeczywistnić, czyni chwilę, którą przeżywamy, tak uroczystą i tak straszną. Trzeba zginąć, albo powrócić do Boga. „Ta przełomowa chwila, mówi O. Lacordaire, w której wybierać potrzeba między prawdą a fałszem, dobrem a złem, zawyrokuje o losie ogółu. Jeżeli sześćdziesiąt wieków czynnego wdania się Opatrzności zahartowało dostatecznie człowieka, by się mógł oprzeć trawiącej go truciźnie, trzeba oczekiwać najwznioślejszego z cudów, zmartwychwstania. Jeżeli przeciwnie, nasza osłabła inteligencja nie pozna pozostających nam jeszcze środków ratunku, albo, chociaż pozna, nasza wola nie stanie na wysokości obowiązku, możemy spodziewać się jedynie ostatniej uciechy pychy zadowolonej z odtrącenia życia“ [1]).

Ostatniej uciechy, lub ostatniej boleści, boć społeczeństwa, jak ludzie, kończą zwykle we łzach!

Wszystko więc zależeć będzie od lat, które mamy przed sobą. Wiek ten mógłby jeszcze skończyć chwalebnie; ale może skończyć haniebnie. Zaczął się on niespodzianym rozkwitem geniuszu, wymowy, poezji, nauki. Wszystkie dary zbiegły się u jego kolebki. Jakiż będzie jego koniec? Czy odnajdzie w ostatnich chwilach dary pierwszych lat swoich? Czy też zgaśnie w poniżeniu bezbożności i materjalizmu, w ostatnich konwulsjach wojny domowej? Wszystko zależy od pytania: Czy powróci do Boga? Zważcie, o wieki: *Et nunc, reges, intelligite.* Nadchodzi chwila dania Bogu i religii takiego świadectwa, jakiego nigdy nie dano od początku chrześcijaństwa. Jeżeli

[1]) Lacordaire. *Dzieła*, t. V, str. 308.

się będzie uparcie odtrącało Boga, będziemy świadkami krwawego końca. Jeżeli przeciwnie, chore nasze społeczeństwo wyzna swe błędy i z łoża boleści zwróci ku Bogu błagalne wejrzenie, schyłek jego opromienionym zostanie czemś w rodzaju wskrzeszenia Łazarza.

Wyznaję, że smutek ogarnia mnie nieraz na widok chmur, zaciemniających widnokrąg, i na myśl o wielkości zła. Ale czyż ludy, dzięki tej kropli krwi Chrystusowej, która płynie w ich żyłach, nie przestały być nieuleczalnymi? Żaden z nich nie umarł; kilka zmartwychwstało; przywrócił je do życia Chrystus, czyniąc uczestnikami bolesnej tajemnicy swej męki. Tego oczekuję i teraz. Bóg nas nie opuści; przywiedzie nas do Niego nieszczęście.

Wiek XVIII rozebrał, że tak rzekę, chrystjanizm na części; każdej prawdzie przeciwstawił błąd, będący jej zaprzeczeniem. Oto smutna spuścizna, jaką nam zostawił. A oto, co teraz nastąpi. Obok każdego z naszych błędów ujrzymy otwierającą się ranę; na każdą ranę będziemy zmuszeni poszukać lekarstwa. Będziemy próbowali, robili omyłki, zanim trafimy na właściwe. Cierpienie nam je wskaże. A kiedy już będą odnalezione wszystkie leki, okaże się, żeśmy sami, o tem nie wiedząc, odbudowali chrystjanizm. Wiek XVIII burzył go, śmiejąc się; my go odbudujemy, płacząc. Długa to może droga, ale kto wie? kiedy dusze powrócą do prawdy tą krwawą drogą, może nieprędko ją porzucą.

Już teraz ciekawe wskazówki pozwalają przewidzieć, jaki będzie proces powrotu do zdrowia. Nikt nie zaprzeczy, że arystokracja francuska wieku ostatniego była bardzo niereligijną, podczas kiedy inne stany przechowywały dawne wierzenia, wraz z poszanowaniem obyczajów. Każdy też przyzna bez trudności, że w naszych czasach Religia odzyskuje swój wpływ wpośród potomków tejże samej arystokracji, a tymczasem niewiara szerzy się w średnich i niższych klasach społeczeństwa. I oto rodziny najbardziej wówczas sceptyczne, stały się obecnie najprzykładniejszemi.

Otóż nie mogę się oprzeć myśli, że kiedy rewolucja, „która nie dobiegła jeszcze kresu“, wyda wszystkie swoje owoce, analogiczne fakty powtórzą się w mieszczaństwie. Wobec lu-

du bez steru i hamulca, bo bez religii, mieszczaństwo, zagrożone w swej własności, będącej owocem uczciwej pracy, i w swem stanowisku, przejrzy, jak niegdyś szlachta. Oświeci je nieszczęście. Zrozumie, że lud bez Boga jest strasznym, ale że lud nie może mieć religii, jeżeli jej nie mają wyższe klasy. Pozbawione spokoju i bezpieczeństwa, nie śmiejące spojrzeć w przyszłość, oczekujące w każde lat kilkanaście nowych katastrof, zwróci ono oczy ku Niebu. I wnukowie dzisiejszych mieszczan, ludzi żyjących bez Boga i modlitwy, bez ołtarza i obrzędów, staną się szczerymi chrześcijanami. A kiedy niebezpieczeństwa i nieszczęścia płynące z niewiary przyprowadzą do Boga klasy stojące u steru, te pociągną lud za sobą, a wtedy blizkiem już będzie ocalenie.

Powiedziałem, że na to długiego potrzeba czasu; tak się przynajmniej zdaje, ale nie trzeba nic z góry przesądzać. Przebywamy obecnie przesilenie, a chorym dosyć na nie kilku godzin niekiedy. Bo i czegóż potrzeba, żeby nas ocalić? Żywego i potężnego porywu wiary, religijnego i moralnego przebudzenia się klas rządzących. Czyż Bóg nie może nam dać tej łaski? Szczególnem jest to, że zarówno intuicja umysłów wyższych, jak i instynkt proroczy mas, zdają się zapowiadać taki zwrot w dziejach świata.

„Skąd można wiedzieć, powiada de Maistre, czy wielki przewrót moralny już się nie rozpoczął? Niema może w całej Europie człowieka prawdziwie wierzącego, któryby w chwili obecnej nie oczekiwał czegoś nadzwyczajnego. Czyż to ogólne przeczucie rzeczy wielkich nie ma swego znaczenia?... Więcej niż kiedykolwiek oczekujmy w gotowości doniosłego wypadku w życiu religijnem, ku któremu zbliżamy się z szybkością, zdumiewającą wszystkich myślicieli“.

I pisarz proroczy spostrzega jedną z cech tego przyszłego stanu. „Wszystko zapowiada jakąś wielką jedność, ku której zdążamy szybkim krokiem“.

Mówił to wtedy, kiedy jeszcze nie przypuszczano nawet, że ziemia cała może być połączona za pomocą elektryczność A jako środek wskazuje odrodzenie religijne. „Zbliżamy się, powiada on, do największej epoki religijnej... Zdaje mi się, że każdy prawdziwy filozof musi wybierać pomiędzy dwiema hy-

potezami: albo że się utworzy nowa religia, lub też, że Chrystyanizm zostanie odmłodzony w jakiś nadzwyczajny sposób“ [1].

Wszystkie wielkie umysły, a co dziwniejsze, głosy tajemne ogółu, przepowiadają to przebudzenie religijne, ten blizki tryumf wiary i religii. „Ujrzymy, mówi uczony historyk, nowy zwrot w dziejach Chrystyanizmu, który skupi dokoła niego wszystkich chrześcijan i nawróci nawet niedowiarków“ [2]. Tego zaś zwycięzkiego zwrotu, o którym mówi i inny głęboki filozof, dokona Bóg nie ręką ludzką, ale niepokonaną siłą wydarzeń: „Jedni przypisują mu doniosłość polityczną, inni — społeczną; ja spodziewam się po nim bardzo prostego wyniku teologicznego: fakty dowiodą upadku człowieka. Reszta przyjdzie sama.

„Okaże się, że zło jest w naturze ludzkiej. Trzeba będzie postawić sobie pytanie, skąd ono pochodzi... Przewrót ten sprawi to, czegoby nie sprawili wszyscy heretycy, filozofowie i prawodawcy wzięci razem: wprowadzi Chrystjanizm w życie społeczne. Zbliżamy się do przewrotu w duszach, któremu podobnego nie było od początku chrześcijaństwa“ [3].

A przewrót ten, „ta jedność w wiedzy i wierze, druga cecha tego przebudzenia, donioślejszą będzie w swych duchowych wynikach, mówi pewien historyk filozof, niż odkrycie drugiej półkuli, albo prawdziwego układu świata, lub jakiekolwiek inne“ [4].

„Chrystyanizm, pisze znowu Chateaubriand, wydaje się dziś pogrzebanym, albo będzie miał zmartwychwstanie swoje i stanie się fundamentem, na którym się odbuduje po upływie paru stuleci stare, rozkładające się obecnie, społeczeństwo“ [5].

Ze wszystkich przesileń moralnych, umysłowych, religijnych i społecznych, to tutaj najbardziej chyba jest przewidzianem i przepowiedzianem. Ale któż zgadnie, jak się ono dokona? Może nawał cierpień wywoła w ludzkości sił-

---

[1] De Maistre, *Soirées de St.-Pétersbourg*. Soirée X.
[2] Schlegel.
[3] Saint — Bonnet, *Des Temps présents*, XXV.
[4] Ranke.
[5] *Mémoires d'outre-tombe*.

niejszy zwrot do wiary. Może potrzeba będzie, żeby Kościół i społeczeństwo były objęte w tejsamej ofierze całopalnej i zjednoczyły się pod ciosami tychsamych zniewag. Może wtedy dopiero znikną uprzedzenia, kiedy Kościół ucierpi za społeczeństwo, zasłaniając je swem ciałem, a ginące społeczeństwo zmuszonem będzie schronić się w objęcia Kościoła. Może ten Bóg, chcąc uratować społeczeństwo, rozświeci Religię nowym blaskiem. Wszakże to On położył kres trzem smutnym i ponurym wiekom katakumb tym rozbłyskiem światła, który nosi nazwę czwartego stulecia, stulecia Atanazych, Chryzostomów i Augustynów; On zatrzymał Europę na skraju przepaści po krwawych zapasach Reformy—Soborem Trydenckim, dla przeprowadzenia którego wzbudził takich Karolów Boromeuszów, Ignacych i Franciszków Salezych; On, ulitowawszy się szczególnie nad narodem Franków, dał przez nich światu największy wiek religijny i moralny, wiek Bossuet'a, Pascal'a, Malebranche'a, Fénelon'a, Corneille'a, Racine'a, Kondeusza, Ś. Wincentego a Paulo, te wszystkie znakomitości w jednej połączone wierze: czemużby nie miał zgotować dziś nadzwyczajnego lekarstwa wobec niezmierzonych klęsk naszych? Czyż geniusz Francji tak już zamarł, że nie może ożyć? Czyż jej serce już nie bije? Dlaczegóżby Bóg nie umiał jej wskrzesić i wyprowadzić z jej łona ludzi, których potrzebuje społeczeństwo i którzy jedynie uratować je mogą?

Oto com sobie mówił będąc obecnym trzeciemu posiedzeniu Soboru powszechnego, który miał być przerwany, jak i Trydencki, ale który się, jak tamten, zakończy z chwałą. Myślałem o tym wieku niespokojnym, burzliwym, chorym, którego jestem dziecięciem; o tych tumanach fałszywej wiedzy, materjalizmu i bezbożności, którymi tak niezmordowanie usiłują zaćmić szlachetny jego umysł; o wypływającej stąd słabości serca i woli; o tych dwóch ludach walczących w łonie Francyi, tej nieszczęśliwej matki; o tych tak szczerych ale i tak słabych pragnieniach powrotu do Boga; o tylu duszach zbolałych, o tylu rodzinach bez szczęścia, o tylu grobach bez pociechy! A myśląc o tem, widziałem, zasiadających w spokoju niewzruszonym, w pogodnej pewności lat, dawnych biskupów, pasterzy, ojców ludzkości. Przybyli oni

tam z Europy, Afryki, Ameryki, z wysp Oceanii. A cóż oni mówili? Mówili, jako wstęp do jeszcze świętszych orzeczeń, że jest Bóg, że jest dusza, że dla ich złączenia ze sobą istnieją nieśmiertelne spójnie. Mówili, że jest wiara i rozum, nie rozdzielone walką, ale zgodne, jak rodzeństwo; że jest wieczność i święte nadzieje na pociechę dusz, którym nie wystarcza ziemia. Oto, co mówili oni. A kiedy starcy ci, przedstawiający wraz z mądrością niebieską, mądrość Europy, Ameryki, Wschodu, całej zatem ludzkości, wypowiedzieli te uspokajające i wzmacniające prawdy, cała bazylika rozbrzmiała radością i głosy wszystkich wiernych złączyły się z głosami biskupów, odpowiadając sobie jakby dwa chóry niebieskie. A podczas kiedy się to działo, miałem nad głową wspaniałe sklepienie Michała Anioła, pod stopami prochy świętych Piotra i Pawła, a przed sobą Piusa IX i zgrupowaną dokoła niego całą ludzkość w najszanowniejszych swych i najlepszych przedstawicielach. I wszystkie moje smutki rozwiały się jako cień przelotny. Wielka nadzieja przeniknęła serce moje i widziałem już w duchu blizkie i nieuniknione połączenie, dążącego do prawdy, cierpiącego nad jej brakiem wieku i posiadającego tę prawdę Kościoła.

II.

Te myśli i te nadzieje oderwały nas kilka lat temu od drogich nam studjów hagiograficznych, i budząc szlachetną ambicję ułatwienia naszemu stuleciu zbliżenia się do Boga, skłoniły do ułożenia tej apologii Chrystyanizmu; one też wskazały nam, poniekąd nawet narzuciły metodę, jakiej się tu trzymać zamierzamy. Dalecy jesteśmy od tego błędnego mniemania, że jest tylko jeden sposób i jedna forma przedstawienia Chrystjanizmu. Święty Piotr, dyktując Ś. Markowi Ewangelię przeznaczoną dla Rzymian, nie ukazał im Chrystusa poprzedzonego proroctwami, jak to był uczynił Ś. Mateusz, piszący dla Żydów: opuścił nawet piękne sceny Zwiastowania, Narodzenia, Nawiedzenia, któreby nie wzruszyły starych Rzymian,

aczkolwiek później odmalowane wykwintnem piórem Ś. Łukasza, zachwycały Greków. Ludowi hołdującemu potędze i sile przedstawił Chrystusa już trzydziestoletniego, poprzedzonego przez surową postać Jana Chrzciciela, promieniejącego dostojnym i królewskim majestatem Boga-Człowieka, najwyższego Pana natury, złych duchów i ludzi, i dzięki temu mistrzowskiemu wzięciu się do rzeczy założył Kościół Rzymski; dając tem przykład wszystkim apologetom przyszłości, jak się powinni starać poznać stan umysłów, by módz im przedstawić prawdę pod kątem widzenia najlepiej przystosowanym do ich usposobienia. Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu; trzeba umieć wybrać tę, która odpowiada najlepiej duchowi wieku i którą najsnadniej trafić do umysłów i wskazać im prawdę.

Tymczasem dosyć jest rzucić okiem na wiek XIX, ażeby zobaczyć, jak mało się o to troszczyła metoda apologetyczna, będąca od dwóchset lat w użyciu. A oto jaką była. Przedewszystkiem wystawiano słabość ludzkiego umysłu, niedołęstwo rozumu zostawionego samemu sobie, jego skażenie przez dumę i występki. Jakaż to zarozumiałość chcieć z tak słabemi siłami samemu dojść prawdy! Jaki ogrom niepewności i błędów! Ile sprzeczności i jaka słabość! W ten to sposób usiłowano poskromić i opanować człowieka, żeby go przywieść do stóp prawdy. Wtedy przeprowadzano go poprzez wszystkie filozofie: wszędzie stracony trud, sprzeczność i nierozwikłane zagadki; potem poprzez wszystkie religie: tam jeszcze gorzej; potworne błędy we wszystkich świątyniach, uświęcane, czczone występki na wszystkich ołtarzach. Trzeba wyjść stąd mówiono; wyjść coprędzej z tej ciemnej otchłani bez powietrza i światła; a ponieważ człowiek nie jest mocen znaleźć prawdę, niechże przyjmie ją z ręki Boga, który mu ją dał jako równoważnik jego słabości i hamulec jego namiętności. Potem, przed znużonym próżnemi temi poszukiwaniami człowiekiem, wyliczano tytuły religii: jej starożytne i stwierdzone Bożą ręką dyplomy; cuda i proroctwa, będące jej fundamentem; natchnione księgi, zawierające słowa samego Boga; i umieszczoną przezeń na niewzruszonej opoce wysoką i nieomylną władzę Kościoła, któremu wykład tych słów jest dowierzony. Tam, i tylko tam, mógł szukać prawdy rozum

ludzki. Temu tak upokorzonemu dotychczas człowiekowi pozwalano nareszcie otworzyć oczy, dotknąć ręką podwalin tej budowy i przekonać się o ich mocy. Bo raz uznawszy prawdę Chrystyanizmu, przekonawszy się o jego prawach do czci i uznania, nie było już powodu rozprawiać, spierać się, badać. Bóg przemówił, zamilcz więc marny rozumie ludzki. Trzeba wierzyć i wielbić.

Taką jest metoda używana od dwóch stuleci. Zawdzięcza ona początek swój wiekowi XVI, w XVII, została udoskonaloną, i dziś trzyma się jej wiele jeszcze umysłów. Nie przechodzi nam też przez myśl zaprzeczać jej trafności, ani zapoznawać usług, jakie oddała. Niezaprzeczenie wielka to także jest metoda. Jest w niej logika, a co rzadsze, wielkość połączona z prostotą. Harmonizowała ona z geniuszem Pascal'a, z mistrzowską powagą Bossuet'a; a ponieważ używali jej oni swojego czasu, pokazuje się, że odpowiadała ona pojęciu i usposobieniu współczesnych. Ten rodzaj Synaju, u stóp którego można było tylko uklęknąć w uznaniu swej słabości, i ku któremu popychał cię taki Pascal ze szlachetnem oburzeniem i płomienną piękności Archanioła, zmuszającego ognistym mieczem do pochodu słabego Adama; ta wspaniała góra, której wolno wprawdzie było badać podnóże, ale której ginący w obłokach szczyt, gdzie przebywa królowa prawda, pozostawał niedostępnym; ten, jednem słowem, absolutny, królewski Chrystyanizm odpowiadał najzupełniej potrzebom społeczeństwa współczesnego Ludwikowi XIV. To też nie myślimy podawać w wątpliwość ani jego surowej a wspaniałej piękności, ani nieprzepartej logiki. Mówimy tylko, że ta metoda nie czyni zadosyć wymogom naszej epoki. Nie uwzględnia ona jej potężnego naukowego prądu. Nie odpowiada zaciekawieniu, rozbudzonemu ścisłą obserwacją a uwieńczonemu tak pięknemi odkryciami. Zanadto jest apriorystyczną dla wieku, słusznie rozmiłowanego w metodzie doświadczalnej, której zawdzięcza tak doniosłe rezultaty. Przytem jest bardzo jednostronną. Nie przeczuwa nawet głębokich harmonii Chrystyanizmu, jego ukrytych piękności. Ugina czoła w posłuszeństwie, nie podnosi duchów i serc w rozradowaniu światła i w zachwycie miłości.

Innej więc wiekowi naszemu trzeba metody. Dla zrozumienia, jaką ma być ona, spróbujmy utworzyć sobie pojęcie o Chrystyanizmie.

Bóg utworzył wśród nas dzieło, które się z niczem pod względem piękności porównać nie da. A tworząc je dla niezmiernej rozmaitości dusz wszystkich miejsc i wszystkich czasów, przyozdobił je wszelkiego rodzaju powabami. Podnóże jego tkwi mocno w czasie, opierając się na proroctwach i cudach, szczyt kąpie się w potokach światła. Wymiary ma prawdziwie boskie. Prowadzi doń tysiące dróg. Wspaniałe i bite gościńce i małe cieniste ścieżki. Wszystkiemi jednocześnie można doń podążać. A więc modlitwą, nauką, poezją, miłością, czystością życia, radością nawet, a nadewszystko cierpieniem. Dla dojścia zaś nie potrzeba nawet wysiłku; wszystko nas tam wiedzie, chociaż niema może dwóch dusz, któreby jednakową przybyły tam drogą. Jeden dochodzi drogą szlachetnych zaniepokojeń rozumu, inny wzruszeń serca, lub smutków i rozczarowań życia, niektórzy także dzięki radościom i czystemu szczęściu domowego ogniska. Ale raz tam wszedłszy, żaden nie wychodzi. Wszyscy pozostają w pełnem i doskonałem zadowoleniu najserdeczniejszych pragnień i najwyższych dążności.

Bo zauważcie, na czem polega cudowność niedorównanej tej świątyni i w czem nieśmiertelny Twórca przeszedł samego siebie. W miarę, jak ją wznosił mistrzowską ręką, jak nadawał jej te piękne wymiary, ten doskonały rozkład, tę wysokość połączoną z głębokością, to światło i te piękne, urozmaicone drogi, przystosowywał ją do potrzeb duszy ludzkiej, żeby była nie krępującem ją jarzmem i wędzidłem, ale jej kolebką, jej ochroną, miejscem najczystszych jej radości, najlepszych pociech i wzrastającej piękności. Stwarzał je jedno dla drugiego: duszę dla świątyni, ale bardziej jeszcze świątynię dla duszy, i, ażeby tej ostatniej dobrze tam było, ustanowił między niemi najpiękniejszą harmonię.

Ale nie dość tego; brał on uczucia, pragnienia, porywy duszy ludzkiej i tworzył z nich żywe kamienie dla swego gmachu. Podnosił je jużto do godności sakramentów, już do wysokości dogmatów. Tak że chcąc znaleźć wyjaśnienie tych dogmatów, tych tajemnic tak nieraz dziwnych napozór, trzeba tylko się-

gnąć do własnego serca. A ponieważ wzniosła ta świątynia nietylko ludzką, ale i boską być miała, brał Bóg i własne swe pragnienia, potrzeby swego serca, bo ma serce, dążenia swej duszy, łączył je z ludzkiemi. Jednoczył i mięszał razem. Stapiał je na jeden spiż, tak, że stajemy mimowoli wzruszeni i zamyśleni przed tymi dogmatami, tymi sakramentami, temi instytucjami, gdzie jest Bóg, jest i człowiek; gdzie się czuje duszę ludzką, ale i więcej niż ludzką. Jakże możecie mówić, że dogmaty chrześcijańskie są dziwne, niezrozumiałe, że pozostaje tylko uchylić czoła i ugiąć kolana przed nimi? A szczególniej jak możecie mówić, że są to rzeczy obce zupełnie naturze naszej i dla upokorzenia człowieka przez Boga wynalezione? Zapewne, nie przenikam całkowicie tych dogmatów, ale czynię lepiej, bo je przeczuwam, marzę o nich, noszę ich zaród w najgłębszych tajnikach mej duszy. Nie są one niczem innem, jak najlepszymi porywami mej duszy, memi potrzebami, pragnieniami, aspiracjami, sięganiem do nieskończoności. Oto co przeczuwam i co widzę prawie jak na dłoni.

Nie wynika z tego, biorąc rzeczy bezwzględnie i metafizycznie, ażeby Bóg nie mógł dać nam dogmatów wziętych poza naturą ludzką i nie mających z nią związku, a w które jednak wierzyć bylibyśmy obowiązani na mocy najwyższego słowa, podającego je nam jako prawo. Mówię tu tylko, że Bóg tego nie uczynił: wszystko, co jest boską ustawą i objawioną prawdą, jest też instynktem, potrzebą, porywami i aspiracją naszej duszy. Ale gdybyście nalegali, powiedziałbym otwarcie, że nawet nie mógł tego uczynić. Bo wszak te dogmaty, te tajemnice do wierzenia nam podane nie mają w sobie nic sztucznego, ani też arbitralnego. Wynikają z istoty natury Boga; stanowią Jego jestestwo. A więc i nasze, bo Bóg stworzył nas na obraz i podobieństwo swoje. Wszystko co w nim jest światłem, w nas jest jego odblaskiem. Wszystkie rysy boskiego wzoru odnajdują się w naszej duszy, jak w kopii, ręką mistrza dokonanej. Tak, że dosyć jest wejść w głąb siebie, by odnaleźć te podane nam do wierzenia dogmaty, których dojrzeć w Bogu nie bylibyśmy w możności. Są one w nas w stanie przeczucia, a czasem nawet rzeczywistości, skończonej wprawdzie, jak my sami, ale zawsze szczytnej.

Odgadujecie z tych kilku słów cudowny ustrój Chrystyanizmu. Bóg go utworzył z natury boskiej i ludzkiej, złączonych ze sobą w sposób niewypowiedziany.

Rorate, coeli, desuper. Oto pierwsza geneza Chrystyanizmu. Zstępuje z nieba jako świetlane objawienie Bożego serca. *Aperiatur terra, et germinet Salvatorem.* A oto druga. Wyrasta z ziemi, jako boski rozkwit serca ludzkiego.

Bóg i człowiek harmonizują ze sobą i jednoczą się w religii harmonizującej z obydwoma.

I to jest, mówiąc mimochodem, niespożytą siłą Chrystyanizmu, tajemnicą nieśmiertelnej jego trwałości. Odbierzcie mu wszystkie zewnętrzne podpory, proroctwa, cuda; on się nie zachwieje. Usprawiedliwia sam siebie. *Justificata in semetipsa.* Jeżeli pod niektórymi względami przewyższa naturę ludzką, pod innymi, a nawet i pod temiż samymi, cudownie do niej przystaje. Tkwi korzeniami tak dobrze w nas, jak w Bogu; a najlepiej go określimy, kiedy powiemy, że wykwita jednocześnie z serca Boga i z serca człowieka.

Słyszę już, jak niektórzy oburzać się będą przeciw takiemu pojęciu o ustroju. Ależ, mój Boże, wszak takim jest to ustrój przyrody, Chrystyanizmu, rodziny, społeczeństwa, wszystkich tych wielkich instytucji, które Bóg dał nam jako schroniska, jako ostoje podczas krótkiego naszego przejścia przez tę ziemię.

Weźmy naprzykład przyrodę. Stworzona przez Boga, dla nas, ma cechy boskie, ale ma i ludzkie. Ten ogrom i ta pewnego rodzaju wieczna trwałość przyrody, te niezmierzone morza, te niewzruszone niebotyczne szczyty, panujące nad spokojnemi dolinami; to życie płynące wiecznie, przepełniające wszystko; i ta dobroć, życzliwość ziemi dla człowieka; ale nadewszystko ten wydzielający się z niej wielki spokój, równie kojący, jak spokój świątyni; czy w tem wszystkiem nie widzicie cech Boskich? Z drugiej znów strony, czy te liście, opadające jak nasze marzenia, obłoki pierzchające jak nasze złudzenia, drzewa, obnażające się jak nasze czoła, światła, gasnące jak nasze miłości, nie przypominają nam cech naszych? Natura jest więc podobną w tem do religii. Jest w niej coś z Boga, i coś z duszy ludzkiej. Jej tajemnice zdumiewają, jej

wielkości przytłaczają, ale jej harmonje zachwycają; i są pory, miejscowości, widoki, o których nie umie się zawyrokować, czy są utworzone na obraz Boga, czy też duszy. Są obrazem obojga.

To samo da się powiedzieć i o rodzinie. Ta potrójność w jedności, ta płodność w miłości i przez miłość, i wszystkie te prawa niewzruszone, powszechne, tajemnicze, wszystko zdradza obecność Boga i jest jego obrazem. Ale też któż nie wie, że rodzina wytryska naturalnie i samorzutnie z ludzkiego serca? Prawa jej ciężą tylko sercu zbłąkanemu lub słabemu; serce czyste wskrzesi ją zawsze.

Było to wielkim błędem XVIII wieku, że odgadując te cuda w przyrodzie i rodzinie, nie dopatrzył ich w społeczeństwie i uważał je za instytucję dowolną i sztuczną. Tak nie jest. Społeczeństwo, równie dobrze jak rodzina, jest boskiem i ludzkiem zarazem. Człowiek tworzy je na obraz i podobieństwo swoje. Ale poprzez wszystkie różnice czasu, klimatu, cywilizacji widnieje na niem piętno boskiego wzoru. „Bóg, powiada Bastiat, niemniejszą rozwinął dobroć, prostotę i wspaniałomyślność w mechanizmie społecznym, jak w niebieskim". Znaczy to, że wyrył tyleż głównych cech swoich na społeczeństwie, ile na przyrodzie.

Tak więc Bóg, dusza, natura, rodzina, społeczeństwo, wszystko to tworzy harmonijny zespół. Nie można wydobyć jednego dźwięku, żeby się nie odezwała cała gama. Jest to olbrzymia i melodyjna klawiatura, w której każdy ton brzmi zgodnie z innymi.

I to właśnie stanowi szczęście oświeconego chrześcijanina. Porusza się w pełnem świetle. Przebiega całą skalę istot żyjących, od atomu do Stwórcy, od nieskończenie małych do nieskończenie wielkich. Wszędzie spostrzega stosunki i podobieństwa, które go zachwycają. Za każdym krokiem otwierają się przed nim nowe widnokręgi; każdy widnokrąg nowe przynosi światło. A podziw na widok tych cudów, niemożność ogarnięcia ich myślą, wzruszenie, jakie mu daje śmiałość jego lotu, bezpieczeństwo, jakie odczuwa w łonie tych bezgranicznych przestworów, wszystko to daje mu du-

chowe zadowolenie, o którem żadna z nauk ludzkich nie może dać pojęcia.

Ale z tych słów niewielu możecie już sądzić o słabości apologetyki, używanej w wieku XVIII i wytłomaczyć sobie jej jałowość. Już wiek XVII zanadto lekceważył tę głęboką harmonijność wszechświata. Za wyjątkiem tego miłego marzyciela, który się zowie Malebranche, i tego śmiałego poety, który się nazywa Bossuet, którzy rozumieli tę stronę Chrystyanizmu, bardziej dzięki wielkości swego umysłu, aniżeli ścisłości swych badań, trzymano się tej zewnętrznej metody, o której mówiłem wyżej. Gorzej jeszcze było z nastaniem wieku XVIII. Tym, którzy się śmieli z tajemnic Religii, którzy je przedstawiali jako rzeczy dziwne, niedorzeczne, przeciwne naturze ludzkiej, umiano tylko odpowiedzieć: „Rozpatrzcie się w dowodach. Wszystkie te prawdy są gruntownie udowodnione". A filozofowie na to: „Co nas to obchodzi, że są udowodnione, kiedy są niedorzeczne". Trzeba było wejść śmiało w głębie Chrystyanizmu, odsłonić jego najistotniejsze prawa, wykazać ich zgodność z prawami duszy, rodziny, społeczeństwa, natury, porównać ze sobą wszystkie te światy, a z porównania tego wyprowadzić poglądy, któreby wzruszyły może wiek XVIII; bo choć tak płochy, zachował on był żywe poczucie piękności natury, łącząc z niem szlachetną namiętność do sprawiedliwości społecznej. Były to jakby dwie ratunkowe liny, któremi możnaby go było chrześcijaństwu powrócić.

Bóg chciał widocznie, ażeby ta głęboka apologetyka, która była chwałą Ojców Kościoła i wielkich teologów, św. Augustyna i św. Tomasza, tak zaniedbana przez wiek XVII, mimo *Elévations sur les Mystères* i *Conversations chrétiennes*, tak zupełnie i okrutnie brakująca wiekowi XVIII, była zachowaną dla naszego stulecia. Zabłysła niejako wraz z jego świtem. A dowodem, iż ono tej właśnie metody potrzebuje, jest to, że wszyscy nowocześni apologeci, a przynajmniej z gwiazdą na czole, nią się tylko posługiwali. Pierwszy wskazał jasno drogę de Maistre temi pełnemi doniosłości słowami: „Niema w Kościele katolickim ani jednej prawdy wiary, ani nawet powszechnego zwyczaju w rzeczach karności, któreby

nie miały swej racyi bytu w najgłębszych tajnikach natury ludzkiej". [1] Powiedziałby wszystko, gdyby był dodał: „I w najgłębszych tajnikach natury boskiej". W innem miejscu mówi: „Gdyby ktoś napisał wyczerpujący traktat o analogji dogmatów i zwyczajów katolickich z wierzeniami, podaniami i zwyczajami całego świata, byłoby to dzieło nowego rodzaju nie mniej od innych przekonywające. Podkopałoby ono wiele błędów u samej podstawy. Ale nie tu miejsce rozwodzić się w przedmiocie tak obszernym. Dosyć będzie gdy zauważymy, że Tertulian, mówiąc, że człowiek już z natury swojej jest chrześcijanmem, powiedział więcej, niż zamierzał". [2]

Znakomity autor ma słuszność. Ale jest w tem nietylko przedmiot dzieła; jest metoda, metoda wewnętrzna, zaniedbana od dwóch stuleci, a dla naszej epoki bezwątpienia najstosowniejsza.

Podczas kiedy de Maistre ją przeczuwał i w paru rozdziałach krótką, ale świetną dawał jej próbkę, Chateaubriand zastosowywał ją w całej pełni. Zamało chrześcijanin, ażeby dostrzedz szczytność dogmatów, ale artysta i poeta rozmiłowany w przyrodzie i odczuwający jej piękności, jak nikt w XVIII wieku; przytem młody, smutny, noszący w swej wielkiej a słabej duszy wszystko, co tylko jest burzliwego i bolesnego w sercu człowieka, poświęcił swe pióro, namiętniejsze, bardziej porywające, niż pióro Bernardin'a de St. Pierre i Rousseau'a, wydobyciu na światło piękności Chrystyanizmu. Ludzkość zadrżała i pochyliła głowę. Ten stary pomnik wieków gotyckich, ten Chrystyanizm tak ośmieszony, **w innem jej się ukazywał świetle.**

Pożałowania godnem było nie to, że w tej apologji został w cieniu całokształt prawd i tajemnic wiary. Autor nie był zdolny wydobyć ich na światło, a jego epoka nie dorosła jeszcze do ich zrozumienia. Ale jako współczesny tej rewolucji, która wstrząsnęła światem, karała marzycieli, naruszających podwaliny społeczne, mógł był rzucić niejakie światło na harmonię porządku religijnego z porządkiem społecz-

[1] de Maistre, *du Pape*, p. 316.
[2] Id., ibid., p. 30.

nym. W ostatnich swych latach odczuwał tę wielką lukę, unosząc żal do grobu. „Gdyby, powiedział, *Genius Chrystianizmu* był jeszcze do napisania, wobec dzisiejszych przekonań religijnych, napisałbym go całkiem inaczej. Zamiast przypomnieć dobrodziejstwa naszej religii w przeszłości, wykazałbym, że Chrystjanizm jest myślą przyszłości; że ta myśl zbawcza i mesjaniczna jest jedyną podstawą społecznej równości, i że ona jedna równość tę zaprowadzić może, bo przeciwstawia jej potrzebę obowiązku, któryby miarkował i regulował instynkt demokratyczny. Legalność nie jest dostatecznym hamulcem, gdyż nie jest trwałą. Czerpie swą siłę w prawie, a prawo jest dziełem ludzi, istot zmiennych i śmiertelnych. Dowiódłbym, że wszędzie, gdzie Chrystyanizm otrzymał przewagę, zmienił ideje, ustalił pojęcie tego, co sprawiedliwe, a co niesprawiedliwe, zastąpił zwątpienie pewnością i uwzględnił w swoich doktrynach i wskazówkach ludzkość całą.[1])"

Ten piękny program, który widział jasno umierający Chateaubriand, podjętym został przez Ojca Lacordaire. Odrzucając bladą i zimną metodę zewnętrzną, przyzywając na pomoc metodę bezpośredniej obserwacji i wnikania w głąb rzeczy, poświęcił całe swe życie, swą wielką duszę, swe wymowne pióro zbadaniu Chrystyanizmu i niektóre jego strony wyświetlił po mistrzowsku. Szkoda wielka, że krępowany swem audytorium, które uważał, niesłusznie, według mnie, za zbyt mało chrześcijańskie, nie ośmielił się sięgnąć do głębi i zbadać dogmat w całej jego pełni. Jak wielki orzeł, unoszący swe małe na skrzydłach, (lubił to porównanie), krążył przez ciąg lat dziesięciu około wzniosłego gmachu, rzucając za każdym ruchem skrzydeł świetlane błyskawice, a czasem, prawdziwe gromy, i zostawiając zawsze za sobą świetlaną smugę; ale oświetlił tylko najdostępniejsze części świątyni, a nadewszystko tę stronę społeczną Chrystyanizmu, która tyle mu dawała do myślenia w pełnej zwątpień młodości i przez którą powrócił do Boga. Części przybytku najtajniejsze i najpiękniejsze pozostały niestety w cieniu. Mówią, że i on umie-

[1]) Chateaubriand, *Mémoires d'outre-tombe*, t. VI.

rał również z żalem w duszy. „Gdybym miał teraz wygłaszać moje konferencje, powiadał, innej trzymałbym się metody". Ale niech spoczywa w pokoju na tej roli, którą uprawiał. Nie wszyscy mogą mieć nadzieję usypiać z tak pięknym plonem.

Czy mam wyliczać po nim innych apologetów XIX w., którzy chcąc bronić Chrystyanizmu, uznali za najlepszy ku temu środek wydobywanie na jaw jego głębokiej harmonji z tem, co w nas jest najlepszego. Zalicza się do nich taki August Nicolas, którego piękne *Studja filozoficzne* doczekały się dwudziestu wydań i były „jednym z najwspanialszych darów, jakie dobroć Boża mogła uczynić stuleciu [1])", a które byłyby jednak głębiej przeniknęły do dusz, gdyby był, jak mu to mówił z żalem O. Lacordaire, zgłębił gruntowniej wewnętrzną istotę dogmatów. Arcybiskup z Malines, ks. Dechamps, którego uczone prace apologetyczne, metodę o jakiej mówię posunęły znacznie naprzód, a który streścił całą polemikę religijną w tej przedziwnej formule: fakt zewnętrzny, fakt wewnętrzny i sprawdzenie jednego przez drugi. Biskup Gerbet, który napisał tylko dwa krótkie, lecz pełne namaszczenia dziełka: jedno o Pokucie, jako o przyjaźni, podniesionej do godności Sakramentu, drugie o świętej Eucharystji, jako o przebóstwionej miłości. Nareszcie Ozanam i ks. Perreyve, ukazani raczej chwilowo, niżeli dani ziemi, a których niedokończone dzieła pozostawiły w Kościele smętne a wzruszające wspomnienie.

Najlepszym dowodem, jak bardzo ta wewnętrzna metoda narzuca się naszej epoce sama, jest to, że wszyscy ci z pomiędzy współczesnych, którzy przedsięwzięli obronę Chrystyanizmu, tą a nie inną drogą się posługiwali, przemawiając do stulecia, synami którego byli i którego nawrócenia gorąco pożądali. Rzeczywiście odpowiada ona temu nastrojowi umysłów, który w czasach naszych wydał w literaturze poezję subjektywną, w filozofii metodę psychologiczną, a w naukach metodę obserwacyjną; szczególniej tę ostatnią, która nie jest wcale nową, zaczyna się bowiem od Sokratesa, którą Bacon

[1]) *Lettre du P. Lacordaire à M. Auguste Nicolas.*

upowszechnił, którą się cudownie posługiwał Kartezyusz, która stworzyła psychologię i fizyologię i jest zasadniczem prawem wszystkich nauk i warunkiem ich postępu. Zastosowana tu z odwagą, dobrą wiarą i cierpliwością, zaprowadzi nas może do wielu pięknych i wzruszających odkryć.

Nie wynika z tego, ażebyśmy mieli zaniedbywać dowody zewnętrzne. Czyż się zna daną katedrę, gdy się widziało tylko jej wieżyce i kolumnadę? Ale czyż można utrzymywać, że się ją zna, gdy się widziało tylko ołtarze? Zewnętrzną i wewnętrzną stronę zarówno widzieć potrzeba. Pomodliwszy się i oddawszy cześć w tajemniczym mroku otaczającym Święte świętych, trzeba wyjść z gmachu, obejść dokoła i zobaczyć go w całej wspaniałości na tej skale, na jakiej go umieściły: wiara, geniusz i natchnienie.

Jakże zresztą zaniedbywać zewnętrzne dowody w wieku, który im dodał nowego blasku, kiedy w nim autentyczność Starego Testamentu została stwierdzoną raz na zawsze, zadziwiającemi odkryciami starożytnych rękopisów; kiedy odnaleziono w Niniwie, w Babilonie całe rozdziały Biblii na kamiennych tablicach, które oglądać można w Paryżu i Londynie; kiedy postać uwielbiona Jezusa Chrystusa przybiera coraz większy blask w oczach krytyki, jak niebo gwiaździste, widziane przez teleskop; kiedy zamieszki społeczne dają uczuć coraz więcej potrzebę i niezbędność Kościoła; kiedy historja, nauki ścisłe, lingwistyka, filologia, przynoszą codzień na poparcie starej prawdy katolickiej niespodziane i niezbite dowody? Daleką też jest od nas myśl zaniedbywania dowodów zewnętrznych. Ale i tam chcielibyśmy zastosować naszą metodę. Nie wystarcza nam fakt goły. Chcemy go przeniknąć wzrokiem; obok zewnętrznego dowodu, jaki przynosi, chcemy postawić zawarty w nim dowód wewnętrzny. Jak ci średniowieczni artyści, budujący katedrę w Amiens naprzykład, którzy zmuszeni używać w nadpowietrznych swych budowlach filarów i ścian, zaczęli je wypróżniać, robić je prawie przeźroczemi; tak i Bóg stworzył przejrzystemi podwaliny Chrystjanizmu, filary i łuki, na których się wspiera; to też trzeba być nawpół ślepym, ażeby widzieć tylko ich grubą i materjalną stronę zewnętrzną.

Oto jest nasza metoda. Zowiemy ją wewnętrzną, w przeciwstawieniu do metody używanej od dwóch stuleci, którą nazwaliśmy zewnętrzną. Nie dlatego, powtórzmy to raz jeszcze, żebyśmy odrzucali tę ostatnią, ale że pragnęlibyśmy ją przeistoczyć w zastosowaniu. Nie uważamy też bynajmniej dwóch tych metod za przeciwne sobie: owszem, podtrzymują się one wzajem i od wieków osiemnastu przechodzą świat ręka w rękę. Są to dwie siostry bliźnie, nierówne co do piękności, lecz mające tosamo zadanie: pokazać nam świątynię. Jedna każe nam podziwiać jej budowę zewnętrzną, mocne podwaliny, ogromem wspaniałości zdumiewający całokształt; druga wiedzie nas prosto do jej wnętrza. Tamta wykazuje tobie starożytność i wiecznotrwałość Chrystjanizmu, jego proroctwa, cuda, wpływ dobroczynny, jednem słowem żywą czarę, zawierającą prawdę, i każe ci na ślepo klękać przed nią w podziwie; ta, śmielsza, podnosi pokrywę naczynia i daje skosztować boskiego napoju. Może się Chrystjanizm zatrzeć w pamięci, jeżeli się go zwiedziło z pierwszą tylko; ale gdy druga zawiodła cię do przybytku i uchyliła jego zasłonę, kiedy ustom twoim pozwoliła dotknąć boskiego owocu, gdyś widział wnętrze Chrystjanizmu, nie zapomnisz go już nigdy!

Naszą ambicją byłoby przeniknąć pod przewodnictwem tej a nie zaniedbując tamtej, w głębię przybytku, bo tam przebywa Bóg w świetle, wobec którego blednie wszystko.

III.

Ale dosyć już mówić o duchu i metodzie naszej pracy; zakończmy ten wstęp kilku słowami o jej planie. Plan ten staraliśmy się uprościć. W czterech krokach, wypływających logicznie jeden z drugiego, unikając niektórych drażliwych kwestji tamujących zazwyczaj drogę, działając

wielkiemi masami, wielkiemi oczywistościami, mamy nadzieję doprowadzić duszę dobrej woli do światła prawdy, do doskonałej praktyki zasad Chrystjanizmu.

Naprzód, w pierwszej księdze, nazwanej Wiara i Niewiara: piękności jednej, boleści drugiej; miejsce, jakie obie zajmują w sprawach ludzkich, tak prywatnych jak i publicznych. I już zaraz próbując naszej metody, nie będziemy patrzyli na Religię z zewnątrz, ale będziemy szukali jej ostatecznej racji bytu w Bogu i w człowieku. Z jednej strony człowiek, który tem wszystkiem, co ma najlepszego, umysłem, sercem, sumieniem, szuka, przyzywa Boga. Jest to jakby przypływ morza wciąż przybierający, w którym wszystkie nasze władze idą do Boga coraz wyżej wznoszącemi się falami. Z drugiej strony Bóg, który odpowiada człowiekowi, skłania się ku niemu, zniża. Bóg i człowiek, łączący się wzajem: oto Religia. A ponieważ jest ona z istoty swojej zarazem boską i ludzką, nic nie może obniżyć jej wartości; albowiem ani nauka, ani filozofia i historja, ani ruch przemysłowy, polityczny, społeczny, nie mogą jej postawić żadnego poważnego zarzutu. Owszem, każdy wiek nowe przynosi świadectwo, że poza tym świętym stosunkiem Boga i człowieka, dla tego ostatniego pozostaje tylko próżnia, niezadowolenie, niepokój umysłu, zwątpienie serca; a dla rodziny, społeczeństwa, ludzkości, tylko nieszczęścia i ruiny. Tyle zaś nasze czasy dostarczają tym dobroczynnym prawdom nowych, niezbitych argumentów, a z drugiej strony tak bardzo jesteśmy zatruci niewiarą, tak nam jest trudno pozbyć się jej zgubnego jadu, a tak tego potrzebujemy, że poświęcimy tej pierwszej księdze tom cały; szczęśliwi, jeżeli ci, co będą mieli cierpliwość przeczytać ją do końca, powiedzą sobie: „Prawda, człowiek potrzebuje religii. Rozum, sumienie, szacunek samego siebie, honor, dbałość o przyszłość, nie pozwalają mi żyć dalej bez religii i Boga".

Oto pierwszy krok, który nazywam pierwszą niezdarzoną prawdą.

Po dojściu tam, nasuwa się drugie pytanie. Człowiek potrzebuje religii, ale jakiej? Czyż nie wystarcza religia przyrodzona? Pojmuję przez to tę Religię, tylko co opisaną, w któ-

rej człowiek wznosi się do Boga czcią, prośbą, dziękczynieniem, a Bóg zstępuje niewidzialnie do człowieka pomocą. Czy potrzebną jest religia objawiona, zawarta w formułach danych przez Boga, jakaś zewnętrzna jej architektura, do której Bóg przyłożył rękę widzialnie i którą nakazał ludzkości?

Dawna apologetyka kładła szczególny nacisk na niedostateczność przyrodzonej Religii. Wykazywała niemożność poprzestania na niej dla jej niedokładności, niejasności i braku sankcji. Dowodziła, że w rzeczywistości nie wystarczała ona nigdy i starała się widokiem potwornych błędów, jakich nie zdołały uniknąć najogładzeńsze w świecie narody, widokiem strasznych rozprzężeń obyczajów, jako smutku i następstwa tych błędów, przygotowywać umysły do uznania potrzeby Religii pozytywnej, której istnienia dowodziła następnie na podstawie ksiąg świętych, a szczególniej proroctw i cudów.

Nie myślimy bynajmniej odmawiać tej metodzie gruntowności i logicznej ścisłości. Ale ośmielimy się wypowiedzieć nasze przekonanie, że są to drogi zbyt długie i uciążliwe, które wymagają znacznej odwagi i na których stają przed czytelnikiem zagadnienia trudne do rozwikłania. Człowiekowi wahającemu się, wątpiącemu każecie się przedzierać przez trzy mroczne puszcze proroctw, cudów i autentyczności ksiąg świętych:

Ibant obscuri sola sub nocte per umbram.

Napróżno go uspakajacie, mówiąc mu, że trudności metafizyczne, co do możliwości cudów i proroctw, że trudności historyczne co do ich pewności i prawdziwości, że skomplikowana kwestja autentyczności, wiarogodności ksiąg świętych są małej wagi, że trzeba niemi gardzić, jak próżnemi strachami. On się przeraża. Zaczyna walkę ze drżeniem.

Corripit hic subita trepidus formidine ferrum.

A iluż ich zatrzymuje się w zakłopotaniu przed tyloma zarzutami, i pomimo waszych zachęt iść dalej nie chce.

I pocóż zresztą prowadzić ich drogą tak długą i trudną, kiedy Bóg wszystko uprościł? Osiemnaście wieków temu w Jerozolimie zjawił się pewien człowiek. Żył. Nauczał. Umarł. I od tej chwili ludzkość, zdumiona tem, co w nim ujrzała,

pada przed nim na kolana. Czy ten człowiek jest Bogiem? Bo jeżeli Nim jest, jeżeli ustanowił religię, to cóż mówić o religii przyrodzonej? Gdyby nawet mogła wystarczać kiedyś, już dziś nie wystarcza. Jest Bogiem? Pozostaje więc nam tylko słuchać Jego głosu i przyjąć Jego Religię.

Należy więc zbadać, czy Jezus Chrystus jest Bogiem? Na tem polega wszystko. Trzeba przyjrzeć się Jego obliczu, rozważyć Jego słowa, rozpatrzeć Jego czyny, trzeba być przy Jego pierwszem i ostatniem tchnieniu, spytać Jego kolebki i Jego grobu. Bo od tego zależy nasze życie lub śmierć, nasza wieczność.

To jest drugi krok konieczny. I oto się okazuje, że jest to zadanie najpiękniejsze, a zarazem najprostsze i najłatwiejsze.

Po wielkiej oczywistości Religii jest druga, niemniej jasna, a jest nią — Jezus Chrystus. Czujemy, że człowiek musi mieć religię, ale nie wiemy jaką. Usuńcie na bok metafizyczne kwestje cudów i proroctw, stańcie wobec Jezusa Chrystusa, wobec niepodrównanej Jego postaci, Jego życia, Jego śmierci, Jego nocy, jak się staje przed słońcem i przypatrzcie się Mu.

A trzeba to podziwiać to święte nowość rzeczy starych, ten pęd harmonijny, przynoszący każdemu stuleciu rodzaj dowodów dlań najstosowniejszych. Dawniej w Chrystusie widziano tylko wcielonego Boga. Ludzkie piękności Jego umysłu, serca i charakteru nikły w blaskach Jego Bóstwa. Dzisiaj usunięto tę zasłonę, te obłoki kadzideł. Zachwalana wbrew zachwala krytyka widzi w Chrystusie człowieka jedynie. Sądzicie, że umorstwiły Jezusa? Piękniejszym się jeszcze okazał. Żaden wiek nie znał ludzkiej piękności Jego tak, jak nasz. Szukajcie u Bossueta, zaledwie ją przeczują. Szukajcie u św. Tomasza, św. Augustyna, u dawnych pisarzy; znajdziecie kilka pobożnych wzmianek, kilka mistycznych zachwytów na temat słów „Był najpiękniejszym z synów człowieczych". Nasz wiek zabrał się pierwszy do naukowych studjów nad piękności umysłu, serca, charakteru Jezusa Chrystusa. Wszyscy się do tego przyłożyli, protestanci zrównom niekiedy powodzeniem i równie wymownie, jak katolicy, a nawet niekiedy lepiej, i to nieraz w sposób, który za

dziwia i wzrusza zarazem. Dzieło jest zaledwie rozpoczęte, a już studja te wywołały rodzaj entuzjazmu dla osoby Jezusa Chrystusa w sercach tych nawet, którzy już nie mają wiary. Chrystus pięknością swą podtrzymuje w tych sercach słabnącą religię. A jeżeli w ostatnich latach występny romans, dziś już zapomniany, mógł na chwilę porwać niektóre dusze, to dlatego, że poprzez znieważki i świętokradzkie policzki, przebłyskiwał jeszcze jakiś cień tej niezrównanej piękności.

Przedstawieniu tej piękności w całym jej blasku poświęcimy księgę drugą. Pierwsza prowadziła powoli do uznania potrzeby Religii i ujrzenia jej cech znamiennych. Druga, gruntownem uzasadnieniem Bóstwa Jezusa Chrystusa, dowiedzie, że tą potrzebną religią nie jest Religia przyrodzona, że to Religia Chrystusowa, Chrystjanizm. Księga ta, zajmująca także cały tom, zatytułowaną będzie: *Jezus Chrystus*.

Z rozstrzygnięciem tej drugiej kwestji nowe się przed nami otwierają widnokręgi. Jezus Chrystus jest Bogiem wcielonym. Ale dlaczego i jak? Czy wiadome są tego powody? Jeżeli zadanu mógł podołać człowiek, pocóż Bóg? Jeżeli zaś Bóg był tam potrzebny, poco człowiek? Dlaczego Bóg Człowiek? W Jego życiu jest krew, są łzy. Jak to wytłomaczyć? Te oto i tysiące innych ciśnie się pytań. To cały Chrystjanizm. W orzeczeniu: Chrystus jest Bogiem, mieści się Trójca Święta, stworzenie świata, upadek człowieka, odkupienie, Eucharystja, czyli całe Credo, zarówno podstawy, jak i szczyty Chrystjanizmu.

Tym wielkim zagadnieniom poświęcimy naszą trzecią księgę. Zajmie ona, równie jak dwie pierwsze, tom cały.

Zapewne, nie jesteśmy, ani zdolni, ani godni poruszać tak doniosłe kwestje. Ośmielamy się jednakże obiecać tym, którzy podążą za nami, najpodnioślejsze rozkosze umysłowe. Widziane z zewnątrz, dogmaty te wydają się dziwne i ciemne; ale kiedy się je bada metodą wyżej wskazaną, kiedy się szuka ich pierwszych zarysów, niedoskonałych jeszcze, ale już tak pięknych w sercu człowieka, ażeby potem odnaleźć ich wzniosłe rzeczywistości w sercu Boga; kiedy się idzie od jednej z tych dwóch natur do drugiej, od kopji do oryginału,

widzi się wszystkie te cudowne tajemnice naszkicowane w jednej, wykończone w drugiej; nieprzenikalne tu, przysłonięte tam; jak tryskając z tych dwóch natur rozświetlają wszystko, tak w naukach, jak w sztukach i w każdym rozłazju spraw ludzkich: czuje się, że wszelka wątpliwość jest niemożebna i z tego bezpośredniego widzenia osiąga się światło, którego nic nigdy nie zdoła zasłonić, zaćmić a tem mniej zagasić. Trzecią tę księgę, w której naszą metodę sięgania do jądra kwestji postaramy się doprowadzić do ostatnich granic, nazwiemy *Dogmatami Wiary Chrześcijańskiej.*

Łatwo się domyślić, że nie tu koniec naszego zadania. Być wierzącym, być chrześcijaninem, to już wiele, ale nie dosyć. Trzeba być Katolikiem. Kościół więc będzie przedmiotem czwartej księgi. Wykażemy, że ze wszystkich społeczności, mieniących się być dziećmi Chrystusa, posiadaczami cennego skarbu jego nauki, Kościół Katolicki odpowiada tym roszczeniom. Przedmiot ten traktować będziemy, unikając spornych kwestji i walk niepotrzebnych. Czysty i spokojny obraz piękności Kościoła starczy, ażeby uniemożliwić wszelkie porównania. *Incessu patuit Dea.* On tylko jeden ma tę postawę królewską, ten sposób postępowania, zdradzający świadomość swej prawdziwości. Poprzestaniemy na przedstawieniu ustroju Kościoła, jego ześrodkowania w Rzymie, jego promieniowania na świat cały i tajemnicy tej jego żywotności, której żadne przewroty stłumić nie mogą. Będziemy się starali zbadać stosunek jego do tego zbiorowiska pojęć, uczuć i instytucji, które przyzwyczajono się nazywać nowożytnem społeczeństwem, a może z Boską pomocą uda się nam rzucić kilka jaśniejszych promieni na to trudne zagadnienie, tak dziś zadrażnione a temsamem tak ciemne. Czwartą tę księgę zatytułujemy: *Kościół.*

Jeżeli się nie mylimy mocno, to czytelnik po przeczytaniu tych wszystkich tomów, zrozumie, że winien życie Bogu; życie swego rozumu, serca, sumienia; że nietylko winien je Bogu, ale i swoim: swej rodzinie, ojczyźnie, ludzkości; że powinien oddać się na służbę prawdzie i dobru, żyć w zapomnieniu o sobie, w poświęceniu, modlitwie, czystości, żyć użytecznie, nie obawiać się śmierci, iść odważnie na spotkanie

wieczności. To jest ostatni krok, do jakiego postaramy się go zachęcić, oraz treść ostatniej księgi, która będzie nosiła tytuł: *Chrystjanizm w praktyce.*

I otośmy u szczytu rzeczy boskich w czterech krokach, którebyśmy mogli skrócić o wiele; nie leży to wszakże w naszych zamiarach, gdyż mamy wstręt, szczególniej w religji, do małych książeczek. Pragnie ich lenistwo, ażeby przerzuciwszy je w przeciągu paru godzin i nic nie znalazłszy, bo i cóż można znaleźć w tak krótkim czasie? mieć pozór do uspokojenia się i uśnięcia na nowo. Zresztą, nie piszemy ani dla ciekawych, ani dla próżniaków; piszemy dla chorych. A wszak z żadnej choroby niemożna wyleczyć w godzinę. Trzeba na to czasu i odwagi. A ponieważ ci, dla których piszemy, chorymi są w różnym stopniu, chcieliśmy, aby każda część naszego jednolitego dzieła tworzyła odrębną całość i mogła być dowolnie wybraną. Wszystkie te części są z sobą jednakże w związku i podtrzymują się wzajem. Są ustosunkowane w ten sposób, ażeby stopniowo przywieść najobojętniejszego nawet dla religji człowieka, do doskonałego życia chrześcijańskiego. Tak jest, dajcie mi człowieka o duszy odważnej, umyśle nieuprzedzonym, sumieniu prawem, sercu żywo czującem: a jeżeli się zgodzi iść za nami, choćby zapomniał wiary swego dzieciństwa, doprowadzimy go z pewnością i niezawodnie do pełnego posiadania prawdy. A w miarę odradzania się wiary w jego duszy, przez jakieś piękności, w jakimś zachwycie wznosić go będziemy powoli z sobą aż do uwielbienia i miłości dla Tego, który jest niewysłowiony w dziełach swoich!

Nie żebyśmy w tak wielkiem przedsięwzięciu liczyli na siły własne. Otośmy już przygnębieni i zmieszani na samą myśl o jego ogromie, o trudnościach wykonania, o zaletach umysłu, serca i duszy potrzebnych do wykończenia każdej z jego części. Już dla samego odtworzenia tego słodkiego i czystego krużganku, zowiącego się Religią, nie zanadto byłoby geniuszu takiego Fénélon'a lub Malebranche'a; nie zanadto Rafaela lub Fra Angelico dla odmalowania uwielbionej postaci Chrystusa, dla odtworzenia jej idealnej piękności: nie zanadto Michała Anioła lub Bossuet'a dla wykazania harmo-

nii wymiarów tej przedziwnej świątyni, zowiącej się Kościo-
em; nie zanadto Franciszka Salezego, ażeby nas prowadził
rudnemi lecz tak zawsze miłemi drogami cnoty. A oto my
chcemy sami zbudować cały gmach, mimo żeśmy niedorośli
lo tego podwójnie, bo ani talentem, ani, co straszniejsze—
duszą.

Wszystko prawda niestety, ale wesprze nas najwyższa Prawda. Ona, która przebywa chętnie na ustach dziecięcych, która posługuje się rzeczami nieistniejącemi dla zawstydzenia, a więcej jeszcze dla zbawienia istniejących; ona, która od lat tylu napełnia nasz umysł tak jasnem światłem i w tem już życiu uszczęśliwia nasze serce najwyższym urokiem swej niczem nie zmąconej obecności: ona umocni słabość naszą, ona popłynie z serca nie zasługującego, by ją posiadać, ale nią przepełnionego. Da nam szczęście odbicia na zewnątrz jasności, która jest w nas, jak te proste pryzmaty, te odłamki szkła spotykane często na polach, w pyle dróg, które, oświecone promieniem słonecznym, nabywają własności przesyłania go dalej, a nawet zwiększania jego blasku.

To też zwracamy się naprzód do naszych czytelników z prośbą, ażeby usterki pracy naszej przypisali nam samym, nie zaś Prawdzie; a następnie pośpieszamy zwrócić się do Kościoła Katolickiego, którego jesteśmy posłusznem dziecięciem, szczególniej zaś do świętego Kościoła Rzymskiego, matki i mistrzyni wszystkich kościołów, prosząc go o wybaczenie naszych błędów i braków, jakoteż o ostrzeżenie i sprostowanie mimowolnych omyłek, o ileby się nam takowe wymknęły.

A tym aktem synowskiej uległości nietylko spełniamy obowiązek i czynimy zadosyć potrzebie serca, będącej jednocześnie jego radością i zaszczytem, ale spodziewamy się w nim znaleźć spokój i bezpieczeństwo. Sąd ten, któremu naszą skromną pracę poddajemy, nie krępuje nas bynajmniej. Mamy przeciwnie żywe poczucie, że nam dopomaga.

Rozwiń więc skrzydła, duszo moja. Przeniknij w najtajniejsze głębie przybytku. Dosięgnij najwyższych jego szczytów. Patrz bez trwogi na najbardziej niezgłębione tajemnice. Odważ się nawet wzbić na niektóre niebezpieczne wyżyny,

na które nie ważyli się jeszcze inni. Nie obawiaj się. Czuwa nad tobą oko, widzące jasno. Ręka łagodna a silna, gotowa jest wesprzeć cię lub podnieść. Twoja to jest, Ojcze, Nauczycielu nieomylny wszystkich chrześcijan, któremu serce moje poddaje z radością wszystko, co tylko wyszło z pod mego pióra, albo kiedykolwiek wyjdzie!

Em. Bougaud,
generalny wikaryusz Orleanu.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

O prawdziwej naturze człowieka.

Jaką jest prawdziwa natura człowieka? Pytanie to postawił sobie Pascal na początku swego wielkiego dzieła, i tą nań dał odpowiedź:

Kiedy człowiek, mówił, przygląda się uważnie „przyrodzie w pełni jej majestatu“, błyszczącym milionom gwiazd ponad nami, „temu jaśniejącemu światłu, które jak wiekuista lampa oświeca ziemię;“ tym burzącym się na niej i ryczącym oceanom; całej tej nareszcie ziemi, tak z pozoru obszernej, a która mimo to jest tylko „rysem zaledwie dostrzegalnym w wielkim obrazie przyrody;“ a potem od tego wielkiego i wspaniałego widoku zwróci myśl na samego siebie,—może się słusznie czuć przygnębionym. Bo i czemże jest on w tym ogromie? Zaledwie przemijającym cieniem. *Sicut nubes... quasi fluctus... velut umbra...*

Ale to się tak wydaje tylko na pierwsze wejrzenie. „Bo przecież,—ciągnie dalej z dumą Pascal,—ten świat przedziwny nie zna siebie, a człowiek go zna. Trzciną jest on tylko najsłabszą w przyrodzie, ale ta trzcina myśli.“ Z tego małego zakątka świata, gdzie jest prawie niewidocznym, przejrzał i przeniknął gwiazdy; związał dwie deski, a zaprzęgając wichry do nich przepłynął na nich morze; zawładnął kulą ziemską, wykarczował ją, użyźnił, ozdobił; opasuje ją teraz żelazem, ażeby módz ją przebiegać tem pośpieszniej; a przyjdzie czas kiedy nawet przebieganie we trzy dni tak ogromnej przestrzeni nie wystarczy już tej istocie, jak cień przemijającej... *Sicut nubes, velut umbra.*

Ale co mówię? nie wystarczała mu ziemia nigdy. Nawet przed niezrównanemi naszemi odkryciami za małą mu była. O jego pierwszem na nią dumnem a smutnem wejrzeniu, tak mówi księga Genezy: *Adae vero non inveniebatur adjutor similis ei.* „Adamowi nie najdował się pomocnik podobny jemu“ (*Rozd. II, 20*).

A potem, gdy już Bóg dał mu towarzyszkę, do niego podobną, która miała ożywić jego samotność i pocieszać go ani w niej, ani w przyrodzie, ani w niczem stworzonem nie znalazł zaspokojenia swych pragnień, pełnego nasycenia duszy. Spojrzyjcie na tę szlachetną istotę, taką, jaka wyszła z ręki Boga, pełną zapału a niespokojną, czułą i smętną, dumną i wspaniałomyślną, czującą się być większą od wszystkich światów i pożądającą skrzydeł, ażeby gdzieindziej spocząć mogła. Przejrzyjcie wszystkie władze jej umysłu i serca i powiedzcie, czy choć jedna poprzestaje na ziemi, czy choć jedna prostą i przyrodzoną swą dążnością nie unosi jej ponad wszystkie rzeczy stworzone, ponad wszystkie firmamenty i gwiazdy, aż do Boga.

Oto jest prawdziwa natura duszy, dążenie, które stanowi jej istotę. Ale rzeczy tak ważnych nie można traktować pobieżnie. Dążenie to trzeba stwierdzić z naukowego punktu zapatrywania się, usunąć co do niego wszystkie wątpliwości; bo jeżeliby się okazało, że to tylko marzenie, to cóż po religii? Byłaby ona urojeniem tylko. Jeżeli przeciwnie, marzenie to okaże się rzeczywistością, prawdą, jeżeli istotą duszy jest dążenie do nieskończoności, to posiądziemy już pierwszy składowy pierwiastek religii. Wejdźmy w szczegóły bliższe, a ujrzymy już coś z prawdziwej jej natury.

I.

Rozpatrzmy naprzód jedną po drugiej wszystkie władze człowieka i zbadajmy ich przyrodzoną, prawdziwą dążność. Zacznijmy od rozumu.

Rozum jest to zdolność poznawania. Cechą jego jest niewypowiedziana potrzeba widzieć i wiedzieć; pragnienie niedorzeczne, czy też szczytne, nieskończonego światła. Nie było mnie wczoraj, nie będzie jutro. Rozumu zaledwie iskierkę posiadam. Zdawałoby się, że najmniejszy skrawek nieba, gwiazdka, kwiat jeden i powinny mi wystarczyć i zapełnić. Tymczasem nie. Chcę wszystko wiedzieć, wszystko przeniknąć; umysł mój ogarnia wszystkie czasy, miejsca, przestwory, wszystkie stworzone rzeczy; i jak ten poeta, wołający przed zgonem: „Światła, więcej światła!“ — po przewertowaniu wszystkich kart

jakiejś księgi, po dotarciu do dna wszystkich nauk, mówię chciwy i nienasycony: A dalej co? Oto umysł człowieka! Każcie mu zatrzymać się przed osiągnięciem nieskończoności,— unicestwicie go. A nawet, jeżeli dojdę kiedykolwiek do nieskończoności, czuję, że się i tam nie zatrzymam, że zawsze będę postępował naprzód, że nigdy nie nastanie chwila, w której powiem: „Dosyć już widziałem; złóż swe skrzydła, duchu mój; odpocznijmy.“ Nie, chwila taka nie przyjdzie nigdy. Podobnie, jak te wielkie okręty, które wypływając na pełne morze z rzek, gdzie ciasne brzegi tamowały swobodę ich ruchów, zdają się rozszerzać, rozwijają wszystkie żagle i przyśpieszają biegu, tak duch mój, przechodząc z niezupełnego i ciasnego widnokręgu do nieskończoności, nową, czuję to, rozpocznie drogę. A droga ta będzie mu zarazem odpoczynkiem, radością i chwałą, jedynym środkiem zaspokojenia niezmiernego pragnienia prawdy, dręczącego go na ziemi, które się w niebie powiększy jeszcze, ale go wciąż dręczyć nie będzie, bo będzie jednocześnie ciągle odnawiane i wciąż zaspakajane.

Nieskończoność jest zatem koniecznym celem dążenia ludzkiego umysłu, jakby oceanem, w którym on dopiero w całej pełni żagle rozwinąć może. Ale to nie wszystko. „Jakże wielkim—powiada Fénelon,—jest umysł człowieka! Zasoby jego muszą go samego zadziwiać, muszą przewyższać jego oczekiwania. Pojęcia jego są powszechne, wieczne i niewzruszone.“ W istocie, zbierzcie całą uwagę w chwili, gdy się przedmiot jakiś oczom waszym przedstawi, i śledźcie czynność waszego umysłu.

Widzę ten przedmiot, porównywam go z innymi przedmiotami, wydaję o nim zdanie. Ku temu mam w sobie pojęcia ogólne, powszechne, niezmiennie stałe, które nazywam zasadami. Skąd wziąłem te zasady? Czy z przedmiotów, które widzę? Bynajmniej, gdyż nietylko są one rozleglejsze, aniżeli ten lub ów przedmiot, ale sięgają poza zakres wszystkich istot i przedmiotów. Są one wieczne, niewzruszone i niezbędne, podczas gdy cała natura jest skończoną i przygodną. Skądże mi więc przyszły, skoro nie od przedmiotów? gdzie są one? gdzie przebywają?... We mnie? Tak zapewne, ale nie ze mnie, albowiem mną samym rządzą. Czuję, że są wyższe odemnie. Zamiast módz kierować tym sądem, jestem owszem zależny od niego; jemu poddane są wszystkie moje myśli. Gdy się mylę, on nie schodzi za mną z drogi; gdy spostrzegę błąd, nie on potrzebuje wracać do mety; owszem nie myląc się nigdy, prostuje mnie i nawraca. Tak, że są we mnie jakby dwa rozumy: jeden jest mną, drugi nademną. Jeden—mój własny, niedoskonały, omylny, niepewny, zmienny, chwiejny, uparty i ograniczony; drugi—doskonały, wieczny niewzruszony, niewyczerpa-

ny i niepodzielny, chociaż się wszystkim udziela. Taki wniosek wyprowadził i Fénelon, wołał więc zwracając się do tego wyższego rozumu: „Gdzież jest ten doskonały rozum, tak mnie blizki a tak odemnie różny? Gdzie jest? Musi on być czemś rzeczywistem. Gdzie jest ten rozum nadludzki? I czy nie jest to Bóg, którego szukam [1])“ Zapewne, jest to Bóg, którego szuka ludzkość. Nie mogę zatem być umysłowo czynnym, bez zetknięcia się mego rozumu z Bogiem. A więc mój rozum jest związanym z wiecznością i jakby w nią wrosłym. To mówi i Platon: „Umysł ludzki korzeniem swym tkwi w nieskończoności.“

Bossuet wykłada tę samą myśl w sposób świetniejszy, z wymową, nadającą przedmiotowi ruch i życie. Bierze kilka najprostszych pewników: że całość jest większą od części, że prosta linia jest drogą najkrótszą między dwoma punktami. Pewniki te widzi zarazem w rzeczach i umysłach. Ale, powiada, przypuśćmy, że zginą wszystkie rzeczy, że unicestwione będą wszystkie umysły, – czy pewniki te zginą? Czyż nie przetrwają zagłady wszystkiego? Gdzież więc są, jeżeli nie w Tym, który przestać istnieć nie może? A skądże ja je mam, jeżeli nie przez rzeczywistą, żywą, nieustanną łączność z wiekuistą Istotą, w której one istnieją [2])?

Tak więc umysł ludzki, czy to kiedy dręczony żądzą wiedzy przebiega rzeczy stworzone i nie nasyciwszy się niemi, sięga w nieskończoność, czy też kiedy zatrzymuje się nad jakimś przedmiotem i do osądzenia go potrzebuje zapożyczyć u wiekuistego rozumu jego niewzruszonych pewników, – zawsze się porusza w nieskończoności. Nieskończoność jest dla niego zarazem morzem, na którem swe żagle rozwija, i ziemią, która go nosi. I dlatego dwa są tylko rodzaje wielkich umysłów: jedne skrzydlate, jak Platon, które jednym rzutem przebywają rzeczy stworzone i unoszą nas bez względu na jakiekolwiek granice nieskończoności; drugie spokojniejsze i zimniejsze, jak Arystoteles, poruszające się zaledwie, które patrzą na przechodzące przed nimi rzeczy stworzone, wydają sąd o nich, orzekają z przedziwną jasnością o ich stosunkach, zgodności, różnicy; bo ich ciasny, ograniczony i zmienny rozum wspomagany jest i ożywiany bezustanku przez wiekuistą mądrość. A raczej różnica umysłów leży tylko w ich sposobie działania. Jedne i drugie są wielkimi dlatego tylko, że potężniej od innych szybują w nieskończoności.

---

[1]) Fénelon, *Traité de l'existence de Dieu*, I-re part., ch. LII, LX.

[2]) Bossuet, *Traité de la connaissance de Dieu et de soi-même*, ch. IV, § 5. Patrz także jego *Logique*, liv. I, ch. XXXVI i XXXVII.

To też uważcie, że nawet w słowie ludzkiem jest nieskończoność. Mowa jego jest jak jego rozum dwojaka: jedna dokładna, ale zimna, ograniczona, ciasna; druga nieznierzona, wieczna, nieskończona. Ach, znam ja cierpienia pisarza, mówcy! Bierze go nieraz ochota złamać niewierne narzędzie swej myśli i zawołać z poetą: „Niestety! człowiek ma tylko słowa, słowa bez życia i skrzydeł, znikome echa nieśmiertelnej myśli!“ Ale niech zbyt pośpiesznie nie złorzeczy tej mowie, którą ma od Boga. Pod jej pozornem ubóstwem, pod tak czasem ciasnemi jej formami jest nieskończoność. W tem to właśnie leży niewymowny urok wielkich pisarzów. Każą myśleć, marzyć. Mówią wiele, więcej jednak dają do myślenia; Coś głębokiego i niemal ciemnego w największej jasności, coś ukrytego i niewidzialnego, a przenikającego mimo to jak ostrze, coś niewyrażonego i niedopowiedzianego, co budzi w nas tysiące oddźwięków; coś nieujętego a jasnego zdradza nam nagle wielkiego pisarza. Czuje się myśl, która nie jest i nie może być zawartą cała w słowach, gdyż nato z za wysoka pochodzi i jest za obszerną; która zapełnia i przepełnia słowa; którą się jeszcze więcej odczuwa niż pojmuje. Mowa to podwójnie godna uwielbienia, pełna jasnych błyskawic i tajemniczych głębi, pogodnego światła i ukrytego żaru; cudownie nadająca się dla dusz, które Bóg ze skończoności i nieskończoności ulepił, które potrzebują jasno widzieć, ale lubią przewidywać, przeczuwać i szczęśliwsze są czasem przewidując, niźli widząc.

Takim więc jest umysł człowieka. Porusza się w nieskończoności. W tej tylko mierze, w jakiej w niej przebywa, posiada światło, piękno, siłę, wielkość poezję, rozum nawet. Nie wyciągajmy jeszcze stąd żadnego wniosku i pomówmy o jego sercu.

Serce jest to zdolność kochania, i zdawałoby się, że ze wszystkich władz człowieka ta powinnaby być najłatwiejszą do zaspokojenia. Skoro mnie, stworzeniu przemijającemu, dano słodką władzę kochania, dla pocieszenia i upiększenia mojego wygnania, zdawałoby się, że dość mi otworzyć serce, ażeby je zaspokoić. A jednak, rzecz dziwna! nigdy to mi się nie udaje.

Nie wiem, kto me utworzył serce. Ale kimkolwiek jesteś, uczyniłeś je bardzo dziwnem, o nieznany budowniczy! Jaki miałeś cel, dając mu tę czułość, którą lada drobnostka wzrusza, i tę głębokość, której nic nie może zapełnić? Wszystko widziane zdala pociąga mię, zachwyca; podchodzę szczęśliwy, lecz skoro tylko zbliżę usta, skoro pić zacznę, upuszczam czarę z okrzykiem rozczarowania: „Tylko tyle! nic więcej!...“ I tak schodzi mi smutne życie: od kwiatu do kwiatu,

od marzenia do marzenia; wszędzie szukam tego czegoś, czego pragnie dusza moja, coby jej do szczęścia wystarczyło, a czego znaleźć nie mogę nigdzie!

Pewna dama z wielkiego świata, której Bóg dał wszystko, co stanowi urok życia: wielkie imię, piękny majątek, godnego jej męża, prześliczne dziatki,—mówiła: „Jest we mnie coś, co nigdy nie było zadowolone.“ Takie to serce ludzkie. Jest to szczególniejszego rodzaju otchłań. Rzucam w nią wszystkie radości. Otchłań drgnie i zamiast się zapełnić, rozszerza się jeszcze.

Młody pełen wdzięku pisarz, wołał niedawno: „Ach! któż wypowie niezrównane cierpienia serc na ziemi i jak dalece mowa miłości jest wieczną skargą! Słuchajcie wszystkich głosów duszy ludzkiej; jeżeli człowiek wspomina miłość, to na to, żeby skarżyć się i płakać. Im jest czystszy, tem bardziej się skarży; im wyżej wznosi się ponad poziom, tem więcej cierpi. Jeżeli kiedy niekiedy rozbrzmiewa hymnem radości i przerwie na chwilę tę jednostajność, to święci on zachwyt godziny jednej, który wnet ustępuje bezmiarowi pragnień. Nie będę serca człowieczego potępiał. Żałować go nawet nie będę. Powinno samo znać swoją wartość. Trzeba mu przytem oddać tę sprawiedliwość, że choć płacze, ranę swoją miłuje i ma wstręt do szukania nań lekarstwa w obojętności. Idź więc dalej, męczenniku wiekuisty! Ludzie nic dla cię nie mogą. Wołaj, pragnij, oczekuj, płacz i cierp, napełniając świat pieśnią umiłowanej swej boleści! Tylko pod warunkiem, że będziesz cierpiał, wielkim być możesz [1]).“

Często człowiek, zrozpaczony ciągle ponawianą, a zawsze tak próżną pogonią, zamyka się w sobie. Z serca płyną mu gorzkie słowa Hioba. Ono to wywołuje szyderstwo na jego wargi. Powiada stworzeniom: „Zostawcie mnie, złudzeniem jesteście tylko! Chcę sam pozostać.“ Ale nigdy rozpacz nie jest okrutniejszą, ból dotkliwszym, próżnia głębszą i straszniejszą, niż wówczas. I słusznie. Miałżeby znaleźć w egoizmie to, czego dać mu nie może nawet miłość?

Takie są dzieje serca człowieka, gdy szuka szczęścia u stworzeń tylko. Na podobieństwo ptaka, umieszczonego pod dzwonem machiny pneumatycznej, niepokoi się, miota pada, cierpi i umiera, chyba, że łamiąc zapory, potrafi się wznieść w czystą i głęboką atmosferę nieskończoności.

Nieskończoność! oto więcej jeszcze marzenie naszych serc, aniżeli potrzeba naszych umysłów; jej to szukamy w uczuciach naszych, ona to stanowi ich piękno a zarazem,

---

[1]) Ks. Perreyve, *Une Station à la Sorbonne*, p. 83.

niestety, ich nietrwałość i znikomość! Jakaż bowiem istota stworzona dać nam może nieskończoność?... Napróżno Bóg nas obdarował słodką właściwością, że ukochani są w naszych oczach doskonałymi; napróżno stroimy we wszystkie wymarzone uroki drogą istotę; zawiele wymagamy od stworzenia i zawiele mu przyrzekamy, więcej, niżeli ono i my dotrzymać możemy. Stąd to, gdy opadnie zasłona boska, a wątłe i niedoskonałe stworzenie ukaże się oczom naszym w rzeczywistej swej postaci, przerażeni jesteśmy naszem złudzeniem; cierpimy, czasem buntujemy się, aż dopóki, poznawszy lepiej ułomność rzeczy ludzkich, oświeceni i oczyszczeni, nie zwrócimy się do nieskończonej miłości, ażeby w niej znaleźć dopełnienie naszych znikomych uczuć, które Bóg w łasce swojej w taki sposób dozwala nam rozwinąć i uwiecznić.

Kto wie też, czy to nie dla wynagrodzenia za bolesne zawody serca, albo raczej, czy nie dla wspomożenia umysłu i serca człowieka w dążeniu do nieskończoności, dał nam Bóg tę piękną władzę: wyobraźnię! Rozumiem pod tem ową potężną zdolność, której zawdzięczamy nasze wzruszenie na widok piękna; która, gdy stracimy z oczu to piękno, odtwarza je jeszcze bardziej uroczem w myślach naszych, a kiedy patrzymy na nie, uzupełnia je i idealizuje; która zaciera jego granice, słabości, niedoskonałości i wady, a wznosząc się pomału do piękna duchowego, w innem i wzruszającem świetle przedstawia nam wszystko stworzone. A to uwielbienie piękna bez zmazy, to czyste i gorące uczucie, które stworzyło poezję, malarstwo, rzeźbę, muzykę; ta wiara w ideał, czyli coś doskonalszego, niż wszystko istniejące, – cóż to jest, jeżeli nie trzecie skrzydło, które Bóg dał barkom naszym, ażeby nas unosiło w nieskończoność!? Bo gdzież jest na ziemi to idealne piękno, o jakiem marzymy? Ani w jednostkach, ani w zbiorowisku. Pokażcie mi piękność: znajdę w każdej wady. Dajcie mi arcydzieło, a wymarzę większe. Wenus z Milo, wychodząc z ziemi, gasi Wenus Medycejską. Piękne Eleuzyńskie marmury usuwają na drugi plan Apollona Belwederskiego. Któż nie wie, że największe arcydzieła pendzla lub pióra są tylko cieniem tych świetlanych obrazów, o jakich marzyli ich twórcy? Wirgiliusz chce spalić Eneidę; Apelles z gniewem rzuca pendzle. Tak zawsze bywa z geniuszami. Im który jest większym, im bardziej się zbliża do ideału, tem się widzi dalszym od niego. Dlaczego? bo kres ideału jest w nieskończoności.

To właśnie uczucie stanowi piękność, wielkość, cierpienia prawdziwego poety, i stąd pochodzi wzruszenie, z jakiem nań mimowoli spoglądamy. Widzi on piękności ziemi, na ich widok ogarnia go zapał. Ale wkrótce bledną one; zdawałoby

się że się rozsuwają i podnoszą jakieś zasłony, ukazując mu piękność niecielesną. Spostrzega ją z zachwytem, chce ją odmalować, stara się cień jej jakiś przynajmniej odtworzyć: nie może; a jego bezowocne wysiłki, rozpacz, łzy, jasno pokazują, że piękno, jakie widzi, jest nieuchwytnem dlatego właśnie, że jest nieskończonem.

To samo, co mówię o poezji, powiedzieć trzeba o wszystkich sztukach pięknych, o malarstwie, o rzeźbie, nadewszystko zaś o muzyce. Wszystkie porywają duszę i unoszą ją w nieskończoność. Spójrzcie na piękne Madonny Rafaela, lub na jego świętą Cecylię: czy to wejrzenie, ta twarz ten uśmiech, ta godność, czystość, te draperje, te wdzięczne linie z tej są ziemi? A czyste te i świetlane postacie czyż nie wskazują niewidzialnego źródła piękna? Weźcie muzykę; a nie potrzeba tu nawet Mozarta ani Beethowena! Świeży, młody głos, kilka dobrze odczutych dźwięków starczy, aby mnie oczarować i unieść w krainy wiekuistej harmonii.

Uczucie to jest tak dalece prawem w zakresie wszystkich sztuk pięknych, że nikt mu się nie oprze. Choćby się kto wychował w otoczeniu najgorszem, bez wiary, podniosłości, bez ideału, choćby się oddał na usługi najbrzydszego realizmu,—prędzej czy później ukaże mu się piękno nadziemskie i za karę wyrwie okrzyk uwielbienia. „Któż nie pamięta łez, jakie wylał Heine przed posągiem Wenus z Milo, gdy po raz pierwszy spostrzegł, że potrzebuje się wesprzeć na czemś silniejszem i wyższem od siebie; gdy ta dusza artysty, ta natura tak głęboko estetyczna odczuła z goryczą niedostateczność sztuki, tej całej jego dotychczasowej religii, i tego piękna ludzkiego, które otaczał czcią gorącą i wyłączną[1].“ Bo piękna ludzkiego niema. „Piękno, pzwiedział trafnie Kant, jest to przebłysk nieskończoności. To przeczucie Boga.“

Nie trzeba nawet być poetą, malarzem, muzykiem, by te odczuwać rzeczy; dosyć jest na to być człowiekiem. Któż z nas nie poczuł kiedy, w czasie samotnej nad morzem przechadzki, jak się dusza jego wznosiła do Boga?

Kto wśród tych niewypowiedzianych dumań nie doznał niekiedy, jak się do uwielbienia przyłączyła melancholia i dusza zasmuciła się bez przyczyny? Dlaczego duszo moja sięgasz wzrokiem po nad gór szczyty? Czego szukasz za morzami, za widnokręgiem? O co się pytasz przelotnych, jesiennych wiatrów, obumierających liści lasów? Dlaczegoś smutna? Czego ci brak?... Brak to nam Boga nieskończoności i on to budzi w naszych sercach ów smutek bez przyczyny, ale

[1]) Alfred Tonnelé, *Fragments sur l' art et la philosophie* p. 150.

i nie bez uroku. Doświadczył go ten szlachetny młodzieniec zgasły przedwcześnie, ale już sławny, który skreślił następujące słowa, malujące całą uczuciowość młodzieńczego serca: „Piękność letniego wieczoru, spokój okolicy, podmuch ciepłego, wiosennego wiatru, boska czystość czoła Madonny, grecka głowa posągu, wiersz, melodja: jakiż ból sprawia mi to wszystko! Im jest większem piękno ujrzane przelotnie, tem bardziej pozostawia duszę niezaspokojoną i pełną nieuchwytnego ideału [1]).“—Doświadczył tego również drugi młodzieniec, tak niestety, upadły, ale tak wielki, który grzeszną piękność tylu swych utworów takimi okupił okrzykami:

„Pomimo mej woli nieskończoność mnie udręcza.“

I jeszcze: . . .

„Na dnie próżnych rozkoszy, które wzywam na pomoc, znajduję taki niesmak, że czuję śmierć w sobie.“

A nakoniec:

„Cierpię . . . . . .

„Wielka jakaś nadzieja przeniknęła ziemię;

„Mimowoli musimy podnieść w niebo oczy.“

Nieskończoność jest zatem celem, do którego dąży dusza na skrzydłach tak wyobraźni, jak i rozumu; zarówno drogą piękna, jak prawdy i dobra. Nie obstaję przy tem ostatniem słowie, bo któż nie zna naszej niemocy w osiągnięciu dobra, o którem marzymy? Któż z nas, stworzonych dla cnoty, spragnionych sprawiedliwości, śmie świadczyć o sobie, że sprawiedliwym jest istotnie? Nosimy w sobie wszyscy ideał dobra, ideał wiecznie żywy, którego nie może nic zmącić, żadna zbrodnia zagłuszyć, którego głos przez nas samych tylko słyszany, mówi nam ciągle, co jest dobre i święte. Ale czy nie jest prawdą, że tego nieskazitelnego ideału nie urzeczywistniamy nigdy? Zawsze jesteśmy od niego dalecy, a podążając ku niemu widzimy, jak ciągle przed nami uchodzi, jak się oddala coraz więcej, sprawiając nam przez to cierpienie, które świadczy najlepiej o naszej wielkości. De Maistre mówił: „Nie wiem, czem jest serce zbrodniarza; znam tylko serce uczciwego człowieka: jest ono okropne!“ Cóż rzec o trwożliwem sercu dziewic, poświęconych Bogu! O zachwyconem, lecz tak pokornem sercu świętych! Dziwna jest ta otchłań sumienia! nigdy nie czuje w sobie większej pustki jak wtedy, gdy zgromadzi w sobie wszystkie cnoty. . . .

Żeby już zakończyć z tym przedmiotem, zwrócę waszą uwagę na jeden rys szczególny. Właśnie dla tego, że wszystkie nasze władze zmierzają do nieskończoności, wszystkie na-

---

[1]) Alfred Tonnelé, *Fragments sur l'art et la philosophie.*

sze wielkie uczucia przechodzą w uwielbienie. Jesteśmy zawsze skłonni czcić to, co kochamy i podziwiamy. Co mówimy wobec piękna, przed Madonną della Sedia, przez Przemienieniem? „To godne uwielbienia.“ A co jeszcze? „Nie można o nich mówić, nie można wydawać sądu inaczej jak na kolanach [1].“ A kiedy ktoś zyskał sympatję naszego serca, i mówimy mu: „Kocham cię,“—trzeba czuwać nad naszemi chrześcijańskiemi usty, by im się nie wymknęło: „Uwielbiam cię.“

Teraz zapomnijmy o duszy, zwróćmy uwagę na ciało. Inne formy, inne dziwy, widok ten sam. Ta dusza, która rozumem, uczuciem, pragnieniem piękna, sumieniem, dąży do nieskończoności, przykutą jest do ciężkiego, z ziemi ulepionego i po ziemi czołgającego się ciała. Zdawałoby się więc, że pod tym przynajmniej względem człowiek poprzestawaćby winien na skończoności. Tymczasem nic z tego. Ciało moje umrze, pada już w kawały. Mam zaledwie lat czterdzieści, i jak ten król po dojściu do szczytu, z którego się już schodzi w dół życia, powiadam smutnie. „W połowicy dni moich pójdę do bram piekielnych. *In dimidio dierum meorum vadam at portas inferi.*“ Cóż mi więc pozostaje? Oswoić się z tą myślą, powiedzieć sobie: „opadają liście, więdną kwiaty, płyną fale; wszystko umiera; słuszna, abym i ja umarł.“ Tymczasem nie tak robię. Stawiam śmierci czoło. Mówię jej: „Próżne twe usiłowania, o śmierci! nie będziesz mnie miała całkowicie w swej mocy. Przejdę tylko poprzez twe ciemności.“ I jedną nogą w grobie, marzę o nieśmiertelności.

Stworzenie doczesne pogardza doczesnością; kwiat jednodniowy chce się uwiecznić nawet tu na ziemi. Jeden chce uwiecznić swe imię, inny swój ród; ta swoją piękność, ów swe szczęście, wszyscy swoją miłość. Homer, żyjąc w nędzy, ślepocie, pociesza się tą myślą, że potomność powtarzać będzie jego wiersze. Napoleon wychodzi z synem na ręku na balkon Luwru i woła: „Przyszłość, przyszłość należy do mnie!“ A któż nie wie, że i w opromienionem miłością pożyciu małżeńskiem zachwycone serce ma tylko jedno wołanie: „Zawsze!“

A dziwnem jest to, że dla tego uwiecznienia się, poświęcamy teraźniejszość. Czuwamy, wyniszczamy się teraz; dlaczego—ażeby żyć w przyszłości. Co mówię! Znosimy w teraźniejszości oszczerstwa, pogardę, w nadziei, że potomność oceni nas sprawiedliwie. Potomność! co za myśl, jeżeli dziś

---

[1]) Słowa p. Causin'a przed siedmiu kartonami Rafaela w Londynie, w *British Museum*.

mam umrzeć na zawsze! Wieczność! co za ironia, jeżeli falą przemijającą jestem tylko! Ale jakiż to dowód, że nawet znikomą i przemijającą częścią mej istoty garnę się ku nieskończoności!

Za każdym tedy krokiem, za każdem niejako zapuszczeniem sondy w duszę, zarysowuje się wyraźniej przed nami jej prawdziwa istota. Wynurza się ona z toni czasu. Umysłem, sercem, wyobraźnią, sumieniem, całem swojem życiem kruszy wszystkie powłoki i unosi się w nieskończoność. Grecy znaleźli dla niej prawdziwe słowo. Nazwali ją dążeniem, aspiracją, ἄσθμα. Aspiracją do czego... Do nieskończoności!

Wynika stąd wiele bardzo wniosków, szczególnie zaś jeden, którego nie mam zamiaru rozwijać obszernie, a pominąć wszelako milczeniem nie mogę. Dusza podąża do wieczności, zatem nie jest z czasu. Wznosi się w nieskończoność przez swoje smutki, bóle, rozczarowania, przez radości swe i miłości; każde jej poruszenie ma kres w nieskończoności. Zatem nie jest z tego świata; jest czemś innem, niż podłym prochem ziemi; jest w niej tchnienie boże, duch, który z góry pochodzi i dlatego tak ku górze dąży. Mówicie, że nie widzieliście nigdy tego ducha, żeście go nie znaleźli pod waszym skalpelem! A ja was zapytam: Czy i nie odczuliście go też nigdy? Nie dostrzegliście go pod waszym skalpelem? A gdzieżeście to go szukali? Czy w tej ciemnej izbie, w tym rozkładającym się trupie spodziewacie się znaleźć duszę? Niema jej już: odeszła, uleciała. O ślepi! została wam w ręku pusta klatka i dlatego zaprzeczacie istnieniu ptaka, słodkiego słowika, śpiewaka gajów! Ależ to szaleństwo! to coś jak te osoby, co przychodzą do mnie w odwiedziny, kiedy wiedzą, że mnie niema w domu.

Chcecie znaleźć duszę? nie pytajcie umarłych, pytajcie żywych. Połóżcie rękę na sercu, wtedy, kiedy bije szlachetną miłością. Spojrzyjcie na Rafaela w chwili, gdy ma rzucić na płótno swoje Przemienienie: na Mozarta, pochylonego nad swym instrumentem i zatopionego w nieskończonej harmonii: a ujrzycie duszę żyjącą; nie będziecie już widzieli ciała, lub będziecie na nie patrzali z oburzeniem, jak na zaporę; i ze wzruszeniem, bez cienia wątpliwości, z zupełną pewnością powitacie w blasku oczu, na ustach, na promiennem czole tę istotę szczytną — duszę! i zrozumiecie, że niema dosyć szerokich przestrzeni dla bezmiernego jej lotu. Nieskończoności jej potrzeba!

II.

Jeżeli słusznemi są uwagi, które przedstawiliśmy czytelnikowi,—a każdy to na sobie sprawdzić może,—poznaliśmy już

nieco prawdziwą naturę duszy; ażeby ją atoli dobrze zrozumieć, bliżej jeszcze przypatrzyć się jej należy i zapytać, jaki charakter ma to dążenie jej do nieskończoności? Czy to jest poryw bezcelowy i mglisty, coś niepewnego, nieokreślonego? Może człowiek jest tylko istotą uczuciową i poetyczną, pożądającą wzlecieć wyobraźnią i miłością ponad świat materjalny? Może tem, co go znamionuje, jest jedynie to smutne a chlubne cierpienie istoty większej niż ziemia, obracającej się niespokojnie na za ciasnem dla siebie posłaniu i patrzącej w dal, czy tam czegoś lepszego nie znajdzie? Piękneby to już było, zapewne, i zawierałoby w całości wniosek, który tu zaraz wyprowadzimy. Ale dążność, o której mówię, inny ma zupełnie charakter. Jest jasną, wyraźną, praktyczną, jak sama natura człowieka. W tej nieskończoności, do której bezustannie dąży, widzi człowiek Istotę żyjącą, odrębną, bardzo wielką i bardzo dobrą zarazem, i pożąda rzeczywistego z Nią obcowania, stałego i wzajemnego stosunku, czynnego związku.

A zwróćcie proszę, uwagę na dwa akty woli do tego stosunku niezbędne; są one szczególne, tak jednakże dawne, powszechne, żywotne, tak duszy ludzkiej właściwe, że stanowią jak gdyby jej wdychanie i wydychanie.

Oto po pierwsze człowiek pragnie wznieść się do Boga i czuje się do tego zdolnym. Chociaż jest tylko atomem, niknącym w ogromie wszechświata, wierzy, że Bóg słyszy głos jego i że, bez względu na dzielącą odległość, pewne wołania serca ludzkiego muszą dojść do Niego z pewnością. Wierzy w to mocno. Wiara ta jest dziwną, śmiesznie zarozumiałą, jeżeli chcecie; ale jest ona odwieczną, powszechną, niespożytą. Nic nigdy nie mogło wydrzeć jej człowiekowi.

A po drugie: nietylko chce on wznieść się do Boga i sądzi się być do tego zdolnym, ale, co jeszcze może dziwniejsza, pragnie, aby Bóg zstąpił do niego. I drugie to pragnienie uważa za taksamo prawdopodobne, taksamo nawet pewne, jak pierwsze.

„Niechaj przyjdzie!“ wołał Platon, a z nim cała starożytność pogańska.

„Obyś rozdarł niebiosa i zstąpił (*Iz. LXIV, 1*). *Utinam dirumperes coelos et descenderes!*“ wołał Izajasz i z nim cała starożytność biblijna.

Skrusz to głębokie sklepienie,
Świat stworzony pokrywające,
Unieś zasłony nieba
I ukaż się, Boże, sprawiedliwy i dobry!

Takiem jest ogólne wołanie natury ludzkiej. A ponieważ każda głęboko odczuta potrzeba musi sobie koniecznie stwo-

rzyć powszechny i trwały przejaw, cóż widzimy na całej powierzchni kuli ziemskiej, rozglądając się w wieku obecnym i wszystkich poprzedzających? Oto świątynie, ołtarze, modły, wzniesione błagalnie oczy i dziękczynnie złożone dłonie.

Można starać się wytłómaczyć ten fakt złudzeniem i szaleństwem, można przypomnieć jego nadużycia i wszystkie jakie się do niego kiedy przymieszały fałsze, śmieszności i potworności; ale nie można zaprzeczyć, że wiara ta istnieje; że ta potrzeba stosunku z Bogiem jest zarazem wrodzoną i nieprzepartą, i tak dawną, tak powszechną, tak wiekuistą, że wchodzi w skład natury ludzkiej, stanowi rdzeń jej istoty.

Bo i skądże to znamy naturę ludzką, prawdziwe jej potrzeby, zasadnicze prawa?

Thiers zadaje to samo pytanie, mówiąc o własności. Słuchajmy jego odpowiedzi; wiele nam ona wyjaśni. „Prawa są to wzajemne stosunki rzeczy", powiedział Montesquieu. Nie ubliżając wielkiemu temu umysłowi, powiem, że dokładniejby się był wyraził, gdyby powiedział, że prawa, to ciągłość stanu rzeczy. Newton przypatruje się ciałom ciężkim. Widzi, że jabłko spada z drzewa, mówiąc językiem mieszkańców naszej planety. Odnosząc zjawisko to do zjawiska przyciągania księżyca do ziemi, a ziemi do słońca, w pojedyńczem i nic nieznaczącem wydarzeniu widzi fakt stały, ogólny i powiada: „Przyciąganie ciał stałych jest proporcjonalne do ich masy", a zjawisku temu daje nazwę **prawa ciążenia**.

„Przypatruję się człowiekowi, porównywam go ze zwierzęciem; widzę, że niezamykając się w granicach potrzeb zwierzęcych, jak jedzenie, picie i t. d., przekracza je i oprócz zaspakajania tych potrzeb, wiele wyższy daleko posiada zakres działania. Ma umysł przenikliwy i z jego pomocą uprawia ziemię, handluje, prowadzi wojnę, zawiera pokój, wznosi się aż do rządzenia państwem, a potem wyżej jeszcze—aż do poznania Boga. Gdy już uznałem w nim ten wysoki rozum rozwijający się przez działalność, gdym ujrzał, że powstrzymując ten rozwój, narażam człowieka na zanik rozumu, że go poniżam, czynię go nieszczęśliwym i niemal tego nieszczęścia godnym, wołam: Człowiek ma prawo być wolnym, bo dokładne zbadanie szlachetnej jego natury odkrywa mi to prawo, że istota myśląca wolną być powinna: tak, jak upadające jabłko odkryło Newtonowi, że ciała wzajemnie się przyciągają.

„Nie wierzę, żeby można było odkrywać prawa inaczej, jak drogą zdrowej i głębokiej obserwacji tworów. A gdy się już dobrze zbadało ich stałe zachowanie się, wtedy dopiero przychodzić do wywnioskowania prawa, nimi rządzącego, oraz prawa im przysługującego".

Stosując tę zasadę do własności, wykazuje Thiers, że własność jest zjawiskiem ogólnem, stałem, powszechnem, wszystkich czasów i wszystkich krajów, że jest zatem potrzebą i prawem. Naturaliści, mówi on, widząc zwierzę, które jak np. bóbr i pszczoła, buduje sobie mieszkanie, orzekają bez wahania, że są to zwierzęta budowniczowie. Czyż filozofowie, przyrodoznawcy ludzkiego rodzaju, nie mogą powiedzieć na takiej samej zasadzie, że własność jest prawem człowieka, że jest on stworzony do własności, że ona jest prawem jego gatunku?

Piękne są to zaiste i błogie w skutkach zasady. Otóż zaklinam każdego poważnego człowieka, aby zastosował je do religii także i powiedział, czy owo dążenie do Boga, ta potrzeba czynnego z Nim stosunku, istotnego związku, nie jest zjawiskiem stałem, ogólnem, powszechnem, występującem w każdym czasie, miejscu i u wszystkich ludzi? Wszędzie widzę ludzkość, która wierzy w Boga, pokłada w Nim nadzieję, modli się do Niego, wznosi się ku Niemu na skrzydłach wiary, nadziei, składa Mu za pomoc dzięki.

Zauważcie też, proszę, że powszechne to i wiekuiste zjawisko nie ukrywa się gdzieś w głębi ziemi, w łonie tajemnych stowarzyszeń, gdzieby mogło ujść uwagi i nie podlegać roztrząsaniu. Jest ono jawnem. Stanowi część chwały i wielkości narodów. Narzuca się nawet tym, którzy go znać nie chcą, i ludzie, którzy nigdy się już nie modlą, widzą się niekiedy w konieczności przybrania nawet publicznie pozoru ludzi, którzy się jeszcze modlą.

Powiedziałem: którzy nie modlą się nigdy; cofam to słowo, bo niema nikogo, ktoby się nie modlił nigdy. Niema młodzieńca, któryby w dniu, kiedy szlachetna miłość podniesie go, a czasem i oczyści, nie wzniósł oczu w niebo z podzięką. Niema starca, któryby, kiedy wiek pochyli mu głowę, nie doznał potrzeby czci i nadziei, jak gdyby dla oswojenia się z widokiem grobu. A ty, który masz się za wyższego nad tę słabość, możeszże wiedzieć, czy Bóg nie ześle na cię niespodzianie jednej z tych klęsk, od których bieleją przed czasem głowy? Pod wpływem boleści zawołasz wtedy pomimo woli: „O, mój Boże!“ To wystarczy, — będzie to już modlitwą.

Tysiące wniosków ciśnie mi się jeszcze pod pióro. Ale powstrzymuję je, zadawalniając się tym jednym: że dusza ludzka dąży do Boga i wznosi się ku Niemu porywem jasnym, określonym i pewnym; że pragnie stałego i rzeczywistego z Nim związku; i że jeżeli, badając naturę ludzką, ze stałego istnienia pewnych czynów dochodzi się do wyprowadzenia rządzącego nimi prawa, i ja mogę także, wychodząc z tego założenia, powiedzieć: Dążenie do Boga, poryw ku Niemu, po-

rzeba wiary, modlitwy, oddawania czci, jest prawem rodzaju udzkiego, z tą samą słusznością, z jaką mówię: własność jest prawem.

Jeżeli zasady te dobre są dla dowiedzenia własności, dobre są i dla dowiedzenia religii. Jeżeli odrzucacie je w rzeczach religii, nie dziwcież się, że inni je odrzucają kiedy chodzi o własność. Spojrzyjcie z blizka, a ujrzycie, iż religia, społeczeństwo, rodzina, własność, opierają się na tych samych podstawach. Żadna z tych godnych czci rzeczy nie jest znikomą, bo każda jest potrzebą, oraz prawem ludzkiej natury.

Niektórzy filozofowie, a raczej fizyologowie, dalej się jeszcze nawet odnośnie do religii posunęli. Zadali sobie pytanie, gdzie mianowicie jest ten punkt, który stanowi istotną różnicę między człowiekiem a zwierzęciem; co jest tak dalece właściwem rodzajowi ludzkiemu, że się znajduje w każdym człowieku, a nie znajduje się w żadnem zwierzęciu. Może ustrój ogólny, budowa i funkcje organów? Nie, odpowiedzieli, bo anatomia i fizjologia wykazały od dawna zadziwiającą jednakowość budowy ciała u człowieka i u zwierząt ssących. Czy może władze umysłowe? Ależ zaprzeczyć nie można, że pomimo niezmiernej różnicy umysłowego rozwoju między człowiekiem a zwierzęciem, ono nietylko ma instynkt, ale i czuje, chce, pamięta, rozumuje, i że niekiedy nawet dokładność i pewność jego sądów mają w sobie coś cudownego, czego w wielu razach niepodobna przypisywać ślepej jakiejś sile. Zatem władze serca? Jeszcze mniej; gdyż zwierzę kocha, nienawidzi, mści się, odczuwa wdzięczność, ginie za swego pana i za swoje potomstwo. Gdzież więc jest to *sanctius his* Owidyusza, to coś zupełnie zwierzęciu obcego, co stanowi odrębną cechę człowieka? Uczeni ci odpowiadają: Tem, co stanowi najistotniejszą różnicę między człowiekiem a zwierzęciem jest— *religijność*; innemi słowy: poryw ku Bogu, dążenie do Boga.

To mówią fizjologowie. I musi ta aspiracja ku Bogu i potrzeba stosunku z Bogiem być w naturze ludzkiej bardzo znamienną, skoro znakomici uczeni, ludzie oświadczający, że „nie chcą być metafizykami ani filozofami, tylko po prostu przyrodnikami", posuwają się aż do uznania jej nie tylko za główną, ale za jedyną w oczach nauki cechę naszego królestwa, królestwa człowieka [1]).

III.

A oto jeszcze jedna i ostatnia uwaga, która przedstawi nam to wszystko w nowem i niemniej zdumiewającem świetle.

[1]) *Mémoire sur l'unité de l'espèce humaine* par M. de Quatrefages. Uczony ten pamiętnik jest doskonale oceniony w pięknej książce Nicolas'a: *l'Art de croire*, t. I, ch. II.

Oto dążenie duszy naszej do Boga ma w nas dwie odrębne cechy: z jednej strony jest ono koniecznem, gdyż stanowi jeden ze składowych pierwiastków natury ludzkiej, i to pierwiastek główny; a z drugiej strony jest dowodem. Trudno bardzo wyrwać je z duszy, ale dziwne w niej przechodzi koleje. Wzrasta i zmniejsza się. W pewnych dniach blednie, w innych rozżarza gasnące swe zarzewie i zmartwychpowstaje; otóż ciekawem jest wziąć pod ścisły rozbiór, poddać dokładnej obserwacji zjawisko jego przyrostu i jego ubytku.

W ogóle wzrasta ono w cnocie, zmniejsza się w występku. Mówię: w ogóle; gdyż jeśli nie zawsze zanika w występku, jeśli przeżywa czasem w sumieniu dobro,—a nowy to dowód, że należy do rdzennych podstaw ludzkiej natury,—to z cnotą wzrasta niechybnie. Im jesteśmy szlachetniejsi, pokorniejsi, czystsi, tem żywszy poryw unosi nas ku Bogu. Jeżeli nawet w życiu skażonem błędami spełnimy czyn cnotliwy, bezinteresowny, jeżeli poświęcimy siebie czyjemuś dobru, uczuwamy się natychmiast lepiej usposobionymi względem Boga i jakby zbliżonymi do Niego.

Co zaś jest nie mniej godnem uwagi, to to, że ta wiara w Boga, wzrastająca z cnotą, wzrasta również w cierpieniu. Wszak wiecie, co sprawia boleść: rozwiewa czcze marzenia, gasi fałszywe blaski. Wszystko co sztuczne ustępuje, pierzcha pod jej surowem dotknięciem; prowadzi nas ona ze złudzeń ku rzeczywistości. W takiej to chwili poryw ku Bogu bywa najżywszym. W szczęściu oddalamy się od Boga, powracamy do Niego w doświadczeniu. Załzawione oczy same z siebie wznoszą się ku Bogu.

A kiedy wśród cierpień zbliżamy się powoli do grobu, któż nie wie, jak nagle i jak kojąco wzmaga się w nas myśl o Bogu? Czy widziano kiedy, żeby człowiek, który wierzył w ciągu życia, żałował tego na łożu śmierci i wyrzekał się swojej wiary? Wielu, przeciwnie widzimy takich, którzy zwątpiwszy o wszystkiem, odnajdują światło nad grobem; jak gdyby dusza w miarę wyzwalania się z więzów ciała i zbliżania się do wieczności, odbierała stamtąd światło, rozpraszające ostatnie cienie; albo, jak gdyby Bóg, który jest Ojcem, pochylał się wtedy ku dzieciom swoim z większą jeszcze miłością i usilniej jeszcze starał się je zbawić. A reakcja ta jest tak silną w tej ostatniej godzinie, że uległa jej większość filozofów wieku XVIII: Boulanger, Condillac, Montesquieu, Fontenelle, Buffon; aby zaś i z innymi, z Voltaire'm, Diderot'em tak się nie stało, potrzeba było uciec się do środków ostrożności i bronić ich od ich własnej *słabości*, strzegąc dostępu do ich łoża. A ponieważ w wieku XIX *słabość* ta wzrosła

jeszcze, i człowiek bardziej Boga spragniony, pewniej ku Niemu powraca, zwiększono środki ostrożności, potworzono związki dla strzeżenia łoża śmierci, rodzaj towarzystw ubezpieczających od Boga. W opiekuńczych tych stowarzyszeniach wymaga się od człowieka najstraszniejszych przysiąg a przyrzeka się energiczne poparcie, aby mu pomódz dotrzymać zobowiązań niepowrócenia do wiary. Daremne usiłowania! dręczona brakiem Boga dusza, traci na tem jedynie możność publicznego do Niego powrotu. W tej albowiem chwili więcej jeszcze, aniżeli pod wpływem cierpienia, pierzchają wszystkie ułudy i urzonki; wszystko co sztuczne, fałszywe, ustępuje z duszy; jest to godzina utwierdzenia się i wzrostu wiary. Czyż trzeba większego dowodu jej prawdziwości? Dotykamy wtedy niejako Boga. Nie trzeba już prawie wówczas weń wierzyć, widzimy Go; unosi się nad naszem łożem boleści; jasne światło nadziei pokazuje nam otwarte niebo, gdzie nas czeka miłość.

I nie tylko z cnotą, z cierpieniem, ze zbliżaniem się śmierci wzrasta w nas to dążenie ku Bogu; wzrasta ono także w miarę wielkości duszy. Jest koroną wielkich dusz, jeśli są mu powolne; ich męką, jeśli są oporne; ich zaszczytem zawsze. Wznosi się w nich czasem aż do rodzaju świętego upragnienia, które jest bezspornie szczytem najbardziej wzruszającej piękności człowieka. Patrzcie na wielkie dusze wszystkich czasów, wszystkich krajów, na dusze, które wyższy umysł, potężniejszy rozum, żywsza wyobraźnia, głębsze i tkliwsze serce, wyróżniają z szarego tłumu i powiedzcie, czy choć jedna z nich nie nosiła w sobie potrzeby Boga, głodu, pragnienia Boga, i czy nie miała na czole męczeńskiego stygmatu niezaspokojonego pragnienia, albo cudownej aureoli pokojuzo znalezionej prawdy i posiadania Boga.

Pod wpływem tych wzruszających myśli, marzy się mi niekiedy wielki obraz, w rodzaju procesji Flandrin'a na murach Św. Wincentego à Paulo. Tylko, gdybym był malarzem, szerszy dałbym jej zakres; przedstawiłbym w niej wszystkie dusze, które na tym smutnym świecie spragnione były Boga.

Wybyście tam byli na czele, poeci wszystkich wieków, wzniosłe i piękne dusze, wy, którzyście tak cudne mieli porywy ku Bogu! Zgrupowałbym was wokoło boskiego Homera, mistrza was wszystkich. Z jednej strony Orfeusz i wszyscy poeci orficzni, tak mało znani, a tak boscy. Z drugiej Pindar i Eschylos, Eurypides i Sofokles, pobożny i tkliwy Wirgiliusz, a i ty także, Horacy, którego lekka lutnia tak jednakże często rozbrzmiewała dźwiękiem nieskończoności! Uczylibyście świat, że dusze najpiękniejsze są najreligijniejszemi zarazem,

i że nawet w łonie pogaństwa wyższa poezja była zawsze wołaniem duszy do Boga.

Platon prowadziłby chór drugi. On to powiedział: „Czego? trzeba, ażeby oglądać Boga? Być niewinnym i umrzeć". I to drugie słowo, jeszcze szczytniejsze, jeżeli to być może: „Filozofować to uczyć się umierać". Postępowałby na czele, podtrzymując czule swego starego mistrza Sokratesa, wsparty na ubłodym swym przyjacielu, Arystotelesie, który pojmował Boga, jako wielki magnes dusz, magnes miłości. Za nimi widzianoby wszystkich wielkich filozofów: Pitagorejsa, który milczeniem i postem przygotowywał się do lepszego zrozumienia harmonii światów; Cycerona, który wśród wątpliwości umysłu zachował tak żywe poczucie Bóstwa i poświęcił mu swą tak wspaniale piękną wymowę; Senekę, którego życie byłoby wielkie, gdyby odpowiadało jego nauce; wszyscy porwani jednem uczuciem, uniesieni ponad widome światy i wpatrzeni w nieskończoność. Chciałbym, ażeby w ugrupowaniu tej części można było jakim śmiałym rysem oddać to słowo Platona, streszczające całą jego filozofię: „Człowiek jest stworzony dla prawdy, ale trzeba, żeby Bóg przyszedł go jej nauczyć".

Nie zapomniałbym i o was, w trzeciem znalazłybyście się rzędzie, tajemnicze dziewice, znane w starożytności pod nazwą Sybill. Miałybyście na oczach zasłonę, której nauka podnieść jeszcze nie potrafiła, w ręku zaś to tak starannie na Kapitolu przechowywane księgi, pełne Boga i tego, który miał nadejść. Możecie poczerpnęły te boskie przeczucia w waszych niewieścich i dziewiczych sercach jedynie, a może zebrałyście je z ust ludzkości, będąc w ten sposób najpiękniejszem uosobieniem ludu spragnionego Boga.

Potem szedłby chór inny, piękniejszy jeszcze — chór patryarchów i proroków. Pierwsi wpatrzeni w niebo, ojczyznę daleką, wysyłający ku niemu żale i tęsknoty i wyznający, że są na ziemi przechodniami, wygnańcami zdala od Boga; drudzy ze świętemi harfami w rękach, z wyrazami czci, chwały, dziękczynienia i miłości na ustach.

A cóżby było, gdybym do tych wszystkich przedstawicieli geniuszu religijnego starożytności, mógł przyłączyć wielkie dusze społeczeństwa chrześcijańskiego: męczenników, którzy ponieśli śmierć dla Boga, dziewice poświęcające Mu wszelką miłość ludzką, malarzy, rzeźbiarzy, architektów, wznoszących Mu świątynie wspaniałe, teologów, filozofów, mówców, muzyków i poetów, opiewających Go tak wzniośle.

Ale nie dosyćby było odmawiać taki pochód; trzebaby mógł ożywić te postacie, włożyć w ich usta mowę, jakiejż to usłyszelibyśmy pieśni! jakie porywy ku prawdzie! jakie westchnienia do nadziemskiego piękna bez zmazy! Oto umysł tu

dzki w swej najwyższej potędze, serce w swej najbardziej wzruszającej wielkości, oto wyobraźnia z najpiękniejszymi swymi obrazami, oto nakoniec człowiek, ze wszystkiem, co ma najlepszego i najpiękniejszego! a ten umysł, ta wyobraźnia, to serce jedno mają tylko wołanie: Bóg! Bóg!

A gdyby wolno mi było, jak artystom XV wieku, umieścić dewizę pod tym obrazem przedstawiającym boski pochód wielkich dusz spragnionych Boga, nie dałbym innej, jak te słowa: *Beati qui esuriunt et sitiunt justitiam, quoniam et ipsi saturabuntur.* O tak, błogosławieni, którzy łaknęli i pragnęli prawdy, piękna, sprawiedliwości i miłości nieskończonej, bo jakżeby takie pragnienia zaspokojonemi być nie miały?

ROZDZIAŁ DRUGI.

O prawdziwej naturze Boga.

A teraz, jakąż jest ta istota, do której wzdycha ludzkość cała? Czy jest to jakiś Bóg głuchy, Bóg niemy? Czy jest pozbawiony serca? Człowiek pragnie wznieść się do Boga, a Bóg czyż się nie skłoni do człowieka? Mniejszy stara się usilnie dosięgnąć większego; czyż ten nie schyli się trochę, ażeby umożebnić zetknięcie?

Oto pytanie. Aby na nie odpowiedzieć sprobujmy zbadać naturę Boga, jakeśmy zbadali prawdziwą naturę człowieka. Ta ostatnia streszcza się cała w gorącem dążeniu ku Bogu; zobaczmy, azali nie znajdziemy w tamtej pewnego rodzaju stkliwej przychylności do człowieka.

Kiedy człowiek całą swą słabością podąża ku Bogu, kto wie, czy Bóg całą wielkością swoją nie schodzi do człowieka?

Piękne to jest i ważne studium, godne wyższych umysłów, a posunie nas ono o krok dalej w znajomości religii.

I.

A najpierw, co za cudowna zgodność, jaka głęboka i dziwna harmonia pomiędzy naturą ludzką i wyobrażeniem, jakie mam o naturze boskiej! Wszystko, czego pragnę, jest w Bogu. Pragnę prawdy — On jest prawdą. Pragnę piękna — On jest nadziemskiem pięknem. Pragnę dobra — On jest najwyższem dobrem. Pragnę życia — On jest wiecznem, niewyczerpanem, niekończącem się życiem. On ma wszystko, na

czem mi zbywa. W Nim jest wszystko, o czem moje serce marzy, czego oczekuje, spodziewa się, co przeczuwa. Każdemu memu brakowi odpowiada przymiot Jego boskiej istoty w tej samej mierze, w jakiej tego pragnę. Czy to przypadek tylko, że On ma to właśnie, czego ja szukam, a ja, który Go znam tak mało, instynktowo i nieprzeparcie pożądam tego, co On posiada?

Powiedzą mi może, że idea Boga jest czystym wytworem mego umysłu, że złożyły się na nie wszystkie *desiderata* mej duszy; że pożądając prawdy, piękna, życia, nie znajdując nic z tego tu na ziemi w stopniu, w jakim ich pragnę, gdzieindziej ich poszukałem, i, że łącząc tak w jedno wszystko, czego mi brakuje: dobro, piękno, prawdę, znosząc granice, dodając nieskończoność, wytworzyłem to, co nazywam Bogiem.

Zapewne, że tak postępuję; ale co temu rozumowaniu zarzucić można? Tak rozumują najfilozoficzniejsze umysły. Idźmyż za jego wątkiem.

Przedewszystkiem powiadam: Jestem, a więc jest Bóg. To już więcej, niż wywód rozumowy: to czysta intuicja. To też pierwszego tego ogniwa nie zdołano nigdy wydrzeć ludzkości. Słucha ona rozpraw, toczonych wokoło niej już to w imię filozofii, już to nauki, a po ich wysłuchaniu, w temsamem świetle, w tejże co wpierw pewności powtarza znowu: Jestem, a więc jest Bóg.

Ale czemże ja jestem? Istotą niedoskonałą, ograniczoną, która przemija i znika. A więc jest istota nieprzemijająca, nieograniczona i doskonała. „Bo i czemuż — powtarzam za Bossuet'em — miałaby istnieć niedoskonałość, a doskonałości byćby nie miało?“ To jest: „Dlaczego istniałoby to, co bliższem jest niczości, a nie istniało to, co nic z nią nie ma wspólnego?[1])“.

A nakoniec chociaż jestem tak niedoskonały, tak ograniczony, pragnę czegoś większego i lepszego; większego, niż wszelka znana wielkość, lepszego nad wszelką stworzoną dobroć. Jest więc istota nad wszelką wielkość większa, nad wszelką dobroć lepsza, to jest doskonała i nieskończona. Bo czyż nie szaleństwem byłoby przypuszczać, że tej tak pięknej i niezwyciężonej tęsknocie, tło duszy ludzkiej stanowiącej, nic w rzeczywistości nie odpowiada? Wszakżeby to było przyciąganie bez siły przyciągającej, skutek bez przyczyny, dążności do niczego nie prowadzące? Pragnienie moje miałoby upadać w próżnię? nie miałoby znaleźć upragnionego przedmiotu? Zawiedzionem byćby miało moje pożądanie prawdy, piękna, dobra, miłości? Najczystsze porywy mego umysłu gorzkiemby tylko były szyderstwem? To być nie może. Umysł, serce, sumienie,

[1]) Bossuet, *Elévations sur les mystères*, 1.

modlitwa, poezja, zapał czystość, cierpienie, powiadają nam: dążymy do nieskończoności, jest zatem nieskończoność.

Wszystko to jest oczywiste, jasne, niedopuszczające cienia wątpliwości.

Ale Kartezyusz, który złożył pierwsze ogniwa tego łańcucha, zawcześnie się zatrzymał w swoich wspaniałych wywodach. Jeżeli od niedoskonałej istoty, która jest moją, wznoszę się nieomylną intuicją do istoty doskonałej, którą jest Bóg, powinienem też tą samą metodą od mojej natury, moich przymiotów, dojść do natury, do nieskończonych doskonałości Boga. Kartezyusz mówił: Jestem, jest zatem Bóg. Idę dalej i mówię: Jestem rozumem, a zatem Bóg jest rozumem. Jestem miłością, a zatem Bóg jest miłością. Jestem siłą, a więc Bóg jest siłą. I tak dalej. Przypisuję Bogu wszystkie doskonałości, jakie są we mnie, po sprawdzeniu uprzedniem, czy są to rzeczywiście doskonałości. Bo jakżeby mogło być we mnie cokolwiek pięknego, dobrego, doskonałego, coby nie było w Bogu?

Idę jeszcze dalej. Odejmuję granicę tym doskonałościom; posuwam je do nieskończoności i mówię: Bóg jest nieskończoną mądrością, miłością, życiem i pięknością nieskończoną.

I to jeszcze jest bezspornem, bo skoro się raz wymówiło to wielkie słowo nieskończoność, trzeba ją przyjąć ze wszelkiemi jej doskonałościami. Co jest nieskończonem pod jednym względem, pod innym granic mieć nie może. Przyznajecie istocie Bożej nieskończoność, a odmawiacie jej mądrości! W takim razie cóż to jest Bóg? Siła ślepa, fatalna, nieświadoma samej siebie, a więc mniejsza od człowieka, bo człowiek ją zna, ona przeciwnie, nie zna człowieka. Przypuszczacie w Bogu nieskończoną mądrość, a odmawiacie Mu swobody, miłości! Ale czyż to możebne? Czyż myśl, myśl żyjąca, nieskończenie piękna, może istnieć bez swobody? Czyż nie wytwarza miłości? I czyż sama z niej nie wypływa, jako jej matka i córka zarazem? Unicestwiacie zatem Boga, gdyż bez miłości, wolności, bez piękności, stałby On niżej od nas. Od takiej nieokreślonej siły, takiej ślepej sprężyny wyżsi jesteśmy niezaprzeczoną wyższością, ponieważ znamy, kochamy i chcemy, a ona ani zna, ani kocha, ani jest zdolną chcieć.

Jest więc Bóg, a jest nieskończoną mądrością, nieskończonem pięknem, nieskończoną miłością, życiem nieskończonem; to jest posiada w stopniu nieskończonym to wszystko, na czem mi zbywa. Trawiony tęsknotą patrzę naokoło siebie, na ziemię, na stworzenia i nie znajduję nic z tego, czego się me serce tak stanowczo domaga. Podnoszę wzrok ku Bogu i znajduję w Nim to wszystko, a znajduję w tym nieograniczonym, niewyczerpanym, nieskończonym stopniu, jakiego pragnęło zu-

chwalstwo mych marzeń. Raz jeszcze pytam: czy to tylko przypadek? I nie mamże wierzyć, że posiadając to wszystko na czem mi zbywa, nad czego brakiem cierpię, gotów jest On mi tego udzielić?

I tutaj to właśnie wraca i sama się nam narzuca piękna metoda Kartezjusza. Czyż wielkie serca, przepełnione miłością, nie tęsknią do wylania? Czy wielkie, świetlane geniusze, nie pragną rozdawać promieni? Czy piękno nie lubi być widzianem? Czy wylanie się na zewnątrz nie towarzyszy zawsze doskonałości? Jeżeli zaś tak się rzecz ma z tymi cieniami ziemskimi, które mianujemy światłem, życiem, miłością, cóż będzie z nieskończonem światłem, nieskończoną pięknością, wieczną miłością, z życiem nieskończonem? I ta urna zawsze pełna, wylewająca się przez samo przepełnienie swoje, ale którą wspaniałomyślność pochyla łaskawie dla łatwiejszego wylania, udzielającą się przytem bez żalu, gdyż nigdy się nie wyczerpuje! I dlatego to Święty Tomasz, ten wielki geniusz filozoficzny, nie wahał się określić Boga: Istota, która siebie wylewa. Porzuć swe troski, dusze moja! Jeśli się do Niego wzniosć nie umiesz, może On zrujdzie sposób, żeby przyjść do ciebie. Wszystkim twym próżniom, ażeby je napełnić, odpowiadają wszystkie Jego wielkości.

II.

Ale zróbmy krok drugi. Badając naturę Boga, nietylko widzimy w Nim ocean piękna i dóbr wszelkich, nadmiar życia, pragnący się udzielać, — przypatrując się bliżej, widzimy, że to udzielanie się miało istotnie miejsce. Dnia pewnego Bóg wyszedł ze swego spoczynku i rzucił w przestrzeń światy. A z jaką obfitością, współczuciem, nie wypowiedzą tego nigdy ani poezja, ani nauka. A w innym znów dniu, gdy wszystko już było gotowe, stworzył człowieka, umieścił go na tej kuli, jak matka umieszcza dziecko w przygotowanej dlań kolebce.

Tak jest, stworzył mię Ten, który ma to wszystko, na czem mi zbywa, który we wspaniałościach nieskończonej swej natury posiada wszystko, czego ja potrzebuję. Jest On moim Ojcem. I jest to drugi powód jeszcze większy i bardziej stanowczy, ażeby się ku niemu skłonił, nietylko już przez wspaniałomyślność, ale i przez dobroć.

Że człowieka stworzył Bóg, jest rzeczą zupełnie pewną, o której wątpić nie mogę. Bo są tu tylko dwie możliwe hypotezy: albo przypuścić Boga Stwórzyciela, co jest zapewne wielką tajemnicą, albo utrzymywać, że świat nie miał początku, że materja jest wieczną, co jest niedorzecznością. To też tego

nikt się nie odważa wypowiedzieć otwarcie. Obiera się zwykle drogę wykrętów i wszystkie pokuszenia o zaprzeczanie stworzenia streszczają się w dwóch podstępnych i obłudnych systemach: *Samorodztwa* i *przemiany gatunków*.

Nazywam je podstępnymi i obłudnymi, mając na myśli nie ich twórców, ale je same w sobie. Zaraz się okaże, dlaczego tak je mianuję.

Kto mówi *samorodztwo*, rozumie przez to istotę, która przychodzi na świat sama, bez ojca, matki, bez rodziców, bez pierwotnego nasienia. I w rzeczy samej są uczeni, którzy utrzymują, że z danej materji czystej, w której niema zarodów ukrytych, zagrzebanych, niewidocznych, przez sam rozwój sił właściwych naturze, może powstać szereg istot żyjących. A raz postawiwszy to wrzekome założenie, wyprowadzają z niego wniosek, że jeżeli mogły tak, bez poprzednich zarodów, bez pierwotnego nasienia powstać istoty niższego ustroju, nic nie przeszkadza, ażeby w tensam sposób człowiek powstał.

Dnia pewnego, na pochyłości jakiegoś wzgórza, wystawionego w szczególniejszy sposób na działanie silnych promieni słonecznych, przy potężniejszem napięciu światła i ciepła, mogły się rozwinąć siły rodzajne natury i stworzyć człowieka. Człowiek ten urodził się przypuszczalnie w wieku dojrzałym, w pełni swojego wzrostu, swej siły, inteligencji i wszystkich władz swoich. Bo przypuśćcie, że się urodził dzieckiem, tak, jak się rodzimy wszyscy, niedołężnem, potrzebującem objęć, któreby je nosiły, piersi, któreby je karmiły: to chociażby ich powstało i tysiąc w takim wieku, taksamo słabych, czyżby nie zginęły z głodu, zimna lub od dzikich zwierząt? Przyszedł więc człowiek na świat w wieku dojrzałym, trzydziestoletni może, bez ojca, bez matki, pod działaniem ciepła słonecznego na ziemię, a ponieważ natura czuła, że ostygnie, że nie będzie mogła długo prowadzić tej chwalebnej czynności, wydając samorzutnie człowieka, za jednym razem utworzyła też dla niego towarzyszkę; pod względem fizycznym, umysłowym i moralnym stworzyła jedno dla drugiego; skłoniła ich ku sobie, ażeby ich wzajemna miłość pozwoliła jej zaprzestać zbyt ryzykownego dzieła samorodztwa. I w istocie, od dnia, w którym mężczyzna i kobieta ujrzeli się i pokochali, ustało samorodztwo. [1]).

[1]) „Co mi się niepodoba w Strauss'ie,— mówi Aleksander Humboldt,— to jego lekkomyślność, żeby nie powiedzieć więcej, w historji naturalnej. I tak wyprowadza on bez trudności istoty organiczne z nieorganicznej materji; nawet człowiekowi każe powstawać samowolnie z chaldejskiego mułu.

List do Varnhagen'a.

Oto jest ten system, i powiedzcie, czy to nie namiętność obywania się bez Boga popycha człowieka do podobnych rojeń? Bo nakoniec, jeżeli tajemnicą jest stworzenie człowieka przez Boga, kto zaprzeczy, że większą jeszcze jest stworzenie go przez materję? Ale któż nadewszystko nie widzi, że mniemane to tłumaczenie nic nie tłumaczy? że zostaje zawsze pytanie: kto udzielił materji tej twórczej potęgi? i że całym wynikiem tego systemu jest przypisywanie Bogu stworzenia w drugim stopniu, zamiast w pierwszym?

Tak jest; zamiast przyznać, że Bóg stworzył ziemię, a potem na niej człowieka, mówicie, że stworzył ziemię i nadał jej zdolność wydania go. Ta sama tu trudność, tylko mniej o jedną piękność, a więcej o jedno poniżenie.

Święty Augustyn, Święty Jan Chryzostom i inni jeszcze Ojcowie, przypuszczali w swoim czasie pewne fakta samorodztwa. Dowodzi to, że nie uważali oni za niemożliwe, aby Bóg, tworząc materję, dał jej siły potrzebne do samorzutnego wytwarzania życia organicznego. Ale ci wielcy ludzie wzdrygnęliby się na myśl, żeby materja mogła *sama przez się* wydać jakieś żyjątka, a szczególnie żeby z samorodnego powstania wymoczka można było wyciągnąć wniosek samorodnego powstania człowieka. Gdyby więc nawet dowiedziono prawdziwości tej hypotezy, byłoby to szczytem bezbożnego zuchwalstwa u jednych, pobożną, lecz nieuzasadnioną naukowo obawą u drugich, wyobrażać sobie, że pociągnęłoby to za sobą upadek wiary w Boga Stworzyciela, oraz w przewagę sił duchowych.

Ale zresztą system samorodztwa nie utrzymał się. Błysnąwszy chwilę, jak błędny ognik, skwapliwie przyjęty przez pół-światek nauki, rozwiał się wobec najpoważniejszych doświadczeń. Wykazały one, że natura, żadnej własności twórczej nie posiada i że wszędzie, gdzie tylko zdołano pochwycić i zniszczyć niezliczone zarodki, znajdujące się w powietrzu, w wodzie, we wszelkiej materji, natura okazała się zupełnie bezpłodną. Dowiedli tego: Pasteur [1]), Flourens [2]), Longet [3]), Claude Bernard [4]), Liebig [5]), Ehrenberg [6]), Aleksander Humboldt [7]), wre-

---

[1]) Pasteur, *Hétérogénie ou Traité de la génération spontanée sur de nouvelles expériences.*

[2]) Flourens, *Ontologie naturelle*, p. 84. *Cours de physiologie*, p. 40—47.

[3]) Longet, *Traité complet de physiologie*, p. 206.

[4]) Claude Bernard, *Rapport sur les progrès de la physiologie générale en France*, p. 114 i 217.

[5]) Liebig, przytoczony u Ettinger'a w *Apologie du christianisme*, t. I, p. 203.

[6]) Ehrenberg, *ibid.*

[7]) Aleksander de Humboldt, *Lettre à Varnhagen.*

zcie Quatrefages [1]), ktory streszcza stan współczesnej nauki v tych słowach: Uważamy doktrynę samorodztwa za stanowczo odrzuconą w imię nauki."

Niema więc co dłużej myśleć o niem. Ale gdyby nawet, powtarzam, miało ono jakąkolwiek podstawę, nie stanowiłoby to jeszcze żadnego dowodu przeciw stworzeniu człowieka przez Boga, chyba, gdyby chciano utrzymywać, że natura nadała sama sobie tę siłę twórczą.

W tym stanie rzeczy kiedy się już hypoteza samorodztwa rozwiewała jak mrzonka, angielski uczony, Darwin, wznowił walkę postawieniem nowej hypotezy, bardziej niż tamta rozwiniętej, zupełniejszej, szerszej, świetniejszej także, przynajmniej w początkach, zanim utonęła w otchłani najbrzydszego materjalizmu.

Według Darwina, na początku miało być niewiele typów pierwotnych, obdarzonych potężnemi siłami twórczemi, dążących do rozwoju, do postępu, do przechodzenia w stan coraz wyższy. Najpierw więc prosty minerał dąży do wyższego życia, zbliża się do rośliny, przybiera jej kształty, a po milionach wieków przekracza linję graniczną i staje się rośliną. Roślina dąży z kolei do życia zwierzęcego, pragnie ruchu, instynktu, i po wielu również wiekach przechodzi w zwierzę. Zwierzę dąży wyżej, ku człowiekowi; zbliża się do niego powolną pracą stuleci; dostaje z czasem takich jak on, rąk, nóg stąpających prosto, grzbietu wyprostowanego, twarzy patrzącej w górę; a bardziej jeszcze dąży do jego inteligencji, i dosięgając jej stopniowo, staje się naprzód małpą, potem z małpy człowiekiem.

Jak się dokonało to przejście? Na to odpowiada Darwin jak następuje: Między tymi początkującymi gatunkami, temi jednostkami, do życia i to do życia wyższego dążącemi, wszczęła się z konieczności zaraz na początku walka. W walce tej musiały ginąć gorzej uorganizowane, a wychodziły z niej zwycięzko same tylko doskonalsze organizmy. Natura, walcząc w nich z tylu i takiemi trudnościami bytu, robiła rozpaczliwe wysiłki, ażeby zachować życie. Przystosowywała organa do środowiska. Zaostrzała je i udoskonalała wedle potrzeby. A po miliardach lat, po nieskończonych próbach na oślep, odrzucając wszystko nieużyteczne lub szkodliwe, strzegąc i utrwalając z cudowną mądrością wszelkie ulepszenia, postępując od nich do ulepszeń coraz większych, doszła w końcu do tych niezmiernych rezultatów, jakie dziś widzimy [2]).

---

[1]) Quatrefages, *Revue des Deux Mondes*, 1861 p. 157.

[2]) Powolną tę pracę natury, *wybierającej* co pożyteczne, a odrzucającej wszystko inne, nazwał Darwin *doborem naturalnym*.

Takim jest ten system. Zajął on w historji miejscę pod nazwą *transformizmu*, lub przemiany gatunków.

Pierwsze, co mam o nim do powiedzenia, jest to, że gdyby nawet prawdziwą była owa hypoteza, również jak pierwsza nie przyniosłaby swoim twórcom tej pociechy, że się bez Boga obyć mogą. Bo, raz jeszcze, któż stworzył materję? któż stworzył te pierwotne typy? kto im dał tę postępową siłę, tę energję twórczą? Oddajmy sprawiedliwość Darwinowi—pierwsze jego słowo było: Bóg!

Ale trzeba zaraz dodać, że wszyscy jego przyjaciele zaprotestowali: jedni delikatnie dali do zrozumienia, że mówiąc tak, nie był szczerym i dlatego tylko położył to słowo na czele swego dzieła, aby zbyt nie odstraszyć publiczności, z zamiarem usunięcia go później; drudzy dowodzili mu, że to imię Boga odejmowało jego systemowi całą oryginalność, że było z nim nawet w sprzeczności, bo jeżeli się przypuści, że Stwórca utworzył typ jeden, to mógł równie dobrze utworzyć wszystkie inne. Dosyć, że Darwin uchylił głowy, i krótkie zdanie opiewające w wydaniu pierwszem, że *typ pierwotny otrzymał życie od Stwórzyciela*, zostało wykreślone z drugiego. Ale w takim razie wraca pytanie: Skąd się wziął ten typ pierwotny, ta prosta komórka, ta istota najniższa, która się pojawiła na początku, bez żadnej widomej przyczyny i z której wszystko bierze początek?

Dziwni to ludzie, którym tak trudno przypuścić nieskończoną doskonałość, a nieskończoną niedoskonałość tak łatwo!

System ów zresztą, do którego obalenia ten jeden wzgląd jużby był wystarczył, poddany krytyce, większe jeszcze poniósł klęski. Rozbił się o cztery następujące trudności.

1) *Stałość gatunków od najdawniejszych czasów.* Ażeby wymyślony przez Darwina typ pierwotny mógł z biegiem czasu wytworzyć niezliczone i przeróżne gatunki, zapełniające dziś ziemię, trzebaby przypuścić w żyjących istotach nieograniczaną i nieskończoną zmienność. Tymczasem w rzeczywistości dzieje się przeciwnie. Czyniono najciekawsze poszukiwania w podziemnych pieczarach i świątyniach Egiptu. Znaleziono w nich mnóstwo mumii nietylko ludzi, ale psów, kotów, wołów, ibisów, a te zwierzęta, przed tysiącami lat zabalsamowane, są zupełnie podobne do dzisiejszych. Ten sam wniosek wyprowadzono z najdokładniejszych badań przedpotopowych paproci, mięczaków i płazów. Profesor Van-Beneden naprzykład, porównywając nietoperze z epoki mamutów z dzisiejszymi, nie znalazł najmniejszej między nimi różnicy. Wszystko więc dowodzi, że prawem istot żyjących jest stałość gatunków, nie zaś ich zmienność bez granic i końca. Jest to pierwszy fakt, zbijający ten system.

2) *Natychmiastowa lub bardzo rychła niepłodność, występująca przy krzyżowaniu ras zbliżonych.* W istocie, niedosyć jest przypuścić *nieograniczoną zmienność* kilku pierwotnych gatunków, ażeby wytłómaczyć pochodzenie od nich świata dzisiejszego: trzeba, aby były one jeszcze obdarzone *nieograniczoną zdolnością krzyżowania się z pokrewnymi gatunkami.* Tymczasem niczemu bardziej nie zaprzeczyły doświadczenia naukowe.

Zapewne, zmieniając warunki fizyczne lub organiczne, można zachwiać gatunkiem i sprawić w nim przemiany, wydające się znacznemi na razie. Ale te zboczenia świata roślinnego, a szczególnie zwierzęcego, podobne są do oscylacji igły magnesowej, wracającej zawsze do swego pierwotnego kierunku. Jak tylko gatunek jest zachwiany, przestaje być płodnym. Dotyka go niemoc. Botanik Lindley mówi: „Niepłodność jest zwykłą chorobą uprawnych roślin.“ Z pomocą sztuki otrzymujemy kwiaty podwójne lub pełne: róże, anemony, pierwiosnki, kamelie, chryzantemy—kwiaty prawdziwie zbytkowne, bogate, wspaniałe lecz niepłodne, na podobieństwo owych ogierów, które człowiek wytwarza, forsując naturę, ale których nie może rozpowszechnić. Prawdziwie rodzajnemi i nie wyczerpującemi się są tylko rasy naturalne.

3) *Nieobecność żyjących lub kopalnych ogniw pośrednich, których wymaga teorja.* Ponieważ, według teorji Darwina, dobór naturalny musi z konieczności działać bardzo powolnie, szeregiem prawie niedostrzeżonych modyfikacji, zatem pomiędzy istotami dzisiejszemi a ich przodkami ginącymi w pomroce wieków, musiały istnieć *formy przechodnie w bardzo wielkiej ilości.* Gdzież one? Trzeba było przyznać, że dzisiaj nie istnieją. Wtedy zaczęto utrzymywać, że są to gatunki *zaginione*, i niesłychane czyniono starania, ażeby je odnaleźć w wiekach kopalnych. Nie udało się to. Odkrycie kilku wygasłych gatunków jest niczem wobec ogromnych szczerb, które trzeba zapełnić, tak, że jeżeli jest dziś jaka dowiedziona prawda w geologii, to ta, iż wymagane przez ów system pośrednie formy nie istnieją.

Darwiniści musieli to przyznać. Dla wybawienia się z kłopotu nie znaleźli nic lepszego nad teorję, że świat jest wielkiem dziełem w kilku tomach, z których ostatni tylko jest w naszem posiadaniu, a brakujące formy pośrednie znajdują się w innych, dziś zaginionych. Ale to już nie nauka, to fantazja.

4) *Niemożność wytłómaczenia przez dobór naturalny przemian, których dzisiaj żaden sztuczny dobór nie może sprowadzić.* Jakto! od sześciu tysięcy lat panujemy nad naturą i pomimo całego naszego rozumu, nie potrafiliśmy ani razu zmusić jej do przeskoku od minerału do rośliny, od rośliny do zwierzę-

cia, nawet od małpy do człowieka? a natura sama, bez pomocy, miałaby to uczynić tysiące razy? To niedorzeczne! „Spróbujcież, — powiada p. Vitet — uczynić człowieka. Mówicie, że to kwestja czasu, niech i tak będzie; ale w każdym razie zacznijcie, niech was ujrzymy przy robocie; użyjcie na to milionów wieków, a nigdy z najrozumniejszej nawet małpy, nie zrobicie najgłupszego bodaj człowieka!" [1])

Hypoteza *przemiany gatunków* nie utrzymuje się zatem. Z drugiej strony, doktryna samorodztwa jest pozbawiona podstaw. Pozostaje więc jedno, że człowiek został stworzony przez Boga. A jeżeli tak jest, to czyż nie czujecie, że taki akt musiał koniecznie zostawić w sercu Boga skłonność do człowieka, uczucie dla niego?

Zresztą nie wszystko w tym systemie jest fałszywem.

Nigdy fałsz nie mógłby istnieć, gdyby nie miał u podstawy zapoznanej jakiejś prawdy. W tym wypadku złudzenie pochodzi stąd, że dwa te systematy, to dwa najszczytniejsze prawa stworzenia, ale widziane przez krótkowidzów. Tak, samorodztwo miało miejsce; tylko, że pierwszy człowiek otrzymał życie nie od działania słońca na ziemię, ale od promienia miłości pochodzącego z serca Boga. Jest także prawo przemiany, albo raczej ciągłości gatunków, ale trzeba je rozumieć i nie zwracać przeciwko Wielkiemu Artyście jednej z najcudowniejszych piękności Jego dzieła. Przyjrzyjmy się temu wszystkiemu z blizka, w świetle współczesnej nauki. Ujrzymy w nowym blasku uwielbione Oblicze Boskie.

III.

Pięknem było, pełnem poezji, wzniosłości i wielkości stworzenie świata, takie, jak nam je opisał Mojżesz. Szczytnem było owo *fiat lux*! To przygotowanie ziemi z myślą o człowieku, miało w sobie niezrównaną tkliwość. Jakże dobrym i wielkim jest ten Bóg, który się namyśla przed stworzeniem człowieka, ulepia ciało jego swemi boskiemi rękoma i ze swego serca wydaje tchnienie miłości, mające go ożywić.

Jakże się czuło, że po takim akcie Bóg będzie na wieki człowiekowi przychylnym!—Pominę wszakże owo opowiadanie, tak pełne wspaniałomyślności i dobroci Bożej, z którego widzimy, jak dobrowolnie, z jaką miłością zajmuje się Bóg swojem stworzeniem [2]), a będę zapytywał współczesnej nauki i to jedynie najdokładniejszej i najbardziej uwierzytelnionej.

[1]) Vitet, *De la Science et de la Foi*.

[2]) Powrócimy do tej kwestji w trzecim tomie naszej pracy, gdy będziemy mówili o stworzeniu ze stanowiska wiary.

Cóż widzi nauka na początku, tak daleko jak tylko może zasięgnąć? Oto ziemia toczy się w przestrzeni, jako skała pusta i rozżarzona. Powierzchnia jej znajduje się w stanie nieustannego gorzenia. Nic tam żyć nie może. Atmosfera jej, przepełniona elektrycznością i magnetyzmem, pełna jest świetnych zjawisk i burz potężnych. Otaczają ją gęste pary, które nie dopuszczają do niej przemian dnia i nocy. Oświeconą jest tylko swym własnym płomieniem. Ktoby ją widział krążącą tak w przestrzeni, zaliczyłby ją do gwiazd świecących własnem światłem. Takim jest pierwszy wiek, pierwszy stan naszej kuli. Jak długo trwał? Nauka nie odważa się tego wypowiedzieć. Stwierdza tylko rachunkiem, że kula tejże co ziemia objętości, rozgrzana do czerwoności i stygnąca w takich samych warunkach, potrzebowałaby kilku milionów lat, ażeby zejść do temperatury panującej obecnie na ziemi.

Ogień ten uspakaja się wszakże. Zaczyna się powolne oziębianie. Woda otaczająca w postaci pary ziemię gęstym obłokiem, spada skroplona na gorejącą kulę. W miarę obniżania się temperatury woda ta opada coraz obficiej i otacza ziemię płynną powłoką, o której temperaturze i składzie możemy powziąć wyobrażenie z naszych źródeł gorących. Tu i owdzie z pośród fal ukazują się wyniosłości, pierwsza zapowiedź przyszłych lądów. Od czasu do czasu rozlega się straszliwy huk, i z łona tego oceanu występują łańcuchy gór, wznoszą się wyspy, zarysowują się zatoki, wreszcie ukazuje się i kształtuje kula ziemska.

W miarę jak ona stygnie i obsycha na powietrzu, zawieszone nad nią w przestrzeni masy wód opadają, ostatecznie ukazuje się słońce, księżyc, gwiazdy, sąsiednie bratnie ciała niebieskie, siostrzane planety, wszystkie te wreszcie cuda, które prawdopodobnie już istniały, ale których dojrzeć niepozwalała atmosfera, przesycona parą i wodą.

Spojrzyjcie teraz na ustosunkowanie tego wszystkiego, na budowę, i układ ziemi. Przypuśćmy, że to wszystko jest dziełem przypadku, sił ukrytych, które tuż podniosły skorupę ziemi, owdzie zarysowały prześliczne zatoki, wyniosłe skały, tajemnicze doliny. Co za piękność! ile uroku! jaka rozmaitość widoków! a nadewszystko jaka ich zgodność z miotającemi moją duszę uczuciami radości, smutku, tęsknoty lub bólu! Zaprawdę, wielki to mistrz ten przypadek, i błogosławić go trzeba, że choć działa na ślepo, tak dobrze uczynił wszystko, co uczynił.

Ale oto coś, co się nie da wytłómaczyć ani przypadkiem, ani elektrycznością, ani ciepłem lub magnetyzmem. Ziemia była nagą skałą, rozżarzoną bryłą, o temperaturze przenoszącej tysiąc stopni. A oto okrywa się liśćmi, kwiatami, owocami. Staje

się najpiękniejszym ogrodem. Gdzież były ziarna, nasiona? Spytajcie nauki i spróbujcie mi ten fakt wyjaśnić. Tylko co nie było na ziemi ani roślin, ani ziarn, ani nasion żadnego rodzaju. Gdyby i były, uległyby spaleniu. O tem nie można wątpić. „Musiało tu koniecznie,—powiada Becquerel, — zajść wdanie się twórczej potęgi.“ Trzeba było, aby ktoś zasiał te rośliny, i to ktoś nad miarę, bosko potężny! Bo jakaż to rozmaitość i piękność! jaka świetność i woń! Oto róża, która łączy w sobie wszystko: zapach, kolor, kształt; byłaby ostatnim wyrazem świata roślinnego, gdyby jeszcze miała owoc. Oto lilia wysmukła i czysta, fijołek, szerzący woń z ukrycia; oto wielki dąb o wspaniałym cieniu. A też dwie rośliny, tak wątłe, delikatne, a tak przedziwne: zboże i winorośl! Stanowią one królewski pokarm człowieka. A jak wszystkie te rośliny są dlań pożyteczne! Jedne go żywią, inne leczą; a jeszcze inne ocieniają, orzeźwiają i cieszą. Są znów takie, które w swych wątłych kielichach zawierają siłę, mogącą go ożywić, rozweselić, dać mu moc, rozum. I wszystko to wychodzi ze spalonej skały, na której jeszcze wczoraj żadne nasienie, żadne życie istnieć nie mogło? Raz jeszcze: któż to uczynił? Dla kogo chleb ten i to wino? Poco te tak ożywione krajobrazy, rozległe widoki, te szczyty tak wyniosłe, te tajemnicze cienie, tyle rzeczy tak pięknych, wzruszających, tak harmonizujących z naszą duszą, że wołamy mimowoli z poetą: „Przedmioty martwe, macież wy duszę, która się wiąże miłosnie z naszą duszą i zmusza, by je wzajem ukochała?“

Ale patrzmy w dalszym ciągu na tę ziemię, do niedawna masę gorejącą, rozżarzoną skałę, gdzie postać nie mogła żadna żywa istota, teraz odświeżoną, zroszoną, zacienioną, pełną woni, kwiatów i owoców, które tam wyrosły, bez poprzedników, bez żadnego nasienia. Ujrzymy cud nowy. W powietrzu, w łonie wód, na ziemi, ukazują się zwierzęta. Przychodzą one po roślinach. Mówi to rozum, potwierdza nauka. Otóż skąd się one wzięły? Jeżeli nasiona roślin musiałyby się spalić w tem ogromnem zarzewiu, jakie nam przedstawia nauka, o ileż więcej zarody żyjątek, jaja ptaków, słonie, wielbłądy, koń, wół, pies? Skądże więc raz jeszcze, wzięły się one? Z minerałów? Ależ te były w stanie płynnym. Z roślin? A one same skąd pochodzą? A przytem, jakiż to przeskok od rośliny do zwierzęcia! Oto istota poruszająca się, chodząca, latająca, która działa, kocha, nienawidzi. Jakże ją porównać z rośliną? Natura to całkiem nowa, niewspółmierna z tem co ją poprzedza, oddzielona odeń całą otchłanią, a więc wymagająca ponownego i potężniejszego wdania się twórczej ręki. Przypatrzcie się zwierzętom i powiedzcie, czy świat zwierzęcy nie jest tysiąc razy piękniejszym od roślinnego, czy nie jest cudowniej

jeszcze przygotowanym dla człowieka? Jeżeli niektóre z nich są dla niego niebezpieczne, to ileż mu służy! Pies strzeże jego ogniska i liże mu rękę. Dumny i ognisty koń nosi go w walce. Wół ciągnie jego pług, pomagając mu w uprawie roli. A ileż to ich na ziemi, w powietrzu i w wodzie, które służą mu za pokarm! A ileż ich rozwesela go swym śpiewem, lotem, ożywia naturę i wspólnie z szelestem wiatru w liściach i szmerem wody nadaje jej ruch i życie, które dopełniają jej piękności! Ach! zarówno w oczach nauki, jak i rozumu, dla tych, którzy umieją patrzeć, jest to wspaniały wstęp do czegoś, przygotowany pałac, wonny ogród, sługy w pogotowiu, coś, co zdaje się mówić: „Pan przyjdzie!“

Przyszedł nareszcie. Dnia pewnego na ziemi ukazał się człowiek. Jaki to był dzień, tego nauka nie wie. Ale to wie, i to powinna, pod groźbą kłamania samej sobie, wyznać głośno, że był dzień i wiele dni, w których człowiek nie istniał i istnieć nie mógł, bo byłby strawiony przez ogień: i inny znów dzień, bardzo stosunkowo niedawny, kiedy po wielu wiekach, po ostygnięciu ziemi,ukazał się. A musi też jeszcze, pod zarzutem zdrady, powiedzieć i to, że jakkolwiek wielkimi były poprzednie cuda, do tego cudu nic nie przygotowało świata. Między skałą a człowiekiem, między rośliną a człowiekiem, między zwierzęciem a człowiekiem, jest przepaść. Istota to nowa, z gruntu i zupełnie od poprzedzających odmienna i bardziej jeszcze niż wszystkie inne, nie dająca się wytłómaczyć inaczej, jak przez nowe i jeszcze wyższe wdanie się potęgi twórczej.

Kto był matką, kto karmicielką, tej tak wielkiej istoty? Kto ją uczył stać, mówić, chodzić, patrzeć w niebo, uważać ziemię za zbyt małą, kochać prawdę, sprawiedliwość, honor, aż do poświęcenia im życia; wyznawać Boga i wołać do Niego: „Ojcze!“ Kto go do tego nauczył? Na to jest jedna tylko odpowiedź: Bóg!

Biada temu, kto bez wzruszenia i czci myśli o tej cudownej chwili, jedynej w historji, o tym dniu narodzin rodzaju ludzkiego, i kto nie widzi, że Bóg umieścił człowieka na kuli ziemskiej, tak samo zupełnie, jak matka kładzie swe dziecko w kolebkę! Tak jest, biada mu! Jest on już więcej, niż krótkowidzem; należy do tych nieszczęśliwych prawie nieuleczalnych, o których powiedziano: „Najgorszym ślepcem ze wszystkich ślepych jest ten, kto widzieć nie chce“.

To jest pierwsze prawo, które zapoznaje Darwin ze swymi uczniami, prawo budzenia się wszystkiego do życia pod tchnieniem Bożem. Ale nie to jedno prawo lekceważą oni W widocznej tej wspaniałej pracy Bożej, ustanawiającej ko-

lejno wszystkie królestwa, niby stopnie stworzenia, jest drugie prawo, na które też są ślepymi. Prawo cudowne i głębokie, któreby przeciwnie powinno było ich zachwycić i wyjaśnić ostatecznie dzieło Boże. Jest to prawo to, które miał na myśli Linneusz kiedy mówił, że w miarę wzbogacenia się, i uzupełniania naszych muzeów, będziemy się przekonywali coraz bardziej, że natura nie robi nic nagle, ale łagodnem i nieznacznem stopniowaniem, co już starożytni dostrzegli i określili jak następuje: „Natura nie robi przeskoków". Nie: zbyt wielkim mistrzem jest na to. Między czarną nocą a świetnością południa stawia jutrzenkę; między jasnością dnia a ciemnościami nocy, umieszcza gasnące stopniowo a tak łagodne blaski zmroku. I tak we wszystkiem.

Pomiędzy minerałem a rośliną jest przepaść; wiecież, co robi natura? Pomieszcza między niemi mnóstwo istot, mających coś z minerału i coś z rośliny, które stopniowo i nieznacznie prowadzą od jednego do drugiego. To samo ma miejsce między królestwem roślinnem i zwierzęcem. Spójrzcie na ogromną rodzinę polipów. Zwierzę-roślina, roślina-zwierzę, polip jest jakby drzewkiem tkwiącem w skale korzeniem, a z gębą, i żołądkiem zwierzęcym. Tysiące jest podobnych istot, pomiędzy dwoma królestwami, zaliczanych przez jednych do roślin, przez drugich do zwierząt, a stanowiących od jednych do drugich łagodne przejście.

Taki sam widok w świecie zwierzęcym. Jaka przepaść pomiędzy skromnym, po ziemi pełzającym płazem, a wspaniałym orłem, szybującym w przestworzach! Ale i tu natura nie uczyniła przeskoku. Wejdźcie do paryskiego muzeum historji naturalnej, najbogatszego na świecie; przepatrzcie cały szereg istot, obdarzonych przez naturę skrzydłami, a zdumieni będziecie. Z początku, w danym gatunku, jest to tylko zaród, ślad skrzydła; dalej zwiększa się ono, ale nieśmiałe i słabe, podlatywać ledwie dozwala. Jeszcze dalej już nabiera mocy, sprężytości; unosi ptaka wysoko, długo. Potem natura ośmiela się, daje skrzydłu potężną moc i wymiary. Taki ptak o śmiałem i pewnem skrzydle odbywa podróże nie do uwierzenia, więcej stu mil na godzinę, i przebywając wszystkie strefy w przeciągu godzin kilku, z lodów Syberji przenosi się na gorące wybrzeże Peruwii. Inny znowu wznosi się tak wysoko, że wzrok nie może go dosięgnąć i kołysany przez burzę usypia w powietrzu. A inny jeszcze, jak kolibr, ptak-mucha, ma tak żywe ruchy skrzydeł, że nie można ich dostrzedz, a ten skrzydlaty kwiat, ten żywy klejnot wydaje się nieruchomym w powietrzu.

To samo cudowne stopniowanie pomiędzy rybami pływającemi w wodach, ptakami szybującymi w powietrzu i pła-

zami pełzającymi po ziemi. Któż nie zna olbrzymiego szeregu istot ziemnowodnych, które pływają i latają, latają i pełzają, a są jednocześnie rybą i ptakiem lub ssakiem. Nigdzie natura nie robi przeskoków. Gdzie się nam zdaje, że widzimy przerwę, próżnię, nagłe i rażące przejście, obwiniajmy sami siebie: przerwą tą jest tylko nasza nieświadomość.

Nie trzeba się więc dziwić, że to samo prawo istnieje pomiędzy światem zwierzęcym a człowiekiem. Im ogromniejszą jest różnica, z tem większą sztuką dokonał Bóg przejścia. Pomiędzy zwierzęciem pełzającem po ziemi, a człowiekiem wznoszącym głowę ku niebu, są zwierzęta, próbujące stać prosto, inne zdradzające ślady mowy, inne znowu pierwsze zarysy ludzkiej twarzy. W taki to sposób natura zapełnia przerwy i przez nieznaczne cieniowanie doprowadza świat zwierzęcy do człowieka. Na nic się nie zdało zaprzeczać temu prawu; ale nie trzeba go również naciągać do swoich celów. Wszystkie rzeczy takiemi samemi są od początku i takiemi pozostaną aż do końca. Nie mówcie, że ten żywy atom, ten wymoczek, wznosząc się coraz wyżej, stając się polipem, koralem lub perłą, dojdzie może za dziesięć tysięcy lat do godności owadu; za dziesięć, za sto tysięcy lat wymoczek będzie wymoczkiem, polip polipem. A biedny nietoperz ze swoim zarodkiem skrzydła, za lat dziesięć tysięcy będzie tymsamym nietoperzem; orłem nie stanie się nigdy. Małpa nakoniec będzie zawsze małpą, nawet po upływie lat tysięcy, a więc nie przekształci się w człowieka. Prawo świata to nie przemiana gatunków, jak ją pojmuje Darwin; to cztery coraz wyższe królestwa, cztery coraz wyższe stopnie; pomiędzy nimi zaś, dla złagodzenia przejść, dla pogodzenia kolorów, półtony, łagodne i wdzięczne stopniowanie, całość zachwycająca, ale ustalona od początku, w której najdokładniejsze badanie nie odkryło w ciągu sześciu tysięcy lat innego dążenia, jak posłuszne odwiecznemu prawu życie.

Oto jest stworzenie świata takie, jakiem je dziś widzi nauka. Nie zatrzymuję się dłużej nad niem, zamierzając w przyszłości wrócić do tego wspaniałego tematu i rozpatrzyć go ze wszystkich punktów widzenia, a śpieszę wyprowadzić z niego następujący wniosek:

Bóg więc stworzył wszystko: stworzył ziemię, stworzył człowieka. Nie pytam jeszcze: dlaczego? — pytam po prostu: Czy mógłby stworzyć człowieka, a nie kochać go, nie zajmować się nim, nie czuć potrzeby rozciągania nad nim opieki, przychodzenia mu z pomocą? Bo pytam was: czyście stworzyli co kiedy? a jeśliście stworzyli rzecz jaką, czy jej nie kochacie? Choćbyście stworzyli tylko mały ogródek z kilku ścieżkami otoczonemi bukszpanem, z kilku goździkami i róża-

mi, czyż nie macie sympatyi dla tych kwiatów? czy nie lubicie ich polewać, oczyszczać ze szkodliwych owadów? Powiedzcie mi jeszcze, czyście kiedy w dniu zachwytu i męczarni nie napisali książki, kładąc w nią cząstkę duszy swej i serca? Czy jej nie kochacie? Czy los jej was nie obchodzi? Czy nie macie tej słabostki, że lubicie tych, którzy ją czytają i mówią wam o niej? A nadewszystko powiedzcie mi, wy, którzyście w chwili jeszcze radośniejszej i donioślejszej dali życie dziecięciu, istocie o waszej krwi w żyłach, o waszych rysach twarzy, o waszych przymiotach i wadach w duszy, — czy jej nie kochacie? i czy nie czujecie, że ta miłość tak gorąca i silna nie słabością jest w was, ale pięknością moralną, wielkością, zadatkiem wszelkiej szlachetności i cnoty? a gdy szukacie jej źródła, czyż nie czujecie, że przychodzi wam ona z wysoka? że nie zrodziła się z namysłów, rozwagi, potrzeby, ale zstąpiła na was zupełna, skończona, szczytna? O tak! miłość ta nie od człowieka pochodzi, ale od Boga, który go stworzył, a stwarzając doznał pierwszy jej uroku; który nie mógł być ojcem bez poczucia ojcowstwa w sercu i który umieściwszy swoje dziecko na pełnej niebezpieczeństw ziemi, nie przestał niem się zajmować, opiekować, bronić je, skłaniać się ku niemu, nietylko już przez wspaniałomyślność, ale przez dobroć, przez miłość!

IV.

Uczyńmy krok trzeci.

Wśród tego tak pięknego świata, którego harmonia świadczy o wielkim artyście, jakiemże jest właściwie stanowisko człowieka? Tylko cośmy mówili, że jako władca przychodzi na ziemię. Ale czy jako władca od nikogo niezależny? Wszystko, co jest pod nim, słuchać go winno, ale czyż ponad nim niema nikogo, komuby on był winien posłuszeństwo? Nauka wykazała nam co tylko, stale wznoszące się stopnie stworzenia; od minerału do rośliny, od rośliny do zwierzęcia, od zwierzęcia do człowieka. W takiem znaczeniu, jak to pojmuje Darwin jest to fałszem; ale samo w sobie wszystko to jest prawdziwe i piękne; i wszystko to mówi nam, że człowiek nie jest ostatnim wyrazem stworzenia, i że od niego musi ono jeszcze wznieść się do Boga, jego początku i pana. I dlatego to naukowa niewiara tak usilnie przeczy istnieniu Boga Stworzyciela. Bo przypuściwszy Stworzyciela, jakżeby mogła nie uznać Prawodawcy i Pana?

Dosyć zresztą jednego wejrzenia na człowieka, ażeby zrozumieć prawdziwy porządek rzeczy, aby zobaczyć, że Bóg jest panem a człowiek, pomimo swych zadziwiających nauko-

wych odkryć, stworzeniem pokornem, słabem i zależnem. Teologowie określają Boga: istota sama przez się —*Ens a se.* Możnaby człowieka określić: istota przez inną—*Ens ab alio.* Bo kiedyż to przychodzi on na świat? kiedy go zawołają. A kiedy go opuszcza? Gdy jest z niego wypędzony. Pomiędzy tą kolebką zaś, dla której nie wybierał miejsca, godziny ani kształtu, i jeszcze bardziej niezależnym od jego woli grobem, jakąż jest ta ziemia, na którą przybywa zapłakać chwilę? Ziemia, która nie do niego należy, która istniała przed nim, istnieć będzie po nim, ziemia tak widocznie należąca do kogo innego, ziemia nakoniec, której wszystkie wysiłki naszego geniuszu zdołały zaledwie porysować naskórek i która unosi nas w przestrzeni nie jako rządzącego nią króla, ale jak dziecko, które tuli do łona. Człowiek przychodzi, kiedy go Bóg zawoła; odchodzi, gdy go odwoła, zamieszkuje we łzach ziemię nie swoją: tak było wczoraj, tak jest dzisiaj. Nie widzę, coby w tem mógł zmienić nasz naukowy postęp.

Prawda, żeśmy odkryli siły natury, jej tajemniczą a nieobliczalną energię. Są one pokonane i do usług naszych obrócone; posłuszne nam są wszakże tylko pod tym warunkiem, że my pierwsi przystosujemy się do nich. Pięknym jesteś, człowiecze, na twym ognistym parowozie. Podziwiam uległość, zgodną siłę ogromnych twych dźwigni, poruszanych przez parę. Nie waż się jednakże naruszyć któregobądź z zasadniczych praw przyrody: kocioł wyleciałby w powietrze i ty z nim razem. Swoim kosztem dowiedziałbyś się, biedny władco, żeś panem przyrody tylko pod warunkiem, że będziesz posłusznym prawom Tego, który ją stworzył.

A jak się ta zależność uwydatnia coraz wyraźniej, gdy badamy szczegółowo nasze codzienne czynności!

Wszystko zaczynam, nic skończyć nie mogę. Sieję, lecz potrzeba mi słońca, deszczu, rosy. Działam, a kiedym już wszystko obrachował naprzód, do powodzenia trzeba mi jeszcze czegoś niezależnego odemnie. Co to jest to coś? tego ludzie nie wiedzą. Nazywają je przeznaczeniem, przypadkiem, losem szczęścia. Fénelon prawdziwiej to określił: „Człowiek zabiega, Bóg go prowadzi". Przysłowie ludowe wyraża to niemniej dosadnie: „Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi" Cóż tu zmienił postęp w naukach?

A cóż powiedzieć o życiu? Dziwną jest słabość człowieka! Żyję,—lecz czegóż trzeba, aby mię zabić? Okno niedomknięte, drzwi otworzone, najmniejszy jakiś przeciąg — i otom martwy. Przechodzę przez życie, jak się przechodzi przez podwórze, osłaniając ręką od wiatru drżące i gasnące światełko świecy; ciągłem zajęty ochroną mego biednego życia,

a jednak to się mi nie udaje. I najmniej pewnem, najbardziej na przypuszczeniach opartem, najmniej mającem u ludzi wiary, są właśnie nauki ku temu najpotrzebniejsze. Bo i jak też daleko zaszła sztuka lecznicza? Jakie postępy uczyniła medycyna? Przez ciąg sześciu tysięcy lat nauka nie potrafiła przedłużyć nam życia ani o godzinę, dodać choćby cala do naszego wzrostu, lub ująć jednej zmarszczki naszym czołom. Prawda, że rachujecie na przyszłość dla osiągnięcia tego postępu. „Któż wie,—powiadacie,—czy nauka, pani życia, nie zmieni jego warunków? czy wszystkowiedząca biologia nie da nam żywota wiekuistego? [1]). Oto do jakich rojeń doprowadza was szalona pycha nauki!

Ale ponieważ urzeczywistnienie tego postępu warunkujecie setkami milionów lat rozwoju chemii, ludzkość dziękuje wam za wasze dobre chęci. Umiera i nie ma czasu czekać."

Tak, umiera; przemija jak fala. Gdzie byłem? com czynił wczoraj? Już nie pamiętam. Gdzie byli, wczoraj, ojciec mój, dziad, pradziad? Szukam ich śladów — zatarte. Jest jakaś chmura, która w miarę, jak postępuję naprzód, toczy za mną i na mnie zapomnienia fale. Zapominamy wszystkiego, nawet samych siebie. Tracimy się z każdą chwilą. Oto jest życie. A jutro, gdzie będę? Szczęśliwym będę, czy nędzarzem? wielkim, czy małym? bogatym, czy też ubogim? Gdzie umrę? Kiedy? Któż może ręczyć za dzień jeden? co mówię! za godzinę? Jasnem jest, żeśmy w ręku Innego.

A jeżeli tak, to czyż ten Inny nie powinien kierować nami i rządzić? W gruncie rzeczy, dlaczegóż tak staramy się dowieść, że Bóg się nami nie zajmuje? Czyż nie dla zyskania sobie prawa nie zajmowania się Nim? I w istocie, dwie te rzeczy idą jedna za drugą. Nic Mu nie jesteśmy winni, jeżeli nie raczy rządzić nami. Jakiż mielibyśmy obowiązek postępowania jak poddani, gdyby On nie raczył postępować z nami jako władca?

Ale On tak właśnie postępuje. Czuwa nad ludzkością, kieruje nią. Ludzkość wie to i czuje. Tylko, że rządy Boże są arcydziełem łagodności, cierpliwości, dyskrecyi, poszanowania swobody. Człowiek niecierpliwi się i druzgocze. On nigdy. Czeka poza zasłoną. Zadawalając się boskiem skojarzeniem swego prawa z przeznaczeniami ludzkości, a nawet z losem każdej duszy, pozostawia On człowiekowi ukaranie samego siebie. Każde przestąpienie jego rozkazów odbija się

---

[1]) Renan, *Revue des Deux Mondes*, 1861.

złowrogim acz niewidzialnym ciosem nawet w fizycznem naszem życiu. Posuńcie bunt dalej: oto rodzina się rozprzęga. Nie powstrzymacie się: chwieje się społeczeństwo. Klęski bez nazwy, wojny domowe, niewytłómaczone upadki biorą na się wykazanie tak społeczeństwom, jak i duszom, że nie jest się bezkarnie nieposłusznym Bogu. On rządzi światem, a pierwszym Jego ministrem jest logika.

V.

Widzieliśmy już powyżej wiele przymiotów Boga, skłaniających Go ku człowiekowi: Jego wspaniałomyślność, dobroć, miłość ojcowską, władzę. Dotknę tu jeszcze jednego, najszczytniejszego ze wszystkich: świętości.

Bóg jest Świętym, Świętym nad Świętymi. Wolą Jego było też, abyśmy z wolnego wyboru zostali tem, czem On jest z natury swojej. Według tego planu utworzył świat i tem dał dziełu swemu godne siebie uwieńczenie, a z życia człowieka uczynił tak wzruszający dramat.

Wiecie co to jest dramat? To piękność, sprawiedliwość, odwaga, honor wobec jakiejś przeszkody. To następnie przezwyciężenie przeszkody ofiarą, za czem idzie tryumf, spoczynek w szczęściu, świetle i miłości.

Takim też jest plan Boga. Człowiek dąży ku dobru, ku wiecznemu i nieskończonemu dobru, które z natury rzeczy jest zarazem szczęściem. Ale zaledwie zrobi krok naprzód, staje wobec przeszkody. Tu cierpienie,—gorzka czara, na której dnie spoczywa wielkość. Tam znów straszna pokusa,—sposobność do cnoty. Człowiek waha się, cierpi, walczy. A Bóg tymczasem krzepi go, wspomaga, pociesza; po ukończeniu zaś walki, wprowadza do spoczynku, do szczęścia.

Są ludzie, którzy ten plan odrzucają. Woleliby oni, ażeby dramat świata był brzydki, śmieszny, wstrętny: chcieliby walki bez przyczyny, ofiary bez nagrody, szczytnych wysiłków odwagi ginących w próżni. Najgorszy artysta jeszczeby zrobił lepiej.

Gdybyż przynajmniej usuwali cierpienie; ale nie, oni tylko odrzucają to, co je łagodzi. W rzeczywistości ludzie cierpią przy każdym systemie. Rodzimy się we łzach, wzrastamy w pracy, dojrzewamy w troskach i odpowiedzialności, starzejemy się w rozczarowaniu, umieramy w boleści. Oto ich i nasze życie!

A przytem, na tej smutnej ziemi, dla dopomożenia sobie w dźwiganiu ciężaru życia, szukamy dusz, naszej duszy pokrewnych. Kochamy, jesteśmy kochani. Zakładamy sobie

gniazdko, zaludniamy je istotami z naszej krwi i kości. Tymczasem dnia jednego zrywa się wiatr zimny, jeden z tych jesiennych wichrów, które rozpraszają zeschłe liście, a gdy potem liczymy naszą rodzinkę, te jasne główki,—dumę naszą i nadzieję, nie doliczamy się ich! A jeżeli drogie te istoty i dojdą lat męskich, oddajemy je ojczyźnie, poświęcamy honorowi.

Takim jest los nas wszystkich. A jeżeli widok naszych nieszczęść rozczula bliźniego; jeżeli zwierzęta nawet ze łzami spoglądają na nas; jeżeli drzewa smutnieją, widząc nas błądzących ponuro w ich cieniu,—wy chcecie żeby Bóg pozostał niewzruszonym w głębi swojej wieczności! Żeby nie dopomagał nam zwyciężać cierpienie, lub się przez nie przeistaczać? Jakiegoż Boga wyobrażacie sobie?

Zresztą w ciężkiej tej walce życiowej nietylko boleść i ofiara wstrzymują wpół drogi zbolałego człowieka, ale i zło pociągające a straszne i namiętności które unoszą go w tym wirze, odwodząc od celu, do którego dążyć powinien.

To też są tacy, którzy upadają w walce ze złem, którzy dają się omamić błyszczącym widziadłom. Takich mi żal. Są znów inni, którzy czynią źle bez żadnego wstydu, urągając wszystkiemu, co świętem jest na świecie. Takich nienawidzę; a mojemu wstrętowi ku nim dorównywa jedynie zachwyt mej duszy wobec tych czystych i silnych istot, które ze łzami poświęcają się dla cnoty. Oto czego doznaję ja, człowiek ułomny! A Bóg, nieskończona świętość, niceby nie odczuwał! Czyż On nie widzi tego co dobre, co złe, tych szkaradnych występków, tych wzniosłych cnót? Gdzież jest w takim razie Jego wszechobecność? A jeżeli widzi je, i nie zadrży z oburzenia i miłości, to mniejszym jest odemnie! Mówicie: I cóż to Boga obchodzi? Na to odpowiadam: A cóż to obchodzi mnie?—a jednak ja jestem wzruszony.

Najsympatyczniejszym rysem piękności danej natury jest właśnie jej czułość. Weźcie artystę muzyka; najlżejszy ton fałszywy go porusza. Spójrzcie na człowieka honoru,—unosi się oburzeniem wobec podłości. A któż wypowie łzy serc czystych na widok zła nawet lekkiego? Jednemu Bogu tylko odmawiacie tej szlachetności! Jego tylko sądzicie się w prawie pozbawić tej wielkości!

Źródło sprawiedliwości i świętości, Twórco prawa moralnego i dobra, początku tej wzniosłej wolności, która przez ofiarę prowadzi do cnoty! niech sobie człowiek wyobraża świat, jak chce wielkim, nie uczyni go nigdy tak obszernym, byś nie widział, co się na nim dzieje; i nie pojmie Cię nigdy na tyle obojętnym, pozbawionym czucia i sprawiedliwości, ażebyś na takie widoki spoglądał zimny i niewzruszony! Zawsze wymogi Twej szczytnej natury skłaniać Cię będą do wdawania się

w wielki dramat ludzkości, jako prawodawca, wspomożyciel, sędzia, wymierzający nagrody i kary, niekiedy jako mściciel. A sam spokój, głębokie zadowolenia towarzyszące cnocie w tem życiu, wyrzuty sumienia prześladujące winnego, i przebaczenie, które go podnosi i siła, która płynie z modlitwy i pociecha, która w ciszy nocnej nawiedza serca złamane, czemże są, jeżeli nie widocznym, nieustannym dowodem czułej miłości Boga dla człowieka?

Streśćmy się i zakończmy.

Widzieliśmy w poprzedzającym rozdziale, że człowiek dąży ku Bogu nieprzeparcie. Wznosi się ku Niemu swym umysłem, sercem, sumieniem; swemi radościami, cierpieniami i słabością swoją; całe jego życie jest nieustannem dążeniem do Boga, jako do jedynej istoty, która odpowiada jego potrzebom i pragnienia jego zadowolnić może.

Z drugiej strony ujrzeliśmy w tymże rozdziale, Boga, skłaniającego ku człowiekowi wszystkie Swoje przymioty: wspaniałość, dobroć, ojcowstwo, zwierzchnictwo, sprawiedliwość, świętość, miłość. Bóg więc i człowiek są to dwie istoty, które szukają się wzajem.

Pytam tedy: dlaczegoby nie miało nastąpić spotkanie i kto mógłby przeszkodzić człowiekowi, szukającemu Boga, i Bogu, szukającemu człowieka, spotkać się i zjednoczyć?

ROZDZIAŁ TRZECI.

O prawdziwej istocie religii.

Jeżeli prawdą jest to wszystko, cośmy do tej pory powiedzieli, to jest, jeżeli człowiek dąży do Boga a Bóg do człowieka, z powodów różnych wprawdzie jak ich istota, ale głębokich i wzniosłych ze stron obu: widocznem jest, że musieli się spotkać, bo któżby im mógł w tem przeszkodzić? że muszą być pomiędzy nimi łączniki, stosunki, pewne czyny, podnoszące człowieka ku Bogu i zbliżające Boga do człowieka, religia—jednem słowem; bo religia, jak to nazwa jej sama wskazuje, nie jest czem innem, jak żywym stosunkiem Boga i człowieka, spotkaniem się ich i zjednoczeniem, całokształtem uczynków prowadzących ich, jeżeli tak się poważymy wyrazić, wzajemnie w swe objęcia.

Tak, Bóg i człowiek szukający się wzajem, znajdujący się i łączący ze sobą, oto religia.

Religia nie jest tylko, jak to sobie wiele osób wyobraża

i jak mówił Cyceron w sztucznym i powierzchownym języku pogaństwa, „czcią i hołdem oddanym Bóstwu, *superioris naturae cultum coeremoniamque*“ [1]). Gdyby była tem tylko, gdyby człowiek ze swojej strony dawał wszystko, a Bóg nic ze swojej, religia byłaby najniepotrzebniejszem ze wszystkich urojeniem. Czemże jest cześć, jeżeli Bóg jej nie odczuwa? Czemże modlitwa, która słuchaną nie jest? Pocóż żal, jeżeli za nim nie idzie przebaczenie? Czemże są nakoniec wszystkie czyny człowieka, usiłującego się dostać do Boga, jeżeli nie prowadzą za sobą odpowiadających im czynów Boga, zniżającego się ku niemu? A mówiąc mimochodem, czuje się nawet, że w tem poszukiwaniu i spotkaniu Boga i człowieka, Bóg powinien był zacząć pierwszy, dać jak gdyby hasło, gdyż jest starszym, silniejszym, tkliwszym i pod każdym względem lepszym. Oto, powtarzam, religia w najprostszem swem pojęciu. W czemże pojęcie to może urażać rozum ludzki? Pozostawcie na boku sofizmaty, które zresztą rozstrząśniemy później, a wejdźcie w tę najtajniejszą głąb siebie samych, gdzie się już słyszy tylko głosy z góry: one wam powiedzą następujące prawdy. Bóg i człowiek nie mogą być rozdzieleni przepaścią. Dążą ku sobie dla przyczyn, wielkich jak oni sami. Niepodobna więc aby się nie spotkali. Człowiek winien się ku Bogu wznosić przez uwielbienie, modlitwę, posłuszeństwo, przez żal i miłość; ale trzeba też, by Bóg zniżył się ku niemu; aby przyszedł do człowieka przez pomoc, przebaczenie, dobrodziejstwo, a zatem także przez miłość. To oczywista.

To też ponieważ w tej teoryi prostej i obfitej w skutki, zawiera się wiekuista religia, nieszczędzono jej napaści. Nie mogąc przeszkodzić człowiekowi wznosić się do Boga, bo i jak, niestety, zapobiedz temu, aby nie zwrócił nigdy wzroku do nieba? próbowano wszystkiego, ażeby usunąć i wygnać z religii Boga.

Wiek XVIII-ty mówił: „Człowiek podziwia Boga, czci, Go i przyzywa, zgoda na to; ale niechże nie wyobraża sobie, że może się do Niego dostać. Bóg jest na to za wielki. Przez tę samą swoją wielkość usuwa się przed człowiekiem nieskończoną ucieczką.“ Czy podobna wyobrazić sobie taką religię, a raczej taką mękę Tantala, jak ta, że Bóg uchodzi bez końca od goniącego go wciąż człowieka? Przedziwni byli ci filozofowie!

Ale za dni naszych przewyższono ich jeszcze, bo oto, co powiadają: „Człowiek, czci, uwielbia, wzywa, co? Nic. Bo nic niema. Religia jest rzeczą czysto subjektywną, bezprzedmiotową. Bóg, to tylko stworzony przez człowieka ideał, marze-

---

[1]) Cicer. de invent. lib. II, LIII.

nie jego serca, czcze marzenie, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością". Niemcy to wytwarzają te dziwolągi, a Francya wprowadza je u siebie i podziwia. Natura,—mówi Feuerbach, *z uwielbieniem* przez p. Vacherot'a cytowany,—nie słyszy skarg człowieka, jest nieczułą na jego cierpienia; to też człowiek odwraca się od niej, od wszystkich wogóle przedmiotów widzialnych; usuwa się w swój świat wewnętrzny, ażeby tam nakoniec, zdala od tych obojętnych potęg, módz znaleźć kogoś, coby go słuchał i pocieszał. Tam wypowiada dręczące go tajemnice, daje swobodę uciśnionemu sercu. Ta swoboda dana sercu ta odsłonięta tajemnica, tà wypowiedziana boleść—to Bóg. Bóg to łza miłości, zdala od wszystkich oczu uroniona nad nieszczęściem ludzkiem. Bóg, to nieujęte westchnienie, kryjące się w głębi ludzkiej duszy". [1])

Nie ubliżając p. Vacherot'owi, wszystko to pomimo jego *uwielbienia* jest poprostu śmiesznem. Jakto! moja łza—to Bóg! westchnienie mego uciśnionego serca to Bóg! Bóg byłby modlitwą, która sama siebie wysłuchuje! echem naszych jęków! Oto co wy mówicie, a ja nie miałbym prawa wymówić tu prawdziwego słowa: bezbożność, a co większa: niedorzeczność? Człowiek uchodzi przed niepojmującą go naturą. Zamyka się w sobie, aby wysłuchać siebie i pocieszyć. A to westchnienie, które się mu z serca wydobywa, to Bóg! Innego niema wcale! I wy to nazywacie „nieubłaganą logiką"! Powiedźcież raczej: nieubłagane głupstwo!

Nie, jęk człowieka nie jest Bogiem, ale ten jęk Go przyzywa. On widzi tę łzę gorącą, słyszy to rzewne westchnienie. Nie myli się człowiek, kiedy ucieka od nieczułej na jego cierpienia natury i zamyka się w sobie, szukając „kogoś, coby go usłyszał i pocieszył!" Znajdzie tego „kogoś" a jest nim—Bóg. Następuje zjednoczenie, a nie jest ono nigdy głębszem, jak wtedy, kiedy z łez początek bierze.

Wy, którzy to czytacie, kimkolwiek jesteście, jakiekolwiek są wasze teorje, odpowiedźcie mi szczerze, czy wierzycie, że Bóg was słyszy? czy wierzycie, iż usłyszawszy, może wam odpowiedzieć? Jeżeli wierzycie w to, czyście katolicy, czy protestanci, żydzi, mahometanie, — jesteście religijnymi. Jeśli nie wierzycie, jesteście niereligijnymi, jesteście niedowiarkami w praktyce. Macie Boga tylko dla formy, ażeby uniknąć śmieszności, lub może wyrzutów sumienia, że w Niego nie wierzycie.

Bóg, który mnie nie słyszy, lub mi nie odpowiada, toć nie Bóg, — to bożyszcze. Religia, która jest tylko monologiem, to nie religia. Jakżebyście mogli mówić długo do

---

[1]) Vacherot *la Religion*, p. 72.

kogoś, któryby wam nigdy nie odpowiadał? Wiekuista czołobitność przed głuchym i niemym nie byłaby godną ani Boga ani człowieka. Nie można określać religii, że jest całokształtem *obowiązków człowieka względem Boga*, bez dodania, że jest jednocześnie *całokształtem obowiązków Boga względem człowieka* [1]). Inaczej byłoby to czemś fałszywem, a co gorsza, szkodliwem; bo widząc w religii tylko człowieka, zapomina się w końcu o Bogu. Zaciera się On i znika.

Jeżeli zatem, religia nie ma być smutnem złudzeniem potrzeba koniecznie ażeby między Bogiem i człowiekiem były akty zobopólne, akty Boga względem człowieka, jak są akty człowieka względem Boga; coś, coby *wiązało* Boga z człowiekiem, jak jest coś, co człowieka *wiąże* z Bogiem. Potrzeba węzła, punktu zetknięcia, gdzieby te dwa wiązadła stykały się i zacieśniały.

Jest to zresztą właściwe znaczenie, źródłosłów wyrazu *religio*, tak też był on zawsze przez najlepsze umysły rozumiany i objaśniany. Pochodzi on od słowa *religare*, który znaczy *wiązać, związywać, łączyć*. Tak go pojmowali Tertulian, Laktancyusz, święty Augustyn, Hieronim, a w nowszych czasach Bossuet, Fénelon, Pascal, Leibnitz. Zacytujemy tu tylko Bossuet'a, w którym zawiera się i cała starożytność kościelna i zdrowy rozsądek czasów wszystkich: „Wszystkie uczynki religijne w Bogu cel swój mieć powinny, a właściwością religii jest łączyć nas z tą pierwszą Istotą. Św. Augustyn nas uczy, że z tego to źródła wzięła religia swą nazwę: *Religio dicitur eo, quod nos religent omnipotenti Deo*— Religia bierze swą nazwę stąd, że nas łączy z wszechmocnym Bogiem.“ [2]) Wiąże nas ona, łączy, jednoczy z Bogiem, to zjednoczenie jest jej definicją.

Przyznam się wam, że czytając tę teologię, tak piękną i głęboką, a tak mimo to prostą, czuję żal do nowoczesnych teologów, którzy zamiast trzymać się tego wielkiego pojęcia religii, przyjęli prawie wszyscy sztuczne określenie Cycerona i zredukowali ją do obowiązków czci, chwały, dziękczynienia, jakie człowiek winien jest Bogu. Określenie jak powiedziałem, sztuczne; nawet niedokładne, ponieważ nie zawiera w sobie istoty religii, a jedna z dwóch jednoczących się stron ma tam nic nie znaczącą rolę; niebezpieczne nakoniec, z powodu tej ogólnej skłonności nowoczesnych umysłów, ażeby

[1]) Bóg miał zupełną swobodę stworzenia lub niestworzenia człowieka. Ale stworzywszy, nie miał prawa go opuścić. *Winien* był sam sobie przyjść mu z pomocą. W Nim samym było źródło obowiązków, które zaciągnął dobrowolnie względem swego stworzenia. Ale obowiązki te istniały i odpowiadały obowiązkom człowieka.

[2]) Bossuet, *Oeuvres complètes* t. VI, p. 47.

sprowadzić religię do czci oddawanej Bogu z oddali, do teoretycznego uwielbienia niewidzialnego.

I to nietylko wielkie umysły pojęły religię w ten wzruszający sposób; rozumiały ją zawsze tak samo całe narody. Zawsze była w ich oczach boską zarazem i ludzką, zespołem aktów łączących człowieka z Bogiem i Boga z człowiekiem, i nietylko boską i ludzką, ale i najbardziej boską, i najbardziej ludzką ze wszystkich instytucyi. I w istocie niema też żadnej, gdzieby Bóg i człowiek w tak niezrównanym spotykali się stosunku. Człowiek przynosi tam wszystko, co ma najwznioślejszego, najszczytniejszego, bosko pięknego: swoje święte pragnienie prawdy, sprawiedliwości, doskonałości moralnej, swą namiętność do nieskończoności. Bóg przynosi swą świętość, swój majestat swą tkliwość i swe miłosierdzie. Włożył w religię wszystko, co w Nim jest pięknem, słodkiem, dobrem, świętem, wielkiem; a ponieważ rzecz tak się ma i z człowiekiem, łatwo pojąć, że nic nie może się z nią równać pod względem żywotności, trwałości, płodności, piękności moralnej. Jak sam Bóg odwieczna, powszechna jak człowiek, jak jeden i drugi niespożyta, przebywa wszystkie czasy, wszystkie miejsca; stawia czoło wszelkim burzom; zawsze czysta w tej nieskazitelnaj swej części, która pochodzi od Boga; piękna i w tej drugiej, którą dotyka ziemi, godna czci, pomimo słabości człowieka, który nie może się jej tknąć bez udzielenia swych niedostatków; zawsze płodna, bo dająca początek każdej cnocie, każdej moralności, każdej wiedzy, każdemu prawodawstwu, wszelkiej poezyi czasów dawnych i obecnych, wznosi ona ponad opary unoszące się z ziemi, swe promienne czoło, na którem jaśnieje piękno zarazem boskie i ludzkie, w niewymownej harmonii ze sobą złączone. Ludzkość znalazłszy ją u swej kolebki, nad swoim grobem ujrzy ją jeszcze, słusznem jest bowiem, ażeby w tem spotkaniu Boga i człowieka, gdzie tak wielką rolę gra miłość, Ten, który więcej kocha, miał pierwsze i ostatnie słowo.

II.

Religia jest więc szukaniem się i spotkaniem Boga i człowieka, stosunkiem ich wzajemnym. I w tem to leży, nadmieńmy to mimochodem, wielka różnica między religją a filozofią, różnica tak nieraz nadaremnie szukana, tak źle rozumiana. Zapewne, religia i filozofia tensam mają przedmiot: Boga. Ale filozofia jest nauką, religia obcowaniem. Filozofia uczy nas rozważać Boga, religia nas ku Niemu prowadzi. Czego brak najwyższej nawet filozofii, to dwóch sił, które re-

ligia, skażona nawet, posiada zawsze: siły wznoszącej, która człowieka prowadzi w objęcia Boga, i zniżającej. która ściąga Boga w objęcia człowieka. Usuńcie religię; Bóg już się nie zniża, człowiek się nie wznosi, albo, jeżeli się wznosi, to umysłem, nie duszą. Jednem słowem, Bóg pozostaje Bogiem, człowiek człowiekiem, jeden w niebie, drugi na ziemi. Niezmierzona przepaść, *chaos magnum*, nie przestaje istnieć przy filozofii. Religia zarzuca most na nią.

Stąd wniosek, że religia i filozofia mogą przebywać w ludzkiej duszy razem; nie różnocześnie i kolejno, jak mówi p. Vacherot, utrzymujący, iż za pojawieniem się filozofii religia uchodzi, ale razem, jak dwie kochające się i pomagające sobie wzajem siostry. Jedna, córa człowieka, ukazuje mu Boga i rzuca nań światło swojego geniuszu. Druga, córa ludzka i boska zarazem, ukazuje też Boga, i rzuca światło, ale podwójne. niebieskie i ziemskie, a co większa, daje Go nam. Ani zazdrośne, ani współzawodniczące, a tem mniej sobie wrogie, siostrami są sobie i obie przyczyniają się do uświęcenia związku i umilenia stosunku pomiędzy Bogiem a człowiekiem.

Ale nie ociągajmy się dłużej i przystąpmy do drugiej kwestyi.

Religia, jakeśmy to już powiedzieli, jest dążeniem ku sobie i spotkaniem się ze sobą Boga i człowieka. Skądże to dążenie? W jakim celu połączenie się? Oczywiście, ażeby u stron obu zadowolnić święty pociąg popychający ich ku sobie, a zadowolnić w sposób, któryby ich obu był godzien.

To też, ponieważ dla zjednoczenia się dwóch rozumnych istot potrzeba koniecznie, aby umysł, wszedł w grę najpierwszy, człowiek przynosi naprzód swój umysł, ten umys niespokojny, żądny wiedzy i doświadczenia,—ten rozum, który wie tyle rzeczy, ale tyle innych roi i przewiduje; a Bóg zbliża do niego nieskończoną swą inteligencję, swój umysł wielki i świetlany; nie dla przytłumienia jego ludzkiego rozumu, jak utrzymuje bezbożność, ale przeciwnie, ażeby go wzbogacić, ażeby człowiek lepiej zobaczył to, co już dostrzegał, ażeby poznał nawet rzeczy, o których nie mógł mieć wyobrażenia.

Następnie przynosi człowiek swe serce, to serce stworzone do miłości, tak do niej stęsknione na ziemi i tak w niej słabe; a Bóg zbliża do niego swoje serce, nie dlatego zaprawdę, ażeby serce człowieka wyziębić, lecz żeby je rozgrzać; żeby w tem zbliżeniu poczerpnęło ono siłę kochania lepiej, kochania zawsze, w jedności, wiekuistości, świętości, kochania zarazem Boga i ludzi: Boga w ludziach, a ludzi w Bogu.

Nakoniec człowiek przynosi życie swoje, to życie, które

pragnie być szczęśliwem, a upływa w nieustannych bólach, rozczarowaniu, blizkie wygaśnięcia; Bóg zaś zbliża do niego swe życie nieskończone, ażeby mu dać siłę, pociechę, radość, pokój, w oczekiwaniu pełności życia i nieśmiertelności.

To są trzy pierwiastki związku Boga i człowieka, tego szczytnego zjednoczenia, noszącego nazwę religii. I nie mogą one być inne: bo człowiek ma w sobie tylko te trzy składowe pierwiastki: rozum, serce i życie; Bóg również, pomimo szczytnej tajemniczości i bogactwa niepojętej swej natury; to też nie będzie związku pomiędzy Bogiem i człowiekiem, nie będzie zupełnego zjednoczenia, jeżeli nie będzie połączenia rozumów, serc i życia.

To, co tu mówimy, stwierdza nam historja; a piękna, zaledwie się rozwijająca nauka porównawcza religii, której chcianoby użyć jako broni przeciwko religii, ale która jej niebawem nowego doda blasku,—wykazała to już nam w świetle najpiękniejszem. Wykazuje ona w istocie na całej powierzchni ziemi, nietylko tę myśl, że religja jest stosunkiem Boga i człowieka, porywem duszy ku Bogu i Bogu ku duszy—to, powtarzam, jest wszędzie i tworzy zasadę wszelkich religii,—ale to także, że związek ten wszędzie jest potrójny, i to taki, jak to powyżej wskazałem: związek umysłu, serca i życia.

I w rzeczy samej otwórzcie święte księgi, badajcie wszystkich historyków, opisy podróżników,—co znajdziecie na dnie w każdej religii? Oto trzy rzeczy:

1) Dogmat. Ale cóż to jest dogmat? To słowo Boga do człowieka, wymówione *po ojcowsku*, *po synowsku* przyjęte. To człowiek, który chce wiedzieć, zbliżający się do wiedzącego Boga. To Bóg wszechwiedzący, zbliżający się do dowiedzieć się pragnącego człowieka. To rozmowa Boga i człowieka, wzniosły dyalog pomiędzy Ojcem, Bogiem i córą, ludzkością. Oto czem jest dogmat. Cóż może być prostszego i jaśniejszego?

Muszę jednakże przyznać, że pod tym względem w najlepszych nawet dziełach spotyka się często zapatrywania ciasne i mogące zaćmić prawdziwą ideę, czyste i światłe pojęcie dogmatu. Utrzymuje się w nich, iż Bóg dlatego tylko przemówił do człowieka, ażeby podtrzymać upadający jego rozum. I oto napada się na ten rozum, poniża go, okrywa wzgardą, wykazuje jego nieudolność i niemoc, aby wyciągnąć z tego wszystkiego wniosek, iż koniecznem było, żeby Bóg przemówił.

Rozum, słysząc te dowodzenia, podnosi bunt, stroni od religii, będącej dla niego upokorzeniem jedynie, albo, jeżeli się jej ima, to ze wzdryganiem.

Stawia się w ten sposób religię na stanowisku wrogiem względem natury ludzkiej; podkopuje w wielu umysłach podstawy gmachu, który miano umocnić, i dostarcza przeciwnikom zaszczytu bronienia najszlachetniejszych władz człowieka i dochodzenia jego praw najbardziej nietykalnych.

Tymczasem tak nie jest. Bóg przemówił nietylko z konieczności. Przemówił, gdyż jest ojcem, a dla ojca szczęściem jest rozmawiać z dziećmi. Czyż ojciec wtedy tylko do syna się odzywa, kiedy widzi, że ten nie może zrozumieć czegoś bez niego? Postępuje tak czasem, ażeby skłonić go do pracy i przyjść mu z pomocą. Ale pozatem rozmawia z nim ciągle, wymienia z nim myśli; dwie dusze zlewają się w jedno. Pójdźcież i powiedzcie temu ojcu, żeby milczał, bo syn go nie potrzebuje. Zniweczycie rodzinę, społeczeństwo. Z rozmowy uczynicie chłodny i nudny monolog. Tak samo rzecz się ma z religią; Bóg nie dlatego tylko przemawia do człowieka, że ten ostatni jest ograniczony. Podwójcie, potrójcie jego geniusz, jeszcze Bóg przemawiać do niego będzie, inaczej bowiem nie byłoby wcale religii. Religia jest związkiem dusz, a przedewszystkiem umysłu z umysłem.

Bezwątpienia Bóg, przemawiając do człowieka, powiedział mu rzeczy, których on sam nie odkryłby, rzeczy nieskończone. Nie mogło być inaczej, ponieważ umysł Jego jest nieskończony. Mały umysł mówi rzeczy małe, wielki— wielkie; umysł nieskończony, z konieczności mówi rzeczy nieskończone;—ale nie dlatego przemówił.

Nie ulega wątpliwości że ponieważ Bóg, nie poprzestając na osypaniu nas darami przyrodzonymi, postanowił wznieść nas daleko wyżej, do stanu, który miał przewyższyć nieskończenie wszystkie pragnienia naszej duszy, potrzeba było, ażeby nam to powiedział, bo inaczej nie wiedzielibyśmy o tem nigdy. Ale prawdą jest niemniej, że nie w tem jeszcze leży ostatnia słów jego pobudka. I bez tego cudownego pomysłu swej miłości, jeszczeby był przemówił. Dlaczego? Ponieważ jest ojcem i chciał mieć stosunki ze swemi dziećmi; ponieważ religia jest zbiorem tych stosunków, towarzystwem, obcowaniem, a obcowanie umysłów odbywa się za pośrednictwem słowa. Pierwszą więc zasadą wszelkiej religii jest dogmat, czyli słowo wymówione *po ojcowsku*, a *po synowsku* przyjęte.

2) Moralność. A cóż to jest moralność? To reguła postępowania dana *po ojcowsku*, wykonywana *po synowsku*. To miłość, stanowiąca prawa, i miłość, je przyjmująca. To Bóg kierujący, ponieważ kocha, i człowiek dla tej samej przyczyny kierować sobą dający. Oto przewodnia myśl moralności, którą odnajdujemy wszędzie. W szczegółach są tu więc zape-

vne błędy, nadużycia. Nie w tem rzecz. We wszystkich religiach Bóg człowiekiem kieruje, a człowiek daje sobą kierować Bogu. Miłość tworzy prawa moralności, i miłość je wypełnia. Moralność — to zetknięcie się serca ludzkiego z sercem Boskiem, ażeby pierwsze stało się godniejszem drugiego. Wszystko to jest wszędzie, często w zarodku, ledwie zarysowane, czasem nawet wynaturzone; ale nigdzie niema religii bez moralności, ani moralności bez zespołu miłości *ojcowskiej*, która rozkazuje, i miłości *synowskiej*, która słucha.

7) Kult, rytuał, modlitwa. Oto trzeci składowy żywioł religii, a widocznem jest zaraz, co go stanowi. To pomoc wybłagana *po synowsku*, a udzielona *po ojcowsku*. To słabość, wzywająca siły na pomoc; to siła, słabość wspomagająca. To życie potężne, bogate, obfite, nieskończone, które jednoczy się z życiem słabnącem, ażeby je zasilić. I to także jest powszechnem. We wszystkich religiach człowiek modli się, gdyż czuje się słabym, i wzywa Boga na pomoc. Wszędzie jest modlitwa poufna i modlitwa publiczna. Jest modlitwa uroczysta, uroczystsza, najuroczystsza, której towarzyszą jęki i wołania serdeczne. I wszędzie jest też wiara, że modlitwa wysłuchaną będzie. Wszędzie są obrzędy sprowadzające pomoc Bożą, formuły pełne nadziemskiej siły, akty, przez które ludzie uczestniczą w życiu Boskiem, za pomocą których do swego wyczerpanego i gasnącego życia wnoszą życie nieskończone.

Taką jest w zasadzie wszelka religia. Jest ona nietylko obcowaniem rzeczywistem, istotnem, skutecznem, Boga z człowiekiem; ale obcowaniem potrójnem, obcowaniem umysłu z umysłem, serca z sercem, życia z życiem, czyli zjednoczeniem dusz zupełnem. Czyż was nie zdumiewa zgodność taka? Kto mógł zaprowadzić tak cudowną jedność pomiędzy tylu ludami tak różnymi pochodzeniem, językiem, obyczajami, naturą, cywilizacyą? pomiędzy tylu sprzecznemi z sobą religiami? Usuńcie w myśli błędy, zabobony, będące dziełem człowieka; czyż w głębi wszystkich religii nie widzicie przebłyskującej religii prawdziwej? Bo jedna jest ona tylko, jak jest jedna logika, arytmetyka, moralność, sprawiedliwość; a ta jedyna religia ma tylko jeden cel, jedno zadanie: łączyć człowieka z Bogiem i Boga z człowiekiem.

Jeden to z pierwszych i najpiękniejszych wyników świeżo zapoczątkowanych studjów porównawczych nad religiami, studyów, do których wiek XVII nie był zdolnym dla braku pomników; wiek XVIII jeszcze mniej, ale z innego już powodu, a mianowicie, że nie chciał widzieć tych pomników, jakie się zjawiać zaczynały. Przelsięwziął je wiek XIX, a omylą one nadzieje i plany wrogów religii; podczas, bowiem, gdy oni

spodziewają się w tych mnogich religiach znaleźć zaprzeczenie religii, zaczerpnie w nich ona większą jeszcze jasność i piękno, odnajdzie najlepsze swe prawa i najbardziej niezbite dowody.

Im gruntowniej w istocie, zbadanemi będą religie starożytne, tem się dowodniej okaże, że żadnej nie wymyślił człowiek sam. Wszystkie są wzięte, naśladowane, odwzorowane z najpierwszej, powszechnej i wiecznej religii. Jeden jest tylko typ, a poza nim są tylko jego naśladownictwa. A ponieważ typ ten, acz od Boga dany, ma niemniej swe podstawy w najtajniejszych głębiach ludzkiej duszy, jeden tylko jest i może być porządek, prawdziwy w religii, naśladowany w *religiach*. Głębsze badanie ksiąg świętych i podań rodzaju ludzkiego, coraz lepiej wskazywać to będzie. Ludzie ujrzą wtedy ze zdumieniem, że w tych różnych formach jest ta sama treść Boska; akty jednakowe wszędzie, które wznoszą ludzi do Boga, i akty również wszędzie jednakowe, które Boga do ludzi sprowadzają. A widząc, że na całej powierzchni globu religia była zawsze skutecznem obcowaniem Boga i człowieka, zrozumieją, że instytucya ta nie ręką ludzką utworzona została. A w miarę dociekań nad rodowodem i skażeniem tych religii, zaczną oni pod temi szpecącemi je osłonami przeczuwać, aż ujrzą jasno i uznają religię jedną, prawdziwą, niewzruszoną i wiekuistą.

Godnem jest albowiem uwagi, że tam nawet, gdzie się wkradł błąd, nie mógł on naruszyć istoty religii. Istota, rzeczy, jest poza obrębem i powyżej mocy ludzkiej, tak w religii, jak i we wszystkiem innem. Religia pozostała tem, czem Bóg ją uczynił. Odnajdujemy ją na dnie wszystkich ksiąg świętych, zarówno w Wedach, Zend-Aweście, Koranie, jak w Biblii z tą samą fizyognomią, temi samemi cechami. Wskażcie mi księgę świętą, świątynię, naród, jakiekolwiek dzikie plemię, gdzieby religia nie była stosunkiem Boga z człowiekiem, potrójnym stosunkiem umysłu, serca, życia całego. Pokażcie religię, gdzieby nie było dogmatu, moralności, kultu. Pokażcie bodaj jedną! Błąd nie naruszył tego granitu. I równie jak fizyognomii ludzkiej nie mogły odmienić ludzkie namiętności, ani różne nieba, i na obliczu Kafra i Hotentona zarówno, jak Greka i Francuza odnajdujemy zasadnicze rysy ludzkiej twarzy,—tak samo w *religjach* nic naruszyć nie mogło głównej treści boskiego dzieła; i dosyć jednego spojrzenia, ażeby pod szpecącemi je odsłonami odnaleźć prawdziwą, powszechną i niewzruszoną religię.

III.

Idźmy wszakże dalej. Trzeba bowiem głębiej jeszcze wniknąć w budowę religii, by zobaczyć, jak ten gmach jest prosty, naturalny i jako doskonale odpowiada on temu, co w naś jest najlepszego.

Religia jest więc spotkaniem się Boga i człowieka, ich zjednoczeniem. Widzieliśmy, dlaczego się oni łączą: oto idą za skłonnością, która ich wzajem zbliża ku sobie. Obecnie kiedy już wiemy *dlaczego*, trzeba starać się dowiedzieć *jak*? Otóż jak się łączą? jak się duch łączyć może z duchem? serce z sercem? w jaki sposób siła może połączyć się ze słabością? Bóg jest duszą, człowiek także; jakże jednoczą się dusze? Trudno będzie zbadać bliżej tę kwestję bez rzucenia nowego światła na istotę religii.

Zastanawiając się głęboko nad duchową naturą człowieka, widzimy w niej dwa szeregi odpowiadających sobie aktów. Naprzód akty wyosobnione, osobiste, nie śmiem rzec egoistyczne, dla ujemnego znaczenia tego słowa, przez które człowiek, skupiając swe życie w sobie, podnosi je do najwyższej potęgi. Potem, akty stosunku, przez które wychodzi z siebie, a czując się osamotnionym i słabym, zawiązuje stosunki z tem, co go otacza, dla zaczerpnięcia nowych zasobów i sił. To przypływ i odpływ ludzkiej duszy, podwójny ruch życia, jego melodja i harmonia.

Przyjąwszy to za pewnik, zbadajmy najpierw, jak się to odbywa w jego rozumie.

Człowiek przygląda się swemu otoczeniu, zastanawia się, sądzi, porównywa, wyprowadza wnioski: to jest akt pierwszy, akt rozumu, akt odosobniony, którego piękność podnosić jest zbytecznem po Kartezyuszowem: „Myślę, więc jestem."

A obok tego pierwszego aktu, mniejsza, czy bezpośrednio po nim, czy może przed nim, wykonywa człowiek drugi, również piękny, równie niezbędny dla pełni życia jego inteligencji. Napotyka drugi umysł, pyta go, wierzy mu; i drugim tym aktem wchodzi w stosunek z innym duchem: wzbogaca się jego myślami; przestaje być odosobnionym, jałowym pyłkiem; wchodzi w harmonijną społeczność duchów. Dziecko pyta ojca i wierzy jego słowu; uczeń wierzy mistrzowi, żona mężowi, chory lekarzowi, żołnierz wodzowi, a człowiek swemu Bogu; inaczej nie byłoby ani rodziny, ani przyjaźni, ani miłości, ani społeczeństwa, ani religii.

Ludzie powiadają: „Mam swój rozum i ten mi wystarcza." Tak jest w pewnych rzeczach, ale nie we wszystkich.

Nacóż, naprzykład, przydaci się twój rozum, gdy jesteś chory? Przyzywasz lekarza i ufasz mu, powierzasz mu, twe zdrowie i twoje życie. A w iluż to innych okolicznościach postępujesz nieinaczej! Jednym z najpiękniejszych a najzwyklejszych tego przykładów są ludzie, którzy ufni słowu przyjaciela, powierzają mu żonę, dzieci, majętność i odchodzą bez trwogi, mówiąc: „Śpię spokojnie, mam jego słowo.“ Oto święta podstawa stosunków między ludźmi. Odrzućcie ją; ufajcie jedynie waszemu rozumowi; nie wierzcie nikomu, a niema już dla was ani miłości, ani społeczeństwa, ani pewności, ani życia żadnego. Najświętsze rzeczy opierają się po części na wierze; a więc i religia, gdyż Bóg jest duchem; a w mnóstwie okoliczności jeden jest tylko sposób wejścia w stosunek z duchem, jest nim pytać go i wierzyć jego słowu.

Drugim odosobnionym aktem człowieka, jest wierzyć w siebie samego, liczyć na swoje siły, na swe własne życie, a przez to szlachetne zaufanie podnosić te siły do najwyższej potęgi. Lecz wobec tylu nieprzyjaciół, człowiek jeden tak mało znaczy. To też drugim jego aktem jest pokładać nadzieję w innych, przyzywać inne siły na pomoc swoim. Nadzieja—to drugi akt stosunku, a jej córą jest prośba. Człowiek prosi człowieka, aby otrzymać od niego pomoc; dziecię prosi rodziców, żona męża, wszystkie słabości proszą sił wszelakich, a prosząc, opanowują je. I w tem leży urok rodziny, przyjaźni, społeczeństwa. Co chwila siła mocuje się ze słabością i jest przez nią pokonana. Rozbraja ją prośba. A jeżeli tak jest na ziemi, jeżeli człowiek prosi człowieka i dzięki tej prośbie wyjednywa dla swej słabości pomoc wyższej siły, cóż dziwnego, że człowiek prosząc Boga, wyjednywa sobie Jego pomoc i wsparcie?

Nakoniec człowiek kocha siebie. I niema też w tem nic złego, ani wzbronionego; jest to raczej uczucie nieprzezwyciężone. Ale, dzięki Bogu, który stworzeniu swemu dał prawdziwą piękność, człowiek kocha nietylko samego siebie. Akt ten samotny, zwrócony wyłącznie ku samemu sobie, nie wystarcza mu. Wychodzi więc poza siebie, ażeby kochać, jak wychodzi poza siebie, ażeby wierzyć i mieć nadzieję; i tym ostatnim aktem uzupełnia swoje życie stosunków. Ponad wiarą jest nadzieja, ponad nadzieją—miłość; ponad miłością niema już nic więcej: to dar wszystkie inne w sobie zawierający. Jeżeli więc dla wejścia w stosunek z innemi sercami, potrzeba kochać; jeżeli kochamy ojca, matkę, rodzeństwo, dzieci; jeżeli kochamy tak często, z taką łatwością; jeżeli w braku ludzi kochamy zwierzęta: psa, pająka; jeżeli kochamy kwiaty, drzewa, nieożywione przedmioty; jeśli żyć bez miłości nie możemy,—jakże nie

mielibyśmy kochać Boga? Któż nie widzi, że tylko przez miłość możemy z Nim zawiązać stosunek i że akt ten uzupełnia nasz stosunek z Bogiem równie dobrze, jak nasze stosunki z ludźmi?

Pozostań, jeśli chcesz, w osamotnieniu twem, o człowiecze! Duchu samotny, poprzestań na wierze w siebie; na nadziei w sobie, na miłości siebie tylko; żyj samotnie;—ale życie twe będzie jałowem; nie będzie ci danem stworzyć sobie rodziny, ani nawet dać wytchnąć sercu w przyjaźni. Ażeby stworzyć rodzinę, żeby cieszyć się przyjaźnią, potrzeba wyjść z siebie i oddać się drugiej istocie, trzeba jej dać wiarę, nadzieję i miłość. Jeżeliż więc, sięgając wyżej niż rodzina, przyjaźń, społeczeństwo, chcemy mieć stosunki z Bogiem, z tym wielkim, ukrytym, najbardziej ze wszystkich nieprzeniknionym duchem, uczyńmy tosamo: wyjdźmy z naszego odosobnienia, wierzmy w Boga, miejmy w Nim nadzieję, kochajmy Go. Czemużbyśmy dla zjednoczenia się z Bogiem nie uczynili tego, co czynimy dla zjednoczenia się z najmniejszym z duchów? Dlaczegożbyśmy względem Boga nie mieli doznawać tego potrójnego uderzenia serca, które się zowie wiarą, nadzieją i miłością?

Oto jest religia i oto są *religie*. Niema żadnej, któraby nie spoczywała na tej potrójnej podwalinie i nie prowadziła dusz przez te trzy szczeble niebiańskiej drabiny. Raz jeszcze: czyż to wszystko nie jest proste, rozsądne, harmonizujące z naszą duszą, tłómaczące się samo przez się? I czyż nie jest to rzeczą piękną, że religia ma tensam fundament, co rodzina, przyjaźń, społeczeństwo, i że święty stosunek dusz z Bogiem ma tesame i te tylko prawa, co stosunek dusz między sobą?

Nie mówię, żeby nas nic nie miało kosztować takie wejście w stosunek z Bogiem. Ale czyż nie kosztują nic trzy zwrócone wyłącznie ku sobie akty człowieka: wiara w siebie, ufność w siebie, miłość siebie? Bo i iluż to ludzi siebie samych opuszcza, zdradza nikczemnie, mało i źle kocha! A znów czyż tak łatwymi są akty stosunku z drugimi? Czyż tak łatwo najmilszej nawet istocie dochować zawsze wiary, ufności i miłości? To też i z Bogiem wejść w stosunek nie łatwo. Ale zaledwie dusza się Mu odda, Bóg oddaje się jej nawzajem. Napełnia ją urokiem swej obecności. Stąd to płynie światło rozpraszające wszystkie cienie, stąd niewymowny pokój, zstępujący z umysłu do serca, z serca do sumienia, a który ogarniając całą duszę, wznosi ją ponad życiowe wypadki, ponad choroby, boleści, ponad śmierć samą.

A takim jest ten spokój z posiadania Boga, to głębokie i wzruszające szczęście, za cenę wiary, nadziei i miłości nabyte, że

najwięksi nawet niedowiarkowie odczuwają żal i niepokój w zetknięciu z niemi. „Ach gdybym mógł wierzyć!“ —powiadają. Czują oni, że wiara ożywiłaby ich, że uzdrowiłaby zniewieściałą ich duszę, odnowiłaby zużyte, odarte ze złudzeń życie. Pogoda jaśniejąca na czole prawdziwie religijnego człowieka, zwykły mu spokój, to coś niewymownie słodkiego i czystego, co się z serca na twarzy wybija—przejmuje ich podziwem, wywołując mimowolne westchnienia. A jednak cóż oni widzą? Pewne jedynie oznaki zewnętrzne, słabe objawy obecności w duszy Boga. O! czemuż nie mogą przeniknąć aż do przybytku sumienia, odczuć ten pokój rozumu nasyconego nieskończoną prawdą, tę boską nadzieję, w której gasną wszystkie żądze ziemskie, tę niewymowną miłość, którą się napawa dusza, i tę niewypowiedzianą rozkosz poufnej rozmowy z Bogiem, jak z przyjacielem! Jakiemże uwielbieniem byliby przejęci! A żałując, że nie posiadają tych dóbr szacownych, z jakąż gorliwością oswobodziliby się od krępujących ich więzów, ażeby przez wiarę, nadzieję i miłość dojść do pełnego posiadania Boga!

A to wielkie i wzruszające zjawisko, to wzajemne oddanie się duszy Bogu, a Boga duszy, tłómaczy, dlaczego religia, ciągle zwalczana, odradza się nieustannie. Jest ona ciągle napastowaną, ponieważ człowiek nie może się inaczej z umysłem, sercem, życiem Bożem zjednoczyć, jak przez wiarę, nadzieję, miłość, to znaczy przez potrójne oddanie się, potrójną ofiarę, potrójną cnotę. Odradza się zaś ustawicznie, bo związek ten tak jest słodki, że jego braku nie może znieść człowiek: jest to czar, do którego zawsze się powraca.

IV.

Ale trzeba się wznieść jeszcze wyżej: do tego co jest ostatniem słowem religii, wybitnym i Boskim rysem jej piękności, najwyższą przyczyną jej wiekuistej trwałości.

Powiedzieliśmy już, że Bóg i człowiek szukają się wzajemnie i odnajdują w religii. Pokuśmy się o głębsze określenie i powiedzmy: Bóg i człowiek to dwie miłości szukające się i w religii oddające się sobie wzajemnie. Określenie to przygotuje nas i pomoże nam później do rozpoznania z pomiędzy wszystkich *religii*, tej, która jest *Religią*. Jest to jej nieomylne kryterjum, znamienna cecha jej prawdziwości.

Że wszystko w człowieku sprowadza się do miłości, to nie potrzebuje nawet dowodzenia. Ciałem powoduje duch, duchem wola, wolą miłość. Święty Tomasz powiedział: *Voluntas*

bona, amor bonus; voluntas mala, amor malus. A więc dźwignią człowieka jest miłość.

Powiedział ktoś: „Człowiek jest inteligencją, rozumem." Trzeba sięgnąć dalej, aż do samego jądra, i powiedzieć: „Człowiek jest miłością."

Z tego źródła wypływa w nim wszystko: wielkie myśli, wymowne słowa, bohaterskie postanowienia, największe piękno umysłu, uczucia, czynów; użyteczne życie, chwalebny zgon, wszystko pochodzi z serca, wszystko płynie z miłości.

Faktem jest, że u dusz wielkich gra serce rolę nadzwyczajną. Sercem one myślą, sercem sądzą, sercem działają. I to im daje piękno szczególne a dziwnie urocze, któremu nic się oprzeć nie może.

Taką jest prawdziwa natura człowieka. Napozór uczynił ją Bóg niejednolitą. Ciało, duch, wyobraźnia, pamięć, wola, sąd—ileż to składników! Ale jakże cudownie przeróżne te władze podporządkował. Wszystkie one zmierzają do serca. Co mówię! wszystkie się w sercu jednoczą. I tam to, w tym centrze, umieścił próżnię, bezmierną otchłań, ażeby serce, dążąc ku Bogu, pociągało za sobą całego człowieka.

Widzieliśmy, że z prawdziwej natury człowieka można wyprowadzić logiczny wniosek o prawdziwej naturze Boga; bo Bóg, który nas stworzył na obraz i podobieństwo swoje, posiada to wszystko, co w nas jest wielkiem, z dodaniem nieskończoności! Zatem, jeżeli człowiek jest miłością wynika z tego, że Bóg jest także miłością. Miał o tem niejakie pojęcie Platon, przeczuwał Arystoteles, nauczał Święty Jan: *„Deus charitas est"* [1])—mówił: Bóg jest miłością. To jest Jego prawdziwą naturą, Jego jestestwem.

A do czego ta miłość dąży? Zapewne, powtarzać tego nie przestaniemy, wystarcza ona sobie; nie potrzebuje nikogo; w sobie samej znajduje szczęście, niepożyty swój pokarm. Ale wiecie co się dzieje , kiedy kochamy? Pragniemy, oto, wyjść z siebie, uszczęśliwiać drugich, dzielić się szczęściem naszem. Wielkie serca goręcej od innych potrzebę tę odczuwają. Gdyby więc było serce nieskończone, serce o bezgranicznej tkliwości i miłości, któż powie, czem w niem byłaby ta skłonność, ta niewymowna potrzeba wyjścia z siebie, ażeby swego szczęścia udzielać drugim? Taką jest prawdziwa natura Boga.

Człowiek jest miłością szukającą Boga, ażeby się także nasycić, ażeby zadowolnić w sobie potrzebę oddania się; tak więc Bóg i człowiek są to dwie, poszukujące się wzajem miłości. I oto już zaczynacie dostrzegać, czem jest prawdzi-

[1]) Joan. IV, 8, 16.

wa religia: jest ona wspaniałą świątynią, gdzie się te miłości spotykają.

Tak jest, Bóg kochający człowieka i człowiek kochający Boga,—oto jest religia, oto jej ostatni i najwyższy wyraz!

Bóg, pogrążony w swojej chwale i udręczony, (jeżeli się ośmielimy użyć takiego wyrażenia)—, potrzebą człowieka:

Człowiek pogrążony w swej nędzy i dręczony potrzebą Boga.

Bóg, nie wytrzymujący swej samotności, przyzywający człowieka, szukający go, przychodzący do niego, zstępujący ze stopnia na stopień, z nieba na Synai, z Synai do Żłobka, ze Żłobka na Krzyż, na ołtarz; zatrzymujący się nie pierwej, aż w sercu człowieka:

Człowiek nie wytrzymujący również swego osamotnienia, usuwający przeszkody, wydzierający się stworzeniom, szukający skrzydeł i znajdujący skrzydła wiary, nadziei, miłości; wznoszący się z cnoty w cnotę, z ofiary w ofiarę; nie znajdujący spoczynku aż na sercu Boga.

Bóg i człowiek wyciągający do siebie ramiona, szukający siebie wzajem, jednoczący się ze sobą: oto religia, oto prawdziwa jej natura, jej Boska istota.

I oto zarazem jej niezrównana piękność! Bo jeżeli miłość dla istot nawet ułomnych, tak wielkie czyni rzeczy, cóż uczyni miłość Boga dla człowieka i miłość człowieka dla Boga!

I to jest także jej cechą znamienną, boskiem piętnem jej prawdziwości. Miłość jest nienasyconą; dając wszystko, cierpi jeszcze, że więcej dać nie może; powiedzcie mi tedy, jaka religia będzie największą? czyliż nie ta, gdzie Bóg i człowiek najwięcej dla siebie wzajem czynią? Tak, oto kryteryum porównawcze, oto Tabor, na który trzeba wezwać dla porównania wszystkie religie.

To nakoniec wyjaśnia niepożytość religii, jej wieczną trwałość. Dziwi was to czasem, że nie można wykorzenić religii. Ach, bo na to potrzebaby unicestwić Boga i człowieka. Gdyby bowiem zgładzono tylko człowieka, Bóg na nowo stworzyłby go dla szczęścia kochania go; a gdybyście przez największe z niepodobieństw unicestwili Boga, człowiek tak byłby nieszczęśliwy, tak brakiem Jego udręczony, że, jeśli się tak wyrazić wolno, usiłowałby z kolei Go stworzyć. Nie polityka też to ani strach, ale miłość, miłość zbolała wyrzekła:

„Gdyby Boga nie było, trzebaby Go wymyślić."

Homer wskazuje ocean, otaczający świat, jako kolebkę wszystkich bogów. Myli się. Gdyby Bóg mógł być stworzony przez człowieka, wyszedłby On z pewnością z morza łez

naszych. Powstałby z niewymownych cierpień ludzkiego serca, szukającego Boga, nie znajdującego Go i nie mogącego się bez Niego obejść.

— — —

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Bolesny dramat niewiary. Człowiek bez religii i Boga.

W przeciwstawieniu do tych szerokich, czystych widnokręgów, które religia otwiera przed nami, do tego pokoju w prawdzie, do tej pogody mającej źródło w cnocie, do tej żywotności i do tych sił boskich, trzeba rozpatrzyć bolesny dramat niewiary.

Zamierzam więc tu opowiedzieć, jak on się zaczyna, jaki jest smutny jego wątek i jego rozwiązanie. Nie ogólną wszakże niewiarę mam zamiar malować, tylko naszą, tylko chorobę naszego stulecia. W moim wieku, znam ją już tak, jak gdybym sam jej doświadczył. W tylu już duszach ukochanych a pięknych widziałem jej burzliwy początek, śledziłem z niepokojem jej smutny przebieg; i tyle serc zakrwawionych, tyle inteligencji spustoszonych pozwalało mi dotykać swoich ran! Kilku z mych przyjaciół, z tych niestety, których dziećmi swojemi nazywałem, z ran tych umarło! Ach! tyle cierpiałem nad niewiarą innych, że nie trudno mi ją będzie odmalować. Trzebaby tylko zrobić to z taką delikatnością, piórem tak wzruszonem, sercem tak łez pełnem, w tak tkliwych wyrazach, ażeby to proste przedstawienie rzeczy samo przez się stało za środek zaradczy.

I.

Nieco dawniej, aniżeli przed stu laty, ujrzała Francja zadziwiające zjawisko i widzi je jeszcze bez należytego zdumienia i grozy.

Tem zjawiskiem jest dziecko piętnastoletnie w nic już niewierzące! A raczej są niem tysiące piętnastoletnich dzieci i dwudziestoletnich młodzieńców, którzy nie mają żadnej religii!

Tak; w piętnastu latach rozpoczyna się dziś niewiara. I jest to pierwsza z przyczyn, dla których nazywam ją bolesnym dramatem!

Zapewne, trudnoby mi było zrozumieć człowieka lat czterdziestu, dojrzałego wiekiem i umysłem, któryby, zbadaw-

szy chrystyanizm, odrzucił go; ale przynajmniej z pełnem szacunku współczuciem, skłoniłbym głowę przed takiem nieszczęściem. A tu dzieje się wręcz inaczej.

Wychowałaś oto, matko, dziecko swoje z całą czułością, do jakiej twe serce jest zdolne. Z zazdrosną pieczołowitością czuwałaś nad tem, aby od jego kolebki, jego dzieciństwa odsunąć wszystko, coby ich blask zaćmić mogło. Z uświęconych przez macierzyńską miłość rąk twoich, w wieku lat dziesięciu przeszło ono w inne ręce, kapłaństwem święte, które z poszanowaniem dotykały jego duszy, oczyszczały ją i podnosiły. Potem widziałaś z głębokiem wzruszeniem, jak to dziecko, twoje dziecko, wchodziło do domu Bożego i odbywało tam uroczyście pierwszy publiczny akt swojej religii. Pierwszy to raz, o matko, młoda dusza twojego syna łączy się z Bogiem. Przypatrz-że mu się dobrze; może to i ostatni!

A nie próbuj nań nalegać, choćby tylko łzami. Bo to piętnastoletnie dziecko mogłoby ci odpowiedzieć tak, jak niedawno w mojej obecności odpowiedział syn pewnej zbolałej matce: „Cóż chcesz, matko, żebym robił w kościele? Nie wierzę już w Boga!“

Powiedzą mi może, że to słowo na wiatr rzucone, uniesienie chwilowe. Nie, to początek życia, które potrwa lat dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt. Niejeden umrze nawet, po długiej starości w tym stanie, nie zatrzymawszy ani przez chwilę myśli na tym akcie, który o życiu jego postanowił.

Nowe to i niezrozumiałe zjawisko. Bo zwróćcie uwagę, że zadziwia w niem nie tylko wiek i wczesność upadku, ale i ogrom klęski. Dawniej, w wieku lat piętnastu, dwudziestu, zdarzało się opuszczać niektóre praktyki religijne; mimo to zachowywało się wiarę. Występek mógł skalać chwilowo serce, głęboko nawet, ale trwała w niem wiara w Boga, ufność w Jezusa Chrystusa, modlitwa i resztki miłości Bożej, które najmniejszy podmuch mógł rozpalić na nowo. Dzisiaj wszystkie tamy przerywają się, wszystkie kotwice łamią się jednocześnie. Znika nie tylko wiara katolicka: uchodzi wszelka wiara, gaśnie wszelka religia. Niema już modlitwy, ołtarzy, Chrystusa; niestety, niema nawet Boga dla piętnastoletnich dzieciaków!

Czy zastanowiliście się kiedy nad tym dziwnym okazem, jakim jest uczeń w nic niewierzący? Byłby on śmiesznym, gdyby nie pobudzał do płaczu. Zaledwie wyszedł z dzieciństwa, nie jest jeszcze w stanie zdobyć się na męską myśl, na poważne badanie, a już odrzuca z pogardą to, w co wierzyli po najgłębszych rozmyślaniach taki Bossuet, Pascal, Fénelon, Descartes, Newton, Leibnitz, Euler. Dla niego te sześć tysięcy lat wiary, te osiemnaście stuleci chrystyanizmu, i cudowne dzie-

ła z tej wiary powstałe, to tylko kłamstwo, głupstwo, przesąd i ciemnota. Patrzy na chrystyanizm, a raczej i patrzeć nań nie raczy, a tylko sądzi go i odrzuca. A z nim razem odrzuca wszelką wiarę, religię, sumienie, nawet wiarę w Boga. Wieki dawniejsze nie widziały nic podobnego, a starożytność pogańska zgrozą byłaby na ten widok przejęta. A jednakże tę to młodzież jeden tegoczesny myśliciel nazywa z dumą: „Nasi synowie!“ Ładni ci wasi synowie!

Gdybyż jeszcze smutny ten objaw występował tylko u młodzieniaszków mniej lub więcej zepsutych, nie tak dziwnem byłoby to; zboczenie z drogi obowiązku zawsze rodzi obojętność w rzeczach wiary, i możnaby wytłómaczyć spaczenie ich umysłów, skażeniem obyczajów. Ale smutna choroba, o której mówię, ma zupełnie inny charakter, zadaje kłam wszystkim spostrzeżeniom. Zapada na nią nie garstka młodzieży, mniej więcej zepsutej, ale tłumy całe. Połowa, dwie trzecie płci męskiej we Francyi są dotknięte tą „obrzydliwą chorobą ducha,“ jak jeden z nich powiedział, i tracą wiarę, wszelką wiarę w wieku lat piętnastu.

Skąd to pochodzi? Jak wytłómaczyć upadek tak wczesny, tak niezmierną a powszechną katastrofę? Mówią: Nic naturalniejszego. Namiętności są tego przyczyną. Ale ja odpowiem: Czyż od dzisiaj datują się namiętności? A jednak czyż wydały kiedy co podobnego? Czy kiedy w jakimkolwiek czasie widziano obraz podobnie smutny, jak ten, który ogląda nasze stulecie: na sto dzieci, osiemdziesiąt bez żadnej wiary? Czyż to zresztą rzecz dowiedziona, że zepsucie serca poprzedza u nich zawsze odstępstwo od religii? Czasem towarzyszy mu tylko, czasem nawet idzie za niem. A iluż ich zostaje dobrymi, zachowuje cnotę, dobre obyczaje, wypełnia wszystkie swoje obowiązki oprócz, niestety, obowiązków względem Boga! Nie, wiekuiste namiętności ludzkiego serca, tyle rzeczy tłómaczące, nie wyjaśnią tego stanu tak nowego, nieznanego starożytności, o którym wieki średnie, ani nawet wiek XVII, nie miały najmniejszego pojęcia, któryby je przejął oburzenia pełnem zdumieniem, i który, jako właściwość XIX-go stulecia, pozostanie na zawsze bolesną jego cechą.

Ale co mówię, nawet dzisiaj nie spotyka się nic podobnego, ani w Anglii, ani w Ameryce, ani w Prusach, ani w Rosji, ani w Hiszpanii, ani we Włoszech, ani w Polsce, ani na Wschodzie, ani u mahometanów, ani u dzikich. To choroba nietylko nowa, ale lokalna, specjalna choroba Francji; jej przyczyny trzeba więc szukać gdzieindziej, aniżeli w sercu nieszczęśliwej młodzieży, będącej jej ofiarą. Ale gdzież?

Wiecie co we Włoszech nazywają *mala aria*? Udałem się raz do Ostyi, dla uczczenia pamięci Św. Augustyna i Św.

Moniki. Był to prześliczny ranek sierpniowy. Słońce świeciło jasno; niebo było nadzwyczaj pogodne i przejrzyste! A jednak w miarę jak postępowałem naprzód, ziemia wydawała mi się chorą. Zamiast gęstych traw wonnych, skąd spoglądały na mnie wielkie czarne bawoły, nawpół w zieloności ukryte, spostrzegałem tylko dzikie chwasty, gdzieniegdzie kępy trawy, ziemię popękaną od upału i chude owce. Za przybyciem do Ostyi podwoiło się moje zdziwienie. Ludność uciekła; kościół był zamknięty. Ledwo znalazłem bladego, drżącego febrycznie chłopca, który mię do ruin zaprowadził. Gdym go zapytał, co mu jest, usłyszałem tylko: *La mala aria*. Z tych ziem niezdrowych podnoszą się w lecie zaraźliwe miazmaty i zatruwają powietrze. Nie oddycha się już niem bezkarnie.

Obraz to tego, co się dziś dzieje we Francji pod względem moralnym i religijnym. Piękną jest jej cywilizacja, ale powietrze, którem oddychają dusze, jest zatrutem. Zarazki moralne unoszą się w atmosferze umysłowej i wszędzie się przedostają. Pełne ich są: ognisko rodzinne, szkoła; nikt nie może uniknąć ich wpływu. Słabsi giną od nich; silniejsi cierpią. Zupełnie jak w zarazie, odmalowanej tak znakomicie przez wielkiego bajkopisarza:

„Nie wszyscy umierali, ale dotknięci byli wszyscy."

Młodzi szczególnie padają masami, nie tyle trawieni wewnątrz namiętnościami swego wieku, ile zatruwani i duszeni z zewnątrz powietrzem, jakiem oddychają w społeczeństwie. Przyjrzyjmy się temu z blizka i ujrzymy przyczynę „szkaradnej choroby moralnej," której podlega dziś młodzież, i w jaki sposób działa powolna trucizna.

II.

Zatrzymajmy naprzód wzrok na ognisku, w którem dziecko przychodzi na świat, na rodzinie takiej, jaką ją uczyniły nieszczęścia czasów obecnych, albo raczej, ażeby lepiej zbadać otchłań, spojrzmy na rodzinę taką, jaką ją chciał mieć Bóg, aby młodzieniec wychodził z niej czysty i silny, przygotowany zawczasu do grożących mu niebezpieczeństw i zwyciężyć je zdolny. Pod jakim warunkiem udzielił Bóg ojcu i matce zaszczytu ojcowstwa? Pod warunkiem jedności najdoskonalszej. Jeden duch, jedno serce, jedno życie, jedno imię, jedno ciało, wedle silnego wyrażenia ksiąg świętych: *Unus spiritus et una caro*. Za tę cenę, i za tę jedynie, będą ojcem, będą matką, staną przed Bogiem z wysokim ojcowstwa zasz-

czytem. Zjednoczą swe życia, ażeby dać swemu dziecku życie ciała; zjednoczą umysły, aby mu dać życie umysłowe; zjednoczą dusze, sumienia, bezgraniczną miłość, aby mu dać życie duszy; a on, syn swego ojca, syn swojej matki, zdrów na ciele, umyśle, sercu, sumieniu, całkowicie poczęty, wejdzie w życie z umysłowym, moralnym i religijnym temperamentem, zdolnym oprzeć się wszelkim namiętnościom, stawić czoło wszelkim niebezpieczeństwom. Oto jest tajemnica ogniska, jak je Bóg uczynił, i wszędzie, gdzie trwa ta doskonała jedność, dzieci są zdolne dziś nawet przetrwać mężnie przesilenie.

Ale niestety, cóż się stało z tem ogniskiem? Co zrobiliśmy z tem dziełem Bożem, z tą zupełną i doskonałą jednością? Łączą się jeszcze ludzie, ale zewnętrznie, szczególniej zaś łączą się majętności. Bierze się szale, waży dwa worki złota. W wielu rodzinach jedyna to, o ile wiem, harmonia. Ale kto myśli o jedności dusz? Matka wierzy, ojciec nie wierzy. Matka modli się i cześć oddaje, ojciec ani o tem pomyśli. Nigdy się nie zetknęły wzniosłe strony ich dusz. Dziecko, które z tego fałszywego związku powstanie, będzie mogło być silne ciałem, ale duszą będzie rachityczne, gdyż jest niezupełnie poczęte.

To jest pierwsza przyczyna tego nizkiego poziomu religijności, który uderza u tegoczesnych pokoleń. A gdy dziecko zaczyna patrzeć i rozumieć, jakiż to widok ma w najbliższem otoczeniu? W siedmiu latach spostrzega to i zapytuje matkę w prostocie ducha; w dziesięciu latach dziwi się; w piętnastu gorszy i na pierwszy głos namiętności broń sobie z tego robi. I nie żartem niesmacznym i zimnym, ale gorzką nauką dla ojców, są te słowa wyjęte z ust dziecięcych: „Mamo, kiedyż będę dosyć duży, żeby się nie modlić, jak papa?“

Niecałkowicie w rodzinie pod religijnym względem poczęty i osłabiony już w wierze przykładem ojca, młodzieniec przechodzi do szkoły; i cóż tam często znajduje? Szkoła, ta druga wytwórcza i opiekuńcza dla młodości siła, zarówno jak i domowe ognisko, nie może być płodną, nie może poczynać dusz, ani ich kształcić, jeżeli w niej brak jedności. Szkoła – to wielki głos ludzkości: religijny, moralny i umysłowy. To wielkie prądy wiary, smugi światła, tradycje smaku. Nie stawiajcież przed dzieckiem przeczącego sofisty, równie dobrze jak nieokrzesanego barbarzyńcy i wszystko niszczącego dzikiego; albo jeżeli to czynicie, czyńcież na sposób Sparty, która dla obrzydzenia dzieciom swoim pijaństwa, pijanych niewolników im pokazywała.

A czy tak jest za dni naszych? Czy zabezpieczyliśmy od niewiary szkołę, to drugie ognisko rodzinne naszych dzieci? Czy zamknęliśmy drzwi jej przed wszystkiem, co poniża dziecko i może je zgorszyć? Czy zalepiliśmy szpary jej okien, by je uchronić od zaraźliwych wyziewów? Niestety! otwieraliśmy je czasem naoścież, ale poto, by z niej wygnać Boga. Ze wszech stron wtargnęły: zwątpienie, bezbożność, obojętność; i cóż się stało z dzieckiem? Już w 18.40-ym roku powiadał Lamartine: „Na podobieństwo tych dzieci barbarzyńców, które zanurzano zaraz po urodzeniu na przemian w gorącą i lodowatą wodę dla znieczulenia skóry na wpływy powietrza, przerzuca się dziecko od wiary do niewiary i naodwrót. Wychodzi chłopak z domu ojca, może wierzącego, a może sceptyka; słyszał jak matka twierdziła to, czemu przeczył ojciec; wstępuje do zakładu podzielonego duchem i dążnością. Potrzebowałby zatem mieć chyba dwie dusze, a ma jedną tylko. Ciągną ją i szarpią w różne strony. W myślach jego powstaje zamęt i nieład. Strzępy ich pozostają jedne przy wierze, drugie przy wiedzy. Dziecko dziwi się tym sprzecznościom, zaczyna się domyślać, że grają przed niem wielką komedję; że społeczeństwo nie wierzy w nic z tego, czego naucza; że ma dwie wiary i dwie moralności: jedną wiarę i jednego Boga dla dzieci, drugą wiarę i drugiego Boga dla młodzieży; a może jeszcze inną wiarę i innego Boga dla ludzi dorosłych. Myśli te przygniatają go. Wiara jego gaśnie, rozum w braku zapału zastyga. Dusza robi się oschłą, a zapał przechodzi w obojętność lub zniechęcenie."

Tak mówił Lamartine już przed laty trzydziestu. Posłuchajmy teraz innego, mniej jeszcze o stronność podejrzanego głosu, posłuchajmy Alfreda de Musset: „Ponieważ młodym jeszcze będąc, byłem dotknięty okropną chorobą moralną, opowiem, co się działo ze mną przez trzy lata. Gdybym był sam jeden chory, milczałbym; ale ponieważ wielu innych cierpi na tęsamą chorobę piszę dla nich... Nie miałem jeszcze lat szesnastu, gdym już w nic nie wierzył. Ani dzieckiem, ani będąc w szkołach, nie chodziłem do kościoła; religia moja, jeżelim miał jaką, była bez obrządku i bez symbolu; wierzyłem tylko w jakiegoś nieokreślonego Boga, bez kultu, bez objawienia. Zatruwany od dzieciństwa pismami XVIII wieku, wyssałem z nich wcześnie jad bezbożności. Pycha ludzka, ten Bóg egoistów, zamykała mi usta przed modlitwą, a wylękła dusza moja, uspokajała się nadzieją nicości."

I nie sądźcie, aby fakt ten stanowił wyjątek. Był to stan ogólny. „I jak ten żołnierz, który zapytany w kogo wierzy, odpowiedział: „W siebie samego,"—młodzież na podobne pytanie miała gotową odpowiedź: „W nic wcale."

„Któż się ośmieliłby opowiedzieć, co się działo naówczas w szkołach, — dodaje wyżej przytoczony autor. — Ludzie o wszystkiem wątpili, młodzież przeczyła wszystkiemu. Poeci opiewali rozpacz, młodzieńcy opuszczali szkoły z czołem pogodnem, licem świeżem i zdrowem, a z bluźnierstwem na ustach. Serca więdły, jak zwarzone kwiaty. Zamiast mieć zapał zła, umieliśmy się tylko zdobyć na zaparcie się dobra, zamiast rozpaczy ogarniało nas znieczulenie. Piętnastoletnie dzieci prowadziły w kwitnących zaroślach rozmowy, zdolne wstrząsnąć grozą nieruchome gaje Wersalu. Komunia Chrystusowa, Hostya, ten wiekuisty symbol niebiańskiej miłości, służyła za pieczątki do listów. Dzieci wypluwały chleb Boży. Szczęśliwi, którzy ocaleli naówczas! Szczęśliwi, którzy patrząc w niebo, przechodzili ponad przepaścią! Zapewne, byli tacy, i ci litować się będą nad nami."

Oto, cośmy uczynili ze szkoły w pierwszej wieku tego połowie. A cóż powiem o drugiej? Bezbożność wygnana z zakładów średnich, a przynajmniej więcej w nich powściągana i krępowana, rozwielmożniła się na wyższych kursach. Tam czyhała na młodzież, aby ją psuć i zatruwać. Widzieliśmy nauczycieli, ludzi dojrzałych wiekiem, którzy przy oklaskach zepsutej i lekkomyślnej młodzieży nauczali, że niema Boga, niema duszy, niema różnicy między dobrem a złem, ani wolnej woli, ani odpowiedzialności; że mózg wydziela myśl tak, jak naprzykład nerki wydzielają mocz; że cnota i występek są to przetwory, tak dobre jak cukier lub witryol; że Boga człowiek sam sobie tworzy, że wysnuwa Go z siebie, jak pająk swą przędzę. Tak owi starcy nauczali młodzieńców lekkomyślnych, zepsutych, miotanych namiętnościami. I mówili im jeszcze, że namiętności wszystkie tkwią w naturze, a wszystko, co jest w naturze, jest dobre; że moralność jest rzeczą instynktu, a sumienie prostą bardzo i podległą psuciu się maszynerją.

Ach, nie tę młodzież oskarżam tutaj; więcej jeszcze, aniżeli samych nauczycieli, obwiniam ojców, zezwalających na podobne zatruwanie swoich synów. Powiadam im: „Ślepi jesteście." Powstał pomiędzy nami we Francyi w ostatnim wieku sofista, który wyrzekł: „Szkoła bez Boga." I zamiast go wygnać biczami, jak publicznego trucicielа, przyklasnęliśmy mu! A z tego retora, wielkiego niekiedy, poczęło się mnóstwo wstrętnych małych sofistów, powtarzających codzień: „Szkoła bez Boga." A wy jeszcze klaszczecie! A kiedy z tej szkoły wychodzą młodzieńcy zepsuci, rozpustni, wstyd nam przynoszący, dziwicie się jak głupcy! Kiedy zaś ci młodzieńcy na zebraniach publicznych podnoszą bezbożne okrzyki, wzbudzając dokoła oburzenie, powiadacie, że za wiele się robi o to hałasu

i że to są wyjątki. Bardzo pięknie! Ale gdyby ludzie więcej się byli zaniepokoili pierwszym wybuchem lawy z Wezuwiusza, Herculanum i Pompeja nie zginęłyby w morzu płomieni; a podróżnik, zwiedzający ze wzruszeniem miejsca tych klęsk strasznych, nie czytałby tych spóźnionych napisów na ruinach: *Cavete, posteri, vestra res agitur!*

Ale nie mówmy teraz o niebezpieczeństwach grożących społeczeństwu; zajmijmy się wyłącznie duszami.

Niecałkowicie w rodzinie poczęty, osłabiony i zatruty w szkole, wchodzi dwudziestoletni młodzieniec w społeczeństwo, i wiecież, co wtedy następuje? Pada miazmatami zduszony. Cóż bowiem spotyka na każdym kroku? Złe dzienniki we wszystkich kawiarniach; złe książki u wszystkich księgarzy; dwadzieścia pięć tysięcy nierządnic, czatujących wieczorami na rogach paryskich ulic na jego młodość; teatry na wszystkich bulwarach i jakież teatry! tak obrzydliwie nieskromne, że sama publiczność, wcale zresztą niewybredna, oburza się czasem i woła: „Tego już zawiele". Tyle o życiu prywatnem. W publicznem honor w pogardzie, a na jego miejscu honory; ludzie wzbogaceni bezecnemi spekulacyami, chodzący z podniesioną głową i dosięgający najwyższych stanowisk; małoduszność zwiąca się umiarkowaniem, a cnota głupstwem; wiarołomstwo podszyte zdradą tak pospolite, że nie dziwi już nikogo; obyczajność żadna, a sumienia wszystkie na sprzedaż. W polityce ani czci, ani wiary, ani prawa; najświętsze sprawy zdradzane najniegodniej, skoro są słabe; najnikczemniejsze cieszą się uznaniem, byle uwieńczone powodzeniem; pomiędzy ludami żadnej spójni sprawiedliwości; cała Europa zmieniona w olbrzymie szranki, gdzie, jak u dzikich, decyduje prawo silniejszego. Royer Collard mówi: „Jest wielka szkoła bezprawia, od lat pięćdziesięciu otwarta, której nauki rozlegają się dziś po całym świecie. Szkołą tą są wypadki, w oczach naszych się wydarzające. Jest to próba zbyt ciężka, by ją ludzkość przetrzymać mogła."

A jeżeliż ludzkość pod nią upada, jakżeby mogła ją wytrzymać młodzież? Bo i cóż ma to piętnasto-osiemnastoletnie dziecko, aby się jej oprzeć? Słabość umysłu, większą jeszcze słabość serca, sumienie nierozwinięte, uczucia religijne osłabione i chwiejne: to też upada. A gdy się spojrzy na następujące po sobie pokolenia i szuka tych, co w latach dwudziestu wierzą jeszcze w Boga, w duszę swą, w Zbawiciela Jezusa Chrystusa, widzi się, jak w wielkim obrazie rozbicia okrętu, przez Wirgiliusza odmalowanym:

Apparent rari nantes in gurgite vasto!

III.

Ale to zaledwie początek boleści, *initium dolorum haec.* hociaż bowiem początek tego bolesnego dramatu tak jest ziwny, tak nieusprawiedliwiony w oczach rozumu, następstwa go gorsze są jeszcze. Tak więc młodzieniec zaprzeczył szystkiemu, wszystko odrzucił z gorączką, z niedoświadczeiem młodości. Nie poświęcił ani godziny czasu temu, w co ossuet, Pascal, Fénelon, Kartezyusz, Newton, Leibnitz, uwieźli po najściślejszem zbadaniu, co było przedmiotem ich iągłych rozważań. Zaprzeczył wszystkiemu,—cóż uczyni teraz? Czy cofnie ten akt nierozsądny? Czy wiara wyrozumowana zastąpi naiwną wiarę dziecięctwa? On, który dawniej wierzył na słowo matki, czy będzie teraz uczył się, badał, zgłębiał westję religijną, czy podniesie wiarę swoją do wysokości auki? Czy, jak Kartezyusz, poto tylko uczynił pustkę, aby dbudowywać? O za pięknebyto było! to też nie tak się dzieje. Nie zbuduje on nic—nie czuje nawet potrzeby budowania. Chwytają go i pochłaniają sprawy życiowe, za niemi idą rozywki i namiętności. Tak przeżyje lat dwadzieścia, trzydzieci, czterdzieści; przez cały ten czas nie będzie nic twierdził, iczemu przeczył, bo ma do roboty co innego, niż rozmyślać o Bogu. Widzieliście, co następuje w pewnych cierpieniach? Po silnej gorączce, chory wpada w rodzaj snu letargicznego. Organizm jego już nie działa. Nie widzi on, nie słyszy śpi. Drugi to akt bolesnego dramatu dzisiejszej niewiary.

Nie pytajcie go już, czy czuje jeszcze w sobie ten wieczny głód umysłu i serca, to święte pragnienie Boga, ten głęboki wstręt do rzeczy przemijających, ten nieprzeparty pociąg do nieskończoności; słuchałby was, nie rozumiejąc; wszelki zapał, wszelki poryw wyższy zagasł w nim; nie obchodzi go nawet straszne i wzniosłe zagadnienie przyszłości; żyje teraźniejszością, z dnia na dzień, jeżeli to życiem nazwać można; śpi.

Nie pytajcie go również, dlaczego przestał się modlić, dlaczego nie spełnia żadnego z obowiązków religijnych. On sam nie wie dlaczego. Nie modli się dzisiaj, ponieważ się nie modlił wczoraj, zawczoraj, w przeszłym roku, ani w latach poprzednich; ponieważ niegdyś, dawno już temu, będąc prawie dzieckiem, modlić się, nie wiedząc dlaczego, zaprzestał. Innego powodu niema i dzisiaj. Gdyby jeszcze zaprzeczał istnieniu Boga, łatwiejby to było zrozumieć; ale on wierzy w Boga. Gdyby ulegał namiętnościom, ale nie; najczęściej jest to człowiek uczciwy, prawy, szlachetny. Skądże więc to zapomnienie o Bogu? Pytacie go o to; on nawet nie stawia sobie podobnego pytania. Po gorączce przyszło odurzenie; po bez-

zasadnem przeczeniu, sen poniżający. Drugi to akt tego, co nazy
wam bolesnym dramatem niewiary wieku XIX.

Nigdy nie zapomnę dnia, w którym ujrzałem ten objaw
w całej jego rozdzierającej prawdzie. Było to z rana. Wszed
do mnie pewien młodzieniec, aby otworzyć przedemną sumie
nie w przeddzień ślubu. Miał około trzydziestu lat i stał n
czele wielkiego przemysłowego przedsiębiorstwa, prowadzą
je jak najrozumniej i jak najszlachetniej. Tylko od szesnaste
go roku życia zapomniał o Bogu: ani jednej modlitwy poran
nej czy wieczornej, ani jednego aktu czci, ani jednego porywu
duszy ku Bogu. A ponieważ młodym był jeszcze, ponieważ
smutki, rozczarowania nie zaćmiły mu dotychczas szczęśliwe
go życia, zdawał się mnie nie rozumieć, gdym go pytał, czy
nigdy nie czuł potrzeby Boga. Ale oto co mię w ostateczne
wprawiło zdumienie. Wniknąwszy w jego duszę, co mi
przyszło łatwo, gdyż był szczery i prawy, znalazłem w niej
wprawdzie słabości, ale żadnego wielkiego rozprzężenia; żadne
go wykolejenia moralnego, prowadzącego za sobą zaślepienie;
żadnego wrogiego usposobienia przeciw religii i rzeczom świę-
tym. Tylko brakowało Boga. Serce jego było jak te puste
domy o zamkniętych okiennicach, których właściciele wymarli,
albo jak te świątynie, z których wygnano Boga i gdzie nie-
ma już ani ołtarzy, ani świateł, ani kadzideł. I pamiętam, że od-
prowadzając wychodzącego, pożegnałem go takiem ściśnie-
niem ręki, jakiem darzymy tych, którzy stracili ojca; a po-
wracając, mówiłem sobie: „Nic, nigdy nie widziano nic po-
dobnego! nigdy dusze nie były tak doszczętu spustoszone
i nigdy nie były tak nieświadome swej nędzy!“

I w istocie w tem to, tkwi główna, zasadnicza różnica na-
szego stulecia z temi, które przed niem ucierpiały od niewiary.
Niegdyś ruinę wiary sprowadzały wielkie upadki cnoty; za-
ledwie wtedy zapomniano o Bogu, gdy zagaszono dobrowolnie
w duszy wszystkie niebiańskie światła; i cnota to, uchodząc,
gasiła pochodnię; to też bezbożnik, a tem imieniem nazywano
tego, który już nie czcił Boga, rzadkim był wyjątkiem i wy-
woływał zgrozę. Dzisiaj w ten smutny stan wpadają tłumy,
a w tych tłumach dusze najszczersze, najuczciwsze, najlepsze;
ludzie szlachetni, którzyby nie tknęli włoska z głowy dzie-
cięcia, a którzy przez lat trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt
żyją, nie spełniając żadnych obowiązków względem Boga.
Wielki Racine pisał do syna: „Mam nadzieję, że starając się
ile mocy, być doskonale uczciwym człowiekiem, zrozumiesz, że
pierwszym do tego warunkiem jest oddanie Bogu, co jest Bo-
skiego.“ Oni nie oddają Bogu, nic z tego, co Mu są winni,
a mają się za doskonale uczciwych. Oto co jest dziwnem.

Bo wszak przeciw podobnemu życiu przemawia rozum, mienie, rozsądek, głos wieków wszystkich. Zawsze i wszę- ie ludzkość wierzyła w Boga, miała w Nim nadzieję, czciła o, utrzymywała z Bogiem związek żywy, stosunek ciągły, Nim czerpała siłę. A wam, którzy nie wierzycie, nie czcicie, nie odlicie się nigdy, żadnego z Bogiem nie macie związku, co am powiedzieć, jeśli nie to, że się wykluczacie z ludzkości?

Ale ani oczywistość, ani rozum, ani rozsądek, ani głos ieków, ani głos Boga, nie przedostają się do uszu chorych, tem drugiem stadjum przesilenia, które nazwałem odurze- em. Nie widzą oni, nie słyszą, są ujęci snem letargicznym.

IV.

Gdy zdumieni tem tak nowem zjawiskiem, szukamy je- o przyczyny, spostrzegamy rychło, poza tym dziwnym snem, ziwniejsze jeszcze upojenie, które go umożebnia i podtrzy- uje. Cóż chcecie! urodziliśmy się w wieku, w którym potęga złowieka olbrzymie przybrała rozmiary. Tylu cudów jeste- my świadkami! Mamy oto koleje żelazne i elektryczne, tele- rafy, oczekujemy balonów. Po astronomii i fizyce, które od- ryły nam prawa, rządzące światem, po chemii, która nas auczyła składać i rozkładać pierwiastki,—oto biologia przeni- a w głąb człowieka i zmienić ma, jak mówią, wszystkie wa- unki jego życia. Ogarnia nas upojenie nowe, potworne upoje- ie, które jest w powietrzu i które prawie bezwiednie wdycha- ny pełną piersią.

Upojenie wiedzy! Nie potrzebujemy już Boga, ażeby wytłómaczyć sobie świat, ani żeby rządził nim i nami. Niech sobie pozostaje w swem Niebie, jeżeli jest w niem istotnie, na- uka bowiem nigdy Go nie widziała.

Upojenie rozumu, myśli człowieczej! Cóż nas obchodzą jednozgodne chociażby uczucia ludzkości?

„Ja sam, ja, powiadam i dosyć na tem!“

Upojenie krytyki! Znamy początek wszystkiego, tak praw religijnych, jak i wszelkich innych. Poddaliśmy rozbiorowi księgi starożytne i nie znaleźliśmy nigdzie nic Boskiego.

Upojenie postępu, cywilizacji, wysokich przeznaczeń no- wożytnego społeczeństwa. Nie stawajcież na drodze z wa- szemi przestarzałemi zasadami i odwiecznemi instytucjami!

Te oto myśli unoszą się w powietrzu. Gdyby rozłożono atmosferę moralną tego stulecia, znalezionoby w niej najmniej cztery piąte pychy.

A dokądże nie sięga to upojenie! Aż do szału. Widzimy zasady, znamy prawa, pozostaje tylko wyciągnąć wnioski.

Kwestja czasu. Kto wie,—pisano świeżo w *Revue des Deux Mondes*,—czy nauka, owładnąwszy życiem, nie odmieni jego warunków? czy *nieograniczona wiedza* nie sprowadzi *nieskończonej potęgi*? czy jaki wszystkowiedzący biolog nie udaruje nas nieśmiertelnością?" [1])

Oto co mówią, co jest w powietrzu, co się dziś wdycha bezwiednie, i co tłómaczy dziwne zjawisko nowożytnej niewiary.—Jeżeli tylu ludzi żyje dzisiaj bez modlitwy, bez dziękczynienia, bez ołtarza, bez Boga,—to dlatego, że w głębi duszy wyobrażają oni sobie, iż tego wszystkiego nie potrzebują wcale; tak głęboko zakorzenioną jest w nich pycha, tak potworne upojenie, tak straszny religijny przełom, jaki przechodzi obecnie ludzkość!

V.

Później zobaczymy, co mamy sądzić o tem upojeniu, czy w nauce, w krytyce, w umysłowym i społecznym ruchu, jest choćby cień niezgodności z wiekuistymi naszymi względem Boga obowiązkami. Tymczasem przypatrzmy się, do czego doprowadza niewiara, koniec albowiem stanowi o dziele:

„Wszędzie końca czekać potrzeba."

Jak się kończy ten dramat podwójnie bolesny, bo przez swój początek i swój przebieg? Do czego doprowadza niewiara? Czy do światła, do cnoty, do godności osobistej, do zdrowia duszy? Czy przynajmniej do spokoju? Zobaczmy. Po owocach osądźmy drzewo.

Byłoby to cudem, gdyby piętnastoletnie dzieci, które odrzuciły wszelką religię, wszelką modlitwę, które nie wierzą w nic, nawet w Boga, zachowały czystość obyczajów. To też tak nie jest. Wraz za pierwszem osłabieniem wiary idzie w wieku młodzieńczym pierwsze skażenie serca. Współczesny poeta, dobrze znający nasze stulecie, pokazał ich nam, tych piętnastoletnich młodzieńców, „siedzących pod kwitnącymi krzewami, a których rozmowy mogły zgrozą wstrząsnąć nieruchome Wersalskie gaje;" łączących też, jak to bywa zwykle, bezbożność z nieczystością, tak, że „Chrystusowa Komunia, Hostya, ten zakład wiekuistej miłości, służyła im do pieczętowania listów." Wszyscy współcześni, bez różnicy religijnych przekonań, mówią nam o takiemże przedwczesnem zepsuciu, połączonem z takąsamą zuchwałą bezbożnością.

---

[1]) *Revue des Deux Mondes*, octobre, 1863.

W rozmowie młodzieży, którą znam, *a która stanowi najlepszą część towarzystwa*, — pisał dwudziestoletni Montalembert, w poufnym, nieprzeznaczonym dla szerszego ogółu liście, panuje przerażająca bezbożność i bezwstyd." A dalej: „Zaraźliwe powątpiewanie, zimna i uporczywa bezbożność, panują dzisiaj we wszystkich młodych duszach. Niemoralność krzycząca, potworna, zapisaną jest w rocznikach każdej szkoły, we wspomnieniach każdego dziecka„ [1]). Chcecie innego świadka, bliższego, mniej o stronność podejrzanego? „Dziwią się,—powiada Aleksander Dumas, syn,—niemoralności, niedowiarstwu, zepsuciu naszych czasów; wejdźcie do pierwszej lepszej szkoły, dotknijcie tej rzekomej młodzieży, wywołajcie na powierzchnię to, co jest w ukryciu, zbadajcie to bagnisko, a przestaniecie się dziwić. Źródło oddawna jest zatrute. A skoro się nie było dzieckiem, nie można stać się człowiekiem" [2]). Pewien zaś lekarz powiada: „Często się mówi, że poziom poczucia moralnego obniżył się. Sądzę, że tak jest w istocie, a przypisuję ten fakt przedwczesnemu zepsuciu dziecka i młodzieńca."

Zapewne, niemoralność zgubną jest zawsze; zgubną dla umysłu, dla serca, nawet dla życia fizycznego; straszna to niszczycielka wszystkiego, co w nas jest najdelikatniejszego i najlepszego; ale cóż rzec o niemoralności w wieku lat piętnastu? A cóż powiedzieć o wcześniejszem jeszcze zepsuciu tych przed czasem skażonych istotek, króre przez naśladownictwo szukają nieziszczalnych rozkoszy? Czyż mniemacie, że takie nieustanne, uparte podbudzanie może pozostać bezkarmne i że można wyprzedzać w ten sposób naturę, bez jej wyczerpania i szkody?

Wirgiliusz, mówiąc o pierwszych dniach świata, powiada: „Czyż delikatne jeszcze stworzenia trud ten wytrzymaćby mogły?"

Nec res hunc tenerae possent perferre laborem!

Cóż powiedzieć, o młodocianej istocie i jej delikatnych organach, wydanych na pastwę temu pożerczemu ogniowi?

Szczęśliwy młodzieniec, który w tej pierwszej przełomowej chwili jest pod okiem czujnej matki! Po bladem jego licu, po zakłopotanej postawie, ukradkowem wejrzeniu, po podsiniałych oczach, pozna ona wnet grożące niebezpieczeństwo i może zdoła jeszcze mu zapobiedz. ..

Wszyscy lekarze zgadzają się na to, że przedwczesne skażenie zmysłów rujnuje całego człowieka w danej chwili,

---

[1]) Montalembert, *Oeuvres*, t. I, p. 14. *Lettre à un ami de collège.*
[2]) Aleks. Dumas fils, *Affaire Clémenceau.*

a często i na przyszłość. Najpierwej pada ofiarą inteligencja; przytępia się jej bystrość, słabnie pamięć. „Znałem, — mówił pewien lekarz,—najlepiej udarowane dzieci, których po upływie dwóch lat nie było można poznać. Jedno z nich, zdolne do najszczerszego przywiązania, zepsuło się w mgnieniu oka. W krótkim czasie umysł jego stępiał. Pomimo największego starania, nie mogło zająć w klasie miejsca mu przynależnego. Z pewnością żaden z jego współuczniów nie pracował tak sumiennie, ale rezultat tej pracy był żaden, nieszczęśliwe to dziecko *wyczerpało zasoby, dane mu przez naturę*; występek zniszczył całą inteligencję. Napróżno pracowało usilnie i cierpliwie. Umysł stał się mu opornym. Nadużycia zmysłowe zwichnęły *na zawsze* tę tak hojnie obdarzoną inteligencję." „Zepsucie zmysłów, powiada inny lekarz,—wywołuje często widoczne osłabnięcie umysłu, a szczególniej pamięci. Młodzieńcy, objawiający przedtem wybitną żywość umysłu i zdolność do nauki, stają się wskutek oddawania się złym obyczajom, jakby ogłupiali i niezdolni do pracy."

Dziwią się dzisiaj pewnemu zubożeniu francuskiego ducha; mówią, że inteligencja, rozum, bystrość pojęcia obniżają się u nas; szukają przyczyn złego. Leżą one tutaj. Młodzież między piętnastym a dwudziestym piątym rokiem życia grzeszy przeciw czystości. Jest skażona złem. Stąd pozostaje na zawsze osłabienie [1])

Jeżeli tak jest z inteligencją, rozumem, pamięcią, cóż rzec o sercu! Któż nie wie, że ze wszystkich sił zmarnowanych wskutek przedwczesnej zmysłowości, miłość, przyjaźń, delikatność uczuć, zapał, odwaga, miłość bliźniego zanikają najpierw? Wszyscy lekarze zaznaczają tu jeszcze jedno dziwne zjawisko. Pod tchnieniem występku, pod wpływem przedwczesnego zepsucia, dusze stają się oschłe, samolubne; niektóre stają się wprost okrutne. „Niejeden skłonny z natury swej do dobroci, do miłosierdzia i serdecznego dla drugich współczucia, stanie się nieużytym, bezwzględnym, nielitościwym. To, co jest najżywotniejszem w materji, roztrwonione, źle użyte, nie będące już w nas tą Bożą iskrą, która w nas winna krążyć i przeistaczać nas, ta dusza krwi, o której jest mowa w Piśmie, uchodząc, zmienia człowieka, uszczupla jego tajemną moc, dosięga go w najwyższych i najdalszych jej źródłach [2]).

[1]) Patrz prace specyalne d-rów: Tissot'a, Deslandes'a, Ricord'a, Tardieu'go, Bergeret'a, Bourgeois. Nie podajemy ich tytułów, ale znajdą je ojcowie rodzin, a jeżeli po przeczytaniu ich nie uznają potrzeby czuwania nad niewinnością swych synów, straszne tylko nieszczęścia oświecą ich, ale za późno.

[2]) Sainte Beuve.

George Sand mówi: W smutnym naszym tegoczesnym wiecie młode pachołę już nie istnieje, chyba że jest wychowac w wyjątkowy sposób. To, które codzień oglądamy, to czniak źle uczesany, nieokrzesany, dotknięty jakimś grubym vystępkiem, który zniszczył już w jego istocie świętość pierwotnego ideału. Albo jeżeli biedny dzieciak cudem jakimś uniknął nawet tej szkolnej zarazy, niemożebnem jest, ażeby achował czystość wyobraźni i świętą nieświadomość swojego vieku. Jest brzydkim, chociażby nawet natura pięknym go utworzyła. Ma minę zawstydzoną i nie patrzy ci w oczy; pochłania potajemnie złe książki, a mimo to przestrasza go widok kobiety. Rumieni się pod pieszczotą matki: rzekłbyś, iż uznaje się jej niegodnym. Najpiękniejsze języki, największe poemata ludzkości budzą w nim tylko nudę, wstręt i niesmak. Ma on już smak zepsuty i lubuje się złem tylko. Lat całych będzie potrzeba, ażeby stracił tę cechę brzydoty, i nauczył się patrzeć śmiało i nosić głowę wysoko. Wtedy dopiero będzie kochał swą matkę, ale będzie to już wiek, w którym się budzą namiętności; nigdy więc nie zazna tej anielskiej miłości, o której dopiero co wspominałem, a która jest dla duszy ludzkiej jakby chwilą wytchnienia w czarownej oazie, pomiędzy dziecięctwem a dojrzałością“ [1]).

Zwrócić proszę uwagę na wszystkie te wyrażenia, podchwycone na ustach obserwatorów rozumnych i niepodejrzanych. *Młodzieniec nie istnieje już. Skoro się nie było dzieckiem, nie jest się człowiekiem. Zbliżcie się do tej mniemanej młodzieży, zbadajcie to bagno; źródło jego jest zatrute.* Zważywszy to wszystko, spytacie się: czy można liczyć na Francję w przyszłości, dla odzyskania zachwianego honoru i ziem straconych, bez radykalnej reformy religijnej i moralnej.

Powiecie może, iż wiele natur odzyskuje zdrowie a inne, szczęśliwsze jeszcze, nie ulegają zepsuciu. Nie przeczę temu; ale trąd toczy większość, piętnując ją „na zawsze.“ Zmniejszają się: inicjatywa, zapał, odwaga, dobroć, uczucie. Męskość fizyczna i moralna, to, co Rzymianie zwali *virtus*, zatraca się. Chylimy się ku upadkowi.

A zważcie jeszcze, żem nie rzekł nic o ostatnich stopniach złego. Nie mówiłem tu wcale o tych młodzieńcach, aż do szpiku kości zużytych przez występek, błąkających się jak blade widma po ulicach, a o których wielki jeden pisarz powiadał, że widząc ich, zdaje się nam słyszeć kroki grabarzy,

[1]) George Sand, przytoczona w wybornem dziełku *O. Lescoeur*: *L'Etat maître de pension*, str. 63.

przychodzących po te trupy. Nie mówiłem też o tych trędowatych rozpusty, którzy napiętnowani jej sromotnemi ranami, z bezwstydem egoizmu, przynoszą je podstępnie w posagu swym dziewiczym małżonkom, a w niespodzianem dziedzictwie swoim synom. Nie mówiłem o tych strasznych chorobach, których lekarze, a w szczególności Tissot, dali nam dreszczem przejmujące opisy i rozbiory. Nie; zajmuję się tu tylko ogółem młodzieży, nie dochodzącej do tak okropnego zepsucia, ale pozostającej niemniej „na zawsze," osłabioną na umyśle, sercu, woli i charakterze. O ojcowie, pomyślcie o tem, póki czas jeszcze! Nieudolność niektórych ludzi, ich umysłowy idyotyzm, ich dusza zgrzybiała przed czasem, ich ciało w wieku lat czterdziestu całkiem zużyte, wszystko to jest owocem bezbożności i nieczystości w wieku pacholęcym, między dzieciństwem a młodością. A skoro się to powtarza w milionach ludzi, skoro podobny jad wkradł się w żyły całych pokoleń, jakżeby nie miało tego odczuć całe stulecie? Mogłoby ono być wielkiem, a będzie tylko miernem.

A na ogólnem tem tle mierności i pospolitości, z dodatkiem jeszcze nieczystości i niewiary, jakżeby się nie miały, w przełomowych chwilach, wyradzać potwory. Taki Raul Rigault naprzykład, który wyszedłszy zaledwie z liceum, kazał rozstrzelać zakładników, spalić Paryż i chciał „wykreślić imię Boga." Proces jego sekretarza, a raczej wspólnika, Dacosty, odkrył w Raulu Rigault całą bezdeń zepsucia, podczas jego dorastania i młodocianego wieku. [1]).

VI.

A nie wszystkie to jeszcze skutki niewiary. Są i inne, niemniej zbadania warte. Oprócz skażenia dusz pospolitych, jest jeszcze skażenie dusz wielkich. Zobaczmy je; dopełnijmy sądu o drzewie, wedle jego owoców.

Podczas, gdy pospolite dusze, osłabione, wyjałowione niewiarą, umierają tak małodusznie, jak małodusznem było ich życie, cóż się staje z wielkiemi duszami? Dokąd je doprowadza niewiara? Powiem to odrazu, nie obawiając się zaprzeczenia: do tajonych udręczeń, gorzkich smutków, a czasem aż do zrozpaczeń, które bardziej jeszcze, aniżeli upakarzają-

[1]) O całej tej ważnej kwestii *niewiary w młodości* zobacz *Ostrzeżenie dla ojców rodziny*, przez Biskupa Orleańskiego. Znajduje się tam cały plan tej przerażającej antychrześcijańskiej i antyfrancuskiej kampanii, poparty wszystkimi dowodami.

ca pospolitość jednych, a moralna ruina drugich, wykazują konieczną potrzebę obecności Bożej w duszach.

Spójrzcie na tego młodzieńca. Jak on śmiało wchodził w życie! Ani go to obchodziło, czy jest jaki Bóg i czy on Mu co jest winien. Ale zaledwie postąpił parę kroków, już nań czyhało zwątpienie; nie to zwątpienie wesołe, lekkie, zuchwałe, którem się w piętnastu latach upajał, ale smutne, bolesne, wciskające się przez wszystkie szczeliny, poprzez wszystkie rany życiowe. W piętnastym, w dwudziestym roku życia wątpił Bogu; gdy już trochę pożył, wątpi sam o sobie, o słuszności swego poprzedniego zwątpienia; z goryczą dźwiga ciężar pustej duszy, zmarnowanego życia, bezcelowego istnienia, wieczności bez światła. Patrzy w niebo i mówi: „A może."

Oto jest stan mnóstwa współczesnych umysłów. Czytało się wiele; uczy się ciągle; widziało się wszystko, a każde odkrycie przyniosło ze sobą smutek. Nie można otworzyć książki, ażeby nie natrafić na wiekuiste zagadnienia, takie jak Bóg, Chrystus, dusza. A ponieważ się nie wie, jak je rozwiązać, cóż tedy? Oto nie śmie się już patrzeć, zamyka się oczy. Umysł opuszcza niedostępne wyżyny, do których nie sięga już wzrokiem i pogrąża się cały w badaniu materji. Tam, co prawda, rozwijamy geniusz podziwu godny, ale o Bogu, o duszy, o życiu cóż wiemy? Cośmy odkryli? Co pozostawimy przyszłym pokoleniom? Nic!

Potoki światła co do świata niższego; a ciemności głębokie co do wyższego, wskutek zaś tego ciężkie smutki i bolesne niepokoje; oto bilans myśli wieku XIX.

Ale to nie wszystko jeszcze. W sercu tych nieszczęśliwych jest drugi sęp jeszcze okrutniejszy i bardziej nieubłagany; bo nakoniec można o te rzeczy nie dbać, można powiedzieć: „Ja tam się tem nie zajmuję. Jestem matematykiem, chemikiem, inżynierem, sędzią, przemysłowcem, zajęty jestem obowiązkami swego stanu. Tam widzę jasno."

Zgoda; ale wszak jesteś człowiekiem! A wieszże, skąd przychodzisz i dokąd dążysz? — a jeżeli nie wiesz, jakże możesz żyć spokojnie? „Jakże, chcecie,—mówił Jouffroy,—ażeby człowiek żył w spokoju, skoro jego rozum, który musi kierować życiem, wpada w niepewność czem jest samo życie i nie wie nic z tego, co wiedzieć potrzeba, ażeby wypełnić swe powołanie? Jakże żyć spokojnie, kiedy się nie wie skąd się przychodzi, dokąd się idzie, ani co się tutaj ma do czynienia? kiedy się nie wie co znaczy człowiek i cały świat stworzony? kiedy wszystko jest zagadką, tajemnicą, przedmiotem wątpli-

wości i obaw? żyć spokojnie w tej nieświadomości jest rzeczą sprzeczną z ludzką naturą i niemożliwą“ [1]).

„Spokoju! spokoju! Kto mi da chwilę spokoju - wołał Gérard de Nerval.—Trzeba mi potoków spokoju do zatopienia mych smutków! Ale jakże mieć spokój, kiedy się nie ma przewodnika, ani najmniejszej gwiazdki nad głową?“ [2])

„Skoro się żyje, - dodaje Jouffroy,—ślepym, pustym, niespokojnym i bez steru“ [3])

A jeśli spokój jest niemożebny, jeśli, nie dziś, to jutro, uczuje się sępa szarpiącego piersi; jeżeli zniechęcenie, nieuleczalna melancholia,—jak mówi jeszcze Jouffroy,—śpi na tem samem co ty wezgłowiu, jakże można mieć siłę, siłę rządzenia swem życiem, noszenia szlachetnie i dostojnie swej ludzkiej godności? „Ach! bądźcie pewni, że niewiara opustosza niebo i odziera z uroku ziemię,—pisał Schoerer. - Rzeczy nadprzyrodzone są naturalną sferą człowieka; to rdzeń jego wiary, nadziei i miłości. Wiem dobrze, że krytyka jest zręczną, że argumenty jej wydają się często zwycięskimi. Ale wiem jeszcze jedno: dusza zatraciła tajemnicę życia Bożego; przepaść ją wzywa teraz, coraz śpieszniejszy pęd oddala ją od Boga; traci po kolei pobożność, prawość, geniusz; wkrótce będzie leżała na ziemi, a niekiedy i w błocie!“ [4]).

A z pokojem traci wszelką radość. Trwałe nadzieje, sny słodkie ulatują z duszy, jak stado spłoszonych ptaków, miejsce ich zajmują nudy i niesmak głęboki. Już tylko uczucie nudy dawało mi znać, że żyję,—mówił jeden z tych młodzieńców, dotkniętych w kwiecie wieku żądłem zwątpienia [5]). A drugi: „Dlaczego ziemia straciła dla mnie urok! Nie znam zadowolenia, znajduję wszędzie próżnię... Nuda mię pożera, niesmak wszystko mi mierzi.“ [6])

Pytasz, biedny młodzieńcze, dlaczego ci zbrzydła ziemia? Powie ci to jeden z twoich: „Jesteśmy nieszczęsnem pokoleniem, ludem błąkającym się w bezmiarze zwątpienia, szukającym jak Izrael miejsca spoczynku, ale opuszczonym, bez proroka, bez wodza, bez gwiazdy, niewiedzącym nawet, gdzie rozpiąć namiot w ogromie pustyni. Oto dlaczego pożera nas nuda, namiętności prowadzą na bezdroże, a samobójstwo, szatan ciemności, czyha u naszego wezgłowia, albo wabi nas wieczorem na wód brzegi. Brak nam już stałego gruntu dla zarzucenia kotwicy naszej woli,

---

[1]) Jouffroy, *Mélanges philosophiques*, p. 338.
[2]) *Lettres intimes*, p. 27.
[3]) *Mélanges philosophiques*.
[4]) *Schoerer Mélanges de critique religieuse*, p. 183.
[5]) Goethe, *Mémoires*.
[6]) De Sénancourt, t. I, p. 18.

a bezużyteczna ta kotwica strzaskała się w naszem ręku. Straciliśmy władzę nad sobą, panowanie nad swojemi uczuciami, świadomość sił swoich. Wątpimy nawet o naszem przelotnem istnieniu, o naszem pośpiesznem przejściu przez tę przeklętą ziemię i zatrzymujemy się ciągle przed rozsnuwającym się wątkiem naszego własnego życia, jak człowiek miotający się w gorączce i wołający za przebudzeniem: Co znaczy ten sen?" [1]).

Oto przepaść, do której prowadzi niewiara; a i to jeszcze nie jest jej ostatnie słowo. Są zwątpienia straszniejsze od zwątpień umysłowych, niepokoje od niepokojów sumienia boleśniejsze. Daremnie się nie wierzy; życie pomimo to mija, jak sen bolesny, ucieka, jak senne marzenie.

Pracuję i pracuję z powodzeniem, ale w końcu mam lat pięćdziesiąt, sześćdziesiąt; mam już laskę marszałka; a w perspektywie śmierć tylko. Albo jestem światową kobietą; błyszczałam chwilę, ale już koniec; przedemną już tylko starość. Niewesołe to.

A przytem, umierają wokoło mnie. Ten oto ojciec ma prześliczną córkę i traci ją w szesnastu latach. Dlaczego? Tam znów młodzieniec, zaledwie się ożenił, a już mu szczęście ucieka; młoda jego małżonka umiera w kwiecie wieku. Dlaczego? Tego on nie wie. *In umbra mortis sedent.* Przygnębieni, milczący, tłumiący smutek, niewiedzący gdzie się znajdują ich ukochani, ani czy się kiedykolwiek z nimi zobaczą: tacy są ludzie dzisiejsi. Starożytność wymyśliła była sobie sfinksa, zadającego zagadkę i pożerającego tego, kto jej nie rozwiązał. Od czasu, kiedy wygnano religię, sfinks ukazał się na nowo i pożera ludzi. Lekarze obliczyli, że połowa ich przynajmniej umiera ze smutku, a pewien tegoczesny poeta wyrzekł, że to *beznadziejność* ich zabija. Widziałem to ze sto razy. Dusze nie wytrzymują już ciosów przeciwności, upadają. Najpiękniejsze inteligencje nagle słabną. W innych życie ustaje odrazu. Jakże chorymi są ludzie tegocześni! Samobójstwo się mnoży; obłąkanie wzrasta; wszędzie smutek; na dnie dusz wszystkich, nawet najmłodszych, nawet najpiękniejszych, nieubłagana nuda, nim przyjdzie rozpacz, zezwierzęcenie lub samobójstwo.

Mówiłem wyżej, że gdybym był malarzem, wymalowałbym obraz, na modłę tego, którym Flandrin ozdobił mury kościoła Św. Wincentego a Paulo: długą procesję, gdzieby widziano na wieczną cześć Boga i ludzkości, przechodzące wszystkie dusze spragnione nieskończoności. Ale gdybym

[1]) *Lettres à Marcie*, lettre, IV, p. 194.

już był malarzem, nie tylko ten stworzyłbym obraz, przeciwstawiłbym mu drugi. Wymalowałbym inny chór, korowód wszystkich tych dusz, także wielkich, także spragnionych, ale które ponieważ nie chciały pić ze źródła życia, popadły po krótkich dniach zabiegów i gorączki w odurzenie senne, albo położyły samobójstwem kres swemu upodleniu. W środku pomieściłbym tego biednego i wielkiego Alfreda de Musset, jeżeli można nazwać wielkim tego, kto rozprasza wspaniały talent na drobiazgi, kto spragniony nieskończoności, obdarowany od Boga sercem nienasyconem popada w końcu dobrowolnie w nałóg pijaństwa, ażeby zabić w sobie duszę, lub ją przynajmniej zagłuszyć. Tuż przy nim, ale na drugim planie, postawiłbym nieszczęsnego Jouffroy, który tak kochał prawdę, tak jej szukał; nie znalazł jej, gdyż szukał na drogach pychy, nie znalazłszy, nosił ból w sercu i dał mu wyraz w słowach, pełnych niepocieszonego smutku. Nieszczęśliwy sądził, że wie „jak się kończą dogmaty;“ a potrzeba mu było tylko trochę pokory i wiary w Boga, ażeby zrozumieć, dlaczego one trwają wiecznie! Obaj, poeta i filozof, staliby tam, by pokazać, że ani szczera bodaj filozofia, ani szczytna nawet poezja, nie dadzą bez religii, pokoju w światłości. Około nich grupowalibyście się wy, Henryku Heine, Murgerze, Gerardzie de Nerwal, Hežezypie Moreau, Leopoldzie Robert, dusze poetów, malarzy, artystów, stworzone dla piękna, dla harmonii, dla ideału, a które dałyście słyszeć światu tylko chór bluźnierstw i żalów, szału i żałoby, upojeń i rozpaczy, zakończony pijaństwem u jednych, samobójstwem u drugich! To też, kiedy na pierwszym obrazie widzianoby synów światłości, pionierów prawdy, stojących i idących, bo się w światłości postępuje naprzód; was, pomimo waszych niepokojów i miotań się, przedstawiłbym siedzących na ziemi, z przygasłym wzrokiem, ze ściśniętemi pięściami, pogrążonych w ciemności, jak owi ślepi, tak bosko odmalowani przez Danta. A jeżelibym, miał i pod tym obrazem tak jak pod pierwszym wypisać jakoweś godło, te tylko, nie bacząc na tyle geniuszu, na tak wielkie wysiłki, tak piękne czasem ich rezultaty, położyłbym słowa: *In umbra mortis sedent.*

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Bolesny dramat niewiary (*ciąg dalszy*). **Rodzina bez Boga.**

Ale oto inne znowu niebezpieczeństwo. W tej samotności wytworzonej przez niewiarę, człowiek cierpi, a dla

pocieszenia się, radby do niej nakłonić i swą towarzyszkę. Zamiast jedności w jednej wierze, marzy o zjednoczeniu w tejsamej obojętności. Chcą oni kobiety, którąby już nie wierzyła, kobiety, jak oni, bez Boga, bez modlitwy, bez wiary, bez nadziei nieśmiertelności: takie to na chorobę swoją wymyślili lekarstwo! Z całych sił starają się tej, która ma być małżonką, matką, córką człowieka, zaszczepić jad niewiary. A jeżeli im się uda? „Jak sobie wyobrazić kobietę bez religii? Cóż, jeżeli nie wiara, podtrzymuje chwiejność tej trzciny? Kto będzie wspierał ten najsłabszy twór natury, zagrożony wciąż śmiercią lub utratą wdzięków, tę istotę, która się uśmiecha i umiera, jeżeli niema innego istnienia poza tem znikomem?“ [1]) Kto ją nauczy w śmiertelnem swem łonie nosić nieśmiertelnego człowieka, i czynić z niego syna Bożego? Niestety, jakżeby ona mogła być matką? Żoną nawet być nie potrafi.

Będziemy więc mieli rodzinę bez Boga? Łoże małżeńskie bez błogosławieństwa niebios! Dzieci niepoświęcone w kolebce przez religię! Grób bez modlitwy i nadziei, gorzki widok, jeszcze może opłakańszy, aniżeli widok duszy bez Boga,—brzemienny różnorodnemi nieszczęściami!

Rozpatrzmy spokojnie i poważnie drażliwy ten przedmiot. Przypatrzmy się zblizka temu nowemu nieszczęściu! Opłakane ono, ale pełne dla nas nauki. Przygotuje ono nas do uczynienia drugiego kroku w znajomości tego dziwnego zjawiska, nazwanego przez nas bolesnym dramatem niewiary wieku XIX.

I.

Zobaczmy naprzód, skąd bierze początek rodzina, przyjmując z góry za pewnik, że ani ze zmysłów, ani z rozumu, ani z interesu. Zmysły rozprzęgałyby raczej rodzinę, przy swej niestałości i znikomości służącego im za przynętę piękna. Co do umysłu, to gwiazda samotna, której potrzebą jest raczej błyszczeć, aniżeli się łączyć. To częściej miecz, który rani, zamiast jednoczyć.

Rodzina idzie z czegoś, co jest szlachetniejszem od zmysłów, lepszem od rozumu, co jest czystszem, głębszem. Idzie ona z serca. Serce to jest szlachetnym budowniczym tego dostojnego przybytku, nazwanego rodziną.

[1]) Chateaubriand, *Génie du Christianisme.*

Serce — to znaczy potrzeba kochania, potrzeba nie błyszczenia, ale zapomnienia o sobie, nie używania, ale poświęcenia, całkowitego się oddania, pod jednym tylko warunkiem, żeby już nie trzeba było nigdy odbierać się.

I nietylko że serce stwarza rodzinę, ale stwarza ją aktem najdoskonalszym ze wszystkich swych aktów; pod wpływem uczucia przewyższającego wszystkie inne swą podniosłością, głębokością i trwałością. Dziwna rzecz! zdawałoby się, że serce spragnione uczucia opisuje wkoło siebie pewien rodzaj kół współśrodkowych; coraz ciaśniejszych, i że w miarę zacieśniania się koła, rośnie i wzmaga się uczucie. Naprzód serce moje zatrzymuje się z uczuciem życzliwości na ogromnym tłumie ludzi. Potem rozpoznaję, witam niektórych w tym tłumie; oznaczające ich słowo: „znajomi," wskazuje, że jedynie umysł mój ma z nimi styczność. Oto teraz inni, mniej liczni, czulej kochani: to są moi przyjaciele. Widzicie, że z zacieśnianiem się koła wzrasta uczucie. Jeszcze bliżej mnie, stykając się z moją duszą, stanowiąc jakby część mego życia, stają matka moja, bracia i siostry. Czy to już wszystko? Nie. Koło zacieśnia się ostatecznie; serce wznosi się jeszcze wyżej i przychodzi chwila, gdy na szczycie tej wzniosłej piramidy wyrzeka: *Ty tylko*! a wyrzekłszy to, zaraz dodaje: *Na zawsze*!

Otóż z tego najwyższego w sercu punktu, z tego uczucia ze wszystkich najbardziej Boskiego i najbardziej ludzkiego zarazem, bierze początek rodzina. Niestety! tak mało i tak źle kochamy dzisiaj; kochamy tak krótko, i tak mało w świętej samotności zjednoczenia, że niejeden z czytających uśmiechnie się pewnie z naiwności mojej teorji. Ale ujmą się za nią dusze wzniosłe, a delikatne, i serca czyste. One wam powiedzą, że skoro się doszło do pewnej wysokości w tem stopniowaniu wielkich przywiązań, samo przez się i niezwycięznie wydziera się z serca ten okrzyk: „Tylko ty i na zawsze!" Słowa te stwarzają rodzinę.

One też stwarzają kapłaństwo, życie duchowne: one tworzą księdza, apostoła, dziewicę. Dnia pewnego, podczas modlitwy młodzieńca, przeszła przed nim postać jakaś, piękniejsza od wszystkich ziemskich; a on wzruszony, ze łzami w oczach, wyrzekł: *Ty tylko i ty na wieki*!

Serce zatem stwarza rodzinę. Ono jest jej świętem a głębokiem źródłem. A gdy się ją w tem świetle ogląda, gdy zapominając o ziemi i o tylu smutnych rzeczach, które poniżyły i zepsuły małżeństwo, widzi się, jak z serca człowieka, mocą aktu najprostszego i najsłodszego, jakim jest oddanie siebie samego, bierze początek wszystko, co jest najlepszego tu na ziemi, prawdziwy spokój i jedyne jego szczęście,

dziękujemy Bogu, że tak łaskawie obszedł się z ludźmi. Bo rozum mają nie wszyscy, pieniądze niektórzy tylko; ale serce mają wszyscy, oprócz niegodnych posiadania go.

W tym stanie rzeczy, ponieważ rodzinę stwarza serce, zdawałoby się, że nic prostszego, jak ją stworzyć. A jednak, jeśli spytacie czyto historji, czy doświadczenia, zobaczycie, że tak nie jest. Serce było zawsze bezsilne, w rzeczy zdającej się tak łatwą, prostą i słodką. Robiło cudowne usiłowania, miało szczytne porywy i przebłyski: nie wytrwało do końca. Mogło ukochać na chwilę; nie mogło kochać długo, zawsze, w świętości jedynego związku. Potrafiło powiedzieć: „Kocham cię;" prawie nigdy nie zdołało wyrzec: „Ciebie tylko i zawsze ciebie!"

Nic może nie rzuciło smutniejszego cienia na życie człowieka. Wszystkie nasze wielkie cierpienia stąd pochodzą. To też człowiek długo nie chciał uwierzyć w tą swą bezsilność. Bronił się od tej myśli. Ale trzeba było w końcu uledz oczywistości. I wieczeż co zrobił, widząc się zmuszonym uznać, przeciw woli swej, smutną słabość serca swojego? Na pomoc zawodnemu uczuciu wezwał, nie powiem: siłę, ale — prawo, poparcie społeczeństwa, prawodawstwo swego kraju. Powiedział: „Słaby jestem; nie umiem kochać trwale, głęboko. O urzędniku, słuchaj, z urzędu twego, co mówię temu szesnastoletniemu dziecku, tej dziewicy, którą wybrałem z tysiąca: Ty jedna i na zawsze! Oto moja przysięga. Weź ją pod opiekę prawa, pomóż mi jej dotrzymać." Co za wyznanie! O! wolałbym, ażeby prawo nie potrzebowało mieszać się do rzeczy tak delikatnej i poufnej. Ale ponieważ jest potrzebne, niechże przychodzi, niech bierze w swą opiekę tych dwoje młodych ludzi, którzy kochają się wzajem, chcą się kochać zawsze, a którzy, o wstydzie! nie czują się do tego zdolnymi.

Tak więc wmieszało się prawo, ale nie wystarczyło i ono. Było słabe, i dodam niecne.. Zamiast, żeby ono strzegło serce przed jego niestałością, serce je zmusiło do sankcjonowania swojej słabości. Były prawa upoważniające do wielożeństwa, zezwalające na rozwód; uświęcały one wszystkie słabości i wszystkie kaprysy serca, otwierały drzwi małżeńskie wszystkim bezeceństwom i wszelkiej brutalności. Tak, że nawet z poparciem prawa, serce nie mogło stworzyć istotnej rodziny, ani uczynić jej jedną, nierozerwalną i czcigodną.

Wyżej wznieść się należało. I wszędzie też młodzi ludzie uciekali się do stóp ołtarza, skoro chcieli założyć rodzinę. Boga prosili o łaskę, ażeby mogli się kochać, kochać długo, zawsze; nosić w śmiertelnem sercu miłość, któraby nie czuła ciężaru czasu.

I otrzymali ją tam, ale z jakąż trudnością! Fałszywe religie osłabły, tak jak i prawa. Niektóre ołtarze zdradziły na równi z prawodawstwem. Nawet religia prawdziwa przed dojściem do całkowitej swej potęgi, musiała robić ustępstwa sercu. Jak gdyby Bóg dla pokazania, jak trudnem zadaniem jest stworzyć rodzinę, chciał zachować dla prawdziwej religii, i to jeszcze religii w pełni czystości i mocy, zaszczyt podniesienia serca człowieka dosyć wysoko, ażeby mógł powiedzieć: *Ty jedna i na zawsze!*

I temu to staremu, powszechnemu doświadczeniu, chcianoby dziś zadać kłam. Wypędzacie religię, a wyobrażacie sobie, że będziecie mogli stworzyć rodzinę! Rodzinę! Ognisko! miejsce gdzie będzie można kochać się zawsze, gdzie po trudach, cierpieniach i rozczarowaniach życia będzie można dać odpocząć zbolałemu sercu, mieć szanowane łoże, szczęśliwą kolebkę! Ach! sami nawet poganie o ołtarz opierali swe ognisko; i trzeba żyć w tak smutnych czasach, jak nasze, ażeby mogło przyjść na myśl, że się można obejść bez Boga w tak strasznem przedsięwzięciu! Ale też cóż widzimy? Jakie smutki i rozczarowania! jakie ofiary ciągnione do ołtarza i uwieńczane ciernistemi różami! Jakie niespodziane, czasem nawet krwawe katastrofy, opowiadaniem których nie chcę kalać tych stronnic, które zaledwie śmiem wspomnieć!

Sądziliście zapewne, że rodzina jest zanadto szczęśliwa, ognisko jej zbyt czyste, obyczaje zbyt święte! że nadużywano, nieprawdaż, szczęścia kochania się długo i bez chmur? więc chcieliście wygnać z rodziny Boga. Ale po wygnaniu Boga, wyrzuceniu za drzwi aniołów, opiekuńczych stróżów domowego ogniska, cóż wam postanie? Serce, powiadacie. Tak, pozostanie ono, ale na wasze ukaranie. Pozostanie ze swą słabością, ze swemi burzami. A rodzina zniweczona, łoże małżeńskie zbezczeszczone najsmutniejszymi obyczajami, podeptane serce kobiety, puste kolebki dowiodą raz jeszcze, że niewiara na jedno tylko się zdała, wedle słów jednego z waszych: „Na opustoszanie nieba i odzieranie z uroku ziemi.“

II.

Świadectwo więc historji, oraz oświadczenie sześciu tysięcy lat stwierdzają, że bez Boga serce nie ma siły utworzyć rodzinę, nie może jej zapewnić jedności, nierozerwalności i chrześcijańskiej czci. Teraz poszukajmy jaka jest tego przyczyna, a na to potrzeba nam zbadać budowę rodziny, a raczej potrzeba zstąpić do serca i jego prawa rozpatrzyć;

ponieważ bowiem z serca bierze początek rodzina, prawa, jakiemi się ono rządzi w miłości, są jej zasadniczemi prawami.

Pewien młody, światły i zdolny pisarz powiedział raz: „Pierwsze prawo miłości—to prawo postępu, wzrostu. Od pierwszej chwili swego istnienia miłość może żyć tylko pod warunkiem, że wzrastać będzie. Musi ona wzmagać się, wznosić, nabierać sił tak przez swe radości jak i cierpienia, musi pogłębiać się przez szczęście, a jeszcze pewniej tu na ziemi, przez próby i ofiary; iść naprzód jednem słowem [1])." W dniu, w którym przestaje postępować, w którym się zatrzymuje, zaczyna się zmniejszać, a skoro się tylko zmniejsza—umiera.

I to jest jedna z przyczyn, że miłość tak rzadką jest na ziemi. Właśnie ta jej wzniosłość stanowi jej słabość. Bo jakież stworzenie, bodaj najhojniej uposażone, jest zdolnem wciąż podsycać płomień takiego uczucia? Wiem, że za młodu pochlebia się sobie, że się zasługuje na podobną miłość licem swem i oczyma; w latach szesnastu, osiemnastu, w wieńcu róż i marzeń wyobraża się sobie, że się zawsze będzie rosło we wdzięki, w młodość ujmującą, w piękność; a czytając w starożytnych autorach te niewymownie piękne zdania o znikomości wszystkiego, dowiadując się od nich, że kwiaty opadają, róże więdną, a uczucia ludzkiego serca jeszcze są od róż nietrwalsze, uważa się to za próżne frazesy, za szumne, lecz przestarzałe deklamacje. Jest się tak młodą i piękną! tak pewną, że się będzie zawsze kochaną! Ale niestety, niedługiego trzeba czasu, czasem nawet roku za wiele, ażeby się przekonać, co warte owo „zawsze." Nawet wtedy kiedy ta piękność wzbudza jeszcze podziw świata, przestaje już ona przemawiać do duszy tego, który wczoraj wieczną jej miłość przysięgał.

Oto najtrudniejsze zadanie w małżeństwie. Wyobrażacie sobie może, iż najtrudniej jest powstrzymać gwałtowność przypływu uczucia; nie: najtrudniej zapobiedz jego odpływowi. Zapewne, potrzeba powściągać miłość, naznaczyć jej nieprzekraczalne granice, uczynić ją niewinną i czystą, bo wszystko, co ją czyni czystszą, czyni ją temsamem trwalszą, głębszą i słodszą. A tego nie zdołacie dokonać bez Boga. Trudniej wszelakoż jeszcze podtrzymywać jej wzrost, podsycać ustawicznie jej płomień.

Czytałem wszystkie dzieła waszych bezwyznaniowych moralistów; znalazłem ich wszystkich zaniepokojonych tem prawem zanikania, tym niebezpiecznym odpływem serca. Ale cóż oni na to poradzili? jakie są ich lekarstwa?

---

[1]) Henryk Pereyve.

Jeden powiada: „Jeżeli już nie kochasz, to dlatego, że nie dosyć się przyjrzałeś, nie dosyć zgłębiłeś. Jest w duszy wiekuiste odmładzanie się. Czas, niszcząc jeden wieniec, splata w zamian inny; i od złotych włosów młodzieńca do siwizny starca, piękność ulega przemianie, ale nie znika.“ Bardzo to piękne. A jednakże, boski przypływ trwa godzinę; potem następuje odpływ, który skoro raz się rozpoczął, nie ustaje już nigdy. Słyszę innych mówiących: „Źle czynicie, patrząc na jedną istotę tylko. Patrzcie na wszystkie. Starajcie się w nich widzieć ludzkość całą. Jedna istota stworzona ma cienie, plamy; ludzkość ich nie ma. Ludzkość jest piękną.“ Sofistom tym nie uczynię tego nawet zaszczytu, abym miał ich zbijać.

Oto i wszystkie wasze lekarstwa. Oprócz nich jest jeszcze tylko wolna miłość. Ale czemże jest ona, jeżeli nie smutnem przyznaniem tego, żeście zarówno niezdolni trzymać na wodzy miłość, jak ją podsycać? Wolna miłość, to miłość rzucona na pastwę własnych swoich płochości, kaprysów i wstrętów. Wolna miłość, to dziki potok, na poskromienie, którego nie mamy siły, a który szerzy dokoła spustoszenie.

Ale nie, to jeszcze nie ostatni wyraz waszej bezsilności. Upadniecie niżej; zejdziecie aż do pogardzania miłością, aż do urągań sceptycyzmu i zepsucia. Zaczęliście od uwielbienia miłości, od stawiania jej na ołtarzach askończycie na tem, że będziecie szydzić z niej, jak z próżnego marzenia; że zdepczecie ją nogami, jak fałszywe bóstwo, i tem dokonacie ostatecznej zagłady rodziny, która nie może żyć bez miłości.

O, dla pokoju świata, dla szczęścia rodzinnego ogniska, nie odbierajmy rodzinie miłości; bo jeżeli nie będzie jej tam, będzie ona na zewnątrz; zepsuje świat, zamiast go uszlachetnić. Ale nie odbierajmy tej miłości Boga; bo On tylko może ją jednocześnie podsycać i trzymać na wodzy. Z jednej strony strzeże On ogniska, zabraniając nawet wejrzenia; a kiedy je tak urządził, poddał prawom pewnym, On jeden może mu wzrost zapewnić. Religia przyprowadza młodzieńca do stóp ołtarza, przyprowadza też i dziewicę, zgina jej kolana i te słowa w usta kładzie. „Mój Boże, jestem młodą, kochaną; ale widzę swą nędzę; widzę, że jestem tylko wątłym kwiatem którego nie można ukochać jedynie i na zawsze. O, Panie, otwórz dusze nasze wiekuistej miłości, otwierając oczy na wiekuiste piękno“.

I oto rozdziera się zasłona, i po przez przemijające piękno rysów, zachwycone oko spostrzega prawdziwą piękność: duszę stworzoną przez Boga, odkupioną przez Syna Bożego, zesłaną chwilowo na ziemię, i noszącą już w wewnętrznym swym przybytku tego wielkiego Boga, który ją stworzył dla

siebie. Kto określi, ile niepożytego pokarmu daje młodym sercom taki widok? Kto powie, ile z nich ustrzegł on od tych pospolitych skał, o które rozbija się owa niby wieczna miłość? A wtedy może przyjść starość, rysy twarzy mogą się zmienić, a oblicze stracić wdzięk, ale nie będzie to miało wpływu na duszę, która się doskonali z dniem każdym, której piękność, przebłyskuje coraz żywiej, w miarę zbliżania się do wieczności. Przychodzi śmierć, i oto nad brzegiem grobu można powiedzieć, jak pewien szlachetny i pobożny starzec naszych czasów: „Nasze szczęście trwało czterdzieści siedem lat, a miłość nasza nigdy nie spadła do poziomu prostej przyjaźni.“

Miłość, bezustannie wzrastająca, jest więc pierwszem zasadniczem prawem rodziny, taksamo jak i serca. Widzicie, że prawo to jest zanadto wzniosłe, zanadto szlachetne, za idealnie piękne, ażeby można było je urzeczywistnić bez Boga i przeciw Bogu.

Drugie prawo, ma tęsamą cechę, bo w sercu człowieka jest druga dążność, nie mniej piękna, nie mniej trudna do ziszczenia i bez której istnienie rodziny jest niepodobnem. Wyjaśnimy zaraz myśl naszą: gdyby w rodzinie było tylko szczęście, była tylko radość i wzrastająca miłość, byłaby to już rzecz wielka, ale ziemska. Na szczęście, jest ofiara i ona to czyni rodzinę boską.

Przytoczę tu słowa sławnego pisarza: „Małżeństwo nie jest tylko umową; jest ono przedewszystkiem ofiarą, i to ofiarą obustronną. Kobieta przynosi w ofierze to, co jej Bóg dał najcenniejszego, co było przedmiotem najstaranniejszej troskliwości jej matki, i co się już odzyskać nie da: swoją pierwszą piękność, często zdrowie i nakoniec tę zdolność ukochania, którą posiada się raz tylko w życiu; mężczyzna ze swojej strony przynosi swobodę młodości, te bezpowrotnie najszczęśliwsze lata, tę zdolność poświęcenia się dla ukochanej, możebną tylko w początku życia, i to usiłowanie miłości, upięknienia i osłodzenia jej życia. Są to dwie czary: w jednej jest piękność, niewinność i czystość; w drugiej nienaruszona miłość, oddanie się na zawsze istocie słabszej od siebie; i trzeba, aby obie zarówno były pełne, jeżeli związek ma być całkowitym i błogosławionym od Nieba [1]).“

Taką jest rzeczywistość, tak doniosłym akt, jaki zawarli ze sobą małżonkowie. Od tej chwili tysiące więzów przypomina im, że nie są wyłączną swoją własnością, że już oddali

---

[1]) Ozanam, *De la Civilisation au V-e siècle.* Quatorzième leçon: Les femmes chrétiennes.

siebie. Mnóstwo zewnętrznych okoliczności rani ich razem, a często jedno przez drugie. I małżeństwo, rozpoczęte w cienistych gajach Raju, kończy się często na krzyżu.

I to jest druga skała, o którą rozbija się miłość, chcąca się obejść bez Boga. O, nie chcę źle mówić o ludzkiem sercu. Nic nad nie piękniejszego. Wzrusza je sam wyraz: ofiara; poświęcenie przejmuje je zachwytem. A jednakże to serce, to wielkie serce, jakże jest czasem małe! Któż się nie nuży cierpieniem? Kto po wstąpieniu na ten Tabor, gdzie się umiera dla miłości, nie zapragnął zejść z niego? Nosimy wszyscy w sercu szkaradną ranę: niemożność poświęcenia się przez długi czas, nawet dla najbardziej ukochanych.

Stąd to, pochodzą po kilku latach małżeństwa, te głuche kwasy, te nieporozumienia, których już się nawet nie umie skryć przed ludźmi, to lodowate zimno, ten nakoniec łańcuch tak ciężki, że się upada pod jego ciężarem? Tak się kochali, a teraz nie mogą się znosić wzajem! Dlaczego? bo nie potrafili się poświęcać.

I macie nadzieję, że wygnawszy z rodziny Boga będziecie się łatwiej poświęcali! Przypuszczam, że niektóre piękne dusze, niektóre serca czulsze pozostaną wierne sobie wzajem, jak te dwie białe kolumny, które pozostały nietknięte i złączone wśród ruin Forum; ale będą to tylko wyjątki, zaprawiające tem większą goryczą powszechną niedolę.

Tymczasem tam, gdzie świat nic nie poradzi i nie da nic, prócz bezsilnych środków, niesmacznych żartów, religia daje siłę. Przed oczy tych, których związek błogosławi, stawia surowy ideał, ale zarazem ich woli dodaje hartu, aby go osiągnąć mogli. Bierze w swe ręce tę miłość w zaczątku i tworzy z niej trwałą rzeczywistość. Podnosi do godności Sakramentu owo uroczyste, wzniosłe a ulotne „tak" — i oto staje się ono za wolą Bożą żywem, tajemniczem, nieprzerwanem źródłem siły potrzebnej dla jego dotrzymania. Mogą już teraz ci młodzi wejść na twarde ścieżki życia; znajdą tam ciernie, smutki, ale nigdy ponad odwagę swoją. Nieustająca siła będzie ich podtrzymywała na wysokości ich obowiązków. Pokój, zgoda, miłość, zapanują na zawsze pod ich dachem, bo choć będzie tam krzyż, będzie i łaska Boża.

Ach, żałuję mocno was, którzy nie chcecie Boga w swojej miłości! Nie uniknięcie ofiar, a nie potraficie ich dźwigać! Przepowiadam wam smutne dni, nieporozumienia, a może i krwawe tragedje, czy też komedje, jakie codzień plamią karty dzienników. Tej Golgoty nie pozazdroszczą wam chrześcijańscy małżonkowie.

Czy to już wszystko? czyśmy ujrzeli w zupełności wielkie prawa rodziny i całą niemoc serca do zastosowania się do

nich bez Bożej pomocy? O nie! Ojciec i matka, chociażby najściślej zjednoczeni, to jeszcze nie rodzina, bo to jeszcze nie całe serce. Na złączonym pniu ojca i matki ukazuje się niepawem kwiat: dziecię. Kwiat to, czy też cierń? W każdym razie jest to przedmiot najszlachetniejszej dumy, najczystszej radości; ale także dla ojca godnego tej nazwy, dla prawdziwej matki—przedmiot najboleśniejszego niepokoju!

Tak jest: ukochana ta istota przyjściem swem na świat nietylko rozdziera łono matki, zasępia także czoło ojca, obarczając go ciężarem wielkiej odpowiedzialności.

Gdybyż jeszcze dosyć było czuwać nad całością jej zdrowia i życia wpośród tych niebezpieczeństw! Ale ma ona duszę nieśmiertelną. Trzeba ją wychować, wpoić w nią godność, honor, czystość, uczucie, wiarę; trzeba ją natchnąć szacunkiem siebie samej, obok miłości dla Boga i ludzi.

A gdyby upadła, gdyby burze, tak liczne i gwałtowne w naszych smutnych czasach, ugięły tę słabą roślinkę, potrzeba umieć do niej przemówić, ostrzedz ją i podnieść; gdyby zaś się oparła i poszła drogą hańby, trzeba płakać, jęczeć, rozedrzeć łono i wydobyć z niego krzyk, któryby doszedł aż do Boga i zbawił nieszczęśliwą.

I myślisz, że bez Boga podołasz tym strasznym obowiązkom! Ależ jeśli nie wierzysz w Boga, ani w nieśmiertelność, ani nawet w istnienie duszy, jeżeli twój syn dla ciebie jest tylko odrobiną materji, skupionej przypadkowo i przeznaczonej na pastwę nicości, jakże będziesz dbał dlań o wiekuiste rzeczy?

Nie będziesz ojcem dusz twoich dzieci. Niestety nie będziesz nawet ojcem wcale! Wykręcisz się sofizmatem od obowiązku dania życia potomstwu, od tego trzeciego prawa serca i rodziny; odrzucisz, jako największy ciężar życia, zaszczyt ojcowstwa.

Nie będziesz miał dzieci: albo będziesz miał tylko jedno, ażeby przekazać mu nazwisko i majątek: i to jedno będzie źle wychowane, ubóstwiane, psute, dlatego właśnie że jedyne. Będzie to twój tyran w dzieciństwie, zuchwały towarzysz w młodości, a może twój wstyd i boleść twoja kiedyś!

Tak odpokutujesz tę zbrodnię, żeś chciał obejść się bez Boga. Nie utworzysz rodziny, albo jeżeli utworzysz, będzie ona twoją karą. I rodzina ta, wytykana palcem przez starców, będzie nauką dla przyszłych pokoleń, czego mają unikać, żeby być szczęśliwemi; jak te szczątki rozbitych okrętów, które umieszczano na niebezpiecznych wybrzeżach, jako ostrzeżenie dla żeglujących mimo.

III.

Po co nam zresztą doświadczenie: jest już ono zrobione oddawna. Zaledwie rozszedł się po Francji podmuch niewiary, zaczęły się wszędzie rozluźniać węzły małżeńskie. Ciosy wymierzone w ołtarze, wstrząsnęły domowe ogniska, jak cięcie siekierą we wspólne korzenie wstrząsa drzewa bliźniące. Po wielkich panach XVII wieku, którzy uznając w zasadzie świętość związku małżeńskiego, w praktyce pogardzali nim do tego stopnia, że ośmielali się wyjednywać zaszczytne posady dla owoców swego cudzołóstwa; po sofistach wieku XVIII, którzy posuwając się dalej, zaprzeczyli samemu związkowi małżeńskiemu i zniżając rodzinę ludzką do poziomu zwierzęcej, utrzymywali, że małżeństwo jest faktem przemijającym, rzeczą potrzeby i umowy, zawiązane dla urodzenia dzieci i rozwiązujące się potem [1]); po tych dwóch, już tak strasznych napaściach, nadeszli prawodawcy, synowie sofistów, i ci dokonali ostatecznej ruiny.

Ze wstydem słyszy się, jak taki prawnik, jak Cambacérès twierdzi, że „*wola małżonków stanowi istotę małżeństwa*, a zatem zmiana tej woli je rozwiązuje;“ [2]).

Jak Deputowani, zdając sprawę z ustawy roku 1792, głoszą że czynili rozwód bardzo łatwym, *z powodu natury małżeństwa*, którego zasadniczą podstawą jest wolna i nieprzymuszona wola małżonków, i ponieważ swoboda osobista nie może być bezpowrotnie odjęta przez żadną umowę [3]);“

Jak inni deputowani oświadczają: „że niema wcale dzieci nieprawych, ponieważ żadne nie są prawe; i że należy wszystkimi sposobami popierać związki wynikające z uczucia[4].“

Jak nareszcie prawa powołują się na motywy takie oto: „Zważywszy, jak jest niezbędnem, ażeby Francuzi korzystać mogli z łatwości rozwodu, wynikającej ze swobody osobistej, *którąby krępowała umowa stała*: zważywszy, iż niektórzy małżonkowie, nie czekając, aż prawo określi sposób i skutki rozwodu, *skorzystali* z tego, iż uważa ono małżeństwo jak *umowę cywilną tylko*, — Zgromadzenie narodowe orzeka nagłość wniosku.“ [5])

---

[1]) *Contrat social* ch. II.

[2]) *Premier Projet de Cambacérès*, Fenet, t. I, p. 4 et p. 150.

[3]) *Rapport sur la loi de* 1793 p. 17.

[4]). Zdanie deputowanego Chabot'a w rozprawie o tym przedmiocie.

[5]) Prawo z 20 września 1792. Proszę zauważyć te słowa: *cieszyć się łatwością rozwodu... korzystać, iż prawo uważa małżeństwo za umowę*. Jak gdyby prawo przyrzekało szczęście, dając rozwód!... Smutny to objaw ówczesnego stanu obyczajów.

Trzebaż wymowniejszego dowodu, że od czasu zagnieżdżenia się we Francji niewiary, Francuzi nie czują się już na siłach do zachowywania świętych nakazów małżeństwa?

Tak więc rozwód został uprawnionym. Rzucono się doń skwapliwie. Było to tosamo, co otworzyć drzwi więzienia. W samym Paryżu, podczas dwudziestu siedmiu miesięcy tylko po ogłoszeniu prawa, sądy wydały 5,994 wyroków rozwodowych.

Prawda, że nasze obyczaje nie zniosły długo podobnego poniżenia. Francja z obrzydzeniem odrzuciła rozwód. Ale chociaż został on wykreślonym z kodeksu, trwa do dziś dnia w jego duchu. Zniknął rozwód prawny; pozostał potajemny. Prasa domaga się go ustawicznie. A tymczasem zwiększają się wśród nas nietylko separacje co do pożycia i mienia, nieznane prawie w dawnej Francji, obecnie zaś tak liczne i bardziej gorszące, niż u innych narodów — ale owe przemycane małżeństwa, przeważnie w wielkich miastach, dzięki którym, narodziny dzieci nieprawych mają się w Paryżu w stosunku jednego do trzech.

Podczas gdy prawodawcy, ulegając z jednej strony wpływowi sofistów, z drugiej — powodzi zepsucia, piętnowali wiek XIX zakałą rozwodu, wprowadzali zarazem wiedzeni tymsamym duchem, pewną nowość, zupełnie na pozór niewinną, ale która miała wywrzeć zgubny wpływ na obyczaje.

Nie jestem ja z tych, którzy potępiają absolutnie *śluby cywilne*, to jest małżeństwo zawarte wobec Państwa, przed lub po odbyciu ceremonii religijnej. Uważam za rzecz słuszną, aby Państwo wiedziało o tak ważnej umowie i aby jego urzędnicy wciągnęli ją do akt, skoro mają czuwać nad jej dotrzymaniem. Ale trzeba było urządzić tę nowość *po chrześcijańsku*, a nie *rewolucyjnie*. Społeczeństwo nie powinno było orzekać, że *małżeństwo jest umową tylko cywilną*; ani mówić małżonkom: *Jesteście połączeni najzupełniej, tylko mocą tego aktu*, — co jest fałszem, bo dla katolików żadne to jeszcze połączenie. Należało szczególnie zabezpieczyć się, ażeby nigdy, w żadnym wypadku ślub cywilny, nie był odłączany bez zgody stron obu, bo w przeciwnym razie byłby to zamach na swobodę sumienia jednej z nich i sidła zastawione na jej dobrą wiarę. Szczególnie nie należało dawać masom pochopu do prawnego cudzołóstwa, do małżeństwa bez ołtarza i religii; ani popierać powagą władzy tej zgubnej dążności do załatwienia bez Boga najważniejszych w życiu czynności.

W ten sposób osłabiono w mnóstwie umysłów prawdziwe pojęcie świętości małżeństwa; sprowadzając je do umowy, jak wszystkie umowy najmu lub sprzedaży, mogące być unieważnianemi za wolą stron, przygotowano jego roz-

przężenie; i zrobionoby więcej jeszcze złego, gdyby pomimo pozorów, Francja nie była chrześcijańską aż do szpiku kości i gdyby jej obyczaje nie były lepsze od jej praw.

Mała zmiana zaradziłaby tym niedogodnościom. Oto gdyby ślub cywilny odbywał się nie przed ślubem kościelnym, ale po nim. Młodzi małżonkowie, pobłogosławieni przez Boga, połączeni pod opiekuńczą tarczą religii, udawaliby się potem do mera, aby on uprawomocnił świeckie warunki ich związku. Mer nie powinienby załatwiać tej czynności pierwej, ażby się stawili przed ołtarzem, przez się wybranym. Społeczeństwo miałoby z pewnością prawo tego wymagać i ponieważ idzie o rzeczy tak ważne, dopuszczać do korzystania z umowy cywilnej, tych tylko, którzy wzięli ślub kościelny. Gdyby zaś, posuwając do ostatecznych granic poszanowanie wolności, zgadzało się łączyć cywilnie ludzi, nie mających żadnej religii, niepowinnoby się czynić tego inaczej, jak na zapewnienie piśmienne stron obu, że zamierzają założyć rodzinę bez pomocy Boga.

Taka reforma była już proponowaną przez wybitnych prawoznawców. Byłoby to godnem urzędników i deputowanych naszych czasów, ażeby poparli ją swoją powagą i domagali się gdzie należy, wprowadzenia jej w życie [1]).

IV.

Ale to zaledwie pierwsza rana rodziny, dotkniętej niewiarą. Poważni obserwatorowie wiele innych klęsk zaznaczają. Nie tylko węzeł małżeński pod tym zabójczym wpływem rozluźnia się i rozrywa, z kolei zanika władza ojcowska. Jest ona głęboko zachwiana, jeżeli nie zupełnie podkopana. Wszyscy się na to skarżą, szukając środków zaradczych. Ale nie zawsze widzę w tych, którzy poruszają tę kwestję, tyle światła, ile chciałbym w nich go dostrzegać. Niektórzy nie na właściwem miejscu mieszczą tę ranę, a mało z nich zapatruje się na nią zupełnie słusznie.

Co zaś zaciemnia tę kwestję w niektórych umysłach, to okoliczność, że władza ojcowska w czasach obecnych jednocześnie przeistacza się i chyli do upadku.

Nie podpada wątpliwości, że stosunek rodziców i dzieci

[1]) Patrz *le Mariage civil et le mariage religieux*, par M. Sauzet. Znajdujemy tam w najpiękniejszej formie i z najwyższą logiką przeprowadzone wszystkie zarzuty przeciwko ślubom cywilnym, tak jak są teraz we Francji; również jak i potrzebę reformy, któraby podniosła charakter religijny małżeństwa w oczach prawa.

w wieku XIX zmienił się i zmienił się na dobre. Dawna rodzina grecka i rzymska, lub, jeżeli wolicie, feudalna i arystokratyczna, gdzie ojciec jest wszystkiem, nietylko ojcem, ale panem i sędzią; gdzie jest jedyną osobą, jaką państwo zna i przez którą wywiera swój wpływ na żonę i dzieci; rodzina taka już nie istnieje. Rozwiał ją podmuch demokratyczny. I gdyby tylko tak było, nie uskarżałbym się bardzo.

„Nie wiem—powiada de Tocqueville,—czy ogólnie biorąc, społeczeństwo traci na tej zmianie, ale myślę, że jednostka zyskuje na niej. Sądzę, że w miarę, jak obyczaje i prawa demokratyzują się, stosunki ojców z synami stają się bliższe serdeczniejsze; mniej w nich formuł i władzy, więcej zaufania i miłości, i zdaje się, jakoby węzły przyrodzone zacieśniały się w miarę rozluźniania się społecznych." Dodaje dalej: „Ażeby ocenić różnicę dwóch stanów społeczeństwa, pod tym względem dosyć jest przejrzeć domowe korespondencje, pozostałe po arystokracji. Styl ich jest zawsze poprawny, ceremonialny, sztywny i tak zimny, że uczucie serdeczne zaledwie może się przebić przez słowa. Tymczasem u narodów demokratycznych we wszystkich wyrazach, kreślonych przez synów do ojców, panuje coś swobodnego, zarazem poufałego i czułego, co wskazuje odrazu, że w łonie rodziny nowe nastały stosunki [1])."

Oto jest zmiana, i znaczna zmiana. Gdyby też była ona jedyną w ustroju rodziny XIX wieku, nie przestraszałbym się nią, i nie w tę stronę obracałbym wzrok, szukając środków zaradczych. Na nieszczęście, w stosunkach ojców i synów nietylko jest zmiana; władza ojcowska ulega nietylko zmodyfikowaniu, ale i obniżeniu. Władza ta zanika. Zabija ją niewiara, i to w podwójny sposób.

Od trzech już stuleci niewiara bierze stronę synów przeciw ojcom, to jest niezależności przeciw władzy, kaprysu i lenistwa przeciw doświadczeniu; inaczej mówiąc: wielkich nadużyć przeciw małym. Niema deklamacji; niema konceptów, którychby sobie nie pozwolono przeciwko nadużyciom władzy ojcowskiej; a po przejściu pióra z rąk literatów w ręce prawodawców, niema ograniczenia, jakiemby się nie starano tę władzę skrępować. Ostateczny zaś cios zadały jej dwa paragrafy kodeksu, opiewające:

1) Zaprzeczenie ojcu prawa do rozporządzania swym majątkiem na korzyść dzieci, do rozdzielania go pomiędzy nie, wedle swego uznania, swego do nich przywiązania i doświadczenia.

---

[1]) De Tocqueville, *De la Démocratie en Amérique*, t. III, p. 315.

2) Ogłoszenie prawa dzieci do mienia rodziców, prawa bezwzględnego, nienaruszalnego i równego dla wszystkich.

Od tej pory, ponieważ dobra ojca należą do dzieci, ojciec jest już tylko dożywotnikiem, wkrótce kłopotem, a co gorsza, zawadą. Po dojściu do pewnego wieku, u ludu daje się mu uczuć, że żyje za długo, wyrzucają go bez ceremonii pod schody. W klasach wyższych zachowuje się więcej form, ale często myśli się nie lepiej.

Oto jest pierwsze następstwo. A cóż, jeżeli młodzieniec wejdzie na złą drogę, jeżeli robi długi, rzuca się do gry, do rozpusty, okrywa ojca wstydem! Co pozostaje ojcu? Oto cierpieć w milczeniu. Zapewne, może ogłosić w dziennikach, że nie będzie płacił długów synalka, ale ten będzie śmiał się z tego tylko. Wiedząc, że nie może być wydziedziczonym, będzie liczył lata, pozostające ojcu do życia i zawczasu zastawi lichwiarzom swój spadek. W niewielu wypadkach ojciec z wielkim trudem i za pomocą wysokich protekcji będzie mógł wyprawić go za morze. Ostateczne to już lekarstwo. Po upływie kilku lat młodzieniec wraca, jeszcze gorszy niż przedtem. Ojcu pozostaje już tylko znosić wstyd i milczeć.

I zauważcie dziwaczność prawa! Odejmuje ono ojcu wszelką władzę, potrzebną mu do spełnienia jego obowiązków: zwraca mu ją, skoro chodzi o zaspokojenie jego namiętności. Ten ojciec, nie mogący nic dać dzieciom, równie bezwłasnowolny wobec występków jednych z nich, jak wobec kalectwa i ubóstwa innych, ma wszelako swobodę pod jednym względem: oto może zrujnować najlepsze nawet dzieci. Może sprzedać swą majętność, oddać go z rąk do rąk swej kucharce, przegrać na giełdzie lub roztrwonić w złych miejscach posag dzieci. Oto żona, córki w nędzy. Prawo milczy, nie ma nic do powiedzenia. Wszystko jest najzupełniej prawomocne.

Nietylko więc w stosunku ojców do synów w wieku XIX zaszła zmiana, ale zmiana na gorsze. Ojcowstwo zostało strącone z tronu; u maluczkich i biednych z cynizmem, u możnych i bogatych z pozornym szacunkiem, ale strącone wszędzie. Dzieło to rewolucji, dokonane pod tchnieniem niewiary.

Miejmy jednak odwagę powiedzieć jedno: niczem są rany zadane ojcowstwu wobec tych, jakie samo zadało sobie. Zrzucono je z tronu, ale ono pierwsze zeń zeszło.

Straciło tron, tracąc wiarę; samo siebie wygnało z tej wzniosłej świątyni, z tego królestwa dusz, zwanego rodziną.

Jeden z wolnych myślicieli powiada ze smutkiem: „Chcielibyśmy nieraz, po bezużytecznych wysiłkach i utraconych złudzeniach, utulić, ogrzać serce w rodzinie u do-

mowego ogniska. Powracamy tam znużeni, ale czy znajdujemy wypoczynek? Bynajmniej, bo i o czemże będziemy mówili? O rzeczach obchodzących serce, o religii, o duszy, o Bogu? Nie. Spróbujcie rzec o tem słówko u swego stołu, w swem kółku rodzinnem: matka twoja potrząsa głową; żona ci przeczy; córka, milcząc, nie zgadza się z tobą. One są po jednej stronie, ty po drugiej." Tak, w tem smutnem położeniu stawiacie się sami, wyrzekając się religii i nie spełniając obowiązków względem Boga. Wyłączacie się z rodziny.

W czasach, gdy ojcowstwo nie było straciło jeszcze swej aureoli, wierzono, że mąż jest u ogniska domowego zarazem kapłanem, królem i prorokiem: kapłanem, ażeby łącznie ze swemi modłami i prośbami, przedstawiał i ofiarował Bogu modły żony i dzieci; prorokiem, ażeby z nauk przeszłości, z obecnego biegu życia, odgadywał tajemnice rzeczy przyszłych i odsłaniał je młodszej od siebie żonie i drobnym dzieciom; królem, ażeby wiódł je za sobą do wieczności. Oto, czem jest w wyrokach Bożych małżonek, ojciec. I to, że nim być przestał, jest niedolą rodzin naszych czasów, w których mężczyzna nie jest już kapłanem, ponieważ się nie modli; nie może być prorokiem, bo sam w nic nie wierząc, nie posiada klucza do zrozumienia wielu rzeczy; a nieuchronnem następstwem tego, jest to, że sam pojmuje, iż nie może być królem: jakże bowiem mógłby wieść rodzinę, nie znając ani punktu wyjścia, ani celu podróży? I czemuż się dziwisz potem, że zdumiona, zaniepokojona twą religijną nicością, żona twoja, czując, że w rzeczach tyczących się duszy nie może ani cię spytać o radę, ani przedstawić ci do rozstrzygnięcia swoich wątpliwości, w tem osamotnieniu sumienia, czyniącem jej tak ciężkiem brzemię macierzyństwa, szlachetną troskę o wiekuistą przyszłość dzieci,—szuka u stóp ołtarza kierunku, który w wielu rzeczach w tobie znaleźćby powinna, a którego dać jej nie możesz!

Szczerze też życzę, ażeby chrześcijańscy urzędnicy, prawnicy i deputowani, starali się zwrócić ojcu władzę, przynależną mu u wszystkich wolnych narodów. Jestem przekonany, że co do tego, prawa nasze potrzebują poważnego przejrzenia. Ale jeszcze mocniej wierzę, iż nie przyda się to na nic, jeżeli ojciec nie odzyszcze prawa do szacunku, odzyskując wiarę. Zwróćcie mu wszystkie prawa, nawet prawo absolutnego przekazywania majątku: jeżeli się nie nawróci, jeśli wpierw nie uczci *władzy ojcowskiej w Niebie*, nie odzyszcze swej korony. I śmiem utrzymywać, że jeśliby odzyskał prawo robienia testamentu według swej woli, nie

odzyskując wiary, byłby już nietylko zdetronizowanym, ale zohydzonym.

Nie zapominajmy, że bezbożni to ojcowie wieku XVIII, uzbrojeni w to prawo i nadużywający go, wywołali tę straszną reakcję przeciw ojcowskiej powadze, której głęboki ślad pozostał w naszym kodeksie i która na początku tego wieku pozwoliła jednemu z deputowanych, wyrzec wobec zgromadzenia narodowego i przy jego oklaskach, te słowa: *Władza ojcowska już nie istnieje!*

V.

Ale podczas gdy ojciec tracąc wiarę odzierał się z władzy i uroku, nie będąc już, nie mogąc być, prócz chyba w rzeczach mniejszej wagi, głową i przewodnikiem żony i dzieci, zstępował on w oczach małżonki z piedestału i w inny jeszcze sposób. Dobrowolna bezdzietność małżeństw jest nietylko ruiną narodów, ale i głęboką ranę domowych ognisk. Mężczyzna traci z jej powodu poszanowanie w miłości, powściągliwość, skromność, godność, urok. Rani swą towarzyszkę w najczulszą stronę. Upokarza ją. Poddaje ją poniżeniu, któregoby nie zniosła bez rozkazu. Myśleć nie może o niem inaczej, jak z przestrachem i wstrętem. A tam, gdzie zaczęło się nadużycie, kończy się często miłość.

Nie są to zresztą jedyne skutki owego pogwałcenia zasadniczych praw małżeństwa. Podczas gdy tarana poniża ostatecznie mężczyznę w oczach towarzyszki, poniża i tę ostatnią, chociaż w inny sposób.

„Pod względem fizycznym, lekarze myśliciele widzą tu dla kobiety źródło stanu chorobliwego, nie występującego, wcale w krajach, gdzie płodne małżeństwa są otaczane szacunkiem. Pod względem moralnym, skutki bezdzietności są jeszcze opłakańsze. Kobieta, pozbawiona w najpiękniejszych latach swego istnienia, funkcji, wyznaczonych jej przez naturę, jeżeli przytem nie jest zmuszoną do ciężkiej pracy, skazaną zostaje na bezczynność, której nie może znieść jej ruchliwa wyobraźnia; wynajduje więc sobie sztuczne i płoche zatrudnienia, poza obrębem domowego ogniska; oddaje się pouętom niedorzecznego zbytku [1])". Ta jest trzecia rana rodziny bez Boga. A nie mówię tu jeszcze o społecznych skutkach bezdzietności małżeństw, o wzrastającem wylu-

[1]) Le Play, *La Réforme sociale*, t. II: La famille, p. 322.

dnieniu Francji i obniżeniu jej stanowiska wśród innych narodów. Na kwestję tę przyjdzie kolej później.

Zapewne więcej niż ktokolwiek, współczuję smutnemu położeniu, jakie zgotowały głowom rodzin stosunki ekonomiczne tego wieku i prawne przepisy naszego kodeksu. Położenie to, nietylko smutne i bolesne, ale fałszywe i nieznane minionym wiekom, wytworzone zostało przez rewolucję bezbożną i opartą na urojeniach; a wypływają zeń trzy nasze nieszczęścia: osłabienie ojczyzny, złe pożycie wielu młodych małżeństw i zaniedbanie przez większą część ludzi obowiązków chrześcijańskich.

Mogą lekkomyślni lub fanatyczni moraliści nie brać w rachubę tego położenia; niemniej istnieje ono i w niem leży wielka kwestja religijna XIX wieku. Żwróciło to uwagę najpoważniejszych myślicieli. Żadna reforma moralna nie jest stanowczo możebną, dopóki straszna ta kwestja rozstrzygniętą nie będzie.

Prawda, że religia wiele tu może,—nie może wszelako wszystkiego. Nie można nakazać bohaterstwa dziesięciu milionom ludzi. To też Anglicy i Amerykanie, chociaż są głęboko wierzący, nie oglądali się na samą religię, ażeby rozwiązać to zadanie. Ojcowie nasi czynili taksamo. Stworzyli mnóstwo instytucji, któremi społeczeństwo przychodziło w pomoc religii. Podczas gdy ta ostatnia nakazuje małżeństwom mieć dzieci, pierwsze powinno to im umożebniać.

Prawa i instytucje te zniosła rewolucja, bardziej jeszcze bezrozumna, niż występna. Wprowadziła natomiast prawo spadkowe, będące przedmiotem zdumienia Anglii i Ameryki, „natchnione ślepą miłością swobody“ [1]), czyniące wszystko dożywotniem“ [2]), „zmuszające ogniska rodzinne do rozwiązywania się i zawiązywania się na nowo co lat dwadzieścia“ [3]), „w którem dzieci są dla ojca zawadą“ [4]), „w którem nie wiedzieć co zrobić z wdowami i starcami“ [5]), i które wydało wszystko zło, trapiące dziś rodzinę, a szczególnie bezdzietność małżeństw.

Rzecz dziwna i stwierdzająca to, co powiedziano wyżej, ta smutna rana, nieznana nawet w wieku XVIII, znaną już była niegdyś, ku końcowi cesarstwa rzymskiego; a była ona owocem niegodziwego systemu rządzenia i jeszcze niegodziwszego systemu podatkowego. Wróciła w naszych czasach, jako

1) Edmond About, *Le Progrès*, I vol. in 8-o, 1864; p. 295.
2) Renan, *Questions contemporaines*, I vol. in 8-o. Paris 1868.
3) Portalis, *Discussions du Code Napoléon dans le conseil d'Etat*. Jouanneau et Solon, t. II, p. 126.
4) Renan.
5) Troplong, *Traité des donations*, t. I, p. 11.

skutek niedorzecznego prawa spadkowego. Można stąd wnosić ze wszelką pewnością, że żadne usiłowania religii nie uleczą tej rany, dopóki prawo pozostanie w swej sile.

Trzeba więc pomyśleć o tem na serjo. Bo wraz z dobrowolną bezdzietnością zjawiło się wiele innych złych następstw: u jednych zgubny zwyczaj małżeństwa dla pieniędzy i bezwstydne rachuby na bliską śmierć stryjów, ciotek, a czasem własnych rodziców, nazywane *nadziejami*; u innych, wyrzeczenie się małżeństwa i wynikająca stąd coraz większa powaga, jakiej zażywają kobiety bez męża; u wszystkich i wszędzie „zanik ducha rodzinnego, unicestwienie władzy ojcowskiej, perjodyczne burzenie ognisk rodzinnych i zakładów przemysłowych, podpadających pod prawo podziału spadkowego; nieskończone rozdrabnianie się majętności i ruina jednostek“.[1])

To też najznakomitsi ludzie zaczynają się niepokoić, bo straszna machina ścierająca na proch wszystko, działać nie przestaje. Troplong, prawnik, były prezes senatu[2]), Pinart, urzędnik, były minister spraw wewnętrznych[3]), Le Play i inni szukają lekarstwa, i nie zaprzeczając potrzeby religii, owszem, przyznając jej znaczny udział, sądzą słusznie, że to lekarstwo ma się znaleźć w rozumnej reformie społecznej. Nie pragną ani powrotu prawa starszeństwa, ani dawnych przywilejów, bo to prowadzi za sobą nadużycia jedynie: ale chcą przezornego rozszerzenia swobody w przekazywaniu namiętności, usunięcia przymusowego podziału, znacznego zmodyfikowania praw spadkobierców i kosztów prawnych, chcą jednem słowem rozumnej reformy praw, dotyczących własności i sposobów jej przekazywania. Zdaje nam się, że chrześcijańscy urzędnicy i prawnicy nie mogą się lepiej przysłużyć ojczyźnie, religii, rodzinom i duszom, jak zwracając właśnie w tym kierunku całe swe światło i całą gorliwość. Chodzi tu o przyszłość religii we Francji.

Ale żądając lepszego ustroju społeczeństwa, nie mamy chyba potrzeby oświadczać, że będzie on niewystarczającym; wszyscy ci znakomici ludzie już to wcześniej od nas czynili. W najlepszych nawet warunkach ekonomicznych i prawnych, wychowanie licznej rodziny jest zawsze ciężkiem brzemieniem; tylko religia, tylko ufność w Bogu, poruczenie się Opatrz-

[1]) Lanfrey, *Histoire de Napoléon* I, t. II, p. 128.
[2]) *Traité des donations*, Préface.
[3]) Mowa wypowiedziana w r. 1865, po powrocie dworu cesarskiego z Douai.

ności, uznanie świętości ojcowstwa, mogą nakazać ludziom przyjęcie bez zastrzeżeń wszystkich skutków małżeństwa.

VI.

Ten to ogólnie anormalny stan, ta głucha dysharmonia pomiedzy małżonkami, te ciągłe rozdźwięki sumień, naprowadziły niektórych na myśl, że ponieważ mężczyźni nie mają już religii, lepiej byłoby dla harmonii dusz i spokoju domowego ogniska, aby i kobiety nie miały jej również. Ale dosyć jednego rzutu oka, aby dostrzedz, że się tą drogą nie uda dojść do celu, bo staje się tu nie wobec przesądu społecznego, towarzyskiego, lub wpojonego przez wychowanie, co niby nie znaczyło, — ale wobec wiekuistych praw natury ludzkiej. A z drugiej znowu strony oczywistem jest, że gdyby się i udało, doprowadziłoby tylko do ostatecznej ruiny.

Posłuchajmy Pisma Świętego, starej Księgi rodzaju, z której przemawia Bóg, a którą ludzkość przyjmuje i czcią otacza. Ona nam powie, czem jest kobieta, na co została stworzoną i czy możebnem jest, aby mogła żyć bez Boga i religii.

Gdy Bóg stworzył człowieka, powiada Pismo, spojrzał nań, i przejęty współczuciem dla jego samotności, wymówił te słowa, miłości pełne: „Nie dobrze być człowiekowi samemu; uczyńmy mu *pomoc* jemu podobną“—*Faciamus ei adjutorium simile sibi.*

Oto jest powołanie niewiasty. Stworzoną została na *pomocnicę* mężczyzny. W czemże ma mu pomagać? Oto w jego w pracach, w jego smutkach. Tak ciężko jest cierpieć samotnie! Ale i w jego radościach, w marzeniach o szczęściu. Nie używa się w całej pełni szczęścia, jeżeli się go używa samotnie. A ponieważ człowiek został stworzony nie dla ziemi; ponieważ Bóg dał mu niebiańskie nadzieje, obok szczytnych porywów i pragnień; ponieważ ma przejść tylko przez ten smutny świat w swej drodze do Nieba,—kobieta daną mu została, ażeby go w tej drodze podtrzymywała, kierowała i aby mu towarzyszyła. *Adjutorium simile sibi.*

Czuje się całą prawdę, powagę i piękno tego zapatrywania, kiedy się przypomina sobie wyrok, wydany nad kolebką człowieka: *Niech uprawia ziemię i panuje nad nią; niech rozkazuje zwierzętom ziemi, ptakom niebieskim i rybom w głębi wód.* Ale, mój Boże, a jeżeli człowiek zapomni o swym celu! jeżeli ta piękna ziemia, którą w pocie czoła uprawia i użyźnia, zasłoni przed jego wzrokiem Niebo! jeżeli umysł jego zaćmi się i zmaterjalizuje pod wpływem życiowego trudu! Trzeba mu

dać anioła wieczności, apostoła, ewangelistę, mistrza tkliwego, słodkiego a umiejącego przekonywać, któryby w sercu, umyślnie na to stworzonem, zachował nazawsze zamiłowanie, potrzebę, żywe poczucie rzeczy boskich. *Adjutorum simile sibi.* „Gdy Bóg, umiłowawszy człowieka, najdoskonalsze ze swych stworzeń, postanowił dać mu dar pierwszy, dał mu w nieskończonej swej miłości niewiastę. Mężczyzna był panem raju, niewiasta jego aniołem.“ [1])

Upadek, który sprawił tak wielki przewrót w całym porządku stworzenia, nie zmienił nic w tym planie. Chociaż kobieta zaraz na początku sprzeniewierzyła się swemu posłannictwu, i tej słodkiej przewagi nad sercem męskiem, otrzymanej od Boga, użyła na odwrócenie mężczyzny do Boga i wieczności.— Bóg karząc ją surowo, nie cofnął tego jej powołania. Pozostała i nadal *pomocą*, podporą mężczyzny. A kiedyżbo on więcej tego potrzebował? Oto ziemia staje się zimną, świat osmutniałym; Bóg się ukrywa. A oto grzech, błąd, wszystkie nieszczęścia Ach, niechże nie traci mężczyzna swej towarzyszki, swojej podpory, jeszcze droższej w dniach smutku, jeszcze potrzebniejszej wśród ciemności! „Razem opuszczają wspaniałe siedlisko, drżącym krokiem, z sercem ściśnionem, oczyma od łez przyćmionemi; razem przebyli wieki, postępując ręka w rękę, to stawiąc opór burzom, to spotykając na morzu życia łagodniejszy powiew losu. Dosięgając przeniewierczę rózgą swej sprawiedliwości, zamykając przed nim bramy rozkosznego przybytku dlań zgotowanego, Bóg w swojem miłosierdziu chciał pozostawić winowajcy coś , coby mu przypominało szczęśliwą przeszłość: pozostawił mu kobietę, ażeby patrząc na nią, raj sobie przypominał“ [2]).

A ponieważ pierwsza wina okryła wstydem czoło kobiety, i mężczyzna, zbyt już jej nie ufając, nadużywał swej nad nią władzy, więził ją, usuwał na stronę lub uciemiężał, tak że wobec takiego sponiewierania i nieufności nie mogła już spełniać swego wielkiego posłannictwa: Bóg, w miłości swej dla ludzi,postanowił podnieść ją, naznaczyć jej czoło pięknością od utraconej większą, ażeby mogła odzyskać serce mężczyzny, poczucie swego wysokiego powołania, moc i środki do jego wypełnienia.

Jeżeli chcecie zdać sobie sprawę z tego wszystkiego, nie patrzcie na pierwotną Ewę, czystą, wdzięczną, stworzoną dla zachwycania serca człowieka i wznoszenia się z nim ku Bogu; ani nawet na Ewę, piękną także, upadłą, ale żałującą swego upadku, opłakującą go, pałającą chęcią zadosyćuczynienia i przodowania nadal w dobrem tak, jak przodowała w złem.

[1]) Donoso Cortès, *Discours sur la Bible.*
[2]) Donoso Cortès, *Discours sur la Bible.*

Ażeby poznać matkę, małżonkę, córkę człowieczą, trzeba wznieść się wyżej, aż do tej niezrównanej Niewiasty, dziewicy i matki zarazem — do Maryi. Oto kobieta w całej podniosłej piękności swego powołania. Nosiła w swojem łonie Boga; wydała na świat wiekuiste i nieskończone dobro. W Niej i przez Nią wszystkie kobiety wypełniły dane sobie posłannictwo podnoszenia, oczyszczania, pocieszania mężczyzny, odrywania go od ziemi i prowadzenia ku Niebu. Stąd to spływa od osiemnastu wieków na kobietę ten powszechny szacunek, ta czuła i wzniosła miłość, te pełne delikatności względy, które zdobią chrześcijańskie społeczeństwo; i stąd też bierze ona tę promienną czystość, tę aureolę skromności, tę poważną piękność, miłą swobodę, wielką cnotę i nakoniec to pragnienie zachwycenia serca mężczyzny, ażeby go podnieść ku Niebu i towarzyszyć mu w tej drodze.

Pięknem jest to rozrządzenie Boże! Iluż to ludzi utonęłoby w zabiegach doczesnych i zapomniało o wszystkiem: o Bogu, o duszy, o przyszłem swem życiu, gdyby nie mieli oni koło siebie małżonki, córki, matki! Iluż to w ostatniej godzinie, przejrzawszy jasno, powie Sędziemu swemu z wdzięcznością: „Dobrze mi jest, że nie byłem sam!“

Oto delikatne, wysokie, błogie zadanie kobiety. Któż nie czuje, jakie zamieszanie w planie tak pięknym sprawiłaby niewiara, jakie uczyniłaby spustoszenie w takiej duszy? Jakto! miałaby ona zwarzyć ten kwiat, a swem palącem tchnieniem zatruć czystą atmosferę domowego ogniska! Miałaby poniżyć tego anioła!...

Ale kiedy niewiara wydrze Boga z jej duszy, kiedy nie będzie już miała ani modlitwy, ani wiekuistych nadziei, ani wiary w swe boskie posłannictwo, czyż będzie ta małżonka piękniejszą i czystszą, a ty szczęśliwszym? Czy ta dziewica będzie powabniejszą, ta matka więcej się poświecającą, i lepiej wychowującą swe dzieci?

Ale czyż nie czujecie, że skoro niewiara spustoszy serce kobiety, tobie, twoim dzieciom i całej rodzinie przyniesie ona poniżenie, zamęt a kto wie może i rozprzężenie i hańbę! Ślepi! sami wstrząsacie kolumnami gmachu: zginiecie też przygnieceni jego gruzami!

VII.

Tak jest, zginiecie pod jego gruzami! bo jeśli dary udzielone kobiecie, są cudowne, jakże są one niebezpieczne! Mogą stanowić szczęście rodziny; ale nie odwracajcie ich od prawdziwego celu, szczególniej nie zwracajcie ich przeciw niej sa-

mej, bo ileż to wtedy przynieść jej mogą niepokoju, ł
i hańby!

Spójrzmy na nie z tego punktu widzenia i poznajm
ostatecznie opłakany stan rodziny bez Boga.

Jakiż to jest ten pierwszy dar, który Bóg uczynił ni
wieście?

Odpowiem poprostu: piękność. Ale uchwyćmy dobrz
prawdziwy charakter tej piękności. Została daną kobiec
by jej ułatwić spełnienie jej boskiego posłannictwa, więc te
ma boską cechę; wzrasta z cnotą, a znika z występkiem
jest nierozerwanie związana z czystością.

Kobieta piękna i czysta jest tem piękniejszą, im jest bar
dziej skromną, powściągliwą i czystą. Skromność jest nieod
łączną częścią jej piękności, jej urokiem i jej tarczą. To te
im kobieta jest skromniejszą, tem jest piękniejszą; i naodwró
im piękniejszą się staje, tem mniej potrzebuje się kryć.

Dlatego też, skoro Chrystus, za swojem przyjściem, opro
mienił cnotę całym jej urokiem, kobieta stała się tysiąc razy
piękniejszą, a jednocześnie rzecz godna uwagi, opadły mury
ją wiążące, i zazdrosne zasłony, skrywające ją przed ludzkim
wzrokiem. Ukazała się wdzięczna, skromna, idealnie czysta
taka, jak ją wymalował Rafael, sto razy piękniejszą, niż ją
wymarzył Fidyasz. Opadła nawet ta uświęcona zwyczajem
zasłona, którą zalecał święty Paweł, i można było zastoso-
wać do młodej dziewicy, do młodej kobiety ukazującej się na
naszych zebraniach, te piękne słowa świętego Wincentego
a Paulo: „Cnota będzie jej zasłoną."

Ale jakżeż ta przedziwna piękność jest nietrwałą. Nie w tem
znaczeniu, żeby ulatywała za pierwszym podmuchem wiatru.
Przeciwnie. Podczas gdy dla mężczyzny wiek piękności prze-
chodzi prędko, ustępując miejsca wiekowi siły, — kobieta zatrzy-
muje się na nim i czas zdaje się być bezsilnym wobec jej
wdzięku. Ale niech tylko dotknie ją występek, niech cień
grzechu przemknie po jej rysach, już po wszystkiem: twarz po-
zostaje młodą, rysy delikatnymi, ale nie szukaj już,—piękności.
Coś zwiędłego, a wkrótce odrażającego występuje na tej wy-
kwintnej maseczce i woła na mężczyznę: Odejdź!

Bo i dlaczegóż ta piękność na czole kobiety, jeżeli nie dla
zjednania jej serca mężczyzny? I poco to boskie połączenie
piękności i cnoty, jeśli nie dla wzniesienia tego serca ku
Bogu?

Duch Święty wyjaśnił tę tajemnicę słowami, pełnemi
głębokiego znaczenia: „Będą piękne jako świątynie." Dlaczego?
Ażeby jak świątynie, podnosić serca do Boga.

To jest pierwszy dar. Któż nie czuje, jak niebezpiecznym
on jest bez Boga i cnoty? Nim nadejdzie czas, w którym wy-

stępek zohydzi piękność, jest chwila, gdy stanowi najniebezpieczniejszą jej ponętę.

„Wielu ludzi zginęło dla piękności niewieściej... bo rozmowa z nią jako ogień rozpala.“ *(Ekkl. IX, 9, 11)*.

To cośmy powiedzieli o piękności kobiety, trzeba rzec i o jej umyśle. Śliczny to statek, skrzydlaty i śmiały, ale potrzeba mu kotwicy. Inaczej uniosą go na rafy i mielizny tysiące wichrów, a szczególnie dwa: jego lekkość —i skoro raz zboczy z dobrej drogi— jego zuchwalstwo. Ale dajcie mu tę kotwicę, to jest moc, powagę, oparcie w zasadach pewnych i stałych, któreby nim kierowały; inaczej mówiąc: dajcie mu Boga i religię, a nie znajdziecie nic wdzięczniejszego, delikatniejszego, subtelniejszego, przenikliwszego, i bardziej intuicyjnego.

Porównywują czasem umysł męski i kobiecy; ale czyż można je ze sobą porównywać? Nie są one do siebie podobne w niczem. Rzekłbyś: dwa anioły z dwóch różnych chórów. Całkiem są odmienne i dlatego harmonizują ze sobą i wzajem się dopełniają. Mężczyzna rozważa rzecz każdą i myśl jego staje się światłem; kobieta ją odczuwa i myśl już staje się ciepłem, miłością. On ma dar uogólniania, abstrakcyjowania; ona przeciwnie, wszystko analizuje; przystosowuje i ożywia abstrakcje. Albowiem on myśli głową, a myśl jego schodzi do serca i tam się ogrzewa; ona myśli sercem, a myśl jej kochająca wstępuje do głowy, i tam się rozświetla. To też ich sposoby obznajmiania drugich z prawdą tak są różne, jak różnemi drogi, któremi dochodzą do jej poznania. Czego jeden naucza, druga inspiruje; co jeden nakazuje, druga wyprasza. Jeden przekonywa, druga pociąga. Piękny zespół dwóch głosów połączonych w jedno. „Głos męski posiada dźwięki majorowe, głośniejsze; głos niewieści obejmuje tony minorowe, przytłumione, uroczyste; w ich braku słychaćby było tylko szorstkość i siłę pierwszego głosu“ [1]).

Nie jedyne to zresztą różnice, jakie można zauważyć pomiędzy nimi. Dwa te, zarówno piękne umysły, poruszają się jak gdyby w różnych sferach. Co mnie uderza w moich studjach nad umysłem kobiecym, to jego względna niższość w rzeczach, które mężczyzna zna lub znać powinien; a wybitna i wysoka zdolność do tych, o których tamten zapomina albo zapomnieć może. Weźcie mężczyznę najszczodrzej obdarowanego, o duszy najdelikatniejszej. W ciągłej walce z potrzebami życia, pochłonięty prozą swego zawodu lub interesów, z konieczności coś musi zaniedbać: co? ideał, nieskończoność. Przygniata go teraźniejszość, uciska go rzeczywistość; i oto

[1]) Gerbet, *De la mission des femmes.*

lot jego obniża się, a co gorsza, najdelikatniejsze władze nie używane—zanikają. Kto mu je przywróci? Gdzie odnajdzi iskrę zapału, zawsze jednako żywe zamiłowanie rzeczy wiecznych? Gdzie? w umyśle kobiety. To właśnie, o czem mężczyzna tak prędko zapomina, kobieta najmocniej odczuwa i nie zapomina nigdy. Albo raczej: to jedynie odczuwa, ale odczuwa w sposób wyższy. Dołóżcie największych usiłowań aby jakiemuś dziełu dać porządek, logikę, konsekwencję; uderzy to mężczyznę, kobieta nie spostrzeże tego nawet. Ale niech błyśnie myśl wzniosła, czysta, tryskająca wprost z duszy, ogrzana ciepłem serca — kobieta chwyta ją w lot, pielęgnuje i w czyn wciela. Utrzymują dziś, że to jest wada kobiecego umysłu jego niedobór. W każdym razie wada to prześliczna, i żałowałbym mocno, gdyby się kobieta z niej poprawiła. I szczęśliwy to niedobór, który nie uzbraja jej do walki z umysłem małżonka, ale owszem stawia ją w możności dopełniania go, a czasem i w niektórych rzeczach —poprawiania. Tam gdzie wy widzicie wadę, ja witam harmonię, i przerażają mnie te nowoczesne próby naukowego kształcenia kobiet, te niedorzeczne zachcianki wdrażania ich umysłu do męskiej logiki, do jego wyrozumowanego poglądu na rzeczy i jego naukowych wywodów. Nie osiągniecie celu, a usiłując poprawić naturę, zepsujecie arcydzieło. Zamiast kobiet doskonałych, będziemy mieli chybionych mężczyzn.

O barbarzyńcy, chcący tak delikatny, tak skrzydlaty umysł obciążyć nauką ścisłą: algebrą, fizyką, ekonomią polityczną! Równa się to włożenia ołowianej kuli w kielich kwiatu, stworzony do zbierania rosy niebieskiej.

Nie znaczy to, ażeby nie trzeba było kształcić umysłu kobiecego; kształcić go należy, ale nie obciążać, ani sprowadzać z drogi. Otwórzmy przed nim właściwe mu dziedziny: religię, literaturę, historję, sztukę, poezję, malarstwo, muzykę, bezgraniczne widnokręgi piękna, prawdy, dobra,—niech wśród nich rozkwita. Ale matematyka, algebra, chemia, fizyka, prawo, agronomia, ekonomia polityczna! O, nie! Żadnej nauki, sam jej kwiat tylko, i to dotykany końcem palców!

Geniusz i zdrowy rozsądek Molièra maluje się jasno w tym pięknym wierszu:

I chcę, żeby kobieta miała o wszystkiem pojęcie.

Tak, ale tylko *pojęcie*. I bądźcie ostrożni, aby nie przesadzić.

Prześlizgujcie się, śmiertelnicy, nie stąpajcie mocno.

Bo jeżeli kobieta będzie uczoną, jakże zaradzić, aby tego znać nie było? A jeśli znać będzie choć trochę, trzeba się będzie pożegnać z jej urokiem i wpływem.

Zresztą przyznajcie, że usiłowania te są dla was środkiem, nie zaś celem. Daliście kobiecie do rąk książki dlatego jedynie, żeby zastąpić jej dzieci, których nie ma, i religię, którą jej chcecie wydrzeć. Kiedyście wygnali z jej duszy Boga, opustoszyli dom z kolebek, przeraziliście się jej próżnością i lekkomyślnością. Trzebaż było zastąpić czemś strzaskaną kotwicę religii. Spróbowaliście kotwicy nauki. Napróżno; żadna nauka nie zastąpi tego, coście jej z rąk wytrącili. Żadne książki nie zapełnią próżni, nawet wasze, szczególnie wasze. Co chcecie, aby począł umysł kobiety wśród waszego świata bez Boga, wobec ateistycznej nauki, wobec pochodzenia człowieka od małpy, skupień i rozproszeń cząsteczek materji według formułek matematycznych, wobec niepodzielnego panowania fizyki i chemii? Będzie się nim brzydziła. Odtrąci wasze księgi, gdzie nie znajdzie dla siebie pokarmu; rzuci wasze wszystkie nauki, i wobec zamkniętego przed nią świata piękności idealnych, rzuci się do drobiazgów. Płochość napiętnuje ostatecznie jej życie. Poświęci odtąd rozum swój, poczucie piękna, przenikliwość, zdolność, wymyślaniu coraz nowych mód i codzień ekscentryczniejszych strojów, szukania lekarstwa na swą bezczynność w próżności lub intrygach miłosnych. A ponieważ mężczyzna, zstąpiwszy sam z wyżyn moralnych i sprowadziwszy z nich swą towarzyszkę, nie będzie już znajdował żadnej przyjemności w rozmowie z kobietą, a ona z nim tem mniej, w każdem zebraniu towarzyszkiem utworzą się dwa oddzielne koła: w jednem z nich będzie mowa tylko o interesach, handlu, przemyśle, giełdzie, psach, koniach, polowaniu; w drugiem tylko o gałgankach. A jak żadna doktryna nie rozchodzi się po Europie, zanim nie przejdzie przez serce Francji, gdzie się rozpłomienia: żadna myśl, powstała w umyśle mężczyzny, nie może się rozpowszechnić, póki nie przejdzie przez serce kobiety. To też nauczyciele ateizmu, materjalizmu, socjalizmu, będą poszukiwali kobiet jako wspólniczek i apostołek. Znajdą je: bo oprócz skłonności do błahostek, kobiety mają skłonność do przesady, a raz wykolejone, do zuchwalstwa. Znajdą je więc i to takie, które prześcignąą ich samych. Rozlegną się po klubach przerażające okrzyki bezbożności; wydadzą je usta kobiece. Tłumy po bulwarach będą słuchały wykładów najbezwstydniejszego materjalizmu, najcyniczniejszego. Wygłaszać je będą kobiety. A gdy prawem logiki, rządzącej bądź-co-bądź światem, z tych doktryn obmierzłych, zrodzą się katastrofy, będziemy na tych samych bulwarach spotykali zgraje okrwawione i rozczochrane, straszniejsze stokroć od mężczyzn i zwierząt: zgraje kobiet!

Zarówno więc jak i piękność kobiety bez Boga, bez

wiary, skromności, czystości, staje się sidłem, zasadzką: jej umysł bez Boga staje się plagą.

Ale, żeby dobrze ocenić wielkość darów, udzielonych kobiecie, ich zgodność z jej boskiem posłannictwem, a także dziwny sposób, w jaki obracają się one przeciw niej samej, przeciw ludzkości, społeczeństwu, skoro się temu posłannictwu sprzeniewierzy; żeby to wszystko dobrze ocenić, niedosyć jest zastanawiać się nad umysłem kobiety, ani nad jej pięknością. Żeby mieć zupełne o tym przedmiocie pojęcie, należy zbadać jej serce. Trzeci to dar i trzecia siła, jaką ma od Boga. Nie, żeby mężczyzna był go pozbawionym: ale u niego jest on tylko połową jego istoty, u kobiety całą. Przytoczę tu słowa pewnego chrześcijańskiego myśliciela: „Kobieta, we wszystkiem od mężczyzny płytsza, głębszą jest w miłości“ [1]). Znamy wszyscy to wzruszające określenie, wyrzeczone przez kobietę: „Miłość jest tylko epizodem w życiu mężczyzny; dla kobiety to całem jej życiem“ [2]).

W istocie Bóg nie stworzył nic piękniejszego, nad serce kobiety. Jest to dzieło doskonałe. Męskie serce to jego cień tylko. Czułość, słodycz, poświęcenie bez granic, delikatność i czystość, jasnowidzenie, światło, cierpliwa wierność i uparta odwaga; któregoż z tych darów nie posiada kobiece serce? ale trzeba, żeby Bóg był w niem obecny. To ogród kwitnący w promieniach tego słońca jedynie.

Co mówię? nawet gdy Bóg jest obecny w sercu kobiety, gdy je uszlachetnia i cnotami napełnia, serce to jest jeszcze niespokojne i nienasycone. A wy chcecie wygnać z niego Boga! To biedne, opustoszone serce obróci się wtedy przeciw wam samym.

Powiadają, że natura nie znosi próżni. Tem bardziej serce, a szczególnie serce niewieście.

To też Bóg nie stworzył go próżnem i, owszem zapełnił obficie. Miłość córki dla rodziców, małżonki dla męża, matki dla dzieci, siostry dla braci, a po nad temi uczuciami, jednocząca je wszystkie, miłość chrześcijanki dla Boga. Za każdą przemianą w życiu kobiety, nowe rozkwita uczucie, niby kwiat nowy. I rzecz podziwu godna: im większą jest miłość, tem większe, tem straszniejsze obowiązki idą z nią w parze; a z przyrostem szczęścia w sercu, życiu jej przebywa cnoty, poświęcenia i ofiary. Tak, że gdy serce mieści w sobie wszystkie te uczucia, obowiązki i troski,—jest ono wówczas jak okręt, obciążony balastem. Może przejść przez życie bez obawy rozbicia.

Ale odbierzcie to wszystko, odejmijcie kotwicę sercu, ja-

---

[1]) De Bonald.
[2]) Pani de Staël,

koście ją już odjęli umysłowi, uczyńcie pustkę, a ujrzycie co z tego wyniknie.

Opuszcza więc to opuszczone serce dom; bo cóż ma robić u ogniska, gdzie małżonek jest zawsze nieobecny i gdzie niema kolebek? Idzie w świat, ażeby się rozerwać, zabawić, a czasem w tajemnicy, nie śmiąc często przyznać się przed samem sobą, poszukać tych sideł, o których mówi św. Augustyn: „że tak miło dać się w nie złapać.“

A cóż spotyka? Serca również puste. O, bo tyle ich jest na tym świecie!

I gdybyż spotykało tylko takie! choć i te powiększałyby i jątrzyły jego ranę, ukazując mu swoje własne. Ale znajduje tam także, na swoją zgubę, owe tak dobrze nazwane eleganckie drapieżne zwierzęta; owe istoty znudzone i sceptyczne, które spostrzegłszy kwiat krążą przez chwilę koło niego, zadają mu cios, pod którym pochyla się on na swej łodydze i więdnie na zawsze; a po tym krótkim dramacie budząc się nazajutrz przy blasku słońca i śpiewie ptaków, wstają zadowolone i zapominają o wszystkiem.

A cóż ma to biedne, opustoszałe serce, na obronę od takich niebezpieczeństw?

Niestety! Bóg, który zna słabość kobiety, i społeczeństwo, które jest jej także świadome, dali jej od dawien dawna, trzy tarcze: religię, skromność i prawo.

Religii wszakże już nie chcecie!

Co się stało ze skromnością po wygnaniu religii, wiedzą wszyscy. Bezczynność umysłu, próżność, pustka serca, moda, obróciły ją wniwecz.

Co do prawa, dziwnemby było, ażeby zdeptawszy ojcowstwo, ustanowiwszy rozwód, zachowało swą surowość względem uwodziciela.

We wszystkich wolnych i szczęśliwych krajach w Anglii, w Ameryce, uwiedzenie jest zbrodnią. Honor kobiety, dziewicy, jest pod ochroną prawa i pod opieką wszystkich uczciwych ludzi. To też nie myśli nikt o zniesławieniu dziewicy, tylko się z nią żeni. Czynią z niej małżonkę, zamiast robić z niej ofiarę; ponieważ jedno jej słowo wystarcza, ażeby ściągnąć na głowę uwodziciela nieubłaganą karę.

Tak było i we Francji aż do roku 1791, w którym to roku wyrok, pełen tej niedorzecznej i występnej czułostkowości, cechującej nieudolnych uczniów Rousseau, uwolnił mężczyznę od odpowiedzialności za uwiedzenie.

Cóż zobaczono wówczas? Widok nieznany w całej Europie i z powodu którego mówi ona, że Francuzi utracili poczucie moralności. Nigdzie już honor kobiety i dziewicy nie był od napaści bezpieczny. Żeby zachować czystość na-

szych dzieweczek, trzeba je zamykać w domu jak w klasztorze, nie pozwalać im stąpić nigdzie krokiem bez matek. Tak dochodzą wieku lat szesnastu, osiemnastu, niewinne jak dzieci, ale nieświadome, naiwne, niewiedzące nic o życiu, niezdolne wybrać sobie męża; i dlatego to ich zamęźcie jest tak często bolesnym przełomem, napełniającym je zdziwieniem i przestrachem a który wywiera zgubny wpływ na ich życie. Potem ujęte w więzy małżeństwa jak w sidła, zastawione ich prostocie i niedoświadczeniu, bywają nagle rzucone w towarzystwo, w którem rozluźnione obyczaje, niepowściągliwe rozmowy, liczne skandale, opinia publiczna bezsilna i pobłażliwa, ojcowska władza słaba a mężowska nie uznawana, narażają je na największe niebezpieczeństwa. A ponieważ i niezdrowa literatura okrywa chwałą uwodzicieli, ośmieszając zwodzonych mężów, nie pozostaje im, w braku religii, żaden ratunek.

Co do dziewicy ubogiej, mniej ochranianej przez zbyt często nieobecną matkę, ta, jeżeli odrzuci Boga, jest prawie z koniecznością ofiarą skazaną na utratę czci. „A ponieważ opinia publiczna,—robi bardzo słuszną uwagę Le Play,—nie wypełnia pod tym względem zadania, jakie ma u narodów wolnych, i nie posiada dostatecznej wrażliwości ani energii, żeby zabezpieczyć biedne dziewczęta przeciwko pewnym moralnym torturom z najwstrętniejszą cechą, a mianowicie przeciw uwodzicielstwu dyrektorów fabryk i innych przełożonych,—zło w niektórych miastach przemysłowych doszło do tego stopnia, że ludzie, wiedzący jaki wstyd robią cywilizacji takie obyczaje, i mający wolę przeciwdziałania im, nie wiedzą jak wziąć się do tego, bez narażenia się na śmieszność“ [1]).

Straszne to zaiste rany, a jednakże nie dotarliśmy jeszcze do głębi otchłani. Kobieta pozbawiona Boga i uwiedziona, staje się sama uwodzicielką. Potrzeba jej miłości wielkich i szlachetnych; odbierzcie je, a poszuka występnych. Jeżeli nie będzie czyniła dobra, będzie czyniła zło. A skoro ten rozum, wdzięk, dar przekonywania, piękność, ta wytrwałość i to serce, wstąpią w służbę zła, dzieje się coś strasznego! Odkrywano czasem przedemną rzeczy, które przejmowały mię zgrozą i zrozumiałem te słowa: „*Zepsucie najlepszego—najgorsze.*“ O, nie psujcie się, rzeczy najlepsze, będziecie bowiem najgorszemi!

Tak! kobieta dlatego właśnie, że Bóg stworzył ją ręką delikatniejszą i czulszą, a dla wysokiego celu, upada niżej od mężczyzny; dalej niż on, posuwa próżność, egoizm, zamiłowa-

---

[1]) *Réforme sociale*, t. I, p. 283.

nie świata, , zapomnienie o Bogu, nienawiść dobra. Otwórzcie Pismo: jakie tam pochwały dla kobiety, skoro jej serce należy do Boga! „To perła, do której podobnej niema na krańcach ziemi.“ Ale jakie oburzenie, skoro się sprzeniewierzy swemu powołaniu!

Pewien dyplomata mówił: Na dnie każdego wydarzenia jest ręka kobiety. Niestety, patrząc na wszystkie nieszczęścia, na wszystko, co zakrwawiło świat i co go skaziło, powiem: Na dnie każdego upadku jest kobieta. *Initium et finis mulier.*

Pierwsza katastrofa ludzkiego rodzaju zaczyna się wkrótce po stworzeniu świata i kończy wygnaniem z raju ziemskiego. *Initium et finis mulier.*

Druga katastrofa zaczyna się wygnaniem z raju i kończy potopem. Cóż sprowadza tą straszną karę? Biblia powiada: córki ludzkie uwodzące synów bożych. *Initium et finis mulier.*

Jeszcze świat nie osechł z wód potopu, a co widzimy wszędzie? Kto zakłóca wiarę, pobożność, pokój u ogniska Abrahama?—Agar. Kto kusi i stara się zgubić Józefa? - Putyfarowa żona. Kto poniża i hańbi Samsona?—Dalila. Kto jest powodem, że Dawid zadaje kłam samemu sobie? Betsabea. Kto odziera ze czci Salomona? — Obce niewiasty. Kto czyni z Achaba bezbożnika, krzywoprzysięzcę i mordercę? -Jezabel. Kto popycha Heroda do ścięcia św. Jana Chrzciciela? -Herodjada. A cóż gdybyśmy sięgnęli w nowsze czasy?... Tak bardzo kobieta potrzebuje Boga! Tak bardzo serce jej, kochające ale namiętne, tkliwe ale zazdrosne, delikatne, wrażliwe, czułe ale porywcze, silne ale zarazem słabe, wielkie ale i małe, dobre ale i złe—potrzebuje być ujarzmionem i przemienionem rzeczywistą obecnością Boga, ażeby to życie, ten rozum, ten ogień, ta miłość, zwrócone na prawdziwą drogę, skierowane ku istotnemu celowi, to jest ku podnoszeniu człowieka do Boga, dawały ziemi szczęście, a Niebu cnoty.

Dla ochronienia kobiety przed wami i przed nią samą, przed tymi zimnymi prądami obojętności w rzeczach religii, tak dla niej zgubnymi, Bóg, ze względu na jej wysokie i delikatne posłannictwo, uczynił jej jeszcze jeden dar, większy nad wszystkie inne. Ale jak go nazwać? A jeżeli nie potrafię nazwać, jak zdołam go odmalować? Powiem poprostu z Tacytem, ze starymi Germanami, że jest w kobiecie coś boskiego: *Inesse in eis quid divinum.* Ale co? tego nie wiem. Czy to, że ponieważ jest słabszą od mężczyzny, należało, żeby była bliżej Boga, żeby tkwiła głębiej od niego w Bogu? Czy też to, że ponieważ jest powołaną do spraw bardziej boskich, jako dziewica, małżonka, matka, a jest niezdolną sama przez się do wypełnienia tak wielkich zadań, trzeba było, ażeby przyrosła

niejako do Boga i nie mogła się od Niego oderwać? A może potrzebnem to było z powodu jej większych boleści? W każdym razie w najtajniejszej głębi duszy kobiety, jest czulszy, delikatniejszy i wyraźniejszy zarazem odcisk ręki Bożej, który pozostaje, gdy wszystko jest zburzone, i którego nic nie może usunąć ani zatrzeć.

Dlatego to wszędzie, pod każdem niebem, we wszystkich religiach, kobieta szuka Boga. A raczej nie szuka, ale czuje Go, cała jej istota Go przeczuwa. Kiedy mija to wielkie światło, dziewictwo, przychodzi macierzyństwo. Jako matka, ma jeszcze silniejsze przeczucie Boga, aniżeli jako dziewica. Światłem jest dla niej dziecię u łona, mąż u boku; światłem jej młoda córka, piękna i czysta, syn dorosły, narażony na niebezpieczeństwo. Nigdy nie jest ciemno w sercu, gdzie świeci gwiazd tyle. Ma ona wszystkie światła, bo ma wszystkie miłości. Trzebaby jej wydrzeć serce, żeby nie przeczuwała Boga, duszy, dobra, piękna, prawdy, wszystkiego, co szlachetne, co boskie. Wiecie czego potrzeba, ażeby ją rzucić w objęcia ateizmu? Trzeba, żeby nie była ani dziewicą, ani żoną, ani matką.

Oto jest owo *quid divinum*. O tę skałę roztrącą się zawsze wszystkie usiłowania ludzi, chcących ją pozbawić religii. *Huc usque venies, et non procedes amplius* [1]). Jakąż pociechą i nadzieją napełnia się serce, kiedy wzrok prześliznąwszy się ze smutkiem po tej powodzi niewiary, gdzie w niepokoju i rozpaczy miota się i ginie tylu młodzieńców, tylu mężów, tak we wszystkiem innem poważnych i rozumnych, a tak ślepych i występnych tutaj, zatrzyma się na tym jedynym punkcie świata, na tych sercach, gdzie niewiara nie ma przystępu, chyba tylko jako gość chwilowy; na tych duszach czułych i silnych, śmiałych i czystych, przechowujących wierzenia, które świat odtrącił, i cnoty niezbędne, ażeby mu je zwrócić! Tak jest! ojciec nie wytrwał, kapłan bywa bezsilnym. Ale żeby zwyciężyć zło, żeby zatrzymać w biegu prąd niewiary, pozostaje nam, dzięki Bogu, kobieta chrześcijanka, córka, żona, matka. A raczej wam ona pozostaje, o mężowie niekonsekwentni, którzy sądzicie, że można wygnać Boga z duszy ludzkiej i ze społeczeństwa, a zachować pokój, godność i szczęście! Pozostaje, ażeby was pocieszyć. Bo jakie są skutki niewiary? dokąd nas ona prowadzi? do jakich nieszczęść prywatnych?—to wam już powiedziałem. Do jakich klęsk publicznych? Pora już to zobaczyć; ażebyście w sercach waszych córek, żon i ma-

---

[1]) „Aż póty przyjdziesz, a dalej nie postąpisz.“ (Job. XXXVIII, 11).

tek uszanowali wiarę, która jedynie może was podtrzymać, pocieszyć i ocalić w dniach smutku i niebezpieczeństwa.

Trzeba tylko, żeby kobieta, chcąc spełnić to wielkie posłannictwo, nie zapominała nigdy o swoim boskim wzorze i zawsze była w oczach mężczyzny taką, jaką malują Najświętszą Pannę w jej promiennej czystości: z wieńcem gwiazd na czole, otoczoną aniołami, krajem szaty zaledwie dotykającą ziemi i depczącą stopą węża.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Bolesny dramat niewiary (*ciąg dalszy*). **Społeczeństwo bez Boga.**

Rozumiecie to dobrze, że dla pełności bolesnego obrazu niewiary, niedosyć wykazać spustoszenia, jakie czyni w duszy ludzkiej i rodzinie. Ze sfery jednostek i rodzin przedostaje się ona, musi się z konieczności przedostać, do społeczeństwa, i wyradza tam największe rozprzężenie. Największe naprzód dlatego, że nigdzie może Bóg nie jest potrzebniejszym; Bóg budowniczy społeczeństw, a zarazem klucz ich sklepień i cement je spajający; powtóre, ponieważ niewiara, świadoma tego, nie szczędziła też ciosów. Niedosyć, że na podstawie filozofii zaprzeczyła boskiemu pochodzeniu społeczeństwa i postawiła natomiast jakąś umowę, która nigdy nie istniała i istnieć nie mogła. Niedosyć jeszcze, że wygnała w praktyce Boga ze stosunków społecznych i politycznych; że usunęła Jego imię z naszych kodeksów, które są jedynym w tym rodzaju okazem, gdzie człowiek występuje i rozkazuje człowiekowi w swojem własnem imieniu; że ogłosiła, iż prawo jest bezwyznaniowem i takiem być powinno, co przestraszyłoby pogan, a nawet dzikich:—niewiara posunęła się jeszcze dalej.

Zapragnęła wygnać Boga z narodowych wierzeń i obyczajów, jednem słowem z duszy publicznego życia kraju. A następnie, nie zatrzymując się przed niczem, odłączywszy bogactwo od moralności, jak już odłączyła moralność od religii, dąży przez zaciemnienie i zajątrzenie kwestji ekonomii publicznej, kapitału, płacy, stosunków pracodawców i robotników, bogatych i ubogich, do całkowitego rozprzężenia społeczeństwa. Gdyby jej pozwolono, wyjałowiłaby ziemię ojczyzny.

A tak wielkiem jest już zaćmienie umysłów, że ludzie rozumni, nieposzlakowanej uczciwości, którzy wierzą w Boga i wstydziliby się zaprzeczać Jego istnieniu, dokładają wszelkich starań, aby usunąć Jego działanie po za obręb społeczeństwa. Otwierają przed Nim naoścież podwoje sumienia jednostek, ale zaledwie uchylają podwoje życia rodzinnego, a zamykają szczelnie wszystkie wejścia do publicznego życia. To jest, ograniczają działanie Boga, im jest bardziej potrzebnem.

Naszym obecnym celem nie jest zastanawianie się nad obowiązkami władz krajowych względem religii, ani nad tem, jakie powinny być stosunki Kościoła z Państwem. Później, mówiąc o Kościele, napotkamy te delikatne i skomplikowane kwestje. Ta, do której mamy teraz przystąpić, jest obszerniejszą i głębszą zarazem. Dotyka najgłębszych podstaw, jakby wnętrzności społeczeństwa. Chcielibyśmy dowieść, nawet tym, którzy posuwają zasadę swobody wyznań do najdalszych granic, nawet tym, którzy żądają zupełnego odłączenia Kościoła od Państwa, że wszystko to nie jest jeszcze tem, do czego dąży niewiara; że ona poprostu chce wygnać Boga ze społeczeństwa, utworzyć społeczność bez Boga; że to rzecz niemożebna, potworna, której żaden wiek nigdy nie widział, której słońce nie będzie oświecało bezkarnie; że po najmniejszych w tym celu pokuszeniach następował zawsze stan chorobliwy, konwulsje, śmiertelne dreszcze, pewne zwiastuny upadku, i że nakoniec tak samo, jak po głębokich i głuchych grzmotach, możemy sądzić o ilości elektryczności, zawartej w chmurze, taksamo po zamieszaniu w społeczeństwie poznajemy, o ile ono usunęło Boga ze swych ustaw i życia publicznego.

To też nie będziemy się długo zatrzymywali na rzeczach zbyt oczywistych. Żądają dziś faktów, damy je. Położymy rękę na sercu nowożytnego społeczeństwa i dowiedziemy, że jest ciężko chore. Zostało ono zatrute niewiarą i umiera; stygną jego kończyny, tosamo czeka wkrótce serce. Niema chwili do stracenia, jeżeli chcemy je uratować.

Incedo per ignes. Dotknę żywej, palącej kwestji tegoczesnej. Wiem, że rana tak jest zaognioną, iż nie można jej dotknąć nawet ze współczuciem, bez wywołania okrzyku bólu. Jakiż jednak lekarz dałby się tem powstrzymać? Po co mówić, jeżeli się nie ma powiedzieć całej prawdy? A czegóż można więcej wymagać nad to, żeby była wypowiedzianą z szacunkiem, szczerze, delikatnie i z miłością, tak, jak starałem się mówić ją zawsze i jak nadal starać się będę?

I.

Badając w tej kwestji dawnych filozofów, czy dlatego, że umysł ich mniej jak nasz rozstrzelony, bardziej skupiony, był głębszym, czy, że ludy, którym się przypatrywali, były więcej chore,—widzimy ich wszystkich w podziwie i jakby w zdumieniu nad tym niepojętym cudem, jakim jest życie narodu. Kto zdziałać jest mocen, ażeby naród istniał, utrzymywał się całe wieki wśród tylu powodów do upadku? W jaki sposób tysiączne koła tego olbrzymiego mechanizmu nie zużyją się wkońcu i nie zatlą? Oto trzy, dziesięć, trzydzieści milionów ludzi, czyli tyleż woli odrębnych od siebie, przeciwnych, wrogich sobie; w jaki sposób zlewa się to powoli w jedno? Jedność społeczna nie może istnieć bez poświęceń. Jak je otrzymać? jak otrzymywać od wszystkich i zawsze, w okolicznościach tak nieraz ciężkich, „bo wspólność interesów jednostek tak jest małą,—powiada Rousseau,—że nie wyrównywa ich sprzeczności“ [1]). A weźcie też w rachubę namiętności ludzkie. Jak ci, którzy nic nie posiadają, stokroć liczniejsi od posiadających, nie złupią tych ostatnich? A ci znowu, dlaczego ze strachu i pychy nie zdepczą tamtych, nie okują ich w kajdany, jak dzikie zwierzęta, które budzą obawę?

W społeczeństwie są nietylko wielcy i maluczcy, bogaci i ubodzy, jest także władza i poddani, prawo rozkazywania i obowiązek posłuszeństwa. Obok kwestji społecznej, jest też kwestja polityczna. Któż nie poczuje tu nowego niebezpieczeństwa, prawdopodobniejszego jeszcze i straszniejszego rozdwojenia? Oto władza; jedną ręką opiera się ona na prawie, drugą na sile: kto ją uchroni przed najstraszniejszą z pokus, przed szałem pozwalania sobie na wszystko? Ale naprzeciw tej pychy u steru, oto druga, niemniej groźna: lud który sobie sprzykrzył posłuszeństwo, pracę i cierpienie, który patrzy ku górze i naprzód zazdrości a potem grozi. Jak zapobiedz, żeby się te dwa lwy nie pożarły? Kto natchnie serce zwierzchników pokorą, umiarkowaniem, poświęceniem: serca podwładnych posłuszeństwem i poszanowaniem prawa? Kto ocali wolność, dzielność, honor? Kto? Filozofowie starożytności zatrzymują się wszyscy, jak już rzekłem, przejęci podziwem i grozą przed straszliwą doniosłością tego zagadnienia. Nie widzą tu żadnego innego wyjścia, tylko wszechmoc Boga. W ich przekonaniu potrzeba rozkazu Najwyższego Władcy, aby naród powstał. Żadne państwo nie istnieje, nie utrzymuje

[1]) *Emile* t. III, p. 199.

się bez rzeczywistej obecności Boga. „Prawdą to jest istotną,—powiada prześlicznie Platon,—że jeżeli Bóg nie przyczynił się do założenia miasta, jeżeli miało ono tylko ludzki początek, nie uniknie największych nieszczęść. Starajmy się więc wszelkimi możliwymi sposobami naśladować pierwotne urządzenie; ufając temu, co w człowieku jest nieśmiertelnem, winniśmy zakładać tak domy, jak Państwa, dając im jako prawo wolę Najwyższego Rozumu. Bo jeżeli Państwo jest zbudowane na występku i rządzone przez ludzi, depczących sprawiedliwość, niema dla niego ocalenia“ [1]).

A zarówno, jak w ich pojęciu potrzebnym jest rozkaz Bóstwa, aby Państwo powstało: tak skoro się ono zachwieje w swych posadach, niezbędnem, jest powtórzenie tego rozkazu, aby Państwo mogło istnieć dalej. „Łatwo jest ostatniemu z ludzi zachwiać Państwem, ale na nowo je umocnić, to dzieło trudne i nierychłe, chyba że bóstwo stanie na czele rządzących i obejmie ster“ [2]).

Przejęte tą wzniosłą zasadą najsławniejsze narody starożytności, a szczególniej najpoważniejsze i najmędrsze, ażeby żyć długo, usiłowały uczynić swe ustawy głęboko religijnemi. Im więcej religii mogły włożyć w swe prawa, ustawy, rządy, obyczaje, tem dłużej trwać miały nadzieję. „A jak najpobożniejsze miasta i narody, – powiada Ksenofont,—były zawsze najtrwalszymi i najmędrszymi, tak najpobożniejsze wieki były zawsze najgenialszemi [3]).

Rzym nie inne miał pojęcie w tym ważnym przedmiocie. Sam sposób zakładania miast wedle obrządku etruskiego, świadczy wymownie o ówczesnem przekonaniu, że porządek społeczny ma za podstawę porządek religijny. Trzeba było uroczyście oznaczyć miejsce na nowe miasto, po długich modłach i solennych ofiarach. Gdzieindziej znowu, ci, którzy odjeżdżali dla założenia kolonii, brali ze sobą w drogę ogień święty z głównego ołtarza żegnanej przez się ojczyzny, aby go zawieźć na miejsce przyszłego zamieszkania.

Oto geniusz starożytności w swem religijnem pięknie, albo raczej rozum ludzki w całej swej pełni. W istocie, społeczeństwo zasadniczo i koniecznie wspierać się musi na Bogu. W Nim to, i tylko w Nim, znajduje ideę władzy, sprawiedliwości i prawa; ideę swobody i odpowiedzialności człowieka; ideę wartości i nienaruszalności duszy, ideę posłuszeństwa, obowiązku, ofiary i cnoty. Poza Nim niema ani sprawiedliwości, an

---

[1]) *De Leg.* Plat. t. VIII, p. 180.
[2]) IV. *Pythiq.*
[3]) Xenoph. *Mem. Socr.* I, IV, 16.

patryotyzmu. Odejmijcie Boga, a społeczeństwo będzie już tylko kupą kamieni bez cementu, szalonym posągiem, odrzucającym swą podstawę. Nie spodziewajcie się, aby cud powstrzymał go od runięcia.

A nietylko bez Boga i religii prawa nie mają zasady, obowiązki znaczenia, ofiary racji i bytu, ale namiętności nie mają hamulca. Piękny to gmach—naród; ale jakże jest kruchym, jeżeli Bóg nie trzyma na wodzy jego namiętności! Dwa cuda podziwiam na ziemi. Jeden—to wyspa wśród Oceanu: fale pędzą ku niej, cołają się, podnoszą, ryczą, a zawsze się zatrzymują w porę, by jej nie pochłonąć. Drugi—to Państwo wśród namiętności ludzkich: namiętności bogaczów, namiętności ubogich, poddanych, i królów; pycha, zazdrość, ambicja, zbytek, chciwość, fale złe, błotniste pędzą, wznoszą się, pienią; i naraz cichną i ustępują. Dlaczego? Bo jest Bóg, który mieszka w sercach ludzkich, który niebieskiemi nadziejami ucisza ich namiętności i koi bóle, a buntom duszy człowieka przeciwstawia ziarno piasku, o które się roztrącają. *Huc usque venies, et non procedes amplius.*

Powiedziałem: koi bóle, bo niewidziano jeszcze społeczeństwa, któreby u podstawy i szczytu nie wymagało poświęcenia. Poświęca się robotnik, który o świcie wyrusza użyźniać swoim potem ziemię: inaczej nie byłoby ani chleba ani wina; nie byłoby życia fizycznego. Poświęca się górnik, zstępując do wnętrzności ziemi dla wydarcia jej skarbów: inaczej nie byłoby węgla, minerału, żelaza ni złota; nie byłoby życia przemysłowego. Poświęcają się urzędnicy poczty, telegrafu, kolei żelaznej, którzy czuwają, podróżują, podczas gdy my spoczywamy; bez tego nie byłoby stosunków międzyludzkich. Poświęcają się sędzia, prawnik, urzędnik, badając nasze zatargi i spory, wyjaśniając je i rozstrzygając, dając nam światło, pomoc, bezpieczeństwo i opiekę. Poświęca się żołnierz, który walczy za nas i umiera. Poświęca się kapłan, który wyrzeka się rodziny, mienia, ażebyśmy wpośród tylu trudów, przeciwności, trosk, walk zaciętych z naturą i walk konkurencyjnych nie zapominali o Niebie, prawdziwej naszej ojczyznie, o Bogu, prawdziwym naszym celu. Oto jest społeczeństwo. Ze wzruszeniem rozważam jego wspaniałą i harmonijną piękność. Sokiem, ożywiającym to olbrzymie drzewo, jest poświęcenie; krwią, poruszającą to szlachetne serce, jest krew ofiarna. I dlatego to potrzeba mu Boga, który jeden może natchnąć duchem ofiary, bo on jeden tylko może być jej nagrodą.

To też im istotniej przemieszkuje Bóg w łonie jakiegoś społeczeństwa, im silniej opierają się na Nim jego prawa, ustawy, rząd, obyczaje publiczne i prywatne, tem gruntowniejszym jest tam pokój i porządek, tem wyżej wznosi się cywilizacja. Nie

dlatego, żeby wówczas nie było już niedoli: społeczeństwo będzie zawsze niedoskonałem, ponieważ z niedoskonałych składa się istot; ale niema obawy, ażeby ta niedola przeszła w stan ostry, ani żeby niepowodzenia jednostek sprowadziły klęski społeczne. Religia, jak starożytny Orfeusz, obłaskawia złe popędy, te tygrysy duszy ludzkiej; jak legendowy Amfion usuwa kamienie, zastępuje je nowymi, przerabia fundamenta i w razie potrzeby, odbudowuje na nowo miasto, czyli społeczeństwo. Wielkość rezultatów da się porównać tylko z prostotą środków. Bez sporów, bez przymusu, jasnem i potężnem słowem trafia do wszystkich dusz: do rozkazujących, i do podległych im; do posiadających i do wyzutych ze wszystkiego; do cierpiących dziś i mających cierpieć jutro. Na jej głos namiętność milknie przed obowiązkiem, wyższość duchowa zastępuje siłę materjalną i wolność może się ukazać. Miłość i poszanowanie, jak dwa anioły opiekuńcze, wchodzą i schodzą po drabinie społecznej i zbliżają ku sobie jej krańce. Ubogi nie zazdrości już bogatemu, który skłania się do niego czule. Lud nietylko jest posłusznym władzy, ale kocha ją, a miłość ta powraca ku niemu w postaci dobrodziejstw. Spokojny wewnątrz, swobodny i dumny na zewnątrz, doznający tylu tylko nędz społecznych, ile to jest nieuniknionem przy słabości ludzkiej, znoszący je mężnie, podtrzymywany nadzieją, postępuje tem szybszym krokiem ku szczęściu, im bardziej zbliża się do doskonałości.

II.

Oto jest prawdziwy, naturalny, normalny stan społeczeństw. Religia jest ich podstawą, koniecznym kamieniem węgielnym. Poszukajcie innego, nie już równego, ale któryby mógł go zastąpić,—nie znajdziecie.

Bo zauważcie, że zawsze były i mogą być tylko dwie filozofie społeczne:

Filozofia społeczna rozkoszy i filozofia społeczna ofiary.

Filozofia socjalna używania materyalnego, które powinno być jak najśpieszniej rozpowszechnione i rozdzielone pomiędzy wszystkich; i filozofia socjalna cnoty, cierpliwości, pobożnego poddania się porządkowi, ustanowionemu przez Boga, nim nadejdzie niechybny dzień nagrody.

Pomiędzy temi dwoma filozofiami nie może być środka, a dla zapewnienia panowania drugiej z nich, jedynie prawdziwej,—pierwsza bowiem bogatych psuje, a ubogich jątrzy,—nie było i nie będzie nigdy innego jak religia sposobu.

Jeżeli bowiem, pojmując, że podwalinami społeczeństwa są:

ofiara i cnota, zamiast rodzącej je religii postawicie pobudki niż-
sze: interes własny, obowiązek względem ludzi, uczucie hono-
ru, które są także podnietą do cnót i ofiar, ale w stopniu nie-
skończenie niższym.—wasze społeczeństwo umrze z wycieńcze-
nia. Zgaśnie z anemii. A jeśli postępując konsekwentniej, al-
bo nieświadomie, wygnacie filozofię społeczną ofiary, która
rządzi tylko przez religię, a przyzwiecie natomiast filozofię spo-
łeczną używania materjalnego,—umrzecie już nie z wycieńcze-
nia tylko: umrzecie okryci hańbiącemi ranami i trawieni gangre-
ną. A ponieważ klasy ubogie, teraz szczególnie, nie zniosą
bezkarnie widoku psucia się klas bogatych w rozkoszach mate-
rjalnych, straszliwe konwulsje dokończą tego, co rozpoczną
anemia i gangrena. Bolesny ten widok, jaki przedstawia no-
wożytne społeczeństwo, jest tak głęboko pouczający, że trzeba
się nad nim zatrzymeć.

Wejdźmy więc w szczegóły i rozpatrzmy po kolei objawy
tej nieszczęsnej choroby.

Wiek XVIII, mierny był we wszystkiem, ale szczególniej
w zagadnieniach społecznych; bo tam, gdzie potrzeba mieć tyle
rozumu, zdrowego rozsądku, okazał tylko zapędy marzycielskiej
czułości, i po usunięciu z porządku społecznego głównej jego
podstawy—religii, usiłował ją zastąpić zasadą *własnego intere-
su*. Nie zaprzeczał on jeszcze, jak zaprzeczono później, że spo-
łeczeństwo ażeby żyć, utrzymać w swem łonie porządek, dojść
do swobody i zabezpieczyć swą wielkość, potrzebuje ciągłego
i dobrowolnego poświęcenia dobra jednostek, dobru ogółu. Ale
ufając zanadto rozumowi ludzkiemu, doradzającemu w istocie
to poświęcenie, olśniony widokiem kilku jednostek, które prze-
strzegały sprawiedliwości i dobra ogólnego przez samo poczucie
obowiązku, nie dostrzegł, że większość ludzi jest wcale niedo-
stępną dla pobudek tak oderwanych, i że zgubnem złudzeniem
jest chcieć ich prowadzić samą tylko zasadą dobrze zrozumiane-
go interesu. Bo rzeczywiście, co innego jest wielka dusza, a co
innego ta pospolita masa, stanowiąca ogół ludzkości. A nawet
dla duszy wielkiej inna jest rzecz poświęcić się raz jeden, w oko-
licznościach wyjątkowych, słuchając jedynie nakazu obowiązku,
a inna poświęcać się bezustannie, w tysiącu okoliczności ma-
łych, ukrytych, nieznanych nikomu i o których sami zapom-
nimy nazajutrz. Temu człowiekowi, pospolitemu bądź-co-bądź
pod jakimś względem, tym tłumom pospolitym zawsze, żeby
im dodać sił do ciągłego posłuszeństwa, ciągłej ofiary, przed-
stawiacie co? Interes własny? to za mało. W tysiącu zdarzeń
cierpieć, słuchać, pracować, nie leży w interesie jednostki; a cho-
ciaż, biorąc rzecz głębiej, jest to zawsze jej dobrze zrozumiany
interes, bo porządek, będący wynikiem tego posłuszeństwa,
przyniesie jej więcej korzyści, aniżeli kosztował ofiar.—jest to

rozumowanie za wysokie, za subtelne, za delikatne dla ogó
i którego nie uchwyci wiele wykształconych nawet umysłó
Prévost-Paradol mówi dobrze: „Znosić dobrowolnie nierówno
stanów, pracę ręczną, ubóstwo, ażeby oszczędzić sobie i cał
mu społeczeństwu klęsk anarchii, iść na śmierć na polu walk
żeby uchronić swych współobywateli i ich potomstwo od utra
ojczyzny, są to wysiłki rozumowania i czyny bohaterstwa d
cha, do których rzadko jest zdolną natura ludzka. To też i n
zdobywa się na nie, i ludzie, którzy są dobrymi obywatelar
jedynie przez poczucie obowiązku, albo posłuszni prawu, n
dla obawy przed niem, ale przez dobre zrozumienie interesó
ogółu, są zbyt nieliczni, ażeby utrzymać w społeczeństwie ła
uczciwość i tą względną ilość poświęcenia, bez jakiej Państw
istniećby nie mogło“ [1]).

Co najmniej więc rzec można, iż stawiąc w miejsce rel
gii obowiązek ludzki i interes osobisty, daje się niedostateczn
pokarm społeczeństwu, które musi żyć posłuszeństwem, poc
daniem się, ofiarą. Nie dziwcież się więc, że życie słabnie
I nietylko że pokarm ten jest niedostateczny, ale niezdrowy, ni
zaspakajający głodu, i który społeczeństwo wkrótce odrzuci, jak
zwodniczy. Bo pocóż zawsze cierpieć, zawsze pracować, za
wsze słuchać, jeżeli niema nieśmiertelnych nadziei? A skąd
obowiązek, jeżeli niema sumienia? A skąd sumienie, jeżel
niema Boga? Chrystus powiedział: „*Beati qui lugent*—“ Bło
gosławieni którzy płaczą. Ale dodał: „*Quoniam et ipsi conso
labuntur*“—Albowiem oni będą pocieszeni. Odrzucacie *con
solabuntur*, a myślicie, że ludzie zatrzymają *beati*. Macie ich
za zbyt głupich.

Niema klęsk, którychby nie prowadziła za sobą ta dok
tryna. Poniża dusze, upadla charaktery, paczy poczucie mo
ralności, wpajając w każdego przekonanie, że jego interes jest
jedynem prawem jego postępowania, i że może pozwolić sobie
na wszystko, skoro tylko jest pewnym bezkarności; skupia
wszystkie namiętności w ubóstwianiu swego „ja,“ we wstręt
nem szukaniu wszędzie swojej osoby. Posuwa się jeszcze da
lej: ze społeczeństwa robi arenę, gdzie ścierają się interesy, lu
dzie już nie słuchają, ustępują tylko, a co smutniejsza, speku
lują. Porównywują zyski, jakie przyniesie posłuszeństwo,
z tymi, jakie ma dać opór. W umysłach jest anarchia, w cha
rakterach nizkość, a do machiny państwowej zakrada się nie
ład, już wtedy, kiedy siła utrzymuje jeszcze pozory porządku
nazewnątrz. Społeczeństwo upada. I nie uderzenie to piorun
nu, nawet nie zamach miotły, uprzątającej nieczystości: ale ciem

[1]) *La France nouvelle*, p. 356.

ny i nizki owad, który podgryza skrycie wszystkie korzenie, przygotowując wywrót.

Oto do czego prowadzi zasada własnego interesu, a nie zatrzymując się nad tem dłużej, dosyć jest wymienić wiek XVIII, który ją utworzył, a którego przykład dowodnie wykazuje, jak dalece jest ona zgubną dla moralności i dla społeczeństwa.

III.

Trzeba więc było szukać innej pobudki, równie powszechnej, ale skuteczniejszej i szlachetniejszej od tej poziomej doktryny własnego interesu, tym zaś wszechpotężnym motorem, który nasz wiek sądzi, że wynalazł, jest *honor*. Słuchajmy, co mówi de Vigny o tej cnocie, tak pięknej i niezwyciężonej, kiedy ma za przybytek sumienie, zamieszkane przez Boga, a która bez tego jest tylko bladym kwiatem bez korzenia, chociaż nie bez zapachu. „W ogólnem rozbiciu wierzeń,—powiada on,—cóż nam pozostało świętego? Jakie szczątki, których mogłyby się jeszcze jąć szlachetne ręce? Oprócz upodobania w dobrobycie i błyskotliwym zbytku, nie widać nic na powierzchni tej toni. Zdawałoby się, iż egoizm wszystko pochłonął. Ci nawet, którzy usiłują ratować dusze i zanurzają się odważnie w fale, czują się blizcy zatonięcia. Iluż jeszcze ugina kolana?... Ludzie żyją i umierają bez myśli o Bogu. Wiek nasz wie, że tak jest, chciałby to odmienić, ale nie może. Spogląda na się ponuro. Z tych smutnych oznak niektórzy sądzą żeśmy wpadli w stan, który przypomina czas upadku Cesarstwa Bizantyjskiego, a ludzie poważni zadawali sobie pytanie, czy charakter narodu nie jest na wieki zgubiony.“

Ale de Vigny nie traci odwagi. Spostrzegł środek zaradczy: „Tak, zdaje się, że ujrzałem na tem ciemnem morzu punkt, który musi być stałym.“ A ten punkt stały, ta wiara, którą, zdaje mu się, że wszyscy jeszcze zachowali, to wiara w honor. „Nie widzę“—powiada,—żeby ta wiara osłabła, lub żeby ją coś podkopało. Podczas gdy wszystkie cnoty zdają się zstępować z nieba, aby nam podać rękę i wznieść nas w górę, honor zdaje się wychodzić z nas samych, a dążyć do niebios. Cnota to czysto ludzka, mogąca uchodzić za dziecko ziemi, cnota życia bez niebieskiej palmy po śmierci.

„Bądź-co-bądź, cześć dla niej acz w różny pojmowana sposób, nie ulega nigdy zaprzeczeniu. Religia to męska, bez symbolu i obrazu, bez dogmatów i obrzędów, której prawa, nie są nigdzie spisane; jakże się to dzieje, że wszyscy ludzie od-

czuwają poważną jej potęgę? Ludzie tegocześni są sceptyczni i ironiczni względem wszystkiego, prócz honoru. Każdy poważnieje, skoro posłyszy ten wyraz. Niezłomna stałość podtrzymuje go przeciw wszystkim i przeciw samemu sobie na wspomnienie tego uczucia, które jest mu w piersi jak gdyby drugiem sercem, gdzie przemieszkuje Bóstwo...

„Honor—to poważanie dla samego siebie i dla piękności swego życia, posunięte do gorącej namiętności... Zawsze i wszędzie chroni od skazy godność osobistą człowieka.

„Honor—to męski wstyd.

„Wstyd uchybienia honorowi jest wszystkiem dla nas. Ta rzecz nieokreślona jest nam świętą.

„Zważcie, co u nas znaczy to wyrażenie popularne, rozpowszechnione, rozstrzygające, a jednak tak proste: dać słowo honoru.

„Oby najczystsza z religii w swej nowej fazie nie próbowała wykreślić lub przytłumić tego poczucia honoru, czuwającego w nas jak ostatnia lampa w spustoszonej świątyni! ale raczej oby je sobie przyswoiła i połączyła ze swą wspaniałością, stawiąc je jako jedno światło więcej na swym ołtarzu, który odnowić pragnie. Boskie to jest zadanie“ [1]).

„Ostatnia lampa w spustoszonej świątyni!“ Oto czem według de Vigny, jest dzisiaj honor. O nie! najczystsza z religii nie pomyśli nigdy o przytłumieniu tego wzniosłego uczucia, które starożytność przeczuwała zaledwie, a które rozkwitło w słońcu chrystjanizmu i taką pięknością nacechowało narody zrodzone u stóp Krzyża. Połączcie po dawnemu honor, cnotę, religię, a ocalicie i uszczęśliwicie świat. A jeżeli wygnacie religię, a z nią razem jej wierną towarzyszkę—cnotę, cóż wam pozostanie? Cóż znaczy honor, skoro już niema sumienia? Czem on jest dla tłumu pospolitych istot? A nawet dla dusz wykształceńszych co znaczy on w niektórych materjach? Wiemy wszak wszyscy, ile można popełnić podłości, pozostając mimo to człowiekiem honoru.

W pewnej książce, która miała duży rozgłos, występuje człowiek nie mający ani religii, ani sumienia, ani Boga, ale któremu pozostaje honor. Ślubował mu cześć i sądzi, że to wystarczy. Powiada, „Ponieważ nie mamy już szaleństwa krzyża, miejmy szał honoru.“ Ale to szlachetne uczucie nie powstrzymuje go od uwiedzenia żony przyjaciela, ani od doprowadzenia swego dobroczyńcy do śmierci ze zgryzoty, ani od poniża-

[1]) *Servitude et Grandeur militaires.*

nia duszy w ciągłej rozpuście, ani wreszcie od skończenia samobójstwem.

Nie, honor bez religii nie wystarcza. Jeżeli wygnacie religię, a z nią sumienie i cnotę, cóż wam pozostanie? Cień cnoty, blady kwiat ziemi, jak te, które wschodzą na ruinach. Wiem, że cień rzeczy tak pięknej, jak cnota, jest jeszcze pięknym; że jeżeli sam honor nie może zapobiedz wszelkiemu złu, utrzymuje jednakże w duszach lepsze uczucia; że ponieważ społeczeństwo cnotą tylko żyć może, dobrze, jeśli w jej braku posiada honor. Szanujmy go, jak ostatnią ostoję. Przechowujmy starannie te czcigodne szczątki naszego narodowego charakteru. Utrzymujmy w sobie honor, „jako ostatnią lampę w spustoszonej świątyni." Ale opłakujmy to spustoszenie, i chcąc pobożną ręką odbudować świątynię, „lampy zdobiącej przybytek" nie bierzmy za jedno z mocnymi filarami, na których spoczywa.

Do tego wyniku dochodzi ze smutkiem przytaczany już przeze mnie publicysta. On też widzi już tylko jedną ucieczkę – honor, „albo lepiej: punkt honoru, ostatni i potężny szaniec społeczeństw". „Jeżeli prawa, są, o ile zgadzają się z powszechnemi nakazami sumienia, ogólnie szanowane, jeżeli żołnierz staje posłusznie pod swoją chorągwią i jest jej wiernym, jeżeli kasjer szanuje kasę publiczną, jeżeli wogóle człowiek należycie wypełnia większość swych obowiązków społecznych, winniśmy to przedewszystkiem tak zwanemu punktowi honoru. Nie poszanowanie prawa Bożego, które przeszło oddawna w stan zagadnienia do rozwiązania, nie filozoficzne poświęcenie dla niepewnego obowiązku, a tem mniej dla oderwanej idei Państwa, szarpanej i poniżanej przez tyle przewrotów, ale jedynie obawa publicznego zawstydzenia za nizki postępek jest dla nas dostatecznym bodźcem do postępowania dobrze" [1].

Oto ostatnia ostoja. Smutnie i wymownie kreśli on jego urok: „Widzimy często nad brzegiem strumienia drzewo, mocno przez czas uszkodzone, pień jego głęboko rozdarty, tkanka drzewna zniszczona; wnętrze zawiera tylko trochę próchna, ale kora drzewa jeszcze żyje, soki mogą w niej krążyć, i oto co rok drzewo okrywa się zielonością, jak za młodych czasów; stoi jeszcze dumnie i może stawić czoło nie jednej burzy. Oto wierny obraz narodu, podtrzymywanego przez punkt honoru po utraceniu Religii i cnoty" [2].

---

[1]) *La France nouvelle*, p. 358.
[2]) *Ibid.*, p. 360.

Uznaje on więc nowożytne społeczeństwo za zgniłe wewnątrz, ale o korze silnej jeszcze. Wkrótce jednakże ogarnia go niepokój i przestrach. Już i kora psuć się zaczyna. Honor, czyli lepiej: punkt honoru, jest w niebezpieczeństwie. Wymienia jego nieprzyjaciół. Są to ci, którzy przenoszą nad wszystko powodzenie, biją przed niem czołem bez względu na jego źródło, ci, którzy wszystko usprawiedliwiają celem, którzy utrzymują, że cel uświęca środki. Skoro się dojdzie do tego przekonania, „punkt honoru, zależący właśnie na tem, aby nie poczytywać równie dobrze wszystkich sposobów dojścia do celu, jest zagrożony zagładą. Przechodzi się wówczas w ten stan duszy, który przewybornie scharakteryzował Tucydydes malując z okoliczności rzezi w Korcyrze upadek Grecji i w nieśmiertelnym djalogu Milończyków z Ateńczykami, zwycięskimi dnia tego i oświadczającymi głośno swoją pogardę dla sprawiedliwości“ [1]). Powoli zasady te przechodzą do życia prywatnego. Z początku tylko w życiu publicznem ośmielano się wychwalać podstęp i gwałt pod nazwą zręczności, mówić, że siła jest miarą prawa, i bić czołem przed powodzeniem. Dla życia prywatnego czyniono zastrzeżenia, ale wkrótce logika bierze górę, i zaczyna się chwalić każdą kradzież dosyć zręczną, aby pozostała bezkarną, jako nadzwyczaj zręczne prowadzenie interesu. Skoro tak staną rzeczy, to już koniec. „Ostatni to, najpewniejszy znak upadku,—mówi on,—kiedy jedyna opora, pozostała nam, punkt honoru, zaczyna chwiać się w naszych rękach, jak owa wątła trzcina, o której mówi Pismo Święte“ [2])!

Bo i cóż pozostaje, aby wznieść dusze aż do surowego poczucia obowiązku? Ma się już tylko bezbarwne pobudki do cnoty, małoważne i nizkie powody do pracy, posłuszeństwa, cierpliwości. Społeczeństwo nie umiera jeszcze, ale cierpi, dźwiga się jak może, jak ci chorzy, którzy smutni i słabi błąkają się z trudem w ostatnich promieniach jesiennego słońca.

IV.

Ale to nie wszystko. Ponieważ niepodobna gwałcić bezkarnie zasadniczych praw swej natury i ponieważ niepodobna czuć, że życie zanika i nie cierpieć nad tem, niewytłomaczona jakaś niemoc zaczyna ogarniać społeczeństwo. Spytajcie, co

[1]) *Ibid*, p. 361.
[2]) *Ibid*, p. 363

mu jest,—nie potrafi wam odpowiedzieć. Ciągle mu się zachciewa zmiany pozycji, jak tym chorym, którym już niewiele pozostaje do życia. Stąd próżne wysiłki, a po nich długie odrętwienia. Poważni obserwatorowie są zaniepokojeni, a nawet ogół, ostrzeżony wzrastającym smutkiem dobrych obywateli, przeczuwa ogrom niebezpieczeństwa. Słuchajmy, co mówił jeden z tych rozumnych badaczów, słynny Jouffroy, już w roku 1834. „Kraj cierpi, a dowodem tego jest ten głuchy niepokój, zdradzający się wszędzie, to niezadowolenie, ze wszystkich stron się ujawniające, a którego powodu i przedmiotu nikt nie może określić.

„Mojem zdaniem, panowie, ta niezaspokojona potrzeba społeczeństwa, która woła i domaga się zaspokojenia, to potrzeba wcale nie materjalna, potrzeba to moralna.

„Chrystjanizm dał społeczeństwu porządek moralny, to jest całość prawd w każdym przedmiocie, najbardziej obchodzącym człowieka; według tych prawd zostało ono zorganizowane, tym porządkiem moralnym żyło.

„Trzy wieki przeszły nad tym chrześcijańskim porządkiem i zniosły go, a przynajmniej podkopały głęboko, zachwiały go w duszach, w sumieniach, w samem społeczeństwie.

„Próżnia, jaką to wytworzyło, widoczną jest wszędzie. Jest ona we wszystkich sercach, masy odczuwają ją niejasno, umysły wyższe—wyraźniej. Trzeba ją zapełnić. Bo jeżeli nie będzie zapełnioną, upewniam was, że społeczeństwo się nie uspokoi, że nikt uspokoić go nie zdoła.

„Oto jest, panowie, głęboka i prawdziwa przyczyna niepokoju społeczeństwa, i dopóki się nie wynajdzie moralnego lekarstwa na tę chorobę moralną, dopóty będzie ono niespokojnem, będzie chorem. Kto nie poda mu takiego lekarstwa, ten nie będzie go mógł opanować, nie uzyszcze nad niem trwałej przewagi. Nie będzie mógł uciszyć jego niepokoju, bo nie usunie przyczyny takowego.

„Lud, który nie zdaje sobie sprawy ze swych potrzeb, ale odczuwa je tem niemniej jako niepokój i udręczenie, wyobraża sobie, że każdy przewrot materjalny może mu dać to coś, do czego wzdycha. Dlatego to jest chciwym wszelkich zmian form społecznych, myśląc, że zmiana wyjdzie mu na lepsze. Nie wie on, czego mu potrzeba, bo zmiany ministerjów, form społecznych, rzędu, praw, są to tylko zmiany materjalne i nie mogą dokonać zmiany moralnej, której społeczeństwo potrzebuje“ [1]).

---

[1]) Artykuł o prawie skojarzeń, *Moniteur*, 19 marca, 1834.

Trudno lepiej odmalować jedną z najboleśniejszych i najwybitniejszych cech społeczeństw nowożytnych, tę próżnię i ten stan chorobliwy, dręczący je wszystkie, i ową potrzebę znalezienia czegoś nieznanego, coby odpowiedziało niezaspakajanym już a nieprzepartym dążeniom. Stąd to pochodzi niepopularność rządów i dziwna ich nietrwałość. Upadają, ponieważ nie umiały, nie mogły usunąć niepokoju, dręczącego społeczeństwo. A społeczeństwo patrzy obojętnie na ich upadek, bo widziało ich przy robocie i niczego się już po nich nie spodziewa. Skoro złożyły dowód swej nieudolności, pierwszy lepszy żołnierz wchodzi do pałacu, gdzie przebywa najwyższa władza, do sali, gdzie się zbiera wybrane przez naród Zgromadzenie, i zabiera klucze do kieszeni. Naród patrzy na to spokojnie: cóż go obchodzą ludzie, nie mogący nic dla niego? Potem bez zapału, bez złudzeń, niestety, prawie bez nadziei, zgromadza się, ażeby utworzyć nowy rząd, któremu tak samo dozwoli upaść za lat kilka, skoro się przekona o jego niemocy. Ażeby żyć, ażeby trwać, trzebaby zadowolić tę potrzebę społeczeństw, zapełnić tę próżnię, uciszyć ten niepokój, a rządy tegoczesne ze swemi bezwyznaniowemi prawami nie są do tego zdolne.

W djalogu Glokona Sokrates dowodzi, że do rządzenia niedosyć znajomości rzeczy przyrodzonych, niedosyć nauki ludzkiej: potrzeba nauki Boskiej. U nas, ona jedna jest w pogardzie; cóż się dziwić bezsilności rządów, następujących jedne po drugich z tak straszną szybkością!

Stąd także wypływa ta nadmierna centralizacja, która ciąży na nowożytnych społeczeństwach, przygniatając je. Skoro zabraknie spójni moralnej i religijnej, trzebaż ją czemś zastąpić, a te czterdzieści milionów odrębnych woli, których nie strzyma już na wodzy wiara, potrzebuje żelaznego jarzma.

Ujawniło się to na wielką skalę w ciągu trzech ostatnich stuleci, w których w miarę upadku religii wzrastał ucisk administracyjny. Niech mi będzie wolno przypomnieć przy tej sposobności piękną mowę Donoso Cortès'a *o dwóch wędzidłach*. Zaczyna od wykazania, że dwa tylko są rodzaje władzy, jedna wewnętrzna, druga zewnętrzna: władza religijna i władza polityczna; tłómaczy prawo, rządzące niemi, to jest, że skoro opada termometr władzy religijnej, termometr władzy politycznej natychmiast się wznosi i naodwrót. Potem z historją w ręku przeprowadza to porównanie przez wszystkie stulecia. Wykazuje, że w starożytności byli tylko tyrani i niewolnicy, a to ponieważ termometr religijny stał na zerze, i polityczny musiał się wznieść aż do tyranii; przypatruje się następnie ludom chrześcijańskim, gdzie przeciwnie, w miarę podnoszenia się religijnego termometru rozkwitają wszystkie

swobody; dochodzi wreszcie do czasów nowożytnych i udawadnia, jak przy ciągłem od trzech wieków obniżaniu się termometru religii, termometr ucisku politycznego wznosi się ustawicznie. „Naprzód,—powiada,—władza królewska z feudalnej przechodzi w absolutną. Potem ukazują się stałe armie, czyli milion rąk dla obrony społeczeństwa. A ponieważ termometr religijny ciągle spadał, rządy powiedziały sobie: Mamy milion rąk, ale to nam już nie wystarcza; potrzebujemy jeszcze miliona oczu dla pilnowania społeczeństwa – i utworzyły policję. Nie dosyć na tem; zechciały mieć milion uszu i otrzymały je przez centralizację zarządu, za pomocą której najmniejsze poruszenie narodu dochodzi do wiadomości władzy.

„A ponieważ termometr religijny opadał jeszcze, polityczny musiał się więc wznosić w tym samym stosunku. Rządy powiedziały: Nie dosyć nam, że mamy milion rąk do trzymania w karbach, milion oczu do strzeżenia, milion uszu do słuchania, trzeba nam módz być wszędzie naraz i jednocześnie. – I możność tę osiągnęły: wynaleziono telegraf.“

Takim jest stan Europy i świata. Połowa rodu ludzkiego stoi pod bronią, aby nie być pożarta przez drugą.

„A teraz, —woła, kończąc, mówca,—jedno z dwojga: albo reakcja religijna nastąpi, albo nie. Jeżeli nastąpi, zobaczycie wkrótce, jak w miarę podnoszenia się termometru religijności, termometr polityczny zacznie opadać, spokojnie, naturalnie, sam przez się, bez żadnego udziału ze strony narodów, rządów lub pojedyńczych ludzi, aż dopóki nie stanie na umiarkowanym stopniu swobód narodowych. Ale jeżeli przeciwnie, i rzecz to bardzo poważna, termometr religii będzie dalej opadał, to nie wiem, gdzie się zatrzymamy. Nie wiem, i drżę, myśląc o tem. Jeżeli wtedy kiedy wpływ religii był u szczytu, nie potrzeba było żadnego niemal rządu; teraz przy zupełnym jego braku, jakiż rodzaj rządu będzie wystarczającym? Otwiera się pole dla olbrzymiej, bezgranicznej tyranii...“

Oto co mówił Donoso Cortès, i miał po tysiąckroć słuszność. Co do mnie, nie potrafię wyrazić, jaką litością przejmują mnie owi krótkowzroczni politycy, którzy, usuwają religię z praw, życia i dusz narodu a marzą o udarowaniu go wolnością. Nie, nie: gdyby wpływ religii zmalał jeszcze, społeczeństwo dostałoby się pod najstraszniejszą tyranię. Ponieważ bowiem może ono istnieć tylko cnotą, pracą, ładem, zaparciem się, oszczędnością, ofiarnością, trzebaby było, ażeby władza sięgała aż do sumienia dla zniewolenia duszy do cnoty, aż do rodziny dla utrzymania w niej dobrych obyczajów, aż do własności dla nakazania oszczędności. Powstrzymując społeczeństwo od zguby, prawo musiałoby obejmować władzę nad człowiekiem jeszcze w łonie matki.

Tak jest: chrześcijaństwo albo niewola, jarzmo religii albo jarzmo siły. Środka tu niema.

A ponieważ ta prywatna i publiczna tyrania, wynik nadmiernej i ciągle wzrastającej centralizacji, nie zapobiega nietrwałości rządów, które, ustępują bo nie mogą zaradzić chorobie społeczeństwa, podczas gdy tyrania nie ustaje, gdyż trzeba trzymać w karbach wole, nie znające już religijnego hamulca,—jest się zarazem pod jarzmem i w rewolucji. Zmienia się królów, ministrów, formy społeczne,—ucisku się nie zmienia. Monarchia czy rzeczpospolita, to zawsze to samo, chociaż firma inna. Kiedy kto upadający pod zbyt wielkim ciężażem zmęczy jedno ramię, przerzuca na drugie przerzuca go, ale ciężar pozostaje ciężarem.

Jednem słowem, poza Bogiem i religią, niema pobudki dosyć silnej, ażeby podnieść ducha całego narodu i utrzymywać takowy w surowem pełnieniu obowiązku, w posłuszeństwie, w pracy, poszanowaniu praw, w cierpliwości, poświęceniu, cnocie. Środki któremi chcą zastąpić religię, są zbyt błache, bezsilne. Wytwarzają one narody anemiczne, wlokące się bez tchu i życia, niespokojne i chore, zawsze na łasce pierwszego lepszego despoty, który oszczędzi im trudu życia. Trzeba więc, żeby Bóg wszedł w prawa, w obyczaje publiczne, w urządzenia społeczne. Inaczej pożegnajcie się z pokojem, ładem, trwałością rządów i swobodą ludów, bo nie ujrzycie ich nigdy. Nie powrócicie nigdy do zdrowia.

V.

Nie wyobrażajcie sobie tylko, żeśmy już doszli do dna przepaści, oczekującej społeczeństwa bez Boga. Na skraju jej jesteśmy zaledwie, bo tę próżnię, źródło tylu niedoli, trzeba czemś zapełnić. Ale czem? Po wygnaniu Boga pozostała już tylko materja; rzucają się też do niej ludzie zapamiętale. Ale to pociąga za sobą klęski nowego rodzaju. Z jednej strony ustępuje zewsząd tak potrzebna społeczeństwu filozofia ofiary, nie mając już punktu oparcia; z drugiej, w opuszczone przez nią łożysko wkraczają burzliwe fale filozofii używania. Powiedzcie, co poradzą przeciw temu nieszczęsnemu zalewowi interes osobisty, obowiązek czysto ludzki, honor? Niestety! nie mogły wymódz dostatecznego posłuszeństwa prawu, jakże potrafią ustrzedz czystości obyczajów? Ujrzycie, je zaprzęgające się same do wozu rozkoszy, a nauka ze swemi cudownemi okryciami, z temi nieznanemi machinami, w których działaczami są ukryte siły natury, będzie go popychała, aby prędzej postępo-

wał naprzód. Wtedy wystąpią haniebne rany i gangrena dokończy tego, co zaczęła anemia.

Bo i dokąd, rzeczywiście, prowadzi nas ten ruch naukowy, będący zaszczytem naszego stulecia? Nauka odpowiada na to z chlubą: Do bezgranicznego używania. Wytwarzać coraz więcej, ażeby coraz więcej używać, z ujarzmionej nareszcie przyrody wyciągnąć wszystek dobrobyt i wszystką rozkosz, jaką będzie mogła dać ludzkości: oto dążność i wytknięty plan nowoczesnej nauki,—a z tego, co już urzeczywistniła w przeszłem stuleciu, można wnioskować o tem, co będzie w przyszłości.

Ale jeżeli wypędzając ze świata Boga i cnotę, przywołacie rozkosz; jeżeli rozbudzicie wszystkie pożądliwości a usuniecie wszystkie hamulce, jeżeli napoicie lud tem wszystkiem, co zniża duszę ku ziemi, pozbawiając go jednocześnie wszystkiego, coby go ku niebu podnieść mogło, czyż jesteście pewni, że nie zawiedziecie go prostą drogą do upadku? Wzniosłość myśli, piękność uczuć, bohaterska wielkość charakterów tworzy naród. Wolność, filozofia, nauki, religia uszlachetniają go. Tego przedewszystkiem szukaj, ojczyzno nasza a wszystko inne będzie ci przydane!

Ale cóż czeka naród, który widzi przed sobą tylko to „inne?“ Zaczyna go ogarniać jedyna namiętność, namiętność dobrobytu, „namiętność miękka, ale uparta i nienasycona, mieszająca się i niejako splatająca z niektóremi cnotami domowemi, z miłością dla rodziny, z przyzwoitością obyczajów, z poszanowaniem religijnych wierzeń, a nawet z regularnem, choć zwyczajowem tylko wykonywaniem obowiązków panującego wyznania, co wszystko, dopuszczając uczciwość, wyklucza bohaterstwo i wybornie się nadaje do wytwarzania porządnych ludzi a nędznych obywateli“ [1]). Oto naprzód stan ogólny, stan mas, i jakby tło narodu.

Ale u niektórych, a wprędce u wielu, namiętność ta nabiera siły. Tym nie wystarcza już dobrobyt; potrzeba im używania, rozkoszy. A ponieważ do tego koniecznem jest bogactwo, owo pożądanie przyjemności wyradza nadmierną chciwość, nienasycone łaknienie złota. Niemiarkowane i nieograniczone pragnienia rzucają się do wszystkiego, co przyobiecuje dać owo złoto, jedyny teraz zaszczyt, jedyna godność, jedyny cel życia. Gorączka awansu trawi urzędników, ale w tych urzędach, których pragną, o które błagają tak pokornie, nęci ich nie wyniesienie i dostojeństwo, ale tylko złoto.

---

[1]) Tocqueville *l'Ancien Régime et la Révolution*, p. 175.

Posady oceniane są wedle dochodów, jakie przynoszą. A co jest okropnem, to, że w miarę wzrostu wynagrodzenia, zmniejsza się niezależność. Z przyrostem pieniędzy uchodzi swoboda. Zawsze czegoś oczekując, człowiek nie odważa się na nic. Powoli to poniżenie rozpowszechnia się jak zaraza, dosięga tych nawet, którzy nie zajmują żadnych urzędów, i widzimy ludzi, którzy dla swego osobistego mienia, dla swego wieku, godności, poselskiego mandatu, powinniby być przywódcami kraju, a którzy nie odważają się oprzeć ministrowi w izbach, ani prefektowi w departamencie. Inni tymczasem, pubudzani tą samą miłością złota, rzucają się z całą namiętnością do gry na giełdzie, narażając dziedzictwo po przodkach, posagi córek, nawet chleb dzieci; spokojni zresztą przy całej tej gorączce, bo wiedzą, że dla ukrycia hańby mają Sekwanę, albo Amerykę, gdzie pod fałszywem nazwiskiem będą znowu mogli rozpocząć swą niecną grę i nieuczciwe spekulacje.

A ponieważ życie jest krótkie, ponieważ czas, mimo naszego pośpiechu, prędzej od nas idzie, to złoto, zaledwie zarobione, a nawet i niezarobione jeszcze wymienia się na uciechy. Niesłychany zbytek kazi rodziny. Widzimy same tylko rujnujące toalety, ekscentryczne mody, cenne konie, bezcenne klejnoty, fantazje i kaprysy zaspakajane w jednej godzinie a któreby przez rok żywiły rodzinę całą. A chociaż złymi sposobami, a nawet czasem dobrymi, zarabia się niezmiernie dużo, żyje się zawsze w długach, nie mogąc wystarczyć takim wydatkom. Pozostawia się u dostawców ogromne rachunki niezapłacone i których wkrótce nie ma się czem zapłacić. Mimo to nie zmniejsza się skali życia, owszem, podnosi się ją, ażeby się odurzyć. Ale już się nie śmie żenić, nie chce już mieć dzieci, a nadużycia bez nazwy kalają małżeństwa. Żadne domowe ognisko nie jest bezpieczne, żadne łoże małżeńskie szanowane. Nie żeby się było trawionym jakąś wielką namiętnością, usiłuje się tylko zabić czas. Ktoś niedoświadczony objawiał raz radość, że cudzołóstwo znika już z obyczajów. „Przeciwnie, — odpowiedział mu ktoś znający lepiej życie, — istnieje ono zawsze i nawet potrosze wszędzie, ale tak bez hałasu, tak bez namiętności, że nie zwraca uwagi niczyjej. Cudzołóstwo jest dzisiaj we Francji instytucją nieomal".

W tej bowiem szalonej pogoni za użyciem zmysły tępieją rychło, przesyt prędko nadchodzi. W dwudziestu latach jest się starym, rozczarowanym, wie się wszystko o życiu i pogardza się wszystkiem. Cnota, szlachetność, miłość, przyjaźń, bezinteresowność, sława, myśl, sztuka, wszystko, co uszczęśliwia i uzacnia życie, odbiega; zimne samolubstwo przytłumia wszystkie uczucia, a najczystsza z pomiędzy nich, prawdziwa miłość, jest tylko przedmiotem pośmiewiska. Wkrótce cóż będzie

znaczyło upokorzenie ojczyzny, jej straty, byle się na nich nie cierpiało. W napadniętej ojczyźnie widzi się tylko swój zagon. Zgodzonoby się być Prusakiem, byle nie tracić swych dochodów. I wiek, rozpoczęty w obojętności dla religii, grozi zakończeniem się w obojętności dla rodziny i ojczyzny.

Ale napróżno ludzie zagrzebują się w ziemi; szczęśliwymi nie są. Co może dać ziemia nieskończonej duszy? Rodzaj szału ogarnia człowieka. Dawajcie, dawajcie jeszcze, wynajdujcie, wymyślajcie coraz coś nowego! O nauko, potężna czarodziejko, przyjdź, obdarz mię nowem upojeniem! A ty literaturo, wy teatry i romanse, na cóż się zdacie, jeżeli nie potraficie rozbudzić moich stępionych zmysłów! Wówczas to na ulicach, w dziennikach ukazują się dziwne ogłoszenia, zapowiadające zdumienie, osłupienie, niepojęte i niemożliwe czarodziejstwa, światła elektryczne, deszcze ogniste, śmiałe pozy, nigdy niewidziane nagości. Trzebaż zabawić tych przeżytych. Nadchodzą, biegną, pełni oczekiwania. Ale zdziwienia doznaje tylko naiwność dziecięca. Tłumy odchodzą niezaspokojone. Nuda nie ustąpiła, zmysły pozostały martwe. Szukajcie jeszcze, wynajdujcie! Rzymianie potrafili to lepiej od was: mieli cyrk, mieli walki zwierząt, walki ludzi, obnażali dziewice i oddawali je na pożarcie lwom; szukajcież i wy, nie dajcie nam ginąć z nudów wśród naszego jałowego złota i tych mdłych uciech materjalnych, które niczem już nie są dla nas. *Panem et circenses*! Był to ostatni okrzyk Państwa Rzymskiego, ginącego w błocie i krwi. Nasze to hasło dzisiaj.

I dlatego to, o zepsute społeczeństwo, słuchaj, co ci powiem: zmień kierunek twej drogi, obal twe bożyszcza z ciała i krwi, a na ich miejscu postaw nieskalane, ołtarze, odepchnij ze zgrozą haniebną filozofię zmysłowych rozkoszy. Wzgardą okryj jej doktorów, mówców i nauczycieli. Wszystko, co ją rozpowszechnia: dzienniki, przeglądy, teatry, romanse, — niech się stanie dla ciebie przedmiotem obrzydzenia! Odródź w sobie sumienie publiczne, niech ono z oburzeniem strąci w cień te niegodziwości. Inaczej, o ludzie, choćbyście nawet potroili szybkość waszych kolei żelaznych, choćbyście wynaleźli skrzydła i szybowali z ich pomocą w powietrzu, choćbyście odkryciami waszemi w przyszłości mieli zaćmić to wszystko, co dziś stanowi waszą dumę — jeżeli nie przywrócicie w duszach czci Boga, jeżeli nie przywrócicie w nich modlitwy, poświęcenia, pogardy świata, — zgubicie społeczeństwo, zepchniecie je do otchłani napół ze krwi a napół z błota, a choćbyście już mieli siwe włosy, nie ręczyłbym, czy sami jeszcze tego nie zobaczycie!

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Bolesny dramat niewiary (*dokończenie*) **Lud bez Boga.**

Pomimo nędz, uderzających każdego, kto uważnie bada stan nowożytnych społeczeństw, jest jeszcze środek ratunku, który jednakże pod ślepymi ciosami niewiary może się stać największem niebezpieczeństwem.

Podczas gdy wyższe klasy bez Boga poniżają się i wyczerpują, występują na widownię społeczną klasy niższe, nie wyczerpane bynajmniej, owszem, młode, gorące, pełne—jak zazwyczaj w młodości nieokreślonych pragnień, daleko sięgających nadziei, zuchwałych marzeń, a liczbą swą i żywotnością zdolne odnowić krew wycieńczonego społeczeństwa. Ale na to trzeba było pozostawić im Boga. Odebraliście Go im, i patrzcież co się dzieje. Pozbawione tej boskiej wiary, która wskazywała im ich miejsca w hierarchii społecznej; pozbawione tej niebiańskiej nadziei, która kazała im cierpliwie oczekiwać wiekuistej nagrody; niedosyć oświecone, ażeby zrozumieć unoszący je ruch społeczny, a za mało moralne, teraz, kiedy nie są już religijnemi ażeby uczcić go umiarkowaniem,—zaczynają spoglądać na te bogate tłumy, przeciągające przed niemi w koronkach i brylantach, i dzika zawiść budzi się w ich sercach. Jeżeli życie jest tylko chwilowym snem, ucztą pomiędzy dwiema nicościami, czemużby i one nie miały wziąć w niej udziału?

„Gorzka i coraz głośniejsza skarga wydziera się z ust poddanego, wyrobnika, proletarjusza, parji. Pryska wędzidło w ustach ludzkiego narodu. Sprzykrzył on już sobie drogę krzyżową, nie chce nią iść dalej."

Dobrze; ale cóż począć? A ja dodam: Czyjaż w tem wina?

Zbadajmy to straszne zagadnienie, a przypatrzywszy się dokładnie stanowi klas niższych i niezmiernemu przewrotowi społecznemu, który je wyprowadza na powierzchnię, przekonajmy się ostatecznie, że społeczeństwo nie może istnieć bez Boga.

Ruch, unoszący te klasy, jest już tak silny, że nie można go powstrzymać; ale może jeszcze nie jest tak bystry aby nie można było nim pokierować. Tylko niema ani chwili czasu do stracenia. *Cavete, posteri, vestra res agitur!*

I.

Niema zapewne człowieka, któryby nie przyklasnął poniesionym do dziś dnia trudom i usiłowaniom dla polepszenia położenia ubogich i robotników i nie cieszył się z osiągniętych już skutków. Ale też każdy chyba widzi z boleścią, że nie wszystko zło zostało zażegnane; że jest jeszcze wiele nędzy bez żadnego innego w danej chwili lekarstwa, prócz wielkiej cierpliwości u cierpiących, a wielkiej miłości u szczęśliwszych.

Posłuchajmy naprzód pewnego angielskiego podróżnika, jak opisuje los naszych wieśniaków: „W tej części Francji (la Brie), jak i w wielu innych, ciężkie jest życie rolnika. Oracze śpią w oborze lub stajni w jednem łóżku, a raczej w rodzaju przegródek, na sienniku rzuconym na ziemi. Dotąd nie widziałem nic, coby mi tak wyraźnie przypomniało niewolnictwo. Przybyłem na folwark o świcie; wszystkie ręce były przy pracy, a ta praca, rozpoczynająca się w lecie o czwartej rano, trwa aż do ósmej wieczorem. Nawet w niedzielę pracuje się do południa. Zapłatą za te długie dni są dwa franki, a tu jest lepiej jeszcze, aniżeli w sąsiednich okolicach“ [1]).

„Taki stan rzeczy—kończy p. James Howard—zaczyna wywoływać skutki, jakich się można było spodziewać: nędza wygania codzień do miast ludność wiejską.“

Ale i tam los ich wcale nie jest lepszy. Nic niepewniejszego, nic bardziej zawisłego od tysiąca okoliczności, nad istnienie robotnika. Daje on sobie radę, jeżeli nigdy nie choruje, on, ani też społeczeństwo. Najmniejsza jego choroba własna, jego żony lub dzieci, najmniejszy przewrót polityczny, najmniejsze bezrobocie skazują go na nędzę. „Ludność miejska—mówi Thiers—nie tak ustawicznie ograniczana w środkach do życia, jak wiejska, ma chwile, w których jej zarobek się podwaja i w których żyje we względnym dostatku. Ale zaledwie nieostrożny przemysł, który wyrywał sobie robotników, przepłacając ich, spostrzeże się, że wyprodukował nad miarę, zaraz się ogranicza i przestaje ich używać, a ci biedacy okropną i głęboką nędzą, o której nie ma pojęcia wieśniak, przypłacają tych kilka pięknych dni, jakie im były dane“ [2]).

Co się tycze robotnicy, jej położenie jest jeszcze gorsze.

---

[1]) *Revue de Deux Mondes* 15 sept., 1870, p. 379.
[2]) Thiers, *de la Propriété*, p. 364.

Kiedy angielscy fabrykanci, ogromnie wzbogaceni dzięki nowym maszynom, przyszli ze skargą do Pitt'a, mówiąc: „Nie możemy już! nie zarabiamy dostatecznie!“ — wyrzekł on straszne słowo, które zaciężyło na jego pamięci: „Weźcie dzieci.“

O ileż jeszcze winniejsi są ci, którzy wzięli kobiety, którzy zagrożonym nędzą dziewczętom z miast, zaślepionym wieśniakom otworzyli zgubną ucieczkę w wyniszczającej pracy, i w tłoku fabryk! Kto powiada: „kobieta,“ powiada: „dziecko;“ w każdej, która ginie, ginie cała rodzina: może kilkoro dzieci, nadzieja przyszłych pokoleń.

Na to odpowiada zwarty szereg ekonomistów: „Ależ, Panie, najwyższe potrzeby ekonomiczne, społeczne! Przemysł krępowany zatrzymałby się... W imię klas ubogich!“ i t. d., i t. d.

Najwyższą potrzebą jest istnieć. A my giniemy widocznie. Ludność nie powiększa się co do ilości, a obniża co do jakości. Wieśniaczkę zabija praca, a robotnice głód. Jakichże dzieci mamy się po nich spodziewać?

Szczególnie od czasu wynalezienia maszyn do szycia, do przędzenia, do haftu, robotnica upada pod nadmiarem pracy, a ta praca nad siły nie daje jej nawet sposobu do życia. Dzień jej jest płatny dziesięć su. Dlaczego? Ponieważ maszyna wykonywa tę pracę za dziesięć su. Gdyby kobieta żądała jedenastu, wolanoby maszynę.

Jakże więc radzą sobie robotnice?

„Starają się z jednego dnia zrobić dwa, pracując do ośmnastu godzin na dobę, jak pp. hafciarki w Wogezach...“ [1]) Albo jak londyńskie szwaczki, które pracują w czasie nawału roboty po nocach, jedzą, nie przerywając roboty i poprzestając na kilku godzinach snu w jakim kątku pracowni nawet się nie rozbierając.“ [2]) A ileż w końcu traci zdrowie z braku snu i przepracowania!

Cóż się wtedy z niemi dzieje?

Przedewszystkiem nie robią one wiele hałasu. Nie tworzą jak silni, a stowarzyszeni robotnicy, malarze, cieśle, groźnych zbiegowisk i nie dotykają praw. Umierają z głodu lub suchot, i oto wszystko.

Ale te, które nie chcą umierać w ten sposób?

Te idą wieczorem na ulicę.

Wszystko to jest ponure, bardzo ponure i nie rozjaśni się tak rychło. Zapewne, nie traćmy odwagi. Pracujmy. Łagódźmy te nędze; ocierajmy łzy; polepszajmy los dziecka,

[1]) Victor Modeste, *du Pupérisme en France*, p. 98.
[2]) The Undercurrents overlooked, t. I, pp. 36, 38.

kobiety. Starajmy się zaopatrywać potrzeby starego lub chorego robotnika; dla zdrowego zaś i zdolnego do pracy przygotowujmy na czas bezrobocia inne źródła zarobku, naprzykład wielkie roboty państwowe. Odmieńmy nasze prawa, tyczące się rolnictwa, przemysłu. Nie patrzmy spokojnie na ten nieludzki, niechrześcijański stan rzeczy, aby pracujący mężczyźni lub kobiety nie mieli z czego żyć. Są to okropności, które nie mają prawa istnieć. Zawsze będą na świecie ubodzy, ale nie powinno być nędzarzy.

Ale kiedy już usuniemy te nadużycia, kiedy poczynimy wszelkie możliwe reformy, bądźmy pewni, że umierając, my i dzieci nasze, pozostawimy za sobą mnóstwo nieuleczalnych nieszczęść. Ziemia jest ubogą: uprawiana usilnie da trochę więcej bogactw, ale nigdy w stosunku do potrzeb. Bóg już ją tak stworzył, ponieważ pomieścił na niej człowieka, nie żeby używał, ale żeby wzrastał; żeby wzrastał w pracy, w porządku, w oszczędności, w cnocie, a nie poniżał się i nie zezwierzęcał w używaniu.

Ale to właśnie powiększa okropność obecnego położenia klas ubogich. Ta nieuleczona nędza jest u nich nędzą niezrozumianą. Nie tylko ciało tego ubogiego oddane jest na łup cierpieniu, ale i duch jego przebywa w ciemnościach. Dlaczego jest ubogim? Dlaczego on, a nie kto inny? Dlaczego jest nagim? Dlaczego pracując cały dzień i część nocy, ma zaledwie kawałek chleba? Odpowiedź na to dawała dawniej religia. Nakazując bogatym położyć kres tej nędzy, tłómaczyła jednocześnie maluczkim, dlaczego są na świecie maluczcy, ubogim—dlaczego są ubodzy. Cierpiącym powiadała, dlaczego są tacy, którzy cierpią. Nie łatwo to powiedzieć, ani wytłómaczyć. Ona czyniła lepiej, bo kazała w to wierzyć. Ubogi, jak dawny Hiob, wznosił ze swego barłogu oczy ku niebu i z poddaniem się jeżeli nie zrezygnacją mówił: „*Scio, quia Redemptor meus vivat.*“ — Wiem, że Odkupiciel mój żyje. A kładąc spracowaną rękę na wyschłą pierś, na zbolałe ciało, dodawał: „*Et in carne mea videbo Dominum.*“—Tak, ujrzę mojego Boga, ujrzę Go w tem samem mojem, wówczas przeobrażonem ciele. A gdy na starym pniu religii, jak wonny kwiat, rozkwitło chrześcijaństwo, wniosło ono do chaty ubogiego wizerunek Ukrzyżowanego z wychudłemi ramionami, z czołem uwieńczonem cierniem, z ciałem przykrytem łachmanem, ze zbolałem sercem, a litośnem i pełnem miłości wejrzeniem. Wtedy ubogi nie tylko poddał się, ale i pogodził z wolą Bożą.

Oto dzieło chrześcijaństwa! Odrzucacie je. Uczyńcież coś lepszego.

Ale śpieszcie! Wstańcie wszyscy, do roboty, do naucza-

nia, do wyjaśniania wielkiej tajemnicy! Niema chwili do stracenia. Podzielcie się światłem, wy, którzy je posiadacie. Nie możecie pozostawić ubogiego w tych ciemnościach. Jest nagi pracuje, cierpi. Dlaczego? Powiedźcie mu to, i śpiesznie. Bo wiecie, co się dzieje? Cierpienie jego niewytłómaczone, nierozumiane, zmienia się w nienawiść. Przygląda się społeczeństwu i zaciska pięści.

I zjawili się lekarze. Fałszywi, niestety! Jest ich mnóstwo od lat dwudziestu. Słuchałem ich uważnie. Otóż wyobraźcie sobie, co powiedzieli cierpiącemu ludowi! Jedno słowo, tylko jedno, ale słowo to w porządku społecznym jest tem, czem byłaby baryłka dynamitu pod filarami gmachu. Powiedzieli ubogiemu: „Masz prawo do szczęścia!“

Gorzkie szyderstwo! Temu pracującemu ludowi, któremu ciężko wyżyć, mówią: Masz prawo do szczęścia!

Prawo do szczęścia! Uważajcie dobrze: nie ma nic innego w tych wszystkich doktrynach socjalistycznych, które zrządziły tak wielkie spustoszenia w naszych klasach robotniczych w przeciągu ostatnich lat dwudziestu. Środki były rozmaite, cel ten sam.

Jedni powiedzieli ludowi: „Masz prawo do szczęścia, a wszystko złe pochodzi od władz: od władzy duchownej, władzy świeckiej, władzy właścicieli. Trzeba je wszystkie obalić, a najpierw tę, od której biorą początek wszystkie inne: władzę Boga. Sam rządź sobą. Ἀναρχία. bez rządu, i w niebie i na ziemi. Ideał twój to bezrząd, którym cię straszą. Będzie on twojem ocaleniem.“

Inni, ci ze szkoły politycznej, mówili mu: „Masz prawo do szczęścia, a jeżeli go nie posiadasz, to dlatego, że żyjesz w odosobnieniu i że zabija cię konkurencja. Połącz wszystkie twe prace i swe wyroby, a ponieważ samo tylko państwo może je stosownie rozdzielić, znieś wszelką własność, wszelkie stany i powierz państwu rozdział wspólnych bogactw pomiędzy wszystkich. Winno ci ono szczęście i w ten sposób daje je tobie.“

Ostatni mistycy, zapatrywali się na rzecz z innej strony; ci mówili: „Chrześcijanizm wyzwolił ducha, to dobrze. Ale to tylko połowa zadania. Teraz potrzeba wyzwolić ciało. Raj ziemski nie jest za nami, ale przed nami. Wszystkie namiętności są święte, wszystkie pożądania winny być zaspokojone.“ Socjaliści polityczni mówili tylko o wspólności dóbr; ci dodali do tego wspólność kobiet. Każdy wedle swego gustu i uzdolnienia.

Wszyscy zatem przyjmowali za zasadę, że celem człowieka jest szczęście doczesne, że polega ono na posiadaniu materjalnych bogactw; że posiadanie to jest możliwe, ale stoi mu na przeszkodzie społeczeństwo, to stare, ze-

pute społeczeństwo, stawiące opór wszystkiemu, co dobre; że zatem trzeba to społeczeństwo wywrócić dla odbudowania go na nowo, obalając lub rozdzielając własność, znosząc lub przekształcając rodzinę i wyganiając religię: trzy przeszkody, najbardziej zawadzające powszechnemu uszczęśliwieniu.

Za ukazaniem się tej teorji, klasy bogate wydały okrzyk zgrozy. Jak to! utrzymywać, że szczęście jest celem człowieka, kiedy z historji, z doświadczenia sześciu tysięcy lat widzimy jasno, że chcąc nie chcąc człowiek musi cierpieć! Jakto! naruszać własność! tę tak świętą, tak nietykalną, potrzebę serca ludzkiego! Targnąć się na rodzinę! na szczęście, urok życia! A wołając tak, chociaż sami, niestety, w tysiączny naruszali je sposób, mieli bogaci niezaprzeczoną słuszność.

W istocie, wszystkie te teorje są wstrętne, zarówno ze stanowiska religii, jak i moralności, a nadto są one zgubne dla wszelkiego porządku społecznego. A nie trzeba, zaiste aż tylu przyczyn, ażeby sprowadzić katastrofę. Dosyć jednego tylko wyraźnego słowa. Oto ono. Powiedzcie cierpiącemu ludowi, że są tacy, którzy są przyczyną jego cierpienia. Powiedzcie mu, że ma prawo do szczęścia, a społeczeństwo mu go odmawia: rzuci się na nie i zetrze wprost jak szkło. Powtarzam więc, że wszystko to jest niegodziwe i zasługuje tylko na najmocniejsze potępienie.

A jednak zastanówmy się trochę. Jeżeli niema ani Boga, ani nieśmiertelnej duszy, jeżeli doczesność jest wszystkiem, a wieczność urojeniem jedynie,—czyż nie największą mądrością jest powiedzieć sobie: Używajmy? „Rozkosz jest wszystkiem—powiedział Wolter,—kto ją uchwyci, zbawion jest.“ A zresztą cóż powiedzieli ludowi? Powiedzieli mu to tylko, co mówicie sami sobie: „Człowiek jest na to, aby używał.“ Mieli więc słuszność? Znajdźcież w waszej moralności bez Boga jakąkolwiek zasadę, któraby im zaprzeczyła.

Tak jest, znajdźcie mi poza religią jeden jedyny powód, skłaniający tego człowieka, który wam czyści obuwie, nosi wodę, aby był zadowolony ze swego losu, aby niósł swe codzienne brzemię i zgodził się na nie! Patrzcie, ile tu będą warte wasze słabe racje obowiązku, honoru, własnego interesu.

— Ale, mój kochany, twoim obowiązkiem jest słuchać, pracować.

— A! moim obowiązkiem pracować, a pańskim zapewne rozkazywać! Moim obowiązkiem mrzeć głodem, a pańskim używać! I dlaczegóż to? Ponieważ urodziłem się ubogim. Więc mój obowiązek wynika z przypadku! Niech więc przeklętym będzie przypadek! przeklęty i zniesiony!

— Ale, mój przyjacielu, twój honor, twoja opinia!

— Mój honor! honor czyszczenia pańskiego obuwia! Powiedzą: „Jakób dobrze czyści buty pana!“ Toż to zaszczyt dla mnie.

— Ależ, pomyśl przynajmniej o własnym interesie.

— A tak, interes! Bardzo dobrze! moim interesem jest słuchać, jeżeli jestem sam jeden, ponieważ inaczej byłbym zgnieciony. Ale jeśliby nas było więcej, jeślibyśmy się stowarzyszyli! Jest nas sześć milionów robotników, cztery miliony służących: czyż połączywszy się, nie moglibyśmy rozbić naszych oków o głowy tyranów? Wtedy, panowie, role byłyby zamienione: wasz to „obowiązek“ byłby słuchać, wasz „honor“ czyścić nam buty, wasz „dobrze zrozumiany interes“ mrzeć głodem, pracować i cierpieć!“

Wiem, że inni biorą rzecz z wyższego stanowiska. Kładą w uszy ludu wielkie słowa prawa, woli narodu. Poszanowanie prawa, posłuszeństwo woli narodu. Ale jeżeli nie wierzycie w Boga ani wy, ani lud, skądże obowiązująca siła prawa? A w braku sumienia i religii czemże jest wola narodu, jeżeli nie pognębieniem kilku przez wszystkich? Nie jestem winien posłuszeństwa żadnemu a żadnemu człowiekowi, ponieważ jestem mu równy. A jeżeli nie winienem nic jednemu, tom również nic nie winien dwom, trzem ani dziesięciu. Zero pomnożone przez dwa, trzy, dziesięć, sto, tysiąc pozostanie zawsze zerem. Wasza wola narodu jest więc tylko uciskiem mniejszości przez większość. Będziemy ją znosili, dopóki nie będziemy mogli jej zdeptać.

Jak można nie widzieć, że wszystkie te teorje, wprawiające lud w prawdziwe oszołomienie, są logicznym wynikiem tych wszystkich, które nasz wiek wychwalał, pieścił, głosił i w czyn wprowadzał? Człowiek przychodzi na świat dobrym; psuje go społeczeństwo. Człowiek rodzi się wolnym; okowy nakłada na niego prawo. Człowiek rodzi się szczęśliwym; uciska go i udręcza religia. Ale któż to podtrzymuje społeczeństwo, te prawa, tę religię, które mnie dręczą, i uciskają? Ludzie? Więc rozbijmy ich o bruk!

Słuchajcie i przyznajcie swój błąd. Powiedzieliście: „Człowiek jest wolnym“ nie mówiąc pod jakimi warunkemi może być wolnym; powiedzieliście: „Ludzie są równi między sobą,“ nie dodając, w jakich granicach; powiedzieliście: „Ludzie są przeznaczeni do szczęścia, nie dodając, gdzie, jak, kiedy to szczęście będzie możebnem. Lud ten żąda więc od was owej wolności, równości, szczęścia. Jest on tylko logicznym. Jakże sobie z tem poradzicie?

Powiedzieliście, że tłómaczenie chrześcijańskie jest fałszywe. Prosimy o wasze.

Jedno z dwojga:

Albo szczęście po śmierci, zasłużone przez cnotę; albo szczęście już na tym świecie, ale w takim razie dla wszystkich. Jakiemże prawem moglibyście odmówić go ludowi?

Albo rozwiązanie chrześcijańskie: bogactwo spoczywa na pracy, praca na kapitale, kapitał na cnocie, a cnota na Bogu.

Albo rozwiązanie starożytne: bogactwo przez pracę, praca przez kapitał, a kapitał przez niewolnictwo.

Obaliliście niewolę i dobrzeście uczynili; ogłaszacie wolność i czynicie jeszcze lepiej. Ale usuwając Boga, usuwacie i cnotę; wolność bez cnoty zgubi was.

Nie żebym wierzył w ostateczny tryumf rozszalałych namiętności klas niższych. Bóg uczynił niezależnem od człowieka istnienie wszelkich instytucji, będących podwaliną świata; ale nie chciał, aby namiętności nasze były za zło nieodpowiedzialne. Kto sieje wiatr, zbiera napewno burzę.

Oto patrzcie, jak już co lat piętnaście, za każdą klęską, otchłań rozszerza się, i to z waszej winy. Cóż logiczniejszego nad to, że po wstrząśnieniu politycznem w roku 1830, mieliście rok 1848, wstrząśnienie społeczne po 1848, pierwszym zamachu na odwieczne prawa społeczeństwa, mieliście rok 1870 i 1871, drugi zamach, który byłby jeszcze o wiele straszniejszym, gdyby nie wojna zewnętrzna. Przyczyniliście się do tego potrosze wszyscy.

Zbierzcie razem nędzę, pożądliwość, pychę, utopię, niewiarę: z punktu ich zetknięcia powstanie drapieżne zwierzę. Dołączcie do nich słabość dobrych, zniewieściałość bogatych, zgorszenie dawane przez klasy wyższe, brak zasad, bezbronność społeczeństwa, wszędzie zepsucie i pogardę Boga: zwierzę się stanie straszliwem i niezmożonem. Dlaczegoż miałoby się cofać? przed czem?

Nie, nigdy, w żadnym czasie, w najbardziej nawet barbarzyńskiej starożytności nie widziano tak nierozważnego, nierozsądnego i zgubnego postępowania, jako to, na które dziś patrzymy. Podczas gdy wszędzie klasy wyższe rozumieją, że jest ich obowiązkiem, a jeżeli już nie obowiązkiem, to dobrze zrozumianym interesem, wychowywać klasy niższe, umoralniać, wpajać w nie zasady religii aby były uczciwe, czyste, wstrzemięźliwe, posłuszne, aby szanowały cudzą własność, – tutaj, we Francji, wyższe klasy zdają się od lat pięćdziesięciu mieć jedną tylko myśl: wydrzeć z serca ludu wszelką religię, to znaczy wszelką moralność, wszelkie sumienie, wszelkie poczucie obowiązku, wszelki hamulec namiętności; i zdawałoby się, że im więcej cierpiały klasy ubogie, tem zawzięciej starano się je zdemoralizować. Mamy naprzykład sześćset tysięcy żołnierzy; o zabawieniu ich i zepsuciu myślano zawsze; co rok przysyłano ich sto tysięcy do Paryża, skąd po roku wychodzili zgangreno-

wani, zepsuci do szpiku kości. Ale jeżeli kapłan chciał zbliżyć się do nich, jeżeli biskup zamierzył otworzyć dla nich szkołę, dać im mszę w niedzielę,– zaraz w prasie podnosiły się trwożne okrzyki, a u wyższych oficerów usiłowania te spotykały się z zimną, grzeczną, ale nieprzepartą opozycją. Mamy sześć milionów robotników; co robili pracodawcy, bogaci właściciele fabryk? Przedłużali w niedziele pracę aż do południa, a otwierali pracownie i fabryki w poniedziałek zaledwie o dwunastej, ażeby przeszkodzić robotnikowi słyszeć słowo Boże w niedzielę, a dopomódz mu psuć się w poniedziałek w szynku. Mamy pięćset tysięcy urzędników kolei żelaznych, biednych ludzi, których straszna praca, czuwanie we dnie i w nocy wyklucza poniekąd ze społeczeństwa: czy daliście im czas i sposoby, aby mogli zadosyćuczynić choć głównym obowiązkiem religijnym? Kiedyż to urządzaliście uroczystości publiczne, zebrania wyborcze, zgromadzenia ludowe, targi, przeglądy? Zawsze w niedzielę, zawsze w godzinach nabożeństwa w kościołach, jak gdyby dla lepszego zaakcentowania przed ludem waszej pogardy dla rzeczy Boskich.

A podczas gdy burżuazja nie zaniedbywała niczego, aby wydrzeć z serca ludu wszelką religię, a z nią wszelki hamulec moralny, wszelką rezygnację, wszelkie poddanie się swemu ciężkiemu losowi, jeszcze usilniej rozbudzała ona w nim wszystkie pożądliwości. Zamiast tych wstrzemięźliwych, prostych i surowych obyczajów, które u bogatego są jakby hołdem oddanym ubóstwu,—znieważały jego nędzę wystawy zbytku, zepsucia, rozpusty. Czyż sądzicie, że ci wszyscy lokaje, ci woźnice, wyczekujący was zziębli całemi nocami na koźle i widzący przez szyby oświetlonych salonów tańczące wasze półnagie cienie, że te pokojowe, codzienne świadki waszego zbytku, waszej bezczynności, waszych intryg, a często i skandalów, czekające na was do późnej nocy, czytając wzięte z waszego stolika romanse, które was zepsuły; czy sądzicie, że robotnik, człowiek z ludu, powracający do swego lichego mieszkania, gdzie w nędzy czeka na niego żona, a którego wasz dwuznaczny zbytek obrzucił błotem po drodze; czyż sądzicie, że wszystkie te dusze nie przejmują się zawiścią, oburzeniem, gniewem! A jakież to słowa wychodzą często z ust bogatych rozpustników, słowa, będące mieszaniną bezbożności, zepsucia, pogardy ludu, nienawiści Boga, a które są słyszane i przyjmowane z gorzką radością przez nędzarzy! Nie, takie słowa, takie przykłady, takie postępowanie, nie mogą być stracone. Schodzą do ludu, rozchodzą się po jego żyłach, jak trucizna, jak jad zabójczy, i sprowadzają straszliwe owrzodzenia.

Dzieje się dziś z własnością to samo, co w XVI wieku działo się z Kościołem. Pomimo ostrzeżeń Świętych dozwolo-

no mnożyć się nadużyciom i powstał protestantyzm. Dzisiaj nadużycia mnożą się we własności, w kapitale, w użytkowaniu bogactw. Chrześcijanie żyją jak poganie. Stąd socjalizm to protestantyzm w ekonomii politycznej.

II.

Zważcie teraz jedną jeszcze okoliczność, zwiększającą znacznie niebezpieczeństwo.

Obok tego ludu, dla zwrócenia jego uwagi ne te zgorszenia, dla nauczenia go wyciągać z nich wnioski, są w szynkach, w klubach, apostołowie demagogii, tej dzikiej demagogii bez wiary, bez prawa, bez obyczajów, nie będącej doktryną ale zepsuciem; głoszonej niekiedy przez podupadłych panków, niekiedy przez rozpustników lub oszustów, tej demokracji sztyletu, która zjawiła się w 1793, powróciła w 1848, okazała całą swą pychę, dzikość, nienawiść społeczeństwa i religii w 1871 r.; która żyje pod ziemią w kryjówkach tajnych towarzystw i która czyha na lud, ażeby go *kształcić*, jak utrzymuje, to jest wpajać w niego nienawiść wszelkiego porządku społecznego, tudzież wszelkiej religii.

I patrzcie, co się już dzieje w klubach, w kongresach. Wszędzie chór złorzeczeń i przekleństw przeciwko Bogu i społeczeństwu, chór oskarżeń i mężobójczych pogróżek. Przedewszystkiem uchwalane są wszędzie postanowienia jak najbardziej wrogie dla religii, jednocześnie i jak najzgubniejsze zamachy na społeczeństwo.

A zauważcie, że to nie kilka zapalonych głów nie kilka głosów przebrzmiałych bez echa. Imię robotnika dziś jest legion. Policzył się on i zadrżał, dowiadując się o swej ilości: spojrzał na swoje muskularne ręce i uśmiechnął się z politowaniem na widok słabych rąk bogacza; powitał z uniesieniem zapowiedź wielkiego przewrotu, jak upokorzony i ślepy Samson, który obracając koło, pocieszał się odrastaniem swych włosów i wraz z tem nadchodzącą godziną pomsty. Było ich sześć tysięcy w Genewie, tyleż w Bernie, delegowanych przez komitety Francji, Anglii, Włoch, Prus, nawet Rosji, ogłaszających powszechną rzeczpospolitą, depczących wszelkie uczucia narodowe i patrjotyczne, zagłuszających dzikiemi wrzaskami najlżejszą wzmiankę o nieśmiertelności duszy, religii a jednocześnie orzekających zagładę wszelkiej władzy, armii, urzędów, żądających zniesienia rodziny, małżeństwa, własności,—jednem słowem, obejmujących tą samą nienawiścią religię i społeczeństwo. Nie chcieliście wierzyć, że porządek społeczny i polityczny ma za podstawę porządek

religijny; albo, jeżeliście to przyznawali to tylko w sposób czysto literacki, cytując starożytność. Czy tylko nie będziecie musieli dowiedzieć się o tem własnym kosztem?

Ale czyż już tego nie wiemy? Wszak się już ukazała ta dzika i krwawa demagogia. Ukazała się już nie w klubach i na kongresach, ale na ulicach Paryża, z fuzją w jednej ręce, a z niecącemi pożar bombami i naftą w drugiej. Podpaliła wielką stolicę z czterech rogów. Pomniki, muzea, biblioteki, arcydzieła geniuszu ludzkiego, domy prywatne i pałace, niczego nie oszczędziła, a jednocześnie mordowała zakładników, kapłanów i zakonników, arcybiskupa paryskiego, urzędników, oficerów, najszlachetniejsze ofiary. A niczem jeszcze to, czego dokonała, wobec tego, co zamierzała.

Wiecież jednak, co mię jeszcze może więcej przeraża, aniżeli zbrodnie tej dzikiej demagogii? Oto jej organizacja. Można było przypatrzyć się jej przy krwawym blasku pożarów. Nie sześć tysięcy ich jest, ani dziesięć, ani sto, jak to można było sobie wyobrażać, czytając sprawozdania z Berlina i Genewy. Mamy cyfrę pewną. Jest ich kilka milionów, zjednoczonych w *Międzynarodówkę*, podzielonych na grupy francuskie, niemieckie, angielskie, włoskie, hiszpańskie, amerykańskie etc. i dążących do utworzenia pomiędzy sobą społeczeństwa odrębnego zupełnie od społeczeństw, w łonie których przebywają. Podczas, gdy te ostatnie są od siebie oddzielone wyraźnemi granicami i zachowują właściwe sobie cechy, różny ustrój, wrogie sobie namiętności, jednem słowem swoją historyczną odrębność, -te niezliczone grupy między które się dzieli prawie cała, olbrzymia masa najmitów naszego Starego Świata, porozumiewają się ze sobą, łączą i tworzą oddzielny naród we wciąż rozszerzających się kadrach *Międzynarodowego stowarzyszenia robotników*. Co ich obchodzi naród, w którego łonie na świat przyszli! Uśmiechają się na stare i puste słowo: „ojczyzna". Oni znają jedną tylko: to olbrzymie kosmopolityczne społeczeństwo, w które łączy ich i w którem utrzymuje wspólność złudzeń, cierpień, uraz, ambicji, żądz, nadziei; społeczeństwo powszechne i ukryte pod ziemią, ale zespolone, zgodne, jednolite, dążące do jasno określonego celu: upokorzenia, ujarzmienia, unicestwienia tego drugiego społeczeństwa, które żyje jawnie, w świetle słonecznem.

Posłuchajcie jego programu. Oto on, jak go ułożyła socjalna demokracja w Genewie, a przyjęła rada ogólna w Londynie w 1869 r.

Art. 1-szy. Związek ogłasza, że jest ateistycznym. *Żąda zniesienia wszelkich religii*; zastąpienia wiary przez naukę, a sprawiedliwości boskiej przez sprawiedliwość ludzką; *znie-*

sienia małżeństwa w znaczeniu instytucji politycznej, religijnej, prawnej i cywilnej.

2-gi. Chce przedewszystkiem całkowitego i stanowczego *zniesienia klas*, równości politycznej, ekonomicznej i społecznej, obu płci, a w tym celu żąda koniecznie *zniesienia prawa do spadkobrania.*

3-ty. Potępia wszelką działalność polityczną, której natychmiastowym i bezpośrednim celem nie jest zwycięstwo sprawy klass pracujących przeciw kapitałowi.

Oto dzika i krwawa utopia. Zaczynając od bezbożności dochodzi do zniesienia małżeństwa, prawa do spadku, do „wywłaszczenia posiadaczy na rzecz ogółu“ i do „uniwersalizacji pracy i kapitału.“ Są to ich własne wyrażenia.

I któż to dokona tego dzieła? „Lud. Rewolucja społeczna.“

Jakimiż środkami? Wszelkimi możliwymi. „Skoro socjalna rewolucja, — powiada *Egalité*, jeden z ich trzydziestu dwóch europejskich dzienników, — wywłaszczy burżuazję na korzyść ogółu, jak ona niegdyś wywłaszczyła szlachtę i duchowieństwo, cóż się z nią stanie?

„Nie możemy powiedzieć na pewno. Ale prawdopodobnie nowy stan rzeczy da im nierównie cenniejsze dobro, pracę... a w razie niedołęstwa... *kwity na zupę.*

„Ale powiecie: czyż uprzywilejowani dadzą się dobrowolnie ogołocić ze wszystkich przywilejów?

„Na to mamy tylko jedną odpowiedź: Lud wykona to, co zechce. Potrafi sam uzyskać to, czego mu będą odmawiali. Jeżeli mniejszość, rządząca nami dzisiaj, zechce spróbować walki, odpowiedzialność za jej zgubę spadnie na nią samą. Lud pójdzie swoją drogą, strącając pogardliwie do rynsztoku wszystko, co zechce stawić mu zapory.“

Oto jest program, cel jego i środki. Mniejsza zresztą gdzie się zaczyna akcja. Dzisiaj Paryż, jutro Rzym, pojutrze Londyn, Wiedeń lub Berlin. Odgłos świstawki zgromadzi ich dwieście lub trzysta tysięcy, roznamiętnionych, dzikich, pijanych nienawiścią, pychą i winem, gotowych na wszystkie zbrodnie, a szczególnie na najohydniejsze. Istnieje bowiem logiczny związek pomiędzy bezbożnością a ostatecznymi krańcami tak rozkoszy, jak występku. I tak samo, jak bogate klasy, pozbawione Boga, wycieńczone, znudzone, marzą o nadzwyczajnych, nieziszczalnych przyjemnościach dla rozbudzenia stępiałych zmysłów, klasy ubogie, dzikie, rozszalałe, potrzebują dla zadowolenia się potwornych zbrodni. „Dogmaty istnienia Boga i nieśmiertelności duszy są to babskie brednie które, odrzuca rozum...—“ mówił jeden z przywódców demagogii—nam trzeba wielkich zbrodni krwawych, niesłychanych.

Kiedyż już nie będę widział owej pospolitej moralności, owej cnoty, która mię nudzi!...“

Oto co się mówi i dokąd doszliśmy. A ponieważ w walce ze społeczeństwem lub choćby tylko z jedną jego klasą napotyka się religię, i rewolucja społeczna wie o tem, stąd do wszystkich jej nadużyć łączyła się zawsze nienawiść religii, posunięta do wysokiego stopnia. Zaraz na początku ogłosiła i zaprowadziła we wszystkich szkołach nauczanie bezwyznaniowe, bezcześciła, łupiła i zamykała kościoły, więziła i rozstrzeliwała księży i zakonników, jednem słowem: dała się unieść posuniętej do ostatecznych granic bezbożności i nienawiści Boga.

A gdyby Opatrzność, postępując dzisiaj z nami jak ongi z Cesarstwem Rzymskiem, któremu powoli i stopniowo ukazywała barbarzyńców, („sprawiedliwość Boska, która jest nierychliwą,—powiada Bossuet, wspominając o pierwszych najazdach barbarzyńców.—zadowoliła się wówczas wyznaczeniem przyszłych burzycieli Rzymu, ukazaniem mu rózgi, którą miała go dosięgnąć“ [1]); gdyby, powtarzam, Opatrzność nie zamknęła w Paryżu tej hordy nowożytnych barbarzyńców, i gdyby się oni byli rozleli po wszystkich prowincjach, ujrzanoby już wówczas to, co nastąpić może za lat dwadzieścia: tępienie na wielką skalę, na przestrzeni całej Francji, kapłanów i zakonników, jako też wybitniejszych osób świeckich.

O, nie odmawiam bynajmniej wielkości nowoczesnej cywilizacji; myślę, że nikt nie przyklaskiwał jej goręcej i szczerzej ode mnie; ale nie trzeba zamykać oczu, nie trzeba naśladować strusia, który goniony przez nieprzyjaciela, chowa głowę w piasek i, nie widząc już niebezpieczeństwa, wyobraża sobie, że ono minęło. Co do mnie, gdy myślę o stanie społeczeństwa europejskiego, przypominam sobie zawsze owo źródło, które Chateaubriand spotkał w sawanach amerykańskich: ocienia je wspaniała palma, powierzchnia wody wydaje się cichą i spokojną; ale skoro zajrzymy w głąb, spostrzegamy ukrytego na dnie wielkiego krokodyla, ostrzącego na nas zęby.

III.

A teraz pytam: Jak zaradzicie temu stanowi rzeczy? Moja odpowiedź jest taką:

Jedno z dwojga: albo klasy wyższe szczerze, zupełnie

---

[1]) *Sur l'Apocalypse*, II, 424.

odważnie powrócą do religii i przykładem swoim zwrócą ludowi Boga, którego mu odebrały,—albo też przejdą one przez ogień.

Bo dwa tylko istnieją prawa na świecie: prawo zwierzęcości, na mocy którego gatunki silniejsze pożerają słabsze, i prawo Bóstwa i religii, w którem wyższe istoty zstępują, zniżają się i łagodnie i czule wznoszą ku sobie słabsze. Albo więc powrócicie do tego ostatniego, które jest prawem chrześcijańskiem; albo odzyska swą moc pogańskie prawo zwierzęcości. Tylko, ponieważ już nie macie za sobą niewolnictwa, a wyzwolone klasy ubogie są silniejsze od was i liczniejsze, wy to będziecie pożarci.

Oddajmy sprawiedliwość wybitnym myślicielom naszego wieku. Widzę ich zaprzątnionych tym stanem rzeczy; ale muszę przyznać, że nie spostrzegam w ich myślach ani tej wzniosłości, ani tej głębokości i konsekwencji, których takie przesilenie wymaga.

Jedni, dobrzy, ale krótkowidzący, zajmują się jedynie materjalną nędzą ludu. Wyobrażają sobie, że można wyjść z kłopotu z pomocą kilku zakładów dobroczynnych, lub zapomóg, udzielanych przez biura dobroczynności, oraz pewnej reformy praw, i nie będę przeczył, że pod tym ostatnim szczególnie względem jest dużo do roboty i potrzeba zrobić wiele. Pójdę tu nawet tak daleko, jak mię tylko zaprowadzą, byle nie do marzeń, nie do niemożliwych utopii. Nie zapominajmy też, że zarówno jak życie człowieka jest krótkiem, ziemia jest ubogą; że uprawiana z największą usilnością dawać będzie, jak to już mówiłem, nieco więcej, ale nigdy w stosunku do potrzeb; że dowiedziono matematycznie, iż wszystkie kapitały Francji, rozdzielone pomiędzy jej dzieci, przyniosłyby im po kilka centymów dziennie; że zatem, mimo wszelkich środków, jakichbyśmy użyli, ubóstwo i nędza nie przestaną istnieć na ziemi i mogą być łagodzone tylko przez pracę, porządek, oszczędność w klasach niższych, przez miłość bliźniego i rozum w wyższych, to jest w jednych i drugich przez cnotę.

Czyż nie widzicie zresztą, że nędza ubogiego tkwi więcej jeszcze w jego duszy niż w ciele? Nigdy nie uczyniono dla niego tyle, co dziś, i nigdy nie był mniej wdzięcznym. Im więcej otrzymuje, tem mniej dziękuje, tem więcej wymaga. Dlaczego? Ponieważ wydzierając mu z duszy Boga, odjęto wszelką miarę jego pragnieniom, wszelki hamulec jego żądzom. Bo nietylko nagie, poranione ciało tego męczennika potrzeba opatrzyć i leczyć: widzicie tylko połowę zadania, i to mniej ważną. Bardziej jeszcze chorem jest jego serce. Nie zdziałacie nic, dopóki z niego nie usuniecie zawiści, pożądliwości, gniewu, dopóki nie przywrócicie mu rezygnacji, nadziei. Ale

bez Boga nie możecie się nawet kusić o to. Świat będzie zgubiony, skazany nieodwołalnie na gorzkie rozczarowania, na krwawe klęski, jeżeli nie zagasicie tych zwodniczych ekonomicznych, ukazujących niebo na ziemi; i nie zwrócicie ubogiemu nadziei nieśmiertelnego zadosyćuczynienia w życiu przyszłem.

Widzę innych myślicieli, którzy lepiej pojmują zagadnienie. Nie zaniedbując istotnej nędzy klas niższych, zajęci są szczególniej chorobliwym stanem ich umysłu. Mówią oni: „Dusza ludu potrzebuje światła. Potrzebuje ideału więcej jeszcze, aniżeli rzeczywistości, bo ma pociąg do zagrzebania się w materji. Skąd jednak wziąć ten ideał? w jaki sposób wszczepić go ludowi? Przez oświatę. Tym sposobem, lecząc chwilową chorobę wieku, umocnicie na zawsze zdrowie rodzaju ludzkiego. Uleczycie mieszczaństwo i dacie podstawy ludowi.“

Otóż nie, o ile nie wezwiecie religii na pomoc. Dlaczego? Ponieważ lud zgorzkniały, chory, zawistny potrzebuje nietylko światła, ale pewnego, określonego światła: światła z Nieba.

Przyznaję, że potrzebuje on też i ludzkiego światła: nauki. Dziś potrzebuje jej więcej, niż kiedy. Lud religijny łatwiej może obejść się bez niej. Choć nie umie czytać ani pisać, dusza jego nie jest pozbawioną ideału. Ma światło, hamulec i kotwicę. Ma wielkie źródło ideału: religię. Ale lud bez Boga i nauki, bez Boskiego i ludzkiego światła—to dzikie zwierzę. Zdolny on do największej łatwowierności; można go popchnąć do wszystkich zbrodni. Dlatego też pojmuję, że jeżeli w wiekach wiary i u narodów jeszcze chrześcijańskich mniej chodziło o naukę, dziś nie mamy chwili do stracenia. Odebraliście ludowi Boga, podnieście go przynajmniej do zrozumienia człowieczeństwa, własnego interesu, poczucia honoru, do tych poziomych rzeczy, które nie potrafią stworzyć wielkiej duszy, spokojnego i czystego społeczeństwa, ale które nie dadzą mu przynajmniej żyć i postępować jak bydlę.

Ale szalonymi bylibyście, gdybyście wyobrażali sobie, że zakładając szkoły, szerząc tę oświatę, zaradzicie zupełnie złemu. Powtarzam raz jeszcze: lud potrzebuje światła obowiązku, światła pracy, cierpienia, dobrowolnej ofiary, światła poszanowania praw i przytłumienia żądz. Potrzebuje on tego światła, padającego z wysoka, które mówi dziecku: „Pracuj i bądź posłusznem;“ młodzieńcowi: „Bądź czystym;“ człowiekowi dojrzałemu: „Bądź uczciwym;“ starcowi: „Miej nadzieję.“

Odbierzcie mu to światło, dając natomiast wszystko inne: czyż umysł ludu będzie jaśniejszym, serce mniej zgorzkniałe?

łem, charakter mniej zawistnym, lud cały uleglejszym? Owszem, ta właśnie nauka da mu możność czytywać dzieła marzycieli, utopistów, demagogów, bałamucić umysł w klubach i psuć duszę czytaniem złych dzienników. Zamiast ocalić ich i siebie razem z nimi, dacie jeszcze jedną broń do ręki tym, którzy chcą wysadzić w powietrze społeczeństwo.

„No, to się skończy z nimi kartaczami". Nie, nic się nie skończy bez Dziesięciorga przykazań, ale trzeba, abyście sami naprzód zaczęli je wprowadzać w czyn.

Ci, którzy sobie wyobrażają, że można się załatwić z pomocą armat, którzy mówią: „Nie rządzi się zbuntowanym ludem ale się go kartaczuje!"—ci wszyscy niech posłuchają innych słów tego samego genialnego człowieka, ale rozsądniejszych i lepszych: „Wiesz pan—mówił do Fontanes'a Napoleon,—co w świecie podziwiam najbardziej? to niezdolność siły do ugruntowania czegobądź. Dwie są tylko potęgi na świecie, miecz i rozum... Ten ostatni zawsze" weźmie w ostatku górę nad tamtym.

A jest to prawda szczególniej u narodów katolickich, które nieustannie przebiega i ożywia prąd duchowości, honoru, swobody. Zwycięstwa miecza są tam zawsze przelotne.

Zresztą, jeżeli macie odwoływać się do miecza, to już nie będzie społeczeństwa, to będzie pojedynek pomiędzy warstwą wyższą i niższą. Przygotujcież się na wszystkie jego następstwa.

Świat zaznał już raz tego niebezpieczeństwa; ale wtedy powstał chrystjanizm i jak starożytny Orfeusz kazał obu mieczom wrócić do pochew. „Chrystjanizm,—mówi człowiek, którego słowa nie mogą być podejrzane o stronność, [1]) —zgubił cesarzy, ale zbawił ludy... Otworzył drzwi lepianek Chrystusowym pocieszycielom. Nie chodziło tu bynajmniej o możnych tego świata! Zajmująca bo też rzecz: ostatnie rzężenie cesarstwa, zepsutego do szpiku kości! Ładny zabytek do zachowania, mumia Rzymu zabalsamowana dziewięciu wonnościami Nerona, spowita w całun Tyberyusza! Chodziło panowie politycy o ubogich, o powiedzenie im słów pokoju.

„I uczyniło to chrześcijaństwo. A co uczynili przez ciąg tylu lat ci, którzy je podkopali? Widzieli, że dla tego ubogi znosił ucisk bogacza, a słaby silnego, ponieważ mówił sobie: „Bogaty i silny będą mnie uciskali na ziemi; ale kiedy zechcą wejść do raju, ja będę u jego bram i oskarżę ich przed Bogiem." Ta myśl dawała im cierpliwość.

„Przeciwnicy Chrystusa powiedzieli tedy ubogiemu: „Je-

[1]) Alfred de Musset, *la Confession d'un enfant du siècle.*

stoś cierpliwym, bo czekasz dnia sprawiedliwości; ale tej sprawiedliwości nie ma wcale. Oczekujesz przyszłego życia, aby tam znaleźć odwet, ale tego przyszłego życia niema. Zbierasz łzy swoje i twej rodziny, jęki twych dzieci i łkania twej żony, aby je w godzinę śmierci złożyć u stóp Boga; oto wiedz o tem, że Boga niema wcale."

„Wtedy w istocie biedny przestał płakać, kazał zamilknąć żonie a dzieciom iść za sobą i wyprostował się, świadomy swej siły. Powiedział on możnemu: „Ty, co mię uciskasz, człowiekiem jesteś tylko;" a kapłanowi: „Ty; coś mię pocieszał, kłamałeś!" Tego właśnie chcieli wrogowie Chrystusowi. Może sądzili, że uszczęśliwią ludzkość, wysyłając w ten sposób biednego na zdobycie wolności.

„Ale jeżeli ten ubogi, zrozumiawszy raz dobrze, iż księża go zwodzą, bogacze grabią, że wszyscy ludzie mają równe prawa, że wszystkie dobra z tego są świata i że jego nędza jest nadużyciem; jeżeli ten ubogi, mający za całą wiarę, wiarę w siebie, w siłę swych ramion, powie pewnego dnia: „Wojna bogatemu! i mnie się też należy szczęście na ziemi, ponieważ niema innego! i dla mnie ziemia, ponieważ niebo jest puste!" — wtedy, o wzniośli moraliści, którzyście go do tego doprowadzili, co mu powiecie, jeżeli będzie zwyciężonym?"

A co powiecie nam, jeżeli on zwycięży?

Dawniej pomiędzy tymi dwoma światami, światem bogatym, chylącym się do upadku przez nadużycie rozkoszy, i światem ubogim, popychanym do dzikości przez zawiść bogactw, był Bóg, Ewangelia, Krzyż, aby je godzić i łączyć ze sobą. Nie chcecie ich teraz. Cóż pozostanie? miecz. Ale jeżeli miecz wypadnie z rąk waszych, zniewieściałych w rozkoszach, jeżeli lud go uchwyci i wstrząśnie nim w dzikim gniewie, o wzniośli moraliści, raz jeszcze was pytam: co nam wtedy powiecie?

Przypuśćmy nawet, że w tym pojedynku bogatych i ubogich klas społeczeństwa, pierwsze będą zawsze górą i zdołają z pomocą kartaczów opanować zawsze rozruchy, wiecież, do czego doprowadzacie społeczeństwo? Cofacie je o osiemnaście wieków, powracacie do panowania przemocy i przygotowujecie nieuchronny powrót pogańskiego cezaryzmu. „Będziemy się wówczas cieszyli w całej pełni,—powiada pewien autor, —tem co historycy nazwali *rzymskim pokojem*, pewnym stanem perjodycznie wracającej gorączki, w której dzikość buntów jest przeplatana odrętwieniem służalstwa; poznamy przyjemność posiadania armii wiecznie wahającej się między wiernością a buntem, jedynej podpory i jednej przeciwwagi, wciąż odnawiającej się a zawsze krótkotrwałej dyktatury; dla powstrzymania albo oszukania niecierpliwości naszego plebsu, będziemy mieli już

to narodowe warsztaty i upiększenia wielkich miast, już to porcje wydawane za kwitami; nasi bogacze będą uszczęśliwieni, jeżeli za cenę swej wolności, godności i ogromnych podatków będą mogli kupić zwodnicze pozory bezpieczeństwa z łaski; co czas jakiś zrezygnujemy się, jako na zło konieczne, na powrót tych perjodów anarchii, krótkich, co prawda, ale okropnych, jakby stworzonych na to, ażeby zaszczepić u nas obyczaje Tai-Pingów; zresztą, nic nam nie przeszkodzi pozwolić sobie na satysfakcję opozycji liberałów dyletantów, którzy dla wynagrodzenia sobie brutalności prasy w czasach demagogicznej orgii, będą zdobywali się na akademickie dowcipy, zagadkowe aluzje, głęboką ironię domyślników, i Francja będzie istniała jeszcze na mapie... aż dopóki Europa, niepokojona naszym przykładem, zmęczona naszemi szaleństwami, skuszona naszą słabością, nie uzna, że cierpliwość jej już się wyczerpała" [1].

Jedem słowem, cała choroba współczesnego społeczeństwa pochodzi z dwóch przyczyn: klasom bogatym brak Boga dla powstrzymania ich od upadku przez zbytek i nadużycie rozkoszy; klasom ubogim brak Boga, dla uchronienia ich od zdziczenia przez zawiść i gniew. Ażeby wolność i szczęście powróciły społeczeństwu, ażeby rozproszyły się chmury, które się nad niem gromadzą, treba, iżby w niem warstwy ubogie i bogate zaprzestały walki, trzeba, iżby się pojednały i zjednoczyły. A pojednania tego i zjednoczenia nie było nigdy i nigdy nie będzie bez Boga.

Ale to wszystko — to zaledwie tylko połowa prawdy. Wznieśmy się wyżej, obejmijmy wzrokiem szerszy widnokrąg, aby ujrzeć całą doniosłość niebezpieczeństwa.

IV.

Nikt już dziś nie zaprzecza, że głównem zagadnieniem naszego wieku jest kwestja społeczna, tak jak kwestja polityczna była zagadnieniem wieku XVIII. „Demokracja napływa falami," — mówił Guizot w izbie deputowanych już trzydzieści lat temu. „Ten wiek będzie się nazywał wiekiem robotników," mówił nie tak dawno Gladstone w angielskiej Izbie lordów. Nikt, powtarzam, nie podaje już w wątpliwość faktu, że odbywa się dziś w Europie wielka rewolucja demokratyczna, a Francja jest głównem jej ogniskiem. Wszyscy to widzą, lecz

[1] *Lettres sur l'Association internationale, par M. Dunoyer, ancien professeur d'économie politique à l'université de Berne.* Te godne uwagi listy były drukowane w „Le Français," mai 1871..

wcale nie wszyscy jednakowo o tem sądzą. Jedni uważają ruch ten za rzecz nową, przypadkową i wmawiają w siebie, że będzie go można powstrzymać; inni, przeciwnie, uważają, że jest on nieprzepartym, widząc, że jest najdawniejszym i najwytrwalszym ze wszystkich, jakie zna historja. Przyznaję, że należę do tych ostatnich. Wierzę, że ruch, jaki w tej chwili podnosi niższe klasy, bierze początek w najdalszych czasach historji chrześcijańskiej, że trwa już ośmnaście wieków i postępował ciągle naprzód, nie zatrzymując się ani na chwilę, że nie ludzie nim rządzą, ale on ich unosi, że poddają mu się szczególnie klasy niższe, nie rozumiejąc go, i że nakoniec jest on najzupełniej nieprzezwyciężonym, bo jest najzupełniej naturalnym i logicznym.

Ale skoro z tego ruchu, którego prawomocność widzę tak jasno, przenoszę wzrok na społeczeństwo, w którego łonie lud występuje na widownię, ogarnia mnie przestrach. Pod względem politycznym nic nie jest gotowem na jego przyjęcie; pod względem religijnym wszystko jest osłabionem lub zburzonem. Szukam tam, któreby mogły potok powstrzymać: niema ich, nie widzę nawet troski o ich zbudowanie.

Położenie to podobne pod wielu względami do tego, które tak smutnie oznaczyło koniec XVIII-go wieku. Ruch ówczesny nie był społecznym, był tylko politycznym, ale najzupełniej prawowitym i z tego powodu nieprzezwyciężonym. Nikt nie widział tego jednakże. Nie słuchano tych, którzy to mówili; ci którzy mieli jakieś przeczucia, odpychali je od siebie. Nie przedsięwzięto nic dla pokierowania tym ruchem, lub powstrzymania go. Uniósł wszystko: władzę królewską, szlachtę, społeczeństwo.

Drżę, aby koniec XIX stulecia nie był dla nas jeszcze nieszczęśliwszym, bo, z jednej strony, ruch tegoczesny jako społeczny, jest silniejszym, z drugiej — zapoznana religja nie stanowi już najsłabszej bodaj tamy. Tocqueville mówi trafnie: „Jeżeli klasy niższe ruszą się, zanim chrześcijaństwo zostanie odbudowanem w umysłach, Europa ujrzy straszliwe, nie dające się niczem porównać, walki.“ W istocie, chwila, jaką Francja przebywa obecnie, dlatego jest tak ważną i tak straszną, że stanowi ona styczny punkt dwóch ruchów, jednego kończącego się, a drugiego poczynającego, których niepożądane spotkanie może sprowadzić na świat wielkie klęski.

Pierwszy — to ten ruch przeczenia w rzeczach wiary, ruch burzący chrystjanizm, który rozpoczyna się z Lutrem w 1517 roku, a jeszcze nie jest skończony: wielka trzyaktowa tragedja, dobiegająca obecnie końca, która pozostawia religję osłabioną, społeczeństwo zachwiane, władzę odartą z uroku, rodzinę w gruzach, a świat w niepokoju o to, co mu gotuje przyszłość.

Niema już katolicyzmu,—powiedział Luter.—Był to pierwszy okrzyk, pierwszy akt tej straszliwej tragedji. Cały geniusz, dany mu od Boga, całą wymowę, humor, namiętność wpływ swój cały poświęcił Luter na wyszydzenie Kościoła, na ośmieszenie Papieża, biskupów, księży, zakonników, będąc przekonanym, jak mówił, a może i jak wierzył istotnie, że na tych gruzach zdoła założyć panowanie Słowa Bożego w całej jego czystości, wznieść niepokalany gmach chrześcijaństwa.

Ale jest logika na świecie, jest pewna konsekwencja rzeczy, którym dziś czy jutro wszystko uledz musi. Jak to? ten stary katolicki Kościół, te liczne zastępy apostołów, dziewic, doktorów, ta jedność, świętość, płodność — wszystko to błąd kłamstwo! Czemże tedy jest Chrystjanizm? Czyż Chrystus, gdyby był Bogiem, nie powinien był czuwać nad swojem dziełem, bronić go, zapobiedz, aby przesądy nie skaziły jego piękności? Jeżeli nie uczynił tego, czemże jest i cóż można o nim pomyśleć? Mówicie, że niema już katolicyzmu, zatem niema i chrystjanizmu; niema Kościoła niema więc i Chrystusa.

A jak znalazł się człowiek, obdarzony ogniem i wymową, z gminnym a potężnym śmiechem na ustach, który wydał pierwsze hasło, tak też zjawił się drugi, który dzieło pierwszego posunął dalej. W łonie najdowcipniejszego narodu na świecie, w kraju, gdzie śmieszność zabija pewniej niż siła, znalazł się człowiek przewyższający wszystkich rozumem, który swego olbrzymiego talentu użył na wyszydzanie i ośmieszanie Chrystjanizmu. Przez osiemdziesiąt lat Chrystus posadzony na ławie oskarżonych, był wyśmiewanym, wyszydzanym przy oklaskach lekkomyślnego i zepsutego tłumu, i tak jak Luter przez pół wieku wszczepiał w Europie pogardę dla katolicyzmu, Wolter przez wiek cały wszczepiał jej pogardę dla chrystjanizmu.

Jakto! Chrystus jest tylko oszustem! Ewangelia wymysłem i oszukaństwem! Gdzież więc jest religja? Jakże Bóg mógł pozwolić na takie rzeczy! Więc cóż to jest Bóg? Precz z katolicyzmem!—powiada Luter w XVI wieku. Precz z chrystjanizmem!—odpowiada Wolter w XVIII w. A wiek XIX dodaje: Precz z religją! Oto punkt, do któregośmy doszli, oto ostatnie słowo tragedji. Tragedji religijnej przynajmniej, bo śmiałe głosy, wysnuwając dalej logiczne następstwo z faktów, dodały: Precz z religją, zatem precz z rodziną, precz z własnością, precz ze społeczeństwem!

Wiek XVI ujrzał pierwszy akt tej groźnej tragedji, i cała Europa wstrząsła się w posadach.

Wiek XVIII ujrzał jej akt drugi i skąpał się w potokach krwi.

Wiek XIX jest świadkiem trzeciego i oby nie przypłacił go życiem!

Tymczasem, w tej samej chwili, kiedy się kończy ten ruch przeczenia, burzący chrystjanizm, który pozostawia religję osłabioną, rodzinę podkopaną, społeczeństwo w gruzach,— rozpoczyna się ruch drugi, który by módz się rozwijać bez niebiebezpieczeństwa, winien był zastać świat mocno ugruntowany w swych posadach. Ten rozpoczynający się ruch, ta nowo powstająca potęga, której imię, dla jednych przedmiot przestrachu, dla drugich nadziei, jest na wszystkich ustach,— to demokracja. Nie mówię: demagogja,—ta prędko przemija. Mówię: demokracja, która bez względu na to, co o niej myślą, czy się nią cieszą, czy martwią, jest królową przyszłości. Ale do martwienia się, nie widzę przyczyny chyba tą jedną, że ukazuje się ona w chwili tak groźnej i ciemnej.

Czemże właściwie jest demokracja? To najwyższy kres tego niebezpiecznego, ale potrzebnego i godnego podziwu wznoszenia się, przez które chrystjanizm dźwignąwszy z ziemi lud, pozbawiony praw, okuty w kajdany, niewolniczy, uczynił naprzód z niewolnika poddanego, potem z poddanego człowieka wolnego, obywatela danej gminy, a z obywatela istotę coraz zdolniejszą do spełniania wszelkich obowiązków publicznych. Któż bowiem zaprzeczy, że w chwili ukazania się chrześcijaństwa lud nie istniał? Trzy czwarte ludzkości było w kajdanach i poniżeniu niewoli. Pomału, łagodnie, nie zaprzeczając niczyim prawom, nie budząc żadnych dzikich chuci, Chrystjanizm rozkuł kajdany niewolnika i wznosząc go o stopień wyżej, uczynił zeń poddanego. Był to pierwszy krok, ale ileż on kosztował! Ile czasu! co najmniej trzysta do czterystu lat. Ile cierpliwości! Kilka razy świat się zatrząsł w swych posadach. To wybuchał niewolnik, znajdując, że chwila wyswobodzenia nie nadchodzi zbyt długo, to brał za broń pan, mniemając, że nadchodzi ona za szybko. Krew lała się nieraz, i to strumieniami. Na szczęście na straży stała religja. Władza jej była nieograniczoną. Z wysokości swej przemawiała do bogatych i ubogich. I dzięki jej, dzięki głębokiej wszędzie wierze, zrobiono szczęśliwie ten krok pierwszy.

Później, w XII i XIII wieku, uczyniono krok drugi, Poddany zamienił się w człowieka swobodnego, w obywatela swojej gminy. Tu także nie obeszło się bez strasznych wstrząśnień, bez krwawych rozruchów. Ale było to średniowiecze. Wiara tkwiła głęboko we krwi panów i ludu. Spotykano się u tego samego ołtarza, dzielono się tym samym chlebem, pito z tego samego kielicha. Niepodobna było, ażeby się nie porozumiano. Przebyto krok drugi.

Dzisiaj robimy krok trzeci, a chociaż jest groźnym, nie obawiałbym się go, gdyby czasy były inne. Bo na czemże ten trzeci krok polega? Na stopniowem podnoszeniu się mas pracujących do zupełniejszego wykształcenia, do gruntowniejszej moralności, do powszechniejszego dobrobytu i, jako konieczny wynik tego wszystkiego, do szerszego wpływu politycznego. A cóż jest w tem wszystkiem, coby nie było najzupełniej sprawiedliwem, coby nie wypływało naturalnie z Ewangelji? Któż chciałby odmówić ubogim nauki, robotnikom światła? A jeżeli wraz ze światłem dojdą do cnoty, któż mógłby odmówić im wpływu politycznego, prawa i obowiązku wchodzenia w sprawy swojego kraju? Ale w obecnym stanie rzeczy, wobec umysłowej ciemnoty ludu, rozjątrzenia serc, sumienia bez Boga, wobec rozpasanych i bez hamulca namiętności, cóż nad to niebezpieczniejszego? Piękna to rzecz—wolność, ale nie trzeba aby przechodziła w swawolę. Nie trzeba aby wolność stała się okropnym strychulcem z roku 1793. Nie trzeba nigdy mieć do wyboru braterstwa lub śmierci.

Ach! gdybyśmy po wielkiem religijnem przesileniu, którego ostatni kres rozwija się w naszych czasach, mieli ze sto lat na to, ażeby wypocząć, żeby ożywić przytłumione uczucie religijne, strącić w nicość ateizm w praktyce, gdyby ruch ludowy powstał niewcześniej, ażby religia odbudowała swe tamy, ażby miano czas oświecić demokrację, wzmocnić jej wiarę, naprostować obyczaje, na przeciw jej ślepych, rozpasanych namiętności postawić znajomość praw i obowiązków.—przyjście na świat demokracji odbyłoby się pokojowo i bez niebezpieczeństwa.

Ale nadchodzi ona właśnie wtedy, kiedy wszystko leży w gruzach, kiedy poczucie Boga jest bardzo słabe, władza ugodzona w samo serce, rodzina rozprzęgnięta, społeczeństwo chore, religja zaledwie tlejąca, kiedy wszystkie tamy, mogące powstrzymywać potok, są zburzone: to przerażające.

I dodam: Oto nadchodzi z ateizmem na ustach, z nienawiścią w sercu, z umysłem przepojonym ideami bezbożnemi, buntowniczemi, zagrażającemi całości społeczeństwa. Jest czego zadrżeć! Szukam w moich wspomnieniach historycznych i nie widzę żadnej epoki, przejmującej bardziej boleścią, politowaniem i przerażeniem.

Niech mi czytelnicy pozwolą na jedno wspomnienie, które mi pomoże przedstawić niebezpieczeństwo takiem jak je pojmuję. Słyszeliście pewnie o straszliwej powodzi, która zalała dolinę Loary w roku 1866. Otóż d. 27 września, na kilka godzin przed wielką klęską, byłem wraz z ogromnym tłumem, na moście Orleańskim. Loara wzbierała z każdą godziną i wpadała pod arkady mostu, wyrzucając w górę płaty

piany. Przepływała zagniewana, dumna; widok jej był wspaniały. Niespokojny o to, co się gotuje, spostrzegłem naczelnego inżyniera, który kierował robotami, i zbliżyłem się do niego, aby się dowiedzieć dokładnie, czego mamy się obawiać. „Boję się wszystkiego od tej nocy, odpowiedział mi, może ona być straszną.“ Po chwili dodał: jest jednak coś, coby nas mogło uratować. Przybór Alieru i wyższej Loary nie przyjdą razem. Przybór Alieru, przynoszący nam 4,000 metrów sześciennych wody na sekundę, wyprzedza na dziesięć godzin przybór Loary, który ze swej strony przynosi nie mniej niż 5,000 metrów sześciennych. Tylko,—ciągnął dalej z wyrazem zaniepokojenia,—przybór Alieru będzie trwał długo, i być może, iż pierwsze fale wyższej Loary zmieszają się z ostatniemi Alieru. Nie potrwa to długo, wszystkiego trzy lub cztery godziny, ale godziny te będą straszne.“ I rzeczywiście, podczas tych trzech czy czterech godzin tamy zostały przerwane w dwudziestu miejscach, i dolina stanęła pod wodą.

Wyborny to według mnie obraz położenia religijnego. Protestantyzm i jego dopływ, niewiara, kończą przepływać, ostatnie ich fale przechodzą właśnie, a w tejże chwili nadchodzą pierwsze fale demokracji. Początek jej splata się z końcem wieku XVIII. Oto w czem leży niebezpieczeństwo. Ziemia drżała w ciągu stulecia parę razy. Czy zdarzy się jeszcze? Czy wytrzymają tamy? Nie wiem, ale wiem, że źle to wybrana chwila na wypędzenie Boga ze świata. Nigdy bardziej nie pdtrzebowały go społeczeństwa.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Zarzuty i błędne rozumowania niewiary.—Czy prawdą jest, że odkrycia nauki wykazały niemożliwość stosunku pomiędzy Bogiem i ludźmi?

Słyszę smutne głosy, które mi powiadają: „To prawda, niewiara jest bolesną i zarazem jałową. Prowadzi za sobą szereg niepokojów, smutków, zwiększających się coraz w miarę, jak postępujemy dalej na drodze życia.

Napróżno serce stara się omamić samo siebie: w głębi kryje ranę.

„Ale z drugiej strony, czyż nie widzicie, jakie zarzuty podnosi dzisiaj nauka przeciw religji?“

— Wierzę w naukę, — mówił mi świeżo pewien młodzieniec, — jakże chcesz, abym wierzył w religję? Religja i nauka nie godzą się ze sobą.

— Dlaczegoż to? — spytałem.

— Dlaczego? Ponieważ zasadą i podstawą każdej religji jest z konieczności nadprzyrodzoność.

— Zapewne, każda religja ma za podstawę nadprzyrodzoność [1]). Każda uznaje działanie Boga, który zbliża się do człowieka i jako władca i przyjaciel wchodzi w jego sprawy. Bez tej interwencji Boga, religja jest bezsilną mrzonką.

— Właśnie; dlatego też rozwieje się ona w świetle nauki. Bo dla tej ostatniej naprzyrodzoność nie istnieje; nie ujrzała jej ani dotknęła nigdy, a uznaje tylko to, co widzi.

Tak sądzisz? A jeżeli ja ci powiem przeciwnie, że właśnie w świetle nauki religja nowym zajaśnieje blaskiem. Jeżeli powiem, że nauka widziała nadprzyrodzoność, dotknęła jej ręką i przynosi obecnie zdumionemu światu niespodziewany i niezbity tego dowód. Tak jest, oto najświetniejszy i najpiękniejszy wynik naszych cudownych odkryć: wszystkie nauki, astronomja, geologja, filozofja, lingwistyka, historja, pod tą lub inną formą, wprost lub ubocznie, świadczą zgodnie o pewnej i częstej, i nawet ciągłej interwencji Boga w sprawy tego świata. Rozwińmy ten wielki obraz. Pomimo niektórych pojedyńczych przeciwdziałań, zbliża się w nauce chwila, kiedy nie będzie można otworzyć jej ksiąg bez religijnego wzruszenia.

I.

Że pierwszy atom, pierwszy zaród, pierwszy ruch pochodzą koniecznie z przyczyny, leżącej nazewnątrz materji, i że początek rzeczy jest niepojętnym bez pierwotnego współudziału Boga —na to zgadzają się wszystkie nauki.

Nie będziemy obecnie przyzywali tu ani astronomji, ani geologji, ani żadnej z gałęzi biologji. W ciągu dowodzenia napotkamy teksty Newton'a, Keplera, Herszla, Arago, Cuvier'a, Kl. Bernarda, nawet Darwina. Wszystko tam jest jasne, niezbite.

[1]) Nie bierzemy tutaj słowa *nadprzyrodzony* w znaczeniu teologicznem, ale w tem znaczeniu jakie nadają mu dzisiaj wszyscy nieprzyjaciele religji. «Nadprzyrodzone jest niemożebnem» znaczy, że Bóg nie może mieszać się w sprawy ludzkie Tak oni wszyscy pojmują ten wyraz. Walcząc z nimi, stajemy na tym samym gruncie i w tem samem znaczeniu używamy słowa *nadprzyrodzony*.

Zostawmy także na boku piękne i jeszcze nowe studja nad ruchem, ciepłem i ich przemianami. Będą one, wedle najpoważniejszych uczonych, nowym dowodem, że najdawniejszy początek wszechświatowego ruchu wyprzedza naszą epokę tylko o skończoną ilość czasu, że zatem miał początek, którego przyczyna była nazewnątrz wszechświata [1]).

Poprzestańmy na umieszczeniu na czele tej dyskusji dowodu, zaczerpniętego z dzieła uczonego Cauchy. Dowód to pierwszego i koniecznego wdania się Boga, oparty na naukach matematycznych.

Cauchy stwierdza naprzód, że nie można przyjąć liczby aktualnie nieskończonej w absolutnem znaczeniu tego słowa, ani określać absolutnie nieskończonej serji momentalności czasu. Wykazawszy niezbitymi rachunkami prawdziwość tego twierdzenia, a mając za sobą takich matematyków, jak Poisson, Legendre, Lacroix,—Cauchy dodaje, że to zasadnicze twierdzenie daje się równie dobrze zastosować do serji liczb i przedmiotów, któreby istniały jedne po drugich, a nawet do szeregu wydarzeń, następujących kolejno po sobie. Tak naprzykład, ponieważ możemy stwierdzić, że w obecnej chwili istnieje tylko skończona ilość gwiazd, nie ulega wątpliwości, że ilość gwiazd, które niegdyś istniały, przypuszczając, że wiele z nich znikło, jest także skończoną. To samo, co mówimy o ilości gwiazd, odnosi się do ilości ludzi, którzy żyli na ziemi, do ilości obrotów ziemi po jej drodze, do ilości stanów, przez które przeszedł świat od swego początku. Istniał zatem pierwszy człowiek, była chwila, w której po raz pierwszy ukazała się w przestrzeni ziemia, w której zaczęła krążyć około słońca, w której świat cały wziął początek. Tak więc nauka zmusza nas do tego, czego nas uczy wiara, a mianowicie, że materja nie jest wieczną. Jeżeli nie przyjmiemy tego jako chrześcijanie, będziemy zmuszeni przyjąć jako arytmetycy, jako matematycy [2]). Cauchy dodaje, że także jako fizycy. Ale nie rozwija on tego ostatniego twierdzenia. Tego nam zresztą aż nadto dosyć do uznania potrzeby i rzeczywistości wdania się Boga na początku.

---

[1]) *Sprawozdania z posiedzeń Akademji nauk*, 1/X 1866. *Notatka* pana Dupré, dziekana wydziału nauk przyrodniczych z Rennes, *o dążeniu każdego systemu materjalnego do względnego lub absolutnego spoczynku*. Patrz także *Les Sciences et la Philosophie* przez Th. H. Martin'a, dziekana wydziału nauk pięknych z Rennes, str. 308; *le Matérialisme et la Science*, przez Caro, str. 242 i notę B u końca tomu.

[2]) Cauchy, *Leçons* (inédites) *de physique générale* (Faites à Turin à 1832). Wyciągi, ogłoszone w *les Mondes*, przez ks. Moigno. *Impossibilité du nombre infini et ses consequences*, p. 3—6 du tirage à part. (Paris, 1863, gr. in 8°).

II.

Na tem uczynionem dobrowolnie lub z konieczności pierwszem ustępstwie, niewiara naukowa chciałaby się zatrzymać. Ale napróżno. Przyjąwszy pierwszą interwencję Boga w stworzeniu materji, chcąc nie chcąc, trzeba przyjąć i drugą. Po Stwórcy trzeba uznać Budowniczego.

Jedna nadewszystko nauka rzuca najwyższe światło na konieczność tej drugiej interwencji: jest nią astronomja, szczególniej odkąd Galileusz i Herszel wynaleźli teleskop, a Newton, Euler, Arago, sporządzili mapę nieba. Rozejrzyjmy się w tem wspaniałem widowisku i nie obawiajmy się zatrzymać się przy niem dłużej. Tem niezbitsze będą wnioski, jakie stąd wyciągniemy.

Pierwszy znany teleskop, teleskop Galileusza, powiększył przedmioty razy siedm; ostatni, Herszla, powiększa je sześć tysięcy pięćset razy. Kiedy go skierowano na sklepienie nieba, doznano olśnienia. Pokład gwiazd okazał się istotnie niezgłębiony, przytłaczający rozum i przewyższający wszystkie liczby, w których próbowano go zawrzeć. Herschlowie, brat i siostra, spróbowali tego jednakże i oto do jakich doszli wyników.

Przekonali się naprzód, że zbiór wielkich gwiazd, stanowiących orszak naszego słońca, to tylko jedna z olbrzymich gromad, z których składa się droga mleczna, i że widziana z pewnej odległości gromada ta przedstawiałaby się jedynie jako plama nieco bielsza na tejże drodze mlecznej. Spróbowali zbadać tę białą plamę, i tylko ją jedną. Gołem okiem widać w niej na horyzoncie Paryskim cztery tysiące sto czterdzieści sześć gwiazd. Ale oto mamy teleskop, i wiecież ile ich dostrzegamy dzisiaj? W jednej tylko cząstce konstelacji Bliźniąt, gdzie najwprawniejsze oko rozróżnia sześć gwiazd, dobra luneta pokazuje ich więcej, niż trzy tysiące. Cóż będzie z całym ogromem niebios! Cóż nawet z tą białą plamką, którą nazywamy naszym systemem słonecznym! Co do tego ostatniego, oto najdokładniejsze wyrachowania nauki. Arago, Lalande, Delambre i Francoeur zgadzają się na ogólną liczbę mniej więcej siedmdziesięciu pięciu miljonów widzialnych gwiazd. A pamiętajcie, że siedmdziesiąt pięć miljonów gwiazd i planet stanowią jedną tylko gromadę drogi mlecznej, i widziane zdala wyglądałyby tylko jak blada plamka, jak płatek piany w bezmiarze. „Mój Boże! jakże piękne są Twe Niebiosa! Kto zdoła przeliczyć zastęp słońc Twoich?“

Wszelako nauka nie poprzestaje na liczeniu gwiazd; waży je także. Te siedmdziesiąt pięć miljonów gwiazd to nie siedem-

dziesiąt pięć złotych punkcików na lazurowej makacie. Waga ich jest dokładnie znana. Przypuśćmy, że są gdzieś szale dosyć duże, ażeby można pomieścić na nich ciała niebieskie; przekonanoby się wtedy, że Saturn waży sto razy więcej, a Jowisz trzysta trzydzieści ośm razy więcej, niż ziemia. Co do słońca, jest ono miljon czterysta tysięcy razy większe od niej, a ponieważ Syrjusz jest znowu dwanaście razy większym od słońca, od ziemi zatym większym jest szesnaście miljonów razy. Tak, ten błyszczący punkcik na niebie, który widujemy wieczorami, jest szesnaście miljonów razy większy od ziemi!

Z tego wnoście, jakich trzeba odległości, jak niezmierzonych przestrzeni, ażeby się te masy poruszać mogły. Hezyod, chcąc nam dać wyobrażenie o wyniosłości firmamentu, przypuszcza, że śpiżowe kowadło, upuszczone z nieba, spadałoby dziewięć dni i dziewięć nocy, zanimby dosięgło ziemi. Dziecinne wyobrażenie! Pociąg kurjerski, przebiegający pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, na przebycie drogi od słońca do ziemi potrzebowałby trzystu czterdziestu siedmiu lat. Tę olbrzymią odległość światło przebiega w ciągu ośmiu i pół minut. Wyrachujcie teraz na zasadzie tego niezmierną głębokość pokładu gwiazd. Otóż to światło, przebiegające siedmdziesiąt pięć tysięcy mil [1]) na sekundę, przebywające drogę od słońca w ośm minut, potrzebowałoby na przejście od Alfy z Centaura trzech lat i ośmiu miesięcy; od Wegi — dwunastu lat i pół; od polarnej gwiazdy — trzydziestu jeden lat; od Kozy —siedmdziesięciu dwóch; prawda, że gwiazda polarna znajduje się o ośmnaście biljonów mil od ziemi, a Koza o siedmdziesiąt tryljonów. Od Alcyona wreszcie, najświetniejszej z Plejad, światło przychodzi w pięćset lat. Zauważcie przytem, że głębokość niebios nie kończy się na Plejadach, owszem należą one do ich pokładów powierzchownych. To też Herschel utrzymuje, że promień od jednej z tych teleskopowych konstelacji, wchodzący w skład drogi mlecznej, potrzebuje dwóch tysięcy lat, ażeby dojść do nas. Czy badanie naukowe zatrzymuje się chociażby tutaj? Nie. Sięga ono aż do tych mgławic, przebywających na ostatnich wiadomych nam krańcach świata gwiazdowego. Ale tu odległość mąci już myśli. Światło, — mówi Humboldt,— mimo swej błyskawicznej szybkości, potrzebuje dwóch miljonów lat, ażeby przebyć niezmierną przestrzeń, oddzielającą nas od tych gwiazd. Od słońca przychodzi światło w ośm i pół minut, w dziesiątą część sekundy obiega kulę ziemską, a oto tu potrzebowałoby dwóch miljonów lat! Wobec tego już się nie rozumuje, nie liczy. Jest się

[1]) Francuskich.

przytłoczonym i pojmuje się całą trafność i delikatną ironję pytania, postawionego Abrahamowi przez Boga: „*Numera stellas, si potes*—Zlicz gwiazdy, jeśli możesz!“

Ale to jeszcze nie wszystko. Najbardziej zadziwiający ze wszystkich wynalazków człowieka, podwójnie wzniosły i wielkością wyników i tem, że w odkryciu jego nie brał udziału teleskop, ani żadne inne narzędzie, tylko sam czysty rozum ludzki, to prawo ruchu ciał niebieskich. Nic nie jest nieruchomem w tych nieruchomych przestworach. Wszystko się porusza. Te miljony gwiazd krążą wszystkie w tym samym kierunku, w pewnym określonym porządku, w wymierzonych odległościach; wszystkie zakreślają najpiękniejszy ruch, obracając się naokoło siebie i jedne naokoło drugich, jak w starożytnym chórze. A cóż rzec o łagodności, o harmonji tego tanecznego ruchu? Cóż szczególnie o jego szybkości? Ziemia krąży naokoło słońca z szybkością siedmiu mil na sekundę, czterystu dwudziestu mil na minutę, dwudziestu pięciu tysięcy dwustu mil na godzinę, sześciuset tysięcy mil na dobę. Jeszcze szybszy Merkury obraca się z szybkością miljona mil dziennie. Słońce tymczasem ze swym orszakiem planet zakreśla naokoło jakiegoś nieznanego środka krąg o tak wielkim promieniu, że wydaje się linją prostą, ruchem wspanialszym i powolniejszym, chociaż wynoszącym jeszcze dziesięć kilometrów na sekundę, trzydzieści sześć tysięcy kilometrów na godzinę, blisko miljona kilometrów na dzień [1]).

A na jakiejże to posadzce odbywa się ten taniec, — powiedziałbym zawrotny, gdyby łagodność jego nie wyrównywała szybkości — na jakiej posadzce, powtarzam, tańczą te gwiazd miljony? Niema jej wcale. Tańczą w próżni. A nie zapominajcie o ich ciężarze. Słońce waży dwa nonyljony kilogramów, co wyraża się przez cyfrę 2 i trzydzieści zer:

2,000,000,000,000,000,000,000,000,000,000.

A masa Syrjusza waży dwanaście razy więcej. I wszystko to porusza się w próżni z szybkością, dla ziemi, sześciuset tysięcy mil na dobę!

A jak gdyby wielki Mistrz, który zorganizował te chóry, chciał przewyższyć sam siebie, między tymi siedmdziesięciu pięciu miljonami gwiazd naszego nieba, które są tylko cząstką ogólnego ruchu, przechodzą komety o rozwianym warkoczu. Jest ich znanych siedmnaście miljonów, posłusznych nieznanym

---

[1]) Arago *Leçons d'astronomie*, p. 186 i nast.

prawom i przebiegających po przez ten zgodny chór bez naruszenia jego porządku.

Newton odkrył rytm tego potężnego ruchu gwiazd i dzięki temu okrył się sławą. Ujrzał, co wprowadza w ruch gwiazdy, ale ten wielki, głęboko religijny, człowiek, wzdrygnąłby się przed przypuszczeniem, że one poruszają się same. Łatwo wyrzec: „Przyciąganie! przyciąganie!“ Ale cóż to jest przyciąganie? Kto obdarzył gwiazdy tą siłą, która je pociąga ku sobie, a która w chwili, kiedy mogłaby się stać dla nich zgubną, jest równoważoną przez siłę przeciwną? Kto dał im tę cudowną równowagę, rodzącą się z powszechnej nieruchomości, ale z wiekuistego ruchu? Kto nakoniec stworzył w łonie niezmierzonych przestworów nie tylko owo arcydzieło piękności, ładu, potęgi, ale ów cud mechaniki, geometrji i rachunku, który zdumiewa rozważający go umysł? Niema wątpliwości: to Bóg,—powiada Newton [1]).

I wszystkie geniusze nauki: Kopernik, Kepler, Galileusz, Kartezyusz, Leibnitz, Euler, Clarke, Cauchy, mówią to samo [2]). Wszyscy oni żyli w prawdziwem uwielbieniu dla harmonji światów i tej wszechpotężnej ręki, która je rzuciła w przestrzeń i w niej utrzymuje.

A przekonania swoje opierają nie na porywach uczucia, jak poeci, ale na cyfrach, na twierdzeniach geometrycznych. Rozumowanie zaś ich jest tak proste, że dziecko by je pojęło. Bo oto jak sobie radzą:

Udawadniają przedewszystkiem, że materja z natury swej jest bezwładną, że zatem, jeżeli jakieś ciało jest w ruchu, to dlatego, że zmusza je do tego jakieś *inne*, bo wszelki ruch materji jest z konieczności ruchem *udzielonym z zewnątrz*. A więc,—powiadają,—ponieważ w przestrzeni niebios panuje niezmierny ruch, unoszący w nieskończone pustynie miljardy słońc, których ciężar przytłacza wyobraźnię, jasnem jest, że istnieje wszechmocny Motor tego ruchu.

Udawadniają dalej, że ten ruch niebios dowodzi rozwiązania zagadnień matematycznych, które kosztowały Eulera trzydzieści lat pracy, a o których siedmdziesięcioletni Newton mówił, że nie zdołał rozwiązać wszystkich. A więc,—mówią,—ten wszechmocny Dawca ruchu musiał też być wszechpotężnym Matematykiem, niedoścignionym Rachmistrzem.

---

[1]) Newton i Clarce, jego uczeń: «Przyciąganie jest skutkiem przyczyny niematerjalnej», (*Philos. de Rohault*), tłómaczenie łacińskie Clarke'a, II, XI, 15).

[2]) *Comptes rendus hebdomadaires des séances de l'Académie des sciences*, t. XXI. Paris, 1845.

Udawadniają nakoniec, że ruch niebieski jest wynikiem dwóch harmonijnych sił; siły przyciągającej ciała do środka i siły odpychającej je od niego; że pierwsza, prawdziwa siła przyciągania, przyciąga ciało do jednego wspólnego środka, ale gdyby była tylko sama, rzuciłaby je w końcu jedne na drugie w stos olbrzymi i nieruchomy; że druga zjawia się w porę, aby zapobiedz temu niebezpieczeństwu, odpychając ciała w przestrzeń. Udowodniwszy, pytają skąd ona, ta druga siła, jeszcze od pierwszej dziwniejsza, istotny cud niebios? Niema dla niej innego wytłómaczenia, prócz wiecznotrwałej i nad wszystkie światy wyższej Woli [1]).

I cóż odpowiecie na to wszystko, na tyle racji, na te poparte przez tak wysokie powagi liczne dowody, że jest Bóg, że podtrzymuje gwiazdy swą wszechmocną ręką, że zatem wdaje się i zawsze się wdawał w sprawy człowieka? Co odpowiada pseudo-nauka, nauka bezbożna i materjalistyczna?

Przeczytałem właśnie ich główne dzieła: *Siłę i materję* Büchnera, *Krążenie życia* Moleschotta, *Przedmowę do dzieł Darwina* przez Vogta, *Dawność człowieka* Haeckla, (mali to są jednakże ludzie wobec Kopernika, Keplera, Newtona, Galileusza Eulera), przeczytałem, mówię ich dzieła i zmęczył mi głowę ten styl, ta niejasność, suchość, te szumne nowe wyrazy, to nieprzyzwyczajenie do ścisłego określenia i rozróżniania— wszystkie te braki w formie i treści, cechujące umysły, nie nawykłe do karności. Jestem zmęczony, ale więcej jeszcze zdziwiony, upokorzony niemal tem, co tam znalazłem.

Wiecie, w czem streszcza się ich całe dowodzenie? Zaledwie odważam się je wypisać: *oto, że gwiazdy utworzyły się same*!

To nie do uwierzenia, ale tak jest; przekonacie się o tem zaraz.

„Najwięcej uzasadnioną teorją filozofii przyrody,—powiada Renan, jest to, że rozwój świata odbył się bez wdania się żadnej istoty z zewnątrz“ [2]). Littré mówi: „Nowa nauka tłómaczy świat przez przyczyny, tkwiące w nim samym“ [3]). Trzeci powiada: „Trzeba stać na bardzo nizkim szczeblu istot rozumnych, ażeby szukać nazewnątrz przyczyn utworzenia się świata“ [4]).

---

[1]) *Oeuvres de Newton*, 1783, t. IV. Lettre à Bentley, Patrz także Eulera: Lettres à une princesse allemande, 68-e lettre.

[2]) Renan, *Revue des deux Mondes*, 15 oct. 1863.

[3]) Littré, *Conservation, Révolution, Positivisme* p. 26. *Paroles de Phil.*, p. 34.

[4]) About, *Progrès*, p. 13.

Jakże to? — spytacie. Nic prostszego. Boć czemże w gruncie jest świat w najwyższych nawet swoich zjawiskach? „Wykwitem surowej materji.“ „Mięszaniną prostych atomów materji nieorganicznej“ [1]). Jeżeli więc cofniecie się jak najdalej wstecz, do początku, przed wszelkiem uorganizowaniem się materji, co znajdziecie? Atomy, nieorganiczne molekuły unoszące się w przestrzeni. Te atomy czuły potrzebę zmiany miejsca, ruchu, posuwania się naprzód, stawania się czemś [2]). Parte tą potrzebą wprawiły się w ruch same, połączyły się z drugiemi bez planu, bez cienia jakiejbądź celowości, ulegając poprostu prawu przyciągania, tkwiącemu w materji, i z czasem utworzyły gwiazdy i wszystkie światy. Oto cały system. Nie myślcie, abyście znaleźli co innego we wszystkich tych księgach.

Czyta się to, odczytuje, i nie wierzy samemu sobie. Ma się ochotę pójść do autora tych systematów i powiedzieć mu: „Pomówmy mój panie, otwarcie, bez próżnych frazesów. Czy wierzysz w to, co utrzymujesz? Czy wierzysz, że te niestworzone przez nikogo atomy krążyły sobie tak bez powodu w przestrzeni? Czy wierzysz, że krążyły tak przez całą wieczność? Jeżeli powiesz tak, to wytłomacz mi, proszę, co mogło je skłonić, do utworzenia świata? Może powiesz: „Potrzeba ruchu i postępu?“ Ale „jest chyba jasnem, że fakt, któryby zwlekał całe wieki ze swem urzeczywistnieniem się, musiałby zwlekać zawsze i z tej przyczyny nigdyby się nie stał“ [3]).

Kiedy tak rozmyślałem, w umyśle moim tworzył się obraz, od którego nie mogłem się uwolnić. Widziałem zegar, jeden z tych wspaniałych zegarów, w których cuda mechanizmu doprowadzone zostały do ostatniego stopnia sztuki i doskonałości. W zegarze tym zamkniętą była mrówka, która przebiegała wszystkie jego sprężyny. Gdyby posiadała rozum, jaką byłaby jej pierwsza myśl? Zwiedza oto żywo i ciekawie wszystkie sprężyny, koła, ciężary—całe to urządzenie, które przejmuje ją podziwem, i zapewne wyciąga wniosek, że tak wspaniałe dzieło świadczy o potężnym i genialnym twórcy? Gdzież tam! odrzuca tę myśl. Uważa ją za niedosyć *naukową. Pierwszą zasadą mojej filozofii jest*, powiada, *że ten zegar utworzył się bez pomocy żadnej istoty z zewnątrz.—Nowym dogmatem nauki jest, że zegar wyjaśnia się przez przyczyny zawarte w nim samym.* Postawiwszy to sobie jako prawidło, patrzy na wskazówkę. I cóż tak dziwnego, że się ona porusza? Czyż

---

[1]) Ibid., p. 17.
[2]) Renan, *Revue des deux Mondes*, 15 oct. 1863.
[3]) Martin, *les Sciences et la Philosophie*, p. 257.

nie widzicie, że styka się z osią, obracaną przez koło? To koło, w szczególniejszy sposób zazębione, łączy się z drugiem, które się również obraca. To zaś jest poruszane przez wahadło, które znowu wprawiają w ruch, podnoszące się i opadające wagi. Cóż nadto prostszego, i *trzeba stać bardzo nizko w szeregu istot inteligentnych, ażeby szukać przyczyn ruchu zegara na zewnątrz niego.* Co do składowych jego części, owych sprężyn, kół, ciężarków, jeszcze łatwiej dojść, skąd pochodzą. Bo czemże wreszcie jest ten zegar? *Zbiorem prostych cząstek materji nieorganicznej.* Otóż te cząsteczki unosiły się w przestrzeni. Parte potrzebą ruchu, postępu, połączyły się według swych stałych własności. Jedne cząsteczki, mineralne, utworzyły koła, sprężyny, wskazówki. Inne, roślinne, sznury i bloki. Inne znowu wagi. Wszystkie zaś bez planu, bez żadnego zamiaru, ulegając jedynie sile przyciągania, utworzyły to cudowne dzieło. *I trzeba stać bardzo nizko w szeregu istot rozumnych, ażeby poza zegarem szukać przyczyny jego bytu.*

Szczęśliwa mrówko, śpij w pokoju i bądź dumną ze swego geniuszu! Odnalazłaś *naukowe* wyjaśnienie zegara.

III.

Pobita na tym punkcie niewiara naukowa zwróciła się ku ziemi i, posiłkując się ciemniejszemi zjawiskami życia, spróbowała nowej walki. Z wyjątkiem kilku jej adeptów, oddanych materjalizmowi najkrańcowszemu, nie zaprzecza ona istnienia Stwórcy. Tylko, przyznając konieczność jego wdania się dla stworzenia pierwszego zarodka, poprzestaje na tem i obywa się nadal bez Boga. Dla wytłómaczenia stopniowego zjawiania się stworzeń, wystarcza jej działanie na oślep przyczyn drugorzędnych.

Ale i tu nauka przychodzi nam w pomoc i doświadczalne dane najpewniejsze, łączą się z najjaśniejszemi zasadami filozofii dla obalenia podobnej hypotezy.

Zgódźmy się na chwilę z naszymi przeciwnikami; przypuśćmy, że wszystkie istoty: rośliny, zwierzęta i człowiek pochodzą drogą stopniowych przekształceń, od pierwszego zarodka, od pierwotnego typu. Nawet i w takim razie natura nie doszłaby do takich rezultatów, gdyby nią nie kierowała nieskończona mądrość?

Dlaczego? Ponieważ skutek powinien być ustosunkowany do przyczyny, a stosunku tego niema wcale pomiędzy grą ślepych sił a tym światem tak harmonijnym, gdzie jaśnieje niedościgniona sztuka i gdzie we wszystkich tworach przejawia inteligencja.

Twierdzenie to, które jedna z tegoczesnych naukowych powag, Amerykanin Agassiz, poparł mnóstwem naukowych dowodów, tak jest bijące w oczy, że zgadzają się na nie nawet najgorliwsi Darwina uczniowie, najzapaleńsi jego wielbiciele. Według Karola Lyell'a, „ten wielki łańcuch przemian, który sprawił rozwój świata organicznego, *był zamierzony z góry i szczegółowo kierowany* (*intentionally and specially guided*)."

A Asa Gray przyznaje, że przemiany były prowadzone *w pewnych korzystnych dla nich kierunkach*. Owo zaś biedne echo, zwane Renanem, powtarza za niemi, „że wszystkie cząsteczki łączyły się, skupiały, według *naprzód ułożonego planu* ażeby utworzyć ciała."

Z góry zamierzony. Co to znaczy? *Według naprzód ułożonego planu*. Przez kogo?

Prawda, że Darwin nie zgadza się na te ustępstwa, że utrzymuje, „iż skoro już raz była jakaś macierzysta forma, do utworzenia której potrzebne było działanie Twórcy, wszystkie jej gatunki tworzyły się następnie *bez wyższej interwencji* lub jakiegokolwiek rozumnego planu." [1]) Ale cóż zostaje w takim razie dla wytłómaczenia świata? Nieskończone błądzenie po omacku, inaczej mówiąc: przypadek.

Co tylko, wobec wspaniałości świata gwiazd powiadano nam, że powstał on sam przez się. Teraz wobec cudów ziemskiego świata utrzymują, że ojcem ich jest przypadek. Oto jest zasada naukowej niewiary, słabo zamaskowana szumnemi wyrażeniami technicznemi.

Ale komuż zdołacie wmówić, że świat mógł powstać przypadkiem, że to szczytne dzieło może być wynikiem działania sił ślepych, brutalnych, puszczonych samopas? Pomijam już niezmierną poezję natury, wynik jej najwspanialszej harmonii. Biorę jeden tylko szczegół, naprzykład oko. Któż uwierzy, ażeby ten delikatny i skomplikowany przyrząd, to arcydzieło mechaniki powstało tak sobie, pod działaniem ślepych sił? Darwiniści w pocie czoła usiłują wykazać nam, jak się oko formowało stopniowo. „Jeżeli — powiadają — będziemy śledzili krok za krokiem, kolejno doskonalenie się oka w świecie zwierzęcym, dostrzeżemy postęp stopniowy. I tak oko u zwierząt najniższych występuje jako prosta plamka barwnikowa, nie mogąca jeszcze odbijać obrazu przedmiotów zewnętrznych, a tylko w najlepszym razie wrażliwa na różnicę promieni światła. *Naówczas* przybywa jej nerw czucia. *Później* wewnątrz tej barwnikowej plamki rozwija się powoli pierwszy zarys soczewki.

---

[1]) Darwin, *De l'Origine des espèces*, p. 507.

Ale brak *jeszcze* wszystkich przyrządów, złączonych w oku dla jego akomodacji i ruchu,“ [1]) etc.

Ale naprzód, ta plamka pigmentu sama już jest cudem. Kto w tym ślepym, głuchym, niemym zarodku uczynił jedną cząstkę materji wrażliwą na światło? To niepojęte, i tak samo niepodobna tego wytłómaczyć, jak niepodobna wyjaśnić samego zjawienia się życia.

Potem, skąd wzięliście to historyczne następstwo różnych przyrządów oka? Wszystko to jest bezzasadne, fantastyczne. Przeciwnie, anatomia porównawcza stwierdza istnienie jednocześnie różnych tych stadjów rozwoju organu wzrokowego u rozmaitych klas zwierząt naszych czasów.

Natura nie robi prób, nie idzie po omacku, przynajmniej. nie możecie tego dowieść, ale wedle tego wspaniałego i harmonijnego prawa, które wskazałem w drugim rozdziale tej pracy, wydaje raz wszystkie odcienie oka, od prostej plamy pigmentowej u stworzeń niższego rzędu, od pierwiastkowego zarysu soczewki u trochę wyższych, aż do oka człowieka i aż do oka orła. Najdoskonalszem bowiem nie jest wcale oko ludzkie,—Bóg dał mu więcej, dając mu oko ducha.

Ale gdyby się nawet udało darwinistom wyjaśnić powstawanie oka za pomocą teorji nieskończonych kombinacji, co jest niemożebnem, oto inny organ, do którego już stanowczo nie można zastosować podobnego tłómaczenia. Bierzemy przykład ten od Klaudjusza Bernarda. „W jaki sposób—powiada ten znakomity fizjolog—sok żołądkowy, rozpuszczający wszystkie pokarmy, nie rozpuszcza samego żołądka, którego skład jest przecie ten sam, co i pokarmów, któremi się żywi? Długo nie umiano sobie tego wytłómaczyć, Obecnie wiemy już, że żołądek jest wysłany pewną powłoką czy też pokostem, nie podlegającym działaniu żołądkowego soku. Cóż innego na takie zabezpieczenie ścian żołądka mogłaby wymyślić najbardziej wydoskonalona sztuka? A jakie zdumiewające odkrycie, iż organ, wyrabiający tak niebezpieczny wytwór i używający go, jest uzbrojony właśnie taką opiekuńczą powłoką, która od początku musiała z nim razem współ istnieć, bo inaczej zostałby zniszczonym, zanimby mógł wytworzyć sobie ten środek ochronny. Nie można więc tu przyjąć hypotezy długich prób i szczęśliwych trafów.“ [2])

Chcecie innego przykładu? Weźmijcie serce. Jest ono umieszczone wewnątrz i w centrze człowieka i opancerzone ze

---

[1]) Ernest Haeck, p. 633, 634.

[2]) Cl. Bernard, *leçons sur les propriétés des tissus vivants*. Cité par M. Paul Janet, *Revue des Deux Mondes*, 15 fevr. 1873.

wszystkich stron, a podwójny ruch jego jest cudowny. Jednym wysyła ono do żył zdrowe i jasne ciałka krwi, które roznoszą życie wszędzie. A gdy się one wyczerpią i przygasną, przyjmuje je napowrót, zwraca im elektryczność, ciepło i znowu rozsyła je na wszystkie strony. Któż uwierzy, ażeby podobny cud powstał bez żadnego rozumnego planu, jako kaprys ślepych sił? ażeby wytworzył się powoli, stopniowo, przez trwające wieki próby? Cechą wybitną serca jest to, że odrazu musiało być zupełnie doskonałem. Jest ono idealnie pięknem ustosunkowaniem wszystkich swych części, harmonią odpowiadających sobie szczegółów. Jest, albo go niema. Najmniejsze obrażenie zabija je. I jedno to arcydzieło wystarcza dla zbicia całego systemu.

Posuńmy się wszelako wyżej, do praw tych związków i uczuć, które stwarzają rodzinę, od których pochodzą ojcowstwo i macierzyństwo. Napotykamy tu mnóstwo wzruszających i wzniosłych tajemnic. Zastanówmy się nad jedną z nich, najmniejszą; nad ową czarą na sercu matki, tak cudownie napełniającą się mlekiem z chwilą urodzenia dziecka. Niechże nam kto wyjaśni przez jaki szereg prób, robionych na oślep, doszła natura do tego cudu! Czy zaledwie po niepowetowanych nieszczęściach spostrzegła ten brak? A jeżeli potrzebowała tysięcy lat, ażeby go uzupełnić, cóż się działo przez ten czas z dziećmi?

Moglibyśmy mnożyć przykłady, dotykać po kolei wszystkich warunków ziemskiego bytu, a zawsze dochodzilibyśmy do wniosku, że bez względu na to, jakich środków użył Bóg do wywołania stopniowo na świat roślin, zwierząt i ludzi — całość tego cudownego utworu i każdy jego szczegół świadczą o planie, który nieskończona Mądrość nakreśliła zawczasu, a Potęga i Dobroć wykonały. Wyznawali to głośno ludzie, których głos ma prawo być tu rozstrzygającym: Cuvier, Jussieu, Condole, Jan Müller, Flourens, Brongniart, Agassiz. Wszyscy są zdania, że „darwiniści błądzą, usiłując w przyrodzony sposób wyjaśnić zagadnienie, mające *„nadprzyrodzoną Przyczynę.“* [1])

Żeby więc wytłómaczyć początek rzeczy, nie wystarcza twórcza działalność Boga; potrzebną jest druga, organizacyjna którą, po stworzeniu wszystkiego, wszystko uporządkował.

[1]) Brongniart, *Revue des cours scientifiques*, t. VII, p. 563. Paris, 1870. Patrz także *Cours de physiologie comparée*. Leçons de M. Flourens, red. par. M. Ch. Roux, revues par les professeurs, 40-e leçon, p. 174—180. Paris 1856. in 8-o.

IV.

Zresztą, przyjęliśmy hypotezę Darwina tylko chwilowo, dla przeprowadzenia naszego rozumowania, bo z punktu widzenia naukowego jest ona nie do przyjęcia. Niepodobna było, aby życie przeszło z jednego królestwa do drugiego, nawet za przewodem Bożym, —a to z tej prostej przyczyny, że *przejścia tutaj niema.*

Pomiędzy królestwami istnieją gwałtowne przeskoki, przepaście. Nadmieniałem to już w drugim rozdziale niniejszej pracy; teraz powinienem tego dowieść i tem uzasadnić naukowo potrzebę wdania się Boga.

Według hypotezy kosmogonicznej Laplace'a, Herszla, Araga, Ampère'a kula nasza była niegdyś ciałem gazowem. Skoro tak, zapytajmy nauki, w jaki sposób powstały na niej rośliny, zwierzęta i ludzie.

1. Rośliny. „Nam, naturalistom, tak niepodobna jest wiedzieć, skąd wzięły się na ziemi rośliny, jak znać początek wszechrzeczy," mówi Bischof.[1]) Istotnie, roślina jest tworem nowym, ma wszystko to, co minerał, ale i coś nad to: centr organizacyjny, wewnętrzną siłę rozwoju, soki, odradzające nasienie. A Liebig znów: „Zdanie, że natura posiada siłę twórczą, zdolną z niektórych materji w rozkładzie wyprowadzić różne rośliny, może być wynikiem tylko niedostatecznego badania." [2]) —„Dla wyjaśnienia tej nowej istoty, —powiada Becquerel,—koniecznie jest potrzebne działanie twórczej potęgi."

Tyle co do roślin. Potrzeba było pierwszego wdania się Boga, aby stworzyć materję drugiego, aby ją uporządkować; teraz niezbędnem jest trzecie, aby po minerale nastąpiła nowa istota, roślina.

2. Zwierzęta. W porównaniu z minerałem roślina jest cudem, istotą nadprzyrodzoną. Jeszcze większym cudem jest zwierzę, w porównaniu z rośliną. Posiada ono wszystko to, co ma roślina, ale posiada też co więcej: wewnętrzną zdolność ruchu, pojmowania dowolnych uczuć. A skąd bierze się ta zdolność? Nauka tegoczesna powiada z Flourens'em: „Życie nie powstaje ze śmierci; życie rodzi się tylko z życia." Mówiąc innemi słowy, niema przejścia pomiędzy światem nieorganicznym a organicznym. „Gdybym miał określić życie,—pisze Klaudyusz Bernard, — powiedziałbym: Życie to tworzenie.

---

1) Przytoczony przez Hettingera, *Apologie du Christianisme*, t. I, p. 206.

2) Liebieg, *Chemische Briefe*, p. 20.

Każdy żyjący zarodek zawiera w sobie myśl, objawiającą si w jego rozwoju". To jest, że przejście od rośliny do zwierzę cia nie jest dedukcją, ale transcedencją, tworzeniem, działa niem wyższej potęgi, powołującej do życia nową a wyższą is totę. Flourens, Klaudjusz Bernard, Cuvier, Liebig, Aleksan der Humboldt i Quatrefages przyjmują ten pogląd po rozstrzy gających doświadczeniach. [1]) Virchow mu nie przeczy [2]). A je żeli taki naprzykład Burmeister czepia się uparcie teorji samo rodztwa, to dla tego, że jak sam naiwnie wyznaje, jest to je go ostatni argument, bo inaczej dla wyjaśnienia powstawania istot organicznych musiałby przyjąć działanie nadprzyrodzo nej potęgi. [3]) Sam Bernard Cotta przyznaje, że „jest taka nie rozwiązalna zagadka, która nawet pomimo naszej woli zmusza nas, abyśmy uznali nieskończoną potęgę Stwórcy; jest nia początek masy ziemskiej, jako też pierwsze zjawienie się na świecie istot organicznych." [4])

Tak więc, jak ukazanie się rośliny, tak nieskończenie wyższej od minerału, nie mogło nastąpić bez działania Boga, tak i powstanie zwierzęcia, tak nieskończenie wyższego od rośliny, potrzebowało nowego „stań się!" twórczej potęgi.

3. Człowiek. Czemże są dwie przepaście, o których mówiliśmy wyżej, w porównaniu z trzecią, oddzielającą zwie rzę od człowieka? Wszak tu występuje istota w całem znacze niu słowa nadprzyrodzona, istota nowa, całkiem niewspółmierna z tem, co ją poprzedziło i nie mogąca być wyjaśnioną inaczej, jak przez bezpośrednie działanie twórczej potęgi. Pozwolimy sobie zatrzymać się nad tem dłużej, gdyż właśnie z tego po wodu skierowane są na tę kwestję wszystkie usiłowania mate rjalistycznej nauki.

„Myśl, powiada Darwin, żeby tak różne pomiędzy sobą zwierzęta, jak małpa, słoń lub kolibr, mogły wieść swój ród od jednych i tych samych przodków, wyda się nową tym, któ rzy nie szli za postępem tegoczesnego przyrodoznawstwa. [5]) A dalej: „Co się tycze człowieka, ci, którzy utrzymują, że po trzebował on osobnego aktu stworzenia, zniżają swój poziom umysłowy do poziomu dzikich ludzi." [6])

Ponieważ więc człowiek nie był stworzony osobno, ale pochodzi od zwierząt, potrzeba, ażeby Darwin utworzył dla nie go rodowód. Nie wprowadza go to bynajmniej w kłopot, a je-

[1]) Patrz wyżej, str. 107.
[2]) Hettinger, *Apologie du Christianisme*, t. I, p. 201.
[3]) Burmeister, *Geschichte der Schöpfung*, p. 304.
[4]) B. Cotta, *Gen.* t. II.
[5]) Darwin, *The Descent of Man*, t. p. 203.
[6]) Id., ibid., p. 386.

ien z jego uczniów, Haeckel, uważa nawet za możebne ustanowić „z pewnością“ dwadzieścia jeden stopni naszego drzewa genealogicznego. Naprzód małpa. „Przez swe uzębienie, budowę nozdrzy i pod innymi względami, człowiek należy niezaprzeczenie do rzędu małp.“ [1])

To jest pierwszy stopień. Mamy i inne. Darwin dawniejsze zwierzęta workowate uważa za przodków małp. Workowate znowu pochodzą od pierwotnych jednootworowych (monotreme). Jednootworowe wyprowadzają się od ryb. Płuca człowieka to tylko przekształcony pęcherz pławny ryby. Przeszliśmy prawdopodobnie przez formę zbliżoną do ryb kostoszkieletowatych (ganoidei), a przedtem jeszcze przez niższą od tamtej, istniejącą i teraz lancetnika (amphioxus). Wyżej jeszcze, a raczej niżej, łączymy się z pierwotnym konarem, który musiał zbliżać się do jednej z form żachw (ascidiae). Nakoniec na ostatnim stopniu tej linii wstępnej Haeckel stawia monery, które określa jako organizmy bez organów. [2]) A ponieważ prace Laplace'a, jako też Herszla, nie pozostawiły już wątpliwości co do pierwotnego istnienia masy ziemskiej w stanie gazu, a następnie rozżarzonego płynu—oto niektórzy posuwają się do twierdzenia, że mogliśmy mieć gazowatych przodków!

Oto jest ta doktryna. Narodziny jej wprawiły w zachwyt Taine'ów, About'ów, Renan'ów—cały ten półświatek nauki, który grozi nam obniżeniem naszego poziomu umysłowego, tak jak inny półświatek obniżył już nasz poziom moralny. Dziwna rzecz! Oto ci ludzie, którzy wzdragają się uznać siebie za współplemiennych z murzynami, nie posiadają się z radości na myśl, że w ich żyłach płynie krew małpia. Ale nie myślcie, ażeby nauka grała tu jaką rolę. Bardzo im też o nią chodzi! Nie chcą być braćmi murzyna, ponieważ naucza tego religia, a uznają się za synów małpy, bo ona temu przeczy. W tem cały sekret.

Ale podczas, gdy się tak radowali, prawdziwa nauka pracowała w cichości nad zebraniem dostatecznego szeregu przeciwnych dowodów, drogą najpoważniejszych i niezbitych doświadczeń.

Otóż doświadczenia te dowiodły, że zarówno z punktu widzenia anatomicznego i fizjologicznego, jak i umysłowego, moralnego, religijnego, pomiędzy człowiekiem a małpą jest przepaść, „otchłań olbrzymia (*enormous gulf*) niezmierzona, nie-

---

[1]) Id., ibid. p. 190.

[2]) Patrz wyborne artykuły ks. Lecomte'a, doktora ès sciences, w *Revue Catholique de Louvain*, o darwinizmie i początku człowieka (*Rev.-Cath. de Louv.*, an. 1871, août, nov. et decem. An. 1872, fevr., mars, avr. et mai). Zaczerpniemy wiele z tej umiejętnej i sumiennej pracy.

skończona odległość (*a divergence immensurable, praticall infinite*)," wedle wyrażenia pewnego darwinisty, zwyciężonej oczywistością, [1]) że zatem powstanie człowieka wymagało osobnego wdania się twórczej potęgi.

Zresztą wszystkie te szaleństwa ducha ludzkiego, te zboczenia chorych umysłów mniej wzbudzają w nas żalu, skoro wspomnimy, ile to pięknych prac im zawdzięczamy. Któż przedtem pomyślał o tak dokładnem przestudjowaniu porównawczej anatomii ludzi i zwierząt? I któż przeczuwał całą głębokość otchłani, jaką Bóg wykopał między nimi pod względem budowy anatomicznej, i to aż do tych nawet organów, przez które zdają się najwięcej mieć między sobą podobieństwa. Na pozór jedno i to samo. Przypatrzcie się bliżej, a poznacie całą różnicę.

I tak: człowiek stoi prosto, stopy jego spoczywają mocno i naturalnie na ziemi, wzniesiona głowa zwraca się ku w niebu. I małpa tego próbuje. Zdawałoby się, że choć mniej dobrze chodzi od człowieka, zawsze jednak chodzi. A jednak nie. Małpa łazi, nie chodzi. Zbadajcie kręgosłup, stopy, szwy głowy jednego i drugiej: są to dwie zupełnie różne od siebie istoty. Dowiedli tego: Quatrefages w swojej *Historji człowieka* i głębokiem *Sprawozdaniu o postępach antropologii*, [2]) Duvernoy w swych tak dokładnych i ciekawych *Studyach nad gorylem* [3]) Gratiolet [4]) i Alix [5]) w swoich *Anatomicznych opisach szympansa*; Brinconi w swojem *Studyum nad człowickiem-małpą* [6]) Gordon w swej pięknej pracy *O gatunkach i rasach.* [7]) Jako potwierdzenie tego samego przytoczymy jeszcze wspaniałą pracę Owena: *Porównanie nogi człowieka i małpy* [8]). Ta noga małpia to nawet nie noga, to ręka z wyraźnym wielkiem palcem, jak przystoi istocie łażącej. Dodajmy jeszcze Alix'a uczone *Studjum nad ręką ludzką*, [9]) tym kompasem, który wedle słów Blainville'a zdradza geometrę i sam przez się wystarcza, ażeby między człowiekiem a zwierzęciem uznać nieprzebyty przedział.

---

[1]) Huxley, przytoczony przez ks. d'Argyll, *Primeval Man*, p. 50.

[2]) A. de Quatrefages, *Rapport sur les progrès de l'anthropologie*, p. 244. Paris, 1867.—*Histoire de l'homme*, t. III, p. 31, 32. Paris, 1869.

[3]) Duvernoy, *Archives du Museum*, t. VIII, p. 173.

[4]) *Annales des sciences naturelles*, t. VIII, p. 347.

[5]) Ibid.

[6]) Bianconi, *l'Uomo-scimmia*, p. 49. Bologna, 1864.

[7]) Gordon, *De l'Espèce et des Races*, t. II, p. 119, Paris, 1859.

[8]) Owen. *On the Classification and geographical Distribution of the Mammalia*, 1859.

[9]) Alix, *Recherches sur la disposition des lignes papillaires de la main et du pied.* Annales des sciences naturelles, Zoologie et Paléontologie, t. VIII, p. 346. Paris, 1867.

Przed temi szczegółowemi i dokładnemi pracami zmuszeni byli złożyć broń Huxley, Schaaffausen i sam nawet Büchner.

Ale nic ich bardziej nie zbiło z tropu i nie zmusiło do milczenia, jak prace Bischofa, a szczególnie Aëby'ego, z zakresu kraniologii. Ostatni mianowicie, nader biegły anatom, postanowił przeprowadzić wyczerpujące porównanie między czaszką ludzką i małpią [1]). Dzieło jego zawiera setki i tysiące pomiarów tak jednych, jak drugich. Badania te doprowadziły do wniosku, że czaszka człowieka i czaszka małpy napozór tylko są do siebie podobne; naukowo zaś niema pomiędzy niemi nic wspólnego. Co więcej, niejakie podobieństwo jest tylko w początku, przy narodzeniu; znika zaś w miarę rozwoju. Rozwój obu czaszek odbywa się stale *w kierunku odwrotnym.* A i w tej pierwszej chwili „przedział między człowiekiem a małpą jest zawsze *bez porównania* większy niż między małpą a resztą zwierząt."

Czy to więc badamy ogólną budowę ciała, kręgosłup, miednicę, szwy głowy, czy rozpatrujemy rękę, nogę, czaszkę,— zawsze przychodzimy do tego wniosku, że ze stanowiska anatomii pomiędzy człowiekiem a małpą leży otchłań. Aëby wyraził to w obrazowy sposób: „Nauczyliśmy się uważać typ ludzki jako samotną wyspę, nie połączoną niczem z sąsiednim lądem ssących" [2]).

Darwin nie odpowiedział ani słówkiem na pierwsze te rozprawy.

A przecież ten zarzut, uczyniony jego teorji, najmniej jeszcze przedstawia trudności. Cóż znaczy otchłań anatomiczna wobec otchłani fizyologicznej? Pominiemy tyle zasadniczych różnic, weźmiemy jedną tylko, ale która wystarcza w zupełności do wytworzenia pojęcia o niezgłębionej przepaści pomiędzy najdoskonalszą małpą i najniżej stojącym człowiekiem. Jest nią dar mowy artykułowanej. Już jest co najmniej sześć tysięcy lat, od kiedy człowiek „wzniósł się ponad małpę" [3]). Dlaczegóż ta tak długo pozostaje w zacofaniu? Dla czegóż owe wielkie małpy, „pełne inteligencji i uczucia," pochodzeniem od których tak się szczyci p. About [4]), nie pomyślą o utworzeniu sobie mowy, którąby malowała ich uczucia i pojęcia? Wiecie co na to odpowiadają wyznawcy Darwina? „Jeżeli wielkie małpy nie przemówiły dotychczas, to z powodu,

---

[1]) Aëby, *Les Formes du crâne de l'homme et des singes*, Leipzig 1867.

[2]) Aëby, *Les Formes du crâne* etc., p. 91.

[3]) Renan, *Vie de Jésus*, Introduction.

[4]) About, *Progrès*, p. 17.

iż nie poczuły tego potrzeby“ [1]). Nie są więc podobne do nas którzy potrzebujemy wypowiadać wszystkie uczucia nasz i którzy, prócz języka ogólnego, umiemy wytworzyć każdy sobie swój odrębny, odpowiadający nastrojowi duchowemu chwili.

Napróżno darwiniści dla odparowania ciosów, zadanych przez fizjologję i anatomię, odwołują się do geologji. Wyparci ze świata żyjących chronią się w świat wykopalisk, w czasy przedhistoryczne. Przed kilku laty poruszyła ich wielce znaleziona w Naenderthalu czaszka zdająca się swą zwężoną formą przypominać typ małpy. Ale naprzód odcisk gipsowy, zdjęty z jéj wnętrza doprowadził do zupełnie innych wniosków [2]). Przytem odkrycie mnóstwa kopalnych czaszek, szczególnie w Cro-Magnon (we Francji) i w Strangenas (w Szwecji) stwierdziło, ze w dawnych tych czasach rasa ludzka nie tylko nie zbliżała się do małp, ale przeciwnie, plemiona, zamieszkujące dawniej Europę, przewyższały o wiele niejedno z dzisiejszych istniejących; że tedy, wedle słów Aëby'ego, „darwiniści nie mogą na poparcie swej hypotezy przytoczyć ani jednego faktu ze znanej nam dotychczas historji ludzkości“ [3]).

Już to braku odwagi nie możemy zarzucić darwinistom. Dają jej nadewszystko wybitny dowód, usiłując wykazać w zwierzętach wszystkie władze umysłowe, moralne i religijne które dotychczas przywykliśmy uważać za wyłączne cechy człowieka. Wymagała tego, całość ich systemu; dla niej musieli dowieść razem z p. About, iż owe „pełne inteligencji i uczucia duże małpy i ludzie mają władze *jednakowej natury* różne tylko co do *stopnia* [4]). Ale jakże przeprowadzić podobne założenie? Wychodzimy już tutaj z dziedziny nauki a wkraczamy w dziedzinę kuglarstwa. Bo, oto, albo tak poniżają oni władze umysłowe, że nie możemy się dziwić, że znajdują je u zwierząt, ponieważ posiadają je nawet machiny „Wszystko, co w *jaki bądź sposób zaznacza* związek pomiędzy rzeczami i ich pojęciami—*rozumuje. Jeżeli więc* narzędzie mechaniczne *spełnia czynność rozumną, nie widzę dlaczego nie mielibyśmy mu przyznać zdolności rozumowania*“ [5]). Albo

---

[1]) Dally, *L'Ordre des primates et le transformisme*, p. 21.

[2]) *Congrès international d'anthropologie*, tenu à Paris en 1867, p. 359. Paris, 1868.

[3]) Aëby, *Conclusion.*

[4]) About, *Progrès*, p. 17.

[5]) Huxley, citation de Saint-Georges Mivart, *Revue contemporaine*, janvier 1872.

też odmawiają stanowczo człowiekowi władz, których u zwierząt odnaleźć nie mogą. „Wola zwierzęcia—twierdzi Haeckel—jak i wola człowieka *nie jest nigdy wolną*. Nauka odrzuca stanowczo to tak rozpowszechnione mniemanie o wolności naszej woli“ [1]). Innym znów razem tak wynoszą umysłowe władze zwierząt, że nie można już dopatrzyć się różnicy pomiędzy niemi a człowiekiem. Darwin zapytuje: „Skąd możemy wiedzieć, czy stary pies, mający dobrą pamięć i do pewnego stopnia żywą wyobraźnię, nie rozpamiętywa nigdy przyjemności, jakich doznawał na polowaniu?“ [2]). Dopatruje się w nich poczucia obowiązku, zarodów moralności, a nawet cnot nabytych[3]). „Kiedy psy gończe nie gonią, a wyżły nie stają do zwierzyny, uchybiają swemu obowiązkowi i postępują źle“ [4]). Pies, według Vogta, obawia się rzeczy nadprzyrodzonych [5]). W innem znów miejscu uczony ten upewnia, że koń posiada w wysokim stopniu pierwiastki idei religijnej [6]). Branbach utrzymuje, że pies ma dużo religji [7]). Darwin miał psa, który wierzył w duchy [8]).

Śmiech bierze, słuchając tych teorji i trudno brać je na serjo; wówczas ich twórcy, unosząc się gniewem, oświadczają, bez wahania, że ci, którzy nie podzielają ich poglądów, stoją pod względem umysłowym *daleko niżej od psów*. Warto przeczytać to znakomite dowodzenie. „Niektóre twierdzenia naszych przeciwników, - powiada Haeckel,—dowodzą zdumiewającego braku jasnych i zdrowych pojęć, jakoteż braku związku w procesie myślenia, — stawiąc tem samem swych twórców *niżej od psów, koni i słoni najzmyślniejszych. Zwierzęta te bowiem*, po większej części *nie są krępowane tem mnóstwem zasad i przesądów, które krzywią od młodości proces myślenia u olbrzymiej większości ludzi; tak, że często* u zwierząt *znajdujemy sąd o rzeczach naturalniejszy i sprawiedliwszy*, aniżeli nawet u uczonych“ [9]).

Ponieważ więc „te zwierzęta *po większej części* nie są skrępowane takiem mnóstwem przesądów i zasad,“ nie zawadziłoby objaśnić nas, które mianowicie zrzuciły z siebie owo

---

[1]) *Revue catholique de Louvain*, anée 1871.
[2]) Darwin, *The Descent*.
[3]) Id., ibid., p. 42, 52, 76 etc.
[4]) Id., ibid., p. 32.
[5]) Vogt, t. I, p. 294.
[6]) Vogt, t. I.
[7]) W przytoczeniu Darwina, *The Descent*, t. I, p. 67.
[8]) Id.: ibid.
[9]) Haeckel, *Men. Morphologie*, t. II, p. 436, Berlin, 1866.

upokarzające jarzmo, a które, niestety, jeszcze je znoszą. Ale znakomity uczony nie pomyślał o tem, aby nam wyświetlić tę kwestję; a gdybyśmy go spytali sami, uznałby nas może za zbyt ciekawych.

Prawda, że nie wszyscy darwiniści posuwają się do takich niedorzeczności. Uchodzi to tylko w Berlinie. Ale wówczas rzeczywistość zmusza ich do wyznań, któremi zbijają sami siebie. Przyznają, że między człowiekiem inteligentnym, a niższemi od niego zwierzętami jest olbrzymia przepaść, przestrzeń niezmierzona, nieskończona, — i oto, jak z nią sobie radzą. „Tak samo, jak umysł przenikliwy, widząc na ziemi uprawne rośliny i zwierzęta domowe, nie wiedząc nawet o istnieniu człowieka, wywnioskowałby z nich o obecności i działaniu jakiejś rozumnej, wyższej od nich, istoty, która kierowała ich udoskonaleniem; tak samo, widząc z jednej strony zwierzęta, z drugiej człowieka, musimy wnieść, że *istoty rozumne, wyższe od człowieka, musiały kierować działaniem przyczyn przyrodzonych*, ażeby sprowadzić to przejście od pierwszych do drugiego, które inaczej nie mogłoby się uskutecznić.

Jeżeli tak jest, wnosi bardzo słusznie uczony redaktor *Revue catholique de Louvain*, ponieważ znamy Boga, a nikt z nas, nawet i sam Wallace, nie zna tych przypuszczalnych istot, które miały kierować hodowlą naszych kosmatych przodków i wytworzyć z nich ludzi, czyż nie daleko prostszą i naukowo lepiej uzasadnioną rzeczą będzie przypuścić, że *człowiek jest bezpośrednim tworem Boga?* To chyba jasne jak słońce.

V.

Mamy już tedy naukowe dowody, że Bóg kilka razy wdawał się czynnie w sprawy tego świata. Po pierwsze, stworzył materję; powtóre uporządkował ją według zawczasu nakreślonego planu; potrzecie, stworzył rośliny; poczwarte—zwierzęta, a po piąte — człowieka. Dowodzą tego nietylko księgi święte, ale także astronomia, geologja, fizjologja, anatomja i fizyka.

Jeżeli zaś Bóg kilka razy brał czynny udział w stworzeniu i uporządkowaniu świata, może wdawać się i nadal w bieg jego wypadków.

Le Play robi tę uwagę niektórym uczonym, którzy od-

[1]) Wallace, *Contributions to the theory of natural selection: a series of essayes*, London, 1870.

rzucają interwencję, o której mówiliśmy, przyjmując ją w dwóch jedynie wypadkach. „Jeżeli, mówi, ma to być przeciwne rozumowi, aby Bóg stworzył świat przez szereg następujących po sobie aktów, niewiem w czem miałoby mu lepiej dogadzać przypuszczenie dwukrotnego aktu stworzenia — raz materji nieorganiczonej, a drugi raz pierwszego żyjącego zarodka. Jeżeli nie ubliża to Bogu, że po tylu wiekach czysto mineralnych zjawisk, które zaznacza geologja, stworzył ten zaród życia, — to dlaczegożby ubliżać Mu miało kierowanie temi nieustannemi przemianami, których ślady odnajdujemy na ziemi i na niebie? Argumenty niedowiarków sprzeciwiają się nawet prawu harmonji i konsekwencji, nieodłącznemu w umyśle naszym od Wszech Potęgi: rozum, dostrzegłszy jednorazowe wdanie się Boga, z konieczności wyprowadza z niego wniosek bezustannej Jego interwencji. Ta to zasada tworzy główną podstawę wszystkich wyznań. Prawdą więc jest, że badanie otaczającego nas świata skłania umysł raczej ku religji, aniżeli ku niedowiarstwu [1]).

Ale nauka objaśnia wzajemny stosunek Boga i człowieka i w inny sposób, jeszcze godniejszy uwagi od tego prawa konsekwencji. Przypomnijmy sobie ten tak wychwalany w wieku XVIII system niewzruszoności praw natury, które miały być do tego stopnia nieugięte, że wmieszanie się wolnej woli musiałoby pociągnąć za sobą zagładę całego gmachu. Z jego pomocą filozofowie mieli nadzieję wykluczyć Boga od wszelkiego mieszania się do spraw tego świata. Otóż nauka nowoczesna rozproszyła to ciasne i fałszywe pojęcie o świecie i dąży do ukazania nam planu stworzenia w nowem świetle, które będzie zarazem światłem religijnem.

Zobaczmyż, czy zrobiła ona jakie odkrycia w rozległych dziedzinach stworzonego świata. Zrobiła ich aż trzy, wykazujące jego prawdziwą piękność.

Pierwsze, że świat jest całokształtem sił, oddziaływających nieustannie jedne na drugie wedle praw ogólnych i stałych.

Drugie, że siły te są podporządkowane jedne drugim, tak, iż silniejsze na każdym kroku znoszą, miarkują lub zawieszają czynność sił słabszych.

Trzecie nakoniec, że duch krąży swobodnie wśród tego zbiorowiska sił, rządzących materją. Miarkuje, zawiesza lub znosi jedne za pomocą drugich i staje wobec nich wszystkich jako pan i władca.

[1]) Le Play, *La Réforme sociale*, t. I, p. 53.

Oto jest ogół praw natury, a stanowią one najwyższe jej piękno. Bo wyobraźmy sobie, że duch jest niewolnikiem tych praw, czyżby następstwem tego nie musiał być jego bezwład? A znowu gdyby mógł je dowolnie naruszać czyż tem następstwem nie byłby bezład? Tymczasem są one niewzruszone, my zaś jesteśmy wolni, a swoboda ta wzrasta wraz z naszym geniuszem. I to właśnie jest cudownem.

Prawem naprzykład jest przyciąganie do środka ziemi wszystkich ciał, które się na niej znajdują. Nie przeszkadza nam ono wszakże rzucić kamienia w górę. A kiedy on wznosi się, ulegając nadanemu sobie rozpędowi, przyciąganie do środka ziemi nie przestaje istnieć, jest tylko poprostu zwalczone i przezwyciężone chwilowo przez siłę odeń silniejszą. Balon, obciążony załogą z dziesięciu osób i prócz tego balastem z kamieni, powinienby leżeć na ziemi. Tymczasem wznosi się w górę i to do znacznych wysokości. Dlaczego? Dlatego, że człowiek użył tu swej wolnej woli i rozumu, i siłe przyciągania przeciwstawił inną, potężniejszą od niej, która unosi balon w górne przestwory. A kiedy my codziennie i po sto razy na dzień tak czynimy, dlaczegóż nie miałby czynić tego Bóg. Oto dziecko umiera. Jest chore, a lekarz nie może rozpoznać jego cierpienia. Matka modli się, składa ręce dziecka do modlitwy. Wieczorem przychodzi lekarz. Niedostrzeżony wpierw objaw zwraca jego uwagę. Zastosowuje lekarstwo; dziecko powraca do zdrowia. Czy było tu jakie naruszenie praw natury? Bynajmniej. A czy nie mogło tu być wdanie się Boga? Dlaczegożby nie?

Inny przykład. Jestem muzykiem, poetą, mówcą. Przemawiam, śpiewam. Czyż niezmienne prawa rządzące słowami i muzyką, krępują wyraz moich uczuć i myśli? Moich, tak jest, bo jestem nędznym twórcą, nędznym artystą. Ale spójrzcie na mistrza; jego te same prawa wspierają, unoszą. Porusza się pośród nich swobodny, i natchniony. Wyciska łzy, wzbudza dreszcz trwogi, wprawia duszę w zachwyt, i jak słusznie ktoś powiedział o słowiku, potrzebuje tylko zmienić ton, aby radosne pienie przemieniło się w hymn boleści. Słaby to obraz Boga! Znając wszystkie siły, gra on na nich, jak na strunach olbrzymiego instrumentu, z mistrzowstwem twórcy instrumentu, i zsyła nam wedle swojej woli, nadzieję, ból lub radość, aby nas zachęcić do dobrego, albo też zmieniając nagle ton, gdy Go o to prosimy, kładzie kres cierpieniu i darzy dusze nasze pokojem i szczęściem.

A wszystko to bez naruszenia żadnego z praw natury,

działając tylko jednemi na drugie, „zmieniając ton," jak to my sami czynimy.

Oto plan świata poznany przez nas z pomocą nauki, i szlachetna rola wyznaczona w nim dla ducha. A im duch jest potężniejszym, im lepiej potrafi miarkować, zawieszać, ustosunkowywać ogólne prawa, tem się bardziej wyzwala z zależności od nich i wyzwala nas razem z sobą. Człowiek dziki ociera się codziennie o te potężne siły, za pomocą których stworzyliśmy cuda, nie przeczuwając ich zupełnie. A i my sami, ileż to czasu patrzaliśmy bezmyślnie na wrzącą wodę, dopóki przenikliwy wzrok geniuszu nie odkrył w niej siły i jej nie ujarzmił? Tak się rzecz miała z piorunochronami, z telefonami i z tylu innemi siłami przyrody, których my ślepi nie potrafiliśmy się dopatrzyć. Teraz staracie się kierować tym balonem, o którym wyżej wspomniałem, usiłujecie użyć go jako środka komunikacyjnego. I słusznie. Nie siły tu brak; olbrzymi magazyn przyrody ma jej podostatkiem. Brak wam tylko genjuszu, któryby potrafił ją znaleźć. I znajdziecie w końcu tę siłę i wiele innych, a ponieważ, dzięki drukowi, żaden wynalazek nie ginie, zbliżają się czasy, w których ogólne prawa coraz mniej będą krępowały ludzkość. Wówczas sprawdzi się orzeczenie Bacon'a, że mało nauki oddala od religji, a wiele nauki zwraca ku niej. W istocie, człowiek, uwolniwszy się z pomocą genjuszu od mnóstwa praw, rządzących światem, nie będzie się już dziwił, że Bóg nie podlegał nigdy żadnemu z nich, a znosząc się sam ze wszelką łatwością, pomimo oddalenia ze swymi ukochanymi, zrozumie, że Bóg to czyni także, że prawu przeciwstawia prawo, sile—siłę, jak i my sami, a potężniejszy od nas i mędrszy, posługuje się wszystkiemi temi siłami, jako swem narzędziem.

Prawda, że czasem, w rzadkich wypadkach, to wdanie się Boże przybiera, aby zwrócić naszą uwagę, inny charakter, inny zresztą dla nas, nie dla niego. Prawa natury, niewzruszone zazwyczaj i co do wszystkiego, czasem i pod pewnym jakimś względem ulegają istotnie zmianie. Ale i tu nastręcza się pytanie: dlaczego mielibyśmy odmawiać Bogu władzy, której sami używamy codziennie? Zaszczepiacie szlachetną płonkę w drzewo dzikie, nie rodzące owocu, i oto ku swemu własnemu zdumieniu pokrywa się ono nim pierwszy raz w życiu. Ten kwiat prosty i biały z natury i ta róża, którą Bóg stworzył różową, przybierają najrozmaitsze barwy i wonie. A cóż rzec o zwierzętach, zwróconych z przyrodzonej swej drogi? o tych gatunkach nowych, niesłychanych, cudownych, z których tak jesteście dumni! Ale nadewszystko cóż rzec o ważniejszych nierównie cudach chemji, fizyki, biologji? Komuż przyszłoby

na myśl, aby człowiek wynalazł sposób usuwania bólu, odejmowania całych członków, rozcinania najstraszniejszych wrzodów tak, aby chory nie poczuł nawet tego? Któżby uwierzył, aby człowiekowi osłabionemu, wycieńczonemu chorobą, cierpiącemu na brak krwi, można było wlać krew obcą, krew człowieka zdrowego i przywrócić go przez to do życia? „Małe cuda zapewne, —mówi pewien znakomity krytyk,—ale, uwzględniwszy stosunek, czyż wielkie robią się inaczej? Jak jedne tak i drugie naruszają pozorny porządek przyrodzony, ale czy naruszają porządek istotny? Czy łańcuch przyczyn i skutków zostaje przerwany dlatego, że nasi ogrodnicy szczepią, krzyżują, wytwarzają nowe odmiany? Wcale nie. Dlaczegoż więc nie mielibyśmy uwierzyć, że w wyższym zakresie, w ogólniejszym biegu rzeczy mogą się wydarzyć innego rodzaju naruszenia, nagłe uzdrowienia, zdumiewające przemiany, niezwykłe objawy woli lub jasnowidzenia, bez obalenia zwyczajnego porządku? Wszystko zależy od rodzaju potęgi, jaką przypisujemy Sprawcy tych faktów, Temu, który, kierując wszystkiem, tak samo jest mocen utworzyć wyjątek, jak i prawidło“ [1]).

Nie pisaliżeście sami: „Kto wie, czy nauka, mistrzyni życia, nie zmieni jego warunków, czy wszechwiedna biologja nie da nam nowego życia?“ [2]) To znaczy: Któż wie, czy nauka nie sprawi cudu?

Dozwalacie więc czynić cuda nauce, wzbraniacie Bogu!

VI.

Jest więc pewnem, że Bóg może wdawać się w sprawy ludzkie. Może, ponieważ czynił to. Czynił to kilka czy kilkanaście razy, może więc czynić to zawsze. Może to uskuteczniać bez naruszenia praw natury, kombinując tylko jedne z drugiemi, jak to i my czynimy. Może również w tym celu naruszać pozornie owe prawa, jak to czynią ludzie, chcąc wywołać zjawisko niezwykłe, nie piękniejsze od zwykłych zjawisk, ale które, jako rzadkie, zwraca na siebie wzrok i uwagę; oto wyniki, do których doszli, a sądząc z przeszłości o przyszłości, zbliżamy się do czasu, w którym nauka rzuci nowe i rozstrzygające światło na kwestję stosunku Boga z człowiekiem.

Zauważcie, żem się powoływał tylko na nauki przyro-

[1]) Vitet, *La Science et la Foi*.
[2]) Renan, *Revue des Deux Mondes*, année, 1861,

dnicze, a wszak tyle innych równie ważnych nauk składa dzisiaj takież same świadectwa!

Człowiek został stworzonym, przemówił. Skądże nauczył się mówić? Czy sam przez się? Tego nie przypuszczał ani Platon w starożytności, ani Rousseau w nowszych czasach, a zarówno Humboldt w imię lingwistyki, jak i Bonald w imię filozofii wykazują, że tutaj zaszło wdanie się Boże.

Człowiek jest stworzonym, mówi; zostaje ojcem. Skądże wzięła się dusza jego dziecka? Skąd biorą się dusze tylu dzieci, przychodzących na świat codzień? Czy według was z materji? A może z drugich dusz? A może wyobrażacie sobie, że były stworzone wszystkie jednocześnie, ale pozostawały gdzieś na składzie, bez myśli, bez uczuć, bez pamięci? I tu więc trzeba przyjąć bezpośrednie i ciągłe działanie Boga.

Człowiek umiera Jeśli nie jesteście pogrążeni w przepaściach materjalizmu, wierzycie, że będzie osądzony i wedle swych zasług wynagrodzony lub ukarany. Ale i na to interwencja Boga jest również potrzebną.

A idąc dalej, wszak pomiędzy tą kolebką, potrzebującą bądź co bądź Boskiego działania, a grobem, gdzie zarówno z Platonem, jak z Chrystusem trzeba przyjąć także interwencję Bożą, człowiek żyje? Ale czemże jest życie? Czyż nie bezustannem tworzeniem? Czyż nie popadlibyśmy w każdej chwili napowrót w nicość, z której wyszliśmy, gdyby ręka, która nas z niej wywiodła, przestała nas choć na chwilę utrzymywać? Czytajcie Bossueta, Leibnitza, Malebaranche'a, Fénelona, Kartezyusza, a dowiecie się, czy świat mógłby istnieć bodaj godzinę, bez ciągłego Boskiego kierownictwa.

Nie robię nacisku; pozostaję w granicach nauk ścisłych i filozofji ludzkiej. A cóż byłoby, gdybym zajrzał w dziedzinę historji? Wykazałem odrębność człowieka od istot niższych, względem których jest on jakoby „samotna wyspa, zupełnie oddzielona od sąsiedniego lądu ssących.“ Gdybym chciał, czyżbym nie mógł przeprowadzić tego samego twierdzenia względnie do Jezusa Chrystusa w porównaniu z innymi ludźmi? Jak roślina jest cudem w porównaniu z kamieniem; jak zwierzę w porównaniu z rośliną jest także cudem; jak człowiek nakoniec jest cudem jeszcze większym w porównaniu ze zwierzęciem; czyżby tak samo nie można udowodnić, że Chrystus w porównaniu z całą ludzkością jest cudem? Życie Jego i doktryna nie przyszły nam drogą dedukcji. Stanowi ono ogromny przeskok. Jego nauka, życie, cnoty, wznoszą się ponad Jego czasy i wszystkie czasy, ponad Jego naród i wszystkie narody; nikt ich nigdy nie prześcignął; co mówię! nikt im nawet nie dorównał. Literalnie Chrystus jest jak samotna wyspa, zupełnie oddzielona od sąsiedniego lądu ludzkości.

Ale nie będziemy kładli nacisku na ten ważny i uroczysty fakt w historji świata, na to odrodzdnie ludzkości równie nadprzyrodzone, jak niem był jej początek. Poświęcimy temu niebawem tom cały. Tymczasem zadowolimy się faktami, które nauka stwierdziła, wszyscy prawdziwi uczeni przyjęli, a które rzucają jasne światło na wielkie zagadnienie religii, na święty związek Boga z człowiekiem.

Oto więc ostatnie słowo, stanowczy wynik wszystkich naszych cudownych odkryć:

Bóg zawsze wielki;

Człowiek zawsze, niestety, słaby i ułomny;

Pomiędzy jednym zaś i drugim wciąż powtarzające się a stwierdzone przez naukę działanie Boga, które, nas zmusza jak mówi Le Play, do uwierzenia „W jego stałą interwencję".

A ta stała interwencja Boga, to właśnie religia, którą określiliśmy jako spotkanie Boga i człowieka, ich uścisk wzajemny.

— . —

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Zarzuty i błędne rozumowania niewiary(*ciąg dalszy*). **Czy prawdą jest, że wielkie narody tegoczesne odrzucają religię, a odrzuciwszy ją, stają się większymi i szczęśliwszymi?**

Niema więc w naukach ścisłych nic coby się sprzeciwiało religii; ale jakże się rzecz ma z historją? Czyż nie widzimy, jak nowoczesne wielkie narody coraz bardziej zaniedbują praktyki religijne? A nawet czy nie są one tem większe, im się zupełniej wyzwoliły z pod jarzma? A co się tycze Francji a nawet Europy, czyż upadek wiary nie idzie w parze z najbujniejszym rozwojem umysłu, i czy cywilizacja nie najszybciej wzrasta tam, gdzie nie jest krępowana i przygniatana balastem pojęć i praktyk religijnych?

To też mówi tak wiele osób, a zarzut ten, chociaż zasadzający się na błędnem zrozumieniu rzeczy, wywiera wpływ wielki.

„Prawda,—przyznaje Le Play,—że pewne narody, wysoko stojące pod względem dobrobytu i potęgi, a szczególnie Francja zaniedbały od początku XVIII stulecia, religię; ale osłabnięcie najpotrzebniejszych czynników moralnych i nieporządki, zaszłe w społeczeństwie, nie omieszkałych ostrzedz, że schodzą z dróg cywilizacyjnych. Ludy zaś, uznane dziś za

stojące najwyżej, nie przechodziły przez to wszystko i przewyższają inne wiarą silną i niewzruszoną" [1]).

Spróbujmy wyjaśnić gruntownie te dwa podstawowe założenia, dodając w ten sposób nowy, bardziej jeszcze uderzający dowód do tych wszystkich, jakieśmy już przytoczyli na poparcie naszego twierdzenia, że społeczeństwa nie mogą się obyć bez religii. Przez wzgląd na tych, którzy nie wierzą, nie trzeba im pozostawić wątpliwości, ani pozoru do niej.

I.

Zgodzicie się zapewne ze mną, że Anglicy i Amerykanie północni są to dwa wielkie narody; oba wolne, potężne i handlowe, pokrywają Ocean swemi flagami, a kulę ziemską koloniami. Jeden z niewielkiej wyspy rozszerzył swe panowanie na obszar większy od państwa Aleksandra i Cezara i liczy sto siedemdziesiąt cztery miliony poddanych; drugi, młody jeszcze, pachołę niemal pozwala już teraz z cudów otaczających jego kolebkę wnioskować o tem, czem będzie w wieku dojrzałym. Oba silne i swobodne, bogate i mężne, śmiałe i roztropne—jednem słowem, gdyby nie Francja, największe narody naszych czasów.

Jakiż jest charakter tych dwóch narodów? Nikt mi nie zaprzeczy, że oba są głęboko religijne.

Anglia zaznała chwilowo niewiary, ale zdrowy rozsądek wskazał jej niezwłocznie, że religia jest podstawą społeczeństw, że zapewnia im bezpieczeństwo i wielkość.—zabrała więc znowu swoje dawne miejsce na czele ludów, których chlubą jest religijność. Tylko, niestety, udzieliła przedtem jadu niewiary innym narodom, na podobieństwo tych chorych, którzy wracają do zdrowia, zaraziwszy wprzód innych swem cierpieniem. Posłuchajmy tutaj Le Play'a: „Wszyscy oświeceni ludzie w Anglii widzą w religii chrześcijańskiej zasadę nowożytnej cywizacji, źródło pomyślności powszechnej i podstawę wolności i Żaden autor, dbający o opinię współobywateli, nie wyraża przeciwnego zdania; patrzanoby na niego jak na burzyciela społeczeństwa. Wszyscy, którzyby ośmielili się wystąpić w tej materji, byliby wykluczeni, za wspólną zgodą rodziu, z każdego uczciwego towarzystwa.

„Mężowie stanu. uczeni, autorowie, artyści oraz ci, którzy zajmują wysokie stanowiska w rządzie, w armii, w admini-

---

[1]) Le Play, *La Réforme sociale* 6 lit. in 12, t. I, p. 74.

stracji, w rolnictwie i przemyśle, jednem słowem wszyscy, którzy chcą kierować opinią publiczną, głoszą te zasady skwapliwie przy każdej sposobności.

„Każdy, postawiony wysoko w społeczeństwie prawem dziedzictwa lub własną zasługą, wie, że daremnieby usiłował przekazać dalszym pokoleniom swojego rodu chęć do pracy, dobre obyczaje i wynikający z tego dobrobyt, jeżeli nie wszczepi swym dzieciom dobrych tradycji, jakie dostał od przodków, a których podstawą są zasady religijne. Wszyscy tam pojmują, że przy najlepszem nawet usposobieniu niższych warstw narodu, porządek społeczny tylko w takim razie jest zapewniony, jeżeli klasy rządzące czerpią pobudki postępowania i kierunek wykonywanej przez się władzy w silnych przekonaniach religijnych“ [1])

Przekonania te, tak ugruntowane w umysłach, harmonizują zresztą najzupełniej z zamiłowaniem swobody, z dzielnością umysłową i fizyczną, jakie cechują naród angielski. Nie uważa on religii za nieprzyjaciółkę nauki ani wolności, i to daje jej ostatecznie niezachwiane stanowisko w tym kraju. Posłuchajmy dalej Le Play'a: „Anglicy pomimo że uważają stale religię za podstawę swej narodowości, cenią wysoko korzyści, wynikające ze znajomości prawd naukowych i z wolnego roztrząsania zasad. Rozumieją oni, że siła społeczeństwa nie zależy od jednej tylko mocy wiary, bo narody niższe o wiele od innych były nieraz religijniejszymi. Siłę tę mierzą przedewszystkiem ilością swobody, którą wierzeniu narodu znoszą bez osłabnięcia. Wykonywanie praktyk religijnych łącznie z nieustannem kształceniem umysłu, przyzwyczaja do podziału rzeczy, na podlegające i niepodlegające dyskusji. Umysł, przyzwyczajając się w ten sposób do wiary w życie przyszłe bez podawania w wątpliwość prawd, które nam objawiła Przedwieczna Mądrość, rozwija się i potężnieje.

„Taki widok przedstawia nam od dwóch wieków w Anglii potężny stan trzeci. Czerpiąc natchnienia zarówno z Pisma Świętego, jak i z nauki, z jednakową pilnością uczęszcza on do swych świątyń jak do swych warsztatów i pracowni a przestrzegając z przekonania praw religii i moralności, wytrwałą swą pracą zmienia powierzchowność kuli ziemskiej. Podczas kiedy Francja, osłabiona niewiarą, marnuje siły w krwawych rozterkach i pracą pokojową nie sięga prawie poza zakres zdobyty w wieku XVII, Anglia ogarnia cały świat

[1]) Le Play *La Réforme sociale*, édit. in 12, t. I, p. 74.

swemi fabrykami, przedsiębierstwami swych kupców i kolonistów" [1]).

Proszę tu czytelnika o zwrócenie uwagi na to, że piękne te słowa są wynikiem najdokładniejszych i najbezstronniejszych badań. Drogą doświadczenia i sumiennej obserwacji powracamy do pierwotnych zapatrywań wszystkich wielkich umysłów, do tego, co orzekli Platon, Arystoteles, Cyceron i Plutarch, cała starożytność grecka i rzymska; do tego, co wyznawał naród żydowski, czego naucza chrystjanizm. Religia podnosi narody; Bóg stwarza ludy. Najreligijniejsze z nich będą zawsze najwolniejszymi, najczystszymi, — jednem słowem: największymi. Jeśli chcemy więcej dowodów, zwróćmy się do Ameryki."

II.

Tu przykład jest jeszcze bardziej uderzający, właśnie dla tego, że to naród młodszy, świeżo osiadły, rozrzucony na ogromnej przestrzeni, bez silnej politycznej spójni, — że to nie stara monarchia, ale młoda rzecz pospolita. Powiedziano, iż Anglia jest dziełem mnichow, a Francja biskupów; Amerykę stworzyli wyznawcy. Dała jej początek religia, ale religia prześladowana i szukająca schronienia. To też pierwszym jej aktem było oddanie religii pod opiekę wolności; nie tej wolności, która gardzi wszelką religią, ale tej szczytnej wolności, która szanuje wszystkie sumienia. A oddawszy swą starą religię pod straż wolności, oddała młodą swoją wolność pod straż religii. I z tego to podwójnego a świętego przymierza powstała Ameryka.

Istotnie religia nie tylko była przyczyną powstania narodu amerykańskiego, ale jest nadto warunkiem jego bytu, bo umożebnia jego wolność. „Podczas gdy prawo pozwala mu czynić wszystko, — powiada Tocqueville, — religia wzbrania mu ważyć się na wszystko i wszystko przedsiębrać." [2])

I to właśnie utrzymuje społeczeństwo przy życiu, bo, jak słusznie dodaje ten sam autor: „jakżeby społeczeństwo mogło istnieć, gdyby więzy moralne nie zacieśniały się w miarę rozluźniania się więzów politycznych? I co począć z narodem, który nie jest poddany nikomu, jeżeli nie jest poddany Bogu?" [3])

[1]) Le Play, *La Réforme sociale*, édit. in 12, t. I, p. 74.
[2]) De Tocqueville, *De la Démocratie en Amérique*, t. II, p. 217.
[3]) Tamże, t. II, p. 221.

To też, jak tylko stąpimy na ląd amerykański, czujem że mamy przed sobą naród wolny i wierzący, i dlatego tylk wolny, dlatego wyzwolony z tysiąca więzów, które na krępują w Europie, że jest wierzącym. Składnikami atmosf ry, którą oddycha tam dusza, jest wolność i wiara; i jak natychmia stowe zatrucie byłoby następstwem pozbawienia nas tlen grobem wolności w Ameryce byłoby pozbawienie jej religi Wszędzie też spotykamy się tam z religię, w prywatnyc rozmowach i w urzędowych dokumentach, w życiu rodzinne i państwowem; nie podawana w wątpliwość, nie budząca zawi ści, niekrępowana niczem jest ona przeciwnie pożądana prze wszystkich, jako najkonieczniejsza dla oddechu składowa część powietrza, jako niezbędny warunek życia.

Tocqueville, który tak wiele poczynił spostrzeżeń nad Ame ryką i przebiegł ją we wszystkich kierunkach, pozostawił nam co do tego bardzo pouczające dane. Mamy w jego notatkach z podróży żywcem uchwycone zdania i uczucia ludzi i najzna komitszych i mało znanych, urzędników, adwokatów, kupców żołnierzy, ojców rodzin, nawet młodzieńców: wszystkie głosy brzmią jednozgodnie, skoro idzie o stwierdzenie, że niema spo łeczeństwa bez religii.

Nic też dziwnego, że te wielkie myśli, te silne przeko nania ogółu znajdują oddźwięk w dokumentach urzędowych Od Waschingtona, który podpisując konstytucję amerykańską uświęcił w niej jednocześnie podwójną zasadę wolnej wiary i wierzącej wolności; od Franklina, który chciał, aby posiedze nia kongresu rozpoczynały się modlitwą, czego przestrzegano odtąd zawsze,—aż do Abrahama Lincolna i Williama Johnsona którzy w tej strasznej przełomowej dobie, jaką przebyły Stany Zjednoczone, dali słyszeć zadziwionej Europie słowa dla nie tak nowe, bo głęboko chrześcijańskie,—wszyscy prawodawcy i wszyscy mężowie stanu mówią tak samo; a jest rzeczą jasną, że ten religijny nastrój, to publiczne słowo zwracające się do Boga z błaganiem o przebaczenie, z prośbą o pomoc, z dziękczynie niem, nie utrzymałoby się na ustach przedstawicieli narodu, tych jego prezydentów zmieniających się tak często, gdyby nie tkwiło głęboko i nieznajdowało oddźwięku w gorąco wierzą cej duszy ludu.

Życie chrześcijańskie tych ludów ma jeszcze jedną zna mienną cechę, świadczącą o ich szczerej i silnej wierze. Jest nią święcenie niedzieli [1]). Oba te ludy tak czynne i ruchliwe, dla

[1]) Patrz godne uwagi artykuły, ogłoszone w r. 1869 w *Corespondant*, „*Ostanie chrześcijaństwa w Ameryce*.“ Pod osłoną bezimienności ukrywa się jeden z najznakomitszych umysłów tegoczesnych.

których czas to pieniądz, zaprzestają posłusznie i ulegle pracować, skoro dzwony ogłoszą dzień Pański. Nie słychać huku młotów, turkotu kół; niema poczty, pociągów zaledwie kilka. Winiarnie, bilardy, kawiarnie — wszystko zamknięte. Jakaż to tajemnicza siła powstrzymuje tych ludzi, trawionych przez sześć dni gorączką pracy? Czyż nie prawda, że musi nią być jakaś wielka ideja, wyższa nad wszystkie ziemskie uczucia i interesy? Tak, tą siłą jest przekonanie, że bez wiary niema społeczeństwa, że jeżeli coś może się bez niej obejść, to chyba tylko despotyzm, ale nigdy swoboda. Jakażby to była radość dla sceptyka, gdyby taki lud stał niżej od wszystkich innych! Ale nie: jest on najswobodniejszym, najbardziej przemysłowym, najczynniejszym, najpotężniejszym. Zaiste dowód to, że wielkie narody nie są na drodze odstępstwa od wiary i że nie to jest warunkiem ich wielkości.

Jeśliby kto zarzucił mi tutaj, że Ameryka jak również i Anglja odszczepiły się od Kościoła, — to oprócz tego, że mógłbym spytać, kto stworzył Anglię, a zatem i Amerykę, jej córkę, kto dał Anglji wszystkie te instytucje, którym ona zawdzięcza swój spokój i swą wolność: sąd przysięgłych, parlament, uniwersytety, narodowe swobody, co wszystko powstało przed odszczepieństwem i przetrwało je bez zmiany, zauważę tylko, że nie zajmuję się tu porównaniem narodów katolickich z protestanckimi. Przyjdzie czas i na tę ważną kwestję; nie mam zamiaru jej pomijać. Teraz chodzi nam tylko o to, czy wielkie narody nowożytne są religijne czy też nie, i czy bezreligijność przyczynia się do ich wielkości. Otóż Anglja i Ameryka (a mógłbym tu dodać i Niemcy - delikatność każe mi o nich zamilczeć), — Anglja i Ameryka są to dwa bardzo wielkie narody i oba bardzo religijne, co wystarcza na stwierdzenie mojego założenia. Poprzestaję na tem. Śpieszno mi przejść do Francji, do tego nadzwyczajnego narodu, który Bóg na to, zdaje się, stworzył, aby dawać przezeń nauki światu; a nigdy chyba nie dał bardziej bijącej w oczy i skuteczniejszej, jak dowiódłszy naprzód przez wielkość Francji, a dziś przez jej nieszczęścia, jak bardzo najhojniej nawet uposażone narody potrzebują Boga i religji. Pozwólcie mi zająć się szczegółami i wybaczcie, jeżeli się nad nimi zatrzymam dłużej: o mojej ojczyźnie mówić będę.

III.

Długaby to była i bolesna historja, gdybyśmy zechcieli opowiedzieć, jak uczucia religijne były u nas podkopywane

i tłumione. Trzech stuleci trzeba było, aby zburzyć ustr religijny Francji. Trzech stuleci, a jakich wysiłków! Dusz Francji napastowaną była ze wszystkich stron naraz. Ni szczędzono niczego, by wygładzić z jej pamięci chrzest a dc kazano tego zaledwie w połowie. „Mam umysł bardzo niedowie rzający, a duszę nadzwyczaj religijną," mówił jeden młodzie niec tegoczesny. Czyż to nie obraz dzisiejszej Francji? Na szczęście dopowiada on: „Ponieważ umysł z natury swojej pod daje się duszy, jest prawdopodobnem, iż kiedyś zostanę chrze ścijaninem." Nim to nastąpi z Francją, zobaczmy, czy wzra stała ona w potęgę w miarę tego, jak traciła wiarę? Któż ośmieli się utrzymywać coś podobnego? Owszem, któż nie czu je, jak głęboko dziś jest podminowane społeczeństwo francu skie, i kto nie widzi, że dlatego jest takiem, że brak mu Bo ga? Podobnem jest ono do lokomotywy, pędzącej po pochy ości bez hamulca i steru, zawsze jeszcze w spaniale pięknej, ale pięknością wzbudzającą trwogę, bo właśnie ta to piękność pcha ją do przepaści.

„Żaden naród nie istniał nigdy bez zasad religji," mówi Rousseau. Ale gdyby i istniał kiedy taki naród, jedyny w swoim rodzaju, któryby mógł utrzymać swój byt zaszczyt nie, zerwawszy to pierwotne przymierze, źródło swojej siły,—to nigdy Francja. Dlaczego? Sam tego nie wiem. Może dlatego iż Bóg chciał w niej mieć dzieło doskonałe, a niemaż takiego bez promienia z góry. A może, ponieważ stworzył ją do ja kiegoś wielkiego posłannictwa moralnego i religijnego, które go ona nie może spełnić bez ścisłego z Nim zjednoczeniu. Bądź co bądź, jeżeli to jest tajemnicą, jest niemniej faktem. I chętniebym powtórzył o Francji to, co wyżej mówiłem o ko biecie: „Nie psujcie się, rzeczy najlepsze, bo staniecie się naj gorszemi!"

Poczucie tego istniało w chwili narodzin Francji, poczu cie niejasne, ale niemniej głębokie. Żaden naród nie ma podobnej genezy; a okoliczności, towarzyszące temu jego wystąpieniu na widownię, jedynemu w rocznikach świata, wzbudziły we współczesnych świadkach przeczucie, że przygo towuje się coś wielkiego i wielkiego religijnie. Świat był w zupełnem rozprzężeniu. Z jednej strony stare rasy rzym skie chyliły się do upadku przez swoje zepsucie, ponieważ gangrena wdała się już była we wszystkie ich rany, a śmierć ich była nieuchronną. Z drugiej strony nadchodziły młode ple miona barbarzyńskie, gorące, dzikie, o umyśle zaćmionym błę dami, o sercu hardem i pijanem pychą, o rękach zakrwawio nych. Przerażenie ogarnęło wszystkie dusze. A stojący w środku między tymi przedstawicielami zwyrodniałemi świata rzymskiego a dzikimi świata barbarzyńskiego Kościół, szukał

smutnie wzrokiem, nie ktoby mu podał pomoc, ale z jakich żywiołów mógłby zacząć odbudowywać się nanowo.

I w tej to chwili ukazuje się Francja. Rodzi się na polu bitwy, jak przystało żołnierzowi i z aktu wiary, z wejrzenia ku niebu, jak przystało apostołowi; schyla kornie głowę pod błogosławiącą ręką bezbronnego starca, jakby na znak, że powołaniem jej będzie zastąpić brutalną prawem siłę; a ta wiara chrześcijańska zstępuje na nią z natchnienia kobiety, małżonki, matki i dostaje się ludowi po przez duszę jego wodza i króla Złączyły się więc tu najsympatyczniejsze cechy. Świat był olśniony tem wdzięcznem i dumnem zjawiskiem. A chociaż. odtąd Francja, jak człowiek w różnych epokach swojego wieku, zmieniała oblicze postawą, nigdy późniejsza jej piękność nie przewyższała, nie dorównała może nawet tej pierwszej.

A jakże odpowiednią dla wielkiego i z wielkiem posłannictwem narodu była ta ziemia, na której osiedlił się Klodoweusz ze swoim ludem! Najuczeńszy geograf starożytności, Grek, Strabon, przejęty był podziwem na jej widok i powiedział, że ujrzawszy ją, trzeba wierzyć w opatrzność bogów, w świetne przeznaczenie ludu, który ją bierze sobie za siedlisko. W istocie, położona w środku i jak gdyby w sercu Europy, w bezpośredniem sąsiedztwie wszystkich wielkich narodów, a jednak odosobniona i zabezpieczona od nich wodami i górami, z drugiej strony otwarta na Atlantyk i morze Śródziemne a więc połączona z całym światem, Francja ma pozycję wyjątkową i jakby umyślnie dla niej przez Boga wybraną. Podziw zaś nasz i wdzięczność wzmogą się jeszcze, kiedy po rozpatrzeniu tych zewnętrznych warunków naszego kraju zwrócimy oczy na jego wewnętrzne ukształtowanie, na przerzynające go w różnych kierunkach góry, dostatecznie wysokie dla uregulowania systemu wód, nie tyle przecież, aby przeszkadzały komunikacji; jego urodzajne na doliny wydające kwiaty i owoce rozmaitych klimatów; na wzgórza pokryte winnicami, na wspaniałe rzeki; na tę tak piękną i harmonijną przyrodę. Im dłużej przypatrujemy się tej niepospolitej całości, tem bardziej utwierdzamy się w przekonaniu, że Bóg stworzył Francję tak piękną dla szczególnego jakiegoś celu.

Ale jeżeli przygotowywał tak starannie to, co ośmielę się nazwać ciałem Francji, tę jej widzialną budowę jaśniejącą wyższą pięknością, o ileż z większem staraniem tworzył Bóg jej duszę. Wziął do tego, jako wielki mistrz, najpiękniejsze materjały, łączył je powoli ze sobą i rozkazał czasowi, temu wielkiemu czynnikowi doskonałości, aby je stopił w harmonijną całość. Rozpatrzcie pojedyńcze rysy Francji i wnioskujcie z nich o jej duszy.

Naprzód kropla krwi gallijskiej. Wesołość, żywość, złośliwość, lekkość, szyderczość, tak dobrze nazwane gallijską solą, skowronkiem gallijskim. Sól—wiecie rzecz ostra, gryząca. Skowronek, ptaszę żwawe, wesołe, wzlatujące ze śpiewem w górę, ...

Pierwiastek to żywiołowy, niezgładzalny. Cała Francja jest zaprawiona tą gallijska solą w najróżnorodniejszych odcieniach. Jest sól pikardzka i normandzka, sól paryska i orleańska, burgundzka, gaskońska i marsylska. I trudno orzec, który z tych rozmaitych odcieni jest przyjemniejszy i wykwintniejszy. . . . . .

Pierwiastek żywiołowy, jak już powiedziałem, ale i niebezpieczny, który przechodzi latwo w nadużycie i mógłby stać się szkodliwym, gdyby woda chrztu nie złagodziła jego ostrza. Na szczęście, religja stała tu na straży. Sól gallijska, miarkowana przez nią i idąca ręka w rękę z chrześcijańską miłością bliźniego, pozostała długo nieszkodliwą. Wydała ona coś, co jest charakterystycznie francuskiem, co się zaczyna uśmiechem a kończy łzą.

Drugim pierwiastkiem był pierwiastek rzymski. To znaczy: gruntowność, rozsądek, prawość, jasność; którym zawdzięczamy nasz język i nasze prawa, naszych wielkich pisarzów i wielkich polityków; ten niezrównany język francuski, który słyszeliśmy kilka miesięcy temu w Rzymie z ust Niemców, Rosjan, Anglików, Amerykanów, nawet ludzi ze Wschodu, wobec rozpowszechnienia którego mógł powiedzieć jeden z biskupów amerykańskich, na początku soboru, że gdyby porozumienie się po łacinie nastręczało jakie trudności, zostawałby jeszcze język francuski.

A jak gdyby Bóg chciał, aby nie brakło uroku żadnego na owo tło figlarnej żywości i rzymskiej powagi, już od najwcześniejszych czasów padł promyk Grecji. Kolonje focejskie osiedlając się na południu Galji, od Marsylji, Nîmes, Montpellier sięgając do Lugdunu, Grgnobli, Dijonu, przynoszą ze sobą jakby podmuch Wschodu. Mogą już teraz ginąć wdzięcznej pamięci Ateny, nie zaginą całe.

Francja przejmie po nich w spadku i przechowa światu ten kwiat ducha, ów attycyzm, gust, owo coś wykwintnego i doskonałego w rzeczach ducha, co je charakteryzowało.

A kiedy tak z geniuszu Gallji, Rzymu i Grecji, stopionych w jedno, rodził się genjusz francuski, nadchodzi Klodoweusz, a przez niego Germania przynosi nam w dani piękność swoją. Od niej to pomiędzy innemi darami mamy naszą namiętną miłość swobody. Połóżcie rękę na pierś Francji, poczujecie bijące w niej wiecznie serce Germanina, którego kolebką i szkołą były lasy. Od niej również mamy na usługi

tej naszej wolności szpadę, ów dawny topór Franka, szpadę jak błyskawica szybką a niezawodną, która przeszła w bagnet, broń rdzennie francuską, dotąd, pomimo naszych klęsk, nie mającą równej. Zapewne były miecze równie mocne, ale nie było równie pięknego. Na tym drogim nam orężu Kalwarja wycisnęła swe piętno.

A czy już nic pozatem? Kropla krwi gallijskiej, kropla greckiej i rzymskiej, kropla krwi Franków, zlane w naszych żyłach w jedno i sprawiające serc naszych bicie, czy to już cała krew Francji? O, nie! Kto nam dał te dary nad wszystkie dary: dobroć, która jest ich koroną, i rycerską wspaniałomyślność, która jest znamiennym rysem naszego charakteru? Kto nam dał i miłość ku maluczkim, słabym, zwyciężonym, otiarom przemocy, i żywe poczucie sprawiedliwości, i drażliwość honoru? Kto dał żyłom naszym tę krew, która burzy się na widok zdradzonego prawa, pokrzywdzonej słabości, znieważonego honoru? To Chrystjanizm, to krzyż kalwaryjski, to miłość Tego, który umarł z miłości ku ludziom i otworzył na Golgocie źródło poświęcenia aż do zaparcia się siebie. Wszystkie narody piły z tego źródła, ale my więcej od innych; piliśmy z niego aż do upojenia, tak że się wokoło nas uśmiechały mądre narody.

Zwrócono uwagę na łatwość, z jaką chrześcijaństwo przyjęło się w narodzie francuskim. Było do tego wiele przyczyn. Naprzód pierwiastki składowe charakteru narodowego były prawie wszystkie głęboko religijne. Były to jakby warstwy religijnych pierwiastków, układające się jedne na drugich Powtóre wszystkie uczucia, które rozwija religia: niepodległość ducha, wspaniałomyślność, miłość honoru, cześć dla kobiet. spoczywały już w zarodku na dnie naszej duszy, tak, że przyjście chrześcijaństwa było tylko jak gdyby zarzewiem rzuconem na przygotowane już drzewo.

Wprawdzie były i takie strony w pierwotnej naszej naturze, które sprzeciwiały się zespoleniu z kościołem; ale to właśnie uczyniło je tem głębszem i trwalszem. To Chateaubriand, zdaje się, powiedział, że aby związek był trwałym, potrzeba wielkich różnic w charakterze przy wielkiej harmonii serc. A gdzież znaleźć większe różnice w charakterze, jak pomiędzy Kościołem a Francją? Ona tak żywa, tak gorąca, tak często zmienna, a zawsze tak ruchliwa, przerzucająca się z ostateczności w ostateczność z pośpiechem zdumiewającym ją samą; on, przeciwnie, tak poważny, powolny, tak cierpliwy, prawie że nieruchomy, chociaż nieruchomym nie jest, nie śpieszy się nigdy, bo jest obrazem Boga, który ma wieki na usługi swoje. On poczyna zawsze jako mający władzę i nakazuje posłuszeństwo, podczas gdy ona szaleje za wolnością. Ale przy

tych różnicach charakterów jaka zgodność serc! U obu ten sam zapał do piękna, prawdy, dobra; ta sama pogarda dla wszystkiego, co nizkie, brzydkie, pospolite, ziemskie, dla wszystkiego, co się sprzedaje, kupuje, płaci; ta sama wzniosłość duszy, to samo wylanie, ta sama żarliwość w rozpowszechnieniu po świecie tego, co sami uznają jako sprawiedliwość, prawdę, cywilizację. To też jak tylko Kościół i Francja spotkały się ze sobą, wnet się poznały i połączyły w uścisku, czternaście wieków zmiennych kolei losu, rewolucji bez liku, niesłychanych wysiłków bezbożności nie zdołały naruszyć tego związku czternaście razy wiekowego.

Pod wpływem tego związku, który dla obu stron był dobrodziejstwem, duch Francji powstawał, wzrastał i dojrzewał. Nie czas tu i nie miejsce opisywać te trzynaście stuleci, w ciągu których duch francuskiego narodu obudził się, doszedł do samowiedzy, utworzył sobie język z okruszyn wszystkich języków, ukształcił swój gust, nauczył się łączyć naiwność z siłą, prostotę z wzniosłością, największą delikatność z najwyższą powagą, aż wreszcie dosięgnąwszy dojrzałości, po różnych próbach i nieudolnych a jednakże wspaniałych wysiłkach, mógł dać światu największy wiek rozwoju umysłowego, jaki kiedy istniał.

Tak jest, największy wiek ludzkości, chwila, w której umysł ludzki dosięgnął na ziemi najwyższego szczytu prawdy i piękna. Śpieszę ustąpić głosu lepszemu od siebie znawcy, więcej mającemu powagi i kompetencji. Oto co mówi Cousin: „Francja nie troszcząca się o swoją sławę, nie domyśla się, jak się zdaje, że liczy w swoich rocznikach największy może wiek ludzkości, wiek, z którego łona wyszli ludzie znamienitsi we wszystkich gałęziach.“ A przytoczywszy imiona wojowników, administratorów, polityków, dodaje: „Jakiż przytem inny wiek, przynajmiej w czasach nowszych, widział naraz tylu pierwszorzędnych poetów? Nie mamy wprawdzie Homera, Dantego, ani nawet Tassa lub Miltona. Epopeja w swej pierwotnej prostocie jest nam niedostępną. Ale zato w zakresie dramaturgów mało kto nam wyrówna... Odważę się wypowiedzieć myśl swoją: według mnie Eschylos, Sofokles i Eurypides razem wzięci nie przewyższają jednego Corneille'a. Jest on wzniosły na swój całkiem nowy sposób, nieznany starożytnym i nowożytnym pisarzom, którzy go poprzedzili.“ A cóż rzec o Racine'ie? „Jest on sobą nawet kiedy naśladuje i zostawia starożytnych daleko za sobą. Skąd zaczerpnął on ową uroczą delikatność, ów wdzięk, ową czystość w słabości nawet, ów smutek, czasem głębokość, ów cudny język, jakby żywcem wyjęty z kobiecego serca?...“ Co się tycze Molière'a „jeżeli niema tak szerokich pomysłów jak Arystofanes, ma coś jeszcze może lep-

szego: ma charaktery. Koloryt jego nie tak jest świetny, ale rysunek wyrazistszy. A czyż którykolwiek ze starożytnych i nowoczesnych bajkopisarzy dorównają naszemu Lafontaine'owi? Pisarz to najprostszy i najwyszukańszy zarazem.

„Dosyć to wielcy chyba poeci, a mamy ich jeszcze więcej: mam tu na myśli owe wykwintne lub wzniosłe umysły, które podniosły prozę do wysokości poezji. Może tylko jedna Grecja w czasach swego rozkwitu przedstawia taką rozmaitość godnych podziwu prozaików. Z największą prawdą można powiedzieć, że proza francuska niema rywalki w nowożytnej Europie, a w starożytności przewyższa nawet prozę łacińską przynajmniej co do rozmaitości i bogactwa; dorównywa jej tylko proza grecka z najpiękniejszych swych czasów, od Herodota do Demostenesa. Nie przekładamy Demostenesa nad Pascala i trudnoby nam było uznać wyższość samego nawet Platona nad Bossuetem. Platon i Bossuet to w naszem przekonaniu dwaj najwięksi z pomiędzy dawnych i nowych mistrzów słowa, różniący się wybitnie pomiędzy sobą, ale mający także niejedną wspólną cechę: obaj posługują się przeważnie mową ludu, a chwilami wznoszą się bez trudu aż do poezji, niemniej od homerycznej wspaniałej; obaj są delikatni i subtelni, a częstokroć wspaniali i wzniośli. Zapewne Platon ma niezrównany wdzięk, wzniosłą pogodę i jakby uśmiech boskiej mądrości. Ale Bossuet ma za sobą patetyczność, w której mu dorównywa jeden tylko wielki Corneille“ [1]).

Tacy to są nasi pisarze. Nie tylko równi największym poetom i prozaikom starożytności, ale nawet od nich wyżsi, tak pod względem formy, jak to przedewszystkiem, pod względem myśli, i rozumu wyższego, pewniejszego, bez braków i cieni, bez przymieszki błędów; zapożyczają oni od starożytnych wszystko, co w nich jest najwyższem pięknem i udoskonalają je jeszcze. Poznajemy tu już i witamy ów sympatyczny geniusz Francji, otwierający się szeroko na przyjęcie wielkich natchnień wszystkich wieków i narodów, assymilujący Latynów, Greków, Wschód, Włochów, Hiszpanów; przyswajający, jeżeli się tak można wyrazić, swojej duszy duszę Homera, Wirgiliusza, Tacyta, Sofoklesa, Eschylosa, Biblii; chrystjanizujący, że tak rzeknę, arcydzieła starożytności: Fedrę, Andromakę, Galateę; a zawsze oryginalny, nawet gdy naśladuje, bo zawsze będący sobą i zawsze chrześcijański. Wieki następne inne umysłu francuskiego przywiodą przejawy, inny język, inne rodzaje utworów: ale nic niedorówna tym, i trzeba będzie przyznać, że silna i łagodna, acz surowa szkoła ko-

[1]) Cousin, *Du Vrai, du Bien et du Beau*, X-e leçon.

ścioła nie tylko nie przytłumiła ducha francuskiego, ale owszem nadała mu polot nowy, a życie umysłowe nigdy nie było u nas bujniejsze, silniejsze, powszechniejsze, nigdy nie przenikało tak głęboko we wszystkie sfery ludzkiej działalności, oryginalności, a szczególnie i nadewszystko wielkości, jak wówczas, kiedy Kościół i Francja były silnie zespolone.

A jednocześnie i z tem jak się duch Francji podnosi i uszlachetnia pod wpływem chrześcijaństwa, zaczęło się budzić jej serce. Niepotrzebowało ono wszelako na to tak długiego czasu, zbudziło się odrazu ze wszystkiemi swemi cechami, z których najpiękniejszą jest wspaniałomyślność. Ta wspaniałomyślność, powiedzmy mimochodem, nie dała Francji stać się narodem zdobywczym, lub choćby nawet narodem kolonizacyjnym. Nie umie ona uciskać ludów. Nie potrafiłaby nigdy trzymać Indji pod swą stopą przez trzy stulecia ani też wysysać krwi Irlandji. Skoro los wojny daje jej w ręce lud słabszy od niej albo pozostający po za nią na drodze postępu, idzie do niego, krzewi w nim cywilizację, poczem wraca, pozostawiając mu wolność. Wada to jest, przyznaję, i wada której Francuzi poczynają się już niestety wstydzić; ale wada ta wypływa z cnoty, a ta cnota tak była wysokiej ceny, że nasi ojcowie poświęciliby wszystko i wszystko przetrwali, byle nie narazić się na jej utratę.

Któż wypowie piękność serca Francji? Zaledwie się narodziło, stało się sercem całej Europy, najczulszym i najwrażliwniejszym punktem na ziemi, gdzie znalazło oddźwięk każde cierpienie, każdy okrzyk boleści. Posłuchajcie, co mówi w tym względzie pewien Hiszpan [1]): „Rozejrzyjcie się naokoło, zobaczcie, gdzie w danej chwili jest najwięcej i największych klęsk i nieszczęść; lud angielski jeżeli to nie będzie w Anglii, nie wyjdzie ze swego obojętnego spokoju; ale choćby te klęski nie dotyczyły Francji, choćby miały miejsce na antypodach, między ludem francuskim a cierpiącymi powstaje wnet jak gdyby prąd elektryczny, - zrywa się on jak jeden mąż, pełen współczucia i żądny pomódz nieszczęśliwym."

Takiem jest serce Francji. Ma ono jakąś tkliwość we wzniosłości, *flebile nescio quid* poety, dar pięknych łez i wielkich dzieł. Któż przeliczy, ile z takiego serca przez ciąg czternastu wieków wyszło wzniosłych natchnień, cudownych i bohaterskich porywów, dzieł nacechowanych dobrocią i wspaniałomyślnością? Jak myśliwy z jedną nogą w strzemieniu nasłuchuje skąd wiatr wieje, tak Francja, przez czternaście stuleci stojąc w pogotowiu w środku Europy, nasłuchiwała, skąd

[1]) Donoso Cortès, Oeuvres complètes, t. I, p. 255.

idzie skarga na niesprawiedliwość, i wołanie o ratunek. Raz powoływała swoich rycerzy do pełnienia po wsiach i miastach służby honoru i cnoty. Innym razem, wzmagając się na duchu wobec groźniejszego niebezpieczeństwa, budziła cały Zachód i stając na czele krucjat, ratowała Europę i cywilizację. A za Krzyżowcami wysłała zastępy apostołów i sióstr miłosierdzia, aby goili rany i oświecali dusze, koili bóle i rozkrzewiali cnoty. Ale i w zwyczajniejszych okolicznościach ileż to przez ten czas wydała Francja serc zacnych, dusz słodkich, delikatnych i wzniosłych, anielskich dziewic, świętych matek! ilu doskonałych ludzi! urzędników surowych i nieskazitelnych, odważnych żołnierzy, świątobliwych biskupów, kapłanów, zakonników! ilu Świętych! Szczególnie Świętych; żaden naród nie wydał ich tylu, co Francja; świętość bowiem jest szczytem cnoty, tak jak ta ostatnia najprzedniejszym kwiatem serca. Kto chce naprawdę poznać serce Francji, powinien wziąć spis jej Świętych, zliczyć ich, zbadać ich charakter. Ale któżby ich mógł przeliczyć? Pełno ich wszędzie; następują po sobie bez przerwy i bez liku; w najmniejszych wioskach i miasteczkach, we wszelkich klasach społeczeństwa, w wioskach i klasztorach, w arystokracji i w duchowieństwie, równie jak u ludu; jedni jaśnieją pojedyńczo, oświecając i napawając wonią swych cnót i miasta i wsie, krzewiąc w nich i utrzymując wzniosłość uczuć, pogardę świata, świętą moc duszy; inni łączą się w gromady, w zastępy, tworząc owo wojsko ducha, zakony, stałe armie cnoty i ofiary, których nie znał Rzym, ani Ateny, ani Sparta; które wychodzą z łona Kościoła, ale nigdzie nie są liczniejsze, żywotniejsze, ani bardziej świetlane, niż w narodzie francuskim.

Spieszę wyjaśnić, iż nie miałem bynajmniej zamiaru powiedzieć przez to, aby inne chrześcijańskie narody Europy: Anglia, Hiszpania, Włochy, Niemcy, nie miały także Świętych. Mają ich one również, mają całe liczne i wspaniałe zastępy. Wielkie to i wzniosłe współzawodnictwo owych czasów. Ale to serce Francji tak jest gorące, tak wrażliwe i delikatne, że zdaje się, iż wszelkie natchnienie serc innych musi przejść przez nie, aby otrzymać całą swą pełnię i gorącość. Tu przydą rycerze z Alkantary, z Kalatrawy, aby w regule francuskiej poczerpnąć szlachetność, ową cechę istotnych rycerzy. Do tego serca podążą wielcy założyciele zakonów wszystkich krajów i wieków: zarówno święty Maurus i święty Franciszek z Asyżu — z Włoch, jak i święty Kolumban z Irlandji; święci Brunon i Norbert, z nad Renu, jak i święty Dominik, a później święty Ignacy, z Hiszpanii. Oprócz tego daru serca polegającego na wykańczaniu i udoskonalaniu natchnień, gdzieindziej powstałych, w tym wspaniałym rozkwicie świętości, ma

Francja jeszcze jeden sobie właściwy. W jej przeważnie łonie powstają zakony *dobroczynne*. Hiszpania wydała większe Święte kontemplacyjne, Włochy — świętsze samotnice; Niemcy — dziewice poetyczniejsze i uczeńsze. My mamy siostry miłosierdzia. Powstają one z naszego serca, pod tysiącem nazw i habitów, a zawsze te same, a wszędzie łatwe do rozpoznania. Przedmiot zazdrości innych narodów, które nie mogąc naśladować zapożyczają ich od nas, dają wszędzie, ku wiekuistej chwale imienia francuskiego, dowody pojętnego i dzielnego umysłu, nieustraszonego serca, pogody ducha, czystości, słodyczy w sile, wesołości w ofierze, jednem słowem wszystkich naszych przymiotów, uszlachetnionych jeszcze i upięknionych przejściem przez serca dziewicze. To samo, co o zakonach, powiem i o Świętych. Nie mamy świętego Franciszka z Asyżu, noszącego stygmaty miłości, ani serafickiej świętej Teresy, ani surowego Franciszka Borgii ani zdumiewającego Pawła od Krzyża; mamy świętego Wincentego à Paulo, w którym się objawiła cała nasza dusza.

Cóż dziwnego, że mając takie serce, Francja instynktowo niejako czyniła zawsze swojemi wszystkie sprawy, od których zawisła cywilizacja i los rodzaju ludzkiego? że brała zawsze udział we wszystkiem, co wielkie, szlachetne, użyteczne, piękne? Cóż dziwnego szczególniej, że nie pozostaliśmy nigdy obojętnymi wobec cierpienia Kościoła, który jest samą słabością? Kościoła, który jest więcej, niż niewiastą, który jest matką? cóż dziwnego, że za każdą uczynioną mu zniewagę, za każdą zdradę, odstępstwo, ujmował się miecz francuski i podnosił francuski sztandar? Tak, powtarzam raz jeszcze, ku wiekuistej naszej czci i nauce — myśmy to mieczem Klodoweusza wygnali barbarzyńców, mieczem Karola Martela rozgromili hordy Saracenów; my przez Pepina i Karola Wielkiego złożyliśmy u stóp Papieży tarczę i sztandar niezależności i władzy świeckiej; przez trzy pokolenia krzyżowców, od Godfryda de Buillon do świętego Ludwika, trzymaliśmy straż dokoła zagrożonego chrześcijaństwa; mieczem potężniejszym jeszcze, mieczem geniuszu i wiary w ręku Bossueta powstrzymaliśmy postępy protestantyzmu; a chociaż nie zdołaliśmy utrzymać władzy świeckiej Piusa IX, potrafiliśmy za niego cierpieć i ginąć w osobach Lamoriciere'a, Pimodana, Charette'a i żuawów. Może gangrena opanować serce Francji, ale przynajmniej serce to biło i przez czternaście wieków było najszlachetniejszem sercem na świecie.

Grecy sądzili, że piękność fizyczna zwykła towarzyszyć piękności moralnej, będąc jak gdyby jej odbiciem. W miarę też kształtowania się ducha i serca Francji tworzyło się jej piękne ciało. Szeregi królów odważnych, rozumnych, miłych,

ukochanych tak, jak żadni inni władcy, a u ich boku zastępy mądrych i przezornych ministrów, prawdziwych polityków, rozpoczynają dzieło zjednoczenia Francji i prowadzą je bez pośpiechu, lecz i bez opieszałości. Wiedzą oni, że czas to potężny czynnik, nie śpieszą też, wyczekują, wchodzą w układy, korzystają z okoliczności, więcej starając się o ujmowanie sobie plemion, niż o ich zdobywanie, aż do czasu, w którym samą siłą swych uczuć monarchicznych Francja dosięgła najpiękniejszej, jakiej można było żądać, jedności narodowej.

A w tem tak wielkiem i potężnem dziele nie zapominają królowie ani ministrowie, że największym tryumfem jedności jest rozmaitość. Zadowalając się więc ożywieniem całego kraju jednym duchem, umieją szanować różnicę charakteru, zwyczajów a nawet ustroju każdej dzielnicy, naśladując w tem Boga, który dając ziemi jedne niebiosa i jedno słońce, chciał by każdy kraj miał jak gdyby osobne, sobie tylko właściwe słońce i niebo. I oto widzimy, jak powoli i stopniowo gromadzą się około wspólnego środka i jednoczą nierozdzielnie liczne prowincje, acz różniące się między sobą, ale równie piękne, równie obfitujące w pomniki religijne i historyczne, tworząc wiecznie żywe ogniska wszystkich wewnętrznych odcieni francuskiego ducha i serca.

„A ponieważ rozmaitość sama przez się jest wesołą, charakter i ogólna fizjognomia narodu francuskiego są najweselsze ze wszystkich. Obejrzyjcie galerje portretów angielskich, a przekonacie się, że wszystkie są jednakowe: surowe, wspaniałe i smutne; przyczyną tego jest to, że wielkość, to jest jedność, bez piękna, to jest bez rozmaitości, będzie zawsze smutnie surową i smutnie wspaniałą. Anglik nawet w swoich ucztach jest poważny, przeciwnie, francuz śmieje się nawet w boju“ [1]).

Taką jest Francja; takim zamieszkujący ją szlachetny naród. Powiadam: szlachetny, bo jest to wyraz, który mówiąc o nim, nasuwa się ciągle szlachetny umysł, szlachetne serce, szlachetna odwaga. Posłuchajmy Bossueta: „Trzeba przyznać—powiada on,—że królowie nasi oprócz, że byli bardzo religijni, mieli jeszcze *szlachetność*, która jednała im cześć świata całego i wynosiła ich ponad innych monarchów. Kiedy cesarze z bronią w ręku dochodzili praw swoich i bronili ogólnych interesów głów koronowanych, nasi królowie mieli daleko pewniejszą ochronę w *szlachetniejszym* ustroju państwa i większem dostojeństwie swojej korony“ [2]).

---

[1]) Donoso Cortés, *Oeuvres complètes*, t. I. 256.
[2]) *Discours sur l'unité de l'Eglise*, II partie.

Szlachetny jest zaiste naród, łączący wspaniałomyślność z delikatnością, a łagodność z siłą; naród rozumny, kochający, pracowity, żądny postępu, uszlachetniający posłuszeństwo właściwą miarą wolności, a religijność właściwą miarą rozumu; syn starszy Kościoła i głęboko katolicki, nie na modłę mnicha, jak Hiszpan, ani artysty, jak Włoch; ale żołnierza, apostoła i siostry miłosierdzia. A kiedy nań patrzę i szukam w historji postaci typowej, którąby najlepiej odźwierciadlała jego ducha, znajduję dwie, pomiędzy któremi wahać się, nie mogąc uczynić wyboru: świętego Ludwika i Joannę d'Arc. Ta czysta, gorąca, uduchowniona, bohaterska, najrzadsza z istot, które kiedykolwiek władały mieczem, ów wspaniałomyślny, nieustraszony, kochający, sprawiedliwy, najrzadszy z istot, które kiedykolwiek piastowały berło; ta umiera za ojczyznę na stosie; a gdyby nie mogła jej ocalić, umarłaby z boleści; ów broni swojego narodu mieczem, jednoczy go sprawiedliwością, uświęca swą cnotą, pociąga za sobą aż za morza, na walki godne go, bo podjęte w obronie Boga i cywilizacji; oboje oderwani od świata, dążący do Niebios, niedorównani w miłości dla Boga i ludzi, w szlachetnej sumienności, i bohaterstwie duszy; jednem słowem: dwie najpiękniejsze i najdoskonalsze postacie, będące szlachetnem odbiciem, charakteru narodowego.

Ale te myśli budzą inne, rozjaśniające tajnie wyższych jego przeznaczeń. Oto Francja nie tylko została stworzoną przez Boga i przez Kościół, ale dla Boga i dla Kościoła; po to, ażeby była na ziemi rycerzem Bożym, Chrystusowym żołnierzem, według wymownych słów Szekspira. Tu jest przyczyna, racja bytu jej ducha i charakteru, jej serca i miecza. To rozjaśnia i tłómaczy wszystko. A ponieważ wszystko co wielkie było zawsze przeczute i przepowiedziane, dowodem Rzym, którego zadaniem było przez jedność materjalną przygotować jedność moralną świata, a który miał to instynktowne przeczucie, że jest z woli bogów miastem wiecznem; barbarzyńców, którzy sami głosili, że są narzędziami pomsty Bożej, że coś gnało ich i popychało do Rzymu; więc i nad kolebką nowonarodzonej Francji rozległy się mnogie głosy prorocze. Czytajcie listy współczesnych papieży, Anastazego, Wigiliusza, Grzegorza Wielkiego a zobaczycie, że duchem zdają się oni odgadywać wspaniałą przyszłość Francji. A w najstarszych gallijskich mszałach modlitwy na pomazanie królów, na pasowanie rycerzy zdają się tchnąć pewnym proroczym instynktem przewidującym zawczasu wysokie posłannictwo Francji. Nie przesadził Bossuet utrzymując, że „Bóg odebrał Rzymianom straż Kościoła, a powierzył ją Frankom, których namaścił na mężnych opiekunów, niezwyciężonych obrońców tej czułej matki, tudzież

ubogich“ [1]): ani de Maistre, wykazując „religijne i moralne przodownictwo w Europie, dane Francji przez Boga“ [2]); ani O. Lacordaire, głosząc w kościele Notre-Dame „posłannictwo religijne narodu francuskiego.“ O zapewne wiele mieliśmy chwil wahania, zaślepienia, obłędu; popełniliśmy omyłek i win wiele; ale czyż nie spełniliśmy tego posłannictwa? czyśmy nie byli wierni tej straży honoru? Czyż każdego czasu naród nasz nie wydawał ludzi, w których przebywała i żyła chrześcijańska dusza Francji, od Klodoweusza, który, słuchając opowieści o męce Zbawiciela, sięgnął do miecza ze słowami: „Czemuż nie było tam mnie i moich Franków!“ do Karola Wielkiego, tego opiekuna Papiestwa i założyciela świeckiej jego władzy; od Godfryda de Bouillon i Piotra Pustelnika do Ludwika Świętego, „pokornego żołnierza Chrystusowego.“ A później, kiedy przyszły chwile słabości, a za niemi nieszczęścia, jeżeli ponosiliśmy straszliwe kary, czyż nie byliśmy wybawieni w cudowny sposób? Czyż nie dosyć samej Joanny d'Arc na dowód naszego boskiego posłannictwa? Czy przez ciąg czternastu wieków, od chrzcielnicy w Reims do krucjat, od krucjat do rusztowania Ludwika XVI, od przytułku danego Piusowi VII pod sklepieniami Notre-Dame do chwalebnego powrotu do Rzymu Piusa IX i do otwarcia soboru watykańskiego, nie byliśmy ludem wybranym, narodem apostolskim, żołnierzem Boga na ziemi? A nawet czyż to posłannictwo było kiedy jawniejsze i bardziej uderzające, jak właśnie w czasach, kiedy Francja, ulegając zaślepieniu i zepsuciu, zapominała swego powołania i nie chciała go już wypełniać, a mimo to wypełniała je jakby pomimo woli?

O mój kraju, zbyt smutne to czasy na takie wspomnienia; Niebo zasnute groźnemi chmurami. Piszę to w Orleanie, osaczonym i bombardowanym, a z moich okien widzę wszystkie jego wyjścia zamknięte przez pruskich żołnierzy. Ale Bóg widzi, żem przeto nie przeoczył twej piękności, nie zapomniał twojego posłannictwa ani przyszłości twojej. Zawsześ ty dla mnie arcydziełem Boga, a twoje rany, które całuję z uczuciem synowskiem, zwiększyły tylko moją ku tobie miłość, do podziwu dodając współczucie: A jeżeli do tych wszystkich wiekuistych uczuć duszy mojej dla ciebie o ojczyzno moja, przyłączyło się jakieś nowe, to pewnego rodzaju gorzka rozkosz w rozpamiętywaniu twojej wielkości wobec barbarzyńców, którzy depczą po tobie, ale nie są ciebie warci!

---

[1]) *Sermon sur l'unité de l'Eglise*, II partie.
[2]) *Considerations sur la France*, p. 3; *Du Pape*, p. 6.

IV.

Arcydzieło może być zniszczonem przez barbarzyńców. Rzecz to często widywana i nie zadziwiająca nikogo. Tak ongi znikły owe boskie marmury Fidyasza, Praksytelesa: Wenus z Milo, Wenus Medycejska, Herkules Farnezyjski, Apollo Belwederski, Laokoon, których szczątki z taką czcią zbierała cywilizowana Europa XVI wieku. Ale co zdumiewa i przeraża to fakt, że arcydzieło od tych wszystkich piękniejsze, Francję, mogły pchnąć do zguby ręce jej własnych dzieci; że znaleźli się Francuzi, którzy całe już stulecia nic szczędzili usiłowań, aby sprowadzić na manowce jej potężny umysł, zepsuć jej serce, spodlić charakter, podkopać życie i okryć hańbą jej imię; że ten szczytny wynalazek, druk, ten szlachetny organ, prasa, były od trzech wieków w ich ręku młotem, którym pracowali bez wytchnienia i upamiętania, aż dopóki nie starli w proch boskiego jej wizerunku. Ani Prusacy w XIX ani Anglicy w XV wieku nie potrafiliby zaszkodzić Francji: jeżeli zginie, waszą to będzie winą, bezbożnicy, materjaliści, pozytywiści wszelakich odcieni, o których bezeceństwach nie mogę pomyśleć wobec tylu klęsk bez gniewu, do jakiego nigdy nie sądziłbym się być zdolnym.

Nic nie mogło ich powstrzymać: ani miłość synowska, ani poszanowanie przeszłości, ani troska o teraźniejszość i o przyszłość. Oto trzy już wieki jak się z szatańską sprzysięgli z wściekłością przeciw temu arcydziełu.

I czegóż nie próbowali, aby wydrzeć Francji wiarę jej starą wiarę katolicką, zniweczyć jej czternastowiekowe z Kościołem śluby! Nie dość, że wygwizdali chrystjanizm, wyszydzili go, ośmieszyli, ażeby doprowadzić każdego Francuza do wstydzenia się miana chrześcijanina; nie dość, że tamowali swobodę Kościoła, zaprzeczali mu jego najświętszych praw, krępowali go w jego najniezbędniejszych zewnętrznych stosunkach; ale jeszcze dołożyli wszelkich usiłowań, aby usunąć religię z naszych praw i instytucji tak dalece, że próżnoby szukać w naszych statutach imienia Bożego, i że to Francja wypowiedziała owo dzikie, a raczej nawet dzikim ludom nieznane: „Prawo jest i powinno być bezwyznaniowem;“ dołożyli wszelkich starań, aby wygnać religię z myśli i zwyczajów Francji, wmówić jej, że wielki naród jej nie potrzebuje, że religia jest zawadą w dyplomacji i że sumienie i polityka nie mają ze sobą nic wspólnego, aż dopóki istotnie nie doprowadzili naszej ojczyzny do tego, że obezwładniona obojętnością, zaślepiona zwątpieniem i ateizmem socjalnym zgodziła się na powierzenie kierunku swych praw bezbożnym dyplomatom i mini-

rom, straciła jasny pogląd na sprawy świata oraz świadomość wego posłannictwa, zachowując o niem zaledwie mętne i niesne pojęcie i wspomnienie.

A jednakże Opatrzność dopuściła, że w czasach niezbyt dległych, to przeznaczenie Francji mogło było zajaśnieć na owo i utożsamić się niejako z naszą narodową wielkością. Odieczna nasza współzawodniczka, Anglia, przyjęła protestanzm. Tem więc samem katolickiej Francji przypadło w udzia przodownictwo wśród narodów chrześcijańskich. Jakaż to posobność do ujęcia w ręce rządów świata, o które z nią się awsze współubiegała Anglia! i cóż łatwiejszego nad wybór rogi, do tego celu wiodącej! Należało tylko zgromadzić w okoo siebie wszystkie kraje katolickie: Hiszpanię, Portugalię, Nierlandy, Bawarję, Szwajcarję, Państwa Włoskie, oprzeć się a Austrji i wspólnemi siłami poprzeć Stolicę Apostolską; pozem obezwładnić protestantyzm pod względem politycznym szanując swobodę sumienia jednostek, paraliżować wpływ Państw; następnie na czele ludów katolickich sięgnąć poza moza, szerząc wiarę w Indjach, Australii, Afryce, obu Amerytach, Chinach i Japonii, i pchnąć świat cały na drogi prawdziwej cywilizacji, która nie jest czem innem, jak panowaniem Ewangelii w społeczeństwach. Cóż, powtarzam, prostszego na o, cóż piękniejszego, godniejszego duszy Francji, chwalebniejszego dla Europy, potrzebniejszego dla całego świata? I czyż nie jest oczywistem, że gdyby Francja przeprowadziła ten plan wytrwale i konsekwentnie, gdyby obróciła na to te wszystkie siły, których użyła na poniżenie domu austryjackiego, ten zapał, z jakim szerzy rewolucję w świecie, postać ziemi byłaby zupełnie zmienioną na jakie tysiąc lat, a ona sama wzniosłaby się do wysokości, na której nie zdołałaby jej zaszkodzić bezsilna zawiść wrogów. Zamiast tego, jakież dziś est nasze położenie? Z jednej strony, protestancka Anglia opanowała wszystkie morza, i jej to sztandar spotka podróżny wszędzie niemal, gdzie noga ludzka stąpić może. Z drugiej strony ukazały się na widnokręgu, jak krwawy meteor, Prusy, zawdzięczające swój wzrost naszym omyłkom a ośmielone naszą nieudolnością. Mają one pięćdziesiąt miljonów ludzi, wyćwiczonych i nie zdenerwowanych, i gotują Zachodowi najazd barbarzyńców, któremu nic się nie oprze. Dążą do posiadania Holandji i osiągną je wbrew Anglii. Poczem będzie już gotowa obręcz mająca na celu opasanie i zduszenie narodów katolickich. Przypuśćmy, że Anglia, uwzględniająca swój interes jedynie, znajdzie go kiedy w związku z Prusami, będzie to hasłem zagłady dla ludów katolickich. Wtedy Francja będzie patrzała smutnie i bezradnie na klęski, którym zapobiedz nie będzie w jej mocy; przypomni sobie wszystkich tych polityków,

głupich, nieudolnych, płytkich, obłąkanych niewiarą i bezbo
nością; okryje imiona ich wzgardą i złorzeczeniem; ale już b
dzie za późno, chyba, że Bóg przyjdzie na pomoc i dowiódłszy ty
lu nieszczęściami że niewolno jej bezkarnie schodzić ze wska
zanej przez Niego drogi, odmieni oblicze świata, zsyłając jaką
cudowną i niespodziewaną pomoc swojemu Kościołowi, któreg
nigdy nie opuszcza.

Ale przypuściwszy nawet ową cudowną pomoc, które
źródło może nietrudno byłoby wskazać, cóż się stanie z Fran
cją, jeżeli będzie obstawała przy swej bezreligijności? Weźm
mapę kuli ziemskiej, zwróćmy uwagę na zmiany zaszłe w roz
mieszczeniu rasy ludzkiej na jej obszarach od początku naszeg
stulecia. Dwie potęgi współzawodniczące z sobą, ale stanowią
ce jedność pod względem pochodzenia, języka, praw i obycza
jów, Anglia i Stany Zjednoczone, opanowały całą kulę ziem
ską, z wyjątkiem Europy, albo raczej same tylko na niej istnie
ją, tak, że poza wodami, oblewającemi naszą część świata, inn
nasze zaledwie jest wspomniane. Wobec tego przypomnijmy
sobie, że niegdyś ludzie zadawali sobie pytanie, czy nasze ple
mię i nasz język nie otrzymają pierwszeństwa przed wszystkim
innymi i czy cywilizacja reszty świata nie będzie miała cechy
francuskiej. Dziś szala już się przeważyła, i dwie przynajmnie
części świata, Ameryka i Australia, należą bezpowrotnie do
plemienia Anglo-Saksońskiego.

Ale ta przewaga Anglo-Sasów poza granicami Europy t
tylko słaby obraz tego, co nas czeka w niedalekiej przyszłości.
Nie upłynie chyba wiek jeden, a Stany Zjednoczone, które bę
dą naówczas liczyły przeszło sto milionów mieszkańców, opa
nują Meksyk, Brazylię, i inne państwa Ameryki południowej,
i podzielą się z Anglią panowaniem nad Oceanią, Australią,
Nowo-Zelandją, a może i Chinami [1]).

Otóż w tem plemieniu, świat pokrywającem, w dwóch
tych narodach krwią i prawami tworzących jedność, w Anglii
i Ameryce, rozszerzy się najbardziej katolicyzm. *Mens agitat
molem.* Jest to coraz widoczniejsze. Przypuśćmy, że rzeczy
pójdą dalej tym trybem, co jest bardzo prawdopodobne; że,
oficjalnie czy też nieoficjalnie Anglia przyjmuje katolicyzm; że
Ameryka, mająca w roku 1800 dziesięć katedr biskupich a obec
nie osiemdziesiąt, przy końcu stulecia będzie ich miała dwie
ście, bo to jest też wielce możliwe: wtedy zmieni się postać
rzeczy w świecie religijnym; przesilenie minie; Kościół stanie
znowu na czele ludzkości. Ale w tych wszystkich bardzo mo
żliwych kombinacjach gdzież będzie miejsce Francji? Jeżeli ona

---

[1]) Prévost Paradol, *la France nouvelle*, p. 362.

ędzie coraz mniej wierzącą, coraz bezbożniejszą i bardziej ma-
rjalistyczną, jakąż odegra rolę wówczas, kiedy Anglja i Ame-
yka na wszystkich lądach i morzach podniosą sztandar wiary,
olności i cywilizacji? Oto będzie marnie dogorywała w Eu-
opie. Utrata panowania słuszną będzie karą za to, że nie
hciała szerzyć na ziemi Królestwa Bożego, i będzie żyła
dnia na dzień wśród starych narodów Europy, tracąc coraz
ięcej na sile i znaczeniu. Do tego doprowadzą nas nasze
łędy, a gdybyśmy mieli wyższe poczucie naszego wielkiego
osłannictwa religijnego i moralnego, naszego zaszczytnego,
iętnastowiekowego powołania nie przyszłoby do tego
igdy.

Napróżnobyśmy pocieszali się tem, że jeśli wielkie zagad-
ienia polityczne świata i Europy będą odtąd załatwiane bez
aszego współudziału, jeżeli utracimy głos rozstrzygający w rze-
zach tyczących się religii, pozostaniemy niemniej nowożytne-
ni Atenami, środowiskiem wysokiego rozumu i smaku, jakim
yła w starożytności Grecja: najwykwintniejszem miejscem
v świecie. Zaprawdę, byliśmy tem wszystkiem, ale czy i nadal
ędziemy, jeżeli będziemy trwali we wstręcie do wszelkiej re-
igii, jeżeli wygnamy Boga z naszych umysłów i serc tak, jake-
śmy Go już z naszych praw i urządzeń wygnali? Cechami na-
szego umysłu były właśnie: podniosłość, szlachetność, a prze-
lewszystkiem wielkość, złączona z prostotą; tym rzadkim
rzadko w parze chodzącym przymiotom zawdzięczamy nasze
wśród ludów tegoczesnych pierwszeństwo, o którego zachowa-
nie więcej dbać byliśmy winni. Tymczasem nie staraliśmy się
o to wcale; po pokoleniu filozofów, usiłujących odebrać pierwia-
stek chrześcijański duchowi Francji, co już było pierwszem po-
niżeniem, nie podobna bowiem odłączać ducha chrześcijańskie-
go od geniuszu i piękności Bossueta, Fénelona, Pascala, Kar-
tezjusza; są one w nich tak jednolite, że lepiej nie kusić się na-
wet o dokonanie pomiędzy nimi rozdziału; po tem więc pier-
wszem pokoleniu, przynoszącem nam poniżenie pierwsze, przy-
szła chmara wstrętnych małych sofistów i przedsięwzięła go-
dne siebie zadanie zmaterjalizowania naszego ducha, co jest je-
dnoznacznem z jego zupełną zagładą. Bo jeśli, jak utrzymuje-
cie, niema wcale Boga, duszy, ducha żyjącego i nieśmiertelne-
go, w cóż się obrócą: prawda, rozum, cnota, poezja, zapał,
piękno? Wszystkie rzeczy duchowe nikną, a zniknięcie ich—to
śmierć dla umysłu francuskiego. Czyż nie one to bowiem
stanowią jego oryginalność i wyższość? Czy chemja, fizyka i inne
nauki przyrodnicze i ścisłe, których nie lekceważę bynajmniej i
w dziedzinie których mieliśmy i mamy wielu ludzi niepospoli-
tych, czy to jednak one są właściwem nam polem, gdzie nasz
genjusz rozkwita i góruje? Wygnajcie Boga ze świata umysło-

wego, zmaterjalizujecie świat ten, a zostanie nam w nim stanowisko najpospolitsze, takie, jak każdego przeciętnego narodu. Odbierzcie Boga, duszę, ducha naszemu geniuszowi, tak podniosłemu, szlachetnemu, tak wysoce uduchowionemu we wszystkiem, w filozofji, w poezji, wymowie, sztukach pięknych — cóż pozostanie? nic wcale. A raczej pozostaną dwie rzeczy, które nigdy, nie przynosiły nam chluby, owszem przynosiły nam raczej ujmę, a które po wygnaniu Boga, a zatem przy braku lekarstwa i hamulca, bęgą naszą hańbą.

Niema na świecie nic doskonałego i największe geniusze mają swoje strony słabe; geniusz francuski ma stron tych dwie: płochość i skłonność do rozwiązłości. Tak, ta strona płocha, figlarna, śmiejąca się, zarazem czuła i szydercza, a tak łatwo przechodząca w swawolę i rozpasanie, oto pierwsze nasze niebezpieczeństwo. Chrystjanizm powstrzymywał ją, miarkował, karcił, i dzięki temu w ciągu całych średnich wieków nie wybujała w zło istotne. Ale w XVI wieku przy osłabnięciu tego wielkiego hamulca, rozlała się pierwszą błotnistą falą, która zmieniła się w formalną powódź w wieku XVIII. Wówczas to ukazały się dzieła, do których czytania nie śmie się przyznać nikt uczciwy: taka *Dziewica* Woltera, *Wojna bogów* Parnego, bezeceństwa Pigault-Lebrun'a i wiele dzieł podobnych, dla których trzebaby utworzyć tajną bibliotekę, jak owo tajemne muzeum w Neapolu mieszczące odkopane nieprzyzwoite klejnoty dam rzymskich. Myślę, iż żaden naród nie skalał papieru taką ilością błota, jak Francuzi, i że nigdzie niema takich książek, jak nasze z XVIII i XIX w., takich powieści, poezji, tragedji, feljetonów, tchnących zepsuciem, rozpustą i bezbożnością. Niedawno porządkowałem i oczyszczałem z tych śmieci bibliotekę po zmarłym starcu. Jeszcze jestem przejęty zgrozą. We francuskim księgozbiorze tak jak w niektórych ulicach trzeba stawiać kroki jak najostrożniej, aby nie zetknąć się z kałem.

Do tego dołączcie lekkomyślność francuską, którą brak wiary wzmaga jeszcze. Jakąż bowiem wartość mieć mogą wszystkie poważne zagadnienia dla ludzi, odrzucających duszę i Boga? Co po historji ludziom, którzy nieuznają wolnej woli i wszędzie widzą tylko panowanie praw fatalistycznych? Umysłom grzęznącym w błocie na co się przyda poezja? Dajcie im dziennik dla zabicia kilku godzin dnia, i to dziennik nie zanadto poważny! A jak w pewnej chwili historji naszego narodu z wydelikaconych i zniewieściałych dłoni naszych wypadł ciężki miecz ojców, tak wobec wzrastającej płytkości naszego umysłu ciężkie i wspaniałe infolia musiały ustąpić poważnym jeszcze in quarto, a te szlachetnym in octavo, których panowanie jest już zresztą na schyłku, bo nawet coraz mniejsze i lżej-

sze formaty, cieszące się takiem powodzeniem w naszem stuleciu zdają się nam ciężyć coraz bardziej. I oto zjawia się oderwany świstek, dziennik przynęcający czytelników lekkim felietonem. Ale co mówię! wszak już do przeszłości należą i te czasy, kiedy poważny dziennik, poświęcony polityce, udzielał miejsca lżejszym wiadomościom w feljetonie jedynie, czyniąc to ustępstwo przez wzgląd na rozrywkę swoich czytelników. Dzisiaj cały dziennik jest feljetonem. Próżno w nim szukać polityki, artykułów poważniejszych, wiadomości naukowych; nic, tylko plotki uliczne, tłuste historyjki, zakulisowe anegdoty. Taki dziś jest umysłowy pokarm tego narodu, któremu pod względem darów umysłów nie dorównał, oprócz Grecji, żaden inny naród. Pomału umysł rozprasza się, karłowacieje. Nie może zdobyć się na najmniejszy wysiłek, nuży go wszelkie natężenie uwagi. Gaśnie.

Dokończmy dzieła: Wygnajmy z ducha narodu Boga, a z Nim podniosłość, szlachetność, powagę, głębokość, siłę, to jest moralną wielkość i piękność; zostawmy tylko płochość i lekkomyślność, dwie pokrewne sobie właściwości, a ujrzymy, co się stanie z umysłem francuskim. Będziemy jeszcze Grecją, ale nie z czasów Peryklesa; będziemy Grecją współczesną Cyceronowi, w której Rzym zaopatrywał się w gramatyków, nauczycieli i historyków, płacąc im złotem i pogardą. Nie mogąc zapomnieć o minionej wielkości, będziemy nużyli świat powtarzaniem imion Bossueta, Pascala, Corneille'a, Kartezjusza; ale te wielkie imiona uwydatnią jeszcze bardziej naszą wobec nich małość. Niewiara wytworzy z nas tylko dowcipnych gawędziarzy lub wesołych gorszycieli, i ojczyznę Bossueta i Corneille'a sprowadzi do zaszczytnej roli Figara Europy.

Czemże są wszakże te wszystkie zamachy, skierowane przeciw genjuszowi Francji, przeciw jej szlachetnemu i światłemu umysłowi, wobec podjętych z tak zatrważającą zgodą i wytrwałością usiłowań zepsucia i zgangrenowania jej serca. Widzieliśmy wyżej, czem jest serce Francji, widzieliśmy jego wyjątkowo piękne strony dodatnie. Ale ma i ono strony słabe. Jedna z nich jest wysoce szlachetną, ale też i wysoce niebezpieczną, jeżeli boski wpływ religji nie będzie jej ustawicznie miarkował, prowadził, poskramiał i przeobrażał. To ta, co dała początek rycerskości, tkliwej czci dla kobiety, która się stała w wiekach średnich przedmiotem kultu; bo Kościół pojął swym genialnym zmysłem praktycznym, że Francji zagraża zagłada nie egoizm, ale miłość, że zatem trzeba tę miłość uświęcić, postawić niewiastę na ołtarzu niejako i zapalić w sercach cześć dla ideału. Tam także bierze początek w naszych obyczajach czasów nowszych francuska kurtoazja zwana inaczej galanterją, owo szczególniejsze i czysto francuskie połączenie

szacunku i uprzedzającej grzeczności, delikatności i nadskakiwania, i będącej w obyczajach tem, czem w świecie umysłowym Grecji był attycyzm. Ale nie obniżajcie poziomu religijnego, bo od średniowiecznej rycerskości, od kurtoazji i galanterji wieku XVII jeden krok tylko do ryzykownej płochości i niebezpiecznych miłostek XVIII stulecia, a dalej do wolnej miłości, rządzącej się kaprysem i upodobaniem przelotnem, a wiodącej do wszelkich bezeceństw i klęsk najsmutniejszych.

Otóż tej to stronie serca Francji, stronie najdelikatniejszej, najbogatszej, i najidealniejszej, ale też i najniebezpieczniejszej wypowiedziano zaciętą wojnę. Nie szczędzono niczego, aby ją zepsuć, poniżyć, zbezcześcić. Zjawili się sofiści, którzy postawili sobie za zadanie uwolnić nasze serce od wszystkich więzów, wszystkich tam boskich, od hamulców rozumu i sumienia; rozkiełznać jego namiętności i aby je tem łatwiej znieprawić, zetrzeć zeń chryzmo chrztu, którem je Kościół oczyścił. Być może, że po za Renem można zaprzeczać platonicznie istnieniu Boga i wyprowadzać stąd wniosek, że niema duszy, niema wolnej woli ani też odpowiedzialności za postępki, jednem słowem, że niema dobra ani zła, bez szkody dla jednostki ustroju społecznego. Ale nigdy we Francji. Takie ideje nie mogą pozostać w umysłach w stanie abstrakcji; muszą pociągnąć za sobą zepsucie obyczajów. Niema, powiadacie, Boga, niema duszy. Więc musicie przyjąć i nieuchronną tego konsekwencję. Niema Boga: zatem prawda jest urojeniem, nieśmiertelność mrzonką, cnota niedorzecznością. To produkt pewnych organizmów, „jak cukier lub witrjol.“ Możecie sobie wytwarzać cnotę, ofiarę, jeżeli wam to sprawia przyjemność. Ja wytwarzam rozkosz, użycie.

To też, kiedy wolnomyślicielstwo zrywało tak wszystkie tamy i wszelkie wędzidła w sercu Francji, spójrzcie, co porabiała przez ten czas jego córa, niezależna moralność. Córa? powinienbym raczej rzec: jego matka Co tworzyła? i jak nazwać jej tworzywo? Pióro moje nie skala się jego imieniem, powiem tylko, że z chwilą kiedy zaczyna się panowanie tego, co się pod niem kryje, wracamy do czasów cesarstwa Bizantyjskiego. Istoty, które kryjąc się dotąd pod ziemią, czatowały w cieniu na swe ofiary; podniosły naraz głowę, ukazały się na ulicach otoczone skandalicznym rozgłosem i powodzeniem, przejeżdżając się po Paryżu rozparte zuchwale w zbytkownych powozach, i obryzgując wszystko błotem. Były to narodziny pół światka, a zaledwie się on narodził, zaczął dyktować prawa wielkiemu światu. Narzucał mu swe obyczaje, mody, wyzywające kostjumy, zuchwałe zachowanie się, nawet swój język prostaczy. Rujnował go; jak pijawka ssał jego bogactwo, honor i krew. Poczem zwracał mu, na podobieństwo morza wyrzu-

cającego topielców po rozbiciu się statku, jego synów wyniszczonych, spodlonych, wyłysiałych, z oczyma zapadłemi i zwiędłą twarzą, niezdolnych do odczucia uczciwej miłości, nie mogących być ojcami, albo dających swym potomkom życie rachityczne, zakażone fatalnym jadem zwyrodniającym francuską rasę. Ach! wyście sądzili, że można odjąć sercu, francuskiemu sercu hamulec wiary i zatrzymać je potem na pochyłości! Nie, nie wcześniej zatrzyma się ono aż w kałuży!

A całe to gorszące zepsucie, grasujące w Paryżu, prasa szerzyła po wszystkich prowincjach, po całym świecie nawet. Za jej pośrednictwem Paryż zatruwał swoją lubieżnością świat cały. Cała Europa zbiegała się doń i powracała do siebie zepsuta, naprzekór szlachetnemu posłannictwu Francji, które ona przez ciąg czternastu wieków tak godnie spełniała.

W teatrach to wszakże lepiej niż gdzieindziej, można było obserwować szerzenie się tego zepsucia. Nie widywało się już tam owych wspaniałych dramatów cnoty i miłości, gdzie wchodziły w grę najszlachetniejsze namiętności, w których celowaliśmy niegdyś za przewodem Corneill'a i Racine'a, ani nawet tych wesołych i delikatnych, szlachetnych jeszcze, chociaż nie dosyć chrześcijańskich komedji Molière'a. Nic dla duszy, nic dla umysłu. Gromadzono się, aby się przyglądać nawpół obnażonym kobietom i im ich więcej było na scenie, im bardziej były obnażone, tem większem powodzeniem cieszył się teatr.

Tak to się rozprzęgały obyczaje Francji, psuła się jej krew najzacniejsza. A tymczasem pierwiastek rozkładu pod inną formą przedostawał się do rodzin. Niesłychany zbytek psuł je i rujnował. Wszystko zdawało się sprzysięgać na ich zgubę, wszystko dążyć do zakażenia ostatków tej niezepsutej krwi, co jeszcze ożywiała serce Francji, a przechowywała się w prowincjonalnych zakątkach i w łonie zacnych rodzin; wszystko, począwszy od najbardziej krzyczących mód, obrażających jeszcze bardziej dobry smak aniżeli moralność, od nieskromnego obnażenia, znieważającego pierś najczystszych dziewic, do wyuzdanych tańców, odbywanych pod okiem zaślepionych matek i występnych ojców.

Któż wypowie stopień rozprzężenia moralnego, do którego doszliśmy? Kiedy czytam ówczesnych pisarzy i powieściopisarzy, jedna rzecz uderza mnie i przeraża przedewszystkiem. Anglja, Ameryka, Niemcy posiadają mnóstwo powieści z życia rodzinnego, czystych, delikatnych, mających za przedmiot domowe ognisko, i drobiazgi życia codziennego, ale drobiazgi opromienione uczuciem. Z Francją rzecz się ma wręcz przeciwnie. Nie ma ona powieści, któraby nie była osnutą na wiarołomstwie, nie malowała jakiegoś gorszącego skandalu. Po-

trzeba jej zakazanej miłości i krwi. Powiadają powszechnie, że literatura jest obrazem społeczeństwa. Czyżby więc ci malarze obyczajów studjujący towarzystwo francuskie widzieli w niem samo tylko intrygi, samo zepsucie i wiarołomstwo? Czy też może tylko wiedzą, że niczem innem nie zajmą czytelników? Prawdą jest, w każdym razie, że Francja zatraciła moralność i cnotę, zatraca je coraz bardziej, i blizką jest ta chwila, kiedy to zło, zgangrenowawszy serca czy to jednostki, czy społeczeństwa, zagraża już życiu u samych jego podstaw.

Jest-że jakie lekarstwo, na tę toczącą serce Francji gangrenę? Tak, było jedno, cudownie przystosowane tak do jego stron pięknych i wielkich, jak i do jego stron słabych. Ale odrzucacie je. Francja miała religję, której pierwszym symbolem była dziewica, nadziemsko czysta, do której serca przynosiły nasze córki serca swoje i czerpały zeń skromność, ujmujący wdzięk, który je upiększał, który napełniał urokiem nasze domy i zdobił nawet ulice.

Drugim religji tej symbolem był krzyż, który uczył dojrzałych mężów nie panować, ale służyć, poskramiać siebie, być gotowymi do ofiary, i nadawał im podniosłość myśli, delikatność uczuć, męski srom i łagodną powagę, które były ozdobą, bezpieczeństwem i zaszczytem rodzinnego ogniska.

Ostatnim wreszcie wyrazem tej religji była miłość, miłość bezinteresowna, pełna poświęcenia, dana nam z Nieba, ażeby nauczyć nas kochać, aby szerokim strumieniem ogarnąć całą ludzkość.

Ale wy tę religję odrzucacie! I zdaje się wam, że z waszą pospolitą moralnością bez podstaw i bez sankcji zdołacie zachować te wszystkie cnoty! Myślicie, że zachowacie chrześcijański wstyd, że zachowacie młodzieńca w czystości a małżeństwa w jedności, szczęściu, błogosławieństwie Bożem, małżeństwa nieskalane, płodne, złączone miłością wciąż wzmagającą się a pełną delikatności, szacunku i poświęcenia, jaką daje chrystjanizm! Sądzicie, że zachowacie czystość dziewic, godność niewiasty, świętość małżeństwa!

Albo może wyobrażacie sobie, że wzgardziwszy tem wszystkiem, podeptawszy te swoje najcenniejsze dobra, pozostaniecie mimo to zawsze wielkim narodem?

O, nie! dobre obyczaje tworzą wielkie narody; czyste ogniska tworzą silną rasę. A ogniskami czystemi, płodnemi są tylko te, które się wspierają o ołtarz. Wspomnijcie na wiek XVIII. Wówczas, wedle czyjegoś silnego wyrażenia, „Sardanapal nocował w sypialni Świętego Ludwika, Stambuł nawiedził Wersal i czuł się jak u siebie.“ A w kilka lat potem Francja pogrążała się w otchłań!

Utracicie tedy wszystkie te skarby, a nie śmiałbym ro-

czyć, czy z ogólnego rozbicia uratujecie bodaj tradycyjne narodowe męstwo! Nie cofam ja nic z tego, co powiedziałem wyżej o francuskiej szpadzie. Nawet po tylu klęskach pozostaje ona najpierwszą w świecie. Ale nie należy jej dawać w ręce bezbożne, rozpustne, sprzedajne. Czyż myślicie, że skoro zaszczepicie gangrenę w sercu, będzie ono jak przedtem podatnym gruntem dla męstwa? Ależ męstwo i honor to najbardziej boskie przymioty serca! Świadczą one o gruncie szlachetnym i wzniosłym. Starożytni mówili, że ojczyzna—to ołtarze i ogniska. Ale wy ołtarzy nie macie; okrywacie je pogardą i zniewagą! Macie tylko ogniska, i to ogniska smutne, ponure, skalane może, bez kolebek. Za cóż mielibyście ginąć? Zostają wam tylko interes własny i przyjemność, a nikt nie kładzie życia w ich obronie.

Nie zapomnę nigdy widoku, jaki mieliśmy w Orleanie 15-go sierpnia roku 1870 i dni następnych. Zwołano tam rezerwistów wszystkich pułków, wszystkie milicje z sąsiednich departamentów, aby spróbować utworzyć z nich armię, któraby mogła naprawić pierwsze klęski. Ulice były pełne żołdactwa brutalnego, pijanego, bluźniącego Bogu i znieważającego Jego kapłanów. Pamiętam, jakby to było wczoraj, jak cały jeden pułk przeprowadzał szyderskimi okrzykami siwowłosego kapłana. Tysiąc pięciuset zbrojnych urągało jednemu starcowi. A kiedy jeden z przechodniów oburzony taką podłością, zrobił uwagę jednemu z dowódców, ten odpowiedział tylko ruchem ramion, oznaczającym, że nic na to nie poradzi. Wówczas wydało mi się, że mam przed oczyma los, a raczej nieszczęście Francji.

Takiego samego, tylko silniejszego jeszcze, doznałem wrażenia w dniu 13-ym października, we dwa dni po bitwie pod Orleanem i wzięciu tego miasta. Wyszedłem był dla zwiedzenia pola bitwy i zobaczenia, czy nie znajduje się w otaczających winnicach jaki ranny, potrzebujący pomocy. Kopano właśnie dwa wielkie groby pomiędzy Chapelle-Vieille i Fleury, jeden dla żołnierzy francuskich, drugi dla nieprzyjacielskich. Znoszono i zwożono trupy w promieniu dwu i trzymilowem, bo armia francuska, cofając się pod Orlean, zajmowała dużą przestrzeń. Zanimby nastąpił pogrzeb, składano tymczasowo nad brzegiem dołów w stosy tych poległych o twarzach surowych, noszących wyraźne ślady przedśmiertelnych wzruszeń. Szczególnie rysy tych, których kula trafiła w serce, powodując śmierć natychmiastową, wyrażały dumę, gniew i zapał. Pamiętam, ogromny kontrast jaki tworzył z nimi młody milicjant z Cher, szczupły, delikatny, o twarzy dziwnie i wysoce pięknej, ugodzony w piersi, z szeroko otwartemi oczyma i ustami, jak gdyby miał zaraz przemówić. Leżał na młodym Bawarczyku,

łagodnym i jasnowłosym, który zdawał się spać. Obu złączyła w swojem objęciu śmierć, wielka rozjemczyni ludzkich niesnasek. Niedaleko to stamtąd doznałem powyżej wzmiankowanego wrażenia. W ustronnem miejscu, pod mostem kolejowym, natrafiłem na żołnierski tornister obok porzuconej fuzji. Wiatr przewracał kartki wyglądającego zeszytu. Wziąłem go do ręki. Na wstępie były tam bezbożne i nieskromne koszarowe piosnki, skreślone opłakaną kaligrafią i ortografią. Dalej ta sama ręka pomieściła skandaliczne opowiadanie, najsprośniejsze, jakie można sobie wyobrazić. Biedny chłopiec, poszedł do boju z tem bezeceństwem w tornistrze! Jeżeli zginął, to był jego wiatyk. Zalany łzami wracałem do miasta zbombardowanego przedwczoraj przez Prusaków. Zdawało mi się, że wracam z pogrzebu Francji. Ale w duszy mojej nie sam tylko był smutek; łączyło się z nim oburzenie. A myśląc o tych wszystkich, którzy od lat dwustu nie szczędzili usiłowań, aby zepsuć Francję, i doprowadzili nas do tych nieszczęść, przypomniałem sobie sławne słowa A. Musset'a:

„Czy śpisz zadowolony, Wolterze?“

Ale chociaż serce Francji tak ciężko jest chore, większe jeszcze niebezpieczeństwo zagraża jej charakterowi. Trzeba mieć odwagę wyznać sobie, że charakter zajmuje ostatnie miejsce w rzędzie wspaniałych darów naszej ojczyzny. Jest ona z natury ruchliwą, wrażliwą, rządzącą się uczuciem, czemu zawdzięcza pierwszorzędną piękność; powodzenie napełnia nas otuchą i czyni niezwyciężonymi, ale przeciwności odejmują nam energję; przechodzimy kolejno od gorącego zapału do zniechęcenia; wzbudzamy podziw świata to wspaniałością zwycięstw, to znów doniosłością i ogromem klęsk naszych i nieszczęść. W życiu obywatelskiem to samo dziwne przerzucanie się od krańcowej niepodległości do ostatecznego służalstwa. Dzisiaj, do zbytku zazdrośni o naszą wolność, wyganiamy królów za lada powodem, a nazajutrz korzymy się ze drżeniem przed pierwszym lepszym, który odważy się przemówić do nas z batem w ręku. Jedyny to kraj chrześcijański, w którym mógł panować swojego czasu terroryzm, jedyny w którym jest on zawsze możliwy; a w tych dniach szału niewiadomo, co bardziej podziwiać: podłość rządzących, czy podłość rządzonych? Jakże dobrze znała nasza stara religja katolicka duszę Francji, jak wytrwale i konsekwentnie pracowała nad urobieniem i umocnieniem naszego charakteru! Ona to rycerzom naszym dała hasło: *Potius mori quam foedari*; sędziów nauczyła: „wydawać wyroki, a nie wyświadczać przysługi;“ a mężom stanu włożyła w usta te słowa: „Dusza moja należy do Boga; serce do króla; ciało moje jest

w mocy złych ludzi; niech robią z niem co się im podoba.“ Dzięki też tej surowej i hartującej karności chrześcijańskiej kraj nasz wydawał zawsze na podziw światu największe charaktery, najpiękniejsze dusze, najsilniejsze przekonania, jednem słowem: najpiękniejsze typy tego francuskiego charakteru, z natury lekkiego, niestałego, wrażliwego, unoszącego się łatwo zapałem i równie łatwo upadającego na duchu, ale który przez wiarę, sumienie, honor, przez stałość zasad wznosił się do tego co nazywamy wielkością charakteru.

Oto co zdziałała religja, a zburzyła niewiara. Możecie spać spokojnie; z tego wszystkiego nie pozostało nic, albo tak dobrze, jak nic. Przeszliśmy przez trudne do pojęcia klęski. Z uwagą, jak to mam w zwyczaju patrzałem wokoło siebie. Przerażony byłem przygnębieniem dusz, upadkiem charakterów. Niema już ludzi! Dlaczego? Ponieważ niema zasad. U większości ludzi próżno szukać duchowego podkładu. Są oni rozumni, wykształceni; wiedzą wszystko; o wszystkiem potrafią mówić; ale ich wyobrażenia o moralności, pojęcia o najważniejszych zagadnieniach, o rzeczach wiekuistych, są nieokreślone, chwiejne, czasem dziwnie płytkie. Duszom ich brak kotwicy. Nie opierają się na żadnym absolucie. Cóż dziwnego, że są oddane na wolę fal i wichrów? Na czemżeby się wsparły, chcąc stawić czoło burzy? To też zabrakło nam jednocześnie wszystkich sił: siły posła, któryby głosował niepodległe i według sumienia; siły prefekta, podprefekta, mera, posłusznych z obowiązku, ale którychby posłuszeństwo nie przekraczało granicy honoru i sumienia; siły autora, szanującego swoje pióro. Francja nie ma tego wszystkiego, bo nie ma już tej świętej, najpotrzebniejszej ze wszystkich siły, siły moralnej, opartej na niezachwianem przekonaniu; siły, która powiada:

„Boga się boję, Abnerze, i niczego więcej.“

Zniszczcie do ostatka tę moralną siłą; podepczcie wszelkie zasady, jako urojenia; usuńcie z dusz resztki przekonań, jakie się jeszcze zachowały; ale nie mówcie potem, żeście zazdrośni o wielkość Francji. Póki nie znała was, bezbożnicy, materjaliści, kroczyła na czele ludzkości, budziła w niej uwielbienie i zazdrość. Dzisiaj wam to zawdzięcza, że już tylko ogromem klęsk swoich i głębią niedoli jest dla niej przedmiotem podziwu.

Tak to pod palącem tchnieniem politycznego i społecznego ateizmu słabnie i gaśnie umysł, serce, charakter, ciało nawet. Tak jest, nawet ciało Francji, tak silne, tak zdrowe tak kształtne. Nietylko zmniejsza się skala wzrostu narodu, tak, że co lat piętnaście trzeba ją zniżać dla armii; nietylko

blednieje krew, tak, że w pewnych okolicach, w wielkich miastach, w Paryżu, możnaby sądzić, że jesteśmy śród tłumu widm; ale, oto i ludność zmniejsza się stopniowo, jak wypalony olej w lampie. Korzenie naszego życia podgryza zło nieznane naszym ojcom, które występuje tylko u ludów upadających. Czyżby nadeszła dla nas owa doba Państwa Rzymskiego, kiedy nie było prawie małżeństw, kiedy trzeba było praw, aby zmusić młodzieńca do wyboru towarzyszki życia; kiedy szczególnemi łaskami i przywilejami, pensjami nawet potrzeba było zachęcać rodziny, aby miały dzieci? Faktem jest, że według najświeższych statystycznych danych, Francja, co do przyrostu ludności, zajmuje ostatnie miejsce w szeregu państw europejskich. Kiedy naprzykład w Prusach przyrost ten od roku 1817 do 1864 wynosi 82%, we Francji dochodzi zaledwie do 25%. Różnica staje się jeszcze znaczniejszą, kiedy porównamy Francję z Rosją, Anglją lub Stanami Zjednoczonemi. Ostatnich lat kilka ludność stoi w tej samej mierze, ale chociaż ilość pozostaje niezmienioną, traci ona na jakości. Giniemy widocznie. O Francjo, wybacz kochającemu cię synowi, ale jakże mógłbym nie zapłakać nad tobą! Oto Rosja czyni zdobycze w górnej Azji, a wkrótce może zapanuje nad dalekim Wschodem. Oto Anglja pokrywa kwitnącemi kolonjami Oceanję, Australję, Indje. Oto Ameryka zapełniwszy oba swe lądy, weźmie wkrótce przewagę na wszystkich morzach, ty zaś, moja wielka ojczyzno, nie będziesz może miała dosyć rąk do uprawy własnej ziemi!

Ale w smutku mym i niepokoju na widok słabnięcia i wycieńczania się ciała Francji pod mroźnym podmuchem niewiary, materjalizmu i bezwyznaniowości, nie tyle mam na myśli jej ziemię, jej krew i siłę i liczbę jej dzieci; ile jej ciało społeczne, organizację tego drogiego mi narodu, tak niegdyś zjednoczonego, tak żywotnego, tak wolnego, a dziś tak wzburzonego, tak niezgodnego, tak mocno chorego, a wstrząsanego wciąż nowymi przewrotami, jak owe dusze potępieńców Danta, któremi miotają wiekuiste wichry. Utraciliśmy starą konstytucję, a niezdolni jesteśmy do utworzenia nowej. Dawna miała zapewne swoje usterki, ale jej to dzięki Francja, chociaż głęboko przywiązana do swych królów, była zawsze ziemią swobody. Obecnie, tyleśmy już razy pracowali nad odbudowaniem tego starego gmachu swobody na nowych a trwałych podstawach, a czyż osiągnęliśmy pożądany skutek? Zważcie, jakiej to już nie próbowaliśmy konstytucji w obecnem stuleciu, a któraż się z nich utrzymała? Co piętnaście lat szukamy sobie nowej, a skoro ją posiadamy, nie otaczamy jej czcią, nie uważamy za rzecz świętą i nietykalną, nie podlegającą naganie i krytyce, chyba bardzo ostrożnej i pełnej szacunku; nie

aśladujemy starożytnych, którzy uważali ją za daną z Nieba pomieszczali w świątyni, aby to odosobnienie, tajemniczość opromienienie blaskiem religji czyniło ją tem czcigodniejszą; nie obchodzimy się z nią jak z drzewem, którego korzeni nie obnaża nikt, oprócz dzieci albo szaleńców; przeciwnie, zalewie powstanie, poddajemy ją krytyce, wynajdujemy jej słabe strony, obieramy ją za cel dowcipów, za przedmiot żartu i szyderstwa, tak, że po upływie lat piętnastu niema potrzeby jej obalać: upada sama, zdyskredytowana, odarta z uroku, wzgardzona, ośmieszona. Co piętnaście lat mamy „rewolucję pogardy". A wówczas, kiedy w zaślepieniu pracujemy nad tem dziełem zniszczenia, w pyle wzbijającym się z tych szczątków społecznej budowy kryje się i czai stronnictwo, pragnące przywłaszczyć sobie władzę, nim będzie mogło kraść własność. Biedna moja ojczyzno! z kimże cię porównam? Jesteś podobna do owej niewiasty starożytnej, płaczącej i jęczącej, ponieważ czuła bijących się w swem łonie dwóch swoich synów.

Podwójcie usiłowań, bezwyznaniowcy, ateusze, materjaliści: wszak Francja nie dosyć jeszcze poniżona! W sercu robotników miejskich i rolników wiejskich, w sercach wszystkich, którzy cierpią, zagaście wszelkie zasady, a rozpłomieńcie wszystkie pożądliwości, zdejmcie wszelkie hamulce, rozkiełznajcie wszystkie namiętności, a nie będzie potrzeba barbarzyńców, żeby unicestwić Francję i świat od niej oswobodzić. Rozszarpie się ona własnemi rękoma.

Albo raczej nie! — występki nie uchronią jej od barbarzyńców, a jeżeli niewiara weźmie w niej górę, to, zaćmiwszy jej umysł, znieprawiwszy serce, podkopawszy charakter, rozerwawszy jedność narodową, zgotuje wiele innych nieszczęść. Na podobieństwo strąconego archanioła Miltona, zachowującego jeszcze wiele pięknych śladów dawnej wielkości i świetności, Francja bezbożna, zmaterjalizowana zachowa najcharakterystyczniejszą swą cechę, ducha propagandy, prozelityzmu. Ona, która w wiekach średnich szerzyła po całym świecie swoje instytucje polityczne, społeczne i religijne, w XVI i XVII stuleciu swój język, obyczaje, sztukę, a obecnie swoje prawodawstwo, wyciskając, gdzie się tylko zjawi, piętno swoje, zepsuta, będzie szerzyła swe zepsucie. Z uwiedzionej stanie się uwodzicielką. I straszna to będzie rzecz, kiedy ten jej umysł, wdzięk, to serce, ten język, ta jej gorliwość, zaprzęgną się w służbę zła. Sięgnie ona do niemieckich uniwersytetów po systematy filozoficzne najśmielsze, najobrzydliwsze i najbardziej upadlające, rozjaśni je i uprzystępni, wydobędzie z ciężkich i wielkich woluminów, gdzieby pozostały nieznane i rozrzuci po całym świecie, aby zagasić światło wszędzie. Zgromadzi najrozpasańsze mody, najniemoralniejsze książki i powieści. Tych,

niestety, nie będzie potrzebowała zapożyczać u innych; wysnuje je sama z siebie. A jeżeli jej twórczość w tym kierunku nie będzie dosyć płodną, wyda nanowo wszystkie utwory XVIII wieku; wydrukuje je w lotnych świstkach kilkugroszowych, ozdobi sprośnemi ilustracjami i zaleje niemi świat. Jak niegdyś misjonarzy cnoty, będzie miała misjonarzy zepsucia. Po przez morza i góry poda rękę wszystkim burzycielom porządku społecznego; zbudzi drzemiących; w najustronniejszych dolinach rozdmucha płomień rewolucji i krwawą jej pochodnię wzniesie ponad światem. Tem jej nowem apostolstwem przerażą się królowie; zdrowe jeszcze narody usuną się od niej, jak od zapowietrzonej. Oddzielą się od niej kordonem sanitarnym. I przyjdzie czas, kiedy czy to z woli Boga, który pomnąc na dawną Francję i nie chcąc jej opuszczać, ześle kary dla jej upamiętania, czy też przez zawiść, nienawiść, obawę królów i narodów, którzy będą usiłowali zgasić to niebezpieczne ognisko, Francja opustoszona, zmniejszona, rozdarta rękoma własnych dzieci, zostanie zdziesiątkowaną i zdeptaną przez obcych, a kiedy jej ostateczną zagładę te wszystkie klęski spowodują, od czego uchowaj nas Boże, zwiedzający jej ruiny pielgrzym, nie będzie miał dosyć łez, ażeby opłakać jej niedolę.

„*Jako siedzi samo miasto pełne ludu!...*“ (Treny Jer. I, 1).

„*Komu cię przyrównam, albo komu cię przypodobam, córko Jerozolimska?...*

„*Klaskali nad tobą rękoma wszyscy mijający drogą, świstali i chwiali głową swoją nad córką jerozolimską, mówiąc: I onoż to jest miasto doskonałej piękności, wesele wszystkiej ziemi?*“ (Tamże, r. II, 13, 15).

Wspomniawszy wszakże, że to przez bezbożność i występki upadła ta królowa narodów, ów pielgrzym zaduma się nad ruinami i wyda mu się, że słyszy głosy, które trwożyły Jerozolimę w przeddzień jej upadku: „Bogowie odchodzą.“ I przywiedzie swe dzieci i wnuki, aby zrozumiały naukę, jaką mieszczą w sobie te szczątki, a wskazując im zwaliska Luwru, Tuileryów, łuki mostów Sekwany, wyrzecze: „Patrzcie, żył tu niegdyś wielki naród, ale stracił żywot, ponieważ chciał żyć bez Boga!“

V.

Ale nie kończmy na tak smutnych przepowiedniach. Nie, bezbożni, bezwyznaniowcy, materjaliści, wyście nie opanowali duszy Francji pomimo waszych umiejętnych i konsekwentnych napaści. Staraliście się dotrzeć do jej rdzenia; nie posiedliście jej wszelako. Wymyka się wam,

ucieka z waszych ciasnych widnokręgów, z jaskiń, w których chcieliście ją zamknąć i gdzie jej duszno; wznosi się, na przekór wam w sfery pogodne, gdzie przemieszkuje wielkość światło.

Rozpatrzmy naprzód umysł Francji, ten umysł szlachetny, światły i logiczny. Nie, nie zmienił się on, nie uszczuplił, nie przygasł; jaśnieje dziś blaskiem szczególnym, wyższym zaiste od blasku wieku XVIII, równym w pewnej mierze blaskowi XVII wieku, a pod niektórymi względami nawet wyższym. Zapewne język XIX w. mniej ma poprawności, mniej surowej wielkości, ale jest zato barwniejszym, bogatszym i dźwięczniejszym, ma więcej pojemności i giętkości. Bo też barbarzyństwem jest chcieć unieruchomić język. Żyje on, rozwija się; a jeżeli traci jedne powaby, nabywa za to innych. Czyż nie widzicie, że te wybitne piękności, które zapoczątkował wiek XVI, a przytłumił chwilowo zbytni puryzm XVII, rozkwitły w XIX w. nadały naszemu językowi blask szczególniejszy? A ileż darów zupełnie nowych, nieznanych poprzednim wiekom! Weźmy na przykład poezję liryczną. Czyż wiek XVII może pod tym względem porównać się z nami? Prawda, że nie ma Racine'a. Ale u niego poezja liryczna to tylko dodatek; a zresztą jest on jedynym, bo nie zaliczę nigdy do liryki ód Boileau; my zaś mamy co najmniej trzech pierwszorzędnych liryków. Ale nie tu jeszcze nasza stanowcza i wybitna wyższość. Stanowi ją poezja nastrojowa. Pod tym względem przeszłość nie daje nam wyższych ani równych. Wiek XVII nie przeczuwał nawet tego rodzaju, w którym my stworzyliśmy arcydzieła. Takie naprzykład, że wymienię tu jedno tylko, *Le Lac* (Jezioro) będzie żyło, póki żyć będzie język francuski i przejdzie do potomności w jednym conajmniej rzędzie z najpiękniejszemi utworami wieku XVII. A w iluż to innych rodzajach znaleźliśmy nowe drogi! W historji naprzykład, tak w wieku XVII bladej i ogólnikowej, wyjąwszy Bossuet'a, bo ten posiadał genjusz, który staje za wszystko. Poprzestanę na tem, ponieważ nie mam obecnie zamiaru przeprowadzać wyczerpującego porównania pomiędzy umysłowością Francji XVII a XIX w.; a przytem, to co powiedziałem jest wystarczającem, by dowieść, że bezbożność, materjalizm i bezwyznaniowość nie opanowały jeszcze do tego stopnia umysłu francuskiego, aby go spospolitować, poniżyć i zagasić.

Chcę tylko zwrócić uwagę na cechę znamienną tego umysłu w naszem stuleciu. Tam tylko zachował jeszcze pewną wielkość, gdzie pozostał religijnym. Jest o tyle wielkim, o ile chrześcijańskim. Bo powiedzcie proszę, jacyż to są ci nasi wielcy filozofowie, którzy w przyszłości będą uoso-

bieniem naszego genjuszu filozoficznego? Bezspornie de Maistre, a może i Bonald: autor *Wieczorów Petersburskich* [1] i autor *Pierwotnego prawodawstwa* [2]. Nie ośmielam się zaliczać do nich Cousin'a, wielkiego prozaika, ale miernego filozofa, bez oryginalności, bez gruntowności, bez pomysłowości, o którego z pewnością nie upomni się ateizm ani materjalizm. Za to chętnie zaliczyłbym do nich religijnego Maine'a de Biran, który może najwyżej podniósł sztandar myśli filozoficznej w naszym wieku. A któż jest naszym wielkim prozaikiem? Chateaubrian, autor *Genjuszu Chrześcijaństwa* [3], śpiewak *Męczenników* [4]. Jeden tylko mógłby z nim współzawodniczyć: autor *Studjum nad obojętnością* [5]. Przejdźmy kolejno do poetów. Znam wszystkie wady Lamartine'a, ale cóż w nim za cudowna wzniosłość duszy! Zaczekajmy aż wiatr postrąca z tego szlachetnego drzewa wiele martwych liści, parę poronionych płodów, a pozostanie mała wiązanka wyborowych kwiatów i owoców przejętych duchem religijnym. To samo będzie z Wiktorem Hugo; tylko, że potężne drzewo będzie potrzebowało silniejszego wiatru. W każdym razie z jego i Lamartine'a utworów pozostaną te tylko, które tchną duchem chrześcijańskim. A jeśli, jak przypuszczam, niektóre poezje Alfreda de Musset przejdą do potomności, to właśnie te, które są głosem zranionego orła, które malują przerażający smutek opustoszałego serca, złorzeczą tym, którzy Boga ze świata wygnali. Weźmy teraz mówców. Czy wiek XIX ma wielkich? Tak jest, a na ich czele Berryer'a, równego największym nietylko tego wieku, ale wszystkich czasów; jednego z tych niewielu, co na tym biednym świecie, gdzie się wszyscy jąkamy, mówili dobrze; potem Lacordaire'a, mniejszego od poprzedzającego, bo nie mającego jego prostoty ani patetyczności, ale zawsze jeszcze bardzo wielkiego, a który byłby jeszcze większym, gdyby był nic nie napisał, bo jego pióro ustępuje o wiele jego słowu. Ci oto pozostaną nam z pomiędzy tych, którzy już nas opuścili. A jeszcześ czy pozostaną wszyscy? Przynajmniej służyć będą oni przyszłym wiekom jako świadectwo wysoce duchowego, religijnego i chrześcijańskiego charakteru myśli wieku XIX. Wszystko co pozostanie z tego wieku będzie nosiło tajemnicze piętno religijnego namaszczenia. Wszystko inne, na

---

[1] Soirées de Saint-Pétersbourg.
[2] La Législation primitive.
[3] Génie du Christianisme.
[4] Les Martyrs.
[5] Essai sur l'indifférence.

em zostawił plugawe swe ślady robak ateizmu i materjali-
ıu, pójdzie do kosza, do rynsztoku. Tak, pomrzecie ateusze,
żeście nawet pomarli! Szukam pomiędzy wami imienia prze-
aczonego do chwały, skroni poślubionej nieśmiertelnym wa-
rzynom, ale ich nie widzę i wy mi ich wskazać nie potraficie.

Wielkie umysły, wymienione wyżej, są chyba wystar-
ającym dowodem, że dusza Francji jest jeszcze głęboko re-
gijną; a o ileż ten dowód nabiera siły, kiedy badamy jej ser-
e! To wielkie serce dręczone, tłumione, gorszone, psute przez
as, wymyka się wam także. Prawda, że z waszej łaski nie-
ajuż dla niego miejsca w polityce; że bezsilne jęczy nad uciśnionymi
ıdami, oburza się nad niedolą Papiestwa prześladowanego,
ieważanego, więzionego. Bije wszelako zawsze silnie w pier-
ach Francji; jest zdolne wzruszyć zapałem całą izbę poselską,
yrwać wahającemu się i opornemu ministrowi słynny okrzyk:
Nigdy, nigdy!" A zwyciężone i obezwładnione w życiu po-
tycznem i społecznem, wygnane niemal z ojczyzny, urzędo-
ej przynajmniej, wynagradza ono sobie w życiu prywatnem
ınóstwem najbardziej wzruszających i szczytnych pomysłów.
erce to Francji stworzyło w XIX stuleciu Siostrzyczki Ubo-
ich i w przeciągu lat dwudziestu urządziło sto przeszło przy-
ułków dla opuszczonych starców. Ono to, przejąwszy od
XVII wieku cudowną instytucję Sióstr Miłosierdzia świętego
Vincentego à Paulo, rozwinęło ją i rozszerzyło nad
vszelkie spodziewanie; pomnożyło liczbę tych aniołów odpo-
viednio do ilości ludzkich cierpień; rozsiało z nimi pociechę
nadzieję po miastach i miasteczkach, po szpitalach, więzie-
iach, fabrykach, warsztatach, aż na polach bitew, wszędzie,
gdzie tylko są łzy do otarcia, rany do opatrzenia, ból do uko-
enia, zmarli do grzebania. A ponieważ i tych dziewic nie
dosyć mu jeszcze było, oprócz, że na ten sam wzór stworzyło
mnóstwo innych mniej dobroczynnych i czystych sług ubo-
gich, wprowadziło jeszcze w wykonanie śmiały pomysł XVII
stulecia, trafiło do młodzieży uczącej się w szkołach i zakonach,
do kobiet żyjących w świecie i poruczyło im służbę ubóstwu.
Prawda, że wygnaliście je oczerniwszy naprzód. Podpisując
reorganizację wolnomularstwa, podpisaliście tem samem ich
skasowanie, nie zdoławszy wszelako zdziwić ich ani zniechęcić
a tem mniej unicestwić. Oprócz zaś tych dwóch armji miłosier-
dzia, to jest zastępu czystych i mężnych dziewic i pomocniczego
go zastępu młodych ludzi i kobiet światowych, serce Francji
tworzyło jednocześnie trzecią armję, armję misjonarzy i apostołów.
I tutaj jeszcze Francja XIX wieku bierze prym nad Francją
wieku XVII i nad każdym innym narodem. Wszyscy zga
dzają się na jedno, że misjonarz francuski przewyższa wszyst-
kich innych, że jest ze wszystkich innych najweselszym, naj-

żywszym, najodważniejszym, najczystszym, że posiada największy dar przekonywania; jest to postać, która przynosi nam największy zaszczyt, a której nie spostrzegliście nawet i nie uznaliście za godną uwagi. A jednakże ci młodzieńcy razem z wiarą zanoszą do wszystkich części świata, na dalekie morza Indji, Chin, Japonji imię Francji, jej genjusz, charakter, serce, rdzeń i kwiat Francji w tem, co w niej jest najpiękniejszego i najszlachetniejszego. Ale wy tego nie widzicie. Widzicie tylko rany, które są waszem dziełem, nad których jątrzeniem pracujecie; nie spostrzegacie płomieni, wychodzących z tego wielkiego, zranionego przez was serca, które umrzeć nie chce i nie może.

Nie zanikł więc jeszcze w zupełności żaden z pięknych przymiotów Francji. Pomimo tak silnych i długotrwałych natarć, nie utraciła ona ani szlachetnej wzniosłości umysłu, ani szlachetnej inicjatywy serca, a zawdzięcza to pierwiastkowi religijnemu, wchodzącemu w skład jej narodowego charakteru, i którego nic jej wydrzeć nie mogło. Tak samo rzecz się ma z jej siłą, żywotnością, z jej męską energją. Krew, która w jej żyłach pozostała jeszcze czystą, to krew chrześcijańska. Przypatrzcie się naprzykład, które prowincje są jeszcze najżywotniejsze, w których małżeństwa są jeszcze dzietne, a ogół ludności cieszy się dobrem zdrowiem. To właśnie te, do których najmniej przenikła niewiara. Które to również dały zagrożonej ojczyźnie najliczniejsze zastępy ochotnika? których synowie okazali się najodważniejszymi, najchętniej kładli życie w ofierze? Skąd pochodzili ci wszyscy szlachetni młodzieńcy, żuawi Charette'a, ochotnicy Cathelineau, bretońscy i południowi strzelcy, którzy, oddawszy w osobie swoich przywódców miecz swój na usługi Kościoła, niemniej ochotnie ofiarowali go zagrożonej Francji? a któż zgadnie ile to w szeregach samej nawet armji, myśl o Bogu, religijne uczucie wzbudziło bohaterskich poświęceń w szlachetnych sercach generałów, oficerów, szeregowców. Iluż to z nich, gotując się do boju, przychodziło do nas, by pojednać i połączyć się z Bogiem, i szło potem ze spokojem, radością i dumą na pole bitwy, skąd potem chwalebne niejednego szczątki unosiliśmy z żalem! A ciż wszyscy szlachetni młodzieńcy, ci wodzowie, którzy nie pomnąc na siebie ani na swe rodziny, zamknęli się w Paryżu, przeistaczając go w obozowisko, i przyjęli za hasło: „Z Bożą pomocą za ojczyznę!“ czyż w ich piersiach nie biło serce Francji!

Prawda, że powodzenie nie uwieńczyło ich usiłowań, ale bo też ciosy padały z wysoka. Stało się z nimi, jak z owymi dłutami Praksytelesa, unieśmiertelnionymi synami Nioby, na których ręka bóstw wypuściła chmarę strzał: naprożno

kryją się w objęcia zbolałej matki, muszą zginąć i uznać, że pomimo młodości i męstwa nikt się nie ostoi przed gniewem bogów. Tak jest i z Francją w tych smutnych czasach. Zostaliśmy nie pokonani a ukarani. Cóż to za niesłychane zaślepienie na początku tej wojny! Jaki szereg klęsk niepojętych. Wszystko, co tylko może nas uratować, nie udaje się; co tylko robi się przeciwko nam, udaje się najdoskonalej. Czyż którykolwiek naród, pozbawiony wojska, powstał kiedy jednozgodniej, przejęty szczytniejszym zapałem? Ale czyż smutniejsze niepowodzenie spotkało kiedy równie bohaterskie wysiłki? O moja ojczyzno, nie za miecz chwytać ci dziś trzeba, ale ugiąć kolana, bić się w piersi, uznać, że Pan jest sprawiedliwy i że niemożna opuszczać Go bezkarnie.

Uzna to Francja; nieszczęście odrodzi ją powtórnym chrztem łez. I odnajdzie w piękniejszym niż kiedy blasku swój światły umysł, swe szlachetne serce, swą dzielną i dumną szpadę, odzyszcze poczucie swego wysokiego religijnego i moralnego posłannictwa, i z pomocą Bożą, z Jego błogosławieństwem znajdzie siłę, aby je godnie wypełnić w tych wielkich zmianach, które się gotują i które zmienią oblicze świata. Ujrzę to jeszcze na własne oczy, zanim umrę, a jeżeli nie, zejdę niemniej do grobu z niezachwianą tego pewnością.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

O prawdzie i piękności religji.

A zatem jest religja! Jest łącznik, drabina Jakóbowa pomiędzy tą smutną ziemią a promiennem niebem. Człowiek wstępuje, a Bóg po niej schodzi; i jakżeby się spotkać nie mieli?

Widzieliśmy, że szczytne to spotkanie, tak prawdopodobne i naturalne ze względu na naturę Boga i człowieka, jest także metafizycznie i naukowo możebnem; że nie sprzeciwiają się temu spotkaniu i połączeniu ani prawa ogólne, rządzące światem, ani odkrycia nowoczesnej nauki.

A idąc dalej, przyjęliśmy za pewnik potrzebę tego związku. Bez niego ludzkość jest kreacją niedokończoną. Bez niego jednostka niema wielkości; rodzina — miłości; społeczeństwo — czystości, trwałości, spokoju; życie — widnokręgów szerszych, nadziemskich. Religja to nietylko podstawa i klucz sklepienia świata; z woli Bożej jest ona jego urokiem i nadzieją.

Ale jeżeli ten święty stosunek Boga z człowiekiem jest możliwym i niezbędnym, musi on istnieć; inaczej być nie może. Trzeba się więc przekonać o jego istnieniu, zbadać, w jaki sposób zjawił się na świecie, jak dochodził stopniowo do coraz większej doskonałości.

Mimo bowiem, że religja jest tak dawną, jak świat, mimo, że powstała

W dniu, kiedy dni powstały,

nie odrazu była doskonałą. Zapewne, była od początku rzeczywistą obecnością Boga w łonie ludzkości, istotnym Jego związkiem z człowiekiem. To podstawa jej bytu. Ale ta obecność zarysowywała się z biegiem czasu coraz wyraźniej; węzeł ten się zacieśniał. Miłość ta, jak każde prawdziwe uczucie, ulegała prawu rozwoju. Stawała się tkliwszą, serdeczniejszą, głębszą. A ponieważ było to uczucie wzajemne, ten jego rozwój był z nieba i z ziemi zarazem: Bóg go obiecywał, dawał, urzeczywistniał z jednej strony, z drugiej ludzkość go przeczuwała, pragnęła, marzyła o nim, — pragnęła czasami aż do dziwactwa, marzyła aż do zapamiętania się.

Ale jak wypowiedzieć to wszystko? jakiemi słowami? jakiem sercem? Zaniechajmy przynajmniej wszelkich rozpraw, zbyt zimnych na to. Dajmy pokój bezpożytecznym dowodom. Nie przekonają one tego, ktoby patrzał obojętnie na wspaniałe i szerokie widnokręgi religji: na ten jej odwieczny początek, równy wiekiem początkom ludzkości; na tę ciągłość, ten stopniowy rozwój i ten ustrój cudowny, tak zadziwiająco zgodny ze wzniosłą, kochającą, duchową stroną ludzkiej istoty. Do dowodów wrócimy później, kiedy plan tego dzieła, zniewoli nas do szczegółowego zbadania rozmaitych stron religji. Teraz zastanowimy się jedynie nad jej harmonijną całością.

I.

Jak odmalować ową pierwszą chwilę istnienia świata, religijną a dziewiczą chwilę, w której człowiek, powstając do życia, powstał zarazem do czci, dziękczynienia i miłości.

Chociaż krótkim jest tekst Pisma, mówiący o tej pierwszej uroczystej a wzniosłej chwili narodzin rodzaju ludzkiego, widzimy niemniej z niego jasno to, co odgaduje rozum a przeczuwa serce: że religja rozpoczyna się z pierwszem tchnieniem człowieka i że zapoczątkował ją Bóg. On przemówił pierwszy. Stwórca stał się nauczycielem stworzenia, które nie miało ani

ojca, ani matki, ani też doświadczenia; i w pierwszem zaraz objawieniu otworzył mu źródło religji, rodziny, społeczeństwa i wiedzy.

Powiedziałem, że Bóg dał początek. Ale trudno mi pojąć, jak zdołał uprzedzić w sercu Adama okrzyk wdzięczności i czci... W każdym razie, niezwłocznie po jego stworzeniu ukazał mu się Bóg w cieniu raju ziemskiego. Ukazał się pod ludzką postacią, która jest ideałem ziemskiej piękności. Mówił do Adama i patrzał na niego; a spojrzeniem tem i słowami budził w sercu jego zachwyt i miłość. „Widzisz, — mówił do niego,— widzisz tę ziemię, te niebiosa, te niezmierzone przestwory! Wszystko to uczyniłem dla ciebie. Bądź panem dzieł moich. Królestwem twojem ziemia cała. Z każdego drzewa rajskiego jedz dowoli, ale z drzewa wiadomości złego i dobrego nie jedz, bo ktorego dnia będziesz jadł z niego, śmiercią umrzesz“ [1]).

Pierwsze to słowa Boga do człowieka. Jest w nich jednocześnie dar i rozkaz; dar, ponieważ Bóg jest ojcem; rozkaz, ponieważ jest i królem. Dar jest niezmierny: *dedit universa*,— by pobudzić człowieka do wdzięczności, ale ma granice, aby mu dać poznać jego podległe stanowisko i obowiązek czci i posłuszeństwa. W niewielu słowach cała to, jak widzimy, architektura religji. Rozwinęła się następnie, ale nie zmieniła bynajmniej.

Po tem pierwszem objawieniu następuje zaraz drugie. Adam obejmuje w posiadanie swoje państwo. Robi przegląd natury, tego długiego szeregu stworzeń, które go poprzedziły, których jest panem i królem, ponieważ streszcza je wszystkie w sobie. Patrzy na nie nie przelotnie tylko i powierzchownie. Przenika wejrzeniem aż do ich wnętrza. Światłym swym rozumem odgaduje właściwe ich imiona. Otwiera usta... Pierwszy przemówił stwórca; teraz mówi Adam. Mówi, ponieważ słyszał już mowę. Nie szuka słów, nie jąka się. Język jego jest bogaty i głęboki. Żaden z najgenjalniejszych jego synów w przyszłości nie mówił piękniejszym. „I nazwał Adam imionami ich wszelkie zwierzęta i wszystkie ptactwo powietrzne... i wszelkie bestje ziemne“ [2]). To drugie objawienie, to objawienie mowy, a w niem klucz wszelakiej wiedzy i już przepowiednia społeczeństwa. Bo i na cóż dana Adamowi mowa? Nie żeby przemawiał do zwierząt; dosyć na to znaku, spojrzenia; tem mniej do Boga: serce przemawia do niego bez słów, w milczeniu i to jest najlepsza mowa. Więc na cóż to drugie objawienie? Widzę tu istotny cel Boga: rodzinę i społeczeństwo.

[1]) Rozdz. II, 16, 17. [2]) Rozdz. II, 19, 20.

Przed oczyma Adama przesunął się długi szereg stworzeń. Nie znalazł wśród nich istoty podobnej sobie; ale też jej i nie pragnął. Król niezmierzonego świata, a raczej kapłan tej dziewiczej świątyni, samotnik poświęcony Bogu, stworzony do modlitwy, miłości, do opiewania chwały swojego Stwórcy, nie przypuszczał, aby można było mieć w sercu inne uczucie. Miłość Boża wystarczała mu; nie znał miłości ludzkiej, tych rozlicznych odcieni uczucia, które tak słodko zapełniają życie. Nagle... Bóg musiał na niego tkliwsze rzucić wejrzenie, bo oto Adam omdlewa w zachwycie. Ciało jego słania się ku ziemi, a dusza jednoczy się miłośnie z Bogiem. W tym stanie najwyższego napięcia władz umysłu i serca widzi Adam, jak Bóg pochyla się nad nim i bok mu otwiera; widzi jak tworzy przepiękną postać, która nie jest już jego ciałem, a mimo to jest jego ciałem; wpatruje się w tę istotę, tak różną od niego a tak do niego podobną; i w jego sercu rodzi się miłość ludzka, rodzą te wszystkie uczucia szlachetne, czyste i wzniosłe, chociaż niższego rzędu, które społem z miłością Bożą odtąd mają zdobić, osładzać, uszlachetniać jego życie. Zachwycony tym widokiem już nie mówi—śpiewa; a ten śpiew boski—to zarazem objawienie porządku, jaki powinien panować w uczuciach człowieczego serca. „To teraz kość z kości moich, i ciało z ciała mego; tę będą zwać Mężyną, bo z męża wzięta jest. Przetoż opuści człowiek ojca swego i matkę, a przyłączy się do żony swej i będą dwoje w jednem ciele.“ [1]).

Tak więc samotnik ten poznał w swej ekstazie co to ojcowstwo, poznał tę szlachetną i wysoką miłość, która czyni ojcem.

Poznał też i tę drugą miłość, niemniej głęboką, niemniej wielką, ale tkliwszą, delikatniejszą, skorszą do zaparcia się siebie i silniejszą, miłość, która czyni matką.

A ponad niemi przeczuł jeszcze trzecią miłość, przed którą bledną dwie pierwsze.

Cała więc hierarchia uczuć przesunęła się w ten sposób, przed jego sercem dziewiczem w zachwyceniu.

A przesunęła się przed niem dlatego, w chwili najwyższego w niem napięcia miłości Bożej, aby go nauczyć, że te uczucia nie są ani najpierwsze, ani najwyższe, ani najsłodsze, ponieważ miłość Boga poprzedziła je w niem i już go tak wysoko podniosła; ale że nie są też wcale miłości tej przeciwne ani wrogie, że współzawodniczą z nią, ponieważ zaznał on ich rozkoszy podczas tej boskiej ekstazy, i że, jeżeli chce zachować im na zawsze tę ich piękność, świeżość, woń, oraz tę czystą rozkosz, ja-

[1]) Rozd. II 23, 24.

ką w nich znalazł, powinien obie te miłości przechowywać zawsze w wątłym przybytku swego śmiertelnego serca w tym porządku, w jakim otrzymał je od Boga, to jest tak, aby miłość Boża zawsze dominowała nad miłością ludzką i ją uświęcała.

Takie były pierwsze objawienia Boże, dane człowiekowi. Dotykały, jak wiemy, trzech punktów: obowiązku czci, posłuszeństwa, dziękczynienia i podległości względem Boga; małżeństwa, jego jedności, nierozerwalności, świętości i podporządkowania uczuć ludzkich miłości Bożej; nakoniec mowy. Ludzkość w kolebce otrzymała zatem od Boga zasadnicze prawa religii, wiekuiste prawa miłości i, zawarte w stanowczych, matematycznie pewnych prawidłach danej mu mowy, prawo myśli.

Cudowny ten początek świata jest rzeczywiście godnym Boga i godnym człowieka; rodzi się tu w objęciu Boga, z ciałem ukształtowanem bożemi rękoma z duszą będącą tchnieniem bożem, boskim słowem na ustach, z sercem przepełnionem wszystkiemi uczuciami. Pomijam boskość tej opowieści; biorę ją jako ludzką hypotezę jedynie, stawiam obok niej także ludzką hypotezę nowożytnych materjalistów, tę ziemię, która bierze się niewiadomo skąd; to samorodztwo; ten muł wilgotny, który ogrzany promieniami słońca wydaje bez ojca i matki, i bez pierwiastkowego nasienia istoty żyjące; te żyjątka, owady, robaki, które mnożąc się, rosnąc, podlegając przemianom dają początek wszystkim stworzeniom, a nawet samemu człowiekowi; te nietoperze, które przechodzą w orły, te orangutany, które stają się ludźmi, ci ludzie którzy przez całe stulecia wydają niewyraźne dźwięki, żywią się żołędziami, aż w końcu tworzą sobie język, wymyślają moralność, rodzinę, społeczeństwo; a wobec tych wszystkich niemożliwych i niedorzecznych, a nawet wstyd nam czyniących tajemnic, które nauka przyjmuje bez wahania, powiadam sobie: Jeżeli już mają być tajemnice, to wolę swoje. I bierze mnie chętka napisać rzecz, o której rozmyślał Pascal, pod tytułem: *Łatwiej jest wierzyć, aniżeli nie wierzyć.*

II.

Oto tedy początek religii i forma jej pierwotna. Mowa rozpoczyna wielkie dzieło zjednoczenia Boga z ludzkością. I nie dziw: słodka to rzecz mowa. Jednoczy ona ściśle dusze; bierze na swe lekkie skrzydła mój umysł i przenosi go w umysł mego przyjaciela. A raczej z serca wychodząc, niesie serce do serca. To też, skoro poczujemy do kogoś sympatję, czyż pierwszem naszem pragnieniem, pierwszą dąż-

nością, nie jest mówić z nim, łączyć się w poufnej rozmowie z jego sercem? Było to też i pierwszą potrzebą Adama, skoro tylko obudził się na sercu Bożem do życia, i pozostało wiekuistem pragnieniem ludzkości, mimo że grzech te święte stosunki przerwał i utrudnił. Przez czterdzieści wieków słyszymy wciąż wołanie ludzkości: Mów do nas, Panie!" Nie wystarcza jej widok niebios, ani wspomnienie pierwotnego objawienia. Chce mieć coś bardziej określonego i tkliwszego zarazem. Chce słyszeć Boga. Prawda, że czasem, czując się winną w Jego obliczu, woła: „Niech Pan do nas nie mówi, byśmy snadź nie pomarli!" [1]) Ale i wówczas, nie mogąc wyrzec się tego szczęścia, dodaje natychmiast: „Niech mówi przynajmniej Mojżesz lub który z proroków." Najczęściej zresztą słucha tylko swego serca. Otwórzcie poezje Homera, albo księgi Buddy, Wedy lub też Zend-Awestę, otwórzcie Platona, Sofoklesa lub Wirgiliusza, wszystkie pomniki ludzkiej myśli, pojedyńczej lub zbiorowej, gdzie tylko drga tętno duszy ludzkiej -wszędzie znajdziecie okrzyk: przemów o Panie!

A grzech pierworodny, o którym Wolter mówi, że jest podstawą teologii wszystkich ludów, jak nie wygładził w sercu ludzkości potrzeby mówić do Boga i słyszeć Go mówiącego, tak nie przeszkodził Bogu zniżać się do ludzkości i udzielać jej odpowiedzi. Co chwila powstaje człowiek, naznaczony piętnem Bożem, zwiastun słowa Pana. Po Adamie- Noe; po Noem— Abraham; po Abrahamie- -Mojżesz; po nim— Dawid; potem wielcy prorocy: Izajasz, Jeremiasz, Daniel, Ezechiel. Rozmowa ta nie doznaje przerwy. Ziemia spogląda w Niebo i woła: „Przemów!" Niebo patrzy na ziemię i mówi: „Słuchaj!" Dzieje się tu na wielką skalę i w formie społecznej to, co dzieje się w duszach o każdej godzinie dnia i nocy. Krzyżują się tam bezustanku dwa słowa. Jak w pięknej rozmowie po Zmartwychwstaniu, Bóg mówi duszy: „Maryo!" A dusza mówi Bogu: „Mistrzu."

Dziwi mnie mocno, że są ludzie, którzy sądzą, jakoby ta święta rozmowa była przeciwną naturze. Cóż tam jest jej przeciwnego? Czy że dusza woła do Boga? czy może to, że Bóg jej odpowiadać raczy? A może to, że ten Bóg, przemawiający do każdej duszy w skrytości jej serca, zwraca się publicznie do całej ludzkości? Czy może znowu to, że wybiera ludzi, naznacza ich swem piętnem i czyni z nich posłów swoich, echem swego głosu? Otóż nie powtarzając tego, cośmy powiedzieli powyżej i zatrzymując się tylko na tym ostatnim punkcie, nie dosyć wyjaśnionym, odpowiemy, że mamy tu nowy dowód głębokiej

[1]) Wyjście XX, 91.

zgodności Objawienia z naturą ludzką. W jaki bowiem sposób odbywa się umysłowy i naukowy postęp ludzkości? Czy każdy musi osobiście przeprowadzać badanie, dochodzić własną pracą niewzruszonych praw przyrody? Czy każdy za siebie jest zmuszony badać niebo, gwiazdy, ziemię, morze i sam sobie tworzyć astronomię, fizykę, chemię, geografię? Żeby tak było, musielibyśmy na zawsze pozostać w ciemnocie. Postęp przychodzi nam inaczej. W jaki sposób? Przez odkrycia i naukę umysłów wyższych. Wstaje Galileusz i świat dowiaduje się raz na zawsze o obrotowym ruchu ziemi. Ukazuje się Newton i skarbnica ludzkiej wiedzy wzbogaca się o nowy rozdział: przyciąganie. Nadchodzi Gutenberg i składa w ręce człowieka niezrównane narzędzie, nadające myśli szybkość błyskawicy i trwałość śpiżu. Przy każdym kroku ludzkości naprzód zjawia się człowiek wyższy, pierwszorzędny geniusz, przewodnia inteligencja, poseł Boży, którego znamieniem jest geniusz, któremu powierzono zawołać na ludzkość: „Naprzód!"

Do tego ogólnego planu stosuje się i zsyłanie proroków, cudotwórców. To tylko rozszerzenie powszechnego prawa, rządzącego postępem ludzkości. Homer, Eschylos, Pascal, Tacyt, Dante, Shakespeare, Newton, Galileusz, Kepler, Platon, Euler są wysłańcami Boskimi dla umysłowego i naukowego postępu ludzkości. Mojżesz, Dawid, Izajasz, Jeremiasz, Daniel, Ezechiel — to wysłańcy Boga, dla jej religijnego postępu. Pierwsi z nich są bardziej niezależnymi, bardziej ludźmi; otrzymali oni od Boga wielki dar, ale posługują się nim o własnych siłach; drugimi kieruje Bóg bezpośrednio i kładzie im w usta słowa, które mają powtórzyć ludzkości. W tym cudownym planie widnieją względy delikatności i poszanowania zarazem. Bo jeżeli jest godnem Boga wspomagać ludzkość w jej umysłowym, naukowym i społecznym postępie, o ileż godniejszem Jego dobroci, Jego świętego ojcowstwa, wspierać jej postęp religijny! A jeżeli w pierwszym razie ukrył swój współudział, aby pozostawić ludzkości chwałę jej odkryć, to w drugim należało, aby zaakcentował go, aby jawnie rządził religijnem życiem ludzkości, aby osobiście niem kierował, odkrywając przed nią, jej przyszłe koleje ziemskie i pozagrobowe,—jak dobry ojciec, który powierza obranym przez siebie mistrzom kształcenie swego dziecka w naukach i sztukach, ale sobie pozostawia zadanie kształcenia jego duszy, wzbogacania go własnem doświadczeniem, i przygotowywania go do życia, roztaczając przed nim przeszłość i przyszłość.

Tak ubiegły pierwsze cztery tysiące lat życia ludzkości. Tak się utworzyła z czterdziestowiekowej tej rozmowy owa niezrównana księga, Biblia; księga jedyna w swoim rodzaju, napoły boska, napoły ludzka, zapełniona wołaniem duszy

i odpowiedziami Boga, w którą każdy wiek, wpisał kartę swoją; gdzie każda wątpliwość znalazła wyświetlenie, każdy występek karę, każda cnota nagrodę, każda boleść pociechę, która po to była otwartą lat cztery tysiące, aby ludzkość z upisywała w niej swe smutki, pragnienia, radości, obawy, nadzieje, a Bóg swe wskazania, ku wiekuistemu oświeceniu synów ziemi. Mnóstwo ludzi wzięło w niej udział; ale ponieważ byli oni tylko głosem błagającej ludzkości albo echem odpowiedzi Boga, po przez wszelkie różnice epok, charakterów, geniuszu, odnajduje się w nich jedną siłę, jedną prawdę, jedną miłość, jedną ludzkość i jednego Boga. A podwójny i dziwny duch wiejący z tej księgi: jeden wzruszony, niespokojny, smutny, błagalny, drugi wzniosły, prosty, czysty, nadziemski, świadczą niezbicie zarówno o obecności w niej człowieka, jak i obecności Boga.

Zjawiska tego nie znajdujemy ani u Homera, ani u Pindara, ani u Eschylosa, ani u Platona, ani u Wirgiliusza. Wieje z nich duch czysto ludzki.

Prawda, że ponad temi arcydziełami geniuszu indywidualnego są jeszcze święte księgi narodów: Wedy, Zend Awesta, Ramayna, Mahabharta, księgi Buddy. Nowoczesna nauka bada je z ciekawością i ma słuszność, a wiara nie powinna obawiać się ani jej towarzyszyć w tej pracy, ani podzielać jej podziwu. W istocie księgi te są święte. Nie przypominają w niczem dzieł powyżej wymienionych autorów; i na czele każdej z nich umieściłbym chętnie napis Ash-Nagara: „Ksiąg tych nie napisał człowiek sam.“ Są w nich istotnie okrzyki wiary duszy ludzkiej, jej smutki, nadzieje, prośby, jej wieczne skargi; ale, jako odpowiedź na nie, są i prawdziwe słowa Boga. Pod przejrzystą zasłoną parafrazy czysto ludzkiej kryją się w nich szczątki objawienia patryarchów i Mojżesza. Wiele rzeczywistych słów Bożych wyrzeczonych do pierwszych ojców rodu ludzkiego, które po długim błąkaniu się w pamięci pokoleń, ocalone z rozbicia, przybiły tu do brzegu i już pozostały. Niejedna z tych stronic przechowuje okruchy strzaskanego djamentu, rozpierzchłe tony boskiej melodji, która rozbrzmiewała nad kolebką ludzkości. Wiedziała o tem starożytność, i dlatego otaczała te księgi czcią religijną. Jeżeli zaś uwierzyła i zawartym w nich fałszywym objawieniom, to dla tego, że były zmieszane z prawdziwemi, i wiara to w te ostatnie usposobiła ją przyjaźnie do przyjęcia tamtych. Tak to, ludzkość miała zawsze wstręt do religii, którąby była jałowym monologiem jedynie! tak zawsze wierzyła, że kiedy woła do Boga, niepodobna ażeby Bóg jej nie odpowiedział!

Spostrzegam dziwne niezrozumienie rzeczy u wydawców i komentatorów tych ksiąg świętych. Porównywając je z Biblią, są przejęci podziwem i mówią: „Jak można niezauważyć

analogii objawienia i natchnienia w tych wszystkich wielkich księgach: w Wedach, Zend-Aweście, księgach Buddy, księgach homerycznych, w Biblii, Ewangelii, Koranie, które jeden z naszych historyków tak trafnie nazwał: „Biblią ludzkości?“ Czy podobna by tyle wspólnych im wszystkim pięknych myśli, szlachetnych i czystych uczuć, tyle wybornych prawideł moralności mogło pochodzić z tak nierównych źródeł, jak natura Boska i natura ludzka? Pocóż więc objawienie i natchnienie nadprzyrodzone, jeżeli przyrodzony rozum i sumienie w tylu rzeczach mówią to samo?

Pisarze ci przypuszczają, że w Piśmie Świętem przemawia sam Bóg, a we wszystkich innych księgach sama tylko dusza ludzka. Błąd to podwójny. Dusza ludzka przemawia tyleż w Ewangelii, co i w Wedach, tyleż w Biblii, co i w Zend-Aweście. Dusza, która w księgach Buddy błaga, płacze, jęczy, spodziewa się kocha, tęskni do Boga, to ta sama którą słyszycie w Piśmie Świętem. Skądże wam to przyszło, że w piśmie, jest tylko sam Bóg, tylko, „objawienie i natchnienie nadprzyrodzone?“ Jest tam również i dusza; i dlatego to powiadacie słusznie, że to co się mówi we wszystkich tych księgach mało się różni w tylu rzeczach.“ Tylko w Biblii jest dusza i Bóg, a zatem niema w niej błędu. I dlatego mowa „w tylu rzeczach tak mało różna,“ w tylu innych różni się stanowczo i zasadniczo.

Nie idzie zatem wszelako, iżby Bóg był tak całkowicie nieobecny w księgach narodów, jak wam się zdaje. Skądże wam znowu przyszło, że w księgach tych jest tylko „naturalny rozum i sumienie?“ To znów błąd zasadniczy. Jest w tych księgach słowo Boże, chociaż rozbite, rozproszone, zagrzebane, czasem zmienione do niepoznania, jak te szczątki strzaskanego przez burzę okrętu, które morze wyrzuciło na brzeg i tam pozostawiło, potrzaskane, zagrzebane w ziemi, pokryte rdzą. Jest—ale można je poznać i wyróżnić, tylko oczyma wiary. I dlatego, pomimo tych szacownych szczątków, zrozumiałych dla jednej tylko wiary, zbiór tych ksiąg świętych jest „Biblią ludzkości“ jedynie; podczas kiedy dziewicza i nienaruszona księga Pisma Świętego jest Biblią Boga.

To też zważcie, jak różnemi są ich losy. Podczas kiedy żadna z tych świętych ksiąg nie zdołała nigdy przekroczyć granic narodu, w. którego łonie powstała, jako echo pierwotnego objawienia i jako zadosyćuczynienie potrzebie każdego z nich, usłyszenia słowa Bożego; podczas kiedy każda z ksiąg owych poza obrębem swojego ludu jest tylko przedmiotem archeologicznych badań, Biblia od sześciu tysięcy lat jest czystem ziarnem, żywiącem narody. Niema dla niej Żyda, ani katolika, ani protestanta, ani odszczepieńca. Wszyscy, którzy ją znają, otaczają ją czcią najwyższą; kto jej raz zakosztował, pić z niej

będzie na wieki. Rzym otwiera ją na swych soborach, a Ameryka na swoich kongresach. Anglia ładuje nią okręty, Szwajcarja zapełnia hotele. Znajdziesz ją w tornistrze żołnierza pruskiego, idącego pod Sadowę, i pod głową rosyjskiego szeregowca, poległego pod Sewastopolem. Misjonarz francuski, ukryty w nędznej lepiance, całuje z miłością jej karty, by być gotowym na śmierć męczeńską; i z Genezy to Ewangelii pozna Murzyn, Kafr, Hotentot Boga, Stwórcę świata i Jego Boskiego Syna, Zbawcę ludzi. Każda dusza odnajduje w tych cudownych wyrazach siebie, a razem z sobą odnajduje i swojego Boga. Bo są tam oni oboje, nie oddzieleni, ani obcy sobie, ale znający się, kochający, rozmawiający z sobą, jednoczący się ściśle w niebieskiej rozmowie. „*Mów Panie, bo słucha sługa twój*". — „*Słuchaj, córko, a patrz*."

Oto całe Pismo Święte. Oto religia w swej pierwiastkowej formie. Oto pierwsze nawiedzenie człowieka przez Boga, pierwszy krok Jego, odpowiadający ludzkiemu pragnieniu, pierwszy tryumf w wielkiej tajemnicy zjednoczenia Jego z ludzkością. A ponieważ Bóg nie cofa swoich darów, a koniec nie niszczy początku, skarb ten pozostanie nam na wieki.

III.

Ale chociaż słodkiem jest słowo, chociaż ściśle jednoczy dusze, nie mogło wystarczyć na długo ani Bogu ani człowiekowi. Był to tylko przedsmak, tylko pierwszy krok, który pociągał za sobą drugi. Słodkiem jest słowo, ale szczęściem, jest tylko łącznie z obecnością. Słodkiem ono jest nawet w nieobecności, w smutnem dla kochających się rozłączeniu. Wówczas jest połowiczną niejako obecnością; krzepi serce i pociesza je w braku obecności całkowitej. Ale któż się nią zadowolił kiedy? Zaprawdę, nie może być trwałą miłość, podtrzymywana tylko oddalonem słowem, nie rozgrzewana i nie podsycana obecnością przedmiotu ukochania; nie może być trwałą między osobami znającemi się, cóż więc dopiero między takiemi, które się nigdy nie widziały?

To też od samego początku Bóg żywił stały zamiar zamieszkania pomiędzy nami. A ludzkość od samego początku odczuwała szczególną potrzebę Boga, któryby wśród niej zamieszkiwał, któregoby mogła oglądać i dotykać.

Powiecie, że to bałwochalstwo, a bałwochwalstwo jest błędem i występkiem!... W istocie, ale każdy błąd jest tylko zapoznaną prawdą; a w każdym występku jest jakaś cząstka dobra, która go podtrzymuje i umożebnia. Zło absolutne nie istnieje. Na dnie pogaństwa spoczywała wielka prawda; pod

szaleństwami bałwochwalstwa kryło się szlachetne pragnienie, potrzeba mająca siedlisko w najtajniejszych zakątkach ludzkiej duszy.

Pragnieniem tem i tą potrzebą jest potrzeba istotnej obecności istot ukochanych. Nie wystarczają nam ich słowa. Potrzebujemy módz ich oglądać naszemi oczyma, dotykać rękoma, przycisnąć ich do serca. Bez tego stygnie każda przyjaźń, gaśnie wszelka miłość. Dlaczego? Pominiemy to tymczasem; zatrzymamy się nad tą kwestją później, kiedy będziemy rozważali dogmat wcielenia. Zaznaczamy tu tylko, jako fakt pewny, tę niezwyciężoną i wiekuistą potrzebę ludzkiej natury.

Potrzebę tę mogę, co prawda, zmusić do milczenia, uwięzić w sercu; mogę złożyć ją na ołtarzu w ofierze całopalnej. Ale gdy, zapominając stworzeń, wyrzekam się ziemi i, zwracam ku Niebu serce wolne od ludzkiej miłości, to i tam szukam rąk, których mógłbym dotykać, nóg, które odkrywałbym pocałunkami, serca, które przycisnąłbym do swego serca, istoty ukochanej, którą mógłbym uściśnieniem przygarnąć do piersi. Ta to potrzeba dręczyła ludzkość. Wzywała ona Boga z Nieba; a ponieważ godzina jeszcze nie wybiła, ponieważ Bóg zazdrosny i obrażony zamknął się w swej świętości i sprawiedliwości i nie czynił zadosyć błaganiom ludzkości występnej, człowiek, nie mogąc obejść się bez obecności Bożej, przyzwał sobie fałszywych bogów z wnętrzności ziemi, z łona mórz, z wyżyn Olimpu. I bogowie przyszli pod wszelkiemi postaciami. Uosobili w marmurze wszystkie formy ludzkiej piękności, a także i wszystkie pokusy zła. Ludzkość oddawała im cześć boską, dotykała ich i patrzała na nich. Pod temi kamiennemi postaciami czciła ona najpiękniejsze pomysły swego serca; przyodziała tych bogów w swoje kształty, posadziła ich u swych ognisk, zaludniła nimi swoje góry, lasy źródła, wyobraziła w nich sobie opiekunów i niejako współuczestników swoich uczuć i swoich skarbów. Ale napróżno mnożyła ich liczbę; napróżno Fidyasz i Praksyteles umieli tchnąć życie w marmury; nic nie mogło ukoić owej dręczącej sumienie i serce ludzkości potrzeby.

A czemże były święte księgi narodów i zawarte w nich dzieje? O czemże innem traktowały one, jeśli o nie przychodzeniu bogów między ludzi, o ich ciągłej obecności, o ich nieustannych wcieleniach?

Tak zaś głęboką była ta potrzeba, że nie oparł się jej nawet naród żydowski. I jemu trzeba było bóstw widzialnych. Napróżno, aby go ustrzedz od bałwochwalstwa, wzbronionemi mu były sztuki piękne, to jest to, co w cnocie najpiękniejsze na ziemi. Nic nie pomogło. I czemże innem jest historja żydów, jeśli nie ciągłym szeregiem obietnic i upadków? Prze-

chodzą oni wciąż od Jehowy do bożyszcz i od bożyszcz do Jehowy. A jednakże Bóg przyszedł był im na pomoc. Jeżeli nie obdarzył ich jeszcze swoją, przystępną dla zmysłów, obecnością, dał im przynajmniej jej symbol, podobieństwo, którego pierwowzór ukazany był Mojżeszowi. Była niem Arka Przymierza. W niej przemieszkiwał wpośród swego ludu; duchem przebywał na cherubinach: *„I niemasz innego narodu tak wielkiego, któryby miał bogi tak przybliżające się do niego, jako Pan Bóg nasz przytomny jest na wszystkie prośby nasze“*.

Daremne środki! za szczupły pokarm dla głodu i pragnienia ludzkości! Ani Arka nie wystarczała Żydom, ani bałwany poganom. Trzeba było, aby Bóg zstąpił i zamieszkał między nami, pełen łaski i prawdy.

Przyszedł nareszcie. Dnia pewnego, w pośrodku świata i w pośrodku czasów, w czterdzieści wieków po stworzeniu świata, na łonie wielkiej materjalnej jedności, utworzonej przez naród rzymski, powstała jedność religijna. *„Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami,“* „Widzieliśmy go — powiada Apostoł, Jan święty, słyszeliśmy go, dotykaliśmy się go rękoma, spoczywaliśmy na jego sercu.“

Tak więc, o mój Boże, spełniły się wszystkie marzenia! niedorzeczne marzenia narodów... wzniosłe marzenia dusz! Ale te niedorzeczne narody pragnęły Ciebie, o Panie! Te wzniosłe dusze przeczuwały Ciebie! Tak, byłeś przedmiotem ich nadziei, i nie mogłeś ich zawieść!

I słowo ciałem się stało i mieszkało między nami, Maluczcy je widzieli, a ubodzy dotykali się go. Pozwalał dziatkom siadać sobie na kolana i nie odtrącał nawet grzeszników. Nie kreślimy tu jeszcze szczytnych scen zbliżania się ludzkości do Chrystusa. Zresztą, któż potrafi wyprzedzić całą ich nieskończoną piękność, pokorę, czystość, tkliwość? Niekiedy, ludzkość, jak owa biedna niewiasta, próbuje ucałować kraj jego szaty. Niekiedy, czerpiąc śmiałość w miłości i żalu, oblewa łzami i pokrywa pocałunkami czyste i święte nogi Syna Bożego, uświęcając się sama tem dotknięciem. To znowu czerpiąc jeszcze większą odwagę w swojej niewinności, miłości, w uroczystości danej chwili, sięga aż do Jego serca, kładzie głowę na Jego piersi i usypia tam w zachwyceniu.

Trwało to trzy lata. Potem, aby ostatecznie wzruszyć i pociągnąć ku sobie wszystkie serca, Jezus wstępuje na Kalwarję w aureoli piękności, której nie przeczuwali ani Homer ani Fidjasz, bo składały się na nią, cierpienie, boskość i miłość.

A kiedy tam umierał, aby dać ludzkości miarę swego uczucia, taż ludzkość omdlewała u stóp Jego krzyża w osobie Maryi; cierpiała Jego ranami w osobie Magdaleny; wpatrywała

się miłośnie w Jego bok przebity w osobie świętego Jana; zdejmowała Go z krzyża i przed pogrzebaniem okrywała zwłoki pocałunkami.

To było drugie spotkanie Boga z ludzkością, druga uroczysta i wzniosła chwila, w której Bóg zstąpił do ludzkości i z nią się połączył.

IV.

Wszystkie dzieła Boże są doskonałe i niema w nich żadnej przywary. Stosuje się to tem bardziej do Wcielenia, które jest Jego arcydziełem. Mimo to spotykam tam trzy, nie przywary, nie wady, ale trzy granice, wskazujące, że nie jest ono jeszcze ostatniem słowem Jego związku z ludzkością.

Pierwszą jest granica czasu. Jakto tylko trzy lata, jeden dzień, jedna godzina! Trzy lata dla wszystkich, jeden dzień dla Magdaleny, jedna godzina dla świętego Jana! Po to więc ludzkość wzywała Boga przez czterdzieści stuleci, aby cieszyć się Nim tylko przez te krótkie i bolesne trzy lata! Oblubieniec dusz miałby tak rychło opuścić swe oblubienice i na zawsze je osierocić! Nie! Klnę się wam na miłość Boga i ludzkości, że to niepodobna! Miłość domaga się nie tylko obecności ukochanej osoby, ale obecności trwałej, wiekuistej. Na podobieństwo uczniów w Emmaus, miłość powiada: „Zostań z nami, Panie.“ Tak pozostań z nami, pozostań na zawsze, nie rozłączajmy się nigdy!

Druga granica, to granica przestrzeni. Gdzież to upłynęły owe trzy lata? W ukrytym zakątku, w małym kraiku, mającym zaledwie dwadzieścia mil obwodu. Jakże mogłem twierdzić, że ludzkość oglądała Go trzy lata! Sześćdziesiąt wieków gorących pragnień utęsknienia, i zaledwieby małej cząstce jej danem Go było wiedzieć! I zaledwie po jego odejściu miałaby się o Nim dowiedzieć! Nie, nie, to niepodobna! Te zapory czasu i przestrzeni zniknąć muszą przed podwójną miłością Boga i ludzi! Przeczuwam już Eucharystję! odgaduję Ją, zanim otworzę Ewangelię; tę Eucharystję, o której św. Augustyn powiedział, że jest wiekuistością Wcielenia. Ludzkość bywa często zawodzoną w snach swoich i marzeniach, ale tutaj omyloną nie będzie: Chrystus pozostanie z nią do skończenia wieków. Wszystko jedno, Synu Adamowy, do jakiej krainy zagnają cię losy, oświeconej czy barbarzyńskiej, wszystko jedno, gdzie smutne twe serce będzie szukało ukojenia, we wspaniałej świątyni, lub też w ubogim wiejskim kościołku, wszędzie znajdziesz przed ołtarzem zawsze gorejącą lampkę, która obwieszcza ludzkości wiekuistą obecność Boga.

Wymieniłem trzy granice, wskazujące nam, że Wcielenie to jeszcze nie ostatni wyraz połączenia Boga z ludzkością; ale jakże potrafię opisać tę trzecią granicę? Słodko nam jest widzieć naszych ukochanych, słyszeć ich, dotykać, spoczywać na ich sercu, ale jakże często to niezupełne szczęście zaprawne bywa goryczą. Bo wszakże właściwie duszę tę kochamy, a oto nie możemy jej dosięgnąć. Na obliczu, na czole, w oczach, i na ustach dostrzegamy jej odblask, i dlatego to tak pożądamy obecności drogiej nam istoty; ale zawsze i to tylko nieuchwytny odblask. Chce nam się zwyciężyć tę cielesną zaporę, uchylić zasłony, która kryje przed nami duszę. Z autopem książki *O naśladowaniu* wzdychamy: „O, gdybym mógł połączyć się duszą z duszą! opuścić ciało moje i sięgnąć do duszy!“ Ziemia nas nuży i niecierpliwi, a pragnienia nasze wznoszą się do Nieba.

Ale czy słusznie powiedziałem, że nie możemy dosięgnąć duszy? Owszem zdarza się to nawet i na naszym smutnym świecie; bywają chwile, w których czujemy, że nasze dusze się stykają; że czas, przestrzeń, śmierć nawet sama, nie potrafią ich rozłączyć; że mogłaby nawet ustać zewnętrzna obecność, nie bez bólu wprawdzie, ale bez szkody dla zjednoczenia dusz.

W dwojaki zatem sposób mogą dusze z sobą przebywać, dwa są rodzaje obecności. Jedna słaba, niezupełna, idąca — jakże wolno i boleśnie — z zewnątrz do wnętrza; druga podniosła i święta, którą przeczuwamy najczęściej tylko, bardzo rzadko jej doświadczając. Przeczuwałem zawsze ten szlachetny i lepszy rodzaj obecności, a nawet w najpiękniejszych chwilach mojego życia, sam go, chociaż przelotnie, doświadczyłem. Przeczuwałem, że dusze mogą jednoczyć się niezależnie od ciał, pomimo nich i wyżej od nich zawierać niebiańskie związki, dla których ciało stanowi tylko zawadę. Otóż to obcowanie duszy z duszą, to zlanie się dwóch istnień w jedno, które my tu przeczuwamy zaledwo w ogólnych zarysach, a poznamy w całej pełni dopiero w Niebie, Bóg je uskutecznia tu na ziemi, łącząc się z ludzkością w Sakramencie Ołtarza. Eucharystja bowiem nie jest niczem innem, tylko obcowanie wnętrza z wnętrzem, bezpośredniem dusz połączeniem.

Pan Jezus kilka razy wspomina o tej podwójnej obcenności. Naprzód powiada uczniom swoim: „*Błogosławione oczy, które widzą, co wy widzicie. Bo powiadam wam, iż wiele proroków i królów żądało widzieć, co wy widzicie, a nie widzieli i słyszeć, co słyszycie, a nie słyszeli*“. Było to tylko obcowanie zewnętrzne, z zewnętrza do wnętrza, nie wewnętrzne; obecność Wcielenia, nie Eucharystji. Była ona przyjemną dla zmysłów, ale nie dosyć podniosłą dla dusz. Podsycała uczucie tkliwe, słodkie dla serca, niedoskonałe wszelako, zanadto ludzkie, nie-

dość boskie. To też Ten, który powiedział najpierw: „Błogosławieni, którzy widzą, co wy widzicie," teraz mówi: „*Pożyteczno wam, abym ja odszedł*". Ale nie obawiajmy się Jego nieobecności. Słuchajmy oto, co mówi Paweł święty: „I my znaliśmy Chrystusa w ciele; ale, dzięki Panu, znamy go teraz lepiej". Słuchajcie samego Pana Jezusa; cóż mówi On, spotkawszy Magdalenę po zmartwychwstaniu: „*Nie tykaj się mnie*". Pozostaw te zewnętrzne stosunki tym, którzy nie są pewni jeszcze swojej ani mojej miłości: wątpiącemu Tomaszowi, chwiejnym Apostołom. Ty wierzysz; bo kochasz, wznieś się zatem wyżej: „*Nie tykaj się mnie*". Czemże jest dotykanie, patrzenie, słuchanie? Usiłowaniem dojścia do duszy, wejścia z zewnątrz do wnętrza. Ale jest coś nadto lepszego. Jest obecność wewnętrzna, cudowne, boskie obcowanie duszy z duszą.

Któż wypowie całą czułość i mistrzowstwo, z jakiemi Chrystus urzeczywistnił ten związek? „*Jezus*, — powiada Jan święty, — *umiłowawszy swe, którzy byli na świecie, do końca je umiłował*". Kończąc więc ostatnią wieczerzę, po której zaraz miał pójść na męki, wziął chleb w ręce i patrząc na uczniów swoich rzekł im: „*Pożądaniem pożądałem pożywać tej Paschy z wami*". Potem, wzniósłszy oczy w niebo, błogosławił chleb i dawał im: „*Bierzcie a jedzcie, to jest ciało moje, które za was będzie wydane*". To już nie: „Błogosławione oczy, które widzą to, co wy widzicie". To już nie owo przenikanie z zewnątrz do wnętrza. Nadeszła chwila wielkiego połączenia, zjednoczenia duszy z duszą. „Bierzcie a jedzcie, to jest ciało moje". *Kto pożywa mego ciała, a pije krew, we mnie mieszka, a ja w nim*".

Potem biorąc kielich, błogosławi go: Bierzcie i pijcie! „*Ta jest krew moja, która za wielu będzie wylana, na odpuszczenie grzechów*". Jestem zdumiony; mój ludzki rozum jest zarazem zachwycony i nieufny. Jakże to może być, o Panie! A Jezus dodaje: „*Czyńcie to na pamiątkę moją!* Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, kto pożywa mego ciała i pije moją krew, we mnie mieszka, a ja w nim".

Oto ta obecność z wnętrza do wnętrza, ta spójnia dusz, której ciało jest tu na ziemi nieodzownym lub niedołężnym pośrednikiem. I tu ono tworzy ten związek, ale jest to ciało zupełnie duchowe, które osłaniają postacie chleba i wina, jedynie dla uprzedzenia zmysłów moich, że tam jest Bóg. Przenikam wiarą tę zasłonę, widzę przez nią ciało i krew mojego Boga, — ale nie dosyć mi na tem. Duszę Jego mieć pragnę. „Obym mógł połączyć się duszą z duszą! wyjść z ciała i dosięgnąć duszy!" I Kościół odpowiada mi na to: „Z ciałem i krwią Jezusa daje ci Pan duszę i Bóstwo Jego!" Zamknijcie się, oczy moje; wytęż twe siły, duszo moja, uczuj tajemne

zetknięcie z duszą Jego. Dusza z duszą, serce z sercem, bez pośrednictwa, bez przeszkody! Ty we mnie, a ja w Tobie! Oto tajemnica Eucharystyczna. Kto raz w życiu przyjął komunję, niema nic do pozazdroszczenia współczesnym Chrysusa. Nie oglądał go swemi oczyma, niedotykał swemi rękoma. Ale też nie potrzebuje tego. Opadły ostatnie zapory. *Ty we mnie, a ja w Tobie*. Jest to urzeczywistnienie tego Boskiego związku, o którym tyle marzyliśmy. Możemy zapomnieć, jeżeli się patrzyło oczyma tylko, a dotykało rękoma. Ale kiedy serce zetknęło się z sercem, kiedy dusza przemieszkiwała w duszy, nie zapomina się tego nigdy.

V.

Komunja jest aktem przemijającym. Stanowiłoby to jej wadę, gdyby ona mogła ją mieć. Ale co mówię: wadę! Wszak wszystko co najlepsze w naszem życiu jest krótkotrwałem. Gdzież są moje najgłębsze uczucia radości, najżywsze porywy? Cieszyłem się nimi krótką chwilę i już ich nie mam. Są to tylko przelotne błyskawice, ale rozjaśniają nam życie.

Przytem przelotny akt Komunji ma nieśmiertelny skutek. Bóg bowiem, łącząc się z naturą ludzką, uszlachetnia ją, dodając do jej piękności swą doskonałość, na przeciwieństwo człowieka, ktory odziera z uroku wszystko, czego się dotnie. „*Żywię już nie ja, ale żywie we mnie Chrystus*“. A także: „*Jeżeli mnie kto miłuje, będzie chował mowę moją... i do Niego przyjdziemy, a mieszkanie u Niego uczynimy*“. Stałe zamieszkanie Boga w duszy, a duszy w Bogu, oto nieśmiertelny owoc świętej Eucharystji.

„Akt przemija, — mówi Bossuet: — nie zawsze trwamy w tem świętem zjednoczeniu. Ale trwamy w niem pragnieniem i z prawa niejako. To też Chrystus powiada: Kto mnie pożywa, we mnie mieszka, a ja w nim. A przemieszkuje w nas nie tylko chwilowo; szczęście to trwalszy ma skutek! Kto mnie pożywa, cieszy się mną, mieszka we mnie. I związek ten jest obustronny: mieszka we mnie, a ja w Nim“ [1]).

Do tego to dążyli zarówno Bóg, jak człowiek. Człowiek pragnął połączenia się z Bogiem, a Bóg — połączenia się ze stworzeniem. I oto połączyli się, — religja wypowiedziała swoje ostatnie słowo.

To było jej celem od poczatku, i każdy jej krok dążył do umożliwienia i utwierdzenia tej istotnej obecności Boga

[1]) Bossuet, *Méditations sur l'Evangile*, 24-e jour.

w ludzkich sercach. Daje nam tę obecność chrzest i wszystkie sakramenta, jakoteż modlitwa, krzyż i Ewangelja; wszystko, co nam przychodzi z Nieba, sprowadza ten błogosławiony związek. Ale Eucharystja wnosi weń kwiat tkliwości, balsamiczną woń miłości, pewność posiadania. Pożywamy, pijemy chwilę tylko; dusza przelotnie się napawa u tego źródła, ale po tym akcie Bóg pozostaje w duszy, a dusza w Bogu.

Związek to tak istotny, że nie różni się niczem w swej treści od niebieskiego. Jedna jest tylko między nimi różnica, oto ta, że tutaj łączymy się z Bogiem ukrytym pod zasłoną. I dlatego właśnie nie jest to jeszcze ostatni stopień zjednoczenia, dlatego dusza nie może na nim poprzestać.

O quando lucescet... dies!

Oto krok, który nam jeszcze pozostaje do zrobienia. Posłuchajmy jeszcze Bossuet'a: „W Eucharystji posiadam samego Pana niebios, Tego, który jest szczęściem błogosławionych. Tasama treść, tasama istota; pozostaje tylko podnieść zasłonę. Zdejm ją o Panie! rozprosz ten obłok, a pozostanie mi właśnie ta treść, będąca mojem uszczęśliwieniem. I czyż tej treści nie posiadam już w Twojem ciele? A w ciele Chrystusa czyż nie mam jego duszy, Jego całej osoby; w osobie zaś Jego — Tego, który przebywa w niej cieleśnie i w całej pełni, to jest Słowa Ojca; a w Słowie czyż nie posiadam zarazem Ojca? I czyż nie wyrzekł on prawdy, kiedy powiedział: „*Kto mnie widzi, widzi i Ojca*“. Posiadam tedy *Wszystko*. I czegóż mam więcej pragnąć, jeżeli nie tego, abym mógł widzieć to, co posiadam, rozedrzeć zasłonę, ujrzeć jasno i naocznie to, co wiem dobrze, iż mam, ale czego nie mogę oglądać?“ [1])

Tak, to jest ten ostatni i najwyższy krok naprzód. To jest ostateczne pragnienie serca, ostatnie słowo natchnionej księgi: „*A duch i oblubienica mówią: przyjdź... Panie Jezu*“. A Chrystus odpowiada: „*Oto przychodzę rychło*“. A święty Jan i z nim ludzkość cała powtarzają: „*Przyjdź, Panie Jezu! Amen, przyjdź Panie, ale już bez zasłony*“.

Zatrzymajmy się tu nieco i z wyżyn, do jakich doszliśmy, rzućmy porównawczo okiem na religję i *religje*. Wzrastająca stopniowo piękność pierwszej, daje nam skalę do ocenienia drugich i rozklasyfikowania ich według ich wartości.

Na najniższym szczeblu stoją ci, którzy nie przyznają stosunku Boga z człowiekiem nawet przez wymianę słowa; raczą oni przyzwalać, ażeby człowiek mówił do Boga, ale

[1]) Bossuet, *Méditations sur l'Evangile*, 24-e jour.

nie wierzą, aby Bóg mógł mu odpowiadać. Tacy nie mają żadnego z pierwiastków religijności, nawet najprostszego; stoi ona u nich niżej zera. To też ten jej stopień nie osiągnął nigdy wpływu społecznego. Rzuca się również w oczy jego bezsilność w oddziaływaniu na obyczaje. Jeżeli ludzie z takiemi przekonaniami są uczciwi, to nie dlatego, że mają religję, ale pomimo, iż jej nie mają.

Wyżej nieco stoją ludzie uznający, że człowiek może mówić do Boga, może wzywać Boga na pomoc, a Bóg może mu odpowiadać, może udzielać mu tej pomocy. To jest najniższy stopień religii. Poniżej tego nie istnieje ona. Mimo to, ponieważ ci ludzie mają pierwszy, zasadniczy pierwiastek religji, wierzenia ich wzniosły się tu i owdzie do godności wyznania narodowego. Pierwsze tu miejsce zajmuje nauka Mahometa. Z tem wszystkiem, ponieważ w niej pierwiastek religijny jest minimalny, nie uzyskała ona nigdzie wpływu na serce człowieka. Nie podnosi go ona aż do Boga, który sam tak mało się zniża. Minimum miłości w sercu Boga, minimum ofiarności i cnoty w sercu człowieka.

O wiele już wyżej stoją ci, którzy nietylko wierzą w ten święty stosunek Boga z człowiekiem, ale także w obecność Jego na ziemi, w Jego istotne między nami przebywanie. Ma to miejsce u protestantów. Tylko, że ta obecność Boża zaledwie może być nazwana obecnością. Pozbawiona ona jest trwania, pośpieszna, przelotna, nie rozciągająca się na wszystkich: — zjawisko raczej, niżli obecność. Przyjmują oni zasadę, a cofają się przed jej dalszymi wynikami, na wyprowadzenie których dosyć zdrowego rozsądku. Zatrzymują się wpół drogi, nie śmiąc żądać od miłości wszystkich jej owoców. To też i przez pół tylko podnoszą serca ludzkie, czynią je prawem, uczciwem, ale nigdy wzniosłem. Nie mają też ani apostołów, ani dziewic, ani męczenników. Nie dlatego, żeby nie posiadali cnót; muszą je mieć, mając takie pierwiastki religijne, jak słowo Boże w Piśmie Świętem i obecność Jego przez Wcielenie. Ale ich cnota jest, jak ich dogmaty. Zatrzymuje się wpół drogi. Jakżeby mogło być inaczej? Bóg ich nie jest szczytnym w miłości ku ludziom, skądżeby ludzie mieli być szczytnymi w miłości ku Bogu?

Nakoniec — ponad religją przyrodzoną, która nie przypuszcza żadnego istotnego stosunku między Bogiem i człowiekiem, ponad mahometanizmem, przyjmującym ten stosunek, ale tylko przez słowo; ponad protestantyzmem, przyjmującym oprócz słowa wzajemną obecność, rzeczywiste, chociaż przelotne przebywanie Boga między ludźmi; ponad tymi wszystkimi zarysami religji — stoi religja katolicka, jedyna

zupełna religja, bo ona jedna dokonywa zjednoczenia Boga z człowiekiem w sposób godny jednego i drugiego, z nigdy niedorównaną wielkością. Przez nią to Bóg schodzi rzeczywiście do człowieka, człowiek zaś wznosi się do Boga; w niej związek ten jest istotny, żyjący, ścisły, przewyższający wszystkie związki, jakie człowiek może zawrzeć lub nawet wymarzyć na ziemi. Śmiałość tej niebieskiej religji jest istotnie Boską; wskazując nam w Bogu miłość najszczytniejszą, wzbudza ją w nas także; czcząc w niebie Boga bez miary szczodrego w darach swej ku nam miłości, uczy nas nie znać tu na ziemi miary w ofiarach naszych dla Niego. To najwyższy stopień piękności duchowej na ziemi i zjednoczenia Boga i dusz. To ostatnie słowo religji.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

O cudownych skutkach religji, a w szczególności o boskiem działaniu cierpienia.

Uzupełnijmy to, cośmy zamierzyli powiedzieć o religji z ogólnego punktu widzenia, rozpatrując jej cudowne skutki. Pozostawiając na stronie te, które były już dostatecznie omówione w toku tego tomu, a których dłuższe rozprawy jużby nie rozjaśniły, — przejdziemy odrazu do najwyższego, a przynajmniej najbardziej wzruszającego. Przedsiębiorę napisać ten rozdział dla tych, którzy cierpią. Bo wszak w gruncie rzeczy religja nie jest sprawą wyłącznie rozumu i nauki. Nie zawsze siedzimy wpośród naszych książek, przy biurku lub w pracowni. Od czasu do czasu choroba powala nas na łoże. Przychodzi schyłek życia, smutna i odarta ze złudzeń starość. Niekiedy znów musimy czuwać przy łożu cierpiącej żony, umierającego dziecka. Ileż to razy w życiu oddałoby się chętnie cały swój rozum, całą naukę, za odrobinę pociechy! Co powie nam wówczas religja? Bo jeżeli nic nie powie, na nic się nie przyda, to cóż nam po niej? Przyznaję, że nie rozumiałbym Boga, któryby wiele wymagał, nie dając nic w zamian; chciał mieć odemnie hołdy, uwielbienia, nie ocierając w zamian łez moich; od którego nie odchodziłbym nietylko lepszym, ale także uspokojonym i pocieszonym. I ze wszystkich religii tę uznam zawsze za jedynie prawdziwą, która zdoła mi wytłómaczyć przyczynę moich łez, a przedewszystkiem potrafi je otrzeć.

Religia, która, ma tylu nieprzyjaciół, ma i trzech nieśmiertelnych sprzymierzeńców, którzy nie dadzą jej nigdy zaginąć. Pierwszy z nich to samaż wielkość człowieka, której szlachetne porywy i boskie pragnienia ona jedna może zaspokoić. Wykazaliśmy to już w poprzedzających rozdziałach, nie mamy więc potrzeby do tego powracać. Drugi—to nasza ułomność, strona ciemna, burzliwa, ujemna ludzkiej natury, którą też jedna religia może uszlachetnić, uzdrowić i podnieść. I to także było już dowodnie wykazanem. Nakoniec trzecim, najpotężniejszym niestety i najbardziej niepożytym—to cierpienie.

Im dalej postępuję na drodze życia, tem bardziej widzę, że każda dusza cierpi, i tem bardziej czuję, że dla jakiejś tajemniczej przyczyny dobrze jest dla niej, że cierpi. Cierpienie zbawiło świat pogański; było ono dla niego rodzajem wewnętrznego chrystjanizmu, przygotowaniem do Ewangelii. Ono to i dzisiaj zbawia ludzi światowych, nie dozwalając im zaślepić się ostatecznie, ugrzęznąć całkowicie w sprawach ziemskich. Ono zmiękcza ich serca, utrzymuje w nich łagodność i dobroć; ono mówi im w skrytości o Bogu, wtedy kiedy się już nikt na to nie waży. I stąd to owa zadziwiająca łatwość, z jaką oni na łożu śmierci powracają do wiary. „O człowiecze! snem tylko jesteś przelotnym, bolesnem marzeniem; istniejesz jedynie przez nieszczęście; znaczysz coś tylko przez smutek twojej duszy i wiekuistą melancholię twej myśli“ [1]). Owa to „wiekuista „melancholia“ wytwarza wiekuistą religię. Chcąc wykorzenić tę ostatnią, zniszczcie wprzód pierwszą. Dopóki będą łzy na świecie, zawsze oczy niemi zwilżone zwracać się będą ku Niebu.

Chciałbym więc teraz rozważyć boleść. Skąd ona? naco się zda? Czy poza religią jest na nią jaki balsam? A sama religia czy go posiada? Bo jeżeli to prawda, że ona i ona jedna uśmierza skutecznie boleść: byłby to nowy, może najwyższy a zaiste najbardziej przemawiający do przekonania, dowód jej prawdy, jej niepożytej, wiekuistej trwałości.

Tylko tych, którzy nie znają cierpienia, proszę, aby tego rozdziału nie czytali. Nie zrozumieliby go, albo zmusili mię do rozpraw, odbiegających od przedmiotu. Piszę to jedynie dla cierpiących.

---

[1]) Chateaubriand.

I.

Poco cierpienie? Oto jest pierwszy okrzyk duszy. Człowiek, ugodzony ciosem niedoli, dotknięty chorobą, śmiercią ojca, matki, dziecka, ma tylko jedno pytanie. Dlaczego? Milczy z okiem wlepionem w jeden punkt, jak gdyby chciał przeniknąć wejrzeniem otchłań, która pochłonęła jego szczęście. Od czasu do czasu podnosi głowę, patrzy błagalnie na przyjaciół i powtarza tensam wyraz, bo jego boleść nie może zdobyć się na inny: Dlaczego? powiedzcie, dlaczego?

Dlaczego? niestety! Któż to wie? Nikt nie potrafi dać na to odpowiedzi, ani nauka, ani filozofia. Nawet przyjaźń, serce—milczy bezsilnie. Przyjaciele Hioba, wobec jego wielkich boleści, milczeli przez dni siedem, nie śmiejąc przemówić i nie wiedząc, coby mieli rzec, aby go pocieszyć. Wirgiliusz zaś, malując zburzenie Troi, przedstawia nam niewiasty siedzące na brzegu morza, milczące i zrozpaczone, z załzawionemi oczyma, wlepionemi w fale. Takim jest człowiek pod brzemieniem niedoli.

Kiedy te wielkie obrazy po raz pierwszy przedstawiły się mej wyobraźni, a byłem wtedy bardzo jeszcze młodym, przypominam sobie, że ich nie zrozumiałem. To długie milczenie wydawało mi się nieprawdopodobnem. Potem sam go zaznałem; i dziś znam już gorycz niemożności otworzenia ust wobec wielkich nieszczęść, poczucia, że nie mogę ich ani złagodzić, ani pocieszyć.

To też, jeżeli istnieje gdziekolwiek moc, umiejąca pocieszać, niechże przyjdzie, niech położy kojącą dłoń na głowę cierpiącego, niech szepnie mu do ucha jedno z tych słów, których nie znajduje nawet przyjaźń. Jeżeli może, niech odpowie na te pytania boleści, na które nie umie odpowiedzieć ziemia, ani nawet najbardziej kochające serce.

Poco cierpienie? cierpienie pod Bogiem dobrym? Spytałem niegdyś o to pewnego starca i nie zapomnę nigdy wyrazu, z jakim mi odpowiedział: „Właśnie też dlatego, mój synu, że jest dobrym.“ Wówczas omal że się nie oburzyłem. Dziś mnie to nie oburza i powiadam: Być może.

Inaczej bowiem byłbyś okrutnym, o Boże! Stworzyłeś człowieka; jest on twojem dzieckiem; kochasz go: bo nacóżbyś go stwarzał? Nadto, jesteś wielkim, niezmierzonym, nieskończonym. Człowiek jest słabością, przelotnem tchnieniem tylko i Tybyś się miał pastwić nad nim! Ja nie skrzywdziłbym dziecka. Za silnym na to. Wstydby mi było nadużywać mej

siły. Cóż za bluźnierstwo, przypuszczać, że Ty, o Boże, mógłbyś nadużyć Twojej, uderzając nas bez celu, bez przyczyny, wydając nas obojętnie na łup ślepych sił, które nas drugoszą! O mój Boże! czyś by stworzył choć jedną duszę do czego innego, jak do szczęścia? A jeśli ręka Twoja godzi w nią boleśnie, winniśmy uznać na klęczkach, że czynisz to przez dobroć, z jakimś tajemniczym celem, który zrozumiemy kiedyś.

Widzę już, jak ludzie światowi oburzą się na to. Wyda się im to niepojętym paradoksem, aby utrapienia i boleści tego świata pochodziły z dobroci Bożej. Zastanówmy się jednak nad tem.

Czy nie można rozmyślnie i dobrowolnie narazić czułe ukochanej osoby na cierpienie, na tem większe nieraz cierpienie, im mocniej ją miłujemy? W tem leży jądro kwestji.

Oto dziecię igra nad brzegiem przepaści. Wychyla się za kwiatem lub motylem, traci równowagę, już ma upaść. Nagle porywają je gwałtownie jakieś ręce, i to tem gwałtowniej, im silniej miłują. Dziecko płacze, cierpi. Skądże na nie przyszło to cierpienie? Oczywiście z kochającego serca matki.

Tu znowu drugie dziecię bawi się nożem, skaleczy się niechybnie. Na szczęście nadchodzi ojciec, wyrywa mu przemocą nóż, karze nawet, aby nie czyniło tego na przyszłość. Dziecię płacze i w duchu oskarża ojca, ale z czasem przekona się, że on miał słuszność.

Jeszcze jeden przykład. Matka dziecka chorego podaje je sama pod nóż chirurga. Dziecię płacze, odpycha lekarza, ma nawet ochotę bić matkę. Czyż powiemy, że ona jest okrutną? Powie to może dziecię pod wpływem cierpienia, ale my, sięgając głębiej, współczujemy co prawda dziecku, ale daleko więcej jego matce. Wiemy, że ona jest tu godniejszą litości.

Zastosujcie teraz do Boga to, co jest tak pięknem, tak zrozumiałem, gdy płynie z ojcowskiego serca na ziemi, a pojmiecie wszystko! Zapewne, jeżeli nie wierzycie w Boga, jeżeli nie wiecie, że jesteśmy przez Niego stworzeni, że dążymy do Niego; jeżeli uważacie świat jako szranki, gdzie się ścierają ślepe siły, wówczas boleść nie ma żadnego znaczenia. Jesteś złamanym, zniażdżonym; cóż ci mam powiedzieć? Poco narażałeś się na tę chorobę? Naco było pozostawiać dziecko pod kołami wozu? Pozostaje ci przełknąć w milczeniu twoją boleść, nie uprzykrzając się jękami ani pustym Niebiosom, ani ludziom, którzy ci nic nie poradzą. Karą życia bez Boga jest cierpienie bez pociechy.

Ale opuśćcie te ciemne otchłanie, wyjdźcie na światło religii i rozumu. Uwierzcie w Boga; w Boga mądrego, potężnego i dobrego; w Boga, który stworzył ludzi dla siebie

i umieścił ich na chwilę w czasie, aby zasłużyli na wieczność, aby ich umysł, serce, osobistość, były ich własne, były dziełem ich rąk; w Boga, który, podczas gdy Jego dzieci, ludzie, pracują nad tem wielkiem dziełem, czuwa nad nimi, daje im pomoc, oddala od nich niebezpieczeństwa, podnosi ich i umacnia, ażeby przeszli przez ziemię, nie zatrzymując się na niej; poprzez świat — nie zasklepiając się w nim i nie pasując; uwierzcie w tego Boga, a wnet w Boskiem świetle, które będzie wam początkiem pociechy, zaczniecie rozpoznawać, skąd pochodzi boleść i dlaczego Bóg na nią zezwala.

Bóg to stworzył ten świat, i stworzył go umyślnie za ciasnym dla nas. To też nie możemy się w nim poruszać bez cierpienia, gdyż znajdujemy na każdym kroku zapory i granice, zetknięcie się z któremi ból sprawia. Powiadam, że Bóg umyślnie tak urządził, aby te granice wzbudzały w nas tęsknotę ku czemuś lepszemu, — ale zaiste nie wiem, czy mógłby nawet uczynić inaczej. Gdy będziemy kiedyś w nieskończoności, dusze nasze będą się w niej poruszały swobodnie, nie skrępowane niczem. Nie napotkamy nigdzie granic, zapór, ani kresu. Wówczas będziemy szczęśliwi. Ale ten biedny świat musi być z natury rzeczy za ciasnym dla nas, czyby go Bóg był urządził tak, czy owak. Dusze nasze, znalazłszy się na nim, nie mogą nie cierpieć, nie znajdować za ciasnem tego Prokustowego łoża; nie mogą rozwijać skrzydeł bez potrącania wszędzie o zawady, ani się poruszać bez skaleczenia. Taką to jest ta ziemia, miejsce naszej próby, abyśmy nie mogąc znaleźć na niej spoczynku, wzdychali do szerszych przestworów i wybiegali marzeniem ku nieskończonym widnokręgom.

A teraz przypuśćcie, że jakaś istota kurczy swe skrzydła, zamiast je rozwijać; że zamiast wzbijać się pod niebiosa, przypada dobrowolnie do ziemi; że nie znajduje tego łoża Prokustowego za ciasnem; przypuśćcie, że wielki orzeł górski, zamknięty w ciasnej klatce, zadowolony jest ze swej siedziby i podziwia kraty swojego więzienia, dlatego że są złote, lub srebrne, albo też barwnie pomalowane; przypuśćcie wreszcie, że istota nieśmiertelna nie czyni użytku z nadprzyrodzonych władz swojej duszy, zamyka się w obrębie tego świata, czuje się na nim szczęśliwą, zasklepia się w nim, poniża i już jest bliską upadku i zguby ostatecznej; i powiedzcie dlaczegoby Bóg nie miał się w to wdać? Dlaczegoby, nie miał zaciśnić tych zapomnianych granic, ażeby się dały znowu uczuć, uczynić je dotkliwemi, ażeby zmusić do wzniesienia ducha? Dlaczegoby nie miał wyrwać noża z rąk tego dziecka, nie mieć go gwałtownie ojcowską ręką z nad brzegu przepaści, do której wpadnie za chwilę, nie oddać go, gdy jest chore, w ręce lekarza? A gdyby to uczynił, czyż człowiek, ogłuszony na razie boleścią i zaślepio-

ny łzami, nie powiedziałby mu potem: „Dobrze uczyniłeś, Ojcze!“

Oto jest wytłómaczenie boleści, podstawa i główna zasada jej boskiego działania. Na zapytanie cierpiącej duszy, religia daje nam jedną tylko, ale czułą i pocieszającą odpowiedź. Człowiecze, powiada ona, jesteś stworzony dla Boga. Gdybyś więc miał był dosyć odwagi, ażeby przejść przez ten smutny świat, nie grzęznąc w nim, a serce dosyć silne, miłość dosyć gorącą, ażeby wznosić się do Boga po przez zasłonę stworzeń, cierpienie nie istniałoby wcale. Jest ono stworzone jedynie dla zrównoważenia usterek twojej miłości.

W istocie, na początku, pod drzewami Edenu, istniała tylko miłość i ona sama wystarczała. Spełniała wówczas to samo zadanie, które dzisiaj pełni cierpienie, i spełniała je daleko lepiej. Cierpienie oświeca, oczyszcza, odrywa od rzeczy przemijających; cierpienie podnosi w górę serce. Ale i miłość czyni tosamo, a o ileż szybciej i wspanialej. Gdyby więc nie była ona osłabła w rajskim ogrodzie, gdybyśmy zamiast słabej iskierki, przechowali w całości płomień miłości pierwotnej,— boleść nie istniałaby, ponieważ nie byłaby potrzebną. Bóg w swojej nieprzebranej dobroci dodał nam to nadziemskie skrzydło, gdyśmy się pogrążali w materji.

Oto jest to, co musimy przypuścić. To, albo rozpacz. To, albo druzgoczący nas straszny fatalizm.

Tak jest, musimy w cierpieniu zrobić wybór; albo zimna i nieubłagana ręka fatalizmu, który miażdży nas bez litości, skoro wpadniemy pod jego koła; albo tkliwa i ojcowska ręka Boga, która dotyka nas z poszanowaniem i miłością, ażeby nas ulepszyć. Bóg dobry, albo Bóg tyran: innego wyboru niema.

Co do mnie,—wybrałem. Nigdy nie przypuszczę, o mój Boże, ażebyś miał być obojętnym, ślepym, niesprawiedliwym lub okrutnym. Całuję karzącą Twą rękę, i chociaż cierpiąc, nie rozumiem ciosu, który we mnie ugodził, jedno tylko chcę mieć na ustach słowo: „Łaski, Tyś dobry! Łaski, Tyś wielki i mądry!“

Ale nie powinniśmy poprzestać na tej ogólnej zasadzie; trzeba nam wniknąć w szczegóły, śledzić okiem i sercem rękę Bożą, która dotykając człowieka boleśnie, wyrywa go z pośród niebezpieczeństw i podnosi stopniowo do cnoty, do coraz wyższej piękności ducha.

II.

Taki jest prawdziwy plan rzeczy, o duszo moja. Ziemia jest ciasną, za ciasną dla istoty nieśmiertelnej. Rani mię i kaleczy. Jak więzień, wlokę, idąc, swoje kajdany. Moje, z dniem

każdym ociężalsze kroki, coraz bardziej utrudnione ruchy, pochylona lub drżąca głowa—powtarzają mi codzień już same, bez wdania się Boga, że nie jestem stworzony dla ziemi.

Lepiej jeszcze dowodzi mi tego towarzysz mojej podróży, człowiek. Zawodzi mię, lub zdradza na każdym kroku. Jeśli wesprę się na nim, łamie się jak trzcina i kaleczy mię. Nawet najlepsi, nawet niestety ci, którym daję słodkie miano przyjaciół, nie są mi wierniejszymi. Zabiera mi ich śmierć, albo oni sami nużą się mojemi wadami, lub odstręczają moimi smutkami. Iluż to z nich przylgnęło duszą do mojej duszy, a śmierć oderwała ich odemnie gwałtownie! Iluż zaufało mi, przygarnęło się radośnie do mego serca, ale znalazło tam tyle chłodu, egoizmu może, że musiało odejść z rozczarowaniem! A ilu innych szukałem ja, a w chwili gdym potrzebował oprzeć zbolałą głowę na przyjaznem ramieniu, i nie znalazłem ich! O, jakże człowiek jest niezdolny do głębokich uczuć przyjaźni i jak prawdziwemi są te słowa mędrca: „Niemasz nic rzadszego, niż prawdziwy przyjaciel!“

I gdybyż jeszcze jedna tylko przyjaźń nas zawodziła! Zdradzeni przez nią, znękani życiem, szukamy pociechy. Mówimy sobie: Poszukajmy czegoś innego, znajdźmy inne przywiązanie, czulsze, głębsze, nie tak samolubne, jedyne, i zapomnijmy o tamtych. I upatruje sobie człowiek istotę, stworzoną, zdaje się, umyślnie przez Boga do szlachetnej roli kochania i pocieszania. Różni się ona bardzo od mężczyzny, nie ma ani jego siły, ani ambicji: co go upewnia, że nie wejdzie mu w drogę, jako współzawodniczka. Różna od niego, ale tem mu droższa, nie posiada w równej mierze nic z tego, co posiada mężczyzna, ale wszystko to, czego mu brakuje. Bóg z cudowną sztuką utworzył jej serce; cierpienie ją pociąga, poświęcenie przykuwa do siebie,—a jako uwieńczenie wszystkich darów otrzymała od Pana intuicję, która pozwala jej wszystko rozumieć, ażeby mogła wszystko pocieszyć. Mężczyzna widzi tę istotę, stworzoną dla niego przez Boga. Przenika go dreszcz radości, i odchodzi od ołtarza, gdzie jej oddał rękę, jakby odmłodzony, jakby odnowiony. Ale niestety! marzenie o szczęściu pierzcha wkrótce jak sen, z winy jego, czy też kobiety? Czy może z winy obojga? może Bóg chciał żeby to marzenie pozostało marzeniem tylko tu na ziemi, by skierować nasz wzrok ku Niebu, gdzie ono stanie się rzeczywistością? Bądź co bądź, trwa krótko i źle. Nie dotrzymuje swoich obietnic nawet u najlepszych, najserdeczniej złączonych. A cóż rzec o innych? Co powiedzieć o ogniskach, gdzie są tylko wygasłe popioły? A co o tych, w których płomień nie zabłysł nigdy i o tych, nie tak już nieszczęśliwych gdzie jaśniał płomień żywy i gorący, ale został zdmuchnięty nielitościwem tchnieniem śmierci?

Odwracamy się od opustoszałej rodziny, jak się odwróciliśmy od zagasłej przyjaźni. Rzucamy się w wir interesów, w życie czynniejsze i głośniejsze, aby się ogłuszyć. Ale zaledwie tknęliśmy się rzeczy publicznych, a już nas prześladuje niechęć lub zawiść, policzkuje oszczerstwo. Zdawało się nam, że znamy już dostatecznie ludzi; teraz znajomość owa wzbogaca się jeszcze. Cofamy się zbolali, rozczarowani, zniechęceni do wszystkiego.

Jak podróżny wstępujący na górę, który, potraciwszy w drodze wszystkich swoich towarzyszów, rzuca wzrokiem ze szczytu, dokąd doszedł sam jeden, i widzi w dole, na przebytej już drodze, drzewa obalone burzą; tak my, doszedłszy do kresu życia, patrzymy naokoło siebie i widzimy, że pozostaliśmy sami. Zdala, poza sobą, spostrzegamy zniweczone marzenia, zerwane przyjaźnie, zagasłą miłość, tyle lepszych uczuć, które poginęły nam w drodze i których nie spotykaliśmy już potem,—i ze smutkiem w sercu dożywamy ostatnich dni naszego istnienia, które byłyby tak nędzne, gdyby nie Bóg. I znużeni wszystkiem, nawet nadzieją, nie licząc już na nic, ani nawet na uczucia serca, wiedząc, że każda czara jest próżną, a każdy napój gorzkim — wołamy w końcu: „O Boże, Boże!“

Pytacie się: naco jest potrzebne cierpienie? Oto naco: ziemia zasnuwa się przed nami mgłą, a rozświetla się Niebo!

Tak jest, oto przyczyna boleści, według poważnej i wysokiej nauki naszej świętej wiary. Stworzeni dla Boga, zagrzebujemy się w rzeczach doczesnych. Ścielemy sobie na ziemi zdala od mrozów i wichrów gniazdko, gdzie pragnęlibyśmy zasnąć w pomyślności, gdzie zdaje się nam, że nie zestarzejemy się nigdy, gdzie brakuje nam tylko nieśmiertelności. Otóż na to gniazdko, w którem zapominamy o wieczności, ażeby nas upamiętać i oświecić, Bóg zsyła co czas jakiś cierpienie.

Ale któż potrafi opisać, jakim jest Bóg, gdy Go zmuszamy do użycia tego środka? Z jaką delikatnością zastosowuje ciosy do potrzeb! Najczęściej dotyka zaledwie bolesnego jakiegoś miejsca. Zawodzi nas jakieś marzenie, rozwiewa się złudzenie. Tu znów przyjaciel zapomina, kochające serce ostyga. Mimowoli wznosimy wzrok wyżej. Mówimy: O mój Boże, Ty tylko nie przemijasz!

Kiedyindziej znowu Bóg uderza mocniej. Pada w gruzy czyjeś mienie, karjera lub tron. Świat widzi tylko tumany pyłu, podnoszące się z tej ruiny, ale dusza dotknięta ciosem widzi coś innego jeszcze. Dostrzega nieznane dotąd światło. Przed jej oczyma otwiera się niebo i wynagradza jej straconą pomyślność ziemską. Królowa angielska mówiła: „Dzięki Ci, Boże

żeś mi odebrał trzy królestwa, jeżeli to miało mnie uczynić lepszą." A Bossuet mówił o niej: „Dziękowała Bogu; czy za to, że uczynił ją królową? Przeciwnie, za to, że uczynił ją nieszczęśliwą!"

Jeżeli boleść jest jeszcze większą (bo utracić tron to jeszcze nie największe nieszczęście,—znam daleko cięższe), wówczas światło zwiększa się, można powiedzieć w stosunku do wielkości cierpienia. Jest ono czasem do tego stopnia żywem, że wywołuje na ustach cierpiących słowa tak prawie piękne, uniesienia tak czyste, jak u Świętych. „O, ileż światła kryją w sobie te żałobne szaty!"—mówiła młoda wdowa, która w dwudziestym roku życia utraciła największe szczęście, o jakiem można zamarzyć. Oto jeszcze jej słowa: „Nie można sobie wyobrazić, co cierpię; troski, próżnia, ciemność zapełniają dla mnie ziemię! tę ziemię, którą znajdowałam niegdyś tak cudną, której zbytnie umiłowanie wyrzucało mi sumienie! A teraz, o jakże kocham śmierć!" Zwróćcie uwagę na te ostatnie słowa. Są tesame, które spotykamy tak często na ustach Świętych, na ostatnich szczeblach ich udoskonalenia. W jednej chwili, jednym rzutem skrzydeł, boleść uniosła tę młodą wdowę, to dwudziestoletnie dziecko, na wyżyny oderwania się od wszystkiego, dla dosięgnięcia których taka święta Teresa lub Joanna de Chantal, potrzebowały czterdziestu lat nieustannej pracy.

Niekiedy ciosy mnożą się. Bóg przemawia głośniej nad naszemi głowami. Jest to, jak gdyby głos grzmotu zwiastującego gromy. Ale tu szczególniej, któż wypowie tkliwość Bożą? Matka, oddająca swe dziecko pod nóż chirurga, okrywa je pieszczotami, obsypuje pocałunkami przed operacją, podczas niej i po niej. Słaby to obraz tego, co zachodzi w duszach ludzkich. Kiedy miecz wszedł aż po rękojeść, wywiązuje się często takie światło i ciepło, taka jakaś nadprzyrodzona i nieznana radość, współcześnie z nadzwyczajną boleścią, że najbardziej nawet od Boga oddalona dusza poznaje Jego rękę i ją całuje. Przytoczę tu przykład, którego sam byłem świadkiem.

Znałem, przed kilku laty, pewnego wysokiego urzędnika, cieszącego się wielkiem poważaniem i ogromnym wpływem. Był bogaty, szczęśliwy; miał wszystko prócz wiary. Miał za żonę kobietę pobożną i niepospolitą, i dwie śliczne córki, którym dał jak najlepsze wychowanie. Panienki te, w wieku lat osiemnastu i szesnastu, do uroku miłej powierzchowności i młodości łączyły wdzięk pobożności, skromności i niewinności serca, wpojonych im przez zacną matkę. Spotykałem go często w towarzystwie córek. Dumny był z nich tą szlachetną dumą ojca, który odradza się w godnych siebie dzieciach. Dnia pewnego starsza z dwóch sióstr uczuła nagle gwałtowny ból gło-

wy i w przeciągu dni kilku umarła, jak święta: zabił ją tyfus. Młodsza, którą czemprędzej, ale widocznie zapóźno, oddalone padła ofiarą tejsamej choroby na wsi i wkrótce połączyła się z siostrą. Biedny ojciec przebył cały tydzień w tym wiejskim domu, niemy, zrozpaczony, wpatrzony w łóżko, na którem wyzionęła ducha jego ostatnia pociecha. Wyszedł stamtąd zupełnie przeistoczony i oświecony. Cóż to jest ten świat i co wart? Co warte godności, zaszczyty, urzędy, wpływy? Wszystko to teraz wstrętne mu było. Co warte są istoty stworzone, jeżeli czystość, cnoty i wdzięki nie obroniły od śmierci jego ukochanych dzieci? Zrozumiał, iż takie ciosy nie mogą być dziełem przypadku, bo w takim razie pozostałoby nam chyba rozbić o mur głowę. Zrozumiał, że nie mogły pochodzić z woli Boga, nieczułej i obojętnej, bo dla takiego Boga nie miałby dosyć nienawiści. Przyszedł do przekonania, że Bóg mógł tak postąpić jedynie przez miłość, w sposób, którego teraz wprawdzie nie mógł on jeszcze zrozumieć, ale zrozumie później. I wszystko stało się mu jasnem.

Pozostał jeszcze długie lata na świecie, służąc godnie ojczyźnie, nie opuszczając urzędowania, na którem doszedł do najwyższych godności; dobry chrześcijanin przytem, wprawiał świat w podziw mocą swojej wiary i niewzruszonością nadziei. Służył biednym, rozdawał im posagi swoich dzieci. Umarł już; a gdy opuścił ten świat i odnalazł tam dwie córki przemienione i promienne,—wszyscy troje zrozumieli w uścisku, który już nie będzie miał końca, dlaczego Bóg rozdzielił ich na chwilę, i jak nagradzając i biorąc do swojej chwały dzieci, dał ojcu okupić, za cenę przemijającego rozłączenia, niezmierzone szczęście życia na wieki w jednem z niemi świetle i jednej miłości.

Oto pierwsza usługa, jaką cierpienie oddaje ludziom. Zrozumiej to, duszo moja, i skorzystaj z tego: pierwszym darem, jaki Bóg dobroci złożył w krwawe szpony cierpienia, to—promień światła.

III.

Ale na tej smutnej ziemi, poza niebezpieczeństwem zagrzęznięcia w rzeczach doczesnych, widzialnych, istnieje jeszcze inne: istnieje niebezpieczeństwo zepsucia się, zatracenia w zetknięciu ze złem, piękności duszy. Ponieważ zaś Bóg jest tem, czem jest, czyli nieskończoną sprawiedliwością: najmniejsze nawet zło nie może skazić duszy, nie wywołując zarazem kary. Już stary Homer powiedział, że cierpienie idzie za zbrodnią krokiem powolnym, ale pewnym. Popełniasz czyn

występny: dajesz Bogu powód do ukarania cię. Popełniasz występków dziesięć — dziesięć to przyczyn kary. Cóż będzie, jeżeli tych karygodnych czynów będzie sto, tysiąc? jeżeli uczynisz ze swego życia nieprzerwane pasmo występków?

Zdarza się, że w chwili kiedy okręt wychodzi na morze, tworzy się w jego spodzie ledwie widoczna szpara. Woda przesącza się nią z początku powoli, kroplami; ale jeśli się tego nie spostrzeże i nie pospieszy zapobiedz, po niejakim czasie okręt idzie na dno oceanu.

Wierny to obraz niebezpieczeństwa grożącego duszom. Prawie wszystkie pogrążyłyby się powoli i niechybnie w otchłaniach Boskiej sprawiedliwości, gdyby nie było gdzieś zbawczej potęgi, oczyszczającej mocy, któraby służyła za przeciwwagę ogromowi ich win. I dlatego ludzie pojmowali zawsze, że najstraszniejszą rzeczą dla grzesznej i niepokutującej duszy jest brak wszelkiego cierpienia, pomyślność bez jednej chmurki. Są powodzenia, które przerażają, na które spogląda się ze drżeniem.

I oto widzicie drugi cel boleści, jej drugie wzniosłe posłannictwo. Skoro człowiek upadł, skoro w zetknięciu z grzechem stracił czystość duszy i upodobanie w dobrem, a z niemi skrzydło, które go unosiło ku górze, — Bóg powierza go cierpieniu. Stoi ono obok grzechu, ażeby wyrwać go z ludzkiego serca drogą ekspjacji. Cierpienie bierze występnego człowieka i zanurza go dla oczyszczenia w swym ogniu. Tak pod działaniem płomieni, złoto wydziela z siebie wszelką obcą domieszkę i wychodzi z próby jasne i czyste.

Nie sądzę, aby jakikolwiek umysł poważny, obdarzony poczuciem złego i dobrego, miał chęć oskarżania tu sprawiedliwości Boskiej. Dla mnie sprawiedliwość wydaje się konieczną atrybucją nietylko Jego świętości, ale i Jego dobroci. Pociąga mnie miasto odpychać. Bóg, który nie umie karać, to Bóg, który się nami nie zajmuje. Nie odczuwam ciężaru Jego ręki, ale nie mogę ucałować Jego kolan. Cóż nam po miłości powierzchownej, której nie można ani zranić ani obrazić! I cóż nas obchodzi Niebo, równie obojętne na nasze zniewagi, jak i na modły nasze!

Nie utrzymuję wcale, ażeby te ciosy nie były straszliwe; zaraz powiemy, jak je można łagodzić; teraz chcemy tylko wykazać, jak się je tłumaczy i jak w widokach Boga mają one zadanie użyteczne, ważne i święte. W tym celu zauważcie, z jak głęboką sztuką utworzył Bóg boleść.

A raczej czy to On ją stworzył, przynajmniej taką, jaka istnieje obecnie? Bóg tak dobrze nie stworzył boleści, jak nie stworzył śmierci. Obie urodziły się jednocześnie; obie są nieszczęsnemi córami grzechu, brzydkiemi jak on sam, a zadaniem

ich jest pokazanie człowiekowi, że nie może wykraczać bezkarnie przeciwko wiekuistemu porządkowi rzeczy, oraz zmuszenie go drogą nieprzewidzianą, ale wzniosłą, do poddania się takiemu. W smutnej chwili ukazania się cierpienia na świecie, nieskończona miłość wzięła je sobie za środek rehabilitacji dusz; podobna w tem do tych wielkich mistrzów, którzy z gruzów i ruin budują wspaniałe świątynie. Bóg zniewolony był karać, ale pragnął przebaczać, a znajdując szczęście w posługiwaniu się złem na korzyść dobra, z miłości swej i sprawiedliwości utworzył karę, któraby była zarazem środkiem rahabilitacji. Wzniósł rusztowanie, mogące się zmienić w ołtarz, utworzył cierpienie.

I patrzcie, jak się wziął do tego, by zmusić niemal człowieka do przeistaczania swej kary w zadosyćuczynienie. Powiedział sobie: Trzema drogami dąży człowiek do zguby. Psuje się uczynkami, na które składają się pycha, pożądliwość i bunt: to też zmuszę go niekiedy pomimo jego woli do pokory, posłuszeństwa i ofiary. I z tych to trzech żywiołów, w tajemniczy sposób złączonych ze sobą, utworzył boleść.

Spójrzcie na człowieka chorego, umierającego. W jakim-że jest stanie? Przedewszystkiem w stanie upokorzenia. Gdzież się podział ten żywy i świetny umysł, ta płynna wymowa, ta znajomość interesów? Albo ta, niegdyś tak piękna kobieta, przeraża nas dziś ona. Wszystkie dary przyrodzone znikły, wszystko jest w upokorzeniu. To jest pierwszy stan. Odpowiada on pierwszemu z pierwiastków grzechu — pysze. Patrzcie następnie, jakie bierne posłuszeństwo! Wczoraj jeszcze nie słuchało się nikogo, nawet Boga; dzisiaj trzeba słuchać wszystkich, swego nawet lokaja. A jakie cierpienia! Gdzież ta krew tak niegdyś wrząca rozkoszą? Dzisiaj krąży ona, niestety, to za powolnie, to za prędko, — ale zawsze w posłuszeństwie, upokorzeniu i boleści. Uzyskajcie od takiego chorego akt wewnętrznego zgodzenia się z wolą Bożą, akt rezygnacji i miłości, a pojmiecie, jak prędko nastąpi rehabilitacja.

I dlatego to dusze nie giną. Od czasu do czasu Bóg pogrąża je w cierpienie, powołuje, chcą czy nie chcą, do zadosyćuczynienia, i jeśli tylko poddadzą się z uległością jego wyrokom, cierpienie dobrowolnie przyjęte odrodzi je i zbawi. Wystarczy na zmazanie w nich ogromu nieprawości.

A jeżeli łatwo dostrzedz z samego jej ustroju metafizycznego, że boleść jest dziełem mądrości, jeszcze łatwiej poznać, że jest ona dziełem miłości. Jakże ona jest przystosowaną do każdej duszy! Powiedziałbyś, że jakaś niewidzialna i serdeczna ręka skierowywała je właśnie w te miejsca, gdzie potrzeba naprawy i rozbudzenia życia. Z jak rozumnym uporem powraca zawsze w dziedzinę serca! A jak cudowne wywiera skutki!

Działa prawie jak sakrament, *ex opere operato*, swoją własną mocą. Ten oto człowiek gwałtowny, despota, egoista, jakże stał się pod dotknięciem cierpienia, przystępnym! sam do ciebie wyciąga rękę; dziękuje ci za najmniejszą grzeczność. Ileż to pokory powstało z boleści!

To oschłe i nie czułe serce wzywa cię samo, prosi o trochę uczucia. Miłość odradza się w niem wraz ze łzami.

Ten młodzieniec, tak zuchwały względem Boga, tak nieprzystępny dla wszelkiego wyższego światła, póki był pod wpływem namiętności, czuje, jako pod tchnieniem cierpienia uciszają się te namiętności, niby wiatr po burzy. Ognisko zła gaśnie, nieczyste marzenia rozpraszą się. Wszystko, co było hańbą jego duszy i, jeśli był chrześcijaninem, doprowadzało go do rozpaczy, zmniejsza się i znika prawie zupełnie w zetknięciu z cierpieniem. Tak to boleść przekuwa niejako duszę na swem boskiem kowadle.

A cóżby to było, o mój Boże, gdyby dusza z nią współdziałała! gdyby pojmowała tę pracę, składała dzięki za każde uderzenie dłuta lub młota gdyby nie była niemą, martwą, przygnębioną, ślepą, ale pojmującą, żywą, gorącą! gdyby rozumiała, co w niej sprawia Boski pracownik i radowała się tem!

O duszo moja, poznaj całą niedolę twoich win, twoich ustawicznych upadków, twojej ciemnoty, próżności i samowoli: i obmyj się z nich łzami. Nie śmiem mówić ci, ażebyś przyzywała cierpienie, ale nie odtrącaj go, skoro przyjdzie! To przyjaciel. Zrozumiej je, zroumiej ten drugi chrzest, z którego możesz wyjść tak piękną!

A ty, matko, chrzcij twoje dziecko twem cierpieniem. Gdy wydajesz je na światw boleściach; gdy podczas bezsennych nocy usypiasz w objęciu te biedne istotki, płaczące, nie wiedząc dlaczego, (a dowiedzą się o tem dosyć prędko!), kapitalizuj te cierpienia. Umieszczaj je na procencie na ich korzyść. Niech wchodzą w epokę walk i niebezpieczeństw bogate skarbem łez macierzyńskich, jej cierpień dobrowolnie przyjętych i odważnie za nie ofiarowanych

Bo Bóg uczynił jeszcze i tę drugą rzecz cudowną, że cierpienie przyjęte dobrowolnie jest bez ceny. Nietylko oczyszcza naszą duszę, ale rozszerza swoje dobroczynne działanie na wszystkie dusze nam drogi. To jak te wonności Aarona, które po namaszczeniu i poświęceniu jego głowy, spływały po jego brodzie i nasycały zapachem aż do frendzli jego szaty. Przeczytajcie w księdze Genezy tę cudowną rozmowę Boga z Abrahamem, o owych dziesięciu sprawiedliwych, którzy mogli byli posłużyć za przeciwwagę dla tysięcy występnych,—przeczytajcie i pojmijcie całą odradzającą własność cierpienia.

Wiecie, dlaczego ten człowiek, który nie modli się nigdy,

nie oddaje Bogu żadnej czci, zasmuca Go, a może i znieważa,— dlaczego on żyje, dlaczego nie dotyka go kara niebios? Oto dlatego, że wokoło niego jego dziatki modlą się, jego żona płacze, i te kochające go istoty gromadzą wszystkie swoje cierpienia, zasługi, cnoty i niewinność na jednej szali, jako przeciwwagę tych nieprawości, jakie on kładzie na drugiej.

A jeśli narody istnieją, jeśli te niezmierne warsztaty grzechu nie upadają pod ciężarem swoich nieprawości, to dlatego, że mają w swojem łonie dobrowolne zadosyćuczynienia ludzi cierpiących i poświęcających się przez miłość. A jeżeli czasem, gdy hańba i zbrodnia zbytnio nagromadzi się w żyłach narodów, nagromadzą się i nieszczęścia; jeśli ludy są już na drodze do zguby i zatrzymują się na niej,—to, poszukawszy dobrze, zawsze znajdziecie, że było tam bodaj kilka wielkich dusz, które się dobrowolnie poświęciły; były jakieś niezasłużone cierpienia, znoszone szlachetnie, święcie, wzniośle; kilka kropel krwi czystej, która popłynęła z miłości, ażeby obmyć fale krwi niegodnej. Ale dosyć tych ogólnych uwag; pośpieszmy spojrzeć na zajmującą nas kwestję z innego punktu.

IV.

Słyszę, jak mówi poeta:

O boleści! ty czynisz człowieka człowiekiem!

A drugi, bratni mu geniusz, dodaje:

Nic tak nie czyni nas wielkimi, jak wielkie cierpienie.

I odgaduję trzecią i najwyższą przyczynę cierpienia. Jest ono nietylko światłem wpośród ciemności i złudzeń życia, nietylko lekarstwem na zepsucie: ożywia ono i uświęca dusze; powiedziałbym prawie, że stwarza je na nowo; przynajmniej daje im piękno i wzruszającą wielkość, których nie potrafiłaby im dać sama cnota.

Prawdą jest, że na tej smutnej ziemi bez cierpienia nie było nigdy ani wielkiego czynu, ani wielkiej duszy. Aby stać się wielkim nie wystarczały nigdy geniusz, sława, cnota. Zawsze potrzeba na to było cierpienia.

Daremnie ktoś złączył na swej głowie wszystkie korony— ludzkość z uznaniem jego wielkości czekała, aż otrzyma chrzest cierpienia.

Nawet cnota, cnota szczęśliwa, nie jest największą rzeczą

na ziemi. Aby nią być, trzeba jej zawsze tego czegoś niezrównanego i wykończonego, co dać może tylko nieszczęście.

Zdawałoby się że w tej cudownej pracowni, gdzie się tworzą wielkie dusze, geniusz, sława, cnota, mogą tylko szkicować zarysy. Ostateczne wykończenie, które należy do Mistrza, jest dziełem cierpienia.

Dlaczego? To tajemnica, powiadają. Prawda, ale może ta tajemnica nie jest tak niezgłębioną, jakby się to zdawać mogło.

Jesteśmy istoty małe, bo ograniczone. A im chętniej poddajemy się tym granicom, im bardziej zamykamy się w nich, tym mniejszymi jesteśmy. Ażeby stać się wielkim, trzeba z nich wyjść, trzeba je przełamać, wydostać się nadludzkim wysiłkiem poza to nędzne koło. Ale na to potrzeba cierpieć.

Jest z tem jak z owem kołem z żarzących węgli, którem indyjskie dzieci otaczają owad niebezpieczny. Próbuje on je przekroczyć, ale cofa się przed bólem, pozostaje na miejscu i kończy tam życie. Dusze pospolite czynią taksamo. Wielkie dusze wydostają się z koła, poprzez ogień cierpienia.

Weźcie pisarza. Kiedyż to przychodzą mu wzniosłe myśli: czy w miękkości, w bezczynności, kiedy pozostaje w granicach swojej natury? czy też wówczas, kiedy się z nich wydostaje bolesnym wysiłkiem? „Ukończyłem tę ciężką pracę w milczeniu siedemnastonocnego czuwania. I oto teraz, kiedym dokonał dzieła, pytam siebie w modlitewnem skupieniu ducha i drżący jeszcze od cierpień, jakich doznałem: czy głos mój będzie wysłuchany?“ W takich to bólach rodzą się wielkie dzieła.

A poeta gdzie znajduje nieśmiertelne dźwięki? Któżby o tem nie wiedział! Nigdy dusza nie śpiewa piękniej, niż w boleści.

I za każdą raną
Ton jej staje się wznioślejszym.

A im krwawszą jest rana, tem bardziej przejmującym jest jęk.

Najpiękniejszymi śpiewami są śpiewy rozpaczy,
A niektóre z nich są nieśmiertelnymi, chociaż są samem łkaniem.

Tosamo dzieje się z wielkimi charakterami, z głębokiemi duszami, z dobremi sercami. Potrzebują one cierpienia. U tych, którzy go nie doznali, życie przechodzi jakby tylko po wierzchu dusz. Uczucia ich nie mają siły, serce czułości, umysł szerszych widnokręgów. Wszystko w nich jest powierzchowne, umysł pospolity, a dobroć płytka.

Jednem słowem, pod każdym względem tylko cierpienie wnika w duszę dosyć głęboko, ażeby ją rozszerzyć. Są w nas miejsca bardzo wyniosłe, gdzie drzemie życie; ukryte głębie, które zawierają skarby, a do których dosięgnąć dusza nie ma dosyć energii. Potrzeba na to gromu boleści. A nawet ośmielam się utrzymywać, że są strony serca, które nie istnieją, zarodki zaledwie niejasne, które aby stać się, potrzebują by ich dosięgło cierpienie.

Wiecie, jak to bywa, kiedy usłyszymy piękną muzykę. Z początku jesteśmy nią kołysani, zachwyceni, wzruszeni. Potem nagle za jakimś dźwiękiem, za jakimś potężniejszym akordem czujemy się porwani. Dosięgły one nieznanych głębi naszej duszy. Tosamo, acz rzadziej, umie sprawić wymowa. Nagła błyskawica, grom i oto wszyscy są uniesieni, mówca i słuchacze. Porwał ich ten okrzyk, którego sam mówca nie przewidywał w sobie.

Otóż to, co czynią geniusz, wymowa, muzyka, czyni boleść; ma takąsamą jak one moc przenikania do najtajniejszych głębin ludzkiej istoty i wynoszenia jej ponad nią samą. Jak trzeba uderzenia, aby z krzemienia wykrzesać iskrę; tak trzeba ciosu boleści, by wykrzesać z duszy światło, wielkość, bohaterstwo, poświęcenie—tysiące ukrytych skarbów. W tym złomie marmuru tkwi posąg, ale potrzeba go stamtąd wydobyć. W tym kawałku kwarcu tkwi szmaragd zdolny zalśnić tysiącem płomieni. Ale trzeba skruszyć tę kamienną powłokę, a do tego użyć młota i dłuta. Człowiek próbuje, ale ponieważ nigdy prawie nie ma tyle odwagi, aby uderzać z potrzebną siłą, Bóg zsyła na niego cierpienie, by mu dopomódz w tem wielkiem dziele.

I dlatego to Święci, bohaterowie, geniusze, wszystkie dusze wielkie były po wsze czasy umiłowanemi dziećmi cierpienia. Tylko na zbolałe czoła kładziono laurowe wieńce. Przypomnijcie sobie Homera, Miltona, Tassa, Dantego, Kamoensa. Podniosłość uczucia dała im wieczną sławę, a tej podniosłości, jakoteż głębokości pojęć, nigdyby nie osiągnęli, gdyby nie cierpienie.

A żołnierze, bohaterowie! Cierpienie stwarza żołnierza. Nigdy dusza nie okazuje się w bardziej wzruszającej i prawdziwej piękności, niż w obliczu śmierci, w tej uroczystej chwili, kiedy niebezpieczeństwo wywołuje zupełne zaparcie się siebie. Zadaniem żołnierza jest zapomnieć o sobie i poświęcać się aż do śmierci. I to jest najwyższe piękno duszy, innego niema prawie wcale. Przypatrzcie się dobrze, a przekonacie się, że prawdziwie wzniosłym bywa człowiek tylko wobec cierpienia i śmierci.

Dlatego to Święci są najwznioślejszymi z ludzi. Grom bo-

leści trafia w nich i podnosi na wyżyny nie jednorazowo tylko przypadkiem, na polu bitwy: żyją oni w cierpieniu z własnej woli i z woli Bożej, i z niem współdziałają. Cierpienie odrywa ich ustawicznie od rzeczy stworzonych i od własnego „ja.“ I to życie zaparcia się i poświęcenia, które czerpią z najwyższym wysiłkiem aż z głębi własnej duszy, czyni z nich jakby nieustanną całopalną ofiarę. Największy to widok, jaki ziemia może przedstawić niebu.

„Wiecie czego nam zazdroszczą Aniołowie, mówi Święty Franciszek Salezy: oto niczego innego, tylko możności cierpienia dla Boga, bo oni nigdy dla Niego nie cierpieli.“ Co mogą oni ofiarować Bogu i tym, których kochają? Hołdy, modlitwy? I my to możemy, a nadto my mamy do złożenia na ofiarę cierpienia przyjęte dobrowolnie i znoszone z miłością.

I nietylko aniołowie zazdroszczą nam tej wielkości, tej wzruszającej piękności. Bóg na łonie swojej chwały jest przejęty podziwem dla tego, czego człowiek dokonywa na łonie boleści. Pozazdrościł mu tej wzniosłej zdolności zaparcia się siebie, cierpienia i umierania dla tych, których kocha. I zdaje się, że gdyby Bóg nie był zdołał umrzeć dla człowieka, który dla Niego cierpiał i umierał, człowiek miałby pewien rodzaj piękności i wielkości, którego brakłoby Bogu. Dlatego to dnia pewnego otworzyły się niebiosa, i Syn Boży zstąpił na krzyż w bezmiarze boleści, aby pomimo wszelkich możliwych ofiar człowieka dla Boga, widział on zawsze swego Stwórcę w chwale ofiary wyższej nad swoją.

Wielkość zatem i piękność dusz ludzkich stopniują się według skali cierpienia. Przypomina to piramidę. Na jej szczycie stoją ci, na których czole błyszczy geniusz, cnota i cierpienie, a najpierwszym między nimi jest Ten, który pod tymi trzema względami jest pierworodnym pomiędzy synami ludzkimi. Niżej stoją cierpienia mniejsze, a z niemi i płytsze uczucia, pospolitsze istnienie. Im niżej, tem więcej śmiechu; im wyżej— tem więcej powagi, tego uczucia nierozłącznego ze wszystkiem co wielkie, a z powagą więcej prawdziwego piękna, piękna cnoty, miłości i cierpienia, którego urok jest niewysłowiony. Cierpienie, to coś tak wielkiego, że dodaje piękności. Serce i twarz pięknieją zarówno w cierpieniu.

V.

Zatrzymajmy się chwilę na tym świetlanym szczycie. Więc cierpienie dotyka nietylko tych, którzy zapominają o Bogu na tym biednym świecie, ani tych, którzy ulegają zepsuciu. Sprawiedliwi cierpią także; dobrzy są doświadczani także. Cier-

pią, aby byli jeszcze sprawiedliwszymi; znoszą krzyże, aby się udoskonalić. Otośmy u jądra kwestji. Rozejrzmy się bez pośpiechu, a zrozumiemy życie w smutnem, lecz żywem świetle cierpienia.

Kiedyż zrozumiemy, że człowiek winien być swoim własnym rzeźbiarzem: że Bóg zesłał go na ziemię, w stanie zarodkowym dlatego właśnie, ażeby stworzył sam siebie; ażeby z tej bryły zimnej, nieforemnej, bez charakteru, bez piękna, wykuł swą własną pracą piękny i harmonijny posąg? A nadewszystko, kiedy pojmiemy, że jako pomocnika w tej pracy dał mu Bóg cierpienie? Nie byłeś ani pięknym, ani wielkim, ani świętym, o człowiecze, aleś nim został. Dlaczego? Boś cierpiał.

Spójrzcie jakimi ludzie przychodzą na świat. Wszyscy w stanie zarodkowym, niektórzy w potwornym. U najlepszych pierwsze soki są cierpkie i surowe, grunt jałowy i oschły. Wiek dziecinny nie zna litości, wyrzekł wielki jeden obserwator. Młodzieniec ma mało serca. Jest w nim krew uniesienia, ogień, który bierze za serce, ale to zupełnie co innego;— bezpośrednio po największem uniesieniu, które bierzemy za miłość, a nawet w samym jego ciągu, z jednego jakiegoś ruchu, z jednego rozkazującego, pogardliwego lub egoistycznego słowa poznajemy, że serce tam jeszcze się nie zbudziło. Albo posłuchajmy przemawiającego człowieka, jeszcze młodego. O młodzieńcze! masz wdzięk, rozum, wyobraźnię, zapał, naukę. A jednak nie mówisz dobrze. Cóż ci brakuje?—Nie cierpiałeś.

Potrzeba wiele czasu, wiele prób i cierpień znoszonych z wielką uległością, aby dać sercu urok, duszy wzniosłość i moralne piękno. Niektóre, i to najpiękniejsze struny, nie wydają wcale dźwięku w człowieku, dopóki nie zostaną zwilżone łzami. Dlatego to cierpienia spływają na nas tak obficie. Nadchodząca fala nie czeka na ustąpienie poprzedniej. Boleści ducha i serca, najróżnorodniejsze cierpienia i choroby, nieustająca gorycz napływają ciągle i zapełniają życie. Dziwi nas to i pytamy: dlaczego?

Tak, dlaczego szczęście zawsze uchodzi, a cierpienie nie ma nigdy końca?

Oto dlatego, ażeby nas oszlifować, zetrzeć z nas wszystkie chropowatości, wycyzelować nas powolnem a delikatnem dotknięciem rylca.

Jednym przypadają w udziale gromy boleści, na podobieństwo tych potężnych ciosów młota, jakimi Michał-Anioł obrabiał marmur, z którego miał wyjść posąg Mojżesza. Innym ustawiczne, drobiazgowe, delikatne działanie koła szlifierskiego, które nadaje dyamentom piękno, blask i ogień. Ale w jednych, i w drugich równie mądre działanie cierpienia, które dopomaga im doskonalić się i upiększać.

A ma tam ono tyle do zrobienia! Niech was to więc nie dziwi, że musi powracać często. Wraca też nieustannie w tesame miejsca, szczególnie w miejsca słabe. Jeśli jesteś łagodnym: ono musi ci dać siłę. Silny jesteś: czyż nie chcesz z jego pomocą stać się łagodnym? Oto osoba o sercu kochającem: cierpienie ją nauczy, jak się w ciągłej ofierze i zaparciu siebie zdobywa miłość, ani zbyt miękką, ani zanadto ziemską, ale wzniosłą, szlachetną, czynną, skuteczną i wytrwałą. Inna znowu ma charakter wielki i stały, ale egoizm jej nie zna miary: jakże nie ma tu pośpieszyć cierpienie? Trzeba, aby łzy zrosiły tę słabnącą tkliwość i zanikającą miłość. O wy, dusze dumne i egoistyczne, które jesteście tak pełne swojego „ja," zaczekajcie na cierpienie; ono zmusi i nauczy was kochać. A wy, serca kochające, oczekujcie go również, ale i obawiajcie się. Dla was będzie ono tak dojmującem! Nie da wam rozpływać się w miękkich czułostkowościach. Tkliwość wasza będzie musiaprzemienić się w szlachetność i cnotę.

Nie dosyć rozumiemy głębokie działanie boleści. Inaczej, uwielbialibyśmy niewidzialną i kochającą rękę, która kieruje rylcem. Ilekroć wejrzymy, nie łudząc się, w siebie, rozpoznajemy z podziwem, jak trafnie wymierza cierpienie swe ciosy.

A nietylko dotyka ono duszy tam, gdzie są braki, cienie, wady, aby zastąpić je brakującymi przymiotami; często skierowuje swój rylec do najpiękniejszych stron naszych, do cnót, najciężej przez nas nabytych. Dlaczego? Ażeby zapewnić im przez próbę wzrost, zetrzeć rdzę wszelką. Jesteś dobrym, cierpliwym, i dlatego właśnie spadną na ciebie różnego rodzaju przykrości. Masz serce kochające: będziesz zmuszony żyć z samolubami. Twoja największa cnota będzie nieuznaną; najlepsze uczucie nie znajdzie do kogoby się zwrócić. Byłeś stworzony do cichego, rodzinnego życia, a będziesz może żył samotny, lub stracisz wcześnie towarzyszkę swoją. Dusza twoja jest zdolna do wszystkich uczuć ojcowstwa, a nie będziesz miał nigdy dzieci. Jeśli masz w duszy drażliwsze miejsce, cierpienie skieruje ku niemu swe ostrze; znajdzie je, choćbyś je przed wszystkimi utaił. A może go i sam nie znałeś, ale ono ci je pokaże. Bo cierpienie — to narzędzie tylko, a kieruje niem ktoś, kto wszystko widzi.

Chcę wam dać jeszcze inne przykłady. Czy zauważyliście, jak umiejętnie cierpienie przystosowuje się do dusz? Razem z niemi podnosi się i zniża; stosownie do ich potrzeb czyni się delikatnem i grubem. Jeśli nie jesteś zdolny do odczucia subtelnych udręczeń duszy, Bóg ześle ci twarde wysiłki fizyczne. Nie umiałbyś odczuć szlachetnych trosk honoru, Bóg ci ześle pospolite troski majątkowe. Nie odczułbyś świętych cierpień serca, Bóg da tobie oschłe niepokoje umysłu. Nie traćcie szlachetności,

bo skoro cierpienia wyższego rzędu nie będą na was działały, duszom waszym będą dane cierpienia poziome.

A przeciwnie, patrzcie, jak cierpienie wznosi się i niejako uduchawnia, w miarę jak dusze oswobadzają się z materji. Któż pojmie i wypowie wzniosłe, nieznane tłumowi cierpienia, które są udziałem geniuszów, poetów, umysłów wyjątkowych? A jak odmalować niewidzialne a wzniosłe męczeństwo, zsyłane przez Boga sercom macierzyńskim, zachwyconym sercom dziewic i Świętych?

Życie jest tyglem, gdzie się dusze kształtują dla Nieba, a w tym tyglu każda ma ogień, jakiego jej potrzeba. Wy, którzy rozumiecie to i pożądacie wzniosłości i świętości, pozwólcie działać cierpieniu. Ten, który niem kieruje, wie lepiej od was, gdzie należy zwrócić ostrze rylca.

To prowadzi mnie do rozważenia cierpienia z jeszcze bardziej zajmującego punktu widzenia, tu bowiem widnokrąg się rozszerza w miarę, jak się wznosimy wyżej.

VI.

A oto coś, co zwracało często moją uwagę i zrazu mię dziwiło, a następnie przejęło zachwytem.

Każde życie rozpoczyna się szczęściem, a kończy smutkiem. Szczęście rozbłyska z jutrzenką życia i znika z nią razem; potem nadchodzi smutek i nie ma już końca. Dlaczego? Wszak zdawałoby się, że powinnoby się dziać, wręcz przeciwnie; z początku kiedym jeszcze nic zaczął działać, kiedy nie uczyniłem nic i na nic nie zasłużyłem, otrzymuję wszystkie dary i wszystkie radości? przy końcu, kiedym już pracował, modlił się, kochał, kiedym uległ woli Bożej—wszystkie smutki i opuszczenia?

Dlaczegóż Bóg, umieszcza na początku
To wszystko,co jest w życiu najlepszego?

Powiedz mi to, o mój Boże, aby smutek nie zasępił moich ostatnich dni, a serce nie pękło z bólu w starości mrocznej i ponurej, bez pociechy i nadziei, bo bez światła!

Widzieliśmy że jesteśmy tutaj na to, ażeby tworzyć siebie samych, aby upiększać własną duszę. Otóż to jej piękno nie dosięga nigdy na ziemi swego kresu, musi ciągle wzrastać. „Bądźcie doskonałymi, jako Ojciec mój Niebieski doskonałym jest.“ Trzeba wciąż postępować ze światła w światło, z cnoty w cnotę, nigdy się nie zatrzymując. A w szczęściu zatrzymujemy się, zapóźniamy i zapominamy. Dlatego to zaczynamy

od szczęścia, ale nie możemy trwać w niem. Trzeba żeby. Bóg nas z niego wygnał. *Egredere, egredere!* –Naprzód, naprzód! rzućcie to, co was powstrzymuje; nie ustawajcie w drodze! Bóg tak dalece nakazał nam postępować ciągle naprzód, wedle słów Bossuet'a, że nawet nie pozwolił się nam zatrzymać w nieskończoności.

I dlatego skoro chcemy zatrzymać się tu na ziemi, skoro zapominamy się w szczęściu, płomień boleści wybucha na Boże skinienie pod naszemi stopami i zmusza nas do odejścia.

Takiemi są dzieje ludzkości, takiemi każdej pojedyńczej duszy.

Spójrzcie oto na ten świat: rozpoczął się on rajem ziemskim Ale ileż to trwało? Człowiek nie wytrzymał długo takiego szczęścia. Potrzeba mu było zostać wygnanym z raju, ażeby we łzach odnaleźć wygasłą miłość i stracone piękno.

Spójrzcie na chrześcijaństwo: ono się także rozpoczęło pewnego rodzaju Edenem. Ale oto co wyrzekł wkrótce jego Boski założyciel? *„Pożyteczno wam, abym ja odszedł.“* A potem te słowa pełne znaczenia: *„Bo jeśli nie odejdę, pocieszyciel nie przyjdzie do was“*. Znaczy to, że jeśli szczęście będzie trwało ciągle, szczęście słodkiego obcowania Mistrza z uczniami, Duch nie znijdzie pomiędzy nich; Duch, czyli wielkość, cnota, święty ogień żarliwości, ofiary, poświęcenia. *Spiritus non veniet.*

Tosamo dzieje się z każdem życiem. Dziecko przychodzi na świat tak, jakby w raju; pieszczą je, miłują, otaczają troskliwością. Ale nie trwa to długo –nie może trwać. Musi skosztować goryczy, napić się wody z potoku, bo inaczej nie osiągnęłoby dojrzałości. Strzeż się więc, matko, abyś pieszcząc go, nie rozpieściła.

Przychodzi małżeństwo, nowe życie. Ono ma także swoją godzinę szczęścia i zachwytu. Ale gdyby ta godzina trwała całe życie, cóżby się stało z duszą? Ludzie zapominaliby o rodzicach, przyjaciołach, o swem powołaniu, o biednych; zatrzymywaliby się wśród drogi. A tymczasem trzeba iść naprzód bezustanku. *Egredere, egredere.* Potrzeba się rozstać nie z miłością, ale ze szczęściem, jakie ona daje; poznać jego ograniczoność i nieudolność. Trzeba pogłębić swoje serce bardziej jeszcze boleścią, niż radością. *Bo jeśli ja nie odejdę, pocieszyciel nie przyjdzie do was.* Trzeba dążyć do cnót miłości, piękniejszych stokroć i lepszych nad jej radości, starać się posiąść ducha, ogień, cnotę dla cnoty samej, ofiarność i poświęcenie.

I życie zakonne tensam przedstawia widok. Rozpoczyna się słodkim nowicjatem. Któż wyrazi szczęście duszy Bogu poślubionej! Ale i ono przemija. Oschłości, opuszczenia,

ciemności nie omieszkają się zjawić. Światło, pociechy duszne uchodzą jedne po drugich. Dusza czuje się osamotnioną, czerpie siły jedynie w wierze i miłości. Pod jej stopami rozżarza się coraz gorętszy płomień boleści, nie dający jej zatrzymywać się w drodze.

Takiemi są dzieje wszystkich dusz i każdego życia. Na początku chwila szczęścia, przelotnego upojenia, niby kropla słodyczy na brzegu kielicha. A potem za każdym krokiem zmniejsza się źródło radości, a przybiera potok cierpień. Z każdym dniem ciało staje się ociężalsze, brzemię cięższem, serce bardziej zbolałem. Chcielibyśmy powstrzymać przynajmniej wzbieranie bólów, skoro nie zdołaliśmy powstrzymać uchodzącego szczęścia. Niepodobna; zaledwie zostało rozwianem jedno marzenie, rozwiewa się drugie. Zaledwie zasypaliśmy jeden grób, a już musimy kopać drugi. Daremnie wołamy z poetą:

Uderzaj dalej, boleści, jeżeli znajdziesz miejsce!

Miejsca tego nie brak nigdy; cierpienie zawsze je znajdzie. Znękawszy ciało, nęka umysł; znękawszy umysł, rani serce. Zraniwszy serce, ponawia ciosy. Gąbka spoczywająca na dnie morskiem raz nasycona wodą, staje się niezdatną do jej przyjmowania dalej. Nie tak serce, ono ma nieskończoną zdolność cierpienia. Tak dochodzi człowiek do kresu. Wszystkie jego marzenia rozwiane; cały jego dorobek rozproszony; dzieła w ruinie; ukochani w grobie. Cóż mu pozostaje? Mało braknie, ażeby nie oddał się ostatecznej rozpaczy. O zaślepienie ludzkie! Pytasz człowiecze, co ci pozostaje? Oto ty sam, twoje serce i dusza. Ogień boleści trawił wszystko, oprócz duszy twojej. Kiedy przygasł płomień stosu, Joanny d'Arc, ze szlachetnej ofiary nie pozostało nic, prócz serca. Życie to także ogień. U jego kresu pozostaje tylko serce, oczyszczone, uszlachetnione, przemienione przez cierpienie, godne nieba, dla którego było stworzone i dokąd może teraz powrócić.

Do tego dążyło cierpienie. Widzicie więc, że cierpienie w działaniu swojem zastępuje miłość. Jej zadaniem było to, co spełniło cierpienie. Miłość oświeca, oczyszcza, uszlachetnia, miłość podnosi i uświęca; a jeśli obecnie tego wszystkiego dokonywa cierpienie, to dlatego tylko, że miłość nie jest dosyć silną, ażeby sama jedna podołała zadaniu.

Ale w parze z cierpieniem, jakże wielką jest jej potęga! A jakże słabem jest bez miłości cierpienie. Miłość to jego kierownik i regulator, ona jedna zna całą jego siłę i zażyć jej potrafi. Mała miłość z wielkiem cierpieniem to już wiele mogą dokazać cudów. A jeśli jeszcze miłość dorównywa

w sile cierpieniu, jakże wtenczas szybko człowiek wznosi się na wyżyny! Dojrzewa w jednej godzinie, dusza jego wyrywa się ku niebiosom, a Bóg wysyła swoich aniołów, ażeby Mu ją przywiedli.

VII.

A teraz sięgnijmy wyżej, posłuchajmy ostatniego słowa religii o bolesnej i nieprzeniknionej tajemnicy cierpienia. Kto stworzył cierpienie? Kto mu nadał moc oświecania, oczyszczania, uszlachetniania i uświęcania dusz? Kto zsyła na dusze cierpienie, jak na pola deszcz i słońce? Kto posługuje się niem, jak genialny rzeźbiarz młotem, by nadać duszom kształt jak najpiękniejszy? Kto? Bóg! I dlaczegóż to Bóg chce je mieć pięknemi, pięknemi miłością i cierpieniem, jeśli nie dlatego, że je kocha? O dusze, słuchajcie, to ostatnie słowo, słowo najszczytniejsze i jedyne, które może was pocieszyć. Bo są krzyże tak ciężkie, że wszystko, co było powiedziano wyżej, nie wystarcza, by je módz podźwignąć. Nieskończone boleści potrzebują nieskończonych pociech.

Wiedzcież, że Bóg nietylko jest dobrym, mądrym, wielkim i miłosiernym, ale i że kocha nas; że miłość Jego dla nas jest jak On sam nieskończoną, a cechami jej są: namiętność i zazdrość; i to tak dalece, że przy niej wszystkie uczucia ziemskie są tylko bladymi cieniami, martwymi liśćmi spadłymi z drzew. I jakżeby mogło być inaczej? Czyż serce Boga jest sercem martwem, nie umiejącem kochać? Czyż jest ono jednem z tych serc połowicznych, pozbawionych ognia miłości, których słabe iskierki powracają do nich, niezdolne dosięgnąć i rozżarzyć serc innych? Lub też byłożby ono z liczby tych serc bezsilnych, które wprawdzie kochają i nawet gorąco, ale nie mają mocy uczuć swych w czyn wprowadzić? Kochając, czy jęczy ono i ubolewa, że nie umie ich wyrazić nawet w słowach? Bóg jest ojcem; Bóg jest matką. Otóż przedstawcie sobie ojca wszechmogącego, matkę, którejby potęga dorównywała jej miłości. Czy dobrze zastanowiliście się nad słowami: miłość nieskończona? Miłość skończona już jest rzeczą szczytną; „wszystko może," powiada autor *Naśladowania* [1]); jakaż więc być musi miłość nieskończona! Zważcie dobrze to wyrażenie: nieskończona; to znaczy: niewyczerpana, niezwyciężona; nieskończona—to niezmordowana w dawaniu, nienasycona w otrzymywaniu. „Bę-

[1]) *O naśladowaniu.* ks. III, rozdz. V.

dziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, ze wszystkich sił twoich, ze wszystkiej duszy twojej." Oto czego wymaga On od nas, a wymaga, ponieważ sam daje. „Wiedzcie że wasz Bóg jest Bogiem zazdrosnym." Oto co woła do nas z Synai i Kalwaryi, w dwóch tych momentach, w których się najbardziej zbliżył do ludzkości; oto co napisał gromem i błyskawicą, łzami i krwią, ażeby dusze musiały to wiedzieć i nie mogły o tem zapomnieć.

Z tego stanowiska spójrzcie na drogi Boskie i usiłujcie je pojąć. Bóg kocha dusze; jest zazdrosnym o ich piękno. Dlatego tylko umieścił je na chwilę w doczesności, ażeby mogły posiąść tę wielkość, to wykończenie, jakie daje tworom jedna wolna wola jedyna. Jakże troskliwie i z jaką miłością czuwa nad ich życiem i krzepi je w tym krótkim ale ciężkim życiowym trudzie! Jakże troskliwie wymierza im radość i boleść, miłość i cierpienie i jak umiejętnie je ustosunkowuje, by je uczynić jak najpiękniejszemi: na podobieństwo wielkiego artysty, który łączy mistrzowsko światła i cienie dla jaknajwiększej doskonałości swego obrazu! „Jeżeli Bóg chce całej twej duszy, pisał O. Lacordaire do młodzieńca nie mogącego się dźwignąć po doznanym gorzkim zawodzie,—cóż w tem dziwnego, że odbiera jej wszystko to, coby mogło stać się w tem przeszkodą? Pismo Św. uczy nas, że jest On Bogiem zazdrosnym. Nie dziw się więc, że ci odjął szczęście tej słodkiej i dozwolonej miłości, niewysłowioną pociechę czystego uczucia, którego wolno człowiekowi skosztować na ziemi; On chce, ażebyś umiłował Jego wyłącznie." I dodaje te piękne słowa: „Kiedy Bóg spuszcza na nas swą rózgę, czyni to dlatego, ażebyśmy nie szukali innej głowy nad zakrwawioną głowę naszego Zbawcy; innych oczu, innych ust, niż Jego oczy i usta; innych ramion do oparcia się, niż Jego ubiczowane ramiona, innych rąk i nóg do całowania, niż Jego ręce i nogi przebite gwoździami dla naszej miłości; innych ran do pielęgnowania, tylko Jego Boskie, a wiecznie otwarte rany. Czyż miłość nie jest miłością, drogi przyjacielu! Uskarżasz się, że nie jesteś kochanym; a oto Bóg dał twemu sercu miłość czystą, niezmierzoną i niezwyciężoną. Chciałbyś pokalać ją doczesnem uczuciem, ale On tego nie chce i dlatego cię dotyka boleśnie. Odkrywa przed tobą znikomość świata. Krzyżuje ciebie, ażebyś ukochał i naśladował krzyż Chrystusowy. Celem Jego jest posiąść miłość wszystkich ludzi, i ku temu też zdążają wszystkie drogi Jego Opatrzności."

Tak, wszystko zmierza do tego celu, zarówno rozwiane marzenia, jak i druzgoczące gromy. Wszystkiem kieruje zazdrosna miłość, która chce być koniecznie odwzajemnioną. Jedynem rozwiązaniem zagadki cierpienia i śmierci—jest bezgraniczna miłość, która pracuje nad pięknością dusz, albo zry-

wa więzy, stojące na przeszkodzie ich z nią połączeniu. I śmierci nie możnaby sobie wyjaśnić inaczej.

Niekiedy miłość ta wyczekuje na dusze długo i cierpliwie, – pozwala im dojrzeć pod działaniem boleści. Zrywa je dopiero wówczas, kiedy utracą cały kwas i cierpkość. Jak piękną bywa śmierć niektórych starców! Ale też jak dobrym jest Bóg, który na nich tak długo oczekiwał!

Niekiedy znowu Pan zabiera ze świata dusze prawe, zaraz po zjawieniu się ich na nim. Żałujemy ich – oskarżamy Boga o okrucieństwo, a tymczasem tu właśnie miłość Jego dla nas ujawniła się w całej tkliwości i delikatności. Pismo święte uczy nas, że w tych przedwczesnych zgonach, które starożytni wiedzeni instynktem otaczali czcią i zazdrością, mamy poprzez łzy, które nam wyciskają widzieć i podziwiać albo miłość nieskończoną, która zerwała owoc przedwcześnie dojrzały: „*Stawszy się za krótki czas doskonałym, przeżył czasów wiele*;“ albo miłość opatrzną, która chciała oszczędzić wątłej roślince zbyt gwałtownej burzy: „*Pochwycon jest, aby złość nie odmieniła umysłu jego*“. Mówimy: Ależ ona była tak czystą!—właśnie też dlatego zniewoliła sobie serce Boga. Aleśmy ją tak kochali! Prawda, ale ktoś kochał ją, jak wy i przed wami; ktoś był więcej niż wy jej ojcem, jej matką, jej małżonkiem, ktoś kto uczynił dla niej wszystko, cobyście uczynili sami, gdybyście obok miłości posiadali Bożą wszechwiedzę i Bożą wszechmoc. „My nieszczęśliwi, mówi wyżej wspomniany autor, zapominamy zawsze, że jest ktoś mający większe od nas prawo do przedmiotów naszego ukochania, ktoś, kto się nazywa w Piśmie św.„Bogiem zazdrosnym“. Zapominamy w naszych umiłowaniach o Tym, który kocha więcej, niż wszystkie stworzenia pospołu: który chociaż nieśmiertelny z natury swojej, chciał umrzeć za nie, ażeby im odjąć wszelkie prawo skargi na Jego wyroki. Podnieście oczy do przybytków bezgranicznej miłości, tam zrozumiecie tajemnicę waszych łez, widząc na łonie Bożem dusze ukochanych, których opłakujecie. Tam pojmiecie przyczyny tego porządku rzeczy, który wam się zdaje okrutnym; ujrzycie, że wolna od zmaz piękność chrześcijańskiej duszy pociąga ją nieprzeparcie ku Temu, z którym zjednoczył ją chrzest. A skoro potem zwrócicie oczy na ten padoł łez, który wam z każdym dniem staje się bardziej obcym, przekonacie się może, iż więcej waszym ukochanym oszczędzono cierpień, niźli ujęto radości, i będziecie składali dzięki dziś jeszcze niezrozumiałej dla was prawicy, która, ile razy zwróci się ku sługom i wybranym swoim, zawsze im błogosławi. Jest to chwałą religii, że te pojęcia tak szczytne, a tak słodkie, uczyniła zrozumiałemi i przystępnemi, nietylko dla

umysłów genialnych, ale i dla serc prostaczków. Co może wobec tego ludzka mądrość, choćby najwyższa. Jak wytłómaczy boleść, cierpienie najpiękniejszych dusz, najzacniejszych rodzin, ludzi najgodniejszych, zdawałoby się, szczęścia, bo całe życie myśleli o szczęściu drugich? Niech nam wytłómaczy ze swego stanowiska przyczyny tego niepojętego zjawiska, które może odjąć odwagę najcnotliwszym. A nadewszystko, niech wykazawszy nam źródło łez naszych, otrze je, co właśnie czyni religja, i co nam jest najpotrzebniejszem. A jedna religja to czyni i jak ujrzymy niebawem, czyni w sposób Boski.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

O cudownych skutkach cierpienia *(ciąg dalszy)*. **Jak religia, tłómacząc nam cierpienie, dopomaga zarazem je znosić.**

Może powiecie na to: „Jeżeli tak, jakże można w cierpieniu płakać? Jeśli boleść oświeca, oczyszcza, uszlachetnia, przemienia, jeśli jest wielką pracownicą życia, której zadaniem jest urabianie serc ludzkich, hartowanie ich w swym ogniu i unoszenie na swych skrzydłach ku niebu, to płacz w cierpieniu jest nierozumem i słabością, buntem i grzechem".

Nie, grzechem jest tylko szemranie.

Przyznaję, o Panie, że człowiek jest w szale,
Jeżeli śmie narzekać;
To też nie narzekam; nie przeklinam wcale:
Dozwól mi tylko płakać.

Religja nie wzbrania łez — zezwala na nie, omal że nie nakazuje, w każdym razie uświęca je, a uświęcając, osładza. Uczy nas w żalu zwracać wzrok ku Niebiosom, nie zapominając o ziemi; koi nasze cierpienia jeszcze umiejętniej, niż je tłómaczy.

W pokoju więc i pełni nadziei rozważmy ten drugi stopień Boskiej nauki cierpienia. Któż bo nie potrzebuje tego? Kto tak mało jeszcze zna życie, że nie kryje żadnej rany w sercu? Kto z nas w tych smutnych czasach nie nosi żałoby po kimś ukochanym? Niechże religia nauczy nas płakać.

I.

Skąd też ludzie mogli wnieść, że religja wzbrania łez? Dusza po wsze czasy najreligijniejsza, idealny pierwowzór życia prawdziwie niebiańskiego, jak to muszą przyznać ci nawet, którzy nie uznają jego boskości,— Jezus płakał. Upadał pod ciosami cierpienia. Oblany potem i łzami, powiedział w ogrodzie Oliwnym: „Smutna jest dusza moja aż do śmierci", i anioł przyszedł Mu pomódz spełnić kielich goryczy. Na krzyżu szukał pociechy, potrzebował jej, chociaż niestety nie znalazł, ktoby Go pocieszył. Łzy Jego nad grobem Łazarza są jeszcze piękniejsze, bo pochodzą z serca. Ale czemżeby były te łzy, gdyby Jezus nie miał władzy przywrócenia życia przyjacielowi? Ta święta boleść, to boskie wzruszenie, będą wiekuistą pociechą wszystkich cierpiących. Ludzkość spamiętała te łzy drogocenne, otoczyła je czcią i uwielbieniem, bo one ją uczą, że płacz w nieszczęściu nie obraża Boga, który sam cierpiał i płakał.

Prawda, że znaleźli się fałszywi mistycy, którzy posunęli się aż do zabraniania łez w boleści. Ale Kościół potępił ich naukę, a ludzkość ze wstrętem odwróciła się od nich, kierując wzrok pełen miłości na prawdziwych bohaterów, którzy są jej wzorami, którzy nie spotwarzyli natury ludzkiej pod pozorem uczczenia Boga.

Naprzód u stóp krzyża Marja, Matka boleści, najczystsza, najświętsza, najwznioślejsza pomiędzy istotami stworzonemi, tu słaba, leżąca w omdleniu na ziemi według jednych, stojąca według drugich, ale wedle zgodnego wszystkich świadectwa zalana łzami i upadająca pod brzemieniem boleści.

Stabat mater *dolorosa*
Juxta crucem *lacrymosa*.

Po Mistrzu, po Jego i naszej Matce, idą wszyscy Święci. Czy przypatrzyliście się kiedy ich autentycznym wizerunkom? Twarze ich mają wyraz rzewny, w oczach widnieją łzy; a czytając ich życie, przekonywamy się, że nigdy rodzice, dzieci, małżonkowie, nie zachowywali się w cierpieniu bardziej po ludzku, niż oni. Kto naprzykład nie zna łez świętego Augustyna przy łożu śmierci świętej Moniki? jęków i wymownych skarg świętego Bernarda po śmierci brata? rozdzierającego żalu świętej Elżbiety Węgierskiej, kiedy jej został wydartym ukochany małżonek? Czytajcie autorów współczesnych świę-

temu Ludwikowi, a zobaczycie z jakiemi ostrożnościami oznajmiano mu śmierć matki, i jak pomimo najdoskonalszej rezygnacji tego wielkiego świętego, otaczający lękali się o jego życie, wobec jego żalu. Przypomnijcie sobie również list i łzy świętego Franciszka Salezego po śmierci matki, i świętą Joannę Chantal, ogrom boleści której gorszył obecnych. Fałszywi mistycy, o których mówię, nietylko że potępili uczuciowość i tkliwość, ale nadto, potrzebując przykładów, zadali kłam historji. Potworzyli fałszywych świętych, okropnych, wynaturzonych; świętych kamiennych, martwych, bez serca i uczucia. Zdawało im się, że dodają im tem wielkości. Postąpili jak ci szaleńcy, którzy pod pozorem wywyższenia wiary, zaprzeczają istnienia rozumu i depczą umysł ludzki. Czyż nie widzieli oni, że tem, co stanowi główny czar dusz pobożnych, co najbardziej pociąga ludzkość do Świętych, jest właśnie to połączenie Boskiego z ludzkiem, siły ze słabością, tkliwości z odwagą? I ich cierpienia objawiają się płaczem, jękami, omdleniem fizycznem; ale są to jęki bez szemrania, płacz bez buntu, przygnębienie natury ludzkiej, połączone z najdoskonalszem poddaniem się woli Bożej.

Powiem więcej: to boskie wzmaga w nich to ludzkie. Przynajmniej nie spotkałem nigdy w historji i nie spotykam boleści tak silnych, jak te, jakie znajduję w żywotach Świętych; i jeśli podziwiam ich siłę, to dlatego, że wprzód podziwiałem ich tkliwość.

Nie potępia więc łez religja i nigdy ich nie potępiała. Potępiłaby raczej obojętność, a przynajmniej dziwiłoby ją, gdyby przecięte życie nie wywołało łzy żadnej. Widziałaby w tem siłę, która nie z niej idzie; nie poznałaby serca, które usiłowała kształcić; miłości, której piękność odkryła światu. Odwróciłaby się zaniepokojona, nie widząc w rysach chrześcijanina wyrazu oblicza Chrystusowego nad grobem Łazarza, nie odnajdując na twarzy chrześcijanki śladu łez Marji, stojącej pod krzyżem. „Błogosławieni, którzy płaczą“, mówi natura, ale mówi tak i religja.

Płaczcie więc, dajcie folgę łzom waszym. Oto życie wasze złamane. Oto odjętą wam jest lepsza połowa waszej duszy. Oto owoce waszej miłości gasną wam w objęciu, jak kwiaty zwarzone przez pierwsze przymrozki. Płaczcie, nie szukajcie pocieszenia. *Et noluit consolari quia non sunt.* Człowiek pocieszyć was nie może, a Bóg nie chce. Bo nie chce On takich dusz, które się prędko pocieszają, które po stracie ukochanej osoby odwracają się i usiłują zapomnieć. Owszem, płaczcie, nie zapominajcie nigdy! „Łzy—powiada święty Augustyn—świadczą o cierpieniu, świadczą o miłości. To krew

serca, spływająca potokami“ [1]). W wierze więc, nadziei i miłości ofiarujcie krew tę u stóp Krzyża.

II.

Dusza oświecona religją płacze więc w smutku, ale płacząc korzy się przed swym Stworzycielem. Mówi do Niego: „Tak chciałeś, Panie, tak więc jest dobrze. Rozum mój nie może tego pojąć; cała natura się wzdryga. Jeśli to być może, niech ten kielich będzie oddalony odemnie. Wszakże, o Panie, bądź wola Twoja, a nie moja“.

Prawda, że początkowo tylko ze drżeniem wymawiamy owo: „Bądź wola Twoja“. Ale im dłużej je powtarzamy, tem głębiej wnika w nasze serce balsam pociechy. Dusza umacnia się, podnosi stopniowo; mówi sobie: Bóg jest dobrym, wszystko robi przez dobroć. Potem zaczyna mówić: Bóg jest miłością; wszystko czyni przez miłość. A jeśli zbolałemu sercu trudno jeszcze zdobyć się na wyznanie tak niezachwianej wiary, mówi przynajmniej jak pewna złamana smutkiem wdowa: „Tak, mój Boże i Panie! mam nadzieję i jestem przekonaną, że wszystko co czynisz, jest dobre“. Pierwszą więc pociechą, jaką religja daje duszy, jest zrozumienie nieskończonej dobroci bożej śród mgły otaczającej nas, i pod uderzającymi w nas gromami nieszczęścia pewność Jego miłości.

Kiedy owa młoda wdowa, do której powrócimy jeszsze upadała pod ciężarem swego krzyża, zacny i pobożny ksiądz Gerbet, jej duchowny przewodnik, ułożył dla jej pokrzepienia wyznanie wiary, które nazwał *Credo cierpienia*. Ułóżcie każdy swoje *Credo cierpienia*, zastosowane do krzyża, jaki dźwigacie. *Credo* wiary jest tylko jedno; cierpienie mnóstwo ich mieć może. Ale jakkolwiek je ułożycie, nie wykreślajcie z niego myśli następnych:

„Wierzę, mój Boże, że jesteś dobrym; wierzę z całych sił duszy, całą mocą rozumu mojego, żeś jest samą dobrocią!“

„Wierzę, mój Boże, że jesteś nietylko dobrym, czułym, łaskawym, przebaczającym, miłosiernym; wierzę, że jesteś samą miłością; wierzę, że wszystkie Twe myśli i czyny pochodzą z Twego serca, czerpiąc w Twojej miłości swój początek i dokończenie!

---

[1]) Testantur lacrymae dolorem; testantur amorem. Erumpunt quasi rivuli sanguinis cordis. *(S. August. Homil. XXVII).*

„O Boże mój! kocham ojca, matkę, braci, siostry, męża, dzieci moje; wszystkich ich kocham serdecznie, głęboko; ale wierzę, o Panie, że ty kochasz mię stokroć więcej. Wierzę w to z całego serca!

„O Boże mój! ja nie chciałabym skrzywdzić mojego dziecięcia. Jakże mogłabym myśleć, że Ty chciałbyś mnie skrzywdzić. Wprawdzie je ukarałam, niekiedy nawet uderzyłam. Odbierałam mu przedmioty, w których sobie podobało, zabraniałam przyjemność mu sprawiających rozrywek, nie zważając na jego płacz. Ale czyż nie czyniłam tego dla dobra jego? Tobą się świadczę, o Boże, że nigdy postępowaniem mojem nie kierowała chęć zaszkodzenia mu, albo dowiedzenia mu mej nad nim władzy; wzdrygam się na tę myśl samą; zawsze pragnęłam tylko jego dobra. Dla tego celu gotowa jestem cierpieć i umierać. A przecież moje serce, Panie, to tylko słaby cień Twojego! Całuję więc mój krzyż, mówiąc sobie: Zesłała mi go dobroć i miłość Boża. Nie widzę tego dzisiaj; natura moja wzdryga się ze wstrętem przed cierpieniem; ale wierzę w to mocno. Zamykam oczy i złamana, zbolała tulę się do Jego ojcowskiego serca.

„Z niecierpliwością, lecz w pokoju czekam, o Panie, wielkiego dnia światła. W ów dzień mgła się rozwieje, dowiem się dlaczego zabrałeś mi ojca, matkę, dlaczego pozbawiłeś mię małżonka, dlaczego z gniazdka, które usłałam dla mych piskląt, zabrałeś mi jedno, dwoje, troje. Dowiem się, dlaczego trzeba było, ażebym była niezrozumianą, zdradzoną, spotwarzoną może. Dowiem się, dlaczego choroba przykuła mnie na długie lata do łoża. Wszystkiego się dowiem, o Panie!... Ale wszakże już wiem wszystko! To samo słowo, które oświeca wieczność światłości, oświeca i nasze ziemskie ciemności. Bóg jest dobrocią, Bóg jest miłością; wszystko, co czyni, czyni przez dobroć, przez miłosierdzie.

„Kiedyś, o Panie, połączysz wszystkich, których tu rozdzieliłeś. Otrzesz łzy, ukoisz boleści nasze. Czekam, wierzę i kocham“ [1]).

III.

Trzeba jednakże przyznać, że są nieszczęścia, które wprawiają w pomieszanie umysł i podkopują wiarę, w których też sama wiara zdaje się najbardziej niedopuszczać pocieszenia. Umie-

[1]) Patrz w *Récit d'une sœur*, *Credo cierpienia*, które ułożył ks. Gerbet. Wszystkie w niem słowa wyjęte są z Pisma Świętego.

ra nam ukochana istota, która przez całe życie nie zwróciła jednej myśli do Boga. Śmierć zabiera dziecko, młodzieńca, w chwili największego rozbujania jego namiętności. Całe życie nie zapomnę jęków jednej matki, na wieść o samobójstwie syna. Straszna boleść dla matki, jeszcze straszniejsza dla chrześcijanki. Ale i tam religja nie zawodzi cierpiących i rzuca promień nadziei w najgrubsze ciemności, nie dozwalając nam zwątpić zupełnie.

Kto może wypowiedzieć miłosierdzie Boga nad Jego ukochanem dziecięciem? Kto może wiedzieć, co zachodzi między Bogiem a duszą w cieniach ostatniej godziny, kiedy uszy człowieka są już zamknięte na wszelki głos ziemski? Kto powie, co się dzieje w chwili, kiedy dusza błąka się na ustach, jak lekkie tchnienie już nie z tej ziemi, ale jeszcze nie z Nieba, w chwili, kiedy Bóg się zbliża, ażeby duszę tę przyjąć? Czyż matka odtrąci dziecko, chociażby niewdzięczne? Czy nie spróbuje wszelkiemi sposobami zwrócić je ku sobie? Czyż cofnie się przed zrobieniem pierwszego kroku? Czy nie posunie się w tem aż do przesady? Czy nie wytrwa do końca, usiłując je uratować, nawet wbrew jego woli? A wszakże Bóg jest więcej, aniżeli matką.

Spójrzcie, co uczynił ażeby zatratę dusz uniemożliwić prawie. Niedosyć, że otoczył nas łaską, o której powiedziano, że nas uprzedza, towarzyszy nam, postępuje za nami, otacza nas i ogarnia; niedosyć, że ustanowił siedem sakramentów, siedem strumieni światła i siły dla całego naszego życia i każdego w niem okresu; nie wystarczało to widocznie dla uspokojenia Jego ojcowskiego serca, bo oto patrzcie i uwielbiajcie cudowny wynalazek Jego miłości.

Jesteś na bezludnej wyspie, sam jeden; nie jesteś ochrzczony. Niema tam kapłana, ani żadnego chrześcijanina, któryby ci udzielił sakramentu odrodzenia. Masz umrzeć. Byłżebyś zgubionym? Nie; czynisz z głębi serca akt pragnienia, akt miłości, i oto jesteś ochrzczony, odrodzony, zbawiony. Kto nas tego uczy? Kościół.

Jesteś chory; czujesz już nad sobą lodowaty powiew śmierci. Przypominasz sobie wszystkie swoje grzechy, słabości, występki, które sumienie wyrzuca ci teraz głośno. Kapłan, któryby wysłuchał twej spowiedzi, ofiarował ją Bogu i rozgrzeszył cię w Jego imieniu, nie przybywa. Cóż masz począć? Z głębi serca dobywasz westchnienie, łzę, akt żalu, jeden jedyny akt miłości i oto jesteś rozgrzeszony, oczyszczony—grzechy twoje są ci odpuszczone.

Jesteś w kościele, w czasie, kiedy ofiara Mszy świętej nie odprawia się, a żaden kapłan nie daje Komunji św. A jednak pragniesz i łakniesz twojego Boga. Mówisz: „Jako spragnio-

ny jeleń wzdycha do źródła wód żywych, tak dusza moja wzdycha do Ciebie, Panie!“ Czyż masz być pozbawiony szczęścia Komunji świętej? Nie; z głębi serca wysyłasz akt miłości, i oto jesteś z Nim zjednoczony. Naucza tego Kościół, i że ta Komunia pragnienia może być istotną, iż w skutkach dorównywa rzeczywistej Komunii, a nawet niekiedy ją przewyższa.

Widzimy więc, że Bóg udzielił ludzkiemu sercu moc sakramentalnej niejako. Może ono chrzcić, rozgrzeszać, jednoczyć się z Bogiem o własnej sile; sprawia więc skutki sakramentów i zastępuje je, kiedy nie możemy ich otrzymać. Samo w sobie jest całą religją. Cóż tedy utrzymujecie niekiedy, że my potępiamy wszystkich? Sami widzicie, że nie możemy nikogo potępić. Oto umiera człowiek: bluźnił przed chwilą. Nie przyjął księdza, odtrącił krucyfiks. Był to jego ostatni czyn, ostatnie słowo, poczem zapadł w te ostatnie przedśmiertne majaczenia i ciemności, w których my nie możemy już konającemu towarzyszyć. Pomoc religji stracona już dla jego duszy. Ale pozostało mu serce. A czegoż trzeba, aby uzyskać przebaczenie i zbawienie? Prostego aktu miłości, żalu, pragnienia, jednej myśli: „Boże, kocham Cię!“ Ludzie, nieświadomi prawdy, płaczą i rozpaczają dokoła tego łoża śmierci, a może tymczasem aniołowie z pieniem radości zabierają duszę do Nieba. Zbawił ją ósmy sakrament [1]).

Człowiek odbiera sobie życie: straszna to zbrodnia. Kościół odwraca się ze zgrozą od krwawych zwłok i ma słuszność. Ale czy naucza, że ta dusza jest bez ratunku zgubioną? Bynajmniej; któż bowiem może wiedzieć, co się działo w tej zbolałej duszy w ostatniej chwili? Kto wie, co ujrzała ona przy błysku wystrzału i jakie on jej przyniósł objawienie? Powiecie, że mało miała czasu. Cóż tu czas znaczy? Jednego wejrzenia, jednego słowa, jednego porywu uczuć dosyć, ażeby opuściła ten świat oczyszczona.

Posłuchajcie, co wam opowiem:

W jednym z klasztorów Nawiedzenia była za czasów matki Chantal pokorna i świętobliwa zakonnica, odznaczająca się niegdyś u dworu pięknością, a następnie w zakonnem życiu nieustannemi modłami i pokutą; nazywała się Marja-Dyoniza de Martignat. Miała ona raz następujące objawienie:

Książę Karol-Amadeusz Nemours, którego znała niegdyś na dworze sabaudzkim, padł trupem, przebity szpadą w pojedynku ze swoim szwagrem, księciem de Beaufort, co okryło

---

[1]) Wyrażenia powyższego nie należy brać w ścisłem znaczeniu. (*Przyp. tłóm.*).

żałobą całą Sabaudyę. Otóż tegosamego dnia, którego odbył się ten smutny pojedynek, blizko na tydzień przed tem, zanim wiadomość o tem przyszła do klasztoru, siostra Martignat padła we łzach do kolan przełożonej, mówiąc: „Wielebna Matko, przychodzę ci oznajmić, że książę Nemours pojedynkował się i został zabity na miejscu; ale nie lękaj się: w tej błyskawicznej chwili, kiedy przeszywała go szpada, zdążył wznieść duszę ku Bogu i przebłagać Jego sprawiedliwość. Jest teraz w czyścu, ale niestety jakże głęboko, jak głęboko! Któż go wyratuje?“

A kiedy przełożona wątpiła o zbawieniu tej duszy, siostra Martignat odrzekła: „Miał on wprawdzie tylko jedno mgnienie oka, ażeby współdziałać z łaską Boską, ale skorzystał z niego. Nie tyle też mię wzrusza stan niewymownych cierpień, w jakich ujrzałam tę duszę, ile mię przejmuje podziwem błogosławiona chwila łaski, która go zbawiła. Przedstawia się ona moim oczom jak upust nieskończonej Bożej dobroci, miłosierdzia i miłości. Schodził on ze świata w grzechu śmiertelnym, zasługującym na piekło. Drogocenna chwila łaski została mu udzieloną nie z powodu jego własnego odwołania się do Boga, ale jako wynik Świętych obcowania, na skutek modłów za niego zanoszonych. Bóg wszechmocny dał się łaskawie przebłagać jakiejś pobożnej duszy, wysłuchał jej modlitwę i zawiesił zwykłe prawo swej świętej sprawiedliwości“.

Trudno oderwać się od tej teologji, tak jest cudowną; przytoczymy więc dalsze słowa siostry: „Bóg użył wrodzonego każdemu instynktu wzywania Go w niebezpieczeństwie życia, jako swego Najwyższego Dawcy, ażeby zlać na duszę księcia działanie rozgrzeszającej łaski. Łaska Boża działa prędzej, niż możemy sobie wyobrazić — jedno mgnienie oka. A chwila, jakiej dusza potrzebuje na akt współdziałania z łaską Bożą, nie dłuższą jest od tej, w której tę łaskę otrzymuje, co jej daje poznać z własnego doświadczenia, że jest stworzoną na obraz i podobieństwo boże.

Od dnia tego święta zakonnica poświęciła się w zupełności umniejszeniu cierpień „swego biednego księcia“, jak go nazywała, ofiarując za niego swoje umartwienia, modlitwy, prosząc wszystkich o modlitwy, urządzając na nie prawdziwą kwestę. Przed śmiercią ku pocieszeniu swojemu została upewnioną, że dzięki jej zadośćuczynieniu dusza ta przybliżyła się nieco do przybytków wiekuistej światłości. O prawdziwości zaś tego objawienia nie powątpiewał nikt, ani spowiednik, ani biskup, ani przełożona, ani też ona sama.

O jakże mało znamy serce Boga! Kiedy umiera człowiek, ten człowiek, którego On sam stworzył, którym opiekował się całe życie, którego karał, hamował, zachęcał i oświecał, ażeby

go utrzymać na drodze dobrej, a który Go mimo to nie słuchał,—wówczas podejmuje z nim ostatnią walkę, walkę miłości, walkę matki wpadającej w rozpacz, w szał prawie z gniewu i miłości, kiedy widzi, że traci dziecko. Ten Bóg dobroci zstępuje ku człowiekowi, ten zaniepokojony ojciec pochyla się nad łożem konającego syna. Przypomina, ażeby go pozyskać, wszystko to, czego użył dotychczas: światła, łaski, kary, dobrodziejstwa:

Napełniłem cię niemi, chcę cię jeszcze przytłoczyć ich ogromem.

Jeżeli chory podda się na pierwsze wezwanie, ludzie widzą zwycięstwo, i religja raduje się z nawrócenia grzesznika. Ale jeżeli się opiera i w tym stanie przechodzi w cienie przedśmiertne, walka przedłuża się poza naszą świadomością, nadzieja ratunku dlań nie jest jeszcze stracona. Kiedy już mgłą śmiertelną zachodzą oczy chorego, kiedy stygną już nogi, kiedy by się przekonać, że jeszcze nie skonał, do jego serca trzeba przyłożyć rękę: gdyby ta ręka była wrażliwszą, odczułaby tę ostatnią walkę. Chodzi tu o jedno jedyne słowo, mniej nawet, o westchnienie, o jeden zwrot ku Bogu. Bóg z uporem miłości usiłuje je pozyskać, i musi często otrzymywać jako niedorównany zapaśnik.

Spytacie może, skąd to wiem, skąd wziąłem historję walk takich? Z waszego własnego serca. Jeśli jesteś ojcem, matką, czy nie takbyś postąpił? A serce Boga miałożby być od waszych serc gorszem? Miałżeby On mniej czynić dla swych dzieci, niż wy dla swoich. To nie zgadza się nawet ze zdrowym rozsądkiem! I tak oto Boska nasza religja nie pozostawia bez pociechy żadnej boleści; każdą koi balsamem nadziei.

IV.

Ale ostatnim wyrazem religji nie jest wiara, ani nadzieja. Ostatnie jej i najwyższe słowo to—miłość. „A teraz—powiada Apostoł, trwają wiara, nadzieja, miłość: to troje, a z tych większa jest miłość".

Ukoiwszy boleść tym drogocennym balsamem, jakim jest wiara i nadzieja, sięgnęła ona wyżej i wiedząc, że wszystko można zrobić z człowiekiem odwoławszy się do jego serca, pokusiła się o przeistoczenie cierpienia przez miłość.

Spróbowała nas nauczyć kochać cierpienie. Największe to może jej dzieło na świecie owo zastosowanie miłości do cierpienia, uczynienie boleści przedmiotem umiłowania; i zmu-

szeni jesteśmy uznać, że jeśli to nie jest tylko niedającem się urzeczywistnić marzeniem, jest najzupełniejszem, radykalnem i niebieskiem rozwiązaniem zagadnienia boleści.

Im więcej zastanawiam się nad tem, tem bardziej jestem zdziwiony, jak nieudolnymi byli ludzie po wszystkie czasy wobec tego zagadnienia. Od sześciu tysięcy lat Prometeuszowy sęp cierpienia rozdziera nam piersi, wygryza serca, a cóż uczyniono przeciw niemu? Do czego się sprowadzają wszelkie wysiłki, jakie ludzie przeciwstawią cierpieniu? Albo go nie uznają, co jest szaleństwem, albo usiłują je usunąć, co jest niedościgłem marzeniem; albo starają się rozerwać i zapomnieć, co dodaje boleść do boleści, grób do grobu, grzebią poraz drugi najdroższe nam istoty. I oto wszystko!

„Niemożna sobie wyobrazić — mówił mi niedawno pewien zdolny inżynier, dotknięty wśród najświetniejszej karjery ciężką niemocą,—jak płaskiemi i nędznemi są słowa pociechy, jakiemi ludzie raczą mnie codzień. Powiadają: „Podróżuj; jedź do Włoch, na Wschód.“—O czemże? Nie mam trzydziestu tysięcy franków dochodu, żeby prowadzić takie życie.

— No, to weź się do nauki, studjuj fizykę, chemję; będziesz miał rozrywkę.

— Ale mam już lat czterdzieści; praca moja w innym dotychczas szła kierunku. Nie posiadam nawet początków tych nauk. Zresztą potrzebowałbym mieć na to pracownię, narzędzia, a nie mam na nie środków.

— No, to kup sobie mikroskop i zabawiaj się przyglądaniem owadom; to cię zajmie.

— Dajcie wy mi pokój z temi wszystkiemi pociechami! Smutno mi, cierpię; życie mi obrzydło; nie możecie mi nic ulżyć.

— Oto wierne sprawozdanie—ciągnął dalej—z moich codziennych rozmów; oto perswazje, któremi mnie głowę suszą. I któż to tak mnie pociesza? Oto ludzie zdrowi jak dęby, i mający każdy pięćdziesiąt tysięcy franków dochodu.“

A przecież ten człowiek był dotknięty tylko upadkiem sił, niemocą, która mu przerwała karjerę. Cóżby to było, gdyby był stracił ukochaną żonę lub dziecko?

Już za czasów Joba znani byli ci uciążliwi pocieszyciele, *consolatores onerosi*. I my ich znamy i możemy przewidzieć zawsze z góry co nam powiedzą. Nie potrafią zdobyć się na nic innego, jak to, cośmy wyżej przytoczyli. To też wskażcie mi kogo pocieszyli, jakie łzy otarli. Świat pełen jest ludzi, którzy mają tyle rozumu, że nie spodziewają się usunąć cierpienia, a nie mają tyle światła wiary, aby je zrozumieć, więc też chylą w milczeniu głowę pod jego ciosami, i żyją w przygnębieniu

i rozpaczy. Pewien współczesny lekarz powiedział, że dwie trzecie ludzi umiera teraz ze zgryzoty. Miałem tego sam liczne dowody. Jakżeby mogło być inaczej? Wszędzie wokoło, na prawo i na lewo, wysoko i nizko cierpienie, a pociechy żadnej; ponad nami zaś Niebo spiżowe.

I dlatego to, widząc, jak religia uczy człowieka znosić cierpienie, przyjmować je z wiarą, poddaniem się, nadzieją; widząc, jak idzie dalej jeszcze, jak, przywiódłszy dusze na te pierwsze stopnie, podnosi nawet najpokorniejsze na stopień najwyższy i tyle im użycza światła, że poczynają kochać boleść, — twierdzę, że jest w tem ręka Boża, i kto wie, może nic nie jest większym nad to dowodem boskości religii.

Mówcie sobie dowoli, że niepodobna jest kochać cierpienia, że to przesada i egzaltacja. Ja wam oświadczam, że to są fakty, fakty stwierdzone doświadczeniem, fakty, w które obfituje żywot każdego Świętego, a nawet, chociaż w stopniu różnym, życie wszystkich, najpokorniejszych nawet chrześcijan; i dodam, że są to fakty najzupełniej zgodne z logiką.

Jakto! kochać cierpienie? Dlaczegożby nie, jeśli ono nam czyni dobrze? jeżeli trapiąc ciało, śmiertelną powłokę, rozświeca duszę naszą? jeżeli oczyszcza ją i przeobraża, jeżeli daje jej istotną wielkość i nieśmiertelną piękność! Gdyby bryła marmuru, kuta ręką Michała Anioła, mogła była rozumieć, co się z nią dzieje, czyż nie byłaby przejęta radością za każdem uderzeniem dłuta, które ją przeistaczało?

A złoto, które dobywamy zanieczyszczone, pomieszane z ziemią, brzydkie na wejrzenie, gdyby było żywem, czyż nie wzdychałoby do ognia, który je oczyszcza. Powiedziałoby zapewne: *Mam być chrztem ochrzczon: a jakom jest ściśnion, aż się wykona?*“—Baptismo habeo baptizari, et quomodo coarctor usque dum perficiatur?“

Takiemi oto są dzieje pierwszych bohaterów religii. Choćbyście szukali najusilniej, nie znajdziecie ani jednego któryby nie kochał cierpienia; nie w niem samem i dla niego, ale dla skutków, jakie sprawia. Cierpienie oczyszcza, odradza; a te czyste dusze, które jęczały nad swoją podległością grzechowi, z radością przyjmowały cierpienie, uwalniające je z pod tego jarzma. Cierpieć jest upokorzeniem i te dusze pokorne radowały się na myśl, że będą kiedyś rozciągnięte na łożu boleści, że twarz ich straci cały blask i piękność, a rysy kształtność, że ciało ich ulegnie największemu z upokorzeń. Cierpienie, śmierć—to rozdział ze wszystkiemi rzeczami stworzonemi, zniweczenie wszystkich marzeń, złudzeń, wszystkich grzechów; to koniec czasu, a początek wieczności; rozdarcie zasłony, która Boga przed nami ukrywa. Jakże Święci, żyjący w Nim tyl-

ko i dla Niego, nie mieliby być przejęci radością? Jakże nie mieliby witać w cierpieniu zbawcy, śmierci oswobodzicielki? Jakże nie mieliby wołać: *Cupio dissolvi et esse cum Christo?*

Tak działa religia na swoich wyznawców. Opromienia cierpienie takiem światłem, że muszą je pokochać; rozkoszują się niem; w niem dopiero żyją. Spoglądają na krzyż z miłością, mówiąc mu: *O bona crux! crux amata!*

Prawda, że mówię tu tylko o fizycznem cierpieniu, które udręcza nasze ciało, obezwładnia członki. O takiem tylko mówię, że religia skłania nas do jego umiłowania. Ale czyż już i to nie jest cudownym skutkiem, wobec tego, że wy, ludzie, z całą swoją mądrością tego świata, nie potraficie wlać we mnie rezygnacji, miłości dla cierpienia, choćby nawet zrozumienia, że można je kochać?

Nie wiem, czy mogę ośmielić się mówić o umiłowaniu cierpienia, kiedy chodzi o ból moralny, o straty serca, o rozłąkę z ukochanymi. Boję się, ażebym tem przypuszczaniem nie znieważył natury ludzkiej. A jednak uczucie to według nas nieprawdopodobne, odnajduję w duszy kobiety, która cierpiała bez miary; a ponieważ prowadzi nas to do jądra zajmującej nas kwestji, czytelnicy wybaczą mi, że na większą chwałę Boga i religii opowiem pokrótce, jak w niej najstraszniejsza z boleści została ukojoną i niemal przeobrażoną w szczęście.

V.

Nie wiem, czy jest coś bardziej wzruszającego we współczesnej literaturze poufnej, jak *Opowiadanie siostry* [1]).

Dwoje młodych spotyka się w Rzymie. Poznają się i unoszą w dalszą drogę: jeden nagle rozbudzoną miłość, druga zaród uczucia, które miało się rozwinąć i w krótkim czasie stać się szczytnem. Posłuchajcie zwierzeń jego, albo lepiej słów ich obojga, bo jedne warte drugich, a ręka przyjazna połączyła je bez ich wiedzy w jednem i temsamem opowiadaniu. Jaka siła uczucia i jaka zarazem czystość! Ile miłości, a przytem ile wiary! Nigdy chyba dwa kochające serca nie złożyły z większą ufnością w ręce Boga, łączącego je węzła.

„Przysięgam ci, pisze Albert: że kiedy jestem przy Tobie, to, co czuję, zdaje mi się być zapowiedzią przyszłego życia. Jakżeby uczucia tego rodzaju nie miały istnieć poza grobem? Nie wierzę, aby można było kochać niewinnie i głęboko,

---

1) *Récit d'une soeur*, p. M-me Craven, née de la Ferronays.

Ciebie kochać jednem słowem, a nie być przejętym religią i wiarą w nieśmiertelność" [1]).

A Aleksandra te kreśli słowa: „Mama zaprosiła księcia L. na taras. Poszłam za nimi, starając się iść jak najpowolniej, bo myślałam sobie: może *on* zaraz nadejdzie. Tak się też stało. Z radości, że go widzę, nie mogłam wymówić słowa. Ponieważ jednak to milczenie mówiło więcej niż chciałem, o ile sobie przypominam, odezwałam się pierwsza. I cały ten wieczór taka byłam szczęśliwa! O mój Boże! Ty który jesteś samą miłością! Czyż ta miłość, która sprawia, że nie widzi się żadnej niedoskonałości w ukochanej osobie, ten zachwyt, ta radość bez granic, nie są przedsmakiem tego uczucia, jakiem pozwolisz nam kiedyś ukochać naszych najdroższych na wieki?" [2])

I trochę dalej: „Większą część wieczorów spędzaliśmy na górnym tarasie. Czarowne to było. Dwie zatoki, wybrzeże, Wezuwiusz wyrzucający ogniste strumienie, niebo roziskrzone gwiazdami, powietrze balsamiczne, a przy tem wszystkiem *miłość*, miłość z Imieniem Bożem na ustach i w sercu!"

Albert zaś: „Chciałbym powstrzymać czas w biegu. Każdy upływający dzień jest tak piękny. Nigdy nie rozumiałem nieszczęścia lepiej, niż teraz, kiedy mam duszę upojoną szczęściem. Czyż podobna, aby kwiat tak piękny miał zwiędnąć? Nie, musi on trwać zawsze! takie szczęście musi przeżyć grób; tak więc już tu na ziemi mam początek Nieba!" [3])

I znowu w tym dwuśpiewie harmonijnym głos kobiety: „Raz wieczorem w Castellamare przypatrywaliśmy się z balkonu zachodowi słońca. Mamy nie było w pokoju. Byliśmy, jak gdyby sami na świecie, z Bogiem tylko. Albert wpatrzony z zachwytem w słońce, mówił mi: „Ach, gdybyśmy mogli pójść za niem!" Podziwiałam jego zapał, ale go nie odczuwałam w tymsamym stopniu. Myślałam więcej o nim—on więcej o niebie. Ja przez niego uwielbiałam niebo; on wznosił się tam o własnej sile. Po takiej jak ta chwili, cały wieczór był dla mnie jakby uświęcony. Z jakiemże spokojnem uczuciem szczęścia szłam się ubierać, aby ukazać się trochę ładniejszą oczom tego, który mnie czynił lepszą!" [4])

Wszystko jest w tymsamym tonie i trzebaby przytaczać chyba wszystko. Nigdy nad życiem dwojga młodych ludzi nie świtała jaśniejsza jutrzenka. „Szliśmy z nim i jego siostrami koło Villa-Réale. Rodzice ich zamykali pochód. Stanowili-

[1]) *Récit d'une soeur*, t. I, p. 49.
[2]) Ibid., p. 54.
[3]) *Récit d'une soeur*, t. I, p. 69.
[4]) Ibid. p. 81.

śmy już jakby jedną rodzinę. Oświecał nas wspaniale piękny księżyc i gwiazdy; patrzaliśmy w nie z uwielbieniem dla Boga, przejęci uczuciem miłości i przyjaźni jedni dla drugich" [1]).

I z tego to rajskiego szczęścia, wtrąceni zostali po jedenastu zaledwie dniach małżeńskiego pożycia, w dręczący niepokój, który po czterech latach zakończył się najstraszniejszą boleścią. Ale religia, która opromieniła ich szczęście, nie zawiodła ich w godzinie niedoli. W cierpieniu zjednoczyła ich jeszcze ściślej i trwalej. W tejsamej chwili, kiedy on przez świętą śmierć przechodził do prawdziwego żywota, ona, urodzona w błędach, aktem wolnej i czystej woli przechodziła na łono prawdziwej wiary; jej pierwsza Komunia zeszła się z jego ostatnią; i jedna Hostja rozdzielona na dwoje, złączyła ich w Bogu na wieki. W tydzień potem pisała osierocona. „Nie rozdzielaj, Panie, tego, coś złączył. Wybacz mi moje zuchwalstwo, że ośmielę się zawołać: Pomnij, żeśmy zawsze pamiętali o Tobie! Pomnij, że nie napisaliśmy do siebie listu, żeby nie wymienić Twego Imienia i nie wezwać błogosławieństwa. Pomnij, że wiele modłów zanosiliśmy do Ciebie pospołu. Pomnij, żeśmy zawsze pragnęli, aby nasza miłość była wieczną" [2]).

I tak religia podtrzymywała ją aż do końca. A jakkolwiek szczytną była jej rola w tej miłości i tej boleści, w tem złączeniu dwóch dusz i ich rozłące: szczytniejszą może jeszcze w niesieniu pociechy osamotnionej. Religia nie dała jej ani umrzeć z boleści, ani boleści umrzeć w niej. Ustrzegła ją od tego wielkiego nieszczęścia, jakiem jest zapomnienie, oszałamianie się, szukanie na zewnątrz próżnej i niezaszczytnej pociechy. Otoczyła w jej oczach zmarłego małżonka aureolą, wskutek czego jej związek z nim stał się odtąd ściślejszym jeszcze niż był za życia. A ponieważ tem, nad czem cierpiała najbardziej, było rozłączenie się z ukochanym: znalazła ukojenie, odzyskując go w nowej, nieśmiertelnej miłości. Wkrótce na dawne życie zaczęła zapatrywać się, jak na słaby przebłysk jutrzenki, na nieudolną zapowiedź przyszłego połączenia. „Pomyśl sobie, mówiła raz do jednej z sióstr swojego męża: że wszystko, co nam jest miłe tu na ziemi, jest tylko cieniem, złudzeniem tego, co jest rzeczywistością w Niebie. A czyż nie najmilszą na ziemi rzeczą jest kochać? Nie trudno więc pojąć, że kochać samą Miłość jest to szczyt szczęścia; dlategoteż największem szczęściem jest kochać Chrystusa, byleśmy tylko umieli tak Go kochać, jak miłujemy tutaj drogie nam osoby. Nie byłabym się nigdy pocieszyła, gdybym nie dowiedziała się,

---

[1]) Ibid. p. 89.
[2]) *Récit d'une soeur*, t. I, p. 430.

że można taką miłością kochać Boga, i że ta miłość będzie trwała wiecznie." A kiedy siostra rzekła: „Jesteś bardzo szczęśliwą, że możesz tak kochać Boga!" odparła: „Jakżebym mogła Go nie kochać! Jakżebym mogła myśleć o Nim bez zachwytu i wdzięczności, i jakaż w tem moja zasługa, choćby tylko wiary, kiedy po mojem szczęściu ziemskiem, tak upragnionem, posiadanem w takiem upojeniu, a utraconem w tak bezdennej rozpaczy, dusza moja tak jest dziś przemienioną i szczęśliwą, że wobec tego niczem zupełnie jest wszystko, co zaznałam lub co mogłam sobie wyobrazić..."

Zdziwiona temi słowami siostra spytała: „A gdyby ofiarowano ci takie życie z Albertem, o jakiem marzyłaś dawniej, i to na długie lata?"

— „Nie przyjęłabym go!" [1]) - odpowiedziała bez wahania.

Innym znowu razem kiedy tasama siostra, widząc ją krzątającą się swobodnie w tymsamym pokoju, gdzie tyle przecierpiała, napomknęła o bolesnej przeszłości, odpowiedziała jej słowami zdumiewającemi dla tych, którzy znali jej głęboką i niezmienną miłość dla zmarłego: „Prawda, były to ciężkie, straszliwe i smutne czasy, ale dziś, za łaską Boga, wesoło opłakuję mego Alberta" [2]).

Wesoło opłakuję! Oto prawdziwie Boskie słowo. Podźwignąć ciężko zbolałą duszę z najcięższej rozpaczy; wznieść ją łagodnie i stopniowo do dobrowolnego poddania się cierpieniu, a od poddania się do ukojenia serca w nadziemskiej nadziei, potem zaś aż do radości, i to radości bez zapomnienia o drogiej istocie, a raczej do radości wzrastającej wciąż w miłości—i wszystko to bez zadania gwałtu naturze ludzkiej, bez nagłego powstrzymania łez, bez znieważenia w nas uczucia: oto największy tryumf. Ale święcić taki tryumf może tylko religia i tylko jedna religia Chrystusowa go święci.

VI.

Chciałem nie wymawiać tu Chrystusowego imienia. Nie chodzi mi jeszcze bowiem o religię objawioną, o chrześcijaństwo; mówię tu tylko o religii w ogólności. Ale chrześcijaństwo jest do tego stopnia religią w całem znaczeniu tego słowa, religią powszechną i wiekuistą, religią serc ludzkich i serca Bożego, że kiedy się mówi o religii, dochodzi się z koniecz-

---

[1]) *Récit d'une soeur*, t. II, p. 405.
[2]) *Récit d'une soeur*, t. II, p. 409.

ności do chrześcijaństwa, a tembardziej wtedy, kiedy się mówi o cierpieniu i o tem co je łagodzi.

Rzecz dziwna! wszystkie religie wielbiły szczęście; jedno tylko chrześcijaństwo otoczyło czcią cierpienie. Bóstwa pogańskie przedstawiały się ludzkości uwieńczone kwiatami, otoczone amorkami, śmieszkami: to też pytam siebie, co one miały do powiedzenia nędzarzowi na jego barłogu, niewolnikowi w jego więzieniu, wdowie, sierocie, wszystkim tym, którzy tu na ziemi cierpią i płaczą. Taki przewrót w pojęciach musiała sprawić religia, która powiedziała: „Patrzcie, oto Bóg prawdziwy.“ Wisi On na szubienicy, ręce i nogi ma przebite, czoło uwieńczone cierniem, serce przebite włócznią; ciało Jego nie ma innej purpury nad purpurę krwi Jego własnej. Dawne bóstwa były to bóstwa rozkoszy. Precz z niemi! Ludzkość ich nie potrzebuje. Oto prawdziwy Bóg, to Bóg boleści!“

Słysząc tę dziwną mowę, zdumiona ludzkość patrzy, nie wie z początku sen-li to, czy jawa? „Jakto, powiada, jeśli to jest Bóg prawdziwy, jak mógł cierpieć? jak mógł umrzeć? Dlaczego nie spiorunował swoich katów? Dlaczego poddał się cierpieniu? Nie przez bezsilność, bo jest Bogiem. Nie z musu, bo jest Bogiem. Z miłości zatem. Cierpiał więc z miłości dla ludzi“!

Zachwyciło to ludzkie serca. I nie przestaje ich utrzymywać w tym zachwycie.

Sofiści podnieśli zarzuty; utrzymywali, że to rzecz niemożebna, niewłaściwa. Bóg nie mógł cierpieć i umierać za człowieka. Ale matka, tuląca swe dziecię do łona wejrzawszy na krzyż, odparła: „Cóż w tem nieprawdopodobnego? Dla nakarmienia mego dziecka daję mleko moich piersi; dla ocalenia go oddałabym całą krew swoją.“ A młodzieniec w czystem szczęściu pierwszej miłości i dziewica, której ideałem poświęcenie, wejrzawszy na krzyż, odparli sofistom: „Jak możecie dziwić się upokorzeniu i cierpieniom Chrystusa? Chyba nie kochaliście nigdy. My nie cofnęlibyśmy się przed poniżeniem i śmiercią dla dowiedzenia naszej miłości.“ Osiemnaście już stuleci ludzkość odpiera zarzuty sofistów, tym okrzykiem serca. Miłością odpowiada na miłość.

A ludzkość cała wejrzawszy na krzyż Mistrza, uczuła ulgę w niesieniu swoich krzyżów. Katowany niewolnik pomyślał sobie: „On cierpiał biczowanie.“ Nędzarz cierpiący głód powiedział: „On pragnął, a dano Mu żółć i ocet tylko.“ Król, nie na tronie, ale na rusztowaniu, na wspomnienie, że i On był wiązany, wyciągnął ręce do katów, tłumiąc głos oburzenia krwi pokoleń królewskich. Geniusz w chwili śmierci kazał sobie podać krucyfiks, a na zrobioną uwagę, że nie może już

do niego przemawiać, odpowiedział: „Prawda, ale mogę na niego patrzeć.“

Nawet niedowiarek, ujrzawszy krucyfiks w chwili kiedy w szale zazdrości i gniewu miał zamordować śpiącą, którą podejrzywał o niewierność, uspokoił się, rzucił nóż i całując na klęczkach Ukrzyżowanego, wyrzekł: „Przebacz mi, Jezu! Urodziłem się w wieku niewiary i mam dużo do odpokutowania. Biedny Synu Boży, zapominany przez ludzi, nie nauczono mnie kochać Ciebie. Nie szukałem Ciebie nigdy w świątyniach, ale dzięki Bogu, nie umiem jeszcze nie zadrżeć, znajdując Cię w takiej chwili. Pomnij, że był nieszczęśliwy, który nie odważył się umrzeć ze swojej boleści, widząc Ciebie przybitego do krzyża! Wybawiłeś od grzechu bezbożnika; pocieszyłbyś go, gdyby wierzył w Ciebie.“

Nie jeden pseudo-mędrzec utrzymuje, że to wszystko nie trafia mu do przekonania, że cudze cierpienia nie zmniejszyły jego własnych, że słaba to dla niego pociecha wiedzieć, iż Chrystus więcej wycierpiał. Żałuję mocno takich i mogę im odpowiedzieć tylko przytoczeniem dalszego ciągu tej modlitwy pod krzyżem

Najwierniejszego dziecka wieku niewiary.

Oto ona: „Wybacz tym, którzy Ci bluźnią! Nie oglądali snać Ciebie, gdy byli zrozpaczeni! Wybacz Jezu, szczęśliwym tego świata, którym się zdaje, że nie będą nigdy potrzebowali Ciebie! Przebacz im, pycha ich znieważa Ciebie, ale prędzej czy później, omyje ich chrzest łez; miej więc litość nad nimi. Dosyć są oni nieszczęśliwi, że sądzą się być bezpieczni od burz wszelkich i że do nawrócenia potrzeba im surowej szkoły niedoli. Nasza mądrość i niedowiarstwo – to grzechotki w ręku starych dzieci; przebacz nam, że mamy się za niewierzących, Ty, któryś się uśmiechał na Kalwarji. Ze wszystkich naszych nędz doczesnych najgorszą jest ta, że staramy się zapomnieć o Tobie. Ale Ty wiesz, że to wszystko jest złudzeniem, które rozwiewa jedno Twoje wejrzenie. Wszakże sam byłeś człowiekiem! Bogiem uczyniło Ciebie cierpienie; narzędzie męki podniosło Cię ku Niebu i przeniosło na łono Ojca pełnego chwały; i nas także ono wiedzie do Ciebie, jak Ciebie zawiodło na łono Ojca; dopiero uwieńczeni cierpieniem upadamy na twarz przed Twym wizerunkiem; tylko skrwawionemi rękoma obejmujemy Twe przebite nogi. Poniosłeś męczeństwo, ażeby Cię „kochali nieszczęśliwi.“

Wszakże sam byłeś człowiekiem! Bogiem uczyniło Cię cierpienie! Jedyny to dysonans w tym pięknym okrzyku. Powinien był powiedzieć: „Byłeś człowiekiem i Bogiem, i jako człowiek i jako Bóg bosko piękny; ale cierpienie podniosło jeszcze

tę piękność. Gdyby tego było potrzeba, cierpienie namaściłoby Cię powtórnie na króla ludzkości."

Ujrzymy dalej tę królewską piękność Syna człowieczego; ujrzymy ją, jak się będzie wzmagała w miarę boleści, jak za zbliżeniem się śmierci wyraz jego Boskiego oblicza stawać się będzie coraz słodszym, tkliwszym, cieplejszym i bardziej pociągającym. Jakże pięknym jest Jezus w świetle boleści! Naśladujmy Go; udoskonalajmy się cierpieniem.

On powiedział: „Nikt duszy nie bierze odemnie, ale ja kładę ją sam od siebie". Naśladujmy Go. Cierpmy i umierajmy nie z musu, jako niewolnicy, ale z wolnej woli, z własnego wyboru. A którzy ujrzą nas na łożu śmierci, niech wyrzeką tak, jak o Nim: „Ofiarowan jest, iż sam chciał."

On powiedział: „Większej nad tę miłości żaden nie ma: aby kto duszę swą położył za przyjacioły swoje". Naśladujmy Go, mówiąc i czyniąc taksamo. Niech nasze cierpienia, choroby, śmierć, będą nietylko aktem wolnej woli, ale i aktem miłości. Nie umierajmy ani z wyczerpania, ani ze starości, ani z choroby; umierajmy z miłości. Niech nasze życie idzie na pożytek naszym dzieciom, rodzicom, przyjaciołom, krajowi, ludzkości, Bogu, a tem, co je wytoczy po kropli, niech będzie miłość!

On powiedział: Umieram za wasze grzechy, za grzechy ludzkości. Na jednej szali gromadzą się nieprawości ludzkie; na drugiej dla zrównoważenia, kładę krew moją. Naśladujmy Go; połóżmy tam także naszą. Uczmy się u stóp krzyża, że ponad wszystkie zasługi wyżej wspomniane, ponad zasługę śmierci w ofierze miłości, większą zasługą jest umrzeć za odkupienie innych, cierpieć za wzór Chrystusa, dokładając swoją krew na szalę przeznaczeń świata!

Oto co uznała ludzkość, oto jakich dosięgnęła wyżyn idąc śladem Ukrzyżowanego. Nie dosyć już jej było przyjąć i ukochać cierpienie; pożądała go, nie mogła się go doczekać. Chrześcijanie i chrześcijanki biczowali swe ciało, wytaczali krew swoją dobrowolnie. W nocy, gdzie wszystko jest pogrążone w spoczynku, na wspomnienie, że Jezus był biczowany, wstawali, aby na swoich obnażonych ramionach ryć krwawe stygmata pokuty. I cóż tu wobec tego mówić o pocieszeniu w cierpieniu, kiedy go oni pragną na wzór Zbawiciela, wzdychają do niego; kiedy im go nigdy nie dosyć; kiedy dusze trawione są dziwnem pożądaniem boleści. Powiecie, że to szał— niech i tak będzie, ale nie możecie zaprzeczyć jego rzeczywistości. A jeżeli wszystkie ludzkie usiłowania były wobec tego ponurego zagadnienia bezsilne, jakże nie uwielbiać religii, która sama jedna potrafiła nietylko wzbudzić poddanie się cierpieniu, ale ukochanie jego w duszach nawet maluczkich, a w duszach

bohaterskich potrafiła sprawić ten cud, że pragną cierpienia, szukają go, że są przejęte szczęściem wpośród bólu pokuty.

O Chryste pocieszycielu, kiedy już wymówiłem Twe Imię, nie będę wzbraniał memu sercu wznieść się do Ciebie. Nie szukałem Cię jeszcze, a o to już Cię znajduję! Poznaję Cię potem, że wszystkie łzy osychają u stóp Twoich, wszystkie cierpienia są ukojone i pocieszone Twem Boskiem dotknięciem.

Mój Boże! Czyż może być większy dowód Twojej rzeczywistej wpośród nas obecności, niż to, że uczymy się kochać cierpienie? że biedne ludzkie istoty uwieńczone cierniem, o zbolałych członkach i złamanem sercu, przepełnione są radością i szczęściem wśród swoich doświadczeń? „*Nader obfituję weselem w każdem utrapieniu mojem*".

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

O cudownych skutkach cierpienia (*dokończenie*). **Nieśmiertelność i połączenie wiekuiste. Miłość poza grobem.**

Streśćmy to, cośmy powiedzieli w poprzedzających rozdziałach. W cierpieniu jest zarazem tajemnica i potrzeba.

Tajemnica dla rozumu: poco istnieje cierpienie?

Potrzeba serca: jak mu ulżyć?

Wszystko jest bezsilne wobec tej tajemnicy i tej potrzeby—wszystko, oprócz religii. Filozofia uznaje swoją niemoc; lepiej jeszcze uznają ją sami cierpiący. Jedna religia coś tu może. W jej świetle straszliwe widmo przestaje nas przerażać. Nie tyran to już ani wróg—owszem, pomocnik o nadziemskiej mocy. Oświeca, oczyszcza, uszlachetnia; umacnia cnotę; przetrawia swym ogniem serce, czyniąc je godnem Boga. Strwożona nim dusza, zbliża się doń, przypatruje się mu, styka się z niem, przyjmuje jego ciosy, naprzód z poddaniem się, wkońcu z miłością—a nawet kiedy jest wyjątkowo dzielną—z upragnieniem. I zamiast ratować się ucieczką, zamykać oczy, cierpieć ze wstrętem i bez zasługi: przyjmuje je dobrowolnie, chętnie, i przeistacza się w niem przez miłość. Jest to pierwsze zwycięstwo religii, ale bynajmniej nie ostatnie.

Religia która wie, skąd się bierze cierpienie i dlaczego bywa na nas zsyłane; wie także, jak się kończy, i mówi to tak dokładnie i stanowczo, że pociesza nas ostatecznie. Wie ona, że to życie jest początkiem tylko, zna jego koniec i cel.

Wie i twierdzi stanowczo, że żaden szlachetny poryw naszej duszy nie będzie zawiedziony, że poza grobem znajdziemy światło nieskończone, miłość bez granic, wiekuiste a szczęśliwe życie. Śmierć, to tylko ciemny tunel, poza którym odnajdziemy światło daleko piękniejsze.

Tak, religia upewnia nas o nieśmiertelności, to jest o zupełnem nasyceniu duszy, o wiekuistem połączeniu, o miłości poza grobem. I tem pociesza ostatecznie nieszczęśliwych.

Zatrzymajmy się nieco, o duszo moja na tych samotnych wyżynach! Dobrze tu jest. Ziemia wydaje się stąd maluczką, ale Niebo roztacza się w całym blasku. Życie jest jak stroma góra Righi, w Szwajcarji. Wchodzi się na nią w pocie czoła, ale skoro już raz jesteśmy na wierzchołku, spostrzegamy nad sobą niebo, u stóp zas niezmierzony alpejski krajobraz.

I.

Są dusze tak szczęśliwe, że uważają śmierć za największy dowód nieśmiertelność i. U grobu ukochanych są do tego stopnia przejęte uczuciami wiary w nieśmiertelność i pełne w nią nadziei, że wołają z poetą:

Czyż u grobu można wątpić?

Szczęsne to dusze! Każda nowa strata rozświetla im Niebo. Koniec ich życia jest pełen otuchy; wiedzą, że lepsza cząstka ich samych wyprzedziła ich w drodze do Nieba, i że się tam niebawem połączą.

Ale są inne biedne bardzo i godne litości, na które śmierć wywiera przeciwne działanie. Smutek przysłania w ich sercu nadzieję nieśmiertelności. Ogarnia ich noc; serce przeszywa bolesne zwątpienie, że może to już koniec. Ciężka to próba, a źródłem jej ogrom ich miłości: gdyby mniej kochały, nie byłyby zwątpiły.

Otóż tutaj to właśnie religia okazuje całą swą wzniosłość. Uspakaja zatrwożoną duszę, uchyla przed nią tajemniczą zasłonę i pozwala jej przebić wzrokiem pełnym nadziei pomrokę grobu. Dopomaga jej odnaleźć pewność, drzemiącą w głębi jej własnej istoty. Bo nie na kamieniu, ani na pergaminie wyrył Bóg dogmat nieśmiertelności; złożył go w wywodach rozumu i w przeczuciach serca. Chciał, abyśmy nie mogli go odrzucić, bez zaprzeczenia sobie samym.

Dusza jest, a zatem i będzie. To najprostszy, a zarazem najniezbitszy argument, jaki Bóg wyrył w sercu ludzkiem. Argument to, na który niema odpowiedzi. A dowód, że kie-

dy kto nie chce duszy w przyszłości, zaprzecza jej w czasie obecnym. Ale jak tego dopiąć? Trzeba być bardzo sprytnym, aby potrafić sobie wmówić, że się nie ma duszy. Nie każdy zdobędzie się na to. I jak ów chory, któremu starano się wmówić, że tylko ten umiera, kto chce śmierci, a który zaś odpowiedział: „Lękam się, ażebym się nie zapomniał,“— ogromna większość ludzi za każdem zapomnieniem się przekonywa się ze zdziwieniem, że ma jeszcze wiarę w swoją duszę.“

I nietylko, że dusza jest, ale chce być; chce być coraz bardziej. Więcej światła— woła, więcej miłości, więcej życia. Jest to wołanie dusz wszystkich. I toby się miało skończyć nicością! Ten głód i pragnienie, stanowiące istotę duszy, miałoby być niepotrzebne, bez celu i przyczyny, przeciwne zdrowemu rozsądkowi? miałoby być wiekuistem szyderstwem? Pragniesz wiekuistej światłości: będziesz miał wiekuiste ciemności! Łakniesz i pragniesz życia: śmierć i nicość dane ci będą! Mówisz: „Zawsze“! Odpowiedzą ci: „Nigdy“! Ależ to niedorzeczność!

„Koniec—głupie słowo!—pisał niegdyś Goethe.—Dlaczego koniec? Koniec i nic, to „słowa jednoznaczne.“ Jeżeli wszystko, co stworzone, ma zginąć, pocóż w takim razie chwalebne dzieło stworzenia? Nie, to co jest, nie może mieć końca, tylko odrodzenie.

Zresztą, to wzrastające życie jest nietylko potrzebą, ale i rzeczywistością. Są dusze, które potężnieją, wzrastają istotnie. W jaki zaś sposób zachodzi w nich ten postęp? Oto siła cierpienia i miłości. A więc cierpienie i miłość naprawdę istnieją! Oczyszczają duszę, dają jej wielkość; dają jej niezaprzeczoną piękność. I pocóż to wszystko, jeżeli niema nieśmiertelności? Marzenia moje rozwiały się; ukochani pomarli; wszystkie pragnienia pozostały niezaspokojone; pocieszała mię jedynie ta myśl, że te wszystkie cierpienia, próby, oczyszczając me serce, uczyniły je godniejszem i bliższem Boga, iż w Nim odnajdzie ono wszystko utracone. A wy mi powiadacie, że to serce z całą moją istotą ulegnie nicości!

Oto od lat dwudziestu, trzydziestu, pracuję nad oczyszczeniem, uszlachetnieniem tego mego serca; usiłuję oderwać je od wszelkich rzeczy nizkich, próżnych i znikomych; a kiedy właśnie zaczynam odnosić owoce tego trudu, śmierć ma je zabrać i obrócić wniwecz! Nie, to niepodobna! Z całem przeświadczeniem twierdzę, że się mylicie. Nie dla śmierci wzrastają dusze, nie dla nicości zdobią się cnotami!

A jeżeli nadzieja nieśmiertelności tak żywo we mnie przemawia przy każdem wejrzeniu w głąb serca, gdzie znajduję cierpienie, miłość, cnotę, cóż dopiero, kiedy wznosząc oczy ku niebu, wspomnę o Bogu!

Bo o tem, że On jest, nie wątpiłem nigdy. Żadna burza młodości nie przyćmiła mi czoła zwątpieniem, a przynajmniej żadna nie zostawiła trwalszych śladów. Każdy smutek mówił mi Jego imię, każda zmarszczka dowodziła mi Jego wielkości. Zbielałe włosy i rozwiane marzenia są mi najlepszą ewangelią, nie dopuszczają zwątpienia.

Bóg zatem jest; jest On stwórcą; ojcem; kocha dusze, stworzył je przez miłość, bo dlaczegóż innegoby to uczynił? Przez wiele lat z rzędu błogosławił im, otaczał je opieką, żywił, a potem miałby je naraz odrzucić w nicość i nie wspomnieć więcej o nich! Miłość Jego miałaby być mniejszą, niż miłość tej matki, którą Pismo Święte chwali, że nie chciała być pocieszoną, gdyż niema już jej dzieci! *Quia non sunt*!

I niedosyć tego; jeśli na słońcu i nieprzeliczonych światach w przestworzu są żyjące istoty, które modlą się, cierpią, kochają, miałby również unicestwiać ich dusze, skoro dojdą do doskonałości!

Wszystkie te z tchnienia Jego serca zrodzone dzieci, miałyby być przez Niego samego i na zawsze unicestwione? A On miałby przez resztę wieczności cieszyć się szczęściem, że już nie ma dzieci, czuwać nad pustymi cmentarzami, jak grabarz bez zajęcia! Jakiegoż to Boga wyobrażacie sobie!

A jeśli powiecie, że będzie nadal bezustanku tworzył, za jakiegoż mistrza Go macie, kiedy ostatecznie tworzyłby tylko na to, żeby niszczyć! Wielkie dzieło Boga miałoby więc mieć tylko zaczątki, próby, zarysy, nic zupełnego i skończonego! Byłby to koncert z samych przygrywek, dramat przerwany gwałtownie i kończący się okropnością! To być nie może. „Ujrzę mojego Boga w ziemi żyjących."

Tak: „Ujrzę mojego Boga w ziemi żyjących." Wierzę w to niezachwianie. „Schowana jest ta nadzieja w zanadrzu mojem." W Nim znajdę wszystko, czego szukam. Tak długo szukałem czystego, nieprzyćmionego niczem światła, i nie znalazłem go! Zgłębiłem wszystkie zagadnienia i nie rozwiązałem żadnego; mając lat sześćdziesiąt, większą otoczony jestem ciemnością niż w dwudziestu, bo wiem że człowiek nic nie wie; ale nie tracę odwagi; łaknę zawsze wiedzy i z radością witam ziemię, która mnie nasyci. „Nasycon będę, gdy się okaże chwała Twoja."

Szukałem miłości i nie znalazłem jej również. A mówię nietylko o miłości stworzeń. Ach co do niej, to była ona oczywiście tylko początkiem, tylko zarysem. Zaledwie przytknąłem usta do czary, a już mi ją odebrano. O Bożej mówię miłości. Ileż jej skosztowałem? A jednakże ileż pragnień! ale i jakież cienie! A jaka odległość między Nim a mną! jaka między nami zasłona! Zasłona ta musi się rozedrzeć! Nie będę omac-

kiem szukał mojego Boga, jak ślepy, albo jak człowiek w ciemnościach. Ujrzę Go na własne oczy. A widząc Go, będę się nasycał miłością wiekuistą: „Nasycon będę, gdy się okaże chwała Twoja".

Pragnąłem życia. W ciągu lat kilku czułem, jak się wzmagało we mnie. Rosłem, wzmacniałem się. Potem ustało to nagle; doszedłem do szczytu, na którym zatrzymujemy się tak krótko, a z którego schodzimy już tylko śpiesznie do grobu, i poczułem, że mi zaczęło ubywać życia, jak ubywa oliwy w niepodsyconej lampie. Teraz oto jestem słaby, złamany, pochylony ku ziemi. Czyżby to miał być koniec? O, nie! „Ujrzę mojego Boga w ziemi żyjących." Znajdę w Nim życie, o jakiem marzyłem, życie nieskończone, życie wieczne. „Nasycon będę, gdy się okaże chwała Twoja."

Takiemi oto myślami religia podtrzymuje dusze, umacnia je i podnosi; w taki to sposób pomaga im przebyć samotną drogę starości i kołysze je łagodnie do snu śmierci. W miarę jak zstępują w cień, powstaje nad niemi wielka światłość. Kiedy chrześcijanin nie spostrzega już ziemi, religia staje u jego wezgłowia i ukazuje mu Niebo. Uprzedza go miłościwie o jego ostatniej godzinie. Dotyka jego strudzonych życiem członków, ażeby je przygotować do ostatniej walki, i z boską powagą, do słów pociechy i nadziei dodaje pobudki żalu. A kiedy przypomnienie grzechów uczyniło go pokornym, cierpliwym, uległym woli Bożej, ona daje mu siłę, wkładając w jego ręce wizerunek Boga, który za nas cierpiał i umarł. Tak uzbrojonego wiedzie na spotkanie śmierci, uczy go witać ją, jako oswobodzicielkę. Chwila jeszcze, a będą zniszczone wszystkie sny jego. Będzie się napawał u niewyczerpanych źródeł światła i miłości. Oto co mówi religia tej niespokojnej duszy, która tyle pragnęła, tyle cierpiała, a tak mało posiadła. Umierający czuje już przedsmak wieczności. Zaczyna przed nim świtać jutrzenka dnia niezachodzącego; czoło jego ma już jak gdyby jej odblask. Tchnienie nieśmiertelności unosi się nad posłaniem, gdzie kona w pokoju. I kiedy oczy kochających jeszcze go szukają na ziemi, on uleciał już do Nieba.

II.

Ale jakkolwiek wysoką jest ta pociecha i ta nadzieja, jaką daje religia tym, którzy umierają i tym, którzy pozostają osieroceni, nie mogła ona wystarczyć. Zbyt jest boską, za mało ludzką. Niedosyć bierze w rachubę to serce z ciała, które Bóg nam dał i które chce mieć też nieśmiertelnem. Do

tego więc pierwszego słowa religia dodaje drugie, niemniej piękne.

W tej ziemi błogosławionej, ku której dążę, znajdę nietylko mego Boga. *Ujrzę mojego Boga w ziemi żyjących.* Tak jest, znajdę Go otoczonego wszystkimi, którzy żyją: „Bo nie jest Bóg Bogiem umarłych, ale żywych.“ Jeżeli żyję ja, dlaczegóżby nie mieli żyć wszyscy moi? Jeżeli moja wzrastająca wiara, miłość, piękność ducha, zwyciężyły nicość, dlaczegóżby oni również zwyciężyć jej nie mieli? Jeżeli ja zachowam mój własny rozum, sumienie, swobodę, moją odrębną osobowość, oni także będą mieli swoją. Poznam ich. Dokończę życia, przyjaźni, miłości, ojcowstwa, które zaledwie rozpocząłem. Rozsunę je. Jako syn, cofnę się wstecz długiego szeregu mych przodków; poznam ich wszystkich. Jako ojciec, ujrzę cały szereg mego potomstwa, aż do czasu, kiedy moja krew wygaśnie z woli Bożej lub z mojej własnej winy. Odnajdę moich przyjaciół, wszystkich, których kochałem. Razem będziemy się litowali nad tą odrobiną uczucia, któreśmy niegdyś poczytywali za miłość. To moja niezachwiana wiara. To drugie życie, życie rodzinne, życie przyjaźni, miłości, życie społeczne będzie miało swoje uzupełnienie, tak, jak i tamto. To mój drugi akt wiary, tak silny jak pierwszy. „Schowana jest ta nadzieja w zanadrzu mojem.“

Tymczasem w niektórych duszach, i to wierzących, spotykam dziwne pod tym względem wątpliwości, Czy spotkamy się w Niebie? Jedna z nich mówiła: „Szczęśliwe ptaki: odlatują razem. My prawie zawsze odchodzimy samotnie. Żyło się we dwoje--odchodzi się pojedyńczo. Wielki to smutek dla serc kochających. Wierzę, mam nadzieję, poruczam się z ufnością Bogu. Wiem, że przez śmierć przejdę do żywota. Ale niestety! jeśli w tym żywocie nie będę miała tych, których kochałam!“

A matka, która utraciła siedemnastoletnią córkę i była chwilowo oddaloną od młodszej, chorej ciężko, mówiła mi: „O gdybym była pewną, że zobaczę moją córkę!“ — Chore maleństwo?—spytałem, sądząc, że o niej myśli. „Nie, tamtą!“— „Jakto! wątpisz pani?“—„Nie wątpiłam póki byłam szczęśliwą; teraz wątpię. Widzę, że to tylko pobożne przypuszczenie. Kościół nic orzeka nic, Ewangelia milczy, a niektóre książki uczą nawet, że nie poznamy się w Niebie. To mi rozdziera serce.“

W taki oto sposob fałszywi mistycy mrożą duszę i niechcący swojemi głupiemi doktrynami kopią przepaść pomiędzy najszlachetniejszymi instynktami ludzkiego serca a religią. A ponieważ ostateczności stykają się zazwyczaj, ich to pobo-

żne ręce kończą dzieło bezbożników. Ci odrzucają nieśmiertelność, tamci głoszą ją, ale wstrętną.

Skąd oni wzięli to wyobrażenie, że nie poznamy się w Niebie? Gdzie znaleźli, że kontemplacja Boga zatrze wszelkie wspomnienia? Zawsze tasama historja szkalowania natury ludzkiej pod pozorem wywyższania łaski; jak gdyby głębokie, niezwyciężone instynkta serca nie były z natury rzeczy najwyższem światłem tu i wszędzie! Czyż wszystko, co świadczy o nieśmiertelności duszy, nie świadczy zarazem o nieśmiertelności wspomnienia, o nieśmiertelności miłości, o nieśmiertelności związku z tymi, których kochamy? Czyż ostatniem słowem nieśmiertelności, świadectwem jej najważniejszem nie są słowa: Chcę zawsze kochać tych, których kocham? A więc oni żyć będą. Tak jest, jeżeli jest Bóg, jeżeli świat ma jakieś znaczenie, jeżeli dzieło stworzenia nie jest szyderstwem, olbrzymią igraszką bez celu, to właśnie to jest ostatnie słowo nieśmiertelności, dowód jej najistotniejszy i najwyższy.

Słuchajcie głosów ludzkiego serca.

„O śmierci! – mówił pewien szlachetnego umysłu człowiek – mógłbym ci oddać wszystko inne; przyjaciół ci moich nie oddam."

Drugi znowu: „Nie, nie sądzę, aby można kochać niewinnie i głęboko, nie będąc przejętym religią i wiarą w nieśmiertelność. Zdaje mi się, że odczuwam zapowiedź przyszłego życia. Jakżeby takie uczucia nie miały istnieć poza grobem?"

A oto głos poety,—nie trzeba lekceważyć poetów, gdyż oni miewają intuicje:

Gdzie żyją? jaką gwiazda na ich głowy
Zlewa trwalsze i łagodniejsze światło?

. . . . . .

Czyż utracili swe słodkie imiona?
Nie odpowiedzą na nasze wołanie?

O nie, mój Boże! Jeśli chwała Nieba
Wygnała z dusz ich wspomnienie o ziemi,
Byłbyś nam w sercu zatarł pamięć o nich;
Czyżbyśmy próżno ich opłakiwali?

Młodzi zaś małżonkowie, przechadzający się nad brzegami Adryatyku: „Czyż to nie bolesne, kochać tylko póki tego życia? Czyż nie pragniesz wiekuistej miłości?"

Oto jest prawda. Niech Kościół milczy, niech nie mówi Ewangelia: cóż z tego? Serce mówi, a jest ono nieomylnem w tych rzeczach, bo one leżą w dziedzinie, która wyłącznie do niego należy. Wszystko mógłbym ci oddać, o śmierci! tylko nie tych, których kocham!

III.

Prawda, że czytamy w Ewangelii, iż Chrystus zapytywany przez Saduceuszów o tajemnice przyszłego życia, a szczególnie o los tych, którzy kilka razy zawierali małżeństwo, odpowiada: „Albowiem w zmartwychwstaniu ani się żenią, ani za mąż idą.“ Ale cóż to znaczy? To tylko, że już nie będą małżonkami w znaczeniu ziemskiem, ale wiekuistymi oblubieńcami.

Spytacie może: „Cóż będzie z ich miłością?“ Będzie ona podobną do miłości brata dla siostry, albo matki dla dziecka:

Każdy ma w niej część swoją i każdy posiada ją w całości.

Lub też, jeżeli wolicie, podobną będzie do miłości Jezusa dla dusz. Każda jest oblubienicą, a jeden tylko jest oblubieniec.

To mówi Ewangelia; nie zaprzecza wcale temu przeczuciu ludzkiego serca, potwierdza je owszem, na tych nawet stronicach, gdzie ta doktryna występuje słabo; bo na niektórych jaśnieje ona. Czemże innem jest Ewangelia, jeśli nie opowiadaniem o śmierci i zmartwychwstaniu Zbawiciela, który umiłowawszy swoich, umiłował ich aż do końca, aż poza grób? który w swojem połączeniu z Ojcem, w swem przemienieniu po śmierci, nie zapomniał o żadnym ze swych umiłowanych, owszem, powracał wielokrotnie, aby im to powtórzyć z większą jeszcze tkliwością, aniżeli za życia, i z prawdziwie wzruszającymi względami delikatności i odcieniami przywiązania. Miał Matkę; cóż z Nią uczynił? Czyliż nie króluje po prawicy Jego, wszystko mogąca nad Jego Sercem daleko jeszcze więcej, aniżeli za życia na ziemi? Któż ośmielił się powiedzieć, że Ona w niebie nie poznaje swego Syna i nie jest poznawaną przez Niego?

Miał uczniów, apostołów dwunastu; czy zapomniał o nich? Czyż nie powiedział im przed rozstaniem? „*Niech się nie trwoży serce wasze, albowiem idę gotować wam miejsce.*“ [1]) Dlaczego? „*Iżbyście gdziem ja jest i wy byli.*“ Boskie to słowa! znaczą tyleż co i powyższe: „Wszystko mogę ci oddać, śmierci, tylko nie moich ukochanych.“

A gdy Piotr pytał Go niespokojnie: „*Panie, dokądże*

[1]) Joan XIV 1—4.

idziesz? odrzekł mu Zbawiciel: „*Dokąd ja idę, nie możesz teraz za mną iść; ale potem pójdziesz.*“ A więc się połączę. A Piotr cóż odpowiada: „*Czemu nie mogę za Tobą iść teraz? duszę moją za Cię położę*“ [1]). Jak gdyby mówił: „Czy to śmierć stanowi przeszkodę? Umrę więc, ażeby nie rozłączać się z Tobą.“

A co im mówi jeszcze? „*Zasiądziecie na dwunastu stolicach i będziecie sądzić dzieci Izraela*“ [2]). Może kto powie, że na tych dwunastu stolicach nie będą się znali wzajem? albo nie będą znali tych, których będą sądzili? albo może ci, którzy będą sądzeni, nie będą znali sędziów swoich?

A pod jakąż przenośnią przedstawia nam Chrystus Niebo? Jako ucztę. „Kto zwycięży, danem mu będzie zasiąść u mojego stołu w Królestwie mojem.“ Będąż się znali współbiesiadnicy, czy nie? A jeśli nie, przedstawmy sobie ten cień uczty z milczącymi cieniami, które nie znają się wzajemnie. Zaiste, byłoby to nader miłem!

IV.

Po wysłuchaniu Ewangelii posłuchajcie głosu Kościoła. Po tysiąc razy pod wszystkiemi formami i z zupełną pewnością twierdzi on, że się w niebie zobaczymy, rozpoznamy, będziemy się kochali. Chce on, abyśmy w modlitwie prosili Boga o to szczęście. Jakichże to świętych czci Kościół? Czy są to cienie blade, bezbarwne, bezosobowe, nieznające się wzajem, nie pamiętające o ziemi, zatopione jedynie w kontemplacji? Przeciwnie; są to istoty czynne, żyjące, które zachowały swą osobowość i swą odrębną fizjognomię, które kochają się wzajem, interesują się nami, wdają się w sprawy ziemskie, przypatrują się walkom naszym, zwycięstwom i z nich się radują. A Kościół, obchodząc święto każdego i każdej z nich, czy nie prosi Boga, aby nam dał w wiecznej szczęśliwości weselić się z obcowania z nimi? *Da nobis in aeterna beatitudine de eorum societate gaudere.* Oto jego prośba; a jeżeli jest mowa o szczęściu z obcowania z nimi, to można chyba stąd wnosić, że będziemy ich znali i sami znani od nich będziemy. Niedosyć na tem; trzeba, aby nie pozostało żadnej wątpliwości: o co więc prosi jeszcze Kościół? O szczęście widzenia ich: *Da, quaesumus, Domine Deus noster, ut sicut Tuorum commemoratione Sanctorum temporali gratulamur affectu, ita perpe-*

[1]) Joan. XIII, 37.
[2]) Matth. XXX, 29.

tuo laetemur aspectu. Dosyć to chyba jasne. Szczęściem naszem będzie widzieć ich i być przez nich widzianymi, a nie pogrążonymi tylko obok siebie w najwyższej kontemplacji. Zobaczymy się, poznamy, będziemy się kochali. Mówi to Kościół i powtarza po sto razy na rok, a raczej codzień, w dzień każdego Świętego.

A oto coś bardziej jeszcze pocieszającego. Jest we Mszale modlitwa za zmarłych rodziców, którą odprawiający Mszę kapłan może odmawiać za swego ojca lub matkę, gdy ich utraci: *Pro patre et matre sacerdotis.* O cóż Kościół w niej prosi? Czy tylko o wieczne szczęście dla rodziców, a dla syna o nadzieję, że są w niebie i że on tam będzie kiedyś. Nie, nie dosyć tego; trzeba żeby dziecko i ojciec, matka i dziecko mogli wieść dalej w niebie słodkie życie rodzinne. Dla zupełnego ich szczęścia trzeba, ażeby się widzieli. „Boże, który nam rozkazałeś czcić ojca i matkę, zmiłuj się nad duszą ojca mego (lub: matki mojej), odpuść ich grzechy i daj mi ich oglądać w szczęściu wiecznej światłości."

Meque eos in aeternae claritatis gaudio fac videre.

Tosamo, co o ojcu, matce, dziecku, mówi Kościół i o małżonkach. Twierdzi, że ich wzajemna miłość będzie trwała dalej w Niebie, w formie wyższej i z większą siłą. W tem to delikatnem pojęciu bierze źródło wstręt jego do powtórnych ślubów, którym odmawia uroczystych modlitw, nie zezwala na welon, ani na wieniec i w ogóle nie toleruje żadnego objawu radości. Czegóż trzeba więcej? I to właśnie w chwili najuroczystszych tajemnic Kościół zanosi takie modlitwy.

V.

Po tych wszystkich uroczystych zapewnieniach, niema już może potrzeby przyzywać świadectwa tradycji. Uczynię to jednakże, chociaż pokrótce. Ujrzycie przesuwające się przed sobą największe geniusze i najszlachetniejsze serca, i odczujecie raz jeszcze, jaka jest harmonia między Bogiem a człowiekiem; między nieomylną nauką religii, a niemniej pewną intuicją ludzkiego serca.

A będę ich przytaczał według porządku chronologicznego jedynie:

Tertulian. Oto naprzód jeden z najpotężniejszych umysłów chrześcijaństwa, geniusz posępny, serce surowe i mało dostępne uczuciu, i dlatego jak również dlatego, że sięga czasów

apostolskich, świadectwo jego ma podwójną wartość: „W życiu wiecznem Bóg tak nie rozłączy tego, co sam zjednoczył, jak nie zezwala na ich rozłączenie w życiu doczesnem Żona będzie zawsze towarzyszką męża, a mąż będzie zawsze posiadał to, co w niej jest najlepszem i najwięcej wartem, — serce. Nie stracą chyba nic na tem, że ustaną stosunki niższego rzędu. Czyż najczystszy związek nie jest najlepszym?“ [1]).

Święty Cyprjan. Słuchajcie jego słów przedziwnych: „Ponieważ przebywamy świat ten smutny jako obcy przechodnie, wzdychajmyż więc do dnia, który nas doprowadzi do ojczyzny, powróci nas Niebu. Czyż wygnańcowi nie spieszno wrócić do kraju? A człowiek który wsiada na okręt aby wrócić do swoich po przez morza, czyż nie przyzywa pomyślnego wiatru, aby módz prędzej uścisnąć tych, do których dąży? Niebo jest naszą ojczyzną, a ojcowie nasi wyprzedzili nas w podróży do niej. Śpieszmy więc, biegnijmy, ażeby ich powitać. Wielka liczba drogich osób czeka w Niebie na nas; wygląda nas mnóstwo praojców, braci i dzieci, którzy pewni już swego zbawienia, niepokoją się o nasze. Śpieszmy zobaczyć ich, uścisnąć! Cóż to za radość dla nich i dla nas!“ [2])

Święty Atanazy. Ten wielki i głęboki teolog pozostawił w tym przedmiocie jedno słowo tylko, ale jasne jak dyjament. Jeden traktat jego nosi tytuł: *Zapytania kosmiczne, na które każdy chrześcijanin winien umieć odpowiedzieć.* Otóż czytamy w odpowiedzi na XXII pytanie: „Duszom sprawiedliwych daje Bóg w niebie wielkie dobro, —oto poznają się nawzajem“ [3]).

Święty Ambroży. Ten słodki a tkliwy geniusz nie mógł wahać się w podobnej kwestji. Ujawnia swoje przekonanie w przepięknej prośbie do tylko co zmarłego brata. O, mój bracie, ponieważ mnie poprzedziłeś, przygotujże mi miejsce w tem wspólnem nam wszystkim mieszkaniu, którego teraz nadewszystko pożądam. I tak, jak tutaj wszystko nam było wspólnem, nie znajmy w Niebie podziału. Błagam, nie daj długo czekać temu, któremu tak pilno połączyć się z tobą. Zaczekaj na idącego; wspomóż śpieszącego, a jeśli znajdziesz, że się opóźniam zanadto, wezwij mnie. Jakążbym miał pociechę, bracie mój, gdyby nie nadzieja rychłego z tobą połączenia? Tak, pocieszam się nadzieją, że nasze rozłączenie nie będzie długie i że otrzymasz łaskę prędkiego przyzwania do siebie tego, który tak bardzo tęskni za tobą.“ [4])

Święty Augustyn. Wszystkie jego dzieła pełne są tej

---

[1]) Tertul *de Monog.*, cap. X.
[2]) S. Cypr. *de Immortal.*, in fine.
[3]) S. Athan. *Quaestiones ad Antiohum.*
[4]) S. Ambr., „De Excessu fratris sui, lib. I, n. 78.

prawdy. Przytoczymy z nich dwa tylko ustępy: jeden o Nebridiusie świeżo zmarłym, a według starożytnego wyrażenia spoczywającym na łonie Abrahamowem:

„Jakiebądź jest to łono Abrahamowe, tam on żyje, mój Nebridius, mój słodki przyjaciel. Żyje w krainie błogosławionych, o którą tyle mnie zapytywał, mnie, który tak mało miałem światła, aby mu odpowiedzieć. Nie przybliża już ucha do ust moich, ale przybliża usta do Ciebie, Boże, który jesteś źródłem życia, i w wiekuistem szczęściu napawa się niem dowoli, wedle ogromu pragnienia swego. A mimo to nie obawiamsię,, aby w upojeniu zapomniał o mnie, bo z Ciebie pije, o Panie, który mnie nigdy nie zapominasz“ [1]).

Drugi ustęp dotyczy jego matki: „Nie—mówił raz do swego ludu:—umarli nie wracają. Bo gdyby ta możność była im daną, widziałbym każdej nocy moją pobożną matkę, która za życia nie mogła być zdala odemnie; która podążała ze mną w najdalsze strony, przez lądy i morza, byle mnie nie opuszczać. Bo nie daj Boże, aby wszedłszy do szczęśliwszego żywota, stała się mniej kochającą i nie przyszła mię pocieszyć, gdy cierpię, ona, która kochała mnie więcej, niżbym potrafił wypowiedzieć!“

Niepodobna, aby stała się mniej kochającą, wszedłszy do szczęśliwszego żywota! Oto niezachwiana pewność i boska podstawa tej drogiej wiary, że spotkamy się kiedyś, ażeby się miłować w dalszym ciągu.

Święty Jan Złotousty. Ten wzniosły mówca usiłuje pocieszyć młodą wdowę, która utraciła męża po pięciu latach najściślejszego i najbardziej chrześcijańskiego związku. Cóż jej powiada? Czy powiada: „Pociesz się, nie zobaczycie się już nigdy. Będziecie żyli w temsamem niebie, ale tak zatopieni w Bogu, że nie poznacie się nawet.“ Nie, słuchajcie, co do niej pisze: „Jeżeli pragniesz zobaczyć w niebie twego męża, jeżeli chcesz z nim wespół się radować, powinnaś jaśnieć taką czystością życia, jaką jego życie jaśniało. Będziesz z nim razem nie przez pięć lat, jak na ziemi, ani nawet przez dwadzieścia, sto, tysiąc, ale przez całą wieczność. Zobaczysz go przyobleczonego już nie w tą piękność cielesną, jaką miał odchodząc: ale w piękność, której blask przewyższy blask promieni słońca... Po życiu, zapełnionem temisamemi cnotami, będziesz przyjęta do tegosamego przybytku i będziesz mogła być z nim na wieki wieków, złączona nie węzłem ziemskiego małżeństwa, ale in-

---

[1]) S. Aug. *Confess.*

nym, lepszym. Pierwszy łączy tylko ciała, podczas gdy drugi, czystszy, słodszy i świętszy, łączy duszę z duszą“ [1]).

Tośmy właśnie utrzymywali wyżej. Nie będą już małżonkami w znaczeniu ziemskiem, ale będą się wiekuiście miłowali. Ziemski węzeł małżeństwa opadnie; pozostanie wyższy, piękniejszy.

Święty Teodor Studyta. Surowy ten mnich, żyjący w ósmem stuleciu, za pojawieniem się współczesnej mu wstrętnej doktryny fałszywych mistyków, wołał z oburzeniem: „Bezrozumne, bezbożne twierdzenie! Nie, nie można o tem wątpić: brat pozna brata, ojciec dzieci, żona męża, przyjaciel przyjaciela. Poznamy się, ażeby obecność Boża w nas była jeszcze radośniejszą przez jedno więcej dobrodziejstwo, dodane do tylu innych, przez spotkanie się wszystkich, którzy się kochali.“

Do pewnej zaś wdowy pisał: „Bóg, który cię stworzył i który w twej młodości połączył cię z zacnym człowiekiem, potrafi cię połączyć z nim na nowo w dniu zmartwychwstania. Uważaj więc jego nieobecność jako podróż. Czyż nie zgodziłabyś się na nią, gdyby ją nakazał król jaki? A Ten, który ją nakazał, jest prawdziwym, jedynym królem świata. Mówię ci to, bowiem, że znowu odyszczesz swego małżonka w dniu Pańskim“ [2])!

Święta Teresa. Milej jeszcze znaleźć na ustach istot gorejących miłością Bożą, te porywy serca, i widzieć, że ta miłość rozszerza je miasto zacieśniać. Dnia pewnego święta Teresa była przygnębiona smutkiem, cierpiąca, wyczerpana, jak się to czasem zdarza nawet najsilniejszym. Cóż uczyni Pan, żeby ją pocieszyć? Mówi nam to sama: „Kilka ledwie chwil przeszło, kiedy zachwycenie uniosło mię nieprzepartą siłą ponad mnie samą. Przeniesioną zostałam w duchu do Nieba, a pierwszemi osobami, jakie tam zobaczyłam, byli moi rodzice“ [3]). Dostrzega ich z ziemi; poznaje mimo niezmiernej przestrzeni, jaka się rozciąga między rajem a naszem sercem. A miałaby ich nie zobaczyć, kiedy już zniknie ta przestrzeń?

Święty Franciszek Ksawery. Czytajcie co pisze do św. Ignacego: „Mówisz, uniesiony twą dla mnie przyjaźnią, że pragnąłbyś gorąco zobaczyć mnie jeszcze raz przed śmiercią. Tylko jeden Bóg, który widzi serca nasze, wie, jak żywe i głębokie wrażenie wywarł na moją duszę ten słodki dowód twej dla mnie miłości. Ilekroć go sobie przypomnę, a trafia się to często,

---

[1]) Św. Chryzost. *Ad Vidum juniorem.*
[2]) S. Theod. Stud. *Epist.* I, ep. XXIX.
[3]) Św. Teresa, jej *Żywot*, przez nią samą napisany, rozd. XXXVIII.

oczy moje mimowoli zachodzą łzami; a na myśl, że mógłbym cię jeszcze raz uścisnąć, nie mogę powstrzymać tych łez. Niestety! być może, iż nie ujrzymy się na ziemi inaczej, jak w listach; ale za to w Niebie oglądać się będziemy twarzą w twarz! Jakże się też uściśniemy wówczas!" [1]).

Święty Franciszek Salezy. Wszystkie dzieła świętego biskupa genewskiego, jak można się łatwo domyślić, są pełne tej pocieszającej nauki, że spotkamy się w Niebie i że uzupełnimy tam przyjaźń, rodzinę, jedność, któreśmy na tym świecie zaledwie nieudolnie zapoczątkowali.

Do pewnej pani, która straciła męża, pisze: „Niezadługo pójdziemy za nim do Nieba, miejsca naszego odpoczynku. Tam to uzupełnimy i będziemy wiekuiście zachowywali dobre i chrześcijańskie przyjaźnie, któreśmy tu ledwie zaczęli. Główna to myśl, jakiej wymagają od nas zgaśli przyjaciele..." etc. [2]).

Do swej krewnej, która utraciła ojca: „Nie smućmy się, moja córko; wkrótce się połączymy wszyscy. Ciągle i bezustanku zbliżamy się do kraju, gdzie są nasi zmarli. Myślmy tylko o tem, abyśmy szli dobrze i naśladowali wszystko dobro, jakieśmy w nich widzieli" [3]).

Do matki po stracie dziecka: „Pozostań w pokoju, droga córko, i wznoś serce do Nieba, gdzie jest twój dzielny mały święty. Rychło go ujrzysz. Społeczność nasza, rozproszona przez śmierć, zbierze się znowu w Niebie" [4]).

Fénelon. Możnaby się obawiać, że wielki arcybiskup Kambrezyjski, obałamucony i zaślepiony swojemi mrzonkami o czystej miłości, miał fałszywy pogląd na tę kwestję. Ustrzegła go od tego wrodzona tkliwość jego serca. Wszak to on napisał: „Bierze chętka życzyć, ażeby wszyscy przyjaciele czekali na siebie, by umrzeć razem."

To też zobaczcie, jak on pociesza tych, których kocha, kiedy ich serce jest zbolałem. Nietylko wierzy, że ludzie zobaczą się kiedyś i że rozdział spowodowany śmiercią ustanie: ale zaprzecza śmierci mocy rozdzielania w tem nawet życiu, istot kochających się wzajem. Nigdy nie są bardziej złączone, jak wtedy kiedy śmierć uniemożliwi obecność widzialną. „Nie— pisze do księżny de Beauvilliers, —zmysły tylko i wyobraźnia straciły swój przedmiot. Ten, którego nie możemy już oglądać, przebywa z nami więcej niż kiedy. Znajdujemy go za-

---

[2]) Sw. Franciszek Ksawery, list XCIII.
[2]) S. François de Sales, edit. Migne, t. V, p. 407.
[3]) Ibid. p. 938.
[4]) Ibid. p. 895.

wsze we wspólnem dusz naszych ognisku. Widzi nas stamtąd; wyjednywa nam tam prawdziwą pomoc; lepiej zna od nas nasze ułomności, sam żadnych już nie mając; wyprasza nam środki potrzebne do naszego uzdrowienia. Ja, który tyle lat byłem pozbawiony widzenia go, teraz otwieram przed nim serce, widzę go w duchu przed Bogiem; a chociaż go gorzko opłakałem, nie mogę wierzyć, abym go utracił. O jakże jest rzeczywistem to duchowe obcowanie!"

A do wdowy po księciu de Chevreuse: „Łączmy się sercem z tym, którego opłakujemy; stając się niewidzialnym dla naszych oczu, niemniej nie oddalił się od nas. Widzi nas, kocha, przejęty jest współczuciem dla naszych potrzeb. Przybiwszy szczęśliwie sam do portu, modli się za nas, którym grozi jeszcze rozbicie. Przemawia do nas w głębi naszej duszy: „Śpieszcie się połączyć z nami." Czyste duchy widzą, słyszą, kochają zawsze swych prawdziwych przyjaciół, we wspólnem ognisku dusz naszych. Przyjaźń ich jest nieśmiertelną tak, jak jej źródło. Niedowiarkowie, którzy siebie jedynie kochają, powinniby rozpaczać, że tracą na wieki swoich przyjaciół; ale przyjaźń w Bogu przemienia obcowanie widome, w obcowanie czystej wiary; płacze, ale pociesza swą boleść nadzieją, że odnajdzie swoich przyjaciół w krainie prawdy i na łonie samejże miłości" [1]).

Poprzestańmy na tem; moglibyśmy do nieskończoności mnożyć teksty; nie pomnożylibyśmy światła. Jest ono tu w tym stopniu natężenia, po którym już nie wzrasta. A więc serce ludzkie nie omyliło się; to, o czem marzyło, religia naucza tego. A więc religia nie myli się; to, czego naucza, serce człowieka marzy, przeczuwa, pragnie, wierzy w to gorąco Oba światła, to, które przychodzi z góry, i to, które przychodzi—nie śmiem powiedzieć z dołu—z serca człowieka, zgadzają się z sobą. Oba mówią, ku ostatecznemu pocieszeniu człowieka, że ziemia jest tylko początkiem, i że w niebie wykończymy to, cośmy tu na ziemi zaledwie naszkicowali; że nasz umysł będzie się tam napawał światłem, a nasze serce miłością; i to nie pojedyńczo, z osobna, ale w społeczeństwie, w rodzinie, przyjaźni. Będzie tosamo życie, jakie tu prowadzimy, tylko nie będzie w niem grzechu, a będzie za to Bóg.

Chcecież powziąć wyobrażenie o tem pięknem życiu niebieskiem? Przypomnijcie sobie świętego Augustyna i św. Monikę u okna w Ostyi, i ich tam rozmowę pewnego wieczoru. Przed sobą mają wielkie samotne ogrody, włoskie niebo, Tybr

---

[1]) Fénelon, *Lettres*.

zawsze tak smutny i melancholijny: nieskończoność morza przed oczyma, nieskończoność niebios w sercach. Myślą, modlitwą, wznoszą się powoli ponad te rozległe przestrzenie, ponad gwiazdy, ponad własne dusze i wszystkie stworzenia, aż do Boga. Sięgają do Niego, dotykają Go, *ictu oculi, ictu cordis*, zachwytem serca, i przynajmniej przez chwilę dusze ich tonę w wizji wieczności. Ale nie wznoszą się tam osobno. Syn nie zapomina w swoim zachwycie o matce: matka w swem szczęściu pamięta o synu; wznoszą się społem; ręce ich spotykają się, ściskają, i dzieląc się w ten sposób swemi uczuciami, podwajają swoje szczęście. Oto wierny obraz Nieba, jeśli dołączymy jeszcze do tego wieczną trwałość: oczyma i sercem w Bogu, a dłonią w dłoni w naszych ukochanych!

EPILOG.

DROGI ŚWIATŁOŚCI.

MISTRZ.

Błogosławieni, którzy wierzą!

UCZEŃ.

O tak, błogosławieni, którzy wierzą! Ale powiedz mi, Mistrzu, co począć, aby uwierzyć? Oto już lat dziesięć, dwadzieścia jak szukam wiary, nie mogąc jej znaleźć. Gdzie ona jest? Czy znasz drogę do niej? Czy jest gdzie świtająca jutrzenka, miejsce ochłody, światłości i pokoju?

MISTRZ.

Tak, jest takie miejsce. Znam drogę do niego. Wskażę ci ją. Duszo ukochana! nabierz odwagi. Kto poczyna sobie przykrzyć ciemność, już do niej nie należy. A kto wzdycha do utraconej światłości, jest już jej prawie godzien.

UCZEŃ.

Mów prędko. A jeżeli masz w ręku dobrodziejstwo wiary, zlej je na moją duszę, bo wiele wycierpiałem. Od lat wielu toczy mię zwątpienie. Wiele czytałem, wiele rozprawiałem, i nie doszedłem do niczego. Tyle jest sprzecznych ze sobą religii, a w każdej z nich takie ciemności i tyle tajemnic, że się prawie wyrzekłem nadziei znalezienia kiedykolwiek prawdy.

MISTRZ.

Jakże cię żałuję, żeś był przez czas tak długi pastwą zwątpienia! Ale ileż nadziei budzi we mnie to, że nad tem cierpisz, i jakże mi jest jasnem, że jeżeliś jeszcze nie doszedł do prawdy, to dlatego tylko, żeś zmylił drogę! Zdajesz się czynić religię zależną od rozumu, od nauki, od długotrwałych i głębokich dociekań. Zastanów się wszakże. Gdyby religia była kwestją rozumu i nauki, to chociaż, jak mówią, pełne są ich dziś ulice, ileżby musiało być z niej wydziedziczonymi? Cóżby się stało z maluczkimi i ubogimi? A z młodymi, którzy umierają w kwiecie wieku, zanim doszli do pełnego rozwoju sił umysłowych; a także z nieprzejrzanymi zastępami kobiet, którym Bóg dał wprawdzie, równą męskiej inteligencję, a czasem i geniusz, ale którym dał nadto o wiele więcej: podniosłość serca, majestat macierzyństwa, anielską czystość dziewictwa,— które otwierają nam oczy i zamykają je, i których życie tak jest zapełnione wspieraniem i pocieszaniem naszego, że nie można od nich wymagać skupienia i całkowitego oddania się, koniecznych przy poszukiwaniu prawdy? Społeczność Boga i dusz miałaby zatem swą arystokrację! Ci, którzy już wszystko posiadają: rozum, czas, majątek, posiadaliby bardziej od innych Boga, posiadaliby Go łatwiej i zupełniej! Maluczcy, ubodzy, pracujący, nie mogliby wznieść się do Niego! Przypuszczenie podobne przejmuje wstrętem. Bóg winien nam był dać krótki, prosty, łatwy, dla wszystkich dostępny sposób zawierania z Nim tego niebieskiego związku, zwanego religią.

UCZEŃ.

Zapewne. Ale jakiż jest ten łatwy i prosty sposób?

MISTRZ.

Jest ich kilka, i bardzo prostych i łatwo dostępnych; albowiem Bóg, który chce, aby wszyscy ludzie znaleźli prawdę, nie szczędził im sposobów jej poznania. Ale przystąpmy odrazu do najpiękniejszego i najniezawodniejszego. Czy pamiętasz, com ci rzekł o głównej istocie religii?

UCZEŃ.

Tak jest; i myśl ta nadzwyczaj się mi podobała. Uważałem zawsze religię za przymuszony hołd, za cześć narzuconą ludziom przez Boga, który niewiele się o nią troszczy. Widziałem w niej tylko obowiązek, pozbawiony godności, piękności, uroku. Myśl twoja uśmiecha mi się. Wydaje mi się być oczywistą. Religia jest spotkaniem Boga i człowieka, spotka-

niem ich serc. Bóg i człowiek to dwie istoty, albo lepiej jeszcze dwie miłości, które dążą do siebie wzajem. Spotykają się w religii; ona zadawalnia święty pociąg, jaki mają jeden dla drugiego. Proste to i wzniosłe zarazem.

MISTRZ.

A więc jeżeli tak jest, jeżeli religia jest stosunkiem Boga i człowieka po przez serca, czy nie spostrzegasz prawdziwej drogi, jaka doń prowadzi? Jeżeli chcesz trafić do tej świątyni, pozostaw rozum, weź z sobą tylko serce. Pozostaw geniusz, naukę, weź z sobą tylko miłość. Kołacząc do drzwi, nie mów: „Chcę widzieć„ —ale: „Chcę kochać.“

Tak jest, jeżeli pragniesz odnowić z Bogiem ten słodki i głęboki obowiązek religii, rzuć jałowe zarzuty; uczyń coś prostszego i zarazem słodszego: usiłuj kochać.

Kropla miłości w sercu wytwarza więcej światła, aniżeli przeczytanie setek tomów. Wystarcza ona do rozstrzygnięcia wszelkich wątpliwości, do rozproszenia wszelkich mroków. Bo wiesz, jaki jest przywilej miłości? Otacza przedmiot ukochania jasnością, przy której wszystko blednie. Kocham: wszystko gaśnie, wszystko traci urok; jedno już tylko wzbudza we mnie zachwyt—przedmiot mojej miłości.

A rozpraszając mroki i cienie, miłość przenika zarazem tajemnice. Przeczuwa je, odgaduje. Dziwisz się, że Bóg tak wielki zniża się ku tak małemu człowiekowi; że ma sobie za szczęście z nim przebywać; że urodził się w żłobie; że umarł na krzyżu. Rozum może się w istocie dziwić, ale nie serce, bo ono czuje się zdolnem uczynić tosamo, skoro kocha. Miłość jest zarazem wzniosłym oświecicielem i wszechmocnym robotnikiem.

UCZEŃ.

Znaczy to, że gdybym kochał, mógłbym uwierzyć.

MISTRZ.

Właśnie.

UCZEŃ.

Ale jakże kochać Boga? Jest On tak wysoko, tak daleko, tak jest niedostępny! Przyznam ci się, że słowo to w ustach chrześcijan wydawało mi się zawsze próżnym dźwiękiem.

MISTRZ.

Kiedyś poznasz jego rzeczywistość i słodycz. Tymczasem

kochaj wszystko, co znasz z Boga, wszystko, co z Niego w tobie pozostało; bo nie przypuszczam, ażebyś był tak nieszczęśliwy, iżby nic Bożego nie pozostało w gruzach twojej duszy. On jest prawdą; kochaj prawdę. Jest sprawiedliwością; kochaj sprawiedliwość. Jest czystością; kochaj czystość. A skoro raz staniesz na tej pochyłości, to bez trudu, bez wysiłków, samem tylko prawem ciężkości zsuniesz się w objęcia religii.

A trzeba ci tu powiedzieć słówko jaśniejsze i zarazem praktyczniejsze. Nie możesz kochać Boga, ponieważ jest za wysoko, za daleko, zanadto wielki: kochaj człowieka, jego dziecię, nadewszystko tego, który nie jest ani wysoko, ani daleko, który nie jest wielkim. Kochaj służącego, który ci czyści obuwie, odźwiernego, który ci podaje klucz od mieszkania; stróża, który zamiata ulicę przed twoim progiem. Nie możesz zbliżyć ust do pełnych chwały nóg Boga: kładź je na upokorzonych lub zbolałych rękach ubogiego. Powiedz sobie: „Szukam prawdy, nie znajduję jej. Będę czynił dobro. Będę się starał czynić takowe jak najwięcej. A wtedy jedno z dwojga: Albo Bóg jest, więc wynagrodzi mię, ześle na mnie światło. Albo Go niema...“

UCZEŃ.

Ależ, nie, to niepodobna. Bóg jest, koniecznie, niezaprzeczenie. Inaczej dobro byłoby urojeniem, cnota snem, sumienie oszukaństwem! Łotry tylko byliby w posiadaniu prawdy!

MISTRZ.

Dobrze mówisz, synu; lubię ten dreszcz oburzenia duszy twojej. Tak, Bóg jest! I skoro będziesz czynił dobrze, stanie się z tobą to, co niegdyś ze sławnym Donoso Cortès, hiszpańskim posłem we Francji, który z młodości obojętnej i bez religii, wzniósł się nagle do światła tak niewzruszonej wiary, że stał się jej apostołem. Zapytany, w jaki sposób odegnał te wszystkie wątpliwości, które tak długo zaciemniały jego potężny umysł, odpowiedział: „Nie wiem; pamiętam tylko jedno: oto nigdy nie zobaczyłem ubogiego, nie pomyślawszy przytem, że jest mnie równym i bratem.“

Albo jeżeli chcesz drugiego przykładu, stanie się z tobą, jak ze świętym Wincentym à Paulo. Kiedy się w młodości zachwiała jego wiara, instynkt, który Bóg dał nam wszystkim, ażebyśmy mogli znaleźć światło, popchnął go do miłosierdzia. Jak gdyby powiedział sobie: Wszystko w wierze jest ciemnością, tajemnicą. Trójca jest tajemnicą; Wcielenie jest tajemnicą; Odkupienie jest tajemnicą. Ale nie jest tajemnicą ubogi, dzie-

cko bez opieki, chory trawiony gorączką. Nie jest tajemnicą to, że należy cieszyć płaczących, karmić głodnych, odziewać nagich; i nie tajemnicą, ale światłem olśniewającem jest miłosierdzie, ofiara, zapomnienie o sobie: poświęcenie. Wiara jest tajemnicą, ale nie jest tajemnicą miłość. Rzucę się więc w światłość miłości, ażeby przejrzeć ciemności wiary. W taki oto sposób, święty Wincenty à Paulo pokonał wątpliwości i w taki ty sam je pokonasz.

Kochaj zatem Boga. Usiłuj dosięgnąć do Jego ust błogosławionych, a przynajmniej do nóg i rąk przebitych dla nas; a jeżeli nie możesz tam dosięgnąć, całuj stopy ubogich, małych, opuszczonych; bo miłość, która jest treścią religii, która stanowi jej piękno i nienaruszoność, jest z konieczności drogą i drogą do niej.

UCZEŃ.

Ten więc jest ów twój niezawodny sposób. Kochać Boga, kochać wszystko, co z Niego mamy: prawdę, sprawiedliwość, czystość, cnotę; kochać człowieka, który jest tworem Boga, a najbardziej małego, ubogiego nędzarza; kochać go, to znaczy szanować go, wspierać, opiekować się nim, pocieszać go, jednem słowem: czynić mu dobrze. I utrzymujesz, że ten, któryby tak postępował, doszedłby niezawodnie do prawdy?

MISTRZ.

Tak, niezawodnie, według tych pięknych słów: „Uczynki rodzą miłość, a miłość rodzi wiarę.“ A postępując tak, nietylko dojdziesz do religii w ogólności, ale jeżeli jest taka, którą Bóg objawił, dojdziesz do niej niechybnie. Bo jeżeli Bóg ją utworzył, jakąż musi być ona? Oczywiście taką, w której Bóg najbardziej kocha człowieka, w której człowiek najbardziej kocha Boga, w której Bóg i człowiek łączą się węzłem ściślejszym. Im więcej zatem będziesz kochał, tem pewniej i rychlej będziesz popchnięty w objęcia prawdy.

UCZEŃ.

Zatem twój wielki sposób doprowadzenia dusz do wiary, to proste zalecenie im: Czyńcie dobrze?

MISTRZ.

Tak; czy ci się to wydaje dziwnem?

UCZEŃ.

Przeciwnie, zachwyca mię to i wyznaję, że jeślibym mógł

być przekonanym, że ta jest droga do wiary, skłoniłoby mię to stanowczo prawie, ażebym został chrześcijaninem. Bo cóż nad to piękniejszego i pełniejszego pociechy? Czynić dobrze! roztaczać naokoło siebie atmosferę cnoty! A w miarę jak życie upływa, jak dzień zbliża się ku schyłkowi, wspominając czas, który już nie wróci, módz powiedzieć sobie: „Miałem w życiu wiele smutków, zawodów; popełniłem może wiele błędów, ale zdaje mi się, żem przynajmniej nie przeszedł przez nie bez uczynienia odrobiny dobra!“ A za nadejściem wieczoru życia widzieć u swego śmiertelnego łoża dzieci i wnuki, błogosławić im po raz ostatni i módz pomyśleć: „Nie pozostawiam im tyle mienia, ani niestety tyle szczęścia, ileby im życzyło moje ojcowskie serce; ale nikt im nie odbierze tej pociechy, że będą zawsze mogły powiedzieć: „Nasz ojciec był zacnym człowiekiem!“ Myśli te mnie rozrzewniają. Poruszają we mnie to, co jest najpodnioślejszem, najszlachetniejszem, najgłębszem. Zaprawdę niczem jest zdrowie, niczem majątek, niczem wiedza ani też sława. Jedna jest tylko na świecie rzecz godna zabiegów człowieka, godna jego wielkości, oto: usiłowanie żyć i umierać jako człowiek zacny. Ale jesteś pewnym, że tego dosyć, ażeby dojść do prawdy?

MISTRZ.

Najzupełniej pewnym. Trzeba tylko dobrze pojąć znaczenie tych słów: „czynić dobrze.“ Oto człowiek dobry, prawy, uczciwy; miłuje on ludzi, wspomaga nieszczęśliwych. Cóż czyni? Stwarza sobie skrzydło, które go uniesie ku światłu. Ale jednocześnie popełnia niesprawiedliwość; obmawia współzawodnika lub szkodzi mu podstępnie; nienawidzi nieprzyjaciela; korzysta z niewinności lub słabości; cóż czyni? przywiązuje sobie kulę do nogi, ciężar, który uniemożliwia mu wzlot w górę. Czyż tego nie czujesz?

„Każdy bowiem, który źle czyni, powiada Jezus, nienawidzi światłości, ani idzie na światłość“. Nie jest ani godzien tego zbliżenia, ani do niego zdolny; potrzeba ażeby się wyrzekł zła, przynajmniej chęcią, a czynił dobrze tak wewnątrz, jak i na zewnątrz. „Biada wam... obłudnicy, iż oczyszczacie co jest zewnątrz kubka i misy, a wewnątrz pełni jesteście drapiestwa i plugastwa.“ Jesteś dobrym, uczciwym, prawym, pobłażliwym: to już wiele, ażeby dojść do Boga. Oto brzegi naczynia przygotowane. Idźże dalej. Czy serce jest czyste? Prawda jest jako rosa: chcąc ją mieć czystą, należy zbierać w czyste naczynie. Zrozumiej wielkie słowa, które śpiewamy co niedziela: *Natus ex Maria Virgi-*

nc. Bóg rodzi się w duszach tylko tak, jak się narodził przed wieki. Jest płodem serc czystych.

UCZEŃ.

Rozumiem to. Ale, Mistrzu, drżę rozumiejąc.

MISTRZ.

A jednakże i Platon powiedział to samo:

Czegóż trzeba, ażeby oglądać Boga? Być czystym i umrzeć.

Wzdychasz do światła. Nie stawiajże na jego drodze grubej, nieprzejrzystej zapory. Inaczej światło, gdy nadejdzie, natrafi na zaporę i odbije się od niej. Przygotuj dlań czysty kryształ, piękne szkło przejrzyste. Światło przyjdzie przeniknie je i pozostanie, rozświetlając wszystko. Wielką, przeszkodą dla dusz w widzeniu Boga są zmysły. Oto owa zapora. Owe zmysły grube, ciemne, obciążają i psują duszę; trzeba je poskramiać, umartwiać, uduchowniać, wyanielać, ażeby oswobodzić duszę. Nim nadejdzie śmierć, która zdejmie zasłonę, trzeba przyzwać na pomoc czystość, która uczyni ją przeźroczystą.

UCZEŃ.

„Być czystym i umrzeć.“ Gdzie Platon znalazł tak boskie słowa? Mogłyby jaśnieć na stronicach Ewangelii.

MISTRZ.

Braknie tam jednakże jednego słowa ale tylko jednego, ażeby zdanie było zupełnem. „Być czystym i umrzeć!“ Nie, to jeszcze nie jest boska ścieżka do światłości. Trzeba było powiedzieć: „Być czystym, pokornym i umrzeć!“ Nietylko bowiem ciało obciąża i zaciemnia duszę; obciąża się ona sama, nadymając pychą. Traci siły, wynosząc się, wywyższając grzesznie. Nadto, czyniąc z siebie punkt środkowy wszystkiego, traci poczucie proporcji; widzi jedynie siebie samą; wzrok jej nie jest mocen uchwycić harmonii. Nakoniec,—i to stanowi główne przekleństwo pychy,—izolując się sama w sobie, nie otrzymuje już prawie nic z góry. Na podobieństwo ludzi zabezpieczonych niepalną odzieżą, którzy przechodzą bezkarnie przez ogień, dusza taka żyje w pośród Bożej światłości, nie oświecając się nią. Nauka tegoczesna odkryła sposób *izolowania* ciał niektórych; przestają być przewodnikami światła, ciepła, elektryczności. Pycha sprawia duszy ten straszliwy skutek. Zmysły odejmują duszy przejrzystość, pycha ją

izoluje. Oboje sprawują, że jest niedostępna wyższemu światłu.

Któż pojmie całą piękność czystości! Jest ona światłem ciała, jak pokora jest światłem ducha. Pokora, czystość, miłość—zaprawdę to są trzy Gracje. Nie można ich rozdzielić. Złączone są z sobą w sposób boski. Jedna wiedzie do drugiej. „Kto czyni miłosierdzie, dochodzi do światłości.“ Oto miłość bliźniego prowadzi do prawdy. „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają.“ Oto znowu czystość prowadzi do światłości. Chcesz widzieć je w połączeniu? „Jakże jest pięknym w światłości, czysty zastęp bojących się Boga!“ Oto pokora, czystość, i miłość, które się łączą by zanieść duszę w objęcia Boga.

UCZEŃ.

Zaczynam rozumieć twoją teorję. Ponieważ religia jest węzłem, łączącym Boga i człowieka, wszystko, co zbliża do Boga: miłość, uczciwość, czystość, pokora,—z konieczności musi zbliżać do religii i jeśli jest jaka, objawiona przez Boga, musi nieomylnie do niej prowadzić. Pojmuję nawet, że to jest najpewniejsza droga. Bo cóżby tu mogło łudzić? Chcę wygnać zło; chcę czynić dobrze. Kto może się mylić, tak zamierzając? Za zasadę mego życia biorę czynienie dobrze, wierne, stałe, bezinteresowne, odważne wykonywanie obowiązku. Oczywiście tu jest prawda. Oto droga, prowadząca niechybnie do Boga. Niepodobna, aby On nie stał u jej kresu.

MISTRZ.

Tak, niepodobna ażeby skoro człowiek przez cnotę stanie u jednego końca tej drogi, Bóg z prawdą nie był u drugiego. Wspomnij na marnotrawnego syna. Jak tylko uczynił pierwszy krok na tej drodze, ojciec był już na drugim jej końcu, i to oddawna.

UCZEŃ.

Rozumiem to doskonale. Ale powiedz, czyliż istotnie niema nic więcej do zrobienia, ażeby dojść do wiary? Jakto żadnych studjów? Bóg dał nam ducha, rozum, pojęcie; dał je nam dla prawdy, ją mając na celu, ażebyśmy mogli ją znaleźć, nią się cieszyć; a nie stosujesz ich! pozostawiasz je bezczynnymi! Nie powierzasz im żadnej roli w szukaniu prawdy! Przyznaję, że mię to dziwi i boli.

Miej cierpliwość! Przyjdzie kolej i na naukę, na badanie. Umysł wejdzie wkrótce na scenę i odegra ważną rolę. Ale godzina jego jeszcze nie nadeszła. Religia jest spotkaniem Boga i człowieka, spotkaniem ich przez serce. Serce więc występuje pierwsze; miłość przygotowuje warunki spotkania, nastraja duszę według Boga, ażeby mogła odczuć Jego obecność i dążyła do Niego z radością; bo wiesz, że społeczność jest możliwą tylko pomiędzy podobnemi sobie istotami. Uczyniliśmy to już, ale ta pierwsza czynność nie jest jeszcze skończoną.

Do miłości, która czyni dobrze, rodzi w nas czystość i pokorę, która przygotowuje duszę, trzeba dołączyć modlitwę, która ściąga Bożą iskrę i roznieca płomień. Tego nauczał i sam doświadczył Maine de Biran w tych ciężkich latach, kiedy wracał powoli do światła. W notatniku swoim, gdzie co wieczór zapisywał bolesne swe uczucia i wrażenia, takie naprzykład wskazuje środki powrotu do prawdziwego życia: „Naprzód pragnąć, czuć swoje braki, swą nędzę, zależność i usiłować wznieść się wyżej. Powtóre modlić się, ażeby zstąpił duch mądrości, czyli żeby przyszło królestwo Boże; modlić się, oczy mieć zwrócone ku źródłu, z którego przychodzi nam światło. W ten sposób dochodzimy do posiadania nieskończonego, niewyczerpanego skarbu." „Któż mi da—mówił jeszcze—skrzydła modlitwy?... Ach jakże potrzebuję się modlić!" A zarazem potem: „Dzień pokoju, rozsądku i względnego szczęścia—skutek modlitwy."

Te są słowa wielkiego filozofa, największego może filozofa naszego wieku. Rozum wskazał mu, że dla dojścia do światła modlitwa więcej jeszcze może, aniżeli rozum. Po miłości najsilniejszy to środek. Zresztą modlitwa jest trudną dla tych tylko, którzy nie kochają. Skoro kochamy, nie trudno nam powiedzieć z Oblubienicą Pieśni: *Osculetur me osculo oris sui.*—Przybliż Panie usta Twoje do ust moich, ażebym wyszedł z mej samotności i powrócił do słodkiego obcowania wiary; albo z Samarytanką: *Domine da mihi bibere*—Panie, daj mi pić, ażebym nie potrzebował już przychodzić samotnie w skwar południowy do tej Jakóbowej studni, tak oddalonej i tak rzadko obfitującej w wodę. Oto jest modlitwa. Chcesz powrócić do religii, do tego słodkiego związku Boga i człowieka, słusznie więc usiłujesz zbliżyć do Niego twe serce; ale niedosyć na tem: trzeba, ażeby On także przyszedł, ażeby pochylił się nad tobą jak ojciec, a o to trzeba Go prosić. Od tak już dawna wzgardziłeś tym związkiem: czyż nie możesz uklęknąć i prosić Boga, ażeby go wrócił?

UCZEŃ.

Tak zapewne; ale do modlitwy potrzeba wiary; a jeśli ażeby uwierzyć, trzeba się modlić, czyż nie jest to błędne koło?

MISTRZ.

Ach tak, jest to błędne koło. Świat jest pełen takich kół błędnych. Ale posłuchaj, jak Bóg pozwala wybrnąć z tego tu koła. Przyznaję, że ażeby módz się modlić, trzeba wiary, przynajmniej zaczątków wiary. Zaczątki wiary to smutek w niedowiarstwie, to twój niepokój, twoja próżnia; zaczątki wiary to twoja niepewność, owo „może," które ci co chwila podszeptuje znękane serce: Może jest prawdziwa religia? może znalazłbym, gdybym dobrze szukał, drogę do niej? Czyż nie możesz wtedy uklęknąć i powiedzieć: „Mój Boże, wybaw mię ze zwątpienia! Ty któryś mię stworzył, ześlij na mnie światło i połóż koniec memu smutkowi i ogromowi moich męczarni!"

A jeśli tego jeszcze nadto, jeśli to uznanie Boga za trudnem byłoby dla twego niedowiarstwa, zmów modlitwę, której Fénelon z tak tkliwą delikatnością uczył tych, którzy wątpili za jego czasów. „Jeżeli to prawda, że jest ponad człowiekiem jakaś istota potężniejsza i lepsza od niego, od której on jest zależny, zaklinam tę Istotę na jej dobroć, ażeby użyła swej potęgi ku memu wspomożeniu. Widzi Ona moje szczere pragnienie, moją nieufność w sobie samym, moje uciekanie się do Niej. O Istoto nieskończenie doskonała, jeżeli prawdą jest, że istniejesz i że słyszysz wołanie mego serca, ukaż się mi! podnieś zasłonę zakrywającą Twe oblicze! ustrzeż mię od niebezpieczeństwa niepoznania Ciebie, błąkania się zdala od Ciebie i uwodzenia się memi myślami w szukaniu Ciebie! O prawdo, o mądrości, o dobroci najwyższa! jeżeli prawda, że jesteś tem wszystkiem, co mówią, i że uczyniłaś mię dla siebie, nie znieś, ażebym należał do siebie samego i żebyś Ty nie posiadał dzieła rąk twoich. Otwórz mi oczy; ukaż się Twojemu stworzeniu!"

UCZEŃ.

Dziwna rzecz! to prawie tesame wyrażenia, co w tchnącem tymże duchem wołaniu smutnego i zbolałego serca, tego biednego Alfreda Musset'a:

Jeśli nasz ucisk śmiertelny
Do ciebie dotrzeć jest w stanie,
Jeżeliś jest nieśmiertelny
I słyszysz nasze wołanie,—

Ach, skrusz sklepienie tych ciemnic,
Co kryją niebo przed nami!
Usuń zasłony tajemnic,
Ukaż się Panie nad Panami!

MISTRZ.

Ale nie; dajmy pokój tym „może," tym „jeżeli," tym przypuszczeniom, wymyślonym przez ludzi na pokrycie ich powrotu do wiary. Bóg jest; nie wątmy o tem. Żyje w nas, nie potrzebujemy Go daleko szukać. Mówmy Mu więc poprostu: „Ojcze nasz, któryś jest w Niebiesiech, święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w Niebie, tak i na ziemi; chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj; i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom; i nie wwódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen." Odwołuję się do twojej bezstronności; kto tej modlitwy zmówić nie może?

UCZEŃ.

Ach, każdy! Co do mnie, nie znam nic nad nią piękniejszego, bardziej podnoszącego duszę i głębszego przy całej swojej prostocie. Otwiera przedemną niezmierzone widnokręgi. Przyznam ci się nawet, że oddawna mówię ją w głębi serca. Wzruszała mię zawsze; jeszcze mię jednak nie oświeciła.

MISTRZ.

Mów ją i nadal. Chrystus powiedział: „Kołaczcie, a będzie wam otworzono!" Kołatałeś, a nie otworzono ci. Kołacz jeszcze, a nadewszystko kołacz mocniej. A gdyś zakołatał, przysłuchuj się, czy nie otwierają. Wielu kołacze i odchodzi. Kiedy Mistrz przychodzi drzwi otworzyć, już ich niema. Powiedziawszy: „Mów, Panie, bo słucha sługa Twój!" trzeba słuchać, a iżby słuchać, potrzeba się uciszyć. Proste to zaprawdę, ale ważne.

Czy zastanowiłeś się kiedy nad tem, w jakich okolicznościach Chrystus przyszedł na świat? Przyszedł wśród najzupełniejszej ciszy. Umilkły najpierw głosy Proroków, święte głosy rozlegające się od wieków, przygotowujące świat do przyjęcia Zbawiciela. One zamilkły pierwsze. Następnie uspokoił się i ucichł powoli zgiełk zdobywców, którzy od wieków byli plagą ziemi i napełniali ją zamieszaniem i przerażeniem. „August zamyka świątynię Janusa, i Chrystus przychodzi na świat. Niedosyć jeszcze było tej ciszy. Bóg czeka jeszcze, aż cienie nocy uciszą wrzawę dnia i zamęt spraw ludzkich, i wów-

czas to wpośród zupełnego milczenia: milczenia Proroków, milczenia zdobywców, milczenia spraw ludzkich, milczenia nawet natury—usłyszano głos. Rozlegał się on nad kolebką i ogłosił: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!"

UCZEŃ.

Rozumiem dobrze to milczenie. Jeżeli Bóg raczy do nas przemawiać, słuszna jest, abyśmy Go słuchali w skupieniu. Ale przyznaję ci, że mię to milczenie przeraża; bo jakże je osiągnąć? Znasz nasze życie, życie tegoczesne. Interesy nas pochłaniają, troski nas gnębią. Uszy nasze są pełne tysiąca odgłosów potrzebnych lub niepotrzebnych. Potrzebaby samotności, a gdzie ją znaleźć? życie nasze nie należy już do nas, ale do całego świata; gna naprzód całą siłą pary. Ulituj się nad niem; ruch nowoczesny takiem je uczynił. Nie wymagaj odemnie niepodobieństwa.

MISTRZ.

Nie przerażaj się tak i zrozumiej mnie. Nie wymagam od ciebie ani milczenia spraw ludzkich, ani milczenia naukowych badań, ani wyrzeczenia się stosunków z ludźmi. Wszystko to jest uprawnionem i jako takie nie przeszkadzało nigdy wzniesieniu się duszy do Boga. Ciszę tu potrzebną, łatwo bardzo osiągnąć. Czy wiesz, co czynił Kartezjusz, ażeby dojść do prawdy?

UCZEŃ.

Wiem doskonale. Spostrzegł on, że mu zapełniono umysł mnóstwem pojęć, nie dowiódłszy mu ich dostatecznie, i nie wiedząc jakie odrzucić, a jakie zatrzymać, postanowił usunąć je czasowo wszystkie; zmazać wszystko, według jego własnego wyrażenia, a potem w tej ciszy i samotności odbudować cały gmach tej prawdy, wypróbowując każdy kamień z osobna.

MISTRZ.

I ty uczyń taksamo. Odrzuciłeś już wszystkie pojęcia religijne, pod pozorem że nie były dostatecznie dowiedzione; odrzuć taksamo wszystkie zarzuty przeciw religii, próżne cienie, widma trapiące cię. Zmaż wszystko. Niechcesz przyjąć nic przemawiającego na korzyść istnienia Boga, coby nie było dostatecznie dowiedzionem; proszę cię więc, nie przyjmuj również nic Mu przeciwnego, coby nie było również dobrze dowiedzionem.

UCZEŃ.

Ależ zdaje mi się, że sama uczciwość tego wymaga!

MISTRZ.

Zapewne, ale postępuje się uczciwie względem wszystkich, tylko nie względem Boga. O swoim przyjacielu,—co mówię? - o pierwszym lepszym nie uwierzonoby w to, w co się wierzy, kiedy rzecz tyczy się Boga. Pomysły najniedorzeczniejsze, nauki najpotworniejsze, opowiadania najdziwaczniejsze, z których by się śmiano, gdyby pogłoski przypisały je naszemu służącemu lub odźwiernemu, przyjmują się bez wahania, jeżeli idzie o religię. Przynajmniej gdyby szło o ludzi, staranoby się jej sprawdzić, ale gdy idzie o Boga, nikt o tem nie myśli. Na podstawie jakiegoś opowiadania, jakiegoś zasłyszanego słówka, przyjmuje się za pewne, za dowiedzione najbardziej oburzające rzeczy. Żyje się z tem przekonaniem lat dwadzieścia, trzydzieści, a nie przyjdzie nam na myśl przeczytać coś o tem, lub się kogoś zapytać. Zresztą czyż kto czuje potrzebę badania kwestji tyczących się religii? każdy sądzi, że wie wszystko.

Jesteś młodym i jesteś prawym. Nie możesz wiedzieć do jakiego stopnia dochodzi teraz, ten obłęd, jakie fałszywe pojęcia świtają w umysłach, jakie błędne ogniki prowadzą na manowce wyobraźnię, jakie śmieszne, a nieraz wstrętne widmo jest brane, często nawet z najlepszą w świecie wiarą, za religię. Wróciliśmy do tych pierwszych wieków chrześcijaństwa, w których największą przeszkodą do nawracania się pogan, była ich najzupełniejsza nieznajomość religii i najniedorzeczniejsze pojęcia, jakie sobie o niej wytwarzali, i w których pierwszy promień światła, padający na duszę prawą, na umysł takiego Justyna, Klemensa Aleksandryjskiego, Augustyna, przejmował ich podziwem i zawstydzeniem. „Jakże mi wstyd było—pisał ten ostatni—że byłem tak zuchwały i bezbożny, iżem przypuszczał, że Kościół naucza rzeczy tak śmiesznych, i żem się nigdy nie starał w tem oświecić! Nieszczęsny, szczekałem od lat tylu nie przeciw religii katolickiej, która nic takiego nie mówi, ale przeciwko urojeniom mojej występnej wyobraźni."

I z nami tak się dzieje. W dziennikach, w przeglądach, w codziennych rozmowach szczeka się przeciw urojeniom. Ileż to razy świadkiem tego byłem! Iluż to ludzi szlachetnych i rozumnych mówiło mi: „Jakże chcesz, abyśmy uwierzyli w takie rzeczy?" A kiedy im odpowiedziałem: „Ależ religia bynajmniej tego nie naucza, mówi tylko to i to"—byli niepomiernie zadziwieni, i kilku ich nawróciłem tem prostem wyjaśnieniem.

Widzisz więc, jakiej ciszy od ciebie wymagam: oto najzupełniejszego uciszenia uprzedzeń względem religii. Przekreśl wszystkie. Powiedz sobie: Nie przyjmę nic przeciw Bogu, przeciw religii, coby nie było zgłębionem, sprawdzonem, dowiedzionem. I jak Kartezjusz po dotarciu do głębi znalazł stały jasny punkt, na którym się oparł, ażeby odbudować cały gmach prawdy, ty także po usunięciu zwodniczych cieniów, dostrzeżesz punkty stałe i jasne Stań naprzeciwko nich odważnie i szczerze. Jest Bóg. Możesz-że o tem wątpić? Czyż to nie jest punktem świetlanym w twoim umyśle, w twojem sercu, w twojem sumieniu? Jest dusza. Czyż o tem wątpisz? Między Bogiem a duszą jest harmonia, jest wzajemny pociąg, oczywisty, niezaprzeczony związek. Badaj tę harmonię, zgłębiaj ten pociąg. Spytaj siebie: „Czy ja rzeczywiście wątpię o Bogu? Czy naprawdę wątpię o mojej duszy? Czy watpię o ich stosunku do siebie? Dlaczegoż więc nie żyję zgodnie z tą moją wiarą?“ Oto czego od ciebie wymagam przedewszystkiem. Czyż to nie jest rozsądne, sprawiedliwe? Czy nie możesz mi tego przyobiecać?

UCZEŃ.

Nie będę miał w tem trudności, ani zasługi. Dzięki Bogu, te prawdy nie przyćmiły się nigdy w mojej duszy. Jaśnieją w niej tak słodkiem i tak czystem światłem, że myśl, iż mogłyby zgasnąć, napełnia mnie przestrachem. Byłaby to noc bez jednej gwiazdy. Ale przyznam ci, że z wyjątkiem tych świetlanych punktów wszędzie zresztą panuje mrok. W którąbądź zwrócę się stronę, wszędzie napotykam tysiące trudności. Czy zgadzasz sie, abym zaczął ich przegląd?

MISTRZ.

I owszem zachęcam cię do tego. Ale powiedz mi naprzód, czy gdyby ludzie badali religię Chrystusa i Kościół w usposobieniu, w którem cię teraz widzę; gdyby mieli umysł pokorny, serce czyste,—duszę w ciszy i skupieniu; gdyby na tak przygotowanem tle jaśniały takie gwiazdy, jak Bóg, dusza i ich wzajemny stosunek,—to chociażbyś tam widział chmury i cienie, czy nie uwierzyłbyś w blizki wschód słońca i piękno dnia?

UCZEŃ.

Owszem, Mistrzu.

MISTRZ.

A czy nie czujesz, że stan ten, do jakiego starałem się doprowadzić ciebie, jest stanem rzetelnym, potrzebnym, i że skoro chodzi o rzecz tak wielkiej wagi, jak religia, dusza nie powinna się cofać przed żadną ofiarą ażeby stan ten osiągnąć, gdyż inaczej obrażałaby Boga i uchybiałaby sobie samej?

UCZEŃ.

Oczywiście.

MISTRZ.

Rozpocznijże swe studja nad religią. A chociaż już jesteś u progu światłości, i czuję, jak rozluźniają się i słabną wszystkie więzy, które cię krępują, pozwól, abym ci dał niektóre rady co do tej ważnej sprawy. Bo niedosyć jest mieć założenie; trzeba jeszcze nie zboczyć z drogi. Otóż na to potrzebną jest pewna metoda.

UCZEŃ.

Mów, Mistrzu. Słowa twoje dodają mi odwagi. Zdaje mi się, że dostrzegam światło. Ale cierpiałem tak długo, że nie śmiem teraz oddawać się nadziei.

MISTRZ.

Przypominasz sobie, co ci rzekłem: Religia nie jest ani filozofią, ani algebrą, niedosyć więc badać ją rozumem; trzeba ją jednocześnie zgłębiać sercem, sumieniem, słowem — całą duszą. To pierwszy warunek, ażeby to badanie przyniosło korzyść. Ale i nietego dosyć; trzeba uczynić krok drugi. A oto jaki. Ponieważ religia jest największą rzeczą na ziemi, chcąc ją zrozumieć, trzeba ją badać tem, co jest w duszy największego.

UCZEŃ.

Rozumiem, Mistrzu, dobrze, warunek pierwszy: poznawać, badać religię całą swoją duszą. Ale co pojmujesz przez badanie religii tem, co mamy w duszy największego?

MISTRZ.

Słuchaj dobrze, bo nie powiedziałem ci jeszcze nic równie ważnego. Czy zauważyłeś, że wszystkie wielkie dusze są wierzące? Same przez się dążą do Boga. Skoro tylko napotkają religię, Chrystusa, chrześcijaństwo, pojmują to wszystko instynktowo i znajdują w tem odpoczynek.

UCZEŃ.

Jakto! pomiędzy tymi, którzy oddalają się od Jezusa, którzy nie zachowują zasad chrześcijańskich nie miałoby być wielkich dusz?

MISTRZ.

Nie to chciałem powiedzieć; uchowaj mię Boże, ażebym tylu szlachetnym sercom wyrządzał tak niezasłużoną zniewagę! Ale czy wiesz, przez co oddalają się one od Jezusa i chrystyjanizmu? czy przez to, co w nich jest szlachetnem i wielkiem? Bynajmniej. Przez to, co mają w sobie czystego, wzniosłego, głębokiego? Nie, po tysiąc razy nie! Przez cóż więc? Przez to, co w nich jest małem, ciasnem, powierzchownem, niespokojnem, mętnem. A oddalając się, cierpią. Pokazuje to, że dusza ludzka tem, co jest w niej wielkiemi dąży do Boga, do Chrystusa, do religii, do chrześcijaństwa. Oddala się od nich jedynie przez to, co jest w niej małem, nędznem.

UCZEŃ.

Jakże to, Mistrzu?

MISTRZ.

Osądź to sam. Przypomnij sobie, co ci się niejednokrotnie przytrafiło w chwilach, których niezawsze można uniknąć, kiedy potrzeba religii budziła się w twej duszy. Zdarzało się to w smutku, po doznanem rozczarowaniu: zobojętniał przyjaciel, umarła ukochana osoba. Albo w jednej z tych chwil, kiedy serce czuje próżnię, smutek, samo nie wiedząc dlaczego. Wtedy to niebo rozwidniało się nad tobą; Bóg się do ciebie przybliżał. I mówiłeś sobie: „Dlaczegóż zapomniałem o Bogu? Możeby do Niego powrócić?...“ Potem potrząsałeś głową ze słowami: „Później... zobaczymy.“ Wówczas i w wielu innych podobnych chwilach czułeś się jak gdyby w mocy dwóch przeciwnych prądów, z których pierwszy pociągał cię do Boga, do Chrystusa, do religii, a drugi oddalał cię od nich. Rozpatrz-że teraz uważnie i bezstronnie oba te prądy. Dostrzeżesz, że nie z tegosamego wypływają źródła i nie w tychsamych sferach duszy płyną. Jeden krąży po powierzchni, w tej pełnej zgiełku sferze, gdzie się rozstrzygają zagadnienia doczesne; drugi płynie spokojnie w tej cichej sferze dusznej, gdzie się rozstrzygają zagadnienia wieczności. Otóż który z tych dwóch prądów, powierzchowny czy głębszy prowadzi do wiary, a który popycha do niewiary? Zbierz swoje wspomnienia i sam rozstrzygaj.

Któremu z nich przypiszesz wrażenia namiętne i zmienne? A któremu myśli wypielęgnowane w milczeniu w samotności, w modlitwie? Któremu dowcip lekki szyderczy, zbywający wszystko drwiącem słówkiem, żarcikiem? A któremu głęboką rozwagę, badającą istotę rzeczy, wartość argumentów, doniosłość wyników? Któremu zamiłowanie przyjemności, pieniędzy, dobrobytu, niezależności, życia bez trosk i trudów? A któremu umiłowanie cnoty, opór grzechowi, posłuszeństwo obowiązkom? Któremu szukanie swojej korzyści, zadowolenia miłości własnej, próżnej chwały? A któremu uległość względem Boga, skromność przed ludźmi, zaparcie się siebie, dobrą i czystą wolę, szukającą cnoty i prawdy? Któremu upodobanie w złem? A któremu czystość?...

UCZEŃ.

Nie kończ, Mistrzu, Oszczędź mnie. Prąd, odpychający moją duszę od Boga, jest powierzchowny, niespokojny, mętny; prąd, unoszący mię ku Niemu, jest głęboki, spokojny i czysty. Znim chcę podążać, ale mi jeszcze racz dopomódz. Chcę poświęcić poznaniu prawdziwej religii mój umysł, serce, sumienie, całą moją duszę, i chce użyć do tego samych tylko wzniosłych stron tej duszy. Ale kieruj mną, bo nie wiem dobrze, jak mam to uczynić. Co naprzykład rozumiesz przez wielkie strony umysłu? Bo przypuszczam, że od umysłu należy rozpocząć.

MISTRZ.

Umysł nasz, jak się przekonasz niebawem ma stronę małą i wielką, i zależnie od tego, którą z nich stosujemy do Boga, nauki, religii, dochodzimy lub nie dochodzimy do wiary. Oto naprzykład dwóch ludzi, obaj bardzo inteligentni; jeden z nich, za ukazaniem mu Chrystusa powiada, że nie dostrzega w Nim żadnych cech prawdy; drugi tymczasem, za pierwszem do Niego zbliżeniem czuje, jak wszystkie jego wątpliwości w mgłę się rozwiewają; zważ jakim jest proces umysłowy u obydwóch. Jeden zastanawia się nad drobiazgowemi trudnościami w szczegółach, nad różnicami tekstów, nad sprzecznościami dat, nad niepodobieństwami metafizycznemi; drugi sięga do dowodów tkwiących na dnie duszy, do intuicji serca i do wielkich rezultatów życia. Jeżeli naprzykład chodzi o to, czy Chrystus jest Bogiem? — pierwszy poddaje krytyce tekst, warjant, hebrajskie znaczenie słowa: Syn Boży, jakąś trudność genealogiczną; drugi, wznosząc się ponad te drobiazgowe szczegóły, nie chcąc czynić swojej wiary zależną od omyłki kopisty lub nieporozumienia chronologicznego, staje wobec ludu żydowskiego i jego zadziwiającej histo-

rji, wobec Pisma Świętego i jego proroczego posłannictwa, wobec niezrównanej postaci Chrystusa, wobec Kościoła i jego cudownej niepożytości; wobec Boga, któryby nie mógł dopuścić, ażeby kłamstwo mogło nawrócić, przeistoczyć, uświęcić świat, i woła: „Ten-ci jest zaprawdę Syn Boży!“ Jeżeli chodzi o Wcielenie, Odkupienie, pierwszy zatrzymuje się nad drobnostkowemi trudnościami płytkiej metafizyki, wikła się w dociekaniach, *w jaki się to działo sposób*; drugi wznosi się wyżej, aż do świetlanych *przyczyn* tak wielkich tajemnic i mówi sobie: „Cóż w tem dziwnego, że Bóg poniżył się i upokorzył dla swoich dzieci, że umarł, ażeby je zbawić, kiedy każda dobra matka tosamo uczyniłaby?“ Znaczy to, że jeden stara się poznać Chrystusa tylko małą stroną swojego umysłu, stroną powierzchowną i małostkową; drugi używa do tego strony wielkiej, głębokiej, intuicyjnej. To też kiedy jeden z nich, uwikłany w małoważne kwestje lichej logiki, egzegezy i wiedzy swojej epoki, odchodzi smutny, odnosząc za całą korzyść swego badania większe tylko ciemności; drugi, zapatrujący się na rzecz z wyższego punku widzenia, uczuwa rychło, że przyczyny powątpiewania mają moc tylko nad powierzchowną stroną człowieka; przyczyny zaś skłaniające do wiary, poruszają i przekonywają człowieka wewnętrznego, i zachwycony wynikami tego badania, czerpie z niego światło życia i pogodę śmierci. Chcesz może drugiego przykładu?

UCZEŃ.

Tak, bo przyznaję, że te uwagi przejmują mnie zachwytem.

MISTRZ.

Mówmy zawsze tylko o rozumie. Zapewne zauważyłeś, iż umysł ludzki ma dwie odrębne strony: jedną, która pragnie widzieć, drugą, która chce wierzyć. Chcemy widzieć, widzieć jasno, całkowicie, widzieć bez żadnej zasłony: to jedna strona duszy. Potem w innych chwilach, to, co jest nie powiem ciemnem, ale ukrytem, tajemniczem, pociąga nas i zachwyca. Oto dlaczego religia, utworzona dla duszy człowieka, ma olśniewające blaski tajemnicze i głębokie. Widzimy i wierzymy. Patrzymy i zdajemy się na Boga. Zupełne to szczęście, w zupełnej prawdzie. Jeżeli więc chcemy jedynie widzieć, jeżeli uznajemy to tylko, czego możemy dotknąć ręką, jeżeli poza tem, co widzimy, nie odczuwamy tego co można tylko przeczuć, jeżeli nie przypuszczamy nawet istnienia tych ukrytych głębi, w których więcej się jeszcze zgaduje, aniżeli się widzi, — nie dojdziemy do niczego. Ale czyż tylko w religii nie dojdziemy do niczego? I w filozofii, w estetyce,

w przyjaźni, w prawdzie, w dobrem, w pięknie, w wiedzy ludzkiej zarówno jak w wiedzy Bożej. I za to, żeśmy zanadto chcieli widzieć, albo raczej chcieli jedynie *widzieć*, utracimy nietylko wielkie światło, ale i całe szczęście wiary. Czytałem gdzieś historję niewidomego, pielęgnowanego przez nieodstępną a kochającą siostrę. Był prawie szczęśliwym ze swojej ślepoty. Mówił, że na tym świecie, gdzie niema zupełnego szczęścia, jedną z najsubtelniejszych jego form jest być ślepym i kochanym. Mieć zawsze przy sobie żonę, córkę, siostrę, istotę drogą, która ciebie nie odstępuje, ponieważ nie możesz się bez niej obejść; módz ciągle mierzyć jej przywiązanie do siebie ilością obecności, jaką nas darzy i mówić sobie: „Ponieważ poświęca mi cały swój czas, a zatem posiadam jej serce w całości"; stwierdzić wierność jednej duszy w zaćmieniu całego świata; czuć się tem więcej kochanym, im się bardziej jest kaleką; w ciemności i przez ciemność stać się gwiazdą, około której krąży ten anioł: — mało jest powiadał, radości, tej równych. Takie najwyższe szczęście jest właśnie udziałem chrześcijanina. Niebo jego daje ogrom światła; widzi ono tyleż i tak daleko, jak każdy inny. Ale skoro zagaśnie światło, nadchodzi nie noc ale inny jaśniejszy dzień. Chrześcijanin zamyka oczy i oddaje się, powierza się Bogu. Dusza szuka Go po omacku i znajduje tak, jak wtedy kiedy miała oczy otwarte. Nie widzi Go, ale Go czuje. Podtrzymuje ją jakaś niewidzialna ręka. To Jego ręka. Jakieś serce bije przy jej sercu, — to Jego serce. Nacóż jej widzieć, skoro się Go dotyka? Czyż to nie największe szczęście? Nie oddałoby się tych cieniów za wszystką światłość.

Widzę, wiem, czuję!

Niema ślepoty tam, gdzie jest pewność. Pewność jest tam, gdzie jest miłość. To raj w pomroce.

UCZEŃ.

A więc, Mistrzu, lepiej jest nie widzieć. Zamykam oczy; wierzę.

MISTRZ.

Nie, trzeba widzieć i wierzyć. Trzeba badać i ufać. Trzeba chwilami otwierać oczy, ażeby dobrze widzieć, a w innych chwilach trzeba je zamykać, ażeby widzieć lepiej. Jednem słowem: ponieważ religia, utworzona dla duszy człowieka, jest zarazem cała światłością i cała tajemnicą: trzeba ją poznawać całym umysłem, całą jego wielką i wzniosłą stroną.

UCZEŃ.

Nie zapomnę nigdy tego, coś mi powiedział, i jasnem mi jest, dlaczego tylu ludzi nie dochodzi do poznania religii. Używają do tego małej strony swego umysłu, nigdy wielkiej: strony mędrkującej, powierzchownej i drobiazgowej, nigdy strony głębokiej i intuicyjnej. Ale przypomniałeś mi, że trzeba szukać prawdy całą duszą, zatem sercem tyleż, co i umysłem. Otóż pragnąłbym wiedzieć, czy i serce ma także stronę wielką i małą? i w jaki sposób mamy szukać prawdy wielką jego stroną?

MISTRZ.

Serce jest jak umysł; ma dwa bieguny: jeden ciasny, szukający siebie, samolubny; miłujący pozornie, nie znający naprawdę miłości. Cóż chcesz, aby człowiek o takiem sercu rozumiał z Boga, z Chrystusa, z Wcielenia, z Odkupienia? Zamknięty w ciasnym kole uczuć ziemskich, nie pojmując miłości inaczej, tylko jako radość albo rozrywkę; prędko rozczarowany, bo miłość tak pojęta rychło rodzi obrzydzenie; uśmiecha się, słysząc o miłości Boga; nie wierzy w nią, i jakże miałby w nią wierzyć, kiedy już nie wierzy w żadną miłość ziemską, bo może ich wszystkich nadużył! Często nawet oburza się, szczególnie jeśli jeszcze nie upadł tak nizko, jeśli uszanował w swej duszy to wielkie uczucie; to serce czułe, ale czułością czysto ludzką, woła wówczas, że chcecie znieść rodzinę, zgładzić rodzinne przywiązanie i szczęście domowe,— i ta miłość Boża, stanowiąca urok i szczęście serc wielkich, wydaje mu się przeciwnikiem i wrogiem. Dla czego? Ponieważ zapatruje się na miłość z ciasnego punktu widzenia, ponieważ zatrzymuje się na powierzchni serca. O, gdybyż zstąpił głębiej, w te tajniki, gdzie jest jej prawdziwe siedlisko; gdyby zrozumiał niezmierzoną wielkość i szczytną piękność serca człowieczego; gdyby pojął, że napróżno szuka ono zadowolenia na ziemi; że rozbija się i rani bezustanku o niedoskonałe uczucia, jak więzień o ściany swego więzienia; gdyby, gardząc miłością, która jest tylko rozkoszą, zrozumiał miłość która jest katuszą, katuszą płynącą z jej własnej wzniosłości, nie mocnej oddać się w takim stopniu, w jakim tego pragnie i cierpiącej nad tą niemocą,—wówczas wzniósłby się do pojęcia miłości nieskończonej, źródła wszelkich miłości i zarazem ich dopełnienia, ich ostoi, puklerza, zadatku wiekuistego życia, i znalazłby w swojem sercu dla zrozumienia Boga, który jest cały miłością, „przyczyny, których nie zna rozum." Bóg dałby się uczuć jego sercu. Poznałby intuicyjnie, a ra-

czej doświadczalnie, piękność wiary, słodycz nadziei, świętość miłości, i ze stosunków, które mu Bóg dał z ukochanymi na ziemi, wzniósłby się bez trudu do pojęcia swoich stosunków z Bogiem, to jest całej religii. Czemże jest światło umysłu wobec tego światła? Co znaczy widzieć Boga wobec odczucia Go sercem? Można wątpić, kiedy się widziało; ale nigdy, kiedy się odczuło. Bóg, drogi przyjacielu, uczynił z serca człowieka Ewangelię. Wyrył na niem wszystkie tajemnice. Uczynił z nas samych, przez naszą własną naturę Trójcę, Wcielenie; a w całej głębi ojcowstwa ukrył w nas stworzenie, opatrzność, odkupienie, ofiarę, krzyż. Spełniamy sami te wszystkie tajemnice względem naszych dzieci, ażebyśmy sami je w sobie nosząc, uwierzyli im tem łatwiej w Bogu. Ale na to trzeba, ażeby miłość pozorną, która szuka siebie i żyje zadowoleniem i szczęściem osobistem, zastąpić miłością prawdziwą, która czyni z siebie ofiarę, miłość małą – miłością wielką.

UCZEŃ.

A więc nie trzeba zaprzestać kochać, ażeby dojść do poznania Boga?

MISTRZ.

Przeciwnie. Im więcej będziesz kochał, byle tylko w czystości, w zaparciu się siebie, w poświęceniu, tem więcej serce twoje czuć będzie Boga. Bo Bóg jest miłością. Ma przeciw sobie tych jedynie, którzy nie kochają, albo kochają źle.

UCZEŃ.

To jest samolubów.

MISTRZ.

Właśnie. Wszystkie wielkie serca są z Nim, tak jak wszystkie wielkie umysły. A także wszystkie wielkie sumienia. Bo nie potrzebuję ci mówić, że jest także sumienie małe i wielkie, albo jeżeli wolisz sumienie ma stronę wielką i małą, i wszyscy ci, którzy zbliżają się do Boga wielką stroną swego sumienia, znajdują bez zawodu światło i pokój.

UCZEŃ.

Mistrzu, zaczynam rozumieć, co chcesz powiedzieć. Ale dokończ, coś rozpoczął i wskaż mi oznaki, po których można rozpoznać sumienie małe i odróżnić je od wielkiego.

MISTRZ.

Pamiętasz opowiadanie o tym młodzieńcu, którego Pan Jezus spotkał? Spojrzał nań Pan z miłością, a kiedy młodzieniec pytał go: *„Nauczycielu dobry, co dobrego mam czynić, abym*

miał żywot wieczny?—którym mu rzekł: Co mnie pytasz o dobrym? Jeden ci jest dobry Bóg. A jeśli chcesz wnijść do żywota, chowaj przykazania. Rzekł Mu: Które? A Jezus rzekł: *Nie będziesz mężobójstwa czynił. Nie będziesz cudzołożył. Nie będziesz czynił kradzieży. Nie będziesz fałszywego świadectwa mówił, czcij ojca twego i matkę twoją, a będziesz miłował bliźniego twego, jako samego siebie.*" Gdyby ów młodzieniec miał to, co nazywam sumieniem wielkiem, gdyby miał sumienie poważne i głębokie, które po przez literę sięga do istoty rzeczy, uczułby, że wypełniał owe przykazania nader niedokładnie; że prześlizgiwał się tylko po ich powierzchni, depcząc ich ducha, ich rzetelne znaczenie, i sam ich kwiat, i upadłby do nóg Chrystusowych, błagając Go o łaskę żalu za grzechy. Zamiast tego, zaślepiony tem, co nazywam małem sumieniem, sumieniem łatwem i łatwo dającem się zadowolić, nie sięgającem głęboko, trzymającem się litery prawa, mówi: „*Wszystkiegom tego strzegł od młodości mojej: czegoż mi jeszcze nie dostawa?* I odchodzi zadowolony z siebie, ale zostawia zasmuconego Pana. Obraz to wielu ludzi, których cnoty, że ośmielę się tak wyrazić, oddalają ich od Chrystusa: ludzi uczciwych obyczajów, prawych w interesach, względnych w stosunkach z bliźnimi, miłujących rodzinę, ale którzy nigdy nie zrozumieli ani praw, jakie Bóg ma do nich, ani ogromu swoich grzechów, ani jak dalece potrzebują Zbawiciela. Jakże tacy ludzie mogliby przyjść do Chrystusa? Zanadto są zadowoleni z siebie. Nie pragną wcale świętości, jaką On przynosi. Nie potrzebują Jego łaski. Dopatrują się w Chrystusie piękności duchowej, ale niezdolni są zrozumieć w Nim Boskiego pokutnika. Przeszkadza im w tem sumienie, sumienie zadowolone, powierzchowne, które nazywam sumieniem małem. Ale dajcie mi człowieka, czującego ciężar grzechu, brzydzącego się złem, wzdychającego do lepszego życia i gotowego do wszelkich ofiar, byle znaleźć pokój, łaskę, przebaczenie, cnotę,—a ręczę za niego. Potrzeba go tylko zbliżyć do Chrystusa, a odda Mu się niezwłocznie i bezpowrotnie. Widzisz, młodzieńcze, ludzie gubią siebie dziś tem, że umieją tylko te słowa: „*Boże, dziękuję Tobie, żem nie jest jako inni ludzie, drapieżni, niesprawiedliwi, cudzołożnicy. Poszczę dwakroć w tydzień i dawam dziesięcinę ze wszystkiego co mam.* Umieją mówić: Jestem uczciwym człowiekiem. Nie umieją rzec: „*Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!*"

UCZEŃ.

To jest idą do Boga sumieniem małem, powierzchownem, łatwo się zadawalającem i które z tej przyczyny staje się często sumieniem fałszywem. Nie umieją wznieść się do Boga świętości tem delikatnem i głębokiem sumieniem, które zaw-

sze drży, czy jest dosyć czystem, aby Go znaleźć. O Boże, który znasz mój smutek, moje gorące pragnienie prawdy, moje usiłowania bolesne i bezowocne, daj mi wielkie sumienie, wielkie serce i wielki umysł! albo raczej, ponieważ wszystko to jest we mnie, daj, abym zwrócił ku Tobie wszystkie wielkie strony mojej duszy! Niestety, jakże się dzisiaj wstydzę, żem sobie czasem wyobrażał, iż jestem za wielkim, abym mógł wierzyć! Za małym owszem byłem. Tak jest, małem było wszystko, co mię oddalało od Boga, od Chrystusa, od religii, a próżne wyobrażenie o mojej wielkości było najmniejszem ze wszystkiego. Przyjm, Boże, to wyznanie jako pierwszy dowód mojego do Ciebie powrotu; przyjm i drugie, które mię jeszcze więcej upokarza. Wszakże wyobraziłem był sobie, że chcąc Tobie się oddać, Tobie, który jesteś samą wielkością i źródłem wielkości wielkiej, trzebaby obciąć skrzydła albo swobodzie mojej myśli, albo tkliwości uczuć, albo sile charakteru, albo najszlachetniejszym dążeniom duszy mojej! Dzięki Ci Panie, czuję łuski, opadające mi z oczu. Tylko to, co mam małego, jest przeciw Tobie; wszystko, co we mnie jest wielkiem, trzyma stronę Twoją. Oddaję Ci tę wielką stronę mojej duszy. Albowiem przez nią, o Boże, wracam do światła. W niem chcę odpoczywać, żyć i umierać.

MISTRZ.

Niech Bóg błogosławi ten poryw twej duszy i niech cię nieustannie wspiera w drodze, jaka nam jeszcze pozostaje. Ujrzałeś, że człowiek potrzebuje religii. Potrzebuje jej człowiek, potrzebuje Bóg. Nie można pojąć ani jednego ani drugiego bez łączącego ich węzła. Postawmy sobie teraz pytanie: jaką jest ta religia? W tym celu skracając sobie drogę, przystąpmy bez zwłoki do najważniejszego zagadnienia: stańmy w obec Jezusa Chrystusa. Czy Chrystus jest Bogiem? Bo jeżeli nim jest, nie pozostaje nam nic innego, tylko ukorzyć się i uwielbić Go.

UCZEŃ.

Tak, Mistrzu, najważniejszem zagadnieniem jest to, czy Chrystus jest Bogiem. Przyznaję, że trwoży mię ono. Dopomóż mi je rozwiązać. Nigdy nie było nad nie ważniejszego.

MISTRZ.

Tak, zaiste, nigdy nie było ani ważniejszego, ani potrzebniejszego, ani straszniejszego, ani bardziej wzruszającego, ani bardziej obfitującego w najróżnorodniejsze widoki i harmonie, ani godniejszego dusz wielkich. Ale, Bogu dzięki, nigdy też nie było łatwiejszego. Gotujże umysł i serce! Widzieliśmy pierwsze promienie jutrzenki; ujrzymy teraz wschódsłońca.

SPIS RZECZY.

Str.

Przedmowa autora V

PROLOG.

Plan szczególny pierwszego tomu, zatytułowanego: Wiara i Niewiara . . VII
(Wstęp ogólny do całego dzieła). Pobudki, metoda i plan tego nowego wykładu nauki chrześcijańskiej IX

ROZDZIAŁ I.

O prawdziwej naturze człowieka 1

ROZDZIAŁ II.

O prawdziwej naturze Boga 19

ROZDZIAŁ III.

O prawdziwej istocie religii. 39

ROZDZIAŁ IV.

Bolesny dramat niewiary. Człowiek bez religii i Boga 55

ROZDZIAŁ V.

Bolesny dramat niewiary (ciąg dalszy). Rodzina bez Boga. 74

ROZDZIAŁ VI.

Bolesny dramat niewiary (ciąg dalszy). Społeczeństwo bez Boga 105

ROZDZIAŁ VII.

Bolesny dramat niewiary (dokończenie). Lud bez Boga 124

ROZDZIAŁ VIII.

Zarzuty i błędne rozumowania niewiary. — Czy prawdą jest, że odkrycia nauki wykazały niemożliwość stosunku pomiędzy Bogiem a ludźmi? 146

ROZDZIAŁ IX.

Zarzuty i błędne rozumowania niewiary (ciąg dalszy). — Czy prawdą jest, że wielkie narody tegoczesne porzucają religię, a porzuciwszy ją, stają się większymi i szczęśliwszymi? 117

Str.

ROZDZIAŁ X.

O prawdzie i piękności religii. 209

ROZDZIAŁ XI.

O cudownych skutkach religii, a w szczególności o boskiem działaniu cierpienia. 227

ROZDZIAŁ XII.

O cudownych skutkach cierpienia (ciąg dalszy).—Jak religia, tłómacząc nam cierpienie, dopomaga zaraze je znosić 252

ROZDZIAŁ XIII.

O cudownych skutkach cierpienia (dokończenie).— Nieśmiertelność i połączenie wiekuiste.—Miłość poza grobem 270

EPILOG.

Drogi światłości.—Jak można odzyskać utraconą wiarę 286